

TOM CLANCY

A black and white photograph of a submarine on a launch rail. The submarine is positioned centrally, with its conning tower and various sensors visible. The rail is supported by two large, dark launchers on either side. The background is a hazy, overcast sky.

CZERWONY
SZTORM

CLANCY TOM

Czerwony sztorm #2

TOM CLANCY

tom 2

Przełożył Michał Wroczyński

Warszawa, 1992

Tytuł oryginału: RED STORM RISING Copyright (c) 1986 by Jack Ryan Enterprises Ltd. and Larry Bond _"• Projekt okładki: Jerzy T. Czaplicki Konsultant: Rafał Marczewski Redaktor merytoryczny: Anna Calikowska Redaktor techniczny, układ typograficzny: Iwona Wysocka Copyright for the Polish edition (c) by GiG Sp. z o. o., 1992 Copyright for the cover art (c) by Jerzy T. Czaplicki, 1992

ISBN 83-85085-55-6

Wydawnictwo GiG Sp. z o. o., Warszawa 1992 Wydanie I, ark. wyd. 28, ark. druk. 31,25
Skład: Zakład Poligraficzny FOTOTYPE Milanówek Druk: Rzeszowskie Zakłady Graficzne
Zam. 7466/92

Stendal, Niemiecka Republika Demokratyczna – Uważaj na siebie, Pasza.

–Jak zwykle, towarzyszu generale – uśmiechnął się Aleksiejew. – Kapitanie^ idziemy.

Siergietow ruszył za przelożonym. Obecnie, inaczej niż wtedy, gdy pierwszy raz przekraczali linię frontu, obaj byli uzbrojeni. General wprawdzie miał tylko rewolwer przytroczony do pasa obok mapnika, ale adiutant, jako ochrona dowódcy, zabrał ze sobą niewielki, czeski pistolet maszynowy. Kapitan spostrzegł, że w generale zaszła radykalna zmiana. Podczas pierwszej wyprawy na linię frontu Aleksiejew był pełen obaw i wahań – oficerowi nie przyszło po prostu do głowy, że zarówno główny dowódca jak i Aleksiejew nigdy wcześniej nie widzieli prawdziwej bitwy i odczuwali normalny lęk, jaki czuje młody żołnierz. Teraz jednak sytuacja się zmieniła. General powąchał prochu.

Wiedział, jak sprawy naprawdę wyglądają, a jak nie wyglądają. Przemiana była zdumiewająca. Ojciec miał rację – pomyślał Siergietow. Aleksiejew był człowiekiem, z którym należało się liczyć. W helikopterze czekał już na nich pułkownik lotnictwa. Mi-24 wzbił się w nocne niebo. Nad nim leciała eskorta złożona z myśliwców.

Lammersdorf, Republika Federalna Niemiec Niewiele osób doceniało znaczenie magnetowidów. Naturalnie w prywatnych domach używano ich na co dzień, ale wojsko zwróciło dopiero na nie uwagę przed dwoma laty, gdy kapitan Holenderskich Królewskich Sił Powietrznych przedstawił wyśmienity projekt wykorzystania taśm

na polu bitwy; metodę sprawdzono następnie w Niemczech, a potem w zachodnich stanach

Ameryki.

Wysoko nad Renem samoloty NATO z radarami kontroli rejonu odbywały rutynowy patrol. Maszyna E-3A Sentry[^] znana bardziej pod nazwą AWACS, oraz inna, nie tak duża i mniej popularna, TR-1, zataczały szerokie pętle, bądź posuwały się po liniach prostych, utrzymując cały czas dystans od linii frontu. Pełniły pozornie podobne funkcje.

AWACS skupiał się głównie na ruchu powietrznym, TR-1 zaś, ulepszona wersja sędziwego C7-2, tropił pojazdy naziemne. W pierwszej fazie służby TR-1 nie spełniły pokładanych w nich nadziei. Śledząc zbyt wiele celów – część z nich stanowiły reflektory radzieckich radarów rozmieszczonych gęsto przez Rosjan – zalewały ośrodki dyspozycyjne informacją zbyt różnorodną, by dało się z niej stworzyć jakiś klarowniejszy obraz. Wtedy właśnie pojawił się magnetowid kasetowy. Wszelkie napływające z samolotu dane były i tak nagrywane na wideokasety, jako że stanowiły one najprostszy sposób gromadzenia i składowania danych.

Wbudowane w urządzenia NATO magnetowidy mogły wykonywać jednak tylko kilka podstawowych operacji.

Holenderski kapitan wpadł na pomysł, by zabrać do biura swój osobisty odtwarzacz wideo i zademonstrować, jak za pomocą szybkiego przesuwu w przód i w tył taśm z danymi radiolokacji, badać można nie tylko cel, do którego zmierzają obserwowane obiekty, ale i miejsce, skąd nadjeżdżają.

Komputer, eliminując wszelkie elementy nieruchome i te, które pojawiają się rzadziej niż co dwie godziny – a więc i rosyjskie radary – niebywale tę pracę usprawniał. W ten sposób wywiad zdobył kolejne, bardzo użyteczne narzędzie.

Zespół składający się z ponad stu pracowników wywiadu i specjalistów od kontroli ruchu drogowego analizował te taśmy dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jednych zajmowały kwestie związane z wywiadem taktycznym, inni starali się określić pewne stałe, ogólne wzorce zachowań przeciwnika. Wielka liczba ciężarówek kursujących nocą między frontem a tyłami mogła oznaczać jedynie wahadłowy transport paliwa i amunicji, a większa liczba pojazdów,

które odrywały się od maszerujących kolumn i ustawiały równoległe do frontu, znaczyć mogła obecność artylerii przygotowującej się do ataku. Cała sztuka polegała na tym, by dane przesłać do dowódców wysuniętych posterunków na tyle szybko, żeby ci mogli zrobić z nich użytek.

W Lammersdorfie belgijski porucznik zakończył właśnie pracę nad taśmą, którą otrzymał był sześć godzin wcześniej.

Jego raport niezwłocznie przesłano dowództwu wysuniętych pozycji Paktu Atlantyckiego. Wynikało z nich, że autoбанą 7 przesunięto na północ i południe co najmniej trzy dywizje.

Znaczyło to, że Rosjanie rzucają całe siły prosto na Bad Salzdetfurth wcześniej, niż tego oczekiwano. Natychmiast więc przemieszczono rezerwowe jednostki złożone z żołnierzy

belgijskich, niemieckich i amerykańskich, a lotnictwo sprzymierzonych w obliczu ofensywy lądowej postawione zostało w stan alarmu. W gwałtownych walkach na południe od Hanoweru oddziały niemieckie poniosły ponad pięćdziesięcioprocentowe straty. A bitwa jeszcze naprawdę się nie zaczęła. Trwał wyścig o to, która ze stron szybciej zmobilizuje rezerwy.

Holle, Republika Federalna Niemiec – Jeszcze trzydzieści minut – mruknął Aleksiejew do Siergietowa.

Na liczącej niecałe dwadzieścia kilometrów linii frontu rozlokowano cztery dywizje piechoty zmotoryzowanej, która miała dokonać pierwszego wylomu w liniach obronnych Niemców. A na tyłach czekała dywizja czołgów, która miała ten wylom wykorzystać. Celem było leżące nad rzeką Leiną miasteczko Alfeld. Przebiegały tamtędy dwie arterie komunikacyjne, którymi NATO kierowało jednostki rezerwowe oraz zaopatrzenie na północ i południe. Przejęcie tych szlaków przełamałoby linie Paktu Atlantyckiego, pozwalając sowieckim grupom operacyjno-manewrowym wdrzeć się głęboko na tyły wroga. ^ – Towarzyszu generale, jak waszym zdaniem rozwinie się sytuacja?*- spytał cicho kapitan.

–Spytajcie mnie o to za kilka godzin – odparł generał.

Rozciągająca się za nimi dolina rzeki stanowiła ład stratowany żołnierskimi butami i zryty gąsienicami czołgów.

Znajdowali się zaledwie trzydzieści kilometrów od granicy, a wedle założeń czołgi Armii Czerwonej miały w Holle pojawić się już drugiego dnia wojny. Aleksiejew zmarszczył brwi. Zastanawiał się, jakież to geniusz sztabowy wymyślił taki termin. Okazało się, że znów nie doceniono czynnika ludzkiego. Aleksiejew nie spotkał się w życiu z takim morale i duchem walki, jaki przepełniał Niemców. Generał pamiętał opowieści ojca o walkach na Ukrainie i w Polsce, ale nie traktował ich serio... aż do teraz. Niemcy walczyli o każdy kamień, o każdą piędź ojczystej ziemi; jak wilki bronili swych siedzib i cofali się tylko w ostateczności.

Kontratakowali przy każdej okazji, chwyтали się każdego dostępnego środka, zadając rwącym do przodu rosyjskim jednostkom krwawe ciosy.

Radziecka doktryna wojenna zakładała ciężkie straty.

Wojna ofensywna wymagała kosztownego, frontalnego uderzenia, które miało przerwać front – ale jak dotąd nic takiego nie nastąpiło. Wymyślna broń, jaką dysponowały wojska NATO, bezpieczne, świetnie przygotowane pozycje obronne zatrzymywały każde kolejne radzieckie natarcie.

Ataki zachodniego lotnictwa na tyły sowieckich wojsk zadawały nieprawdopodobne straty radzieckiej artylerii i drenowały jednocześnie siły rezerwowych jednostek rosyjskich, które miały wesprzeć atak i włączyć się do decydującej rozgrywki.

A jednak Armia Czerwona idzie do przodu i Pakt Atlantycki płaci za to wysoką cenę –

pocieszał się w duchu Aleksiejew. Rezerwy Zachodu topniały w oczach, zaś siły niemieckie nie były już tak ruchliwe, jak obawiał się i częstokroć prowadziły wojnę pozycyjną zamiast atakować radzieckie jednostki w ruchu. Naturalnie – myślał generał.

–Nie mają wystarczająco rozległego terytorium, by grać na zwłokę.

Popatrzył na zegarek.

Kiedy rosyjska artyleria rozpoczęła ostrzał, rozciągający

się poniżej las spowiła kurtyna ognia. Potem włączyły się wielolufowe wyrzutnie raketowe i poranne niebo ciąc zaczęły smugi płomienia. Aleksiejew skierował lornetkę w dolinę. Wzdłuż linii obronnych NATO wykwitwały pomarańczowo-białe rozbłyski eksplozji. Generał znajdował się zbyt daleko, by dostrzec szczegóły, ale cały teren liczący wiele kilometrów kwadratowych zapłonął w jednej chwili jakby setkami ogromnych neonów, w jakich tak lubował się Zachód. Nad głową rozległ się ryk motorów i Aleksiejew ujrzał pierwsze myśliwce bombardujące, które mknęły na pole walki.

–Dzięki wam, towarzyszu generale – westchnął z ulgą Aleksiejew.

Naliczył co najmniej trzydzieści maszyn Sukboi i Mig.

Leciały tuż nad ziemią, kierując się w stronę linii frontu.

Wykrzywił twarz w pełnym zdecydowania uśmiechu i ruszył w stronę bunkra dowództwa.

–Nadchodzą pierwsze jednostki – oznajmił pułkownik.

Na zbitym z nie heblowanych desek i ustawionym na koziołkach blacie leżała mapa taktyczna popstrzona naniesionymi flamastrem symbolami. Czerwone strzałki rozpoczynały swój marsz w stronę niebieskich kresek.

Uaktualnianiem mapy zajmowali się porucznicy. Każdy z nich miał na uszach słuchawki, dzięki czemu cały czas pozostawał w ciągłym kontakcie z kwaterami poszczególnych pułków. Oficer utrzymujący łączność z jednostkami rezerwowymi stał w pewnej odległości od stołu, palił papierosy i przyglądał się marszowi czerwonych strzałek. Jeszcze dalej dowódca 8. Gwardyjskiej Armii w milczeniu obserwował rozwijający się atak.

–Napotykam pewien opór. Ogień artylerii i czołgów nieprzyjaciela – poinformował porucznik.

Eksplozje zakołysały bunkrem. W odległości dwóch kilometrów niemieckie phantomy zniszczyły cały radziecki, batalion ruchomych dział. – Nieprzyjacielskie myśliwce – ostrzegł trochę zbyt późno oficer obrony przeciwlotniczej.

Kilka osób popatrzyło bojaźliwie na belki wspierające strop bunkra. Aleksiejew nie uniósł

twarzy. Bomby Paktu Atlantyckiego mogły wszystkich zabić w mgnieniu oka.

Mimo że cieszył się z awansu na zastępcę głównodowodzącego teatrem wojny, tęsknił do czasów, kiedy stał na czele zwykłej dywizji bojowej. Tutaj był tylko obserwatorem, czuł zaś, że łatwiej byłoby mu znieść, gdyby to bezpośrednio od niego zależało.

–Artyleria donosi, że spadł na nią silny ogień z baterii przeciwnika oraz że jest przedmiotem ataków z powietrza.

Nasze wyrzutnie raketowe ostrzeliwują wrogie maszyny, które pojawiły się na tyłach 57. Dywizji Piechoty Zmotoryzowanej – odezwał się oficer obrony przeciwlotniczej.

–Nad linią walk bardzo dużo nieprzyjacielskich samolotów.

–Nasze myśliwce weszły w kontakt bojowy z maszynami NATO – poinformował oficer lotnictwa pierwszego uderzenia. Potrząsnął ze złością głową. – Nasze SAM-y strącają własne myśliwce.

–Przeznaczcie jednostkom, by dokładniej identyfikowały cele! – wrzasnął Aleksiejew do oficera obrony przeciwlotniczej.

–Nad linią frontu mamy pięćdziesiąt samolotów. Sami sobie poradzimy z myśliwcami Paktu Atlantyckiego – odkrzyknął oficer lotnictwa pierwszego uderzenia.

–Przekazać bateriom SAM-ów, by strzelały tylko do celów, które znajdują się powyżej tysiąca metrów – rozkazał Aleksiejew.

Problem ten przedyskutował był przecież poprzedniej nocy z dowódcą lotnictwa pierwszego uderzenia.

Piloci migów mieli trzymać się dużej wysokości; samolotami NATO, które bezpośrednio zagrażały jednostkom lądowym, zajmować się powinny baterie rakiet i dział. Czemu więc działa trafiają we własne maszyny?

Dziesięć tysięcy metrów nad Renem dwa samoloty E-3A należące do Paktu Atlantyckiego walczyły o życie.

Rosjanie przypuścili zdecydowany atak i w stronę zaCZERWONY SZTORM • 13 chodnich maszyn mknęły z pełną prędkością dwa pułki myśliwców przechwytyjących Mig-23. Samoloty NATO rozpaczliwie wzywały pomocy przez radio. Obie maszyny przeszkodziły myśliwcom radzieckim w wykonaniu głównego zadania. Nie zważając na niebezpieczeństwo, Rosjanie uruchomili potężne radiostacje zagłuszające i mknęli na zachód z szybkością przekraczającą tysiąc sześćset kilometrów na godzinę. Amerykańskie F-15 eagle i francuskie odrzutowce Mirage skupiły całą uwagę na nadlatujących samolotach i wypełniły niebo pociskami. Ale to nie wystarczyło. Kiedy migi znajdowały się już w odległości stu kilometrów, AWACS-y wyłączyły

radary i znurkowały w kierunku ziemi, szukając tam ocalenia. Znajdujące się nad Bad Salzdetfurth myśliwce NATO pozbawione zostały przewodnictwa radiolokacyjnego. Po raz pierwszy Rosjanie podczas wielkiej bitwy uzyskali przewagę w powietrzu.

–Sto Czterdziesty Trzeci Gwardyjski Pułk Piechoty donosi, że przełamał linie niemieckie – powiedział porucznik, nie podnosząc głowy znad mapy, na której przedłużał właśnie czerwone strzałki. – Nieprzyjacielskie jednostki wycofują się w popłochu.

–Sto Czterdziesta Piąta potwierdza wiadomość – oznajmił inny. – Pierwsza linia niemieckiej obrony sforsowana. Posuwające się na południe wzdłuż traktacji kolejowej... Jednostki wroga uciekają. Nie przegrupowują się, nie próbują ponownie stawiać oporu.

Dowodzący 8. Gwardyjską Armią generał spojrział z triumfem na Aleksiejewa.

–Niech rusza dywizja czołgów!

Dwie niepełne niemieckie brygady broniące tego odcinka poniosły ogromne straty w walce z przeważającymi siłami wroga. Zbyt wielu ludzi zginęło, zbyt wielkie były straty w sprzęcie; jedynym wyjściem okazała się ucieczka w nadziei, że za autostradą 243 uda się sformować nową linię obrony. Z odległego o cztery kilometry Hackenstecft ruszyła szosą 20 Gwardyjska Dywizja Czołgów. Trzysta ciężkich bojowych maszyn T-80 i kilkaset towarzyszących

im transporterów opancerzonych z piechotą przypuściło atak szeroką linią, prac do przodu wzdłuż drogi w pułkowych szykach. 20. Dywizja Czołgów należała do grup operacyjno-manewrowych 8. Gwardyjskiej Armii. Od chwili wybuchu wojny Rosjanie robili wszystko, by któraś z tych potężnych jednostek wdarła się na tyły linii obronnych Paktu Atlantyckiego. Teraz to stało się możliwe.

–Dobrze zrobione, towarzyszu generale – powiedział Aleksiejew.

Mapa wyraźnie pokazała, że Rosjanie dokonali głównego przełomu. Trzy z czterech dywizji piechoty zmotoryzowanej weszły głęboko poza linie niemieckiej obrony.

W zacieklej, trwającej piętnaście minut walce powietrznej migi za cenę utraty dziewiętnastu własnych samolotów straciły jednego AWACS-a i trzy myśliwce Eagle. Drugi amerykański samolot radiolokacyjny, który wyszedł z opresji obronną ręką, sto trzydzieści kilometrów za Renem ponownie wzbil się wysoko w niebo. Na pokładzie operatorzy radarowi pracowali gorączkowo, by znowu przejąć kontrolę nad przestrzenią powietrzną środkowych Niemiec, gdzie toczyła się bitwa. Migi w tym czasie uciekały w stronę swoich pozycji, przedzierając się przez chmary rakiet powietrze-ziemia. Wykonały zadanie, ponosząc potworne straty. Do spełnienia takiej misji nikt ich nie przygotował.

Ale to był zaledwie początek.

Po pierwszym, uwieńczonym powodzeniem ataku rozpoczęła się najtrudniejsza część bitwy.

Generałowie i pułkownicy dowodzący szturmem powinni błyskawicznie przesunąć do przodu podległe sobie jednostki. Musieli przy tym uważać, by nie narazić ich na ogień własnej, prowadzącej nieustanny ostrzał obiektów znajdujących się na południowym zachodzie, artylerii, która przygotowywała teren dla idących do ataku pułków. Absolutne pierwszeństwo przysługiwało dywizji czołgów, ponieważ w kilka minut po szturmie piechoty zmotoryzowanej zaatakować miała drugą linię niemieckiej obrony i przed zmrokiem jeszcze wkroczyć do Alfeld. Jednostki żandarmerii zorganizowały już zaplanowane wcześniej punkty kontroli drogowej i kierowały

poszczególne oddziały szosami, z których naturalnie Niemcy usunęli uprzednio wszelkie tablice informacyjne. Nie odbyło się to wszystko tak prosto, jak zaplanowano. Były straty.

Zginęło kilku dowódców, zniszczeniu uległo wiele pojazdów, a tempo marszu hamowały zbombardowane drogi.

Niemcy ze swej strony próbowali się przegrupowywać.

Oslaniające tyły jednostki zatrzymywały się za każdym zakrętem i czekały na atakujących z furją Rosjan, witając ich gradem rakiet przeciwczołgowych. Ataki te kosztowały Sowieców bardzo drogo. Głównym celem niemieckich pocisków padały czołgi dowódców.

Lotnictwo sprzymierzonych również zmieniło nieco taktykę i lecące na niewielkiej wysokości myśliwce zaczęły atakować Rosjan przebywających na odkrytej przestrzeni.

Do Alfeld wjechała niemiecka brygada czołgów, a za nią, dziesięć minut później, belgijski pułk piechoty zmotoryzowanej. Niemcy posuwali się główną drogą na północny wschód. Obserwowali ich mieszkańcy miasteczka, którzy otrzymali już rozkaz ewakuacji.

Faslane, Szkocja – Bez sukcesów, co? – spytał Todd Simms, dowódca USS "Boston".

–Bez – pokiwał smętnie głową McCafferty. Nawet sam rejs do Faslane nie był najszczęśliwszy. USS "Chicago" nie wykrył w porę obecności HMS "Osirisa", który strzegł korytarza wodnego. Co by było, gdyby ta brytyjska jednostka podwodna o napędzie klasycznym okazała się rosyjską?

McCafferty prawdopodobnie już by nie żył. – Mielśmy dużą szansę z tym rosyjskim desantem. Wiesz, wszystko układało się jak najlepiej. Przebyliśmy już linię rosyjskich pław i szykowaliśmy się do ataku raketowego... wyliczyłem, że lepiej będzie, jak zaczniemy od rakiet a skończymy na torpedach...

–To racja – zgodził się Simms.

–Ale właśnie wtedy ktoś inny przypuścił atak torpedowy. Wszystko nam popieprzył. Wystrzeliliśmy, trzy harpoony, ale dostrzegł nas śmigłowiec i

na nas hurmem. – McCafferty pchnął drzwi prowadzące do klubu oficerskiego. – Muszę się czegoś napić.

–Pewnie – roześmiał się Simms. – Po paru piwach wszystko wygląda inaczej. Takie rzeczy się zdarzają, Danny.

Raz jesteś na wozie, raz pod wozem – pochylił się nad barem. – Dwa duże proszę. Mocne.

–Tak jest, panie komandorze – odparł przybrany w białą kurtkę steward, podając dwa kufle grzanego piwa.

Simms wziął rachunek i zaprowadził swego kolegę do stojącego w kącie stolika. Po przeciwnej stronie sali odbywało się jakieś huczne przyjęcie.

–No, Danny, nie rozpaczaj. Na zdrowie. To nie twoja wina, że Iwan nie wystawił ci się na strzał.

McCafferty pociągnął z kufła potężny łyk piwa i pomyślał o odległym o trzy kilometry od kasyna "Chicago"; właśnie uzupełniano na nim broń i żywność.

Już dwa dni przebywali w porcie. Obok okrętu McCafferty'ego zacumowany był "Boston" i jakaś inna jednostka podwodna klasy 688, a tego dnia dołączyły do nich jeszcze dwie. Wszystkie czekało nowe zadanie, ale nawet dowódcy nie wiedzieli jakie. Wolny czas oficerowie i załogi w całości poświęcali na odpoczynek i rozrywki.

–Masz rację, Todd. Jak zwykle masz rację.

–No to świetnie. Popatrz, tam się dzieje coś ciekawego.

Zakąs to piwo i zobaczymy, co się święci.

Simms podniósł kufel i ruszył w przeciwległy koniec sali.

W licznej grupie tłoczących się oficerów okrętów podwodnych rej wodził liczący około trzydziestu lat norweski kapitan o jasnych włosach. Najwyraźniej nie trzeźwiało już od ładnych paru godzin. Gdy tylko kończył kufel, komandor Norweskiej Marynarki Królewskiej usłużnie wręczał mu następny.

–Muszę znaleźć człowieka, który nas uratował! – powtarzał z pijackim uporem Norweg.

–Kto to jest? – spytał Simms kapitana brytyjskiego okrętu podwodnego HMS "Oberon".

–Ten facet zatopił wracającego do Murmańska "Kirowa". Opowiada tę historię od początku co dziesięć minut... o, znów zaraz zacznij.

–To on, skubaniec! – wykrzyknął niezbyt głośno McCafferty.

Miał przed sobą faceta, który sprzątnął mu sprzed nosa cel. Rzeczywiście, Norweg zaczął swoją opowieść od początku.

–Podchodziliśmy powoli. Szli prosto na nas... – czknął -...i musieliśmy podkradać się bardzo ostrożnie. Wystawiłem peryskop i zobaczyłem go! Znajdował się cztery tysiące metrów przed nami i nadpływał z prędkością dwudziestu węzłów. Mijał nas z prawej burty w odległości pięciuset metrów... – Opowiadający o mało nie stracił kufła ze stołu. – Peryskop w dół! Arne... gdzie jesteś Arne? Och, upił się i zasnął. Arne jest oficerem ogniowym.

Uzbroił cztery torpedy. Typ trzydzieści siedem; to amerykańskie pociski – wskazał ręką dwóch amerykańskich oficerów, którzy właśnie podeszli do zebranych.

Cztery marki-37 McCafferty skrzywił się na tę myśl. Miał zepsuty cały wieczór.

–"Kirow" jest już bardzo blisko. Peryskop w górę!

Kurs ten sam, prędkość ta sama, teraz odległość dwa tysiące metrów... strzelamy. Jedna! Druga! Trzecia! Czwarta!

Znowu ładujemy wyrzutnie i nurka jak najgłębiej.

–To ty zepsułeś mi polowanie! – nie wytrzymał w końcu McCafferty.

Norweg jakby na chwilę kompletnie wytrzeźwiał.

–Kim jesteś? – zapytał.

–Dan McCafferty, USS "Chicago".

–Byłeś tam?

–Byłem.

–Wystrzeliłeś rakiety?

–Wystrzeliłem.

–Bohaterze! – dowódca norweskiego okrętu podwodnego podbiegł do McCafferty'ego i rzucił mu się na szyję, zwalając prawie Amerykanina z nóg. – Uratowałeś moją załogę! Uratowałeś mój okręt!

–O co mu chodzi? – zdumiał się Simms.

–Aha, prezentacja! – wykrzyknął kapitan królewskiej marynarki. – Kapitan Bjorn Johannsen, kapitan okrętu 2 – Czerwony sztorm t. II

podwodnego marynarki Jego Królewskiej Mości Króla Norwegii "Kobben". Kapitan Daniel McCafferty z USS "Chicago".

–Po trafieniu "Kirowa" pozostałe rosyjskie jednostki opadły nas jak stado wilków. Sam "Kirow" wyleciał w powietrze...

–Myślę – wtrącił Simms – po czterech torpedach...

–Rosjanie natychmiast wysłali na nas krążownik i dwa niszczyciele – Johannsen jakby trochę otrzeźwiał. – Och, uciekliśmy, skryliśmy się na dużą głębokość, ale nas znalazły i odpaliły rakiety RBU; dużo, bardzo dużo rakiet. Większość spadła za daleko, ale niektóre blisko. Oddałem strzał w krążownik.

–I trafiłeś?

–Pewnie, ale tylko mocno go uszkodziłem. Wszystko to zajęło dziesięć, może piętnaście minut. Były to bardzo gorące chwile.

–Wiem coś o tym. Przyspieszyliśmy, trzepnęliśmy szybko radarem w miejscu, gdzie powinien znajdować się "Kirow". Odkryliśmy tam trzy okręty.

–"Kirow" zatonął, roztrzaskany na strzępy. Widziałeś krążownik i dwa niszczyciele. I wtedy wystrzeliłeś, tak? – oczy Johannsena błyszczały.

–Trzy harpoony. Zobaczył to helix i natychmiast zrobił na nas nalot. Musieliśmy uciekać i do teraz nie wiem, czy któraś z moich rakiet trafiła.

–Czy trafiła? Ha, człowieku! Zaraz ci powiem! – Johannsen zamachał rękami. – Wysiadły nam baterie.

Mieliśmy uszkodzenie i zostaliśmy unieruchomieni. Uniknęliśmy wprowadzić czterech torped, ale tak naprawdę już nas mieli.

Trzymali nas na sonarze. Niszczyciel strzelał rakietami RBU.

Pierwsze trzy chybiły, ale tak naprawdę już nas mieli. I nagle: trach! trach! trach! Niszczyciel eksplodował. Drugi uszkodzony. Wydaje mi się jednak, że nie zatonął. Uciekliśmy.

Johannsen ponownie wziął w objęcia McCafferty'ego i tym razem obaj rozlali piwo na podłogę.

Amerikanin po raz pierwszy widział Norwega, który tak żywiołowo okazywał swoje uczucia.

–Ja i moja załoga żyjemy dzięki tobie, "Chicago".

Postawię ci dobrego kielicha. Postawię całej twojej załodze.

–Jesteś pewien, że zatopiliśmy tę łajbę?

–Inaczej nie byłoby mojego okrętu! Nie byłoby mojej załogi! Nie byłoby mnie! Zatopiłeś!

Naturalnie, lepiej byłoby trafić w atomowy krążownik – pomyślał McCafferty. Ale niszczyciel też nie był do pogardzenia. Ponadto drugi uszkodzony – dodał w myślach. – Kto wie, może zatonał w drodze powrotnej...

–Widzisz, nie jest tak źle, Dan – zauważył Simms.

–Niektórzy ludzie mają szczęście jak jasna cholera – odezwał się kapitan HMS "Oberon".

–Powiem ci coś, Todd – mruknął dowódca USS "Chicago". – Okropnie mi smakuje to piwo.

USS "Pharris" Pochować mogli tylko dwóch członków załogi. Brakowało jeszcze czternastu osób, ale ich ciał nie znaleziono.

Niemniej Morris uważał, że i tak mieli sporo szczęścia. Było dwudziestu rannych. Clarke doznał pęknięcia przedramienia, kilka osób wskutek wstrząsu połamało sobie nogi w kostkach, a pół tuzina marynarzy fatalnie poparzyła para.

Poranionych szkłem kapitan nie rachował.

Morris odprawił ceremonię; pozbawionym emocji głosem przeczytał ustęp traktujący o tym, iż pewnego dnia morze zwróci poległych... Na jego komendę marynarze unieśli przyniesione z mesy stoły. Owinięte plastikiem i obciążone żelazem ciała wysunęły się spod okrywających je flag i spadły prosto w wodę. Stali na głębini liczącej ponad trzy tysiące metrów; pierwszego oficera i pochodzącego z Detroit mata-kanoniera trzeciej klasy czekała długa, ostatnia droga.

Potem rozległa się salwa honorowa. Muzyki nie było. Nikt z załogi nie potrafił grać na trąbce, a magnetofony były zniszczone.

Morris zamknął książkę.

–Zająć posterunki.

Złożone flagi wróciły do schowka na żagle, stoły do

mesy, a podpory pokładowe znów zabezpieczono linami sztormowymi. Morris zdawał sobie sprawę, iż stanowiący zaledwie połowę okrętu "Pharris" nadaje się już tylko na złom.

Holownik "Papago" ciągnął go za rufę, rozwijając szybkość niewiele przekraczającą cztery węzły. Czekwały ich całe trzy dni podróży. Płynęli nie do bazy marynarki wojennej, ale do Bostonu – najbliższego portu. Powód był oczywisty. Reperacja okrętu miała zająć ponad rok i flota nie chciała blokować sobie na tak długi czas żadnego doku.

Wszystkich potrzebowano do napraw mniej uszkodzonych jednostek wojennych.

Teraz dowództwo Morrisa nad fregatą było czystą kpina.

Na holowniku znajdowała się załoga rezerwowa, w której skład wchodziło wielu doświadczonych specjalistów ratownictwa morskiego. Trzech z nich pojawiło się na uszkodzonym okręcie, by osobiście zamocować liny holownicze i "doradzić" Morrisowi, co ma robić. Były to właściwie podane w niezwykle uprzejmej formie rozkazy.

Załoga "Pharrisa" zajęć miała pod dostatkiem. Przednie grodzie wymagały nieustannej obserwacji. Cały czas naprawiano też instalacje w maszynowni. Pracował tylko jeden kocioł, zapewniając parę dla turbogeneratorów i energię elektryczną. Drugi zbiornik wymagał trwającego przynajmniej dzień remontu. % Zdaniem mechaników główny radar powinien podjąć pracę za cztery godziny. Antena satelitarna była już gotowa. Zanim dotrą do portu – jeśli w ogóle dotrą – załoga miała naprawić wszystko, co jej się uda. Nie miało to wprawdzie większego znaczenia, ale, w myśl starego żeglarskiego porzekadła, załoga, która ma się czym zająć, jest załogą szczęśliwą. Innymi słowy, marynarze, w przeciwieństwie do swego kapitana, nie mieli czasu na jałowe rozmyślania o popełnionych błędach, o ludziach, którzy z powodu tych błędów stracili życie, i o tym, kto jest za to odpowiedzialny.

Morris udał się do centrum informacji bojowej. Przeglądano właśnie taśmę i nakresy ze spotkania z victorem.

Próbowano precyzyjnie ustalić, co się właściwie wydarzyło.

–Nie wiem – wzruszył ramionami operator hydrolokatora. – Może były dwa okręty podwodne? Chodzi mi o ten jasny ślad; jest w tym miejscu, a parę minut później aktywny sonar złapał go aż tutaj.

–Był tylko jeden okręt – odparł Morris. – Pokonanie odległości dzielącej te dwa punkty przy prędkości dwudziestu pięciu węzłów mogło mu zająć najwyżej cztery minuty.

–Ależ sir, przecież ani go nie słyszeliśmy, ani nie pojawił się na ekranie. Ponadto, kiedy straciliśmy namiar, kierował się w zupełnie inną stronę.

Sonarzysta ponownie przewinął taśmę.

–No cóż – westchnął Morris i wrócił na mostek.

Ponownie wszystko przetrawiał w myślach. Zdarzenia stawały mu przed oczyma jak żywe. Przeszedł na skrzydło mostka. W metalowych osłonach ziały dziury, a w miejscu, gdzie umarł pierwszy oficer, widniały niewyraźne ślady krwi. Trzeba to zamalować – pomyślał Morris. – Muszę przypomnieć o tym Clarke'owi; niech kogoś wyznaczy.

Morris zapalił papierosa i zapatrzył się w horyzont.

Reydarvath, Islandia

Najbardziej obawiali się helikoptera.

Edwards i jego grupa wędrowali na północny wschód.

Przebyli rejon niewielkich jezior, po godzinnej, bacznej obserwacji sforsowali szutrową drogę i trafili w końcu na moczary. Edwards był zdumiony. Gołe skały, trawiaste łąki, pola lawowe, a teraz bagna. Zastanawiał się, czy Islandia przypadkiem nie była miejscem, gdzie po stworzeniu świata Bóg zostawił wszystko, co było już Mu niepotrzebne.

Najwyraźniej jednak wszystkie drzewa wykorzystał gdzie indziej, toteż jedynym schronieniem mogła być wysoka do kolan, wyrastająca z wody trawa. Musi być bardzo odporna na skoki temperatury – pomyślał Edwards. Niedawnojeszcze na moczarach panował mróz. Było zimno, więc po paru minutach marszu wszyscy mieli przemarzniete stopy.

Mogli wprawdzie iść terenem położonym wyżej, ale on był

kompletnie odsłonięty. Mając więc do wyboru helikopter lub chłód, wybrali to drugie.

Vigdis wprawiła wszystkich w zdumienie swoją kondycją.

Bez słowa skargi szła równym tempem, dotrzymując kroku żołnierzom piechoty morskiej. Typowa wiejska dziewczyna – myślał Edwards. – Od najwcześniejszego dzieciństwa zaprawiana w wędrownkach za stadami owiec i we wspinaczkach po tych sakramenckich pagórkach.

–W porządku, dziesięć minut – zarządził Edwards.

Ludzie natychmiast zaczęli rozglądać się za jakimś suchym miejscem. Wybierali skały. Skały na moczarach? – nie mógł wyjść z podziwu Edwards. Garcia wyciągnął zdobytą na Rosjanach lornetkę i zaczął lustrować okolicę. Smith zapalił papierosa. Edwards zauważył, że Vigdis usiadła obok niego.

–I jak się czujesz?

–Bardzo zmęczona – odparła z lekkim uśmiechem. – Ale mniej niż ty.

–Ach tak – roześmiał się Edwards. – Może więc powinniśmy przyspieszyć kroku.

–Dokąd idziemy?

–Do Hvammsfjórduru. Nie powiedzieli po co. Przed nami jeszcze cztery lub pięć dni marszu. Musimy się trzymać z dala od dróg.

–Ze względu na mnie?

–Ze względu na nas wszystkich – potrząsnął głową.

–Nie chcemy już z nikim walczyć. Zbyt wielu w okolicy Rosjan, by bawić się w partyzantkę.

–A więc... więc nie stanowią dla was ciężaru? – spytała Vigdis.

–Pewnie że nie. Jest nam nawet miło, że z nami wędrujesz. Kto nie chciałby włóczyć się po kraju w towarzystwie pięknej dziewczyny – odparł z galanterią porucznik.

Po diabła to mówię? – pomyślał.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

–Ciągle uważasz, że jestem piękna? Po tym... po tym...

–Może gdyby rozjechała cię ciężarówka... tak, jesteś

bardzo ładna. I nic tego faktu nie zmieni. Nie twoja wina, że przytrafiło ci się to, co ci się przytrafiło. Jeśli nawet nastąpiła jakaś zmiana, to w tobie, w środku; nie na zewnątrz. I wiem, że komuś się podobasz.

–Masz na myśli dziecko? Mylisz się. On znalazł już sobie inną dziewczynę. Ale to przecież nieistotne. Wszystkie moje przyjaciółki mają dzieci – wzruszyła ramionami.

Kawał głupiego skurwysyna – pomyślał Edwards.

Wiedział, że na Islandii nieślubne pochodzenie nie jest niczym haniebnym. Skoro nie używa się tu nawet nazwisk – większość wyspiarzy nosi imię rodowe – trudno orzec, czy dziecko pochodzi ze związku formalnego, czy nie.

Ponadto Islandczyków nic to nie obchodzi. Młode, niezamężne dziewczęta mają dzieci, dbają o nie i to wszystko.

Ale żeby porzucić taką dziewczynę...

–No cóż,, jeśli chodzi o mnie, nie spotkałem w życiu istoty ładniejszej od ciebie.

–Naprawdę?

Edwards musiał oddać dziewczynie sprawiedliwość. Choć miała brudne, potargane i przepocone włosy, a twarz i ubranie zakurzone oraz pokryte błotem, to gorąca kąpiel w minutę zrobiłaby z niej ponownie najśliczniejsze stworzenie pod słońcem. Ale na urodę w dużej mierze wpływa to, co człowiek ma w środku; a to dopiero Edwards zaczął w Vigdis poznawać.

Przesunął dłonią po jej policzku.

–Każdy, kto stwierdziłby, że jest inaczej, wyszedłby na głupka.

Odwrócił się na dźwięk kroków sierżanta Smitha.

–Poruczniku, jeśli nie chcemy, by nam nogi zesztyniały do końca, musimy ruszać.

–W porządku. Chciałbym teraz przebyć jednym skokiem jakieś trzynaście, piętnaście kilometrów. Po drugiej stronie gór spotkamy drogi i wiele farm. Zanim tam pójdziemy, musimy sobie to wszystko dobrze obejrzeć.

Stamtąd też połączymy się z Brytanem. ^ – Jasne, szefie. Rodgers, prowadź. Skręć trochę bardziej na zachód.

Bodenburg, Republika Federalna Niemiec Posuwanie się w głąb terytorium wroga nie było wcale rzeczą prostą. Dowódca 8. Gwardyjskiej Armii, podobnie jak Aleksiejew, uważał, że powinien znajdować się jak najbliżej pola walki. Dlatego też główny punkt dowodzenia przeniesiono na pierwsze linie. Przeprowadzka zajęła około czterdziestu minut i odbyła się transporterami opancerzonymi – podróż helikopterem była zbyt ryzykowna. Podczas tej krótkiej eskapady Aleksiejew był świadkiem dwóch wściekłych ataków lotnictwa Paktu Atlantyckiego na rosyjskie kolumny.

Do akcji włączyły się niemiecko-belgijskie posiłki, a nasłuch radiowy donosił, że w drodze są również jednostki amerykańskie i brytyjskie. Aleksiejew też pchnął do walki dodatkowe siły. To, co na początku wydawało się być względnie prostym zadaniem dla zmotoryzowanej dywizji piechoty, przekształciło się w zaciętą, przedłużającą się bitwę. Generał potraktował to jako dobry znak. NATO nie przysłałoby posiłków, gdyby nie uznało sytuacji za groźną.

Rosjanie musieli zatem osiągnąć swój cel, zanim przeciwnik wprowadzi do gry kolejne jednostki.

Dowodzący 20. Gwardyjską Dywizją Czołgów generał pojawił się na posterunku bojowym, który mieścił się w budynku szkoły średniej. Była to niedawno postawiona, bardzo przestronna budowla. W niej, do czasu wykopania podziemnego schronu, rozlokowało się naczelne dowództwo. Tempo ataku spadło. Spowodował to zarówno dziki opór Niemców, jak i trudności komunikacyjne i transportowe.

–Prosto szosą na Sack – oświadczył czołgście dowódca 8. Gwardyjskiej Armii. – Do waszego przybycia moja piechota zmotoryzowana oczyści już teren.

–Stamtąd do Alfeld zostaną jeszcze cztery kilometry.

Kiedy zaczniemy forsować rzekę, musicie zapewnić nam wsparcie – generał dywizji czołgów nałożył hełm i wyszedł.

Powinno się udać – pomyślał Aleksiejew. Nie mieściło mu się wprost w głowie, że ten generał

zdołał dostarczyć na linię frontu jednostkę w idealnym niemal porządku.

W chwilę potem rozległ się potworny huk. Zadrzały w oknach szyby, a Aleksiejewowi na głowę posypał się z sufitu tynk. To znów pojawił się "diabelski krzyż".

Aleksiejew wybiegł na zewnątrz. Ujrzał tuzin płonących transporterów opancerzonych. Z jednego z czołgów T-80 wyskakiwała w popłochu załoga. W sekundę później, kiedy płomień dotarł do komory z amunicją, pojazd eksplodował słupem ognia, zamieniając się w niewielki wulkan.

–General zginął... generał zginął! – krzyczał sierżant, wskazując transporter opancerzony BMD, z którego nikt nie uszedł z życiem.

Stojący za Aleksiejewem dowódca 8. Gwardyjskiej Armii zaczął kłąć.

–Komendę nad dywizją czołgów przejmie jego zastępca, pułkownik – krzyknął głośno.

Paweł Leonidowicz podjął błyskawiczną decyzję.

–Nie, towarzyszu generale. A co ze mną?

Zaskoczony dowódca gapił się na niego przez chwilę, po czym przypomniał sobie, że, podobnie jak jego ojciec, Aleksiejew cieszył się opinią wyśmienitego dowódcy czołgów. Generał zdecydował się szybko. – 20. Dywizja należy do was. Zadanie znacie.

Podjechał kolejny wóz bojowy piechoty. Aleksiejew i Siergietow bez chwili zwłoki wskoczyli do środka i kierowca ruszył w stronę punktu dowodzenia jednostką. Jazda zajęła pół godziny. Między drzewami Aleksiejew ujrzał sylwetki czołgów. Gdzieś w pobliżu spadła kolejna seria pocisków artyleryjskich, ale generał nie zwrócił na to uwagi. Dowódcy pułków już na niego czekali. Aleksiejew bez zbędnych słów szybko wydał stosowne rozkazy, po czym ustalono limity czasowe. Wszyscy tu znali już swoje zadania, co dobrze świadczyło o generale, który przed godziną stracił życie. Dywizja była wyśmienicie przygotowana, zaś plan ataku szczegółowo opracowany. Aleksiejew w mgnieniu oka pojął, że dysponuje wspaniałym sztabem.

Natychmiast też zorganizował mu pracę, natomiast dowódcy poszczególnych oddziałów rozbiegli się do swoich pułków.

Jego pierwsze stanowisko dowodzenia mieściło się pod

osłoną rozłożystego drzewa. Aleksiejew uśmiechnął się pod nosem; nawet jego ojciec nie wybrałby lepszego miejsca.

Odnalazł oficera wywiadu.

–Jaka sytuacja?

–Na drodze na wschód od Sack kontratakują batalion niemieckich czołgów. Myślę, że już je powstrzymano.

W każdym razie wysłaliśmy za nimi na południowy zachód transportery opancerzone. Nasza piechota zmotoryzowana jest już w mieście. Donoszą tylko o niewielkim oporze.

Pozostałe oddziały powinny tam być w ciągu godziny.

–A obrona przeciwlotnicza?

–Tuż za pierwszą grupą wojska posuwają się wyrzutnie SAM-ów i ruchome działa przeciwlotnicze. Mamy też obiecaną osłonę powietrzną. Dwa pułki migów-21 czekają na nasz znak. Nie przyznano nam tylko myśliwców nurkujących. Dziś rano poniosły zbyt duże straty. Ale przeciwnik też. Do południa zestrzeliliśmy dwanaście maszyn NATO.

Aleksiejew skinął głową i, jak już nauczyło go doświadczenie, podaną liczbę podzielił przez trzy.

–Wybaczcie, towarzyszu generale. Jestem pułkownik Popow, oficer polityczny waszej dywizji.

–Wspaniale, towarzyszu pułkowniku. Mam nadzieję, że przeżyję i wypełnię swoje obowiązki wobec Partii do końca.

Jeśli macie coś istotnego do powiedzenia, mówcie szybko!

W tej chwili akurat ^ampolita Aleksiejew potrzebował najmniej.

–Po zdobyciu Alfeld...

–Jeśli Alfeld zdobędziemy, podaruję wam klucze do miasta. A na razie mam jeszcze inne sprawy na głowie.

Odmeldujcie się.

Chciał pewnie prosić o zezwolenie na egzekucję ewentualnych faszystów – pomyślał Aleksiejew. Jako czterogwiazdkowy generał nie mógł lekceważyć oficerów politycznych, ale mógł ewentualnie ignorować wszystkich niższych rangą od generała.

Zbliżył się do stołu z mapami taktycznymi. Po jednej stronie porucznicy ciągle nanosili strzałkami znaczące poCZERWONY SZTORM • 27 stępy jego – jego – jednostek. Po drugiej oficerowie wywiadu naznaczali wszelkie zmiany zachodzące na pozycjach wroga. Położył dłoń na ramieniu oficera operacyjnego.

–Tuż za piechotą zmotoryzowaną puścicie prowadzący pułk. Jeśli potrzebna będzie jakaś pomoc, natychmiast jej udzielić. • Chcę przełamać front i to chcę przełamać go dzisiaj. Co z

artylerią?

–Dwa bataliony ciężkich dział w pełnej gotowości. – Świetnie. Jak tylko piechota poda namiary, niech uderzają. Nie ma czasu na ceregiele. Pakt Atlantycki wie, że tu jesteśmy, więc głównym naszym wrogiem jest czas.

Czas pracuje dla nich, nie dla nas.

Oficer operacyjny i dowódca artylerii wyszli ramię w ramię i dwie minuty później odezwały się stu pięćdziesięciopięćmilimetrowe działa. Aleksiejew postanowił wystąpić o pośmiertne odznaczenie dowódcy 20. Dywizji Czołgów. Człowiek ten w pełni zasłużył na nagrodę za ład i dyscyplinę, jakie wprowadził w podległej sobie formacji.

–Atak nieprzyjacielskiego lotnictwa – odezwał się znad mapy oficer.

–Z lasu na wschód od Sack wyjeżdżają nieprzyjacielskie czołgi w sile mniej więcej jednego batalionu. Mają silne wsparcie artyleryjskie.

Aleksiejew wiedział, że teraz już wszystko spoczywa w rękach jego pułkowników i musi im ufać. Czas, kiedy generał mógł ogarniać spojrzeniem całą bitwę i wszystko kontrolować, dawno minął. Oficerowie sztabowi nieustannie nanosili na mapę swe maleńkie znaczki. Niemcy powinni teraz poczekać – pomyślał generał. Powinni przepuścić czołówki atakującej dywizji i zaatakować linie zaopatrzenia. To była głupota; Aleksiejew po raz pierwszy zetknął się z niemieckim dowódcą popełniającym błąd taktyczny. Był to zapewne młody oficer, który zajął miejsce zabitego lub ранego dowódcy. Albo po prostu miał w pobliżu rodzinny dom. Bez względu na przyczynę stanowiło to poważny błąd i Aleksiejew zamierzał bezlitośnie go wykorzystać. Dwa pierwsze pułki czołgów poniosły straty, ale w ciągu dziesięciu szaleńczych minut zmiotły ze swej drogi kontratakujących Niemców.

–Jeszcze dwa kilometry; pierwsze oddziały są już tylko dwa kilometry od Sack. Bije tylko artyleria nieprzyjacielska.

Widzimy już kolejne nasze oddziały. Piechota z Sack informuje o niewielkim oporze. Wysłany zwiad donosi, że droga do Alfeld stoi otworem.

–Ominąć Sack – rozkazał Aleksiejew. Naszym celem jest Alfeld nad Leiną.

Alfeld, Republika Federalna Niemiec Była to jednostka zebrana w pośpiechu. Amerykańska piechota zmotoryzowana i oddział czołgów z brytyjskiej brygady wzmocnił niedobitki Niemców i Belgów, którzy tego dnia stawili czoło pięciu dywizjom sowieckim. Czasu było niewiele. Saperzy, używając opancerzonych buldożerów, gorączkowo szykowali osłony dla czołgów, a żołnierze piechoty kopali stanowiska dla wyrzutni pocisków przeciwpancernych. Pierwszym ostrzegawczym znakiem była chmura kurzu na horyzoncie. W ich stronę sunęła dywizja rosyjskich czołgów, a przecież nie zakończono jeszcze ewakuacji ludności cywilnej z miasteczka. Trzydzieści kilometrów na zachód krążyły w powietrzu myśliwce nurkujące;

czekały na sygnał.

–Nieprzyjaciel w polu widzenia – poinformował przez radio obserwator z wieży kościelnej.

W kilka chwil później na radzieckie kolumny spadła nawała artyleryjskiego ognia. Załogi wyrzutni rakiet przeciwczołgowych zdarły pokrowce z urządzeń celowniczych i uzbroiły pociski. Zapowiadało się ciężkie popołudnie.

Challengery z 3. Królewskiego Pułku Czołgów tkwiły w swych okopach, a kanonierzy namierzali odległe cele.

Wypadki toczyły się zbyt szybko i w ogólnym zamieszaniu nie starczyło czasu, by precyzyjnie ustalić zasady kontaktu między poszczególnymi jednostkami. Pierwsi otworzyli ogień Amerykanie. Rakiety TOW-2 pomknęły tuż nad ziemią, wlokąc za sobą przewody niczym pajęczne nici i kierując się w stronę odległych o cztery kilometry czołgów

CZERWONY SZTORM • 29

–Pierwsze nasze czołgi weszły w zasięg rażenia wojsk raketowych wroga – poinformował pochylony nad nakresem oficer.

–Wybijcie nieprzyjaciela do nogi – polecił Aleksiejew dowódcy artylerii.

W niecałą minutę później wielolufowe wyrzutnie rakiet wypełniły niebo smugami dymu i ognia. Na linii walki rozpoczęła się prawdziwa rzeź. Potem włączyła się cała artyleria NATO.

–Pułk prowadzący natarcie poniósł ogromne straty.

Aleksiejew oglądał w milczeniu mapę. Nie było miejsca ani czasu na ruchy pozoracyjne. Jego żołnierze musieli jak najszybciej przedrzeć się przez linie nieprzyjacielskie, by przejąć mosty na Leinie. Znaczyło to ogromne ubytki w jednostkach pierwszego uderzenia. Przełamanie linii frontu było niezwykle kosztowne, ale generał musiał tę cenę zapłacić.

Dwanaście belgijskich myśliwców F-16 przemknęło z prędkością dziewięciuset kilometrów na godzinę tuż nad polem walki i zrzuciło na pierwsze radzieckie kolumny tony bomb. Niecały kilometr przed pozycjami sprzymierzonych zapłonęło nagle trzydzieści czołgów oraz dwadzieścia wozów bojowych piechoty. Samoloty ścigał rój rakiet. Jednosilnikowe myśliwce wykonały raptowny skręt na zachód i pomykając tuż nad ziemią, próbowały uniknąć śmiertelnych pocisków. Trzy stracone maszyny spadły prosto na pozycje Paktu Atlantyckiego, powiększając jeszcze rozmiary jatki czynionej przez rosyjski ogień.

Dowódca angielskich czołgów zrozumiał, że nie zdoła powstrzymać szarży Rosjan. Miał po prostu za mało wozów.

Mimo iż brytyjski batalion wciąż jeszcze był zdolny stawiać opór, postanowił go wycofać.

Poinformował swoje kompanie, by przygotowały się do odwrotu i próbował przekazać wiadomość dalej. Ale walczący pod Alfeld żołnierze pochodzili z czterech różnych armii, mówili innymi językami, a także, dysponowali odmiennymi systemami radiowymi.

Ponadto wcześniej nie starczyło czasu, by ustalić, kto

sprawuje zwierzchnictwo nad całością. Niemcy nie chcieli się cofać. Nie ewakuowano jeszcze całego miasta, więc i niemieccy żołnierze postanowili tkwić na swych pozycjach do chwili, aż ich rodacy będą bezpieczni za rzeką. Brytyjskiego pułkownika posłuchali natomiast Amerykanie i Belgowie. Niemcy zostali. Spowodowało to kompletny chaos na liniach obronnych Paktu Atlantyckiego.

–Obserwatorzy z wysuniętych posterunków donoszą, że nieprzyjaciel opuszcza stanowiska na prawym skrzydle.

Powtarzam, po północnej stronie miasta jednostki wroga wycofują się.

–Natychmiast posłać drugi pułk na północ. Niech zatoczy łuk, a potem, najszybciej jak może, ruszy na te przeklęte mosty. Musimy je zdobyć za wszelką cenę! Wy, towarzyszu oficerze operacyjny, cały czas dociskajcie nieprzyjaciela ogniem. Musimy dopaść go po tej stronie i zniszczyć – rozkazał Aleksiejew. – Siergietow, chodźcie ze mną. Chcę dostać się jak najbliżej pola walki.

Aleksiejew zdawał sobie sprawę, że prowadzący ofensywę pułk został niemal kompletnie wyбитy. Ale to się opłacało.

Siły Paktu Atlantyckiego musiały cofać się przez zrujnowane miasteczko, by dotrzeć do mostów, a będące w rozsypce wojska sprzymierzonych na północnym brzegu rzeki stanowiły dla Rosjan wybawienie. Obecnie, dysponując nietkniętym jeszcze pułkiem, Aleksiejew wyprzedzi uciekającego przeciwnika i przejmie mosty. Tą operacją musiał pokierować osobiście.

Aleksiejew i Siergietow wskoczyli do pojazdu gąsienicowego i ruszyli na południowy wschód, w stronę maszerującego pułku. W opuszczonej przez nich kwaterze oficer operacyjny zaczął wydawać przez radiową sieć dywizji nowe rozkazy.

Na tę okazję czekała zacząjona po drugiej stronie rzeki, w odległości pięciu kilometrów, niemiecka bateria stu pięćdziesięciopięćmilimetrowych dział. Czekala na sygnał specjalistów od nasłuchu radiowego. Jej zadaniem było zniszczyć kwaterę główną dywizji. Artylerzyści natomiast

wprowadzili otrzymane dane do sterujących ogniem komputerów. Kanonierzy ładowali w pośpiechu działa. Wszystkie stanowiska ogniowe skupiły się na tym samym azymucie.

Kiedy bateria oddała salwę, zadrżała ziemia. W ciągu niecałych dwóch minut na kwaterę

główną radzieckiej dywizji spadło sto pocisków. Połowa sztabu zginęła; pozostali w większości byli ranni.

Aleksiejew popatrzył na swoje słuchawki radiowe. Po raz trzeci był o krok od śmierci.

To moja wina – myślał. – Należało cały czas zmieniać pozycje nadajników radiowych. Nie wolno mi więcej tego błędu popełnić... Niech to szlag! Niech to szlag! Niech to jasny szlag!

Na ulicach Alfeld tłoczyły się samochody osobowe. Wszyscy jadący na bradleyach Amerykanie opuścili już miasto, spieszenie dotarli do Leiny, po czym w równym szyku przebyli mosty. Pojazdy zajęły pozycje na ciągnących się tam wzgórzach i przygotowały się do osłony kolejnych przepływających się przez rzekę oddziałów sprzymierzonych. Następni nadeszli Belgowie. Bitwę przetrwała tylko jedna trzecia ich czołgów, które zaraz po przeprawie przez rzekę zajęły południową flankę w nadziei, że zatrzymają Rosjan, zanim ci zdołają sforsować Leinę. Niemiecka Staatspolizei wstrzymała całkowicie ruch cywilny, dając pierwszeństwo jednostkom pancernym; niebawem jednak w pobliżu rzeki zaczęły spadać pierwsze radzieckie pociski artyleryjskie, toteż sytuacja zmieniła się radykalnie. Rosjanie liczyli na to, że powstrzymają przeprawę wojsk Paktu i cel swój osiągnęli. Cywile, którzy zbyt późno zastosowali się do polecenia ewakuacji, płacili za to straszliwą cenę. Radziecki ogień czynił niewielkie szkody transporterom opancerzonym, ale zbierał krwawe żniwo wśród samochodów osobowych i ciężarówek. Po niecałej minucie uliczki Alfeld zablokowane zostały szczątkami płonących aut. Pasażerowie opuszczali w panice pojazdy i nie zważając na kanonadę, biegli w stronę mostów, -blokując drogę zmierzającym w tym samym kierunku czołgom. Maszyny musiałyby torować sobie przejazd po plecach uciekinie32 • TOM CLANCY rów, lecz, choć padły rozkazy by nie zważać na cywilów, żaden z kierowców czołgów nie zastosował się do tych poleceń. Kanonierzy odwracali wieżyczki, kierując lufy do tyłu, w stronę nadjeżdżających Rosjan, których czołgi wchodziły właśnie do miasta. Widok zasłaniały dymy z płonących domów. Na Alfeld spadła kolejna fala armatnich pocisków, zamieniając uliczki miasteczka w rzeźnię pełną skrwawionych ciał żołnierzy i ludności cywilnej.

–A oto i one! – Siergietow wskazał trzy mosty z pasmami autostrad spinające brzegi Leiny.

Aleksiejew zaczął wydawać rozkazy, ale żadne rozkazy nie były potrzebne. Dowódca pułku wcześniej już włączył nadajnik radiowy i skierował batalion czołgów wsparty piechotą w stronę rzeki. Radziecki oddział ruszył ciągle jeszcze nie zablokowaną trasą, której uprzednio użyły amerykańskie bradleye.

Amerykańskie wozy bojowe rozlokowane po drugiej stronie rzeki otworzyły natychmiast ogień z wyrzutni rakietowych oraz lekkich dział, niszcząc pół tuzina czołgów.

Aleksiejew osobiście polecił nakryć artyleryjskim ogniem majaczące po przeciwnej stronie rzeki wzgórze.

W samym Alfeld trwała krwawa, zacięta bitwa. Niemieckie i brytyjskie czołgi ukryte za

rogami domów oraz wrakami samochodów i ciężarówek wycofywały się powoli w stronę rzeki, dając cywilom czas na ucieczkę. Rosyjska piechota próbowała prowadzić ostrzał raketowy, ale sterujące pociskami przewody zrywały się wśród gruzu zalegającego ulice, toteż w większości przypadków pozbawione kierunkujących impulsów rakiety wybuchały nie czyniąc nikomu krzywdy. Stopniowo nawała ognia Rosjan i Paktu Atlantyckiego zamieniała miasteczko w stos ruin.

Aleksiejew obserwował żołnierzy zbliżających się do pierwszego mostu.

Na południe od stanowiska Aleksiejewa dowódca prowadzącego szturm pułku kłął jak szewc, widząc ogromne straty, jakie ponosi jego jednostka. Zniszczono mu ponad

połowę czołgów i transporterów opancerzonych. Zwycięstwo miał prawie w kieszeni i oto nieoczekiwanie jego żołnierzy zatrzymały nieprzejezdne ulice oraz morderczy ogień przeciwnika. Widząc, że czołgi NATO powoli się wycofują, rozwścieczony, wezwał wsparcie artyleryjskie.

Aleksiejew był zaskoczony, kiedy artyleria przeniosła ogień z centrum miasteczka na brzegi rzeki. W czymś w rodzaju szoku skonstatował, że nie są to zwykle pociski armatnie lecz rakiety. Na jego oczach brzeg rzeki spowiły tumany kurzu. Potem pociski wybuchały w wodzie. Ogień rósł w miarę, jak do akcji włączały się kolejne wyrzutnie; nie było już sposobu, by je powstrzymać. Pierwszy poszedł najdalszy most. Trzy rakiety trafiły w niego jednocześnie i budowla rozpadła się niczym domek z kart. Aleksiejew ze zgrozą obserwował, jak ponad sto osób cywilnych spada w wodną kipieli. Zgrozą przejmowała go nie śmierć tych niewinnych ludzi, lecz zagłada mostu, którego tak potrzebował. Z kolei dwie rakiety wylądowały na środkowym moście. Konstrukcja wprawdzie przetrwała, ale była zbyt mocno uszkodzona, by mógł przejechać po niej choć jeden czołg. Co za głupcy! Kto wydał rozkaz? Odwrócił się do Siergietowa.

–Wezwijcie jednostki inżynieryjno-techniczne. Na pierwszą linię wysłać oddziały do budowy mostów i amfibie.

Mają absolutny priorytet. Ponadto ściągnąć tu wszystkie wyrzutnie pocisków ziemia-powietrze oraz działa przeciwlotnicze. Ktokolwiek spróbuje zatrzymać je po drodze, zostanie rozstrzelany. Powiadomcie o tym oddziały kierujące ruchem. Wykonać!

Radzieckie czołgi i piechota dotarły do jedyne go mostu, który ocalał. Trzy wozy z piechotą przemknęły po nim na drugi brzeg, by natychmiast dostać się prosto pod ogień Belgów i Amerykanów. Za nimi szarżował czołg T-80, przedarł się na drugą stronę, ale eksplodował trafiony rakieta. Potem pojawił się drugi i trzeci. Oba dotarły do zachodniego brzegu. Wtedy wyłonił się zza ruin domu brytyjski chieftain i ruszył śladem radzieckich pojazdów. 3 – Czerwony sztorm t. II

Zdumiony Aleksiejew obserwował, jak przemyka między dwiema rosyjskimi maszynami, które

nawet go nie zauważyły. Spadł przed nim amerykański pocisk, wzbijając w górę tuman kurzu. Na moście pojawiły się dwa kolejne chieftainy.

Jeden z nich trafiony został pociskiem z T-80. Drugi odpowiedział ogniem i w sekundę później radziecki czołg płonął. Aleksiejew przypomniał sobie właśnie powiastkę z dzieciństwa o dzielnym wieśniaku na moście, kiedy angielska maszyna zniszczyła dwa dalsze rosyjskie czołgi.

W chwilę później sama dostała się pod bezpośredni ostrzał.

Przez most mknęło pięć dalszych radzieckich pojazdów.

Generał podniósł słuchawkę, by połączyć się z kwaterą główną 8. Gwardyjskiej Armii.

–Tu Aleksiejew. Kompania piechoty forsuje Leinę.

Potrzebujemy wsparcia. Dokonaliśmy przełomu. Powtarzam: przełamaliśmy niemiecki front! Proszę o wsparcie lotnicze i o helikoptery celem nawiązania kontaktu bojowego z jednostkami NATO na północ i na południe od mostu 439. Potrzebuję też dwóch pułków piechoty do pomocy w forsowaniu rzeki. Dajcie nam to wsparcie, a o północy drugi brzeg będzie nasz.

–Przyślę wszystko, co mam. Jednostki do budowy mostów już w drodze.

Aleksiejew oparł się o pancierz BMP. Odkręcił korek manierki, pociągnął z niej potężny łyk i obserwował, jak piechota pod morderczym ogniem wspina się na stoki wzgórza. Po drugiej stronie rzeki miał już dwie pełne kompanie. Artyleria sprzymierzonych próbowała właśnie zniszczyć ocalały most. Jeśli mają utrzymać przyczółek dłużej niż kilka godzin, musi przesłać na drugą stronę co najmniej pełny batalion. Dostanę tego skurwysyna, który zniszczył mi mosty – obiecywał sobie w duchu.

–Amfibie i mosty już w drodze, towarzyszu generale – oznajmił Siergietow. – Mają absolutne pierwszeństwo przejazdu, o czym osobiście poinformowałem oficerów kierujących ruchem na tym odcinku. Jadą też dwie baterie SAM-ów. Trzy kilometry stąd zorganizowałem trzy ruchome działa przeciwlotnicze. Powiedzieli, że będą za kwadrans.

–Dobrze – Aleksiejew lustrował przez lornetkę brzegi rzeki.

–Towarzyszu generale, wozy bojowe piechoty mogą przecież pływać. Może spróbujemy sforsować rzekę.

–Popatrz tylko na brzegi, Wania – generał wręczył mu szkła.

Jak okiem sięgnąć, koryto zabezpieczały przed erozją kamienie i beton. Było rzeczą trudną, wręcz niemożliwą, by pojazdy na gąsienicach zdołały sforsować taką przeszkodę.

Niech cholera weźmie tych Niemców!

–Ponadto do tego zadania potrzeba co najmniej pułku.

Most jest wszystkim, co mamy, ale długo to on nie postoi.

W najlepszym przypadku nowy postawimy nie wcześniej niż w kilka godzin. Do tego czasu nasze jednostki, które przedarły się na tamtą stronę, muszą radzić sobie same.

Doślemy im mostem maksymalną liczbę żołnierzy, po czym wzmocnimy jeszcze transporterami z piechotą, które niebawem nadejdą. Książki uczą, że takiego ataku należy dokonywać za pomocą wozów bojowych, po ciemku i przy postawionej zasłonie dymnej. Nie chcę czekać do nocy, a ponadto potrzebuję prawdziwego wsparcia artyleryjskiego, a nie festiwalu zimnych ogni. Musimy postąpić wbrew regułom, Wania. Na szczęście książki zezwalają na to.

Bardzo dobrze się spisaliście, Iwanie Michajłowiczu. Od tej chwili jesteście majorem... nie, nie, nie dziękujcie. Zasłużyliście sobie na to sami.

Stornoway, Szkocja – Niewiele brakowało. Gdybyśmy dostrzegli ich pięć minut wcześniej, stracilibyśmy kilka maszyn. A tak... – pilot tomcata wzruszył ramionami.

Toland skinął głową. Myśliwce miały rozkaz trzymać się poza zasięgiem radzieckich radarów.

–Wie pan, to zabawne. Trzy z nich leciały w ciasnym szyku. Wyśledziłem je za pomocą kamery telewizyjnej z odległości pięćdziesięciu mil. W żaden sposób nie mogły wykryć naszej obecności. Gdybyśmy tylko mieli więcej

paliwa, gonilibyśmy je aż do bazy. Takie figle płatali nam kiedyś Niemcy; kiedy formacja wracała z nalotu, posyłali za nią samolot, który bombardował lądujące maszyny.

–Nigdy nie przedrzemy się przez ich systemy rozpoznawania swój-wróg.

–To prawda, ale przecież znamy termin ich powrotu do bazy z dokładnością do... ee... dziesięciu minut. Ta informacja może okazać się niezwykle użyteczna.

Komandor Toland odstawił filiżankę.

–Ma pan świętą rację.

Postanowił przekazać tę wiadomość dowódcy floty wschodnioatlantyckiej.

Lammersdorf, Republika Federalna Niemiec Nie było wątpliwości. Linie obronne Paktu Atlantyckiego na południe od Hanoweru zostały definitywnie przerwane.

Z bardzo szczupłych sił rezerwowych NATO przesłano do Alfeld dwie brygady. Jeśli nie uda się wypełnić tej luki, Hanower będzie stracony; a wraz z nim całe Niemcy leżące na wschód od Wezery.

REMEDIA

Alfeld, Republika Federalna Niemiec Jak przewidział generał, most nie przetrwał nawet godziny. W tym czasie jednak Aleksiejew zdążył przesłać na drugi brzeg batalion zmechanizowanej piechoty. Potem wojska sprzymierzonych przypuściły na przyczółek dwa wściekłe ataki, ale rozlokowane na wschodnim brzegu rosyjskie czołgi zaczęły odpierać je bezpośrednim ogniem.

Teraz NATO zaczerpnęło drugi oddech i zmobilizowało artylerię. Na przyczółek i zgromadzone po radzieckiej stronie czołgi spadła lawina ognia. Sprawę niebywale pogarszał fakt, że zdążające rzeką do Alfeld łodzie desantowe utknęły pod Sack w straszliwym korku. Ciężkie działa niemieckie zasypywały drogę i okolice gradem min artyleryjskich, które najechane mogły rozerwać gąsienicę czołgu lub pourywać koła w ciężarówce. Drogi więc patrolowali nieustannie saperzy, którzy za pomocą ciężkich karabinów maszynowych detonowali te miny, ale po pierwsze, zabierało to cenny czas, a po drugie, nie wszystkie pociski znajdowali i o ich obecności świadczyły dopiero eksplozje pod ciężko załadowanymi ciężarówkami. A przecież strona radziecka straciła już wystarczającą ilość czołgów i transporterów. Sytuację pogarszały nieustanne zatory na drogach, jakie tworzyły się przy każdym zniszczonym czołgu czy wozie bojowym.

Aleksiejew urządził sobie kwaterę w sklepie z artykułami fotograficznymi, którego okna wychodziły na rzekę. Szyb w witrynach oczywiście dawno już nie było, a przy każdym kroku pod butami chrzęściło szkło. Generał skierował wzrok na przeciwległy brzeg, z bólem serca obserwował rozpaczliwe ataki swych żołnierzy próbujących przedrzeć

się przez rozlokowane na wzgórzach linie piechoty i czołgów nieprzyjaciela. Z tyłów podciągnano już wszystkie ruchome działa, które znajdowały się w posiadaniu 8. Gwardyjskiej Armii. Zapewnić miały wsparcie ogniowe dywizji rosyjskich czołgów oraz zrównoważyć nawalę artyleryjską Paktu Atlantyckiego.

–Uwaga, nalot! – krzyknął porucznik.

Aleksiejew uniósł głowę i ujrzał na niebie czarny punkcik, który błyskawicznie urósł do rozmiarów niemieckiego myśliwca F-104. Żółte smugi ognia z działa przeciwlotniczego trafiły maszynę, strącając ją z nieba, zanim zdążyła zrzucić bomby. Natychmiast jednak pojawił się kolejny myśliwiec, który ogniem z działek pokładowych zniszczył ruchome stanowisko przeciwlotnicze. Aleksiejew klął z pasją, obserwując, jak jednosilnikowy samolot zrzuca dwie bomby po przeciwnej stronie rzeki. Bomby opadały wolno na swych niewielkich spadochronach i, kiedy były jeszcze dwadzieścia metrów nad ziemią, wypełniły powietrze mgłą.

Aleksiejew padał właśnie plackiem na podłogę sklepu, kiedy zapalnik na mieszankę powietrzną detonował pociski.

Fala wybuchu była straszliwa. Pękła wielka gablota wystawowa, zasypując generała ulewą

potrzaskanego szkła.

–Co to było? – wrzasnął ogłuszony eksplozją Siergietow. Spojrzał na przełożonego. – Zostaliście trafieni, towarzyszu generale!

Aleksiejew przytknął dłonie do twarzy. Kiedy je odjął, palce miał czerwone. Palily go oczy, więc wylał na twarz menażkę wody, by zmyć z oczu krew.

Major Siergietow bandażował czoło generała jedną ręką.

Aleksiejew natychmiast to zauważył.

–A wam co się stało?

–Upadłem na to cholerne szkło! Proszę się nie ruszać, towarzyszu generale. Krwawicie jak zarzynana krowa.

Pojawił się generał-porucznik, w którym Aleksiejew rozpoznał Wiktora Bieriegowoj, zastępcę dowódcy 8.

Gwardyjskiej Armii.

–Towarzyszu generale, macie rozkaz wracać do kwatery głównej. Jestem tu, by was zastąpić.

–Ach, idźcie do diabła! – ryknął Aleksiejew.

–To rozkaz głównodowodzącego Zachodnim Teatrem wojny, towarzyszu. Jestem generałem broni pancernych i poradzę sobie. Jeśli wolno, to powiem tylko, że spisaliście się tu wyśmienicie. W tej chwili jednak potrzebni jesteście gdzie indziej.

–Najpierw skończę, co zacząłem tutaj.

–Towarzyszu generale, aby sforsować rzekę, potrzebujemy posiłków. Kto lepiej je zorganizuje, wy czy ja? – zapytał rozsądnie Bieriegowoj.

Aleksiejew sapnął ze złości. Ten człowiek miał rację – ale Paweł Leonidowicz po raz pierwszy w życiu prowadził ludzi do walki – naprawdę prowadził! I spisał się dobrze. Tak, Aleksiejew o tym wiedział – spisał się dobrze.

–Nie ma zresztą czasu na spory. Wy macie swoje zadania, a ja swoje – dodał zdecydowanym tonem Bieriegowoj.

–Sytuację znacie?

–Znam, znam. Całkowicie. Transporter już czeka.

Odwiezie was do kwatery głównej.

Aleksiejew, przyciskając do czoła koniec bandaża – Siergietow nie potrafił jedną ręką dobrze nałożyć opatrunku – ruszył na zaplecze sklepu. Tam, gdzie znajdowały się drzwi, ziała teraz wielka dziura po wyrwanej futrynie. Na zewnątrz czekał BMD z pracującym silnikiem. W środku był już lekarz, który natychmiast nachylił się nad Siergietowem. Pojazd oddalał się, cichły odgłosy bitwy.

Był to najbardziej ponury dźwięk, jaki Aleksiejew w życiu słyszał.

Langley, baza lotnicza, Wirginia Nic nie mogło sprawić lotnikowi większej radości niż odznaczenie oficerskim krzyżem lotniczym Distinguished Flying Cross. Zastanawiała się, czy zostanie pierwszą w siłach powietrznych Stanów Zjednoczonych kobietą, którą udekorują tym orderem. A jeśli nie, to mogą się wypchać – rozmyślała major Nakamura.

Nicznym skarb przechowywała kasetę wideo z nagraniem na niej przez kamery sprzężone z działkami myśliwca walką z trzema badgerami. Pewien lotnik z marynarki, którego spotkała w Anglii tuż przed odlotem do Stanów, oświadczył, że jak na niedojdę z sił powietrznych jest cholernie dobrym pilotem. Odparła mu na to, że gdyby tępaki z lotnictwa morskiego jej posłuchali, nie mieliby tych wszystkich jaj z bazą lotniczą. Zdecydowany punkt dla major Amelii Nakamury z sił powietrznych Stanów Zjednoczonych – pomyślała z satysfakcją.

Dostarczyli do Europy już wszystkie F-15, które były do dostarczenia i teraz czekało ją nowe zadanie. Z samolotów wchodzących w skład 48. Dywizjonu Myśliwców Przechwytyjących Eagle w Langley zostały zaledwie cztery.

Wśród pilotów tych maszyn znaleźli się tylko dwaj, którzy posiadali kwalifikacje do operowania raketami antysatelitarnymi AS AT. Gdy Nakamura się o tym dowiedziała, natychmiast zgłosiła telefonicznie dowództwu lotnictwa kosmicznego, że jest pilotem myśliwców Eagle oraz że przeszła szkolenie w zakresie obsługi AS AT. Stwierdziła też, że nie ma sensu zawracać głowy pilotom bojowym, skoro ona doskonale może ich zastąpić.

Sprawdziła ponownie, czy groźna rakietka jest właściwie przytwierdzona do kadłuba samolotu. Broń wyciągnięto ze strzeżonego pilnie magazynu i zespół ekspertów jeszcze raz gruntownie ją zbadał. Buns potrząsnęła głową. Tak naprawdę, to przeprowadzono tylko jedną prawdziwą próbę z tym systemem; potem przyszło moratorium i cały program poszedł do lamusa. Próba dała wprawdzie wynik pozytywny, niemniej to tylko jedna próba. Ale major była dobrej myśli.

Marynarka naprawdę potrzebowała pomocy niedojdów z sił powietrznych. Poza tym, tamten pilot A -6 był naprawdę miłym chłopcem.

Major zakończyła oględziny, którymi chciała zabić czas – jej cel nie pojawił się jeszcze nad Oceanem Indyjskim – po czym wspięła się do kabiny eagle'ay przebiegła wzrokiem wskaźniki, sprawdziła dłonią każdą dźwignię, poprawiła fotel, a na końcu wprowadziła do systemów nawigacji

inercyjnej cyfry wymalowane na ścianie jej hangaru, by myśliwiec wiedział, dokąd ma wrócić. Uporawszy się z tym, włączyła silniki. Jej hełm skutecznie tłumił huk dwóch silników Pratt and Whitney. Wskazówki zegarów na tablicy rozdzielczej skoczyły i zajęły właściwe pozycje. Szef obsługi naziemnej dokonał ostatniej lustracji maszyny, po czym dał znak, że można kołować na start. Za czerwoną linią ostrzegawczą stało sześć osób i zasłaniało dłońmi uszy.

Miło mieć audytorium – pomyślała major, ignorując zupełnie obecność oczekujących.

–Eagle Jeden-Zero-Cztery gotów do startu – poinformowała wieżę.

–Jeden-Zero-Cztery, przyjąłem. Masz wolny pas -odparł kontroler z wieży. – Wiatr: dwa-pięć-trzy. Szybkość: dwanaście węzłów.

–Przyjęłam. Jeden-Zero-Cztery kołuje na start.

Buns opuściła osłonę kabiny. Szef obsługi naziemnej stał na baczność i oddawał honory. Major niedbale mu odmachnęła, otworzyła nieco przepustnicę i eagle, niczym kaleki bocian, ruszył w stronę pasa. Minutę później Nakamura była już w powietrzu. Czowała upojenie, kiedy wzbijała śmigłą maszynę prosto w niebo.

Kosmos 1801 kończył właśnie lot w kierunku południowym i nad Cieśniną Magellana zawrócił na północ, kierując się nad Atlantyk. Tor jego orbity przebiegał w odległości około dwustu mil od wybrzeży amerykańskich.

W naziemnej stacji nadzoru technicy przygotowywali się do włączenia potężnego radaru kontroli rejonów morskich.

Byli przekonani, że grupa bojowa amerykańskiego lotniskowca wypłynęła już z portu, ale nie potrafili zlokalizować jej pozycji. Trzy pułki backfire'ów czekały tylko na informację, która pozwoliłaby powtórzyć trik, jaki zastosowały drugiego dnia wojny.

Nakamura ustawiła myśliwiec pod ogonem tiftikowca powietrznego, a operator z wprawą umieścił w tylnej części jej samolotu końcówkę przewodu paliwowego. W ciągu

kilku zaledwie minut do baków myśliwca wtłoczonych zostało pięć ton paliwa. Kiedy major odłączyła maszynę od tankowca, w powietrze popłynęła chmurka rozpylonej benzyny lotniczej.

–Guliwer, tu Jeden-Zero-Cztery – wywołała przez radio.

–Jeden-Zero-Cztery, tu Guliwer – odezwał się natychmiast pułkownik przebywający w przedziale pasażerskim learjeta unoszącego się na wysokości tysiąca trzystu metrów.

–Zatankowałam i jestem gotowa do akcji. Systemy pokładowe sprawne. Krążę w punkcie Sierra. Gotowa do wejścia na pułap przechwytywania. Czekam.

–Przyjąłem, Jeden-Zero-Cztery.

Major Nakamura zatoczyła eagle'em niewielkie koło. Przed wejściem na wielką wysokość nie chciała marnować ani kropli benzyny. Uniosła się nawet lekko w fotelu, co jak na nią było dowodem ogromnego podniecenia, i skupiła uwagę na prowadzeniu maszyny. Kiedy badała wzrokiem wskaźniki, siłą woli musiała uspokajać oddech.

Radary dowództwa lotnictwa kosmicznego namierzyły satelitę, kiedy ten przelatywał nad wybrzuszeniem kontynentu południowoamerykańskiego. Komputery porównały jego kurs i prędkość z posiadanymi danymi, skojarzyły z pozycją myśliwca Nakamury i podały rozwiązanie, które natychmiast przesłano na pokład learjeta.

–Jeden-Zero-Cztery, wejdź na kurs dwa-cztery-pięć.

–Wchodzę – major wprowadziła maszynę w ostry skręt. – Jestem na kursie dwa-cztery-pięć.

–Pogotowie... pogotowie... Zaczynaj!

–Przyjęłam.

Buns otworzyła całkowicie przepustnice i włączyła dopalacze. Eagle, jak dźgnięty ostrogą koń, szarpnął do przodu osiągając w ciągu kilku sekund szybkość jednego macha.

Następnie pilot pociągnięciem drążków ustawiła maszynę pod kątem czterdziestu pięciu stopni i przyspieszywszy jeszcze, pomknęła w mroczniejące niebo. Wzrok wbiła we wskaźniki; ten profil lotu miała utrzymywać przez następne dwie minuty. W miarę, jak myśliwiec piał się w górę, po

cyferblacie przesuwiała się wskazówka altimetru. Szesnaście kilometrów, dwadzieścia, dwadzieścia trzy, dwadzieścia pięć, trzydzieści. Na czarnym niebie pojawiły się gwiazdy, ale Nakamura nawet ich nie zauważyła.

–Dawaj, dziecinko, znajdź skurwysyna – mówiła głośno do maszyny.

W podwieszonym pod samolotem pocisku AS AT włączył się system wyszukujący i zaczął przeczesywać niebo w poszukiwaniu obiektu o charakterystyce cieplnej radzieckiego satelity. Tuż przed nosem Buns, na tablicy rozdzielczej rozbłysło światełko.

–Rakieta namierza cel. Powtarzam: rakieta namierza cel. Systemy automatycznej wyrzutni aktywne. Wysokość trzydzieści jeden tysięcy siedemset metrów... Odchodzi!

Odchodzi!

Poczuła, jak uwolniony od ciężkiej rakiety samolot uniósł się gwałtownie. Pocisk zaczął zrazu spadać swobodnym lotem, a pilot natychmiast zamknęła przepustnice i ciągnąc do siebie drążki

sterownicze, wprowadziła maszynę w pętlę.

Sprawdziła stan paliwa. Lot na dopalaczach pochłonął prawie całą benzynę, ale zostało jej jeszcze na tyle dużo, by bez tankowania wrócić do Langley. Nakamura zawróciła już do domu, kiedy przyszło jej do głowy, że przecież nie obserwowała lotu rakiety. Ale i tak nie miało to żadnego znaczenia. Buns zakręciła na zachód i wprowadziła samolot w łagodny lot nurkowy, który zakończyć się miał u wybrzeży Wirginii.

Na pokładzie learjeta oko kamery śledziło drogę pocisku.

Napędzany paliwem stałym silnik rakiety pracował przez trzydzieści sekund, po czym oddzieliła się od niego głowica bojowa. Czujnik promieniowania podczerwonego osadzony w płaskim czubie pocisku już dawno odnalazł cel. Zainstalowany w radzieckim satelicie reaktor atomowy emitował tak wielką ilość ciepła, że dla wrażliwych instrumentów rakiety było ono niemal tak wyraźne jak energia wydzielana przez słońce. Kiedy już mózg elektroniczny wyliczał drogę przecięcia, zminiaturyzowany pocisk samokierujący zmienił lekko kurs i odległość między głowicą bojową a satelitą

zaczęła się gwałtownie kurczyć. Sputnik mknął na północ z szybkością trzydziestu dwóch tysięcy kilometrów na godzinę. Rakieta – nowoczesny kamikadze – na południe – z prędkością ponad osiemnastu tysięcy. Kiedy...

–Jezu Chryste! – starszy oficer na pokładzie learjeta zamrugał gwałtownie oczyma i oderwał wzrok od ekranu telewizyjnego. Kilkaset kilogramów stali i paliwa ceramicznego zamieniło się w obłok pary. – Trafienie. Powtarzam: trafienie!

Obraz telewizyjny bez przerwy transmitowany był do dowództwa lotnictwa kosmicznego, gdzie radary odtwarzały go na ekranach. W tej chwili wielki satelita był już tylko orbitującą luźno chmurą śmieci.

–Cel zniknął – rozległ się czyjś dużo już spokojniejszy głos.

Lenińsk, Kazachska SRR Zanik sygnału zarejestrowano w kilka sekund po zagładzie satelity Kosmos 1801. Nie zaskoczyło to specjalnie ekspertów radzieckich, gdyż 1801 kilka dni wcześniej wyczerpał już paliwo w sterujących silnikach raketowych i od tego czasu był łatwym celem. Na wyrzutni w kosmodromie bajkonurskim spoczywała kolejna rakieta wynosząca F-1 M. Skrócony cykl odliczania powinien zakończyć się za dwie godziny. Niemniej od chwili zestrzelenia sputnika możliwości wykrywania i lokalizacji amerykańskich konwojów przez radziecką marynarkę zostały poważnie ograniczone.

Langley, baza lotnicza, Wirginia – I jak? – spytała Buns, wyskakując dziarsko z kabiny myśliwca.

–Trafiony. Mamy wszystko na taśmie – odparł oficer, również major. – Coś wspaniałego.

–Jak pan myśli, kiedy pojawi się kolejny?

Jeszcze jeden, a zostanę asem – pomyślała.

–Sądźmy, że następny stoi już na wyrzutni. Dwanaście do dwudziestu czterech godzin. Nie wiemy, ile ich mają.

Nakamura skinęła głową. Siły powietrzne dysponowały jeszcze sześcioma raketami AS AT. Może wystarczy, może nie – jedna jaskółka nie czyni wiosny i pozostałe pociski mogą okazać się zwykłym szmelcem.

Ruszyła do kwatery głównej eskadry na kawę i pączki.

Stendal, Niemiecka Republika Demokratyczna – Niech cię diabli, Pasza – zaklął głównodowodzący Zachodnim Teatrem Wojny. – Nie potrzebuję czterogwiazdkowego zastępcy, który gania po polu bitwy, odgrywając rolę dowódcy dywizji. Popatrz na siebie! O mało ci łba nie rozwalilo!

–Potrzebowaliśmy przełomu. Dowódca czołgów poległ, jego zastępca był zbyt młody, więc musiałem ten przełom załatwić ja.

–A gdzie kapitan Siergietow?

–Major Siergietow – poprawił Aleksiejew. – Jako mój adiutant spisał się znakomicie. Został ranny w rękę i jest u lekarza. Więc co, jakimi siłami możemy wzmocnić

8. Gwardyjską Armię?

Obaj generałowie podeszli do wielkiej mapy.

–Te dwie dywizje czołgów są już w drodze. Pojawią się tu za dziesięć, dwanaście godzin. Jak oceniasz ten przyczółek?

–Mogłoby być lepiej – przyznał Aleksiejew. – Mielśmy przy mostach trzy brygady, ale jakiś bałwan skierował na miasto rakiety i przy okazji zniszczył dwa mosty. Został tylko jeden. Przedarł się po nim na drugą stronę batalion piechoty zmotoryzowanej i trochę czołgów.

Potem Niemcy zniszczyli ten most. Mają potężne wsparcie artyleryjskie, ale kiedy opuszczałem posterunek, nadjeżdżały właśnie nasze łodzie desantowe oraz jednostki do stawiania mostów. Oficer, który mnie zastąpił, postara się jak najszybciej przeprowadzić na drugą stronę.

–A opór przeciwnika?

–Słaby, ale ukształtowanie terenu działa na jego korzyść. Wedle moich wyliczeń dysponuje mniej więcej pułkiem; są to niedobitki różnych jednostek NATO: Trochę czołgów, ale głównie

piechota zmotoryzowana. No i potężna artyleria. Kiedy odjeżdżałem, zaczęli właśnie ostrzelać. Dysponujemy wprawdzie większą siłą ognia, lecz nasze baterie uwięzione są po tej stronie Leiny. Trwa wyścig, czyje posiłki dotrą prędzej.

–Już po twoim odjeździe Pakt Atlantycki przypuścił straszliwy atak powietrzny. Nasi próbują stawić mu czoło, ale wydaje się, że NATO ma przewagę w powietrzu.

–Nie możemy więc czekać do nocy. Nocą ci skurwiele całkowicie panują na niebie.

–Zatem kiedy? Teraz?

Aleksiejew skinął głową, ale myślał o ofiarach, jakie poniesie "jego" dywizja.

–Jak tylko połączymy pontony. Musimy rozszerzyć przyczółek do dwóch kilometrów i odtworzyć mosty. Jakie posiłki jeszcze mogą otrzymać oddziały NATO?

–Nasłuch radiowy twierdzi, że zidentyfikował dwie brygady: angielską i belgijską.

–Przyślą dużo więcej. Dobrze wiedzą, co się stanie, jeśli wykorzystamy obecną sytuację. Mamy w rezerwie 1.

Gwardyjską Armię Czołgów...

–Chcesz zaangażować" połowę naszych rezerw?

–Nie ma lepszego miejsca – Aleksiejew wskazał palcem na mapę. – Atak na Hanower został powstrzymany w pobliżu miasta. Jednostki grupy północnej osiągnęły przedmieścia Hamburga kosztem prawie wszystkich czołgów 3. Armii Uderzeniowej. Przy odrobinie szczęścia 1.

Gwardyjska może wdrzeć się na tyły przeciwnika. A to sprawi, że dotrzemy co najmniej do Wezery; może do Renu.

Głównodowodzący Zachodnim Teatrem Wojny ciężko westchnął.

–To duże ryzyko, Pasza.

Ale z mapy wynikało jasno, że sytuacja nigdzie nie była tak pomyślna jak u nich. Jeśli siły Paktu Atlantyckiego są rzeczywiście tak rozciągnięte i słabe, jak twierdził wywiad,

mieli ogromną szansę przejść. Może faktycznie o to chodziło?

–No dobrze. Zaczynaj działać.

Faslane, Szkocja – Jakimi środkami do zwalczania okrętów podwodnych dysponują? – spytał kapitan USS "Pittsburgh".

–Bardzo poważnymi. Z naszych szacunków wynika, że Iwan posiada dwie potężne grupy bojowe przeznaczone specjalnie do tego celu. Jedna z nich koncentruje się wokół "Kijowa", a druga wokół krążownika typu Kresta. Istnieją ponadto cztery mniejsze grupy, każda złożona z fregaty klasy Krivak i czterech do sześciu fregat patrolowych typu Grisha i Mirka. Do tego dochodzi spora ilość samolotów oraz około dwudziestu okrętów podwodnych, z których połowę stanowią jednostki o napędzie atomowym – odparł prowadzący odprawę oficer.

–Czemu więc nie zostawić Morza Barentsa w spokoju? – mruknął pod nosem Todd Simms z USVS "Boston".

Jest to jakaś myśl – przyznał w duchu McCafferty.

–I mamy tam dotrzeć w siedem dni? – spytał "Pittsburgh".

–Tak. Pozwoli to bez pośpiechu rozpatrzeć wszystkie sposoby dostania się na tamten teren. Kapitanie Little?

Na podium pojawił się dowódca HMS "Torbay". James Little miał prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, szerokie ramiona, a na głowie strzechę potarganych włosów. Wyglądał jak napastnik drużyny piłkarskiej. Mówił głośno i z przekonaniem.

–Od pewnego czasu prowadzimy operację określoną mianem "Rozstrzygający Cios". Jej celem jest dokładne rozpoznanie, jakimi siłami do zwalczania okrętów podwodnych dysponuje Iwan na Morzu Barentsa; no i oczywiście, przy każdej nadarzającej się okazji spuszcza my baty Sowietom, którzy stają nam na drodze – uśmiechnął się.

"Torbay" zatopił już cztery okręty. – Iwan stworzył barierę rozciągającą się od Wyspy Niedźwiedziej aż do

wybrzeży Norwegii. Okolice Wyspy Niedźwiedziej Rosjanie solidnie zaminowali po tym, jak dwa tygodnie temu ich desant powietrzny zajął ten skrawek lądu. Bardziej na południe, o ile się orientujemy, barierę tworzy szereg mniejszych pól minowych, przed którymi czuwają tanga, jednostki o napędzie klasycznym wsparte nawodnymi, lotnictwem i okrętami atomowymi klasy Victor-III. Wygląda na to, że ich celem jest nie tyle niszczenie naszych łodzi podwodnych co ich odstraszenie. Za każdym razem, kiedy któraś z naszych jednostek podwodnych próbuje sforsować barierę, spotyka się z gwałtowną reakcją strony przeciwnej.

To samo dzieje się na Morzu Barentsa. Owe niewielkie grupy stanowią śmiertelne zagrożenie. Osobiście przeżyłem jedno takie spotkanie z krwakiem i czterema grishami.

Dysponowały ponadto stacjonującym na lądzie lotnictwem oraz helikopterami. Mam z tego spotkania wyjątkowo paskudne wspomnienia. Odkryliśmy również kilka nowych pól minowych. Okazuje się, że Sowieci stawiają je prawie na chybił trafił na głębokości stu osiemdziesięciu metrów.

Przygotowują zresztą różne pułapki. Jedna z nich kosztowała nas "Trafalgara"; Iwan postawił niewielkie półko minowe i umieścił w nim generator szumów imitujących do złudzenia idący na chrapach okręt podwodny o napędzie klasycznym, tango. Domyślamy się, że "Trafalgar" zapolował na to tango i w rezultacie władował się na minę. Musicie, panowie, o takich szczegółach cały czas pamiętać – Little umilkł na chwilę, jakby chciał, by wygłoszona przez niego mądrość ugruntowała się w umysłach zebranych.

–W porządku. Macie ruszyć na północ-północ-zachód aż do skraju grenlandzkiego paka lodowego, po czym skierować się wzdłuż jego krawędzi aż do rowu Svyataya Anna. Za pięć dni trzy nasze okręty podwodne w asyście samolotów ASW\ kilka myśliwców narobią sporego rabanu przy barierze Wyspa Niedźwiedzia – Norwegia. Powinno to przykuć uwagę Iwana, który przesunie na zachód swe siły morskie szybkiego reagowania. W tym momencie ruszycie na południe ku swemu celowi. Naturalnie to droga okrężna, ale dzięki temu będziecie mogli przez większość

czasu używać sonarów holowanych, a wzdłuż granicy lodu pływającego posuwać się względnie szybko bez ryzyka wykrycia.

McCafferty zastanawiał się przez chwilę. W pobliżu paka lodowego miliardy ton ruchomego lodu zawsze powodują straszliwy hałas.

–HMS "Sceptre" i HMS "Superb" przeprowadziły już tam rekonesans, napotykając nieliczne tylko patrole. Ponadto namierzyły dwa tanga. Niestety, nasi chłopcy mieli rozkaz tylko obserwować i nie angażować się w żadne akcje.

Stanowiło to dowód, jak niesłychane znaczenie Amerykanie przywiązywali do tej misji.

–Oba okręty będą tam na was czekać. Unikajcie zatem i wy wszelkich akcji zaczepnych.

–A jak tam dopłyniemy? – zainteresował się Simms.

–Najszybciej jak się da. Dwanaście godzin przed wami wypłynie co najmniej jedna jednostka podwodna, która usunie z drogi wszystkie przeszkody, jakie znajdzie. Kiedy osiągniecie już pak lodowy, będziecie musieli radzić sobie sami. Nasi chłopcy doeskortują was tylko do tego miejsca; potem czekają ich inne zadania. Iwan z pewnością wyśle waszym tropem grupy do zwalczania jednostek podwodnych; w tym chyba nie ma nic dziwnego, prawda? Przyciśniemy ich trochę na południe od Wyspy Niedźwiedziej, ale waszą najlepszą bronią będzie szybkość.

Kapitan "Bostona" pokiwał głową. Jego okręt mógł być szybszy niż rosyjska pogoń.

–Czy macie, panowie, jakieś pytania? – zakończył dowódca floty podwodnej na wschodnim Atlantyku. – Nie macie...? Zatem powodzenia. Postaramy się zapewnić wam jak największą pomoc.

McCafferty przejrzał szybko papiery z instrukcjami, po czym schował je do tylnej kieszeni

spodni. "Operacja Doolittle".

Wyszedł w towarzystwie Simmsa. Ich okręty sąsiadowały ze sobą przy pirsie. Jazda do portu trwała krótko. Na "Chicago" ładowano właśnie tomahawki do umieszczonych na ^dziobie wyrzutni. Z "Bostona", który był starszym modelem, musiano usunąć kilka torped, by zrobić miejsce dla rakiet. 4 – Czerwony sztorm t. II

Żaden kapitan podwodnego okrętu nie wpada w radosny nastrój, kiedy zabierają mu z pokładu torpedy.

–Nie martw się. Będę cię osłaniał – pocieszył Simmsa McCafferty.

–Będę niewymownie wdzięczny. Chyba już kończą.

Przyjemnie będzie po powrocie znów napić się piwa – zachichotał Simms.

–Zatem do zobaczenia po powrocie.

Kapitanowie uścisnęli sobie ręce. Minutę później byli już na pokładach swoich jednostek. Czekał ich długi i niebezpieczny rejs.

USS "Pharris" Helikopter Sikorsky Sea King nigdy nie oddalał się zanadto od fregaty, ale tym razem ze względu na rannych złamano przepisy. Dziesięciu najbardziej poszkodowanych marynarzy – poparzonych i połamanych – wsadzono do śmigłowca, który odleciał w stronę lądu. Morris odprowadzał maszynę wzrokiem z pokładu tego, co pozostało z "Pharrisa".

Potem nałożył czapkę i zapalił papierosa. Ciągłe nie wiedział, jak doszło do katastrofy. Zupełnie jakby kapitan rosyjskiego victora teleportował łódź z jednego miejsca na drugie.

–Kapitanie, myśmy zniszczyli trzech takich skurwieli – obok Morrisa pojawił się Clarke. – Może ten po prostu miał szczęście.

–Czyżby czytał pan w cudzych myślach, szefie?

–Przepraszam, nie rozumiem, sir. Prosił pan, bym sprawdził kilka rzeczy. Niebawem pompy uporają się z całą wodą. Mamy w prawej burcie przeciek, przez który wlewa się około dziesięciu galonów na godzinę; to drobnostka.

Grodzie jakoś trzymają, ale cały czas czuwają przy nich ludzie. To samo odnosi się do kabli holowniczych. Ci z "Papago" znajdują się na swojej robocie. Inżynier melduje, że oba kotły już naprawione, ale ciągle jeszcze pracuje tylko jeden. Cały czas działa system Preria/Maska. Sea sparrow jest gotów, lecz radary są ciągle nieczynne.

Morris skinął głową.

–Dziękuję, szefie. A jak ludzie?

–Zapracowani. Harują jak dzicy.

To jedyna pozytywna rzecz, jaka mnie spotyka – pomyślał Morris. – Załoga jest zajęta.

–Jeśli wolno coś powiedzieć, sir, wygląda pan na nieludzko zmęczonego – odezwał się Clarke.

Bosman martwił się o swego kapitana, ale powiedział za dużo.

–Niebawem sobie dobrze wypoczniemy.

Sunnyvale, Kalifornia – Na niebie kolejny ptaszek – poinformował dowódcę północnoamerykańskiej obrony przestrzeni powietrznej oficer dyżurny. – Wystrzelono go z kosmodromu w Bajkonurze i nadano mu kurs jeden-pięć-pięć, co wskazuje na to, że najprawdopodobniej przyjmie nachylenie orbitalne sześćdziesięciu pięciu stopni. Cechy charakterystyczne sugerują, że może to być albo S S-11 ICBM, albo rakieta typu F-1.

–Tylko jeden?

–Owszem, sir. Tylko jeden.

Większość oficerów lotnictwa ogarnął nagły niepokój.

W ciągu czterdziestu, pięćdziesięciu minut nad centralnymi rejonami Stanów Zjednoczonych pojawić się miał pocisk.

Rakieta taka mogła znaczyć wiele rzeczy. Rosyjskie SS-9, podobnie jak ich amerykańskie odpowiedniki, były przestarzałe i przerabiano je na satelitarne rakiety wynoszące.

Ale, w przeciwieństwie do amerykańskich urzędów, pierwotnie przeznaczono je do systemu frakcyjnego bombardowania orbitalnego. Ten pocisk potrafił wynieść na orbitę dwudziestopięciomegatonową głowicę nuklearną, która lecąc już później samodzielnie, do złudzenia przypominała zwykłego, nieszkodliwego satelitę.

–Silnik raketowy umilkł... w porządku, odłączył się; teraz pracuje drugi człon – poinformował przez telefon pułkownik. Rosjanie byliby zdumieni, gdyby wiedzieli, jak precyzyjne są nasze kamery – pomyślał. – Tor pocisku stały. •

Północnoamerykańskie dowództwo obrony powietrznej poinformowało już Waszyngton o niebezpieczeństwie. Jeśli miał nastąpić atak atomowy, naczelne władze państwa powinny zareagować. Wiele z aktualnych scenariuszy przewidywało detonację potężnej głowicy bojowej wysoko nad wybranym krajem. Silne promieniowanie elektromagnetyczne zniszczyłoby systemy łączności. SS-9, który stworzony został do frakcyjnego bombardowania orbitalnego, do tej roli nadawał się znakomicie.

–Odłączył się drugi człon... pracuje trzeci. Macie naszą pozycję?

–Mamy – odparł generał z Cheyenne Mountain.

Sygnaly z satelity wczesnego ostrzegania napływały bezpośrednio do kwatery północnoamerykańskiego dowództwa obrony powietrznej i trzydziestu dyżurnych z zapartym tchem obserwowało na odzworowaniu kartograficznym tor radzieckiej rakiety.

Dobry Boże, nie dopuść, by była to głowica jądrowa...

Obecnie obserwację wrogiego obiektu przejął naziemny radar zainstalowany w Australii. Przekazywał obraz trzeciego członu rakiety, a w chwilę później drugiego segmentu spadającego do Oceanu Indyjskiego. Radar australijski sprzężony był z nadajnikami w Sunnyvale i w Cheyenne Mountain.

–Wygląda na to, że zrzuca osłony – odezwał się ktoś w Sunnyvale.

Obraz radarowy pokazywał, że od trzeciego członu oderwały się cztery obiekty. Prawdopodobnie ochronny całun aluminiowy, konieczny do lotów w atmosferze, ale w przestrzeni kosmicznej stanowiący jedynie zbędne obciążenie. Obserwatorzy odetchnęli z ulgą. Pojazd, który miałby powrócić na Ziemię, potrzebowałby takiej osłony, ale nie satelita. Po pięciu pełnych napięcia minutach przyszła pierwsza dobra wiadomość. Radziecki obiekt nie stanowił elementu systemu frakcyjnego bombardowania orbitalnego.

Pas startowy w bazie lotniczej w Tinker w Oklahomie opuszczał wojskowy samolot RC-135. Silniki przerobionego samolotu pasażerskiego Boeing 707 ziały ogniem,

kiedy maszyna nabierała wysokości. W pomieszczeniu, gdzie w normalnych warunkach podróżowali pasażerowie, zainstalowany był potężny teleskop-kamera, który służył do śledzenia radzieckich pojazdów kosmicznych. W tylnej części samolotu technicy uruchomili skomplikowany system do zestrzajania obwodów nakierowujących kamerę na odległe cele.

–Wypalił się – przekazali wiadomość do Sunnyvale.

–Rakieta osiągnęła szybkość orbitalną. Apogeum wynosi dwieście pięćdziesiąt kilometrów, a perygeum – dwieście trzydzieści.

Wszystkie te dane wymagały jeszcze dokładnego sprawdzenia, ale Waszyngton i dowództwo obrony powietrznej życzyły sobie już teraz podstawowych informacji.

–Jakie są wasze oceny? – zwrócił się do dyżurnych w Sunnyvale dowódca północnoamerykańskiej obrony powietrznej.

–Wszystko wskazuje na to, że wystrzelili radiolokacyjnego rozpoznawczego satelitę morskiego RORSAT. Jediną innowacją jest to, że wziął kurs orbitalny południowy, nie północny.

Dla wszystkich było to jasne. Każdy rodzaj rakiety wystrzelonej nad biegun pociągał za sobą niebezpieczeństwo, którego nikt nawet nie chciał rozważać.

Trzydzieści minut później sytuacja była już klarowna.

Załoga RC-135 uzyskała dokładny obraz radzieckiego satelity. Jeszcze zanim zakończył pierwsze okrążenie, został zakwalifikowany jako RORSAT. Ten nowy zwiadowczy sputnik mógł stanowić poważne zagrożenie dla marynarki, ale nie mógł zagrozić światu.

Ludzie z Sunnyvale i z Cheyenne Mountain trzymali rękę na pulsie.

Islandia Wędrowali ścieżką, okrążając górski masyw. Vigdis objaśniła, że okolice te były ulubionym celem turystów.

Z niewielkiego lodowca po północnej stronie góry brało

początek pół tuzina strumieni, które spływały do rozległej doliny, gdzie ulokowało się wiele małych farm. Mieli wyśmienity, otwarty widok na całą rozciągającą się poniżej, pociętą kilkoma drogami dolinę. Na nich przede wszystkim skupili uwagę. Edwards zastanawiał się, czy po prostu nie przeciąć doliny zamiast wędrować uciążliwym, skalistym bezdrożem po wschodniej stronie.

–Ciekawe, co to za stacja radiowa? – odezwał się Smith, wskazując majaczącą w odległości jakichś trzynastu kilometrów wieżę.

Mikę popatrzył pytająco na Vigdis, ale ta wzruszyła ramionami. Właściwie nigdy nie słuchała radia.

–Z tej odległości trudno cokolwiek wywnioskować – zauważył porucznik. – Ale najprawdopodobniej siedzą tam Rosjanie.

Rozwinął dużą mapę. Informowała, że w tej części wyspy było sporo dróg, lecz wiadomość tę należało traktować ostrożnie. Tylko dwie z nich miały w miarę przyzwoitą nawierzchnię. Pozostałe oznaczono jako "sezonowe" – co to mogło znaczyć? – zastanawiał się Edwards. Niektóre szlaki naniesiono bardzo dokładnie, inne mniej. Ale mapa nie mówiła, które są które. Radzieccy żołnierze jeździli jeepami, a nie lekkimi transporterami, jak miało to miejsce pierwszego dnia wojny. Dobry kierowca, dysponując samochodem z napędem na cztery koła, mógł praktycznie dojechać wszędzie. Czy Rosjanie mieli tak sprawnych kierowców?... Tyle pytań, na które nie ma odpowiedzi – myślał Edwards.

Porucznik zwrócił lornetkę na zachód. Dostrzegł startujący z niewielkiego lotniska dwuśmigłowy samolot pasażerski.

Zapomniałeś o tym, prawda? – zganił się w duchu. – Tych właśnie pudeł Rosjanie używają do przewożenia swego wojska...

Doszedł do wniosku, że powinien jednak zasięgnąć rady fachowca.

–Sierzancie, co pan o tym sądzi? – zapytał.

Smith skrzywił się. Mogli wybierać między fizycznym

niebezpieczeństwem a fizycznym wyczerpaniem. Trudny wybór – pomyślał. – Ale od tego przecież mamy oficerów.

–Ciągłe obserwujemy jakieś patrole, poruczniku. Masa dróg. Na pewno też wiele posterunków obserwacyjnych.

Chcą mieć oko na tutejszych mieszkańców. Tamta radiostacja służy im też zapewne do celów nawigacyjnych. Niewątpliwie jest dobrze strzeżona. Jeśli to nawet zwykła rozgłośnia, też będzie pilnowana. A farmy... panno Vigdis, co to za gospodarstwa?

–Farmy. Owce, trochę krowiego mleka, kartofle – odparła dziewczyna.

–Ruscy zatem, gdy schodzą ze służby, włączą się po okolicy w poszukiwaniu świeżej żywności. Wolą ją niż puszkowane gówno. My też. Bokiem mi już wychodzą te puszki, poruczniku.

Edwards skinął głową na znak, że w pełni się z tym zgadza.

–W porządku, idziemy zatem na wschód. Tylko co z żywnością?

–Zawsze pozostają ryby.

Faslane, Szkocja

Szyk okrętów otwierał "Chicago".

Z portu wyprowadził ich należący do Brytyjskiej Floty Królewskiej holownik. Teraz amerykański okręt podwodny płynął po otwartym morzu z szybkością sześciu węzłów.

Szczęśliwym trafem w satelitarnej sieci radzieckiej powstało "okienko" i najbliższy rosyjski sputnik szpiegowski pojawić się miał dopiero za sześć godzin. Za okrętem McCafferty'ego w dwumilowych odstępach podążały "Boston", "Pittsburgh", "Providence", "Key West" i "Groton".

–Jaka głębokość? – spytał przez interkom McCafferty.

–Sto dziewięćdziesiąt metrów.

A więc już czas. Kapitan polecił obserwatorom opuścić stanowiska i wrócić pod pokład. Za rufą widać było "Bostona"; jego czarny kiosk i podwójne stery głębokościowe ślizgające się nad wodą sprawiały, że wyglądał jak

aniół śmierci. Bo nim jest – pomyślał McCafferty. Dowódca USS "Chicago" zlustrował szybkim spojrzeniem kiosk swego okrętu, po czym zamknąwszy za sobą dokładnie właz, zszedł po drabince. Przebył kolejne osiem metrów i znalazł się w centrum bojowym. Tam zamknął następny luk i dokręcił koło zamka do oporu.

–Okręt zamknięty – oznajmił pierwszy oficer, rozpoczynając długą, oficjalną litanie, która oznaczała, że łódź podwodna gotowa jest do zanurzenia. McCafferty obrzucił wzrokiem tablice rozdzielcze. To samo zresztą, ukradkowo, zrobiło parę innych osób przebywających w centrum bojowym. Wszystko było jak należy.

–Zanurzenie. Głębokość: siedemdziesiąt metrów – polecił McCafferty.

Dało się słyszeć dźwięk przetłaczanej wody i syk powietrza. Lśniący, czarny kadłub okrętu zaczął się zanurzać.

McCafferty jeszcze raz przerzucił w myślach instrukcje.

Siedemdziesiąt cztery godziny do granicy pływającego lodu.

Potem na wschód. Czterdzieści trzy godziny do rowu Svyataya Anna, po czym skręt na południe.

Wtedy zacznie się najgorsze.

Stendal, Niemiecka Republika Demokratyczna Bitwa o Alfeld zamieniła się w żywego potwora pożerającego ludzi i czołgi tak, jak wilk pożera króliki. Aleksiejew był rozdrażniony tym, że musi tkwić dwieście kilometrów od dywizji czołgów, którą to jednostkę zaczął już traktować po trosze jak swoją własność. Nie mógł się jednak głośno skarżyć – to by tylko pogorszyło sprawę. Nowy dowódca doprowadził bowiem do tego, że wojsko rosyjskie sforsowało już rzekę i na drugim brzegu rozlokowały się kolejne pułki piechoty zmotoryzowanej. W tym czasie przez Leinę przerzucono trzy mosty – a raczej czyniono śmiałe próby przerzucenia ich pod morderczym ogniem artylerii Paktu Atlantyckiego.

–Czeka nas decydująca rozgrywka, Pasza – odezwał się głównodowodzący zachodnim teatrem, patrząc na mapę.

Aleksiejew skinął potakująco głową.

Niewielka początkowo bitwa przekształciła się szybko w kluczowe dla losów całego frontu starcie. W kierunku Leiny zbliżały się w przyspieszonym tempie dwie następne dywizje rosyjskich czołgów. NATO wysłało na ten odcinek pola walki trzy brygady i artylerię. Ściągano z innych sektorów myśliwce taktyczne; jedna strona – by zniszczyć przyczółek, druga – by go utrzymać. Ukształtowanie terenu na froncie uniemożliwiało załogom SAM-ów wystarczająco szybkie rozpoznawanie swoich maszyn od samolotów wroga. Rosjanie, którzy dysponowali dużo większą ilością rakiet ziemia-powietrze, zdołali zapewnić samemu Alfeld całkowite

bezpieczeństwo. Każdy pojawiający się w okolicy miasteczka samolot był automatycznie niszczone przez radzieckie rakiety; sowieckie maszyny trzymały się z dala od tego miejsca, koncentrując się wyłącznie na pozycjach nieprzyjacielskiej artylerii i nadchodzących posiłkach. Wszystko przebiegało inaczej, niż zakładała przedwojenna doktryna. Aleksiejew był jednak rad z gry, którą podjął, gdyż uważał, że daje mu ona wielkie doświadczenie frontowe. Wziął lekcję, jakiej nie przerabiał na żadnym z przedwojennych szkoleń: wyżsi dowódcy muszą osobiście obserwować rozwój wypadków. Jak w ogóle mogliśmy o tym zapomnieć? – dziwił się Pasza.

Dotknął palcami bandaża na czole. Cierpiał na okropne bóle głowy, gdyż lekarz musiał założyć mu dwanaście szwów. To bardzo lichej jakości szwy, oznajmił medyk, dodając, że pozostaną po nich wyraźne blizny. Ojciec Aleksiejewa miał kilka podobnych i obnosił się z nimi z dumą. Syn więc też zadowolony był z nowo nabytej ozdoby.

–Masyw ciągnący się na północ od miasta jest nasz – powiadomił przez telefon dowódca 20. Dywizji Czołgów.

–Zepchnęliśmy Amerykanów.

–Kiedy będą mosty? – rzucił Aleksiejew do słuchawki.

–Za pół godziny powinniśmy mieć jeden gotowy.

Ogień artyleryjski przeciwnika słabnie. Zniszczyli jednostkę do stawiania mostów. Zastąpimy ją inną. Batalion czołgów

czeka już na przeprawę. SAM-y spisują się na medal.

Z miejsca, gdzie stoję, widzę wraki pięciu maszyn NATO.

Widzę... – głos generała utonął w potwornym huku.

Aleksiejew bezradnie spojrzał na głuchą słuchawkę.

Zacisnął na niej gniewnie palce.

–Wybaczcie. Spadła bardzo blisko. Dostarczono już ostatni element mostu. Towarzyszu generale, inżynierowie ponieśli wyjątkowo dotkliwe straty i zasługują na szczególne względy. Dowodzący nimi major przez trzy godziny przebywał w zupełnie odsłoniętym miejscu. Rekomenduję go do Złotej Gwiazdy.

–Dostanie.

–To dobrze, to bardzo dobrze... Ostatni element mostu został już zdjęty z ciężarówek i spuszczonej na wodę. Jeśli NATO da nam dziesięć minut spokoju, zakotwiczymy go po drugiej

stronie i natychmiast posyłam czolgi. Kiedy przybędą posiłki?

–Pierwsze oddziały pojawią się tuż po zachodzie słońca.

–Wspaniale. Teraz muszę kończyć. Połączę się, kiedy przez most puścimy jednostki pancerne.

Aleksiejew oddał słuchawkę młodszemu oficerowi; zupełnie jakby słuchał w radiu pasjonującej transmisji z meczu hokejowego!

–Jaki następny cel, Pasza?

–Leżące na północnym zachodzie Hameln. I dalej. Być może uda się odciąć północne grupy wojsk Paktu. Jeśli zaczną wycofywać swe siły z okolic Hamburga, przystąpimy do generalnego szturmu i pogonimy ich aż do kanału La Manche! Myślę, że sytuacja jest taka, o jakiej marzyliśmy.

Bruksela, Belgia W kwaterze głównej NATO oficerowie sztabowi studiowali taką samą mapę i wyciągali takie same wnioski, ale czynili to z dużo mniejszym entuzjazmem. Rezerwy były przerażająco małe. Nie mieli jednak wyboru. Do Alfeld wysłano kolejny kontyngent ludzi i sprzętu.

Panama Był to największy od lat tranzyt okrętów amerykańskiej marynarki wojennej. Po obu stronach każdej śluzy stały ogromne, szare kadłuby, powstrzymując jakikolwiek ruch jednostek płynących na zachód. Panował pośpiech. Pracujących w kanale pilotów przywoziły na okręty i odwoziły do portu helikoptery. Przestały nawet obowiązywać wszelkie ograniczenia prędkości związane z erozją w Gaillard Cut.

Okręty, które musiały uzupełnić paliwo, robiły to w kanale, przy śluzach Gatun. Potem poza granicami zatoki Limon sformowano barierę przeciwko okrętom podwodnym. Tranzyt z Pacyfiku na Atlantyk trwał dwanaście godzin i odbywał się pod nieustanną strażą. Gdy jednostki wypłynęły już na pełne morze, ruszyły na północ z szybkością dwudziestu dwóch węzłów. Cieśninę Zawietrzną miały przebyć nocą.

PODCHODY

Boston, Massachusetts Choć mówi się, że to zapach morza, naprawdę jest to zapach lądu – pomyślał Morris. Wiązało się to z pływami – zapach wszystkiego co żyło, ginęło i gnęło na skraju wody i ziemi odpływ zabierał ze sobą w morze. Aromat ów – tak miły dla każdego żeglarza – oznaczał, iż ląd, port, dom, rodzina są już na wyciągnięcie ręki. Ale z drugiej strony to wszelkie te wonie skutecznie zabijał lizol.

Morris obserwował, jak "Papago" skraca hol, by móc łatwiej manewrować uszkodzonym okrętem w ciasnej przestrzeni portu. Potem zjawily się trzy holowniki, które rzuciły na pokład fregaty własne liny. Kiedy już je zacumowano, "Papago" ściągnął swoje liny i odpłynął w górę rzeki. Musiał uzupełnić paliwo.

–Dobry wieczór, kapitanie – na pokład jednego z holowników wyszedł pilot. Wyglądał na kogoś, kto od pięćdziesięciu lat wprowadzał i wyprowadzał statki z bostońskiego portu.

–Też pana witam, kapitanie – odparł Morris.

–Widzę, że zatopiliście trzy rosyjskie okręty.

–Tylko jeden. Przy pozostałych dwóch asystowaliśmy.

–Od jakiej głębokości możecie obserwować głębię?

–Poniżej ośmiu metrów... już nie – musiał poprawić się kapitan. Kopuła ich sonaru spoczywała na dnie Atlantyku.

–To dobrze, że przyprowadził pan okręt do portu, kapitanie – powiedział pilot. – Moja łajba nie przetrwała.

Pana chyba jeszcze nie było wtedy na świecie. "Callaghan", siedem dziewięćdziesiąt dwa. Byłem asystentem oficera artylerii i obsługiwałem działo przeciwlotnicze. Straciliśmy

dwanaście japońskich maszyn, ale tuż po-północy nadleciał trzynasty kamikadze i trafił w nas. Czterdziestu siedmiu ludzi... no cóż...

Pilot wyjął z kieszeni radiotelefon i połączył się z holownikami, które zaczęły popychać "Pharrisa" w stronę pirsu.

Choć fregata znajdowała się już przed średniej wielkości suchym dokiem, Morris spostrzegł, że wcale tam nie płyną.

–Nie do. suchego? – zapytał gniewnie, zaskoczony tym, że jego okręt umieszczony zostanie w zwykłej przystani.

–Mamy drobne kłopoty techniczne w stoczni i nie możemy od razu przyjąć pańskiego okrętu. Dopiero jutro lub pojutrze. Wiem, co pan czuje, kapitanie. Jakby pański dzieciak miał wypadek, a lekarze nie chcieli go wziąć do szpitala. Głowa do góry. Widziałem, jak mój tonął.

Nie było sensu się kłócić. Morris wiedział, że pilot ma rację. Skoro "Pharris" nie zatonął podczas drogi, może sobie dzień czy dwa postać bezpiecznie przy pirsie. Pilot znał swój fach. Rozejrzał się, badając siłę wiatru i fazę pływu, po czym wydał stosowne polecenia kapitanom holowników. Po trzydziestu minutach fregata została osadzona w przystani towarowej. Tam już czekały na jej przybycie trzy ekipy telewizyjne, których pilnowali marynarze w mundurach straży wybrzeża. Kiedy tylko rzucono pomost, na okręt wszedł spieszenie oficer i skierował się prosto na mostek.

–Kapitanie, jestem komandor-porucznik Anders. Mam to panu przekazać, sir – wręczył

Morrisowi wyglądającą bardzo urzędowo kopertę.

Morris wyjął z niej depeszę na standardowym blankiecie używanym przez marynarke wojenną. W zwięzłych słowach otrzymał rozkaz udania się do Norfolk pierwszym dostępnym środkiem lokomocji.

–Samochód czeka. Do Waszyngtonu poleci pan samolotem. Stamtąd już tylko jeden krok do Norfolk.

–A co z okrętem?

–Po to właśnie tu jestem. Pański okręt będzie miał dobrą opiekę.

Tylko tyle – pomyślał Morris.

Skinął głową i udał się po swoje rzeczy. Dziesięć minut później minął bez słowa kamery telewizyjne, wsiadł do samochodu i pojechał na międzynarodowe lotnisko Logan.

Stornoway, Szkocja Toland pochylił się nad zdjęciami satelitarnymi czterech islandzkich lotnisk. Dziwna rzecz, ale Rosjanie zupełnie nie używali starego lotniska w Keflaviku, zadowolając się jedynie Reykjavikiem i nową bazą Paktu Atlantycznego.

Czasami tylko na poniechanym lądowisku pojawiał się jeden czy dwa backfire'y, jakiś uszkodzony bombowiec albo samolot, któremu skończyło się paliwo. To wszystko.

Przyczyniły się do tego częściowo akcje zachodnich myśliwców. Obecnie Rosjanie zmuszeni zostali do przesunięcia swoich tankowców powietrznych dużo dalej na północ i wschód, co miało niewielki ale bardzo negatywny wpływ na zasięg backfire'ów. Zdaniem ekspertów polujące na konwoje maszyny mogły przebywać w powietrzu dwadzieścia minut krócej. Mimo usilnych poszukiwań prowadzonych przez beary i sputnik rozpoznawczy zaledwie dwie trzecie nalotów odnajdywało cel. Toland nie wiedział, czemu to przypisać. Czyżby Rosjanie mieli jakieś kłopoty z łącznością?

Jeśli tak, należało je wykorzystać,

Backfire'y jednak ciągle zadawały konwojom ciężkie straty.

Po kilku wyjątkowo dotkliwych ciosach dowództwo sił powietrznych zdecydowało się rozmieścić myśliwce w bazach na Nowej Fundlandii, Bermudach i Azorach. Za pomocą tankowców powietrznych, wypożyczonych od dowództwa lotnictwa strategicznego, maszyny bojowe NATO zaczęły patrolować przestrzeń powietrzną nad pozostającymi w ich zasięgu konwojami. Nie mogły wprawdzie całkowicie zapobiec atakom backfire'ów, ale za to mocno przetrzebiły radzieckie beary-D. Rosjanom pozostało tylko około trzydziestu tych zwiadowczych samolotów dalekiego zasięgu i dziennie wysyłać mogli najwyżej dziesięć maszyn zaopatrzonych w potężne radary Big Bulge, które

kierowały bombowce i okręty podwodne na konwoje.

Obecność tych radarów myśliwce amerykańskie wykrywały stosunkowo łatwo, zwłaszcza że Rosjanie stosowali sztampową i nietrudną do przewidzenia taktykę operacji lotniczych. Miało ich to drogo kosztować. Następnego dnia siły powietrzne Stanów Zjednoczonych zamierzały wysłać kolejny, złożony z dwóch maszyn patrol w stronę sześciu różnych konwojów.

Rosjanie mieli również słono zapłacić za trzymanie samolotów na Islandii.

–Moim zdaniem mają tam pułk, powiedzmy dwadzieścia cztery, góra dwadzieścia siedem maszyn. Wszystkie to migi-29 fulcrum – odezwał się Toland. – Na ziemi nie widzieliśmy nigdy więcej niż dwadzieścia jeden sztuk naraz.

Wydaje mi się, że nieustannie wysyłają na patrole bojowe po jakieś cztery ptaszki. Sądzę też, iż dysponują trzema radarami naziemnymi i przesuwają je bez przerwy. Może to znaczyć, że nastawili się na kontrolę wszystkiego z ziemi.

Czy są jakieś kłopoty z zagłuszaniem ich radarów śledzących?

Pilot myśliwca potrząsnął głową.

–Przy odpowiednim wsparciu, nie.

–Musimy zatem sprowokować migi do oderwania się od ziemi, a potem zniszczyć ile się da. – Dowódcy obu eskadr tomcatów razem z Tolandem analizowali mapy. – I radzę trzymać się z dala od tych wyrzutni SAM-ów.

Chłopcy w Niemczech twierdzą, że S A-11 to wyjątkowo paskudna broń.

Pierwsza próba wyeliminowania Keflaviku za pomocą bombowców B-52 zakończyła się katastrofą. Późniejsze ataki mniejszych i szybszych FB-111 wyrządziły wprawdzie Rosjanom duże szkody, ale nie zdołały całkowicie zneutralizować tej bazy. Dowództwo lotnictwa strategicznego nie zgadzało się na udostępnienie swoich najszybszych bombowców strategicznych. Nie powiódł się jak dotąd żaden atak na główne magazyny paliwa. Znajdowały się zbyt blisko zamieszkanym terenów, a ze zdjęć satelitarnych wynikało jasno, że Rosjanie nie ewakuowali stamtąd ludności cywilnej. Naturalnie.

–A może znów zaatakować za pomocą B-52? – zasugerował jeden ze szkockich pilotów. – Nadleciałyby jak za pierwszym razem, ale... – wyjaśnił w zarysie zmiany, jakie musiałyby nastąpić w profilu ataku. – Teraz, kiedy dysponujemy "odmieńcami" powinno to się udać.

–Jeśli pragnie pan ze mną współpracować, dowódco, proszę nieco uprzejmiej wyrażać się o mojej maszynie – pilot prowlera najwyraźniej nie lubił, kiedy jego wart czterdzieści milionów dolarów samolot określał ktoś takim mianem. – Mogę zniszczyć kierujące SAM-ami radary, ale proszę nie zapominać, że rakiety SA-11 dysponują systemem naprowadzającym na

podczerwień. Założę się o każde pieniądze, że mogą trafić tomcata z odległości piętnastu kilometrów.

Piloci doskonale znali tę nieprzyjemną stronę rakiet SA-11. Pociski te nie zostawiały za sobą prawie żadnej smugi spalin, przez co było je trudno zauważyć. A jak umykać przed SAM-em, którego się nie widzi?

–Będziemy trzymać się z daleka od Mr. SAM-a. Po raz pierwszy panowie, wszystko przemawia na naszą korzyść.

Piloci myśliwscy zaczęli ustalać szczegóły planu. Dysponowali dokładnymi informacjami wywiadu o tym, jak rosyjskie myśliwce zachowują się w walce. Radziecka taktyka była dobra, ale łatwa do przewidzenia. Jeśli Amerykanie przyjmą strategię znaną Iwanowi, ten zareaguje zgodnie z oczekiwaniami pilotów Paktu Atlantyckiego.

Stendal, Niemiecka Republika Demokratyczna Aleksiejew nigdy nie sądził, że ta wojna będzie łatwa, ale też nie przyszło mu do głowy, by lotnictwo sprzymierzonych mogło opanować nocne niebo. Cztery minuty po północy nie zauważony przez radary samolot zniszczył stację radiową dowództwa Zachodniego Teatru Wojny. Tak zatem Rosjanom, którzy dotąd dysponowali trzema stacjami*- każda oddalona była o dziesięć kilometrów od bunkra dowództwa – pozostała już tylko jedna oraz ruchomy radiowy nadajnik, raz już zaatakowany przez wroga. Używano naturalnie

ciągnących się pod ziemią kabli sieci telefonicznej, ale w miarę posuwania* się w głąb terytorium nieprzyjaciela środek ten stawał się coraz mniej pewny. Instalowane natomiast przez korpus łączności przewody zbyt często bywały niszczone przez bomby przeciwnika bądź własny, niedbale prowadzony pojazd. Rosjanie potrzebowali komunikacji radiowej, a tę NATO systematycznie im niszczyło.

Samoloty Paktu ośmieliły się nawet zaatakować sam kompleks bunkrów dowództwa – makieta schronu umieszczona została dokładnie między dwiema radiostacjami i na nią poszedł atak ośmiu myśliwców bombardujących, które zasypały te miejsca pojemnikami z napalmem, wiązkami bomb i materiałem wybuchowym z opóźnionym zapłonem.

Specjaliści od artylerii stwierdzili, że był to tak potężny szturm, iż przypuszczony na prawdziwy kompleks, pociągnąłby za sobą ofiary. Ale to już kwestia umiejętności naszych inżynierów – pomyślał generał. Bunkry, w założeniu, wytrzymać miały nawet uderzenie głowicy nuklearnej, gdyby ta spadła w pobliżu.

Po drugiej stronie Leiny walczyła już teraz cała dywizja.

Jej resztki – poprawił się w duchu Aleksiejew. Dwie dodatkowe formacje czołgów usiłowały sforsować rzekę, ale mosty pontonowe zostały zbombardowane zeszłej nocy akurat w chwili, gdy te jednostki do nich dotarły. Nadciągały posiłki Paktu Atlantyckiego – posuwające się oddziały stanowiły naturalnie cel ataków radzieckiego lotnictwa, lecz rosyjskie myśliwce

bombardujące ponosiły przy tym koszarne straty. Taktycy... nie, amatorzy rozprawiający o taktyce – myślał z goryczą Aleksiejew. – Zawodowy żołnierz studiuje logistykę. Generał zdawał sobie sprawę, iż kluczem do sukcesu było utrzymanie mostów na Leinie i zapewnienie sprawnego transportu na wiodących do Alfeld drogach.

Dopóki Aleksiejew nie wyznaczył do tego zadania grupy pułkowników, system radzieckiego transportu załamał się był dwukrotnie.

–Musimy znaleźć lepsze miejsce – mruknął generał.

–Słucham, towarzyszu generale? – spytał Siergietow.

–Do Alfeld prowadzi tylko jedna dobra droga – 5 – Czerwony sztorm t. II

generał uśmiechnął się ironicznie. – A potrzebujemy co najmniej trzech.

Popatrzyli na drewniane klocki ustawione na mapie.

Każdy klocek oznaczał batalion. Jednostki raketowe i formacje dział przeciwlotniczych tworzyły korytarz ciągnący się na północ i południe wzdłuż drogi nieustannie niszczonej przez miny, których NATO w takiej ilości użyło po raz pierwszy.

–Dwudziesta Czołgów poniosła poważne straty – westchnął Aleksiejew.

Jego żołnierze. Mogli szybko dokonać przełomu – mogli, gdyby nie lotnictwo Paktu Atlantyckiego.

–Te dwie rezerwowe dywizje szybko dokończą dzieła – odezwał się Siergietow.

Aleksiejew przyznał mu w duchu rację z pewnym zastrzeżeniem. Jeśli naturalnie nie wydarzy się coś złego.

Norfolk, Wirginia Morris siedział naprzeciwko biurka dowódcy nawodnych sił amerykańskiej Floty Atlantyckiej. Trzygwiazdkowy admirał mawiał o swojej karierze, że przebiegła ona w "prawdziwej marynarce", wśród fregat, niszczycieli i krążowników. Wprawdzie tym niewielkim, szarym okrętom brakowało splendoru lotnictwa i tajemniczości okrętów podwodnych, ale w obecnej chwili los płynących przez Atlantyk konwojów zależał właśnie od jednostek nawodnych.

–Iwan zmienił taktykę dużo szybciej, niż się tego spodziewaliśmy. Atakuje najpierw eskortę. Uderzenie na pański okręt było dokładnie przemyślane. To nieprawda, że po prostu nadział się pan na Rosjanina. Prawdopodobnie już od jakiegoś czasu ostrzył sobie na "Pharrisa" zęby.

–Próbują eliminować eskortę?

–Tak, ale ze szczególnym uwzględnieniem jednostek, które ciągną za sobą "ogon". Zadaliliśmy

duże straty radzieckim siłom podwodnym – niewystarczające, ale duże.

Statki z holowanymi antenami sonarowymi spisują się znakomicie. Iwan zorientował się w czym rzecz i natychmiast

wydał im walkę. Poszukuje nawodnych jednostek z holowanym hydrolokatorem, lecz z nimi nie jest łatwo. Zniszczyliśmy trzy rosyjskie jednostki, które próbowały się do nich podkraść.

Morris w milczeniu kiwał głową. Statki z anteną holowaną stanowiły zmodyfikowany model tuńczykowca. Wlokły za sobą potężne kable pasywnego sonaru. Jednostek tych było za mało, by zapewnić bezpieczeństwo wszystkim konwojom. Pilnowały jedynie połowy tras, ale dostarczały przy tym dokładnych informacji dowództwu zwalczania floty podwodnej, które mieściło się w Norfolk.

–Czemu więc Iwan nie wysyła backfire'ów przeciw tym tuńczykowcom?

–Też się nad tym zastanawialiśmy. Najwyraźniej Rosjanie uważają, że nie są warte aż takiego wysiłku. A tak między nami mówiąc, na tych jednostkach instalujemy dużo lepszą aparaturę elektroniczną, niż ktokolwiek by przypuszczał, i niebywale trudno wykryć je za pomocą radaru.

Admirał nie rozwijał tematu, a Morris zastanawiał się, czy technologia maskowania – nad którą marynarka pracowała od lat – znalazła zastosowanie w jednostkach nawodnych z holowaną anteną sonarową. Jeśli Rosjanie nie rzucają całych swych sił podwodnych przeciw tuńczykowcom – tym lepiej.

–Zarekomendowałem pana do odznaczenia, Ed. Sprawował się pan znakomicie. Tylko trzech moich kapitanów miało lepsze wyniki. Jeden z nich właśnie wczoraj poległ.

Jak bardzo jest uszkodzony pański okręt?

–Chyba już do niczego się nie nadaje. Strzelał w nas victor. Dostaliśmy w dziób. Odpadł kil i... dziób sobie odpłynął, sir. Straciliśmy cały przód, aż po wyrzutnię rakiet do zwalczania okrętów podwodnych. Wielkich spustoszeń dokonał sam wstrząs, ale te uszkodzenia prawie w całości naprawiliśmy. Jeśli mój okręt ma jeszcze kiedykolwiek wypłynąć w morze, trzeba by mu dorobić cały nowy dziób.

Admirał skinął głową. Przeglądał już wykaz szkód.

–Dobrze pan zrobił, że walczył pan o powierzona sobie jednostkę do końca i przyprowadził ją do portu, Ed.

Cholernie dobrze. "Pharris" nie potrzebuje na razie pańskiej obecności. Chcę, Ed, byś włączył się do mego sztabu operacyjnego. Też musimy zmienić taktykę. Kiedy przestudiuje pan dane wywiadu i informacje operacyjne, może przyjdą panu do głowy jakieś nowe rozwiązania.

–W pierwszym rzędzie należałoby powstrzymać jakoś te przekłete backfire'y.

–Właśnie nad tym pracujemy – w głosie admirała zabrzmiały nutki zarówno wiary jak sceptycyzmu.

Cieśnina Zawietrzna Po wschodniej stronie mieli Haiti, a po zachodniej – Kubę. Na wszystkich okrętach obowiązywało zaciemnienie, zaś radary – choć wyłączone – pracowały w pozycji "gotów". Formacji strzegła eskorta złożona z niszczycieli i fregat. W skierowanych na lewo wyrzutniach drzemały rakiety, a ich operatorzy pocili się w klimatyzowanych pomieszczeniach swych posterunków bojowych.

Nikt nie przewidywał większych kłopotów. Rząd amerykański powiadomił prezydenta Castro, że Kuba nie ma z tym nic wspólnego, a ponadto szef republiki był wściekły na Rosjan, że ci nie poinformowali go o swych zamierzeniach. Ze względów dyplomatycznych jednak amerykańska flota przemierzała cieśninę po ciemku, by Fidel Castro mógł potem z czystym sumieniem twierdzić, że o niczym nie wiedział. O akcie dobrej woli Castro przestrzegł nawet Amerykanów, że w Cieśninie Florydzkiej znajduje się radziecki okręt podwodny. Co innego być wasalem, a co innego wyrażać zgodę na to, by ktoś traktował jego kraj jako bazę w wojnie, o której nie był nawet łaskaw poinformować.

Nikt naturalnie nie przekazał tych szczegółów załogom okrętów. Powiedziano im tylko, że flotylli nic nie grozi.

Jak do wszystkich raportów wywiadu, do tych zapewnień dowódcy jednostek również podeszli z dużą rezerwą.

Helikoptery zrzuciły szereg pław sonarowych, a wykrywacze radarów nasłuchiwały bez przerwy pulsujących sygnałów

emitowanych przez radzieckie radiolokatory. Obserwatorzy śledzili nieustannie rozgwieżdżone niebo w poszukiwaniu wrogich samolotów, które mogły namierzyć formację wzrokiem. Nie byłoby to trudne. Posuwające się z szybkością dwudziestu pięciu węzłów okręty zostawiały za sobą świecące w mroku niczym neony spienione kilwatery.

–Pigułki "maalox" już nie pomagają – mruknął pod nosem kapitan jednej z fregat.

Rozpierał się w fotelu w centrum informacji bojowej. Po lewej miał stół nakresowy, a z przodu (siedział twarzą w stronę rufy) młodego oficera taktycznego, który pochylał się nad lampą oscyloskopową. Wiedzano, że Kubańczycy dysponują raketami ziemia-ziemia, których wyrzutnie ustawione były wzdłuż całego wybrzeża, jak ongiś armaty na obronnych murach zamków. W każdej chwili mógł pojawić się rój "wampirów" nadlatujących w stronę flotylli. Na pokładzie fregaty stała w gotowości bojowej pojedyncza wyrzutnia raketowa i trzycalowe działo, a nad górnym pokładem widniał zarys CIWS-a.

Kapitan nie powinien pić kawy, ale bez niej nie wytrzymałby na posterunku. Po kawie jednak

zawsze czuł silne bóle w górnych partiach brzucha. Chyba powinienem natychmiast iść do lekarza – pomyślał. Odrzucił ten pomysł. Nie miał na to czasu. Od trzech miesięcy, dzień i noc harował jak wół, by przygotować okręt do rejsu. Kontrole techniczne i komisje kwalifikacyjne, załadunek sprzętu, broni i żywności. Załoga też pracowała ciężko, ale on najciężej. Duma nie pozwalała mu przyznać – nawet przed samym sobą – że przecenił swoje siły.

Po trzeciej kawie przyszło najgorsze. Ból był tak straszny, jakby ktoś wbił mu w trzewia nóż. Kapitan zgiął się i zwymiotował na wyłożoną kafelkami podłogę centrum informacji bojowej. Marynarz natychmiast wytarł posadzkę, a było zbyt ciemno, by zobaczyć, że na kafelkach pojawiła się krew. Mimo przejmującego bólu, mimo chłodu, jaki go przenikał po utracie sporej ilości krwi, dowódca nie mógł opuścić swego posterunku. Zrezygnował na kilka godzin z kawy. Postanowił w wolnej chwili skonsultować się

z lekarzem. W wolnej chwili, jeśli taka nastąpi. W Norfolk będą mieli trzy dni przerwy. Wtedy nieco odetchnie.

Potrzebował odpoczynku. Gromadzące się od dłuższego czasu zmęczenie zwałało go z nóg. Kapitan potrząsnął głową. Torsje przyniosły lekką ulgę.

Virginia Beach, Wirginia Morris zastał pusty dom. Za jego radą żona wyjechała do swojej rodziny do Kansas. "Nie ma sensu żebyś siedziała tutaj sama z dziećmi i zamartwiała się o mnie" – tłumaczył. Teraz jednak tego żałował. Kapitan potrzebował czyjejs obecności, potrzebował czułości, potrzebował dzieci.

Gdy tylko przekroczył próg mieszkania, ruszył do telefonu. Żona wiedziała już, co przytrafiło się jego okrętowi, ale dzieciom nic jeszcze nie mówiła. Dwie minuty przekonywał ją, że jest cały, zdrowy i wrócił do domu. Potem rozmowa z dziećmi, a na końcu wiadomość, że nie mogą się spotkać. Wszystkie samoloty pasażerskie były albo na usługach wojska, przewożąc za morze ludzi i sprzęt, albo zarezerwowane aż do połowy sierpnia. Ed nie widział większego sensu w tym, by jego rodzina jechała samochodem z Salinas do Kansas City i tam w niepewności czekała, aż znajdzie jakiś środek lokomocji. Rozstania bywają ciężkie.

Ale to, co teraz musiało nastąpić, było jeszcze trudniejsze.

Komandor Edward Morris wdział na siebie biały mundur i wyjął z portfela listę rodzin, które musiał odwiedzić.

Dostały już oficjalne zawiadomienie, ale jego obowiązkiem jako dowódcy było złożyć osobiście wszystkie wizyty.

Wdowa po pierwszym oficerze mieszkała zaledwie kilkaset metrów od jego domu. Jej mąż był wspaniałym człowiekiem i wzorowym oficerem. A jakie robił barbecue! Ileż to weekendów Morris spędził w ich ogródku, wpatrzony w skwierczące na węglach befsztyki. I co teraz tej kobiecie powie? Co powie pozostałym wdowom? Co powie dzieciom poległym?

Morris podszedł do samochodu z szyderczą rejestracją

FF-1094. Nie każdy musiał dźwigać bagaż własnych błędów, większość szczęśliwie zostawiała go za sobą.

Morris zastanawiał się, czy kiedykolwiek jeszcze zaśnie bez obawy, że w snach wrócą tamte chwile na mostku.

Islandia Po raz pierwszy Edwards pokonał sierżanta na jego własnym polu. Mimo przechwałek, jakim to on jest wędkarzem, po godzinie bezowocnych prób Smith oddał kij Mike'owi. Ten dziesięć minut później wyciągnął na brzeg dwukilogramowego pstrąga.

–Cholera może wziąć człowieka – warknął Smith.

Ostatnie dziesięć kilometrów przebyli w jedenaście godzin.

Na jednej z szos, którą musieli przekroczyć, panował wielki ruch. Co parę minut pojawiał się jadący na północ bądź na południe rosyjski pojazd. Owa szutrowa droga stanowiła główne połączenie" lądowe z północnym wybrzeżem Islandii.

Edwards i jego żołnierze spędzili sześć godzin na polu lawowym przycupnięci między skałami, wyglądając sposobnej chwili, by przeprowić się na drugą stronę. Dwukrotnie widzieli patrolujące okolicę helikoptery Mi-24; żadna z maszyn jednak na szczęście nie zbliżyła się do ukrytych między kamieniami ludzi. Nie pojawił się w zasięgu wzroku żaden patrol pieszy, z czego Edwards wysnuł wniosek, że Islandia jest zbyt rozległa, by Rosjanie mogli ją całą kontrolować. Pod wpływem tej myśli wyciągnął rosyjską mapę i zaczął analizować naniesione na nią znaki. Wojska radzieckie rozlokowały się szerokim łukiem biegnącym na północ i na południe od półwyspu Reykjavik. Niezwłocznie przekazał tę informację do Szkocji i przez dziesięć minut musiał przez radio tłumaczyć znaczenie symboli widniejących na zdobyczej mapie.

O zmierzchu ruch na drodze zmalął i wtedy biegiem przedostali się na drugą stronę. Skończyła im się żywność, lecz na szczęście trafili na tereny obfitujące w jeziora i potoki. Co za dużo to nie zdrowo – zdecydował Edwards.

Zarządził dłuższy postój by nałowić ryb. Dalej czekała ich wędrówka przez tereny nie zamieszkanne.

Karabin i plecak złożył obok skały i nakrył je swą ochronną kurtką. Towarzyszyła mu Vigdis. Zresztą prawie cały dzień nie odstępowała go na krok. Smith i żołnierze piechoty morskiej znaleźli dobre miejsce na odpoczynek, podczas gdy porucznik miał zajmować się wędkarstwem.

W powietrzu krążyły roje komarów. Wprawdzie sweter skutecznie chronił ciało, ale twarz porucznika stanowiła dla insektów nie lada atrakcję. Edwards starał się więc po prostu ignorować robactwo. Na powierzchni wody unosiło się kilka owadów. Polowały na nie pstrągi.

Za każdym więc razem, kiedy Mike widział na wodzie rozchodzące się kręgi, rzucał tam przynętę.

Wędzisko ponownie się wygięło.

–Mam następnego! – krzyknął.

Sierżant Smith wysunął z krzaków głowę, gniewnie nią potrząsnął i znów skrył się w zaroślach.

Edwards wprowadzie w taki sposób nigdy ryb nie łowił, ale kiedy wypływał z ojcem łodzią w morze, robił rzeczy podobne. Porucznik więc szarpał rytmicznie wędziskiem w górę i w dół tak długo, aż zmęczył zdobycz. Wtedy zaczął holować ją na skały.

W pewnej chwili potknął się, upadł w płytką wodę, ale nie wypuścił z rąk naprężonego kija. Podniósł się niezdarne i zrobił krok do tyłu. Sfatygowane spodnie były mokre i ubłocone czarnym mułem.

–Patrz, jaka wielka – powiedział, odwracając się do Vigdis.

Zobaczył, że dziewczyna się śmieje. Vigdis obserwowała przez chwilę, jak porucznik mocuje się z rybą, po czym podeszła do niego. W minutę później pomogła mu wyciągnąć łup z wody.

–Ma ze trzy kilo – powiedziała, unosząc trofeum.

Mike, gdy miał dziesięć lat, złowił ważącą pięćdziesiąt kilogramów albakorę, ale ten brązowy pstrąg wydawał mu się dużo większy.

Pięć kilo ryby w dwadzieścia minut – pomyślał, nawijając żyłkę na kołowrotek. – Przecież tutaj można spokojnie przeżyć.

Helikopter pojawił się bez ostrzeżenia. Wiał zachodni wiatr – śmigłowiec zapewne patrolował leżącą na wschodzie drogę – i kiedy usłyszeli warkot pięciopłatkowego śmigła, maszyna znajdowała się już w odległości kilometra.

Nadlatywała prosto na nich. – ^- Kryć się! – zawołał Smith. Żołnierze wprowadzie byli dobrze zamaskowani, ale Mike i dziewczyna stali na odsłoniętej przestrzeni.

–Boże święty! – szepnął Edwards, lecz nie przerwał nawijania żyłki. – Zdejmuj rybę z haczyka i udawaj, że nic się nie dzieje.

Vigdis utkwiała w nim wzrok. Bała się odwrócić w kierunku nadlatującego helikoptera. Ręce jej się trzęsły, gdy usiłowała zdjąć z haczyka trzepoczącą się rybę.

–Wszystko będzie dobrze, Vigdis.

Objął ją w pasie i swobodnym krokiem zaczęli oddalać się od strumienia. Mocno przytuliła się do niego. Wywarło to na poruczniku większe wrażenie niż obecność rosyjskiego śmigłowca. Dziewczyna okazała się dużo silniejsza niż myślał. Jej ramię niczym gorąca obręcz obejmowało mu plecy i klatkę piersiową. Śmigłowiec był już nie dalej niż pięćset metrów. Pochylony do przodu kierował w nich lufę szybkostrzelnego działka.

Edwards wiedział, że nic nie jest w stanie zrobić. Karabin leżał pięćdziesiąt metrów dalej i był przykryty kurtką.

Gdyby nawet porucznik okazał się wystarczająco szybki, by dopaść broni, tamci od razu zorientowaliby się, o co chodzi. Spoglądał nadlatującej śmierci w oczy i czuł słabość w nogach.

Powoli, ostrożnie Vigdis wyciągnęła rękę, w której trzymała rybę. Dwoma palcami drugiej ręki pchnęła obejmujące ją w pasie ramię Edwardsa i nieoczekiwanie dłoń mężczyzny spoczęła na jej lewej piersi. Potem śmiało uniosła rybę nad głowę. Mikę odrzucił wędzisko i schylił się po drugiego pstrąga. Vigdis skopiowała jego ruch tak, że nie musiał zdejmować dłoni. Też uniosł zdobycz. A nad nimi, w odległości pięćdziesięciu metrów znajdował się helikopter

bojowy Mi-24. Wokół jego śmigła lśniła aureola wodnej mgły.

–Zjeżdżaj stąd! – wycedził przez zęby Edwards.

–Mój ojciec uwielbia łowić ryby – powiedział porucznik, manipulując przy tablicy rozdzielczej.

–Pieprzyć ryby – odparł kanonier. – Tamtą to bym złowił. Patrzcie, gdzie ten młody skurwiol trzyma łapę.

Zapewne nawet nie wiedzą, co się dzieje – pomyślał.

A jeśli nawet, to mają na tyle oleju w głowie, by nic nie kombinować. Miło pomyśleć, że są ludzie, których nie dotyczy wariactwo, jakie ogarnęło świat...

Pilot popatrzył na wskaźniki paliwa.

–Wyglądają nieszkodliwie. Benzyny mamy na pół godziny. Wracamy.

Helikopter przechylił się do tyłu i przez straszną chwilę Edwards myślał, że maszyna wylądzuje. Ale ta okręciła się tylko wokół własnej osi i odleciała na południowy zachód.

Jeden z żołnierzy pomachał im ręką. Vigdis oddała gest.

Oboje stali bez ruchu, spoglądając za niknącym w oddali śmigłowcem. Dziewczyna cały czas mocno obejmowała Edwardsa, a on dopiero teraz zorientował się, że Vigdis nie nosi stanika. Bał się ruszyć ręką, bał się wykonać najmniejszy ruch. Czemu to zrobiła? By wystrychnąć Rosjan na dudków... by uspokoić Edwardsa... samą siebie? Ta kwestia wydała mu się w tej chwili

całkiem nieistotna.

Marines nie wychylali nosa z krzaków i porucznik stał z dziewczyną sam na sam. Dłoń mu płonęła, a w głowie miał mętlik. Nie wiedział co robić.

Pierwsza gest wykonała Vigdis. Dłoń porucznika ześlizgnęła się z piersi dziewczyny, kiedy ta odwróciła się w jego stronę i wtuliła mu twarz w ramię. No i proszę, w jednym ręku trzymam najpiękniejszą dziewczynę, jaką spotkałem w życiu – pomyślał – a w drugim tę sakramencką rybę.

Rozwiązanie było proste. Odrzucił pstrąga i zamknął Vigdis w objęciach.

–Już wszystko w porządku? – spytał cicho.

Popatrzyła mu prosto w oczy.

–Chyba tak.

Istniało tylko jedno słowo na określenie tego, co porucznik czuł do dziewczyny, którą właśnie trzymał w ramionach.

Ale zdawał też sobie sprawę, że nie pora i nie czas na to.

Pozostał jednak wyraz jego twarzy, pozostało nie wypowiedziane słowo. Delikatnie pocałował Vigdis w policzek.

Uśmiech, jakim go obdarzyła, liczył się bardziej niż wszystko, czego Edwards w życiu doświadczył i co poznał.

–Przepraszam, że przerywam... – obok nich wyrósł sierżant Smith.

–No tak – odparł Edwards, wyswobadzając się z objęć dziewczyny. – Pryskajmy stąd, zanim zdecydują się wrócić.

USS "Chicago" Sprawy układały się pomyślnie. Amerykańskie oriony P-3C i brytyjskie nimrody towarzyszyły im aż do granicy paka lodowego. Okręty podwodne musiały wprawdzie w pewnym momencie zboczyć z kursu, by uniknąć spotkania z rosyjską łodzią, która najprawdopodobniej czaiła się na ich trasie, ale to wszystko. Wyglądało na to, że Iwan, przekonany, iż niepodzielnie panuje na Morzu Norweskim, pchnął większość swej floty głębinowej na południe.

Do granicy lodu pływającego zostało jeszcze sześć godzin.

"Chicago", dryfując na czele procesji podwodnych okrętów, kończył właśnie obrót wokół własnej osi. Sonar przeczesywał czarną wodę w poszukiwaniu ewentualnej radzieckiej jednostki, ale docierały doń jedynie odległe pomruki ruchomego lodu.

Zespół przy nakresach ustalił wreszcie pozycje pozostałych amerykańskich okrętów. McCafferty był rad, widząc z jakim trudem – nawet przy użyciu najnowszego amerykańskiego sprzętu – udało się tego dokonać. Skoro oni mieli kłopoty, to co mówić o Rosjanach? Marynarze zdawali się być dobrej myśli. Trzy dni na ładzie okazały się sprawą bardzo ważną. Ale piwo dostarczone przez norweskiego kapitana

i wieść o tym, czego dokonały wystrzelone z "Chicago" harpoony z ich jedynym prawdziwym kontaktem, przyćmiły wszystko inne. Zapoznał w ogólnym zarysie załogę z czekającym ją zadaniem. Wiadomość przyjęto spokojnie, padło nawet kilka żarcików o powrocie do domu – na Morze Barentsa.

–Minął nas właśnie "Boston", kapitanie – oznajmił pierwszy oficer. – Teraz my będziemy w kambuzie.

McCafferty znów zaczął studiować nakres. Wyglądało na to, że wszystko jest w porządku, ale wolał uważnie sprawdzić. Przy tylu okrętach podwodnych płynących tym samym kursem prawdopodobieństwo kolizji było duże.

Bosman dyżurny przedstawił listę jednostek, które minęły już "Chicago". Kapitan był zadowolony.

–Dwie trzecie naprzód – zarządził.

Sternik potwierdził przyjęcie rozkazu i włączył komunikator.

–Maszynownia mówi, że jest dwie trzecie – poinformował po chwili.

–Bardzo dobrze. Ster, dziesięć stopni w lewo. Nowy kurs: trzy-cztery-osiem.

"Chicago" zwiększył prędkość do piętnastu węzłów i zajął miejsce na samym końcu zmierzającej ku Arktyce procesji.

DEMONY

Virginia Beach, Wirginia – Ster, cała w lewo! – krzyknął Morris, wskazując kilwater mknącej torpedy.

–Tak jest, ster cała w prawo! – odkrzyknął sternik, przekręcając koło najpierw w prawo, potem w lewo, a następnie ustawiając je w pozycji neutralnej.

Morris stał na lewym skrzydle mostka. Na spokojnym morzu doskonale było widać ślad torpedy powtarzającej wszystkie manewry ściganej fregaty. Próbował nawet cofnąć okręt, ale to też nie odniosło skutku – torpeda ruszyła tym samym torem. W pewnej chwili straszliwa broń zatrzymała się i wzniosła nad powierzchnię wody tak, że kapitan ujrzał ją w całej krasie. Była biała, a na jej nosie widniało coś, co przypominało czerwoną gwiazdę... i posiadała oczy – jak wszystkie samosterujące torpedy. Morris nadał okrętowi pełną szybkość, ale torpeda, prawie cała wynurzona z wody, pomykająca nad falami jak latająca ryba nie chciała go opuścić. Ujrzeć mógł ją każdy... ale widział tylko Morris.

Była coraz bliżej. Piętnaście metrów, dziesięć, pięć.

–Gdzie jest mój tata? – spytała mała dziewczynka. – Chcę mego tatę!

–W czym problem, kapitanie? – zapytał pierwszy oficer.

Dziwna rzecz, ale pytający nie miał głowy...

Morris zlany zimnym potem usiadł wyprostowany na łóżku. W piersi galopowało mu serce. Stojący na»półce zegarek elektroniczny wskazywał czwartą pięćdziesiąt cztery nad ranem. Ed wyszedł z pościeli i chwiejnie poczłapał do łazienki. Spryskał twarz zimną wodą. To już drugi raz tej

nocy – pomyślał. W drodze do Bostonu koszmar nawiedził go dwukrotnie, zamieniając chwile wypoczynku w pasmo udręki. Morris był ciekaw, czy krzyczał przez sen.

Zrobiłeś wszystko, co mogłeś. To nie była twoja wina – odezwał się do twarzy w lustrze.

Ale ty byłeś kapitanem – odparło oblicze.

Morrisowi starczyło sił, by odwiedzić tylko pięć domów.

Rozmowy z żonami i rodzicami poległych okazały się prostsze. Oni rozumieli. Ich synowie, ich mężowie byli marynarzami, którzy świadomie podjęli ryzyko tego zawodu. Ale czteroletnia córeczka mata drugiej klasy Jeffa Evansa nie potrafiła zrozumieć, czemu jej tata nigdy już się w domu nie pojawi. Morris wiedział, że podoficer drugiej klasy dużo nie zarabiał. Ale człowiek ten uczynił wszystko, by jego domek wyglądał jak prawdziwy dom.

Pamiętał zresztą Evansa z okrętu. Mężczyzna o złotych rękach, wyśmienity podoficer artylerii. W swoim domu pomalował każdą ścianę. Wykończył całą stolarkę. A mieszkał tam

zaledwie siedem miesięcy. Morrisowi nie mieściło się w głowie, jak ten człowiek znalazł tyle czasu, by aż tak dużo zrobić. A musiał to robić sam. Nie stać go było na wynajmowanie firmy. Pokój Ginny stanowił wstrząsający dowód miłości, jaki w spadku zostawił dziewczynce ojciec. Na wykonanych przez niego własnoręcznie półkach stały lalki z całego świata. Morris, ujrawszy pokój Ginny, po prostu uciekł. Czuł, że za chwilę oszaleje, a z jakichś absurdałnych względów nie chciał przed obcymi ujawniać swych prawdziwych uczuć. Wrócił do domu. W portfelu miał listę z pozostałymi nazwiskami.

Zasnął tylko dlatego, że był śmiertelnie znużony...

Teraz jednak stał przed lustrem i spoglądał na człowieka o zapadniętych oczach, który marzył jedynie o tym, by była z nim jego żona.

Morris przeszedł do kuchni swego parterowego domku i zaczął bezmyślnie przygotowywać kawę. Pod drzwiami białe poranne gazety i kapitan uświadomił sobie nagle, że czyta artykuły o wojnie, które są albo nieścisłe, albo już nieaktualne. Jak na możliwości dziennikarzy sprawy toczyły

się zbyt szybko. Znalazł tam między innymi relację naocznego świadka o trafieniu nie wymienionego z nazwy niszczyciela przez rakietę, która sforsowała obronę powietrzną. Potem była "analiza", z której jasno wynikało, iż jednostki nawodne są zbyt przestarzałe, by sprostać zdecydowanemu atakowi raketowemu. Wszystko kończyło się pytaniem, gdzie są lotniskowce. To akurat pytanie bardzo na miejscu – pomyślał Morris.

Wypił kawę i poszedł do łazienki wziąć prysznic. Skoro i tak nie śpię – pomyślał – mogę pojechać do pracy.

Wyjął z szafy mundur i parę minut później opuścił dom.

Kiedy na niebie pojawiły się pierwsze zorze, Morris jechał już do bazy morskiej w Norfolk.

Czterdzieści minut później wszedł do jednego z kilku pomieszczeń operacyjnych, gdzie wprowadzano na nakresy pozycje konwojów i miejsca pobytu ewentualnych wrogich okrętów podwodnych. Na przeciwległej ścianie wisiała plansza z wykazem przypuszczalnych sił rosyjskich oraz tabela podająca liczbę i typ zniszczonych jednostek. Na innej ścianie widniał spis własnych strat. Jeśli chłopcy z wywiadu mają rację – pomyślał Morris – wynik wojny, jak dotąd, jest chyba remisowy; ale w pojęciu Rosjan remis równał się zwycięstwu.

–Dzień dobry, komandorze – przywitał go dowódca sił nawodnych amerykańskiej Floty Atlantyckiej. Admirał najwyraźniej również niewiele spał tej nocy. – Wygląda pan trochę lepiej.

Lepiej niż co? – zastanowił się Morris.

–Mamy kilka pomyślnych wiadomości.

Północny Atlantyk Załogi B-52 mimo towarzyszącej im potężnej eskorty myśliwców dręczył głęboki niepokój. Tysiąc siedemset metrów pod nimi stanowiąca górną osłonę bombowców eskadra tomcatów F-14 kończyła właśnie pobieranie paliwa z tankowca powietrznego KC-135. Z kolei do tankowania w locie przystąpiła następna. Zza horyzontu wynurzył się

rąbek słońca, ale ocean spowijał jeszcze mrok. Była trzecia nad ranem czasu miejscowego – pora, kiedy reakcje człowieka przebiegają najwolniej.

Keflavik, Islandia › Klaksony alarmowe wyrwały rosyjskich pilotów ze snu.

Załogi naziemne w niecałe dziesięć sekund były już przy maszynach, zaczynając wszelkie niezbędne czynności, podczas gdy lotnicy wdrapywali się po żelaznych drabinkach do kabin. Tam natychmiast włączali zainstalowane w hełmach radia, by poznać przyczyny pobudki.

–Po zachodniej stronie potężna emisja z radiostacji zagłuszających nieprzyjaciela – oznajmił dowódca pułku.

–Plan Trzy. Powtarzam: Plan Trzy.

Operator ruchomego radaru obserwował na ekranie pulsującą biel zakłóceń. Zbliżał się nalot – zapewne B-52, zapewne z eskortą myśliwską. Niebawem Amerykanie będą na tyle blisko, że naziemne radary przedrą się przez ścianę emitowanych przez nie zakłóceń. Do tego czasu myśliwce powinny już dopaść bombowce i zniszczyć maksymalną ich ilość, zanim amerykańskie maszyny zdążą zaatakować cele.

Radzieccy piloci, którzy wylądowali na Islandii, byli doskonale wyszkoleni. W ciągu dwóch minut pierwsza para migów-29 kołowała na start. Po siedmiu minutach wszystkie myśliwce znalazły się w powietrzu. Zgodnie z planem nad Keflavikiem pozostała jedna trzecia maszyn, a reszta z włączonymi radarami mknęła na zachód, w stronę źródła zakłóceń. Po dziesięciu minutach emisja szumów nagle się urwała. Jeden z migów namierzył na radiolokatorze oddalający się samolot z radiostacją zagłuszającą i natychmiast przekazał tę wiadomość przez radio do Keflaviku. Naziemni kontrolerzy poinformowali go tylko, że w promieniu trzystu kilometrów nie ma żadnej wrogiej maszyny.

Minutę później radzieckie ekrany ponownie zasnuły się mgłą zakłóceń – tym razem mających źródło gdzieś na południu i wschodzie. Migi – bardziej już czujne – ruszyły w tamtą stronę. Rosyjscy piloci mieli uruchomić radary

dopiero w odległości stu osiemdziesięciu kilometrów od brzegów wyspy. Kiedy to uczynili, ekrany urządzeń nie wykazały obecności żadnych wrogich samolotów. Niezależnie od tego, kto powodował te zakłócenia, robił to bardzo daleko. Operatorzy naziemnych radarów poinformowali, iż po zachodniej stronie anomalia spowodowały trzy samoloty z radiostacjami zagłuszającymi; w drugim przypadku – cztery.

Zbyt wiele maszyn zagłuszających – pomyślał dowódca pułku. – Ganiają nas w tę i we w tę, by

myśliwce zużyły paliwo.

–Lećcie na wschód – polecił eskadrom migów, Teraz już panujące na pokładach B-52 napięcie sięgnęło zenitu. Jeden z eskortujących prowlerów usłyszał w radiu rozkazy wydawane pilotom migów, a inna amerykańska maszyna zarejestrowała rozbłysk radzieckiego radaru przechwytyjącego. Znajdował się on gdzieś po południowo-zachodniej stronie. Myśliwce również mknęły na południe.

Były już dwieście siedemdziesiąt kilometrów od Keflaviku i mijały właśnie wybrzeża Islandii. Dowódca misji ocenił błyskawicznie sytuację i polecił bombowcom skrócić nieco na północ.

B-52 wiozły na pokładach nie bomby, lecz potężne zagłuszacze radarów skonstruowane z myślą o atakach bombowych na cele położone na terytorium Związku Radzieckiego. Poniżej wielkich bombowców, tuż nad wschodnimi wierzchołkami wzgórz pokrywających lodowiec Vanta pomykał drugi dywizjon tomcatów. Towarzyszyły mu cztery prowlerzy z lotnictwa morskiego, które stanowić miały dodatkową ochronę przed pociskami powietrze-powietrze, gdyby migom udało się podejść zbyt blisko do amerykańskiej formacji.

–Zaczynam odbierać sygnały z radaru pokładowego.

Współrzędne: dwa-pięć-osiem. Zbliża się – zameldował jeden z prowlerów.

Drugi również wykrył owe sygnały i samoloty natychmiast przeprowadziły namiar triangulacyjny. Wroga maszyna 6 – Czerwony sztorm t. II

znajdowała się w odległości pięćdziesięciu mil. Bardzo blisko.

–Bursztynowy Księżyc. Powtarzam, Bursztynowy Księżyc.

B-52 skrzyły na wschód, znurkowały i z komór bombowych wypchnęły w powietrze tony aluminiowych pasków, których nie był w stanie przebić sygnał żadnego radaru. Widząc to, piloci amerykańskich myśliwców odrzucili zewnętrzne zbiorniki na paliwo, a prowlerzy odłączyły się od bombowców i zaczęły krążyć na zachód od chmury aluminium. Rozpoczynała się niebezpieczna część zadania.

Myśliwce obu stron zbliżały się do siebie z prędkością przekraczającą tysiąc osiemset kilometrów na godzinę.

–Zgłasza się Queer – oznajmił przez radio dowódca.

–Zgłasza się Blackie – odparł dowódca VF-41.

–Zgłasza się Jolly – dodał dowódca VF-84.

Wszyscy znajdowali się na swych pozycjach.

–Wykonać.

Cztery prowlery uaktywniły przeciwraketowe urządzenia zagłuszające.

Dwanaście tomcatów z formacji Jolly Rogers rozciągniętych w linii prostej na wysokości dziesięciu tysięcy metrów uruchomiło jednocześnie kierujące pociskami radary.

–Amerykańskie myśliwce – wykrzyknęło jednocześnie kilku radzieckich pilotów. Systemy ostrzegania powiadomiły natychmiast, że zostali bardzo precyzyjnie namierzeni przez nieprzyjacielskie urządzenia.

Nie zaskoczyło to dowódcy rosyjskich samolotów. Amerykanie z pewnością nie narażaliby swych ciężkich bombowców i nie przysłaliby ich bez należytej osłony myśliwskiej. Zignorował więc obecność śmigłych maszyn i zgodnie z tym, co dyktowało mu doświadczenie, w dalszym ciągu koncentrował uwagę na poszukiwaniach B-52. Z powodu nieustannych zakłóceń zasięg zainstalowanych na migach radarów był o połowę mniejszy, toteż radzieckie urządzenia nie wykryły jeszcze obecności żadnych celów. Dowódca

poleciał swoim pilotom uważać na nadlatujące rakiety i zwiększyć prędkość – wiedział, że uniknąć mogą tylko tych pocisków, które dostrzegą. W chwilę później rozkazał wszystkim rezerwowym maszynom, z wyjątkiem dwóch, opuścić Keflavik i ruszyć na wschód, na pomoc jego jednostce.

Amerykanie potrzebowali sekund by nastroić celowniki.

Każdy tomcat miał po cztery pociski Sparrow i Sidewinder.

Pierwsze poszły sparrowsy. W powietrzu znajdowało się szesnaście migów. Większość z nich dysponowała co najmniej dwiema raketami, ale pociski Sparrow były kierowane radarem. Amerykańskie myśliwce miały pozostać na pozycji do chwili, aż ich pociski trafią w cel. Groziło to tym, że mogą dostać się w zasięg rażenia radzieckich rakiet, a nie posiadały ochronnych radiostacji zagłuszających.

Amerykanie nadlatywali od strony słońca. W chwili, kiedy radzieckie radary przedarły się wreszcie przez zagłuszacze wroga, pojawiły się rakiety Sparrow. Pierwsza wynurzyła się prosto z blasku i jeden z migów eksplodował, ostrzegając w ten sposób pozostałe maszyny. Radzieckie myśliwce zaczęły gwałtownymi skokami zmieniać wysokość; niektórzy piloci na widok pędzących im na spotkanie szerokich na trzynaście centymetrów nosów pocisków wprowadzali samoloty w ostre skręty. Ale amerykańskie rakiety czterokrotnie jeszcze trafiły w cele. Trzy roztrzaskane radzieckie maszyny pikowały w dół. Jedna, ciężko uszkodzona, odleciała chwiejnie w kierunku bazy.

Po odpaleniu wszystkich pocisków formacja Jolly Rogers pomknęła na północny wschód. Na ogonach siedzieli im Rosjanie. Radziecki dowódca z jednej strony był rad ze stosunkowo niewielkiej skuteczności amerykańskich rakiet, ale z drugiej ogarniała go wściekłość na myśl,

że utracił pięć maszyn. Jego pozostałe migi włączyły dopalacze. Rosyjskie radary kierunkujące zaczęły przedzierać się przez hałas powodowany amerykańskimi zagłuszcaczami. Amerykanie wykonali swój ruch. Teraz nadeszła kolej Rosjan. Pędzili na

północny wschód. Oczy pilotów, osłonięte ochronnymi przysłonami kasków, śledziły bacznie to rozświetlony słonecznym blaskiem przestwór nieba, to znów lampy radaroskopowe. Żaden nie popatrzył w dół. Prowadzący mig namierzył ostatecznie cel i wystrzelił dwie rakiety.

Siedem tysięcy metrów niżej dwanaście tomcatów z formacji Black Ace, chronionych dwoma wierzchołkami górskimi przed zlokalizowaniem przez radar naziemny, włączyło dopalacze i dwusilnikowe maszyny z pracującymi radarami wystrzeliły świecą w górę. Po dziewięciu sekundach piloci usłyszeli cichy warkot. Wskazywał on, że wrażliwe na podczerwień urządzenia naprowadzające rakiety klasy Sidewinder namierzyły obce samoloty. Kilka chwil później odpalonych zostało szesnaście rakiet, którym do celu zostały trzy kilometry.

Sześciu radzieckich pilotów w ogóle nie zdążyło pojąć, dlaczego ginie. Z jedenastu migów w ciągu kilku sekund zostały trzy. Dowódca ocalał, ale nie na długo. Poderwał maszynę i sidewinder, który stracił cel, pomknął w stronę słońca. Ale co teraz robić? – pomyślał radziecki pilot. Dwa pędzące na południe tomcaty dostrzegł za późno, by organizować jakąkolwiek akcję. Lecąca obok dowódcy maszyna została strącona i Rosjanin daleko na południu ujrzał tylko jeden radziecki samolot. Pułkownik zatem nadał migowi ośmiokrotne przyspieszenie i, nie zwracając uwagi na ostrzegawczy sygnał systemów informujących o niebezpieczeństwie, runął lotem nurkowym w stronę jednego z amerykańskich myśliwców. Dwie rakiety Sparrow wystrzelone przez grupę Black Ace trafiły go w skrzydło.

Mig rozpadł się na kawałki.

Amerykanie nie mieli czasu napawać się zwycięstwem.

Dowódca misji zameldował o zbliżającej się drugiej grupie migów i eskadry przegrupowały się, tworząc potężny mur złożony z dwudziestu czterech maszyn. Kiedy migi znalazły się w strefie zakłóceń, amerykańscy piloci wyłączyli radary

na dwie minuty. Zastępca dowódcy radzieckich myśliwców popełnił duży błąd. Lecący obok niego pilot znalazł się w poważnym niebezpieczeństwie, więc Rosjanin ruszył mu z pomocą. Jedna grupa tomcatów wystrzeliła pozostałe sparrows, inna – sidewindery. Do ośmiu radzieckich maszyn zbliżało się trzydzieści osiem pocisków; radzieccy piloci nie zdawali sobie nawet sprawy, co podąża w ich kierunku.

Półowa z nich nigdy się tego nie dowiedziała. Strąceni zostali z nieba przez amerykańskie rakiety powietrze-powietrze. Trzy migi uszkodzono.

Piloci tomcatów chcieli początkowo ścigać uszkodzone maszyny, ale nie pozwolił im na to dowódca. Mieli mało paliwa, a Stornoway odległe było o siedemset mil. Skręcili na wschód, trafiając w pozostawioną przez B-52 chmurę aluminium. Amerykanie byli przekonani, że

zestrzelili trzydzieści siedem rosyjskich maszyn, choć spodziewali się zastać w powietrzu tylko dwadzieścia siedem. Tak naprawdę migów było dwadzieścia sześć; jedynie pięć radzieckich samolotów wyszło z walki bez szwanku.

Oszołomiony dowódca bazy lotniczej w Keflaviku natychmiast zorganizował akcję ratunkową. W poszukiwaniu rozbitków wysłał nad morze helikoptery bojowe dywizji spadochroniarzy.

Stendal, Niemiecka Republika Demokratyczna Z Alfeld do Hameln jest trzydzieści kilometrów – pomyślał Aleksiejew. Dla czołgu godzina jazdy. Obecnie trasę tę pokonywały jednostki wchodzące w skład trzech dywizji, ale od chwili sforsowania rzeki przebyły jedynie osiemnaście kilometrów. Tym razem z powodu Anglików.

Maszyny Królewskiego Pułku Czołgów i 21. Pułku Lansjerów powstrzymały pochód radzieckich jednostek. Od osiemnastu godzin Brytyjczycy nie cofnęli się o krok.

Było to rzeczywiste zagrożenie. Bezpieczeństwo jednostek zmechanizowanych udawało się zapewnić tylko wtedy, jeśli pozostawały w ciągłym ruchu. W wyłom

dokonany w liniach nieprzyjaciela Rosjanie pchali coraz to nowe oddziały, ale NATO bez litości wykorzystywało swoje lotnictwo. Nowo powstałe mosty na Leinie natychmiast zostały zniszczone. Saperzy zorganizowali specjalne punkty, gdzie radziecka piechota w transporterach opancerzonych mogła pokonać wodę wplaw. Ale czołgi nie mogły pływać, a wszelkie próby przebycia rzeki pod wodą – do czego maszyny były teoretycznie przystosowane – kończyły się niepowodzeniem. Zbyt wiele jednostek użytych zostało do przerwania frontu i pozostało ich za mało, by sukces ten wykorzystać. Aleksiejew dokonał zgoła podręcznikowego przełomu; po to tylko, by się przekonać, że strona przeciwna posiada własny podręcznik, mówiący, jak zahamować ofensywę, a następnie wyjść z opresji zwycięsko. Zachodni teatr dysponował sześcioma rezerwowymi dywizjami klasy A. Potem musiano by wprowadzić do boju dywizje kategorii B, złożone z rezerwistów – starszych ludzi z przestarzałym sprzętem. Były to wprawdzie jednostki bardzo liczne, ale w boju nie mogły się równać z formacjami, w skład których wchodził młodzi żołnierze. Generał nie posyłał dotąd tych oddziałów w bój, gdyż żywił przekonanie, że poniosą dużo większe straty.

Teraz jednak nie miał wyboru. Żądali tego polityczni władcy Aleksiejewa. On był tylko wykonawcą ich woli.

–Muszę wracać na linię frontu – oświadczył przełożonemu.

–Dobrze, Pasza, ale masz się trzymać co najmniej pięć kilometrów od pierwszej linii. Nie mogę cię stracić.

Bruksela, Belgia Naczelnym dowódcą wojsk sprzymierzonych w Europie zajrzał do swych pedantycznie sporządzonych wykazów.

Wprowadził już do walki prawie całe rezerwy, a Rosjanie posiadali, wydawało się,

nieograniczone zasoby ludzi i pojazdów i wysyłali do walki coraz to nowe oddziały. Jego wojska nie miały czasu zreorganizować się i przegrupować.

Przeżywały największy koszmar, jaki mógł spotkać armię:

potrafiły reagować na posunięcia przeciwnika, ale o przejęciu inicjatywy praktycznie nie było mowy. Dotąd udawało im się jeszcze sprawować kontrolę nad sytuacją – ale tylko w ogólnych zarysach. Zgodnie z mapą, na południowy wschód od Hameln znajdowała się angielska brygada.

W rzeczywistości był to tylko wzmocniony pułk złożony z wyczerpanych ludzi dysponujących niesprawnym już w dużej mierze sprzętem. Przed całkowitym załamaniem ratowała go wyłącznie artyleria i lotnictwo. Ale i tego mogło okazać się za mało, gdyby nie nadeszły szybko dostawy sprzętu. Dużo gorzej rzecz się miała z amunicją.

Dowódca dysponował zaledwie dwutygodniowym zapasem, a dostawy z Ameryki opóźniały się z powodu szaleńczych rosyjskich ataków na konwoje. I co ma powiedzieć ludziom?

By oszczędzali amunicję? Przecież Rosjan można powstrzymać wyłącznie nawałą ognia i sprzętu.

Rozpocząła się poranna odprawa. Szefowi wywiadu NATO – Niemcowi w stopniu generała – towarzyszył holenderski major, który przyniósł ze sobą taśmę wideo.

Oficer wiedział, że wódz naczelny zawsze pragnie oglądać nie wygładzone analizy, lecz surowy, nie obrobiony jeszcze materiał. Holender włączył aparaturę.

Najpierw pojawiła się stworzona przez komputer mapa, a następnie wykaz jednostek. Na ekranie w ciągu dwóch minut wyświetlono dane, które zbierano przez pięć godzin.

Informacje powtórzono kilkakrotnie tak, by oficerowie mogli dokładnie zorientować się w sytuacji.

–Generale, wedle naszych obliczeń Sowieci wysyłają do Alfeld sześć pełnych dywizji. Tutaj, na głównej drodze prowadzącej z Braunschweig widzi pan pierwszą z nich.

Reszta nadciągnie niebawem. Te dwie, zmierzające na południe, to formacje rezerwowe, zabrane z grupy północnej ich armii.

–Zatem sądzi pan, że tu będzie główny punkt ich natarcia? – spytał głównodowodzący.

–Ja – skinął głową niemiecki generał. ^-^Tu jest Schwerpunkt.

Dowódca wojsk sprzymierzonych w Europie zmarszczył

brwi. Najrozsądniej byłoby wycofać się za Wezerę, skrócić linie obrony i przegrupować jednostki. Ale to oznaczałoby utratę Hanoweru. Na to Niemcy nigdy się nie zgodzą. Ich

strategia walki o próg każdego domu kosztowała Rosjan bardzo drogo – ale jednocześnie sprawiła, że rozciągnięcie linii obronnych Paktu Atlantyckiego osiągnęło punkt krytyczny. Ze względów politycznych Niemcy nigdy by nie przystali na taką strategię cofnięcia linii frontu. Ich jednostki zostałyby na stanowiskach i toczyły walkę samotnie; mógł to odczytać w oczach szefa swego wywiadu.

A gdyby ktoś najechał twoje New Hampshire? – zadał sobie w duchu pytanie. – Czy też cofnąłbyś się do Pensylwanii?

Godzinę później połowa rezerw NATO skierowana została na wschód, z Osnabriick do Hameln. Bitwa o Niemcy miała rozegrać się na prawym brzegu Wezery.

Stornoway, Szkocja Powracające tomcaty miały chwilę spokoju. Gdy tylko wylądowały, brytyjskie i amerykańskie załogi naziemne uzupełniły w nich paliwo i podwiesiły nowe rakiety. Teraz Rosjanie już dużo ostrożniej atakowali położone na północy brytyjskie lotniska. Radary pokładowe amerykańskich samolotów radiolokacyjnych w połączeniu z aparaturą angielskich nimrodów i shackletonów bardzo utrudniły życie nadlatującym z Andoyi w Norwegii dwusilnikowym bombowcom Blinder. W czasie, gdy angielskie tornada odbywały patrole w odległości dwustu mil od brzegu, załogi ze Stanów Zjednoczonych odpoczywały. Kilku przedsiębiorczych szefów malowało poniżej kabin pilotów czerwone gwiazdki, a oficerowie analizowali filmy nagrywane na taśmach wideo podczas potyczek oraz odczytywali zapisy sygnałów radzieckich radarów kierujących raketami.

–Zalaliśmy im sadła za skórę – osądził Toland.

Wprawdzie liczba zgłaszanych zestrzeleń była nienaturalnie wysoka, ale wśród pilotów myśliwskich stanowiło to normę.

–Jestem tego pewien – odparł dowódca formacji Jolly Rogers. Żuł w ustach cygaro. On sam zgłosił dwa zestrzelone migi. – Pytanie jednak, czy dostaną uzupełnienia? Raz się udało, ale drugi taki numer nie przejdzie. Niech pan powie, Toland, mogą załatać zrobioną przez nas dziurę?

–Chyba nie. Migi-29 to ich nieliczne myśliwce o tak dalekim zasięgu. Pozostałe zatrudnili w Niemczech. Tam też zdrowo je przetrzebiliśmy. Oczywiście, gdyby zwolnili trochę migów-31, te mogłyby tu dotrzeć. Ale osobiście nie sądzę, żeby Rosjanie wprowadzili do tego rodzaju zadania swe najlepsze myśliwce bombardująco-przechwytyjące.

Dowódca formacji Jolly Rogers przytaknął skinieniem głowy.

–Okay. Teraz powinniśmy rozpocząć patrole bojowe w pobliżu Islandii i ukrócić wreszcie te naloty backfire'ów.

–Oni też mogą nas szukać – ostrzegł Toland. – Z całą pewnością dotarła już tam wieść o naszym wyczynie i wiedzą, skąd wysłaliśmy maszyny.

Dowódca myśliwców VF-41 wyjrzał przez okno, W odległości kilkuset metrów cisał się na pasie startowym skryty za workami z piaskiem jeden z jego tomcatów.

Pod skrzydłami miał podwieszane cztery rakiety. Pilot dotknął palcem widniejącego na piersi emblematu, który przedstawiał asa pik.

–No cóż, jeśli pragną zwady na naszym terenie i w zasięgu naszych radarów – tym lepiej.

Alfeld, Republika Federalna Niemiec Na peryferiach miasteczka Aleksiejew przesiadł się z helikoptera do BMP. Towarzyszył mu dowódca 20. Dywizji Czołgów. Dwa mosty funkcjonowały. Po obu brzegach rzeki wały się szczątki pięciu poprzednich oraz trudna do ogarnięcia liczba wypalonych wraków czołgów i ciężarówek.

–Ataki lotnicze NATO są mordercze – oświadczył generał Bieriegowoj. – Nigdy jeszcze czegoś podobnego nie widziałem. Nasze SAM-y są tutaj bezradne. Zdobywamy wprawdzie teren, lecz zbyt wolno. A im dalej, tym gorzej.

–Jak daleko posunęliście się dzisiaj?

–Obecnie główny opór stawiają Anglicy. Co najmniej brygada czołgów. Od świtu cofnęli się o dwa kilometry.

–Powinni tam być również Belgowie – wtrącił Siergietow.

–Belgowie zniknęli. Nie wiemy, gdzie są i... tak, mnie też to niepokoi. Na wszelki wypadek, gdyby próbowali kontratakować, umieściłem na lewej flance jedną z nowo przybyłych dywizji. Pozostałe dołączą do 20. Dywizji Czołgów i po południu ruszą do szturm.

–Jakimi siłami dysponujecie? – spytał Aleksiejew.

–W Dwudziestej zostało tylko dziewięćdziesiąt sprawnych maszyn. Może nawet mniej – odparł generał. – To informacja sprzed czterech godzin. Z piechotą nieco lepiej, ale ogólnie straty dywizji wynoszą grubo ponad pięćdziesiąt procent.

Transporter zjechał na most pontonowy. Każdy, przypominający puszkę, segment konstrukcji połączony był z dwoma sąsiednimi, toteż jadący mostem transporter unosił się i opadał niczym łódź na fali. Trójka oficerów zachowywała kamienne twarze, ale każdy z nich czuł się niepewnie uwięziony nad wodą na szepionych ze sobą stalowych pojemnikach. Wozy bojowe piechoty BMP teoretycznie mogły poruszać się w wodzie, ale podczas przeprawy wiele z nich nieoczekiwanie zatoneło i tylko nielicznym żołnierzom udało się wydostać z pojazdów.

Z oddali dobiegał grzmot artylerii. To lotnictwo atakowało Alfeld bez zapowiedzi.

Przeprawa trwała minutę.

–Jeśli jesteście ciekawi, ten most trzyma, się najdłużej – generał spojrział na zegarek. – Już siedem godzin.

–A co z majorem, którego rekomendowaliście do Złotej Gwiazdy? – spytał Aleksiejew.

–Został ranny podczas ataku lotniczego. Ale żyje.

–Więc mu to dajcie. Niech szybko wraca do zdrowia.

Aleksiejew wyjął z kieszeni pięcioramienną, złotą gwiazdę na krwistoczerwonej wstędze i wręczył ją generałowi. Major saperów od tej chwili był Bohaterem Związku Radzieckiego.

USS "Chicago" Przy granicy lodu pływającego okręty podwodne zwolniły. McCafferty zlustrował barierę przez peryskop – cienka, biała linia odległa o niecałe dwie mile. Nic innego nie dostrzegł. Parę jednostek zatrzymało się tuż przy lodowej barierze. W zasięgu wzroku nie pojawił się żaden samolot.

Hydrolokacja informowała wyłącznie o dobiegającym od strony paka hałasie. Postrzępioną krawędź bariery tworzyły tysiące luźnych, ponad metrowej grubości odłamków kry o powierzchni od kilku do kilkuset metrów kwadratowych.

Każdej wiosny topiły się i rozdzielały dryfując swobodnie aż do chwili, kiedy znów nadchodziły mrozy. Podczas krótkiego arktycznego lata bryły pływającego lodu kruszyły się nawzajem przy wtórze donośnego trzasku. Hałasy te oraz nieustanny huk i głucho pomruki dobiegające z terenów pokrytych wiecznym lodem niosły się ponad biegunem przez całą Arktykę, docierając aż do północnych wybrzeży Alaski.

–A cóż to takiego? – McCafferty zwielokrotnił powiększanie peryskopu.

Dostrzegł coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak wysunięty z wody peryskop. Po chwili zagadkowy kontur zniknął – i znów się pojawił. Przypominająca kształtem sztylet płetwa grzbietowa samca miecznika. Oddech stworzenia znaczył strumień wyrzucanej w górę wody. Po chwili kapitan spostrzegł kilka następnych zwierząt. Orki? Było ich tam całe stado. Zapewne polowały na fokki. Zastanawiał się chwilę, czy to dobry znak, czy zły. Naukowa nazwa:

Orcinus orca – Niosący Śmierć.

–Sonar, macie coś na jeden-trzy-dziewięć?

–Jedenaście mieczników. Trzy samce, sześć samic i dwa małe. Są bardzo blisko. Współrzędne: zmienne – odparł jakby z urazą w głosie szef hydrolokacji. Jeśli nie było innych rozkazów, panował ścisły zakaz meldowania o "zoologii".

–Doskonale – McCafferty mimowolnie uśmiechnął się pod nosem.

Pozostałe okręty podwodne biorące udział w "Operacji

Doolittle" rozciągnięte były na przestrzeni ponad dziesięciu mil. Jeden po drugim zanurzały się i kierowały pod pokrywę lodową. Godzinę później procesja dotarła już pięć mil w głąb terenu wiecznego lodu. Cztery tysiące metrów niżej ścieliło się dno Wielkiej Głębiny Barentsa.

Islandia – Nie widzieliśmy dziś ani jednego helikoptera – zauważył sierżant Smith.

Edwards spostrzegł, że rozmowa stanowi miłe odwrócenie uwagi od faktu, że jedzą surową rybę. Popatrzył na zegarek. Należało połączyć się ze Szkocją. Doszedł już do takiej wprawy, że mógł radio składać i rozkładać we śnie.

–Brytan, tu Ogar. Sytuacja nieco się unormowała.

–Zrozumiałem, Ogar. Gdzie jesteście?

–Okolo czterdziestu sześciu kilometrów od celu – odparł Edwards. Popatrzył na mapę i podał współrzędne.

Z mapy wynikało, że musieli jeszcze przekroczyć jedną szosę i przebyć pasmo wzgórz. – Poza tym nic nowego.

Może tylko to, że dzisiaj nie zaobserwowaliśmy żadnego helikoptera.

Edwards popatrzył w górę. Niebo było nadal czyste.

Przeważnie raz czy dwa razy dziennie widywali przelatujące myśliwce.

–Przyjąłem, Ogar. Jeśli chcesz wiedzieć, dziś o świcie marynarka wysłała myśliwce, które spuściły Rosjanom tęgie lanie.

–To pięknie. Od chwili tamtego spotkania z helikopterem nie widzieliśmy Rosjan.

Kontrolerowi w Szkocji przeszedł po krzyżu dreszcz, a Edwards ciągnął dalej:

–Mamy już dosyć tych ryb, ale samo łowienie jest kapitalne.

–A jak twoja dama?

Mike'a rozśmieszyło to określenie.

–Nie hamuje nam tempa, jeśli o to ci chodzi. Coś jeszcze?

–Nie.

–W porządku, jak będziemy mieli coś ciekawego, połączymy się.

Edwards wyłączył radio.

–Nasi przyjaciele twierdzą, że lotnictwo morskie dało dziś Rosjanom nieźle w kość.

–W samą porę – odparł Smith.

Zostało mu jeszcze pięć papierosów. Teraz wpatrywał się w nie i myślał zapewne, czy uszczuplić ich liczbę do czterech. Obserwujący go Edwards spostrzegł, że sierżant wyjął jednak zapalniczkę i zaczął truć samego siebie.

–Idziemy do Hvammsfjórduru? – spytała Vigdis.

–Po co? *- Ktoś widocznie chce wiedzieć, co tam jest – odparł Edwards.

Rozwinął mapę taktyczną. Wynikało z niej, że wejście do zatoki jest pełne skał. Po chwili dopiero uświadomił sobie, że na mapie wysokości podaje się w metrach, a głębokości w sążniach...

Keflavik – Ile?

Dowódca pułku myśliwców wysiadł ostrożnie z helikoptera. Rękę miał przybandażowaną do piersi. Katapultując się ze zniszczonej maszyny, pułkownik wybił sobie bark, a kiedy lądował na skalistym, górskim zboczu, zwicznął jeszcze nogę w kostce i pokaleczył twarz. Odnaleziono go dopiero po jedenastu godzinach. Generalnie mógł mówić o dużym szczęściu... jak na durnia, który wpędził swój dywizjon w taką pułapkę.

–Pozostało pięć sprawnych maszyn. Z uszkodzonych naprawiliśmy dwie. – Pułkownik zaklął. Mimo zastrzyku z morfiny czuł narastającą wściekłość.

–A ludzie?

–Odnaleźliśmy sześciu, wliczając was. Dwaj są cali i zdrowi. Mogą lecieć choćby zaraz. Reszta trafiła do szpitala.

Niedaleko wylądował drugi helikopter. Wysiadł z niego generał wojsk powietrznodesantowych i ruszył w ich stronę.

–Cieszę się, że żyjecie.

–Dziękuję, towarzyszu generale. Kontynuujecie poszukiwania?

–Cały czas. Wyznaczyłem do tego celu dwa helikoptery.

Co się właściwie wydarzyło?

–Amerykanie zainscenizowali nalot ciężkich bombowców. Nie spotkaliśmy żadnego.

Słyszeliśmy tylko ich radiostacje zagłuszające. Równoległe przysłali myśliwce.

Kiedy nadlatywaliśmy, bombowce czmychnęły.

Pułkownik lotnictwa starał się zachować twarz, a generał nie był zbyt dociekliwy. Pełnili służbę na wysuniętym posterunku, więc takich rzeczy należało się spodziewać.

Migi nie mogły przecież zignorować amerykańskiego nalotu i nie było podstaw winić tego człowieka.

Generał poprosił już drogą radiową o nowe myśliwce, ale nie miał nadziei, że je dostanie. Według założeń samoloty nie były tu konieczne. Z drugiej strony jednak ten sam plan przewidywał, że dywizja o własnych siłach ma trzymać wyspę tylko przez dwa tygodnie. W tym czasie Niemcy miały zostać pokonane, a wojna w Europie wygasać.

Otrzymał kilka doniesień z frontu o tym, że wiadomości radia moskiewskiego są przesadnie optymistyczne. Armia Czerwona miała dotrzeć do Renu – i docierała tak już od pierwszego dnia tej przeklętej wojny! Wszelkie harmonogramy czasowe diabli wzięli. Szef jego wywiadu, by zorientować się w ogólnej sytuacji, ryzykował życiem, słuchając potajemnie dzienników rozgłośni zachodnich – KGB traktowało to jako akt niełojalności. Jeśli doniesienia zachodnie były prawdziwe – tak naprawdę to niezbyt im dowierzał – w Niemczech trwała krwawa jatka. Do chwili jej zakończenia nie będą na Islandii bezpieczni.

Czy Pakt Atlantycki zaatakuje Islandię? Jego oficer operacyjny twierdził, że nie dojdzie do tego tak długo, jak długo Amerykanie nie uporają się z radzieckimi bombowcami dalekiego zasięgu mającymi bazy w Kirowsku. Przejęcie Islandii z kolei miało zapobiec przesunięciu amerykańskich CZERWONY SZTORM • 95 skich lotniskowców na pozycje, w których mogłyby prowadzić skuteczne działania przeciw tym samolotom. Z tych planów na papierze wynikało, że generał winien spodziewać się wyłącznie ataków lotniczych. Po to miał pociski klasy ziemia-powietrze. A przecież nie został dowódcą dywizji dlatego, że przez całe życie grzebał w papierach.

Północny Atlantyk – Co mi się, do diabła, stało?

Kapitan popatrzył na przewód kroplówki podłączonej do jego ramienia. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętał, była popołudniowa wachta i to, że siedł mostkiem...

Illuminator znajdujący się po prawej stronie jego kajuty został zasłonięty. Zaciemnienie. Na zewnątrz panowała noc.

–Zemdlał pan, kapitanie – odparł szef ekipy lekarskiej.

–Proszę się nie...

Kapitan próbował jednak wstać. Uniósł głowę jakieś czterdzieści centymetrów i ponownie

opadł na poduszkę.

–Musi pan odpocząć. Wystąpił u pana krwotok wewnętrzny, kapitanie. Zeszłej nocy wymiotował pan krwią. Myślę, że pękł wrzód. Bardzo się już o pana niepokoiłem.

Czemu się pan do mnie nie zgłosił wcześniej?

Szef wskazał buteleczkę z pigułkami "maalox". Że też w każdym człowieku musi tkwić lekarz – pomyślał.

–Ciśnienie pańskiej krwi spadło i prawie wpadł pan w szok termiczny. Nie był to taki tam sobie ból brzucha, kapitanie. Zapewne czeka pana operacja. Niebawem przyleci helikopter, który zabierze pana na ląd.

–Nie mogę przecież opuścić okrętu. Ja...

–Rozkaz lekarza, kapitanie. Pańska śmierć zepsułaby mi statystykę. Przykro mi, sir, ale jeśli nie zostanie pan poddany solidnemu leczeniu, może się to skończyć bardzo źle. Wraca pan na ląd.

NOWE NAZWY, NOWE TWARZE

Norfolk, Wirginia – Dzień dobry, Ed – odezwał się zza biurka zawałonego stosem posegregowanych pedantycznie depeesz dowódca sił nawodnych amerykańskiej Floty Atlantyckiej.

Dzień! – pomyślał Morris. Pół godziny po północy.

Kapitan tkwił w Norfolk od świtu poprzedniego dnia.

Gdyby był wrócił do domu, przynajmniej by pospał...

–Dzień dobry, sir. Czym mogę służyć? – Morris nie chciał siadać.

–Chciałbyś znów pływać? – spytał wprost dowódca.

–Na czym?

–Kapitanowi "Reubena Jamesa" pękł wrzód żołądka.

Przywiozą go tu z rana. Sam okręt przybędzie trochę później wraz z Flotą Pacyfiku. Włączyłem "Reubena Jamesa" do eskorty konwoju. W porcie nowojorskim formujemy właśnie ogromną flotyllę. Osiemdziesiąt jednostek. Wszystkie wielkie. Wszystkie szybkie. Wszystkie załadowane sprzętem wojennym przeznaczonym dla Niemiec. Konwój wypłynie za cztery dni w asyście potężnej eskorty amerykańsko-brytyjskiej wspieranej przez lotniskowiec. "Reuben James" znajdzie się w porcie na tyle wcześnie, by uzupełnić paliwo i zaopatrzyć się w żywność.

W towarzystwie HMS "Battleaxe" odpłynie dziś wieczorem do Nowego Jorku. Jeśli chcesz, mogę ci dać ten okręt – wiceadmirał popatrzył Morrisowi prosto w oczy.

–Jeśli chcesz, jest twój. Zależy to wyłącznie od ciebie.

–Swoje rzeczy mam ciągle na "Pharrisie" – grał na zwłokę Morris.

Czy naprawdę chciał wracać na morze?

–Pakuj manatki, Ed, i w drogę.

Znalazłby wielu chętnych – pomyślał Morris. W sztabie

operacyjnym, gdzie pracował od chwili powrotu do Norfolk, wielu było ludzi, którzy marzyli tylko o takiej okazji.

Wracać na morze, na pole walki... lub wracać każdego wieczoru do pustego domu i do koszmarów.

–Skoro daje mi pan tę jednostkę, biorę ją.

Fóltziehausen, Republika Federalna Niemiec Północny horyzont płonął ogniem artyleryjskim, który podświetlał odległą linię drzew. Po niebie nieustannie przetaczał się grom. Stanowisko dowództwa dywizji mieściło się zaledwie piętnaście kilometrów od Alfeld, ale trzy gwałtowne ataki lotnicze i trzykrotny zaporowy ogień artylerii zamienił poranną jazdę tam w jeden koszmar.

Wysunięte kwatery 20. Dywizji Czołgów stały się obecnie głównym punktem dowodzenia całej ofensywy na Hameln.

Generał-porucznik Bieriegowoj, który złuzował był Aleksiejewa, dowodził teraz 20. Czołgów oraz grupą operacyjno-manewrową. Idea grup operacyjno-manewrowych była jednym z najlepszych przedwojennych pomysłów radzieckiego dowództwa. "Śmiałe uderzenie" powinno otworzyć korytarz prowadzący na tyły nieprzyjaciela, a grupy operacyjno-manewrowe miały to wykorzystać i ruszywszy szybko tym korytarzem, błyskawicznie przejąć ważne ekonomicznie i politycznie obiekty. Aleksiejew stał oparty plecami o pancierz wozu bojowego i spoglądał na północ, na linię podświetlonych ogniem artyleryjskim lasów. Sprawy nie potoczyły się zgodnie z planem – błysnęło mu w głowie. – Ale czyż NATO miało pomagać nam w realizacji naszych planów?

Ujrzał w górze żółty rozbłysk. Zmrużył oczy i obserwował ognistą kulę, która niczym kometa spadła w odległości kilku kilometrów. Nasz czy ich? – zastanawiał się przez chwilę. Znów pocisk zniszczył czyjeś obiecujące życie. Ludzi zabijają roboty. Kto powiedział, że ludzkość nie stosuje technologii dla pożytecznych celów?

Do tego się właśnie przygotowywał przez całe życie.

Cztery lata w szkole oficerskiej. Trudne początki, kiedy był młodszym oficerem. Potem dowództwo kompanii. Kolejne 7 – Czerwony sztorm t. II

trzy lata w Akademii Wojskowej Frunzego w Moskwie, gdzie uznano go za wschodzącą gwiazdę. Następnie dowództwo batalionu. I znów Moskwa, Akademia Sztabu Generalnego imienia Woroszyłowa. Najlepszy na roku. Dowództwo pułku. Dywizja. I wszystko po to?

W odległości pięciuset metrów, ukryty między drzewami, mieścił się szpital polowy, z którego aż do punktu dowodzenia dobiegały krzyki rannych. To wyglądało inaczej niż na filmach, jakie oglądał w dzieciństwie – i oglądał aż do teraz. Tam ranny cierpiał w pełnym godności milczeniu, palił papierosy dostarczane przez życzliwy personel medyczny i czekał na dzielnych, zapracowanych chirurgów oraz śliczne, ofiarne sanitariuszki. Pieprzenie w bambus, cholerne pieprzenie w bambus – mruknął do siebie. Zawód, do jakiego przygotowywał się przez całe - życie, polegał na organizowaniu masowych morderstw. Posyłał chłopców o twarzach pokrytych jeszcze młodzieńczym trądzikiem w otchłań ciętą żelazem i spływającą krwią. Najstraszniejszy los czekał poparzonych. Załogi płonących czołgów uciekały z nich w palących się na plecach mundurach; ci krzyczeli bez przerwy. Tych, którzy zginęli od bomby lub kuli litościwego oficera, zastępowali po prostu inni. Szczęśliwcy, którym udało się w jakiś sposób dostać do polowych szpitali, spotykali tam pielęgniarzy zbyt zapracowanych, by dawali im papierosy i ślaniających się ze zmęczenia lekarzy.

Olśniewający sukces taktyczny w Alfeld, jaki osiągnął generał, jak dotąd prowadził donikąd. Aleksiejew zastanawiał się, czy w ogóle dokądkolwiek zaprowadzi. Nawet jeśli on rzuci na szalę kolejne młode życia. A wszystko dlatego, że tak jest napisane w książkach stworzonych przez ludzi, którzy robią wszystko, by zapomnieć o piekle, w jakie wpychają innych.

A po drugie, Pasza? – zadał sobie pytanie. – Co z tymi czterema pułkownikami, których kazałeś rozstrzelać? Trochę za późno na skruchę, prawda? Skończyła się zabawa. Teraz to nie były ćwiczenia w Szpoli ani nawet zwykłe wypadki podczas manewrów. Co innego obserwować wszystko oczyma dowódcy kompanii, który wykonuje nadchodzące

z góry rozkazy, a co innego wydawać te rozkazy i obserwować wyniki własnych działań.

"Nie ma rzeczy straszniejszej od wygranej bitwy – z wyjątkiem bitwy przegranej" – tę myśl Wellingtona z komentarza do bitwy pod Waterloo, jednego z dwóch milionów tomów w bibliotece Akademii Frunzego, Aleksiejew pamiętał doskonale. Naturalnie, radziecki generał nigdy by czegoś podobnego nie napisał. Czemu w ogóle pozwalano nam to czytać? – pomyślał. Jeśli żołnierz naczyta się głównie takich komentarzy zamiast dzieł traktujących o chwale bitewnej, co uczyni, gdy jego polityczni władcy dadzą rozkaz do wymarszu?

No i po trzecie – mówił do siebie generał – istnieje podstawowa idea...

Oddał mocz na pień drzewa i wrócił do swojej kwatery.

Bieriegowej był pochylony nad mapą. Porządny człowiek, wyśmienity żołnierz; o tym Aleksiejew wiedział. A co on o tym wszystkim myśli?

–Towarzyszu, właśnie znów pojawiła się brygada Belgów. Atakują naszą lewą flankę. Zastawili pułapkę na dwa nasze pułki zmierzające na wyznaczone pozycje. Mamy kłopoty.

Aleksiejew stanął obok Bieriegowoja i szybko skalkulował, czym dysponuje. Pakt Atlantycki ciągle jeszcze nie skonsolidował swych sił. Atak nastąpił na połączeniu dwóch dywizji; jednej, potężnie już wykrwawionej i drugiej – świeżej, ale niedoświadczonej. Porucznik przesunął na mapie kilka klocków. Radzieckie pułki cofały się.

–Ten rezerwowy pułk zostawcie na miejscu – polecił Aleksiejew. – A ten przesuniecie na północny zachód.

Kiedy Belgowie zbliżą się do skrzyżowania tych dróg, spróbujemy uderzyć na nich z flanki. Żołnierz zawsze musi być profesjonalistą.

Islandia – W porządku, to tam – Edwards wręczył sierżantowi Smithowi lornetkę.

Od Hvammsfjórduru dzieliło ich już tylko kilka kilometrów

i po raz pierwszy ujrzeli go ze szczytu siedemsetmetrowego wzgórza. Widzieli lśniąca rzekę, która toczyła swe wody do odległego o prawie dwadzieścia kilometrów fiordu. Przycupnęli przy samej ziemi tak, by nikt nie mógł dostrzec ich sylwetek na tle stojącego nisko słońca.

Edwards wyciągnął radio.

–Brytan, tu Ogar. Cel mamy w zasięgu wzroku.

Porucznik zdał sobie sprawę, że palnął głupstwo. Hvammsfjórdur był przecież długi prawie na pięćdziesiąt kilometrów, a w najszerszym miejscu liczył sobie około szesnastu.

Oficer w Szkocji czuł się zaskoczony. Grupa Edwardsa w ciągu ostatnich dziesięciu godzin przebyła piętnaście kilometrów.

–Jak się czujecie?

–Jeśli chcesz żebyśmy leźli dalej, to ostrzegam kolego, że baterie w radiu są na wyczerpaniu.

–Rozumiem – major z trudem powstrzymał uśmiech.

–Gdzie dokładnie jesteście?

–Okolo ośmiu kilometrów na wschód od wzgórza 578. A teraz, skoro już tu jesteśmy, może powiesz nam po co? – spytał Edwards.

–Jeśli zauważycie jakieś ruchy Rosjan, powtarzam, jakiegokolwiek ruchy, musimy o tym natychmiast wiedzieć.

Choćby tylko jeden Ruski lał na skały, chcemy o tym wiedzieć. Zrozumiałeś?

–Zrozumiałem. Chcecie znać każdy szczegół. Dobrze.

Jak dotąd w zasięgu wzroku nie ma żadnych Rusków. Po lewej stronie widnieją jakieś ruiny, a niedaleko rzeki stoi farma. Sprawia wrażenie wymarłej. Interesuje was jakieś konkretne miejsce?

–Właśnie się nad tym zastanawiamy. Chwilowo musicie się zapaść pod ziemię. Znajdźcie sobie dobrą kryjówkę. Jak sytuacja z żywnością?

–Na dzisiaj mamy jeszcze ryby, a w pobliżu widzimy jezioro, w którym możemy złowić więcej. Nie wiem, Brytan, czy pamiętasz, że obiecałeś nam przysłać tu pizzę?

Dałbym się za nią zabić. Pepperoni, cebulka i te rzeczy.

–Ryby są bardzo zdrowe, Ogar, twój sygnał słabnie.

Od teraz musisz bardzo dbać o baterie. Macie dla nas coś jeszcze?

–Nic. Jeśli pojawi się coś interesującego, damy znać.

Edwards wyłączył radio.

–Jesteśmy w domu! – oświadczył.

–Miło to słyszeć – roześmiał się Smith. – Gdzie ten dom?

–Po drugiej stronie góry jest Budhardalur – wtrąciła Vigdis. – Mieszka tam mój wujek Helgi.

Pewnie dostalibyśmy tam jakieś przyzwoite jedzenie – rozmarzył się Edwards. – Może jagnię, parę piw, a nawet coś mocniejszego. Łóżko... prawdziwe, miękkie łóżko z prześcieradłem i pikowaną kołdrą, jakich tutaj używają.

Wanna, ciepła woda do golenia. Pasta do zębów. Edwards czuł bijący od siebie smród. Korzystał z każdej sprzyjającej okazji, by się kąpać w strumieniach, ale chwil takich naprawdę było niewiele. Cuchnę jak kozioł – pomyślał. – Bez względu na to, jak kozioł cuchnie. Ale nie po to przeszliśmy taki kawał drogi, by na końcu postępować jak idioci.

–Sierzancie, proszę zabezpieczyć to miejsce.

–Robi się, szefie. Rodgers, rozpakuj plecaki. Garcia, ty i ja trzymamy pierwszą wartę. Cztery godziny. Zajmij pozycję na tym pagórku. Ja pójdę tam, w prawo – Smith popatrzył na

Edwardsa. – Wreszcie sobie odsapniemy, szefie.

–Oj tak. Jeśli zobaczy pan coś interesującego, proszę natychmiast dać mi kopa.

Smith skinął głową i udał się na oddalony o jakieś sto metrów posterunek.

Rodgers już spał. Pod głową miał zrolowany płaszcz, karabin położył na piersi.

–Zostajemy tu? – spytała Vigdis.

–Bardzo chciałbym odwiedzić twego wujka, ale w mieście mogą być Rosjanie. Jak się czujesz?

–Zmęczona.

–Jak my wszyscy? – spytał z uśmiechem.

–Tak, jak wy wszyscy – przyznała. Położyła się obok Edwardsa. Była niesamowicie brudna.

Wełniany sweter

świecił dziurami, a buty nadawały się tylko na śmietnik. – Co teraz z nami będzie?

–Nie wiem. Ale z jakichś względów chcieli, byśmy tu doszli.

–Nie powiedzieli po co?

Potrzebują informacji wywiadowczych – pomyślał porucznik.

–Wiesz, ale nie wolno ci mówić? – spytała ponownie Vigdis.

–Nie, wiecie tyle samo co ja.

–Michael, dlaczego to się stało? Dlaczego Rosjanie nas napadli?

–Nie wiem.

–Przecież jesteś oficerem. Musisz wiedzieć.

Vigdis uniosła się i oparła na łokciu. Na twarzy malował się jej wyraz takiego zdumienia, że Edwards się uśmiechnął.

Wcale się dziewczynie nie dziwił. Policja stanowiła jedyne siły zbrojne na Islandii. Prawdziwe Królestwo Pokoju, kraj, w którym w ogóle nie mówiło się o wojsku. Kilka niewielkich, uzbrojonych okrętów chroniących flotę rybacką i policja; kraj niczego więcej nie potrzebował. Wojna kompletnie zburzyła porządek życia jego mieszkańców. Nie dysponująca armią i flotą wojenną Islandia przez tysiąc lat nie została ani razu zaatakowana. Stało się to dopiero teraz i to tylko dlatego, że po prostu była po drodze. Zastanawiał się, czy doszłoby do tego, gdyby

NATO nie wybudowało bazy w Keflaviku. Oczywiście, że doszłoby. Idioto – myślał Edwards. – Przekonałeś się sam, jak miłymi ludźmi są Rosjanie! Z bazą czy bez bazy, Islandia leżała na ich drodze.

Ale czemu w ogóle doszło do tej przeklętej wojny?

–Vigdis, jestem tylko meteorologiem synoptykiem.

Przepowiadam pogodę dla sił powietrznych.

Po tym wyznaniu dziewczyna była jeszcze bardziej zaskoczona.

–Nie jesteś żołnierzem? Nie należysz do piechoty morskiej?

Mikę potrząsnął głową.

–Jestem oficerem amerykańskiego lotnictwa, ale takim żołnierzem jak sierżant Smith, to nie jestem. Moja praca polega na czymś innym.

–Ale to ty uratowałeś mi życie. Jesteś żołnierzem.

–No cóż, być może i jestem... przez przypadek.

–Kiedy to wszystko się skończy, co będziesz robił? – w oczach miała wyraz wielkiego zainteresowania.

Operował kategoriami godzin, nie dni czy tygodni. Jeśli przeżyjemy, co wtedy? Nie myśl o tym. Najpierw przeżyjmy.

Jak będziesz myślał o "po wojnie", możesz szybko stracić życie.

–Powoli, nie wszystko od razu. Teraz jestem zbyt zmęczony, by o tym myśleć. Śpijmy.

Poddała się. Chciała wiedzieć rzeczy, o których Mikę świadomie nawet nie myślał. Była jednak bardziej zmęczona, niż się do tego przyznawała i po dziesięciu minutach spała już kamiennym snem. Chrapała. Mikę zauważył to po raz pierwszy. Nie była porcelanową lalką. Była silna i słaba zarazem, miała dobre i złe strony. Miała twarz "anioła, ale i była w ciąży.

Więc co z tego? – pomyślał Edwards. – Jej odwaga idzie w parze z urodą. Gdy odkrył nas helikopter, uratowała mi życie. Niejeden mężczyzna straciłby w takiej sytuacji głowę.

Porucznik zmusił się do snu. Nie mógł pozwolić sobie na jałowe spekulacje. Najpierw musiał przeżyć.

Szkocja – Czy teren sprawdzony? – spytał major.

Nigdy by nie przypuszczał, że Edwards i jego ludzie, mając na karku osiem tysięcy rosyjskich żołnierzy, zdołają przedrzeć się tak daleko. Ilekroć myślał o tej piątce przemierzającej odkryte, skaliste tereny, o krążących nad jej głowami sowieckich helikopterach, cierpła mu skóra.

–Koło północy, tak sędzę – odparł człowiek z wydziału operacji specjalnych. Uśmiechnął się, a wokół oczu pojawiły mu się zmarszczki. – Wasi bonzowie powinni

tego chłopaka odznaczyć. Sam kiedyś znalazłem się w jego sytuacji. Nie zdajecie sobie nawet sprawy z tego, jak trudnej sztuki ci ludzie dokonali. Mając w dodatku nad sobą te pieprzone hindy. Tych skurwieli naprawdę trzeba się wystrzegać.

–No dobrze, tak czy owak teraz wesprą ich prawdziwi zawodowcy.

–Niech lepiej nie zapomną zabrać dla nich żywności – doradził major amerykańskiego lotnictwa.

Langley, baza lotnicza, Wirginia – W czym problem? – spytała Nakamura.

–Występują nieprawidłowości w osłonach silników niektórych rakiet – wyjaśnił inżynier.

–Są nieszczelne?

–Być może.

–Super – stwierdziła major Nakamura. – Mam zatem wynieść tego potwora na wysokość dwudziestu siedmiu kilometrów i tam się dopiero przekonać, kto polecą na orbitę, on czy ja?

–Kiedy ten rodzaj rakiet eksploduje, nic się wielkiego nie dzieje. Pękają na kilka części i palą się.

–W odległości dwudziestu siedmiu kilometrów może faktycznie nic się wielkiego nie dzieje. A jeśli tłok zadziała siedem metrów od mojego F-15?

Długa droga do ziemi – sama sobie odpowiedziała Buns.

–Przykro mi, pani major. Ten typ silnika to model sprzed dziesięciu lat. Od czasu, gdy zainstalowano go w głowicach antysatelitarnych, nikt go nie sprawdzał.

Teraz tę broń poddaliśmy kompleksowej kontroli przy użyciu promieni Roentgena i ultradźwięków. Wydaje mi się, że są w porządku. Mogę się jednak mylić – odparł pracownik Lockheeda. Ostatnio osobiście cofnął atest na trzy z sześciu pozostałych pocisków antysatelitarnych ze względu na pęknięcia w pojemnikach na paliwo stałe.

Reszta rakiet stanowiła znak zapytania. – Chce pani prawdy czy mydlenia oczu?

–Może pani nie lecieć, majorze – wtrącił zastępca dowódcy lotnictwa taktycznego. – To już zależy od pani.

–Czy można zrobić tak, by pocisk włączał silniki dopiero, kiedy znajdzie się daleko ode mnie?

–Jak daleko? – spytał inżynier.

Buns błyskawicznie przeliczyła w pamięci szybkość i zdolność manewrowania na tej wysokości.

–Powiedzmy po dziesięciu, piętnastu sekundach.

–Będę musiał dokonać pewnych korekt w systemie programowania, ale nie powinno to stanowić większego problemu. Musimy mieć pewność, że pocisk zachowa wystarczające przyspieszenie, by po wystrzeleniu utrzymał kurs. Myśli pani, że tyle sekund starczy?

–Nie. Ale sprawdzimy to na symulatorze. Ile mamy na to czasu?

–Od dwóch do sześciu dni. Wszystko zależy od marynarki – odparł generał.

–Cudownie. <

Stornoway, Szkocja – Mam dobrą wiadomość – oznajmił Toland. – Przelatujący nad dużym konwojem na północ od Azorów myśliwiec F-15 Eagle należący do sił powietrznych natknął się na dwa beary poszukujące statków. Oba zniszczył. Daje to nam ogólną liczbę trzech samolotów tego typu zestrzelonych w ciągu ostatnich czterech dni. Tak zatem nalot backfire'ów tym razem raczej się nie uda.

–A gdzie teraz są? – spytał kapitan grupy.

Toland przeciągnął ręką wzdłuż mapy, wskazując zgodnie z zawartymi w depeszy danymi długość i szerokość geograficzną.

–Chyba dokładnie w tym miejscu. Informacja pochodzi sprzed dwudziestu minut.

–Nad Islandią więc będą za niecałe dwie godziny?

–A co z tankowcami powietrznymi? – myśliwców marynarki.

–W depeszy nic o nich nie wspomniano.

–Tak daleko możemy wysłać dwa myśliwce w towarzystwie dwóch innych w charakterze tankowców. Ale to da im tylko dodatkowe dwadzieścia minut na stanowisku, niecałe pięć minut na lot na dopalaczach oraz dziesięciominutową rezerwę paliwa na powrót. – Szef myśliwców zagwizdał. – Za mało. To stanowczo za mało. Musimy coś wymyślić.

Zadzwoił telefon. Dowódca brytyjskiej bazy podniósł słuchawkę.

–Kapitan Mallory. Tak... bardzo dobrze, zaraz tam będę.

W oddalonych o kilkaset metrów koszarach rozległy się klaksony alarmowe. Piloci myśliwców biegli do maszyn.

–Iwan potwierdził swoją obecność, komandorze. Samoloty radiolokacyjne informują o potężnych źródłach zagłuszania. Zbliżają się do nas od północy.

Dowódca wybiegł z pomieszczenia i wskoczył do jeepa.

Norfolk, Wirginia Jazda z siedziby dowództwa lotnictwa strategicznego na Atlantyku trwała dziesięć minut. Pełniący u głównej bramy straż żołnierze piechoty morskiej skrupulatnie sprawdzali wszystko i wszystkich. Chevrolet trójgwiazdkowego admirała nie stanowił wyjątku. Na przylegających do wybrzeża terenach panował nieustanny ruch. Po biegnących na środku jezdni szynach toczyły się pociągi, zakłady naprawcze i remontowe działały na okrągło, dzień i noc. Nawet bar McDonalda, usytuowany tuż przed bramą portu pracował dwadzieścia cztery godziny na dobę, zapewniając hamburgery i frytki ludziom, którzy potrzebowali kilku minut wytchnienia. Choć to pozornie trywialne i mało istotne, dla załóg, które dzień czy dwa spędzały na lądzie, było to niebywale ważne.

Przy dokach samochód skręcił w prawo. Minął pirsy z zacumowanymi okrętami podwodnymi i skierował się w stronę niszczycieli.

–Okręt niedawno opuścił stocznię i na wodzie przebyCZERWONY SZTORM • 107 wa zaledwie od miesiąca. Tyle czasu zajęło wy kalibrowanie elektroniki. Ponadto załoga musiała się dotrzeć – poinformował admirał. – Kapitan Wilkens uporał się z tym wszystkim w drodze z San Diego. Nic jednak nie działał w kwestii helikopterów, których Flota Pacyfiku strzeże bardzo zazdrośnie. Mogłem panu zapewnić tylko jedną maszynę typu Seahawk-F. To prototyp śmigłowca, prosto z Jacksonville.

–Jeśli jest to maszyna z sonarem zanurzonym, poradzę sobie – odparł Ed Morris. – Co z pilotem? Musi się na tym znać.

–To też załatwiłem. Komandor-porucznik O'Malley. Ściągnęliśmy go z ośrodka szkoleniowego w Jax.

–Znam to nazwisko. Był operatorem systemów na "Moosbruggerze", podczas gdy ja pełniłem funkcję oficera taktycznego na "Johnie Rodgersie". Tak, ten facet zna swój fach.

–W takim razie zostawiam pana samego. Wróć za godzinę. Muszę zobaczyć, co zostało z "Kidda".

"Reuben James". Skośny dziób jednostki z wymalowanym numerem 57 wisiał nad przystanią

niczym ostrze gilotyny. Morrisa natychmiast odeszło całe zmęczenie.

Wysiadł z chevroleta i zaczął przyglądać się okrętowi z radością ojca, który widzi pierwszy raz własne, nowo narodzone dziecko., Fregaty FFG-7 widywał nieraz, ale nigdy nie był na pokładzie żadnej z nich. Drapieżny kształt dziobu przywodził mu na myśl wrzecionowate kadłuby jachtów wyścigowych Cigarette. Między okrętem a pirssem przeciągnięto sześć cum o grubości piętnastu centymetrów każda. Przy swoich trzech tysiącach dziewięciuset ton wyporności "Reuben James" nie był dużym okrętem, ale za to niebywale szybkim.

Miał smukłą nadbudówkę zwieńczoną biczami anten i masztów radarowych, jakby stworzoną przez dzieci z klocków "lego". Morrisa zachwycała funkcjonalna prostota tej konstrukcji. Na dziobie, w stojakach widniało czterdzieści rakiet stanowiących uzbrojenie fregaty. Na

rufie były miejsca dla dwóch groźnych helikopterów – niszczycieli okrętów podwodnych. Smukły kadłub sprawiał, że jednostka mogła rozwinać dużą szybkość.

Nadbudówka była kanciasta, bo taka musiała być. "Reuben James" to okręt wojenny i swoją urodę zawdzięczał wyłącznie przypadkowi.

Ubrani w błękitne bluzy i jeansy marynarze w pośpiechu przemierzali schodnie i przejścia w nadburciu, dźwigając pakunki z zaopatrzeniem. Strzegący pirsu marines oddali Morrisowi honory, a oficer pokładowy gorączkowo przygotowywał wszystko do powitania nowego dowódcy. Gdy okrętowy dzwon zadzwonił cztery razy, komandor Ed Morris wkroczył na fregatę.

–"Reuben James" gotowy!

Morris oddał honory banderze, a następnie oficerowi pokładowemu.

–Sir, myśleliśmy, że pojawi się pan...

–Jak przygotowania? – przerwał mu Morris.

–Jeszcze dwie godziny, sir.

–Wspaniale – uśmiechnął się Morris. – O Myszce Miki porozmawiamy później. Niech pan wraca do swoich zajęć, panie...?

–Lyles, sir. Oficer kontroli okrętu.

Cóż to, do licha, za funkcja? – pomyślał Morris.

–W porządku, panie Lyles. Gdzie pierwszy oficer?

–Tutaj, kapitanie. – Pierwszy miał usmarowaną towotem koszulę i smugę brudu na policzku. – Byłem w generatorach. Przepraszam za mój wygląd.

–W jakiej fazie przygotowań jest okręt?

–Paliwo zatankowane. Załadowana broń. Holowany sonar wy kalibrowany...

–Tak szybkoście to wszystko załatwili?

–Nie było to proste. Jak czuje się kapitan Wilkens?

–Lekarze twierdzą, że wyjdzie z tego... no cóż, na razie jest wyłączony. Nazywam się Ed Morris – potrząsnął dłonią pierwszego oficera.

–Frank Ernst – przedstawił się oficer i dodał ze wstydliwym uśmiechem: – Po raz pierwszy we Flocie

Atlantyckiej. Trafiłem tu, kiedy już zrobiło się gorąco. Ale wszystko idzie dobrze. Wszystko działa. Pilot helikoptera odbywa właśnie naradę z chłopakami z taktyki w centrum informacji bojowej. To Jerry "Młot"; grałem z nim w piłkę w Annapolis. Fajny gość. Mamy trzech doskonałych szefów.

Oficer pokładowy to doświadczony marynarz. Załoga jest młoda, ale myślę, że przygotowana na najgorsze sytuacje.

Za dwie, trzy godziny możemy wypływać. Gdzie ma pan swoje rzeczy, sir?

–Będą tu za pół godziny. Jakieś problemy na dole? – Żadnych. W generatorze diesla numer trzy nie funkcjonował system olejowy. Błąd ekipy lądowej. Niedokładnie przyspawali. Już naprawione. Maszynownia w porządku, kapitanie. Przy półtorametrowych falach możemy rozwijać prędkość trzydziestu jeden i pół węzła – Ernst uniósł brwi. – Wystarczy?

–A stabilizatory?

–W porządku, kapitanie.

–Ekipa do zwalczania okrętów podwodnych?

–Chodźmy do nich.

Morris udał się za pierwszym oficerem do nadbudówki.

Przeszli między dwoma hangarami dla helikopterów, minęli pomieszczenia oficerskie i zeszli po drabince do centrum informacji bojowej, które przylegało do reprezentacyjnego pomieszczenia okrętu.– Centrum było mroczne, większe i dużo nowocześniejsze niż na "Pharrisie" ale równie zatłoczone. Ponad dwadzieścia osób zajmowało się właśnie grą symulacyjną.

–Kurwa, nie tak! – krzyknął ktoś. – Musisz reagować szybciej. To jest victor i nie będzie

czekał aż się zdecydujesz!

–Baczność, kapitan w centrum informacji bojowej! – zawołał Ernst.

–Właśnie – odezwał się Morris. – Kto tak ładnie mówi?

Z cienia wyłonił się potężnie zbudowany mężczyzna. Oczy otaczały mu zmarszczki od częstego spoglądania w nisko stojące słońce. Jerry "Młot" O'Malley. Kapitan znał jego głos ze skrzekliwych komunikatów w krótkofalówkach

i wiedział, iż człowiek ten bardziej dba o sławę łowcy okrętów podwodnych niż o awanse.

–Chyba o mnie pan mówi, kapitanie. O'Malley. Mam kierować Seahawkim-foxtrot.

–Miał pan rację z tym Victorem. Jeden z tych skurwysynów przeciął mi okręt prawie na pół.

–To przykre, ale muszę pana pocieszyć, że Iwan powierza Victory swoim najlepszym dowódcom. To wyśmienite jednostki i wyśmienici kapitanowie. Miał pan do czynienia z fachowcem. Czy był na zewnątrz konwoju?

Morris potrząsnął głową.

–Wykryliśmy go zbyt późno. Warunki akustyczne nie były najlepsze. Wyszliśmy ze sprintu. Znajdował się nie dalej niż pięć mil. Posłaliśmy za nim helikopter. Maszyna zlokalizowała jego pozycję, ale Rosjanin zerwał kontakt i dostał się do środka konwoju.

–Victory są w tym dobre. Nazywam je lisami. Zaczyna z jednej strony, potem gwałtownie skręca, zostawiając za sobą wodny wir i zapewne generator szumów. Następnie zanurza się pod interklinę i rusza całą prędkością. Ostatnio bardzo usprawnili tę technikę i mamy niejakie kłopoty z jej rozpracowaniem. Tak. By walczyć z Victorem^ trzeba dobrej załogi śmigłowca i wyśmienitego zespołu na pokładzie okrętu.

–Jeśli nie czytał pan mego raportu, przyjacielu, uwierzę, że potrafi pan czytać w myślach.

–Bo tak jest, kapitanie. Ale umysły, w których czytam, myślą po rosyjsku. W tej lisiej taktyce, victory są najlepsze i musi pan zawsze uwzględniać ich zdolność do nagłych przyspieszeń i raptownych skrętów. Zawsze tłumaczę swej załodze, że kiedy wydaje się, iż Victor robi skręt w lewo, naprawdę zakręca w prawo. Należy wtedy prześlizgnąć się jeszcze jakieś dwa tysiące metrów i odczekać minutę czy dwie. Potem przypieprzyć sukinsynowi rakieta, zanim on wystrzeli swoją.

–A jeśli się pan pomyli?

–To się pomyłę, kapitanie. Ale ruchy Iwana łatwo przewidzieć. Jeśli naturalnie myśli pan kategoriami podwodniaka i patrzy na wszystko nie ze swego punktu

widzenia, ale z punktu widzenia taktyki przeciwnika. Zawsze oczywiście może uciec, ale Rosjanie mają już taką naturę, że z uporem atakują cel, a to pan może zawsze wykorzystać.

Morris popatrzył O'Malleyowi w oczy. Kapitan nie mógł pogodzić się z tym, że tragedia, jaka spotkała "Pharrisa", daje się tak łatwo wytłumaczyć. Ale nie było czasu na jałowe rozmyślenia. O'Malley był zawodowcem i jeśli ktoś mógł się odpowiednio zająć następnym victorem, tym kimś był właśnie on.

–Jest pan gotów?

–Maszyna czeka. Przylecimy, gdy tylko okręt minie przylądki. Na razie chciałbym omówić parę rzeczy z pańską ekipą do zwalczania okrętów podwodnych. Mamy pełnić rolę zewnętrznej pikiety?

–Chyba tak. Z holowaną anteną sonarową raczej nie będziemy trzymać się blisko konwoju. Towarzyszyć nam będą Brytyjczycy.

–Wspaniale. Dysponuje pan wyśmienitym zespołem do zwalczania jednostek podwodnych. Mocno utrudnimy życie złym chłopcom. Czy to nie pan służył kilka lat temu na "Rodgersie"?

–A pan był na "Moose'ie"? Współdziałaliśmy ze sobą dwukrotnie, choć nigdy się nie spotkaliśmy. W walce przeciwko "Skate'owi" byłem "X-Ray Mikę".

–Chyba sobie pana przypominam – O'Malley podszedł do Morrisa i spytał cicho:

–Naprawdę jest tak paskudnie?

–Bardziej niż paskudnie. Utraciliśmy linię Grenlandia-Islandia-Wyspy Brytyjskie. Mamy wprowadzić potężne wsparcie nawodnych jednostek z holowanymi antenami, ale mogą iść o zakład, że Iwan mocno weźmie się za te tuńczykowce. Grozi nam niebezpieczeństwo zarówno z powietrza jak i spod wody.

Wyraz jego twarzy mówił znacznie więcej niż słowa.

Stracił tylu przyjaciół. Jego pierwszy okręt został rozcięty na pół. Morris był zmęczony, ale najdłuższy nawet sen nie mógł postawić go na nogi.

O'Malley skinął głową.

–Kapitanie, mamy nowiutką fregatę, wspaniałą nowy helikopter i sonarową antenę holowaną. Dopłyniemy do celu.

–Cóż, niebawem wychodzimy. Do Nowego Jorku dotrzemy za dwie godziny, a we środę ruszamy z konwojem.

–Sami?,-•- zapytał O'Malley.

–Nie, do Nowego Jorku będzie nam towarzyszyć HMS "Battleaxe". Nie mam jeszcze potwierdzenia, ale wygląda na to, że będziemy z nim współdziałać przez całą drogę.

–To bardzo dobrze – odezwał się Ernst. – Chodźmy na rufę, kapitanie. Wszystko panu pokażę.

Pomieszczenie sonaru mieściło się za centrum informacji bojowej. W przeciwieństwie do mrocznej, oświetlonej czerwonymi lampami centrali, było tam niezwykle jasno.

–Jezu słodki! Nikt mnie nie poinformował! – wykrzyknął na widok dowódcy młody komandor-porucznik.

–Witam, kapitanie. Jestem Lenner, oficer systemów bojowych.

–Czemu nie jest pan przy aparaturze?

–Zatrzymaliśmy grę, kapitanie, i przeglądamy zapis.

–Osobiście dostarczyłem tę taśmę – wyjaśnił O'Malley.

–To zapis victora-III, który w zeszłym roku na Morzu Śródziemnym zmylił jeden z naszych lotniskowców. Widzi pan? To jest właśnie ta lisia taktyka. Kontakt znikł, po czym znów się pojawił. Ale to już tylko generator szumów w wirze wodnym. Okręt w tym miejscu zszedł pod interklinę i poszedł sprintem w środek ekranu. Mógł spokojnie trafić w lotniskowiec; przez kolejnych dziesięć minut go nie wykryto. Tego właśnie pan szuka – puknął palcem w ekran. – Świadczy to o tym, że dowódca okrętu podwodnego dobrze zna swój fach. Zszedł pana od tyłka.

Morris bacznie obserwował ekran. Raz już to widział.

–A jeśli zacznie manewrować, by zerwać kontakt? – spytał Lenner.

–Jeśli zechce zerwać kontakt, to czemu nie ma zrywać go, przedzierając się w stronę celu? – spytał cicho Morris, zdając sobie sprawę, iż oficer systemów bojowych jest jeszcze bardzo młody.

–Racja, kapitanie – pokiwał ponuro głową O'Malley.

–Jak już mówiłem, jest to ich standardowa taktyka. Ale wymaga ostrych dowódców. Agresywny kapitan zawsze tak postąpi. Jeśli zerwie kontakt, odda celny strzał. My musimy znów go namierzać. Ale jeśli przyspieszymy do dwudziestu węzłów, musi nas gonić. A wtedy powoduje hałas. Kapitan, który ucieka, zapewne nie podejmie takiego ryzyka. A jeśli to robi, to go złapiemy. Nie, taka taktyka jest dobra wyłącznie dla tych, którzy chcą podejść rzeczywiście blisko.

Pytanie tylko, ilu z ich dowódców jest aż tak agresywnych?

–Mają ich dosyć – Morris odwrócił głowę. – A co z załogą helikoptera?

–Mój drugi pilot wprawdzie jest jeszcze zupełnie zielony, ale operator systemów pokładowych to bardzo doświadczony podoficer pierwszej klasy. Zespół techniczny i remontowy to zbieranina z Jax. Rozmawiałem już z nimi.

Sądzę, że są w porządku.

–Mamy dla nich koje? – spytał Morris.

–Nie bardzo – potrząsnął głową Ernst. – Wszędzie tłok.

–Panie O'Malley, czy pański drugi pilot służył w lotnictwie morskim?

–Tak, ale nie na fregacie. Ja służyłem w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym. W drodze do Nowego Jorku nabierzemy rutyny. Wie pan, kapitanie, zespół zebrany na łapu capu. Moja maszyna nawet nie wchodziła w skład żadnej eskadry operacyjnej.

–Przed chwilą pan twierdził, że pan ufa tym ludziom.

–Bo ufam – odparł O'Malley. – Moi ludzie umieją posługiwać się sprzętem. Są bardzo dobrzy. I pojętni.

Rozumiemy się w pół słowa.

O'Malley uśmiechnął się od ucha do ucha. Dla pilotów pewne rzeczy były bardzo istotne. Kiedy O'Malley użył zwrotu "moi ludzie", znaczyło to, że nie pozwoli, by ktokolwiek wtrącał się w sprawę helikoptera. Morris pominął to milczeniem. Nie chciał się spierać. Nie w tej chwili.

–Dobrze. A teraz, Pierwszy, chciałbym obejrzeć okręt.

A z panem, O'Malley, spotkamy się za przylądkami.

–Helikopter jest już gotów, kapitanie. Do zobaczenia. 8 – Czerwony sztorm t. II

Morris skinął głową i ruszył na inspekcję okrętu. Prowadząca na mostek drabinka znajdowała się metr od drzwi centrum informacji bojowej i w takiej samej odległości od wejścia do kajuty kapitana. Wspiął się po szczeblach. Był zmęczony, niewyspany, a nogi miał jak z waty.

–Kapitan na mostku – oznajmił podoficer dyżurny.

Morris nie był zdumiony. Był przerażony, widząc, że "koło" sterowe okrętu było po prostu mosiężną tarczą wielkości tarczy w telefonie. Sternik siedział nieco z boku, a po prawej stronie miał duże, plastikowe pudło zawierające kierowaną bezpośrednio przepustnicę połączoną z turbodrzutowymi silnikami okrętu. Pod sufitem sterowni ciągnęła się metalowa poręcz. Gdy "Reuben James" płynął po wzburzonym morzu, można się było jej przytrzymać.

Wymowny dowód stateczności okrętu.

–Czy służył pan kiedyś na takiej jednostce? – spytał pierwszy oficer.

–Nawet nie byłem na pokładzie – odparł Morris.

Głowy czterech wachtowych na mostku, jak na komendę, odwróciły się w jego stronę. – Ale systemy broni znam.

Parę lat temu pracowałem w zespole, który je projektował i wiem z grubsza, jak się tę jednostkę prowadzi.

–Jest szybka niczym sportowy samochód, sir – zapewnił Ernst. – Po wyłączeniu silników porusza się bezszelestnie jak kłoda drewna. Szybkość trzydziestu węzłów osiąga w dwie minuty.

–Kiedy możemy wypłynąć?

–W dziesięć minut po pańskim rozkazie, kapitanie.

Olej smarowy nieustannie jest podgrzewany. A holownik, który wyprowadzi nas z portu, już czeka.

–Dowódca nawodnych sił atlantyckich na pokładzie – zadudniło w głośniku.

Dwie minuty później w sterowni pojawił się admirał.

–Pańskie rzeczy są już na okręcie. Co pan sądzi o "Reubenie Jamesie"?

–Proszę nadzorować zaprowiantowanie – odezwał się Morris do pierwszego oficera. – Admirale, mogę pana prosić do swej kajuty?

Na dole czekał już steward z kawą i kanapkami. Morris nalał do kubków płyn, ale jedzenia nie tknął.

–Admirale, nigdy jeszcze takim okrętem nie kierowałem. Nie znam silników...

–W maszynowni masz wspaniałego szefa, a okręt prowadzi się jak marzenie. Sterują nim stare wygi. Ed, ty jesteś tylko od taktyki i rakiet. Twoje stanowisko będzie w centrum informacji bojowej. Tam jesteś potrzebny.

–Cóż, skoro tak pan uważa, sir...

–Odbijamy – dwie godziny później polecił Morris pierwszemu oficerowi. Kapitan obserwował każdy ruch Ernsta i czuł lekkie skrępowanie, że musi polegać na kimś innym.

Wszystko jednak odbyło się zadziwiająco prosto. Wiatr wiał od brzegu, a fregata miała duże pole manewru. Kiedy zdjęto cumy, wiatr oraz potężne holowniki ustawiły dziób "Reubena Jamesa" w odpowiednim kierunku. Napędzany turbinami gazowymi silnik skierował go w kanał wodny.

Ernst nie śpieszył się, choć mógł rozkaz wykonać dużo szybciej. Morris to zauważył. Najwyraźniej nie chciał sprawiać kapitanowi jeszcze większej przykrości.

Ed Morris miał sporo czasu, by obserwować swą nową załogę przy pracy. Słyszał wiele opowieści o flocie kalifornijskiej – wspaniali chłopcy. Podoficerowie przy stole nakresowym, mimo iż nie znali nowojorskiego portu, pozycję okrętu nanosili z wielką wprawą. Fregata prześlizgnęła się cicho obok pirsów bazy morskiej. Wiele przystani było pustych, w innych stały okręty, których lśniące kadłuby nosiły na sobie ślady walki. Był tam również "Kidd".

Radziecki pocisk, który przedarł się przez zmasowaną obronę powietrzną, trafił jednostkę w nadbudówkę. W stronę uszkodzonego "Kidda" spoglądał również jeden z marynarzy Morrisa. Prawie nastolatek. Zaciągnął się właśnie papierosem, po czym wyrzucił niedopałek za burtę. Morris w pierwszym odruchu chciał go spytać, co o tym wszystkim sądzi, ale przecież sam nie potrafił dobrze sprecyzować własnych myśli.

Płynęli szybko do przodu. Przy pustych pirsach dla lotniskowców skręcili na wschód, minęli suwnice w Hampton, a potem zatłoczony basen w Little Greek. Otwarte morze, w które wyszli pod zachmurzonym niebem, było złowieszczo szare.

HMS "Battleaxe" czekał na nich trzy mile od brzegu.

Posiadał nieco inny kształt kadłuba niż "Reuben James", a na maszcie powiewała mu flaga Brytyjskiej Marynarki Królewskiej. Jednostka natychmiast zaczęła błyskać w ich kierunku lampami sygnalizacyjnymi.

KIM, DO LICHA, BYŁ REUBEN JAMES? – chciał dowiedzieć się okręt brytyjski.

–Co im na to odpowiemy, sir? – spytał sygnalista.

Morris roześmiał się. Opuściły go już wszelkie lęki.

–Proszę sygnalizować: My, w końcu, nie nazywamy naszych okrętów imieniem teściowej.

–W porządku – odpowiedź najwyraźniej przypadła podoficerowi do gustu.

Stornoway, Szkocja – Blindery nie przenoszą przecież rakiet – powiedział Toland, ale to, co ujrzał, zadało kłam informacjom wywiadu.

Sześć pocisków przedarło się przez osłonę myśliwską i wylądowało na terenie bazy RAF-u. Osiemset metrów od niego płonęły dwa samoloty. Jeden z radarów został zniszczony.

–Ha, cóż, teraz przynajmniej wiemy, dlaczego w ostatnich dniach tak osłabła ich aktywność. Po prostu przerabiali bombowce na coś, co mogłoby zmierzyć się z naszymi myśliwcami – odezwał się kapitan Mallory, próbując wzrokiem oszacować straty, jakie poniosła baza. – Akcja – reakcja. Uczymy się my, uczą się oni.

Wracały myśliwce. Kiedy przelatywały nad ich głowami, Toland przeliczył maszyny. Brakowało dwóch tornado i jednego tomcata. Samoloty, gdy tylko dotknęły ziemi, błyskawicznie odkołowywały do hangarów. RAF nie posiadał tych pomieszczeń zbyt wiele i trzy amerykańskie maszyny

musiały stać pod gołym niebem, osłonięte wyłącznie workami z piaskiem. Załogi naziemne natychmiast zaczęły uzupełniać paliwo i podwieszać nowe rakiety. Piloci zeszli po drabinkach do czekających jeepów i odjechali na odprawę.

–Skubańcy, zastosowali przeciw nam naszą własną sztuczkę! – oznajmił pilot tomcata.

–W porządku. Jak to wyglądało?

–Były dwie grupy oddalone od siebie o dziesięć mil.

Pierwszą formację stanowiły migi-23 floggery, a za nimi posuwały się blindery. Migi otworzyły ogień wcześniej niż my.

Zagłuszyły nam kompletnie radary, a niektóre z nich posiadały zupełną nowinkę techniczną, z którą zetknęliśmy się pierwszy raz – zwodnicze radiostacje zagłuszające. Musiało im się już kończyć paliwo, bo nie nawiązały z nami kontaktu bojowego.

Myślę, że po prostu chciały nas utrzymać z dala od bombowców, dopóki te nie wystrzelą swoich pocisków. Do licha, prawie im się udało. Tornado uderzyły na nie od lewej strony i straciły jakieś cztery blindery. Dorwaliśmy kilka migów – nie blinderów – a resztę tomcatów dowódca skierował przeciw rakietom. Zestrzeliłem dwie. Niemniej Iwan zmienił taktykę.

Straciliśmy jeden myśliwiec. Nie zauważyłem nawet jak i kiedy.

–Następnym razem – odezwał się kolejny pilot – zabierzemy kilka rakiet zaprogramowanych wcześniej na radiostacje zagłuszające. Teraz nie mieliśmy czasu ich przestrajac. Jeśli na początku rozprawimy się z samolotami zagłuszającymi, z myśliwcami pójdzie nam dużo łatwiej.

A wtedy Rosjanie ponownie zmienią taktykę – pomyślał Toland. – No cóż, przynajmniej utrudnimy im życie, zmuszając do ciągłych zmian.

Folziehausen, Republika Federalna Niemiec Po ośmiu godzinach zażartych walk w nieustannym ogniu artylerii wroga, bombardującej wysunięty posterunek dowódcy, Bieriegowej i Aleksiejew zatrzymali ostatecznie kontratak Belgów. Ale samo odparcie ataku

nie wystarczało. Przesunęli się jeszcze sześć kilometrów do przodu i ponownie trafili na zapórę czołgów i rakiet. Od czasu do czasu Belgowie zasypywali gradem pocisków Rosjan posuwających się główną drogą na Hameln. Z pewnością szykują kolejny atak – myślał Aleksiejew. – Musimy uderzyć pierwsi. Ale czym? By runąć na broniące Hameln formacje angielskie, potrzebował trzech dywizji.

–Za każdym razem, kiedy dokonujemy przełomu – zauważył cicho Siergietow – oni latają dziurę i kontratakują. Tego nie zakładaliśmy.

–Błyskotliwa uwaga – warknął Aleksiejew, ale natychmiast się opanował. – Sądziliśmy, że przełom przyniesie taki sam efekt jak podczas ostatniej wojny z Niemcami.

Problem stanowią jedynie te nowe, lekkie pociski przeciw czołgom. Trzech ludzi w jeepie – generał użył nawet amerykańskiej nazwy samochodu – wyjeżdża na szosę, oddaje jeden lub dwa strzały i zanim zdążymy zareagować, wraca. Ich ogień obronny nigdy nie był tak silny, a my nie doceniliśmy ich grup osłaniających tyły. Niebywale zwalniają tempo naszego natarcia. Od początku przecież było jasne, iż bezpieczeństwo naszych jednostek leży w ich mobilności – Aleksiejew cytował podstawową lekcję wyniesioną ze szkoły czołgistów. – Siły ruchome nie mogą dać się zatrzymać. Sam przełom nie wystarczy! Musimy wybić w ich liniach obronnych wielką dziurę i błyskawicznie wdrzeć się co najmniej dwadzieścia kilometrów w głąb terytorium wroga. Dopiero tam będziemy bezpieczni od tych ataków lekkimi pociskami przeciwczołgowymi. Tylko wtedy nasza doktryna oparta na mobilności zda egzamin.

–Mówicie, że nie możemy wygrać? – Siergietow już wcześniej żywił podobne obawy, ale nie spodziewał się, że podziela je jego dowódca.

–Mówię to, co mówiłem cztery miesiące temu. I miałem rację: to wojna na wyczerpanie. Na razie technologia bierze górę nad sztuką wojenną; u nas i u nich. Przegra ten, kto pierwszy wyczerpie swoje rezerwy ludzkie i sprzęt.

–Obu tych rzeczy mamy pod dostatkiem – odparł Siergietow.

–To prawda, Iwanie Michajłowiczu. Mam wielu młodych ludzi, których mogę poświęcić.

Do polowego szpitala przybywało coraz więcej rannych.

Ciężarówki z nimi krążyły bez przerwy.

–Towarzyszu generale, otrzymałem właśnie list od mego ojca. Pragnie dowiedzieć się, jakie postępy poczyniliśmy na froncie. Co mam mu powiedzieć?

Aleksiejew oddalił się kilka kroków od adiutanta i przez minutę rozważał problem.

–Iwanie Michajłowiczu, powiadomcie proszę ministra, że obrona NATO jest dużo, dużo silniejsza, niż zakładaliśmy. Sprawą kluczową są obecnie dostawy. Potrzebujemy bardzo

dokładnych informacji natemat uzupełnień wroga.

Należy uczynić wszystko, by ich dokonywanie stało się jeszcze trudniejsze. Nie docierają do nas żadne wieści o operacjach morskich, których celem jest niszczenie amerykańskich konwojów. Dane te są mi niezbędne do oceny rzeczywistych możliwości Paktu Atlantyckiego. Nie potrzebuję wygładzonych analiz z Moskwy. Potrzebuję danych.

–Nie zadowolają was informacje przysyłane ze stolicy?

–Powiadomiono nas, że NATO jest politycznie skłócone i militarnie nie skoordynowane. Jak byście ocenili ten raport, towarzyszu majorze? – spytał ostro Aleksiejew. – Z takimi informacjami niewiele mogę zdziałać. Wypiszcie sobie rozkaz wyjazdu. Oczekuję was z powrotem za trzydzieści sześć godzin. Jestem przekonany, że nie ruszymy się stąd do tego czasu.

Islandia – Będą u was za pół godziny.

–Przyjąłem, Brytan – odrzekł Edwards. – Jak mówiłem, w pobliżu nie widać żadnych Rosjan. Przez cały dzień nie zaobserwowaliśmy ani jednego helikoptera. Tylko sześć godzin temu drogą na zachodzie przejechały cztery pojazdy typu Jeep. Zbyt daleko, by określić, kto w nich był.

Skierowały się na południe. Wybrzeże jest czyste.

–W porządku, jak dotrą, proszę nas powiadomić.

–Zawiadomimy natychmiast – Edwards wyłączył radio. – Słuchajcie, przybędzie do nas kilku przyjaciół.

–Kto i kiedy, szefie? – natychmiast spytał Smith.

–Powiedzieli tylko, że zjawią się za pół godziny. Kto, nie wiem. Prawdopodobnie spadochroniarze.

–Zabiorą nas stąd? – zapytała Vigdis.

–Nie, tutaj żaden samolot nie wylądzuje. Sierżancie, a jaka jest pańska opinia?

–Obawiam się, że taka sama.

Samolot pojawił się wcześniej i tym razem pierwszy zauważył go Edwards. Ponad sto metrów nad wschodnimi stokami wzgórza, na którym się znajdowali, przemknął czterosilnikowy transportowiec C-130 Hercules. Kiedy z luku towarowego maszyny wyskoczyły cztery postacie, zawaiał ostry, wschodni wiatr. Samolot dokonał ostrego skrętu i zniknął po północnej stronie. Edwards z uwagą obserwował skoczków. Zamiast kierować się ku dnu doliny, spadochroniarze opadali prosto na pokryty skalami stok.

–O cholera, źle ocenił siłę wiatru. Chodźmy!

Kiedy zbiegali zboczem, spadochrony opadały na ziemię.

Skoczkowie, jeden po drugim dotykali gruntu i niknęli w zalegającym okolicę mroku. Edwards i jego ludzie biegli najszybciej, jak mogli, starając się zanotować w pamięci miejsce lądowania poszczególnych żołnierzy. Spadochrony o maskujących barwach znikwały z pola widzenia natychmiast, gdy skoczkowie osiągnęli ziemię.

–Stać!

–W porządku, w porządku. Czekamy tu na was – odparł Edwards.

–Kim jesteś? – głos zdradzał silny angielski akcent.

–Mój kod: Ogar.

–Nazwisko?

–Porucznik Edwards. Siły powietrzne Stanów Zjednoczonych.

–Zbliź się, ale powoli, kolego.

Mikę samotnie wysunął się do przodu. W półmroku

majaczył przed nim do połowy zakryty przez skałkę cień – cień lufy pistoletu maszynowego.

–Kim jesteś?

–Sierżant Nichols, Królewska Piechota Morska. Wybrałeś sakramenckie miejsce do lądowania, poruczniku.

–To nie ja! – zaprzeczył Edwards. – Jeszcze godzinę temu nie wiedzieliśmy, że przylecicie.

–Burdel, cholera, ciągle ten sam burdel. – Z mroku wynurzył się silnie utykający człowiek. – Już samo spadochroniarstwo jest wystarczająco ryzykowne, a tu jeszcze ten pierdolony skalny ogródek!

Pojawiła się kolejna postać.

–Znaleźliśmy porucznika. Chyba nie żyje!

–Potrzebujecie pomocy? – spytał Edwards.

–Potrzebuję obudzić się z tego snu i znaleźć się ponownie we własnym łóżku.

Edwards natychmiast pojął, że grupę, która przybyła im z odsieczą – czy na czym tam jej zadanie miało polegać – spotkała fatalna przygoda. Dowodzący oddziałem porucznik upadł na skałkę, przewrócił się na plecy i uderzył o sąsiednią.

Głowę miał nienaturalnie odchyloną do tyłu. Nichols mocno zwichnął kostkę. Dwaj pozostali spadochroniarze byli cali, ale zszokowani. Przez godzinę zbierali rozrzucony sprzęt.

Nie mieli czasu na sentymenty. Porucznika zawinęli w spadochron i nakryli stosem kamieni| Edwards zaprowadził pozostałych do kryjówki na szczycie wzgórza.

Brytyjczycy przywieźli ze sobą baterie do radia.

–Brytan, tu Ogar. Wylądowali.

–Dlaczego to tak długo trwało?

–Powiedzcie temu pilotowi herculesa, by sprawił sobie lepszego okulistę. Dowódca desantu zginął przy lądowaniu.

Sierżant ma skręconą nogę.

–Czy ktoś was widział?

–Nikt. Wylądowali na skałach. To cud, że się wszyscy nie pozabijali. Wróciliśmy na szczyt wzgórza. Wszelkie ślady pozacieraliśmy. – Sierżant Nichols był palaczem. Razem ze Smithem wynaleźli dobrą kryjówkę i zapalili.

–Ten twój porucznik sprawia wrażenie pobudliwego.

–To odsunięty od lotów pilot. Ale sprawuje się świetnie. Jak twoja kostka?

–Tak czy siak, będę się musiał na niej wlec. Czy zdaje sobie sprawę z sytuacji, w jakiej jesteśmy?

–Kto? Szef? Osobiście widziałem, jak zarznął nożem trzech ruskich komandosów. Wystarczy?

–O kurwa...

KONTAKT

USS "Reuben James" – Kapitanie?

Morris drgnął, poczuwszy na ramieniu czyjąś dłoń. Po ćwiczeniach w nocnym lądowaniu helikoptera na pokładzie, które prowadził, zapragnął się chwilę zdrzemnąć w swojej kajucie. Ed popatrzył na zegarek. Było po północy. Na czole perliły się mu krople potu. Właśnie znów

zaczynał się jego sen. Podniósł wzrok na pierwszego oficera.

–Coś się dzieje?

–Kazano nam sprawdzić jedną rzecz. To zapewne fałszywy alarm... ale niech pan to sam zobaczy.

Morris odebrał blankiet depeszy, włożył go w kieszeń i udał się do łazienki umyć twarz.

–Kilka razy pojawił się niecodzienny kontakt, ale wszelkie próby lokalizacji spełzły na niczym. Co to może być?

Morris wycierał ręcznikiem twarz.

–Nic nie rozumiem, kapitanie. Czterdzieści stopni, trzydzieści minut szerokości północnej i sześćdziesiąt dziewięć, pięćdziesiąt długości zachodniej. Wiadomo, gdzie mniej więcej jest, ale nie wiadomo, co to jest. Właśnie wprowadzamy go na nakres.

Morris przeciągnął dłonią po włosach. Dwie godziny snu to lepsze niż nic.

–W porządku. Chodźmy do centrum informacji bojowej.

Oficer taktyczny rozłożył mapę na stojącym obok kapitańskiego fotela stoliku. Morris sprawdził główny ekran taktyczny. Znajdowali się w dużej odległości od brzegu i zgodnie z rozkazami penetrowali morze na głębokości stu osiemdziesięciu metrów.

–To daleko od nas – stwierdził natychmiast Morris.

Obraz coś mu przypominał, toteż kapitan pochylił się nad mapą.

–Tak, sir, około sześćdziesięciu mil – zgodził się Ernst.

–I płytkie wody. Nie możemy tu używać sonaru holowanego.

–Och! Znam to miejsce. Tam przecież zatonął "Andrea Doria". Zapewne ktoś namierzył wrak detektorem anomalii magnetycznych, ale już się nie pofatygował, by dokładnie sprawdzić swój nakres.

–Nie sądzę – z cienia wynurzył się O'Malley. – Najpierw to coś usłyszała fregata. Splątał się jej kabel anteny holowanej. Okręt nie chciał stracić cennego urządzenia, więc skierował się nie do Nowego Jorku ale do Newport, gdzie woda jest dużo głębsza. Po drodze przechwycili dziwny sygnał biernego sonaru. Kontakt szybko znikł. Przeprowadzili analizy ruchów celu i wyliczyli pozycję.

Wysłali helikopter, który dokonał kilku nawrotów, a detektor anomalii magnetycznych namierzył również i "Dorie".

–Skąd pan o tym wie?

O'Malley wręczył mu depezę.

–Nadeszła w chwilę po tym, jak pierwszy oficer poszedł pana obudzić. Wysłali również oriona, żeby to sprawdził.

Historia się powtórzyła. Usłyszeli coś dziwnego, po czym sygnał zamilkł.

Morris zmarszczył brwi. Może i szukali gruszek na wierzbie, ale rozkazy przyszły z Norfolk. Zatem musieli tych (gruszek poszukiwać oficjalnie.

–Co z helikopterem?

–Może być gotowy za dziesięć minut. Ma jedną torpedę i dodatkowy zbiornik z paliwem. Nic, tylko startować.

–Proszę przekazać na mostek; prędkość dwadzieścia pięć węzłów. Czy "Battleaxe" powiadomiony? To dobrze.

Proszę więc przesłać wiadomość, że jesteśmy gotowi do akcji. Zwinąć antenę holowaną. Przy tej prędkości i tak będzie bezużyteczna. Panie O'Malley, zbliżymy się do kontaktu na odległość piętnastu mil i wtedy pan przystąpi do działania. Mniej więcej o drugiej trzydzieści. W razie czego będę w kwaterze starszych oficerów.

Morris postanowił skosztować wreszcie przekąsek w bufecie swego nowego okrętu. Udał się tam w towarzystwie pilota.

–To trochę niesamowite okręty, prawda? – odezwał się lotnik.

Morris mruknął coś potakująco. Na przykład główne przejście łączące rufę z dziobem biegło nie środkiem, lecz po lewej stronie. Ten typ jednostek łamał pewne ustalone tradycją wzory konstrukcyjne okrętów wojennych.

O'Malley zszedł po drabince pierwszy i uprzejmie otworzył przed kapitanem drzwi prowadzące do pomieszczeń oficerskich. W środku zastali dwóch młodszych oficerów.

Oglądali właśnie nagrany na taśmie film, w którym było bardzo dużo szybkich samochodów i rozebranych kobiet.

Morris wiedział, że w kwaterze szefów jest zainstalowany magnetowid, więc szczególnie interesujące filmy były natychmiast przegrywane i szeroko udostępniane.

W bufecie wystawiono pieczywo oraz półmisek z wędlinami i zimnym mięsem. Morris nalał sobie kubek kawy, po czym zrobił potężną kanapkę. O'Malley zdecydował się na sok owocowy ze stojącej przy sąsiedniej grodzi lodówki.

–Nie pije pan kawy? – spytał Morris, a pilot potrząsnął głową.

–Jak wypiję jej za wiele, robię się nerwowy. Chyba nie chce pan, by trzęsły mi się ręce, gdy będę po ciemku lądował na pokładzie pańskiego okrętu? – uśmiechnął się.

–Już naprawdę jestem za stary na takie rzeczy.

–Ma pan dzieci?

–Trzech chłopaków. Ale do marynarki pójdą po moim trupie. A pan?

–Chłopca i dziewczynkę. Są z matką w Kansas – Morris ugryzł kanapkę. Chleb okazał się trochę czerstwy, a mięso nie najświeższe, ale kapitan był bardzo głodny. Po raz pierwszy od trzech dni jadł posiłek w czyimś towarzystwie. O'Malley podał mu frytki.

–Potrzebuje pan węglowodanów, kapitanie.

–Ten sok pana zabije – Morris wskazał kubek.

–Już próbował. Przez dwa lata latałem w Wietnamie.

Głównie w poszukiwaniu zaginionych żołnierzy. Dwukrotnie byłem zestrzelony, ale ani razu nawet mnie nie skaleczyli.

Najadłem się tylko strachu.

Ile lat może mieć ten pilot? – zastanawiał się Morris.

Musiał już kilka razy awansować. Kapitan postanowił sprawdzić w dokumentach, jak długo O'Malley służy w wojsku.

–Skąd się pan znalazł w centrum informacji bojowej? – zainteresował się Morris.

–Nie mogłem usnąć, a byłem ciekaw, jak sprawuje się holowana antena sonarowa.

Morris był zaskoczony. Piloci rzadko kiedy przejawiali zainteresowanie aparaturą zainstalowaną na okrętach.

–Mówi się, iż na "Pharrisie" radził pan sobie znakomicie.

–Jak pokazało życie, nie za bardzo.

–Takie rzeczy się zdarzają – O'Malley spojrzał bacznie kapitanowi w oczy.

Pilot, który był jedynym na pokładzie człowiekiem posiadającym duże doświadczenie bojowe, dostrzegł w twarzy Morrisa coś, czego nie widział u nikogo od czasów Wietnamu. Lotnik

wzruszył ramionami. Ostatecznie to nie jego sprawa. Sięgnął do kieszeni kurtki lotniczej i wyciągnął paczkę papierosów.

–Nie będzie panu przeszkadzało, jeśli zapalę?

–Sam właśnie znów zacząłem palić.

–Chwała Bogu! A już myślałem, że tylko ja jestem kaprawym staruchem między tymi cnotliwymi młodzieniaszkami z mesy oficerskiej.

Dwóch młodych poruczników, nie odrywając wzroku od ekranu, uśmiechnęło się na tę uwagę.

–Od dawna pan lata w marynarce wojennej?

–Większość czasu spędziłem na lotniskowcach, kapitanie. Ostatnie czternaście miesięcy pracowałem jako instruktor w Jax. Robiłem dużo ciekawych rzeczy, głównie na seahawkach. Myślę, że polubi pan moją maszynę. Sonar zanurzany, którym dysponuję, jest najlepszym urządzeniem, na jakim kiedykolwiek pracowałem.

–A co pan sądzi o ostatnim kontakcie?

O'Malley odchylił się w krześle, zaciągnął dymem i skierował niewidzący wzrok w przestrzeń.

–Interesujący. Oglądałem kiedyś w telewizji coś na temat "Dorii". Zatonął od prawej burty. Wielu ludzi już tam nurkowało, by pooglądać sobie wrak. Leży na głębokości siedemdziesięciu metrów, a więc jest całkiem dostępny nawet dla amatorów. Odchodzi od niego masa sznurów.

–Sznurów? – zdziwił się Morris.

–Włoków. Tamtędy przebiegają trasy rybackie. Wrak jest oplatany niczym Guliwer na wybrzeżu Liliputów.

–Ma pan rację! Pamiętam ten film – odparł Morris.

–Może to wyjaśniać owe hałasy. Pływy oceaniczne i prądy morskie sprawiają, iż włoki hałasują.

O'Malley skinął głową.

–Może i tak. Ale chciałbym się temu bliżej przypatrzeć.

–Po co?

–Wszelkie jednostki wychodzące z Nowego Jorku muszą przepływać nad tamtym miejscem. Iwan na pewno wie o konwoju sformowanym właśnie w tym mieście, chyba że przestało funkcjonować KGB. To cholernie dobre miejsce, by zaczął się w nim okręt podwodny polujący

na nasz konwój. Niech pan pomyśli. Jeśli nawet detektor anomalii magnetycznych coś wykryje, zignoruje pan tę wiadomość. Hałas, jaki wytwarza reaktor pracujący na niskich obrotach, nie jest głośniejszy niż dźwięk przepływającej między sznurami wody. Zwłaszcza jeśli jednostka lokuje się tuż obok wraka. Gdybym był dobrym dowódcą okrętu podwodnego, na pewno tam bym się zaczął.

–Pan już myśli jego kategoriami – zauważył Morris.

–No cóż, zajmijmy się tym miejscem.

Godzina druga trzydzieści nad ranem. Morris obserwował z wieży kontrolnej start helikoptera. Potem poszedł do centrum informacji. Fregata przyjęła pozycję bojową i z włączonym systemem Preria/Maska posuwała się z prędkością ośmiu węzłów. Gdyby nawet w odległości około piętnastu

mil znajdował się rosyjski okręt podwodny, nie mógł fregaty usłyszeć. Wykres radaru prezentował przesuwanie się helikoptera na pozycję.

–Romeo, tu Młot. Sprawdzam radio – odezwał się O'Malley.

Z helikoptera dotarł na fregatę tekst próbnej depeszy.

Zajmujący w śmigłowcu miejsce przy konsoli łączności podoficer mruknął z zadowoleniem. Morris chwilę myślał, po czym się uśmiechnął. Oczywiście, chrząka zadowolony, bo ma już "słodziutkie połączenie z radiostacją mamusi". Śmigłowiec rozpoczął poszukiwania w miejscu odległym o dwie mile od grobu "Andrea Dorii". O'Malley zatrzymał helikopter siedemnaście metrów nad spienionymi falami oceanu.

–Spuszczaj kopułę, Willy.

Podoficer uruchomił znajdującą się z tyłu maszyny wyciągarkę i przez otwór w brzuchu śmigłowca opuścił przetwornik hydrolokatora zanurzanego.

Seahawk dysponował ponad trzystoma metrami kabla, co umożliwiała mu dotarcie do najniżej, położonych warstw termoklinowych. Głębokość w tym miejscu wynosiła tylko siedemdziesiąt, toteż operator musiał uważać, by w zetknięciu z dnem przetwornik nie uległ uszkodzeniu. Podoficer z uwagą operował wyciągarką i zatrzymał bęben, kiedy urządzenie znalazło się trzydzieści metrów pod wodą.

Jak zawsze na jednostkach nawodnych, odczyt sonaru prezentowany był zarówno wizualnie jak i dźwiękowo.

Ekran telewizyjny zaczęły przekazywać linie częstotliwości, podczas gdy wyznaczony marynarz prowadził nasłuch za pomocą słuchawek.

O'Malley wiedział, że to bardzo skomplikowana część operacji. Unoszący się nad falami w jednym miejscu helikopter wymagał nieustannej uwagi – nie było autopilota – ale polowanie na okręty podwodne zawsze wymagało ogromnej cierpliwości. Pasywnemu sonarowi potrzeba było kilku minut, by cokolwiek zaczął rejestrować, a systemów aktywnych nie mogli używać. Impulsy ultradźwiękowe hydrolokatora aktywnego zaalarmowałyby tylko przeciwnika.

Przez pięć minut napływały jedynie chaotyczne dźwięki.

Wyciągnęli więc sonar i przenieśli się na wschód. I znów nic. – Cierpliwości – mruknął pod nosem pilot. Nie znosił takiego oczekiwania. Sonar penetrował kierunek wschodni. Cały czas bez skutku.

–Mam coś na zero-cztery-osiem. Nie jestem pewien co.

Jakiś gwizd lub coś innego na wysokich częstotliwościach.

Oczekali jeszcze dwie minuty, by przekonać się, czy nie był to fałszywy alarm.

–Kopuła w górę – O'Malley wzniosł helikopter i przesunął się trzysta metrów na północny wschód. Trzy minuty później znów spuścili sonar. I ponownie cisza.

O'Malley jeszcze raz przemieścił maszynę. Jeśli kiedykolwiek napiszę piosenkę o tropieniu okrętów podwodnych – pomyślał – zatytułuję ją: "Znowu, znowu i jeszcze raz znowu".

Tym razem jednak sygnał wrócił – tak naprawdę to dwa sygnały.

–Bardzo interesujący kontakt – zauważył na "Reubenie Jamesie" oficer dowodzący zwalczaniem okrętów podwodnych. – Jak daleko do wraka?

–Bardzo blisko – odparł Morris. – Współrzędne prawie się nakładają.

–To może być dźwięk przetłaczanej wody – odezwał się Willy do O'Malleya. – Tak jak poprzednio, bardzo słaby.

Pilot przełączył słuchawki na nasłuch wskazań sonaru.

Poszukujesz bardzo cichej jednostki – napomniał się w duchu,

–Może to być też dźwięk silników. Wyciągnij kopułę.

Przemieścimy się nieco na wschód i dokonamy pomiarów triangulacyjnych.

Dwie minuty później przetwornik sonaru po raz szósty znalazł się pod wodą. Teraz już w helikopterze kontakt był nanoszony na nakres taktyczny, który mieścił się na tablicy kontrolnej między pierwszym i drugim pilotem. 9 – Czerwony sztorm t. II

–Tutaj mamy dwa sygnały – oznajmił Ralston. – W odstępnie sześciuset metrów.

–Chyba tak. Przypatrzmy się temu bliżej, Willy.

–Koniec kabla. Gotów do wyciągnięcia, szefie.

–Do góry. Romeo, tu Młot. Widzisz to samo co my?

–Potwierdzam, Młot – odparł Morris. – Sprawdźcie teraz ten drugi sygnał, bardziej na południu.

–Właśnie to robimy. Proszę się nie wyłączać.

O'Malley skupił całą uwagę na prowadzeniu maszyny, która nadlatywała na bliższy kontakt. Zatrzymał śmigłowiec.

–Kopuła w dół.

–Kontakt! – zameldował po minucie podoficer. Zbadał linie dźwiękowe na wykresie i porównał je w myślach z danymi o radzieckich jednostkach podwodnych. – Oceniam ten hałas jako dźwięk silników okrętu podwodnego o napędzie atomowym. Współrzędne: dwa-sześć-jeden.

O'Malley nasłuchiwał namierzonego dźwięku przez pół minuty, po czym uśmiechnął się lekko.

–Tak, to atomowy okręt podwodny! Romeo, tu Młot, prawdopodobnie mamy kontakt z obcą jednostką. Współrzędne względem naszej pozycji: dwa-sześć-dwa. Zaraz się upewnimy.

Dziesięć minut później mieli już precyzyjny namiar.

O'Malley skierował śmigłowiec dokładnie na cel.

–To victor – oznajmił sonarzysta na pokładzie fregaty.

–Widzi pan tę linię częstotliwości? To victor, którego silniki pracują na najniższych obrotach.

–Młot – wywołał przez radio Morris. – Tu Romeo.

Ma pan jakieś sugestie?

O'Malley oddalił się od miejsca kontaktu, zostawiając marker dymowy. Okręt podwodny, zapewne ze względu na panujące na powierzchni oceanu warunki atmosferyczne, nie wykrył jeszcze ich obecności. A jeśli nawet załoga połapała się w sytuacji, wiedziała, iż najbezpieczniej jest siedzieć cicho. Amerykanie posiadali torpedy samosterujące, które były bezradne wobec spoczywającej na dnie jednostki.

Wystrzelona albo krążyłaby aż do zużycia paliwa, albo uderzyłaby w dno. Mogli wprowadzić

próbować sonaru aktywnego, ale to urządzenie na płytkich wodach nie spisywało się najlepiej. A gdyby Iwan w ogóle nie ruszył się z miejsca? Seahawk miał jeszcze paliwa na godzinę. Pilot podjął więc decyzję.

–"Battleaxe", tu Młot. Słyszysz mnie?

–Słyszę, Młot – natychmiast zgłosił się kapitan Perrin.

Brytyjska fregata śledziła poszukiwania za pomocą swoich urządzeń.

–Czy macie marki-11?

–Możemy je przygotować za dziesięć minut.

–Czekamy więc. Romeo, czy zezwalasz na atak kierunkowy?

–Wyrażam zgodę – odparł Morris. W tym przypadku była to optymalna forma ataku, lecz kapitan miał trochę za złe O'Malleyowi, że zwrócił się o pomoc do Brytyjczyków, nie do niego.

– Możecie użyć broni.

Pilot czekając, zataczał kręgi na wysokości trzystu metrów.

Wszystko to było czystym wariactwem. Czy naprawdę w wodzie czaił się Iwan? Czy oczekiwał na przybycie konwoju?

Czy był w stanie wykryć obecność helikoptera? Jeśli wykrył jego obecność, to czy czekał teraz, żeby fregata zbliżyła się na tyle blisko, by mógł zaatakować? Operator systemów cały czas obserwował bacznie wskazania sonaru. Czy rosyjska jednostka zmienia pozycję? Trwała bez ruchu. Nie zwiększała obrotów silnika, żadnych mechanicznych dźwięków. Nic, tylko cichy syk reaktora pracującego na małych obrotach; hałas nie do wykrycia nawet z odległości dwóch mil. Nic dziwnego, że tylu tropiących go ludzi nie było w stanie niczego namierzyć.

O'Malley podziwiał zimną krew radzieckiego kapitana.

–Młot, tu Topór.

O'Malley uśmiechnął się pod nosem. W przeciwieństwie do Amerykanów, Anglicy lubili tworzyć dla swoich helikopterów nazwy nawiązujące do imienia macierzystych okrętów ^ Tak właśnie helikopter HMS "Bezwstydny" nosił nazwę Ladacznicy, a ten z "Battleaxe", "Siekiera Bojowej" – Topór.

–Przyjąłem, Topór. Gdzie jesteś?

–Dziesięć mil na południe od ciebie. Mam dwie torpedy głębinowe.

O'Malley włączył światła pozycyjne maszyny.

–Wyśmienicie. Czekaj w pogotowiu. Romeo, ty podasz Toporowi namiar radarowy na naszą pławę sonarową, a my zastosujemy hydrolokator i weźmiemy namiar krzyżowy.

Słyszysz mnie?

–Słyszę. Masz zgodę – odparł Morris.

–Uzbroić pocisk – odezwał się O'Malley do drugiego pilota.

–Po co?

–Jeśli pierwszy atak nie wyjdzie, założę się, że Ruscy oderwą się od dna niczym łosoś podczas tarła – O'Malley zatoczył śmigłowcem koło i namierzył światła antykolizyjne angielskiego helikoptera Lynx. – Witaj Topór. Mam cię na godzinie dziewiątej. Utrzymuj pozycję. Willy, jakieś zmiany w lokalizacji celu? – Żadnych, sir. Goguś ma nerwy ze stali.

Odważny jesteś, nieszczęsny skurczybyku – pomyślał O'Malley. Marker dymowy już się dopalał. Pilot zrzucił następny. Sprawdził ponownie wykres taktyczny, przesunął się kilometr na wschód od miejsca kontaktu i zatrzymał maszynę siedemnaście metrów nad powierzchnią wody.

Spuścił sonar zanurzany. – ;- – Jest tam. Współrzędne: dwa-sześć-osiem – zaanonsował podoficer.

–Topór, tu Młot. Jesteśmy gotowi do ataku kierunkowego. Bierz namiar od Romea.

Teraz kontrolę, nad brytyjskim helikopterem przejął radar "Reubena Jamesa\ Angielska maszyna ruszyła prosto na północ. O'Malley obserwował zbliżającego się lynxa i cały czas uważał, by wiatr nie zepchnął jego śmigłowca z zajmowanej pozycji.

–Uważaj, Topór. Na moje polecenie będziesz zrzuczał pociski po kolei.

–Przyjąłem – brytyjski pilot, lecąc z szybkością dziewięciu węzłów, uzbrajał rakiety. O'Malley ustawił swoją maszynę nad błyskającym markerem.

–Pierwsza ognia – Marki Druga ognia – Marki Obie poszły!

Pilot lynxa nie potrzebował zachęty. Gdy tylko drugi pocisk dotknął powierzchni wody, śmigłowiec gwałtownie nabral wysokość i odleciał na północny wschód. Jednocześnie O'Malley delikatnie wyciągnął przetwornik sonarowy z wody.

Pod wodą rozbłysło dziwaczne światło. Potem drugie.

Na powierzchni pojawiła się piana, po czym wystrzeliła fontanną w górę. O'Malley włączył światła lądowania.

Woda pełna była szlamu i... ropy? Jak w kinie – pomyślał pilot i zrzucił kolejną pławę

sonarową.

Z dna dobiegł łoskot, ale systemy filtrowały go, koncentrując się na dźwiękach o wyższej częstotliwości. Słyszać było syk uciekającego powietrza i gwałtowny szum wody.

Ktoś na pokładzie podwodnego okrętu mógł czynić ostatni rozpaczliwy wysiłek i próbować za pomocą urządzeń sterujących balastem wypchnąć jednostkę na powierzchnię.

Potem dobiegł całkiem inny dźwięk, jak strumień wody lanej na rozpaloną blachę. O'Malleyowi wystarczyła chwila, by. pojąć, co to znaczy.

–Co to za dźwięk, szefie? – zapytał przez interkom Willy. – Nigdy czegoś podobnego nie słyszałem.

–Przedziurawiony reaktor. Słyszysz wodę wdzierającą się do stosu atomowego?

Jezu słodki – pomyślał. – Tak blisko brzegów! W ciągu najbliższych lat nikt już sobie nie ponurkuje do "Andrea Dorii"...

O'Malley uruchomił radio.

–Topór, tu Młot. Odgłosy miazdzonego okrętu. Zniszczony. Czy potwierdzasz trafienie?

–Nasz lis, Młot. Dziękuję za naprowadzenie.

O'Malley roześmiał się.

–Bardzo dobrze, Topór. Jeśli rościsz sobie pretensje do trafienia, będziesz miał również adnotację o skażeniu środowiska.

Na pokładzie lynxa pilot i drugi pilot wymienili spojrzenia.

–O co ci, do diabła, chodzi?

Oba helikoptery zawróciły, zatoczyły koło nad amerykańską i brytyjską fregatą, celebrując w ten sposób zniszczenie atomowego okrętu podwodnego. Była to już druga unieszkodliwiona przez "Battleaxe". "Reuben James" mógł sobie na drzwiach sterowni wymalować połowę sylwetki okrętu podwodnego. Helikoptery wylądowały na macierzystych jednostkach i okręty kontynuowały podróż na zachód, do Nowego Jorku.

Moskwa, RSFRR Michaił Siergietow rosyjskim zwyczajem objął powracającego z frontu syna i pocałował go w oba policzki. Potem członek Politbiura ujął młodzieńca pod rękę i zaprowadził do czekającego nie opodal zila. Szofer natychmiast ruszył w kierunku Moskwy.

–Byłeś ranny, Wania?

–Rozciąłem sobie głowę szkłem – wruszył ramionami Iwan. Ojciec podał mu niewielką szklaneczkę wódki. – Nie piłem od dwóch tygodni.

–Naprawdę?

–General surowo tego zabrania – wyjaśnił Iwan.

–To dobry oficer, prawda?

–Dużo lepszy niż myślisz. Widziałem go w akcji na froncie. To bardzo zdolny dowódca.

–Czemu więc nie możemy pokonać Niemców?

Iwan Michajłowicz Siergietow już jako dziecko widział, jak jego ojciec wspina się po szczeblach drabiny hierarchii partyjnej i dochodzi niemal na sam jej szczyt. Często bywał świadkiem przemiany, jaka zachodziła w starym Siergietowie, który nieoczekiwanie z miłego, przystępnego człowieka, stawał się ostrym aparaczykiem.

–Tato, Pakt Atlantycki okazał się dużo lepiej przygotowany do wojny, niż sądziliśmy. Po prostu jakby na nas czekali i ich pierwszy atak, zanim jeszcze przekroczyliśmy w ogóle granicę, był nieprawdopodobny – Iwan wyjaśnił szczegóły operacji "Kraina Marzeń".

–My tu nic o tym nie wiemy. Czy jesteś pewien tego, co mówisz?

–Widziałem niektóre mosty. Te właśnie samoloty dokonały nalotu na makiety punktu dowodzenia pod Stendal. Bomby spadły, nim ktokolwiek z nas zorientował się, że w ogóle nadleciały jakiegokolwiek maszyny. Gdyby mieli lepszy wywiad, już by mnie tu nie było.

–Są tacy silni w powietrzu?

–To ich najmocniejsza strona. Obserwowałem atak amerykańskich myśliwców nurkujących na kolumnę czołgów. Przeszły niczym kombajn po polu pszenicy. Coś straszego.

–A nasze rakiety?

–Obsługi naszych wyrzutni odbywały ćwiczenia raz czy dwa razy do roku, strzelając do celów, które nadlatywały wprost z kierunku, gdzie każdy się ich spodziewał. Myśliwce NATO lecą między drzewami. Gdyby pociski przeciwlotnicze działały tak, jak twierdzą ich twórcy z obu stron, żadna maszyna nie miałaby szans. Ale najgorsze straty powodują ich rakiety przeciwczołgowe; wiesz, podobne do tych, które i my mamy. Są niebywale skuteczne. – Młody człowiek rozłożył ręce. – Trzech ludzi w samochodzie: kierowca, ładowniczy i kanonier. Chowają się między drzewami przy szosie i czekają. Kiedy pojawia się nasza kolumna, oddają salwę mniej więcej z odległości... powiedzmy dwóch kilometrów. Wyszkolili się w niszczeniu czołgów dowódców, które łatwo rozpoznają po antenie radiowej.

Strzelają raz, potem niszczą drugi czołg i, zanim zareagujemy, znikają. Pięć minut później historia się powtarza w innym miejscu. To właśnie nas niszczy – zakończył młody człowiek, powtarzając słowa dowódcy.

–Twierdzisz więc, że przegrywamy?

–Nie. Twierdzą tylko, że nie potrafimy odnieść zwycięstwa – odparł Iwan. – Ale wychodzi na jedno.

Przekazał z kolei prośbę Aleksiejewa. Jego ojciec rozparł się w wybitym skórą siedzeniu. <- ^
– Przewidziałem to. Ostrzegałem ich. Wania, to głupcy!

Iwan wskazał głową na kierowcę. Jego ojciec roześmiał się tylko i wykonał lekceważący ruch ręką. Witali) służył u niego od ładnych paru lat. Córka szofera dzięki poparciu ministra zdobyła już tytuł doktora. Syn, podczas gdy większość młodych mężczyzn powołano pod broń, studiował bezpiecznie na uniwersytecie.

–Zużycie ropy jest o dwadzieścia pięć procent wyższe od założeń mojego ministerstwa; o czterdzieści od przewidywań Ministerstwa Obrony. Nikomu z nas nie przyszło do głowy, że lotnictwo NATO może wymacać nasze ukryte magazyny paliw. Obecnie moi ludzie od początku szacują narodowe zasoby. Wstępny raport powinien być gotowy dziś po południu. Sam popatrz, Wania.

Rozejrzyj się.

W zasięgu wzroku na ulicach nie było widać żadnych pojazdów, nawet ciężarówek. Miasto, które nigdy nie tętniło zbyt żywym życiem, nawet jak na rosyjskie warunki, sprawiało wrażenie wymarłego. Opustoszałymi ulicami podążali przechodnie nie patrząc przed siebie, nie rozglądając się na boki. Tylu ludzi odeszło – uświadomił sobie naraz Iwan.

–Tak wielu nie wróci. Jak zwykle ojciec zdawał się czytać w myślach syna.

–Jakie są straty?.

–Ogromne. O wiele, wiele wyższe od przewidywanych.

Nie znam dokładnych liczb; jestem w wywiadzie, nie w administracji. Ale straty mamy olbrzymie.

–To był wielki błąd, Wania – odrzekł cicho minister.

Ale Partia przecież zawsze ma rację – pomyślał. – Ile lat w to wierzyłeś?

–Na razie nic się nie da zrobić, tato. Potrzebujemy danych o uzupełnieniach sił Paktu Atlantyckiego. Docierające na front informacje są... zbyt wygładzone. Potrzebujemy

dokładnych danych. Na ich podstawie dopiero możemy przeprowadzić odpowiednie kalkulacje.

Na froncie – pomyślał Michaił. Jego gniew nie był w stanie jednak pokonać dumy na myśl, kim wreszcie stał się jego syn. Zbyt często żywił obawy, iż zrobi się z niego jeszcze jeden młody prominent z partyjnej rodziny. Aleksiejew nie należał do ludzi, którzy lekką ręką rozdają

awanse. Ze swych prywatnych źródeł Siergietow dowiedział się, że Iwan wielokrotnie towarzyszył generałowi w wyprawach na pierwszą linię frontu. Chłopiec stał się mężczyzną. Szkoda tylko, że stało się to z powodu wojny.

–Zobaczę, co da się zrobić – powiedział.

USS "Chicago" Rów Svyataya Anna stanowił ostatni odcinek głębokiej wody. Procesja okrętów podwodnych zatrzymała się prawie w miejscu, kiedy dotarła do granicy pływającego lodu.

Kapitanowie spodziewali się spotkać tu dwie przyjazne jednostki, choć określenie "przyjazne" niezbyt współgrało z operacjami bojowymi. Amerykańskie okręty zajęły swe stanowiska. McCafferty sprawdził czas i lokalizację. Jak dotąd wszystko szło zgodnie z planem. Zadziwiające – pomyślał.

Nie lubił pływać w pierwszej linii. Gdyby skraj paka patrolował jakiś Rosjanin... kapitan wiedział, że padłby pierwszy strzał. Pytanie tylko, on czy Rosjanin?

–Dowodzenie, tu sonar. Łapię pewne mechaniczne dźwięki na współrzędnych jeden-dziewięć-jeden.

–Pozycja się zmienia?

–Dopiero co namierzyłem. Jak dotąd – nie.

McCafferty odwrócił się do dyżurnego mata elektryka i poprosił o uruchomienie gertrudy, telefonu hydrolokacyjnego, tyleż przestarzałego, co skutecznego. Jedyne dźwięki, jakie usłyszał, były dobiegające od paka lodowego syki i trzaski. Za plecami dowódcy pierwszy oficer wraz z zespołem ogniowym programował torpedy na kolejny cel.

Z głośnika dobiegło parę zniekształconych słów.

McCafferty chwycił słuchawkę gertrudy i nacisnął guzik transmisji.

–Zulu, X-Ray.

Po kilku sekundach dobiegła niewyraźna odpowiedź:

–Hotel Bravo.,–

To zgłaszał się HMS "Sceptre".

McCafferty dyskretnie wziął głęboki oddech. Nikt ze

zgrupowanych w centrali bojowej tego nie spostrzegł; każdy też oddychał głęboko.

–Jedna trzecia naprzód – polecił kapitan. Po dziesięciu minutach znalazł się w zasięgu radiowym gertrudy i "Chicago" zatrzymał się.

–Witam na rosyjskim podwórku, staruszk. Lekka zmiana planów. Graniczny Klucz – była to nazwa kodowa HMS "Superb" – znajduje się na południu, w odległości dwudziestu mil i sprawdza waszą dalszą drogę. Od trzydziestu godzin nie napotkaliśmy śladu przeciwnika. Wybrzeże czyste. Dobrych łowów!

–Dzięki, Klucz do Kłódki. Wszyscy już tu są – McCafferty odwiesił słuchawkę. – Panowie, przystępujemy do wypełnienia zadania. Dwie trzecie naprzód!

Atomowy okręt podwodny zwiększył prędkość do dwunastu węzłów i wziął kurs jeden-dziewięć-siedem. HMS "Sceptre" policzył mijające go jednostki, po czym wrócił na swoją pozycję i podjął patrolowanie skraju paka lodowego.

–Powodzenia, chłopcy – westchnął kapitan.

–Wszystko powinno się udać.

–Nie tym się martwię, Jimmy – zwrócił się kapitan po imieniu do pierwszego oficera brytyjskiego okrętu. – Problem stanowi droga powrotna.

Stornoway, Szkocja – Teleks do pana, komandorze – powiedział sierżant RAF-u, wręczając Tolandowi wydruk.

–Dziękuję.

Bob przeczytał depeszę.

–Opuszcza nas pan? – zapytał kapitan Mallory.

–Mam lecieć do Northwood. To tuż pod Londynem, prawda?

Mallory skinął głową. – Łatwo tam trafić.

–To bardzo dobrze. Tu jest napisane: natychmiast.

Northwood, Anglia W Anglii bywał wielokrotnie, wysyłany do mieszczącej się pod Chaltenham kwatery głównej brytyjskiej łączności rządowej, z którą Amerykanie utrzymywali stały kontakt.

Tak się zawsze składało, że przylatywał tu nocą. Teraz też była noc i coś nie w porządku. Coś oczywistego...

Zaciemnienie. Na dole widział bardzo niewiele świateł.

Czy powodowały to wymyślne urządzenia nawigacyjne samolotu, czy też stanowiło to po prostu psychologiczny chwyt, aby przypomnieć ludziom, co się naprawdę na świecie dzieje? Ale telewizja przecież, w której część programów szła "na żywo" z linii frontu, w wystarczającym chyba stopniu ludziom to uświadamiała. Jak większość osób w mundurach, Toland nie miał czasu ogarniać myśłą całości. Koncentrował się wyłącznie na przeznaczonym sobie wycinku.

Wydawało mu się, że to samo dotyczy Eda Morrisa i Danny*ego McCafferty'ego. Uprzytomnił sobie nieoczekiwanie, że pomyślał o nich po raz pierwszy od tygodnia. Co robią? Z pewnością zagrażało im większe niebezpieczeństwo niż jemu; swoje przejścia na "Nimitzu" z drugiego dnia wojny zapamięta dobrze do końca życia.

Toland nie wiedział jeszcze, że rutynową depeszą teleksową, jaką był wysłał przed tygodniem, po raz drugi w tym roku wpłynął bezpośrednio na losy przyjaciół.

Samolot pasażerski Boeing 737 wylądował dziesięć minut później. Na pokładzie znajdowało się tylko dwadzieścia osób, prawie wszystkie w mundurach. Na Tolanda czekał już samochód z szoferem. Natychmiast ruszyli do Northwood.

–Komandor Toland, tak? – spytał porucznik królewskiej marynarki. – Proszę za mną, sir. Pragnie pana widzieć dowódca floty na Wschodnim Atlantyku.

Admirał Sir Charles Beattie stał przed olbrzymią mapą Wschodniego i Północnego Atlantyku i ssał wygasłą fajkę,

–Sir, melduje się komandor Toland.

–Dziękuję – odparł admirał, nie odwracając nawet głowy. – Kawę i herbatę znajdzie pan w kąciku, komandorze.

Toland miał ochotę na herbatę. Pijał ją tylko podczas pobytów w Anglii i od kilku tygodni zastanawiał się, czemu nie robi tego również u siebie w domu.

–Pańskie tomcaty w Szkocji świetnie się sprawiły – powiedział Beattie.

–To dzięki radarom, sir. Ponad połowy strąceń dokonały samoloty RAF-u.

–W ubiegłym tygodniu przesłał pan do naszego wydziału operacji powietrznych wiadomość, że pańskie tomcaty są w stanie namierzyć wizualnie backfire'y z bardzo daleka.

Toland chwilę grzebał w pamięci.

–Ach, tak. To system wideokamer, admirale. Potrafią zlokalizować samolot rozmiarów myśliwca z odległości ponad trzydziestu mil. W sprzyjających warunkach atmosferycznych tak wielkie maszyny jak backfire'y mogą "zobaczyć" nawet z pięćdziesięciu.

–Podczas gdy backfire'y jeszcze o tym nie wiedzą?

–Dokładnie tak, sir,

–Jak daleko mogą ścigać te backfire'y?

–To pytanie powinien pan zadać pilotom. Przy wsparciu tankowców powietrznych moje myśliwce mogą przebywać w powietrzu prawie cztery godziny; dwie w jedną stronę i dwie z powrotem. Znaczy to, że są w stanie towarzyszyć Rosjanom prawie do ich baz.

Beattie po raz pierwszy popatrzył na Tolanda. Sir Charles był w przeszłości pilotem, jak również ostatnim dowódcą ostatniego prawdziwego lotniskowca Wielkiej Brytanii, staruszka "Ark Royal".

–Co pan wie o lotniskach Iwana?

–Chodzi panu o te dla backfire'ów? Dysponuje czterema w rejonie Kirowska. Zakładam, że posiada już pan zdjęcia satelitarne tych okolic, sir.

–Tutaj są – Beattie wręczył Tolandowi teczkę.

Wszystko to jakieś nieprawdopodobne – pomyślał Bob.

Czterogwiazdkowy admirał nie marnuje czasu na pogwarki ze świeżo upieczonym komandorem, jeśli ma inne sprawy na głowie. A Beattie miał kłopotów co niemiara.

Toland otworzył teczkę.

–Aha – mruknął, oglądając zestaw zdjęć przedstawiających lotnisko w Umboziero na wschód od Kirowska. Na czas przelotu satelity Rosjanie postawili zasłonę dymną i pasy startowe spowijały kłęby czarnego tumanu. Z kolei zdjęcia robione w podczerwieni zniekształcone zostały flarami. – No cóż, widać tu chyba wzmocnione hangary i jakieś trzy maszyny. Pozostałe widocznie gdzieś poleciały.

–Zgadza się. Bardzo dobrze, komandorze. Trzy godziny przed pojawieniem się satelity backfire'y taktyczne opuściły lotnisko.

–O, i ciężarówki... cysterny? – Admirał przytaknął skinieniem głowy. – Czy samoloty tankują natychmiast po powrocie z akcji?

–Chyba tak. Potem dopiero kierują je do hangarów.

Nie chcą tankować w środku i wcale się temu nie dziwię.

W ubiegłych latach Iwan niejednokrotnie doświadczył przypadkowych eksplozji.

Toland skinął głową. Pamiętał wybuch, jaki nastąpił w magazynach broni Rosyjskiej Floty Północnej w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym.

–To wspaniała myśl, by zniszczyć je w chwilę po tym, jak wylądują. Ale nie dysponujemy samolotami taktycznymi o tak dalekim zasięgu. Mogłyby tego ewentualnie dokonać B-52, lecz za straszną cenę. Przekonaliśmy się o tym w Islandii.

–Ale tomcaty mogą je ścigać prawie do ich baz. Czy byłby pan w stanie wyliczyć dokładny czas lądowania rosyjskich maszyn? – napierał Sir Charles.

Toland popatrzył na mapę. Backfire'y wrócą pod osłoną myśliwców trzydzieści minut przed dotarciem do bazy.

–Z dokładnością do kwadransa... chyba tak, admirale.

Myślę, że należy tego spróbować. Ciekaw jestem, ile czasu zajmie tankowanie backfire'ów.

Toland zauważył, że admirał nad czymś intensywnie rozmyśla. Mówił o tym dobitnie wyraz jego błękitnych oczu.

–Komandorze, moi oficerowie operacyjni zapoznają pana z czymś, co nosi nazwę "Operacja Doolittle"/Prowadzi ją jeden z najbystrzejszych ludzi z waszej marynarki. Na razie jest to wiadomość wyłącznie dla pańskich uszu. Proszę

stawić się u mnie za godzinę. Pragnąłbym usłyszeć pański pogląd na to, jak usprawnić jeszcze podstawową koncepcję operacji.

–Tak jest, sir.

USS "Reuben James" Stali w nowojorskim porcie. O'Malley w pomieszczeniach oficerskich kończył właśnie sporządzać raport o zniszczeniu radzieckiego okrętu podwodnego, kiedy odezwał się umieszczony na lewej grodzi telefon. Oficer rozejrzał się i zobaczył, że jest sam, co znaczyło, iż to on musi podnieść słuchawkę.

–Tu kwatery oficerska. Komandor-porucznik O'Malley.

–Tu "Battleaxe". Czy mogę rozmawiać z waszym dowódcą?

–Właśnie śpi. Czy to bardzo ważne? Może ja w czymś pomogę?

–Nasz kapitan prosi go na kolację. Za pół godziny.

Zaprasza też waszego pierwszego oficera i pilota śmigłowca.

Lotnik roześmiał się.

–Pierwszy oficer jest na plaży, ale pilot, jeśli tylko okręt Jej Królewskiej Mości podtrzyma zaproszenie, jest do dyspozycji.

–Naturalnie, komandorze.

–W takim razie idę budzić kapitana. Oddzwonię za kilka minut – O'Malley ruszył do drzwi, gdzie zderzył się z Willym.

–Przepraszam, sir. Czy mamy ładować torpedy?

–Idę właśnie do kapitana – odparł O'Malley. Willy poskarżył się, iż ostatnim razem załadunek przebiegał zbyt wolno. Pilot wręczył podoficerowi ukończony raport. – Proszę zanieść to do kancelarii okrętu. Niech przepiszą na maszynie.

O'Malley odnalazł kajutę kapitańską. Nad jej drzwiami paliło się światelko "nie przeszkadzać".

Lotnik zapukał, wszedł do środka i stanął zdumiony.

–Czy nie widzisz tego? – dobiegł go zduszony głos kapitana.

Morris leżał na plecach i kurczowo zaciskał palce na kocu. Twarz miał zlaną potem i oddychał ciężko, jakby właśnie ukończył maraton.

–Jezu słodki! – W pierwszej chwili O'Malley nie wiedział co zrobić. Nie znał przecież prawie wcale tego człowieka.

–Popatrz tylko! – zawołał głośno kapitan.

Jeśli krzyk ten usłyszał ktoś przechodzący korytarzem, pomyślał zapewne, że jego dowódca... pilot musiał jakoś zareagować.

–Kapitanie, zbudź się – Jerry chwycił Morrisa za ramiona i podniósł go do pozycji siedzącej.

–Czy nie widzisz tego? – znów wrzasnął nie rozbudzony jeszcze kapitan.

–Spokojnie, kolego. Jesteśmy bezpieczni w nowojorskim porcie. Okrętowi nic nie zagraża. Wstawaj, kapitanie.

Wszystko w porządku.

Morris chyba z dziesięć razy zamrugał oczyma. Kilkanaście centymetrów nad sobą ujrział

twarz O'Malleya.

–Co się dzieje?

–Dobrze, że przyszedłem. Z panem już wszystko w porządku? – pilot zapalił papierosa i podał go Morrisowi.

Ten odmówił. Wstał, podszedł do umywalki i nalał sobie wody do kubka.

–Miałem okropny sen. Co pan robi w mojej kajucie?

–Za pół godziny mamy iść do sąsiadów na kolację...

Sądzę, że chcą nam podziękować za podprowadzenie tego victora. Prosiłbym też, by pańska załoga uzbroiła helikopter w torpedy. Mój podoficer skarżył się, że ostatnim razem za długo to trwało.

–Kiedy mają zacząć?

–Jak tylko zapadnie zmrok, kapitanie. Niech się uczą robić to w trudnych warunkach.

–W porządku. Kolacja za pół godziny?

–Tak, sir. Na pewno sobie popijemy.

Morris uśmiechnął się, ale bez zbytniego entuzjazmu.

–Chyba sobie popijemy. Muszę się umyć. Do zobaczenia w mesie. Czy to spotkanie oficjalne?

–Nic nie wspominali. Nie będzie panu przeszkadzać, jeśli pójdę w tym ubraniu?

O'Malley miał na sobie mundur, w którym latał. Bez tylu kieszeni czułby się nieswojo.

–Za dwadzieścia minut.

Lotnik wrócił do swej kabiny i wyglansował buty.

Mundur był nowy i pilot doszedł do przekonania, że wygląda w nim wystarczająco elegancko. Niepokoił go Morris. Ten człowiek mógł się kompletnie rozkleić, a na to dowódca prowadzący okręt do boju nie mógł sobie pozwolić. W tym właśnie tkwił problem. Bo poza tym – myślał O'Malley – kapitan to bardzo fajny gość.

Kiedy ponownie spotkali się w mesie, Morris wyglądał już lepiej. Zadziwiające, ile może zdziałać zwykły prysznic.

Kapitan miał gładko uczesane włosy i wyprasowany mundur. Dwójka oficerów przeszła na

rufę, minęła helikopter i po trapie zeszła na ląd.

HMS "Battleaxe" pozornie wyglądał na okręt większy niż fregata amerykańska. Choć w rzeczywistości był o cztery metry krótszy, to ważył siedemset ton więcej i znacznie różnił się wyglądem od "Reubena Jamesa". Z całą pewnością miał bardziej wdzięczny kształt niż jego amerykański kolega.

Posiadał smuklejszy kadłub i bardziej strzelistą nadbudówkę.

Morris cieszył się, iż kolacja nie będzie przyjęciem oficjalnym. U stóp trapu przywitał ich młody marynarz i zaprowadził na pokład. Wyjaśnił, że kapitan w tej chwili rozmawia przez radio. Kiedy mężczyźni oddali zwyczajowe honory banderze i oficerowi wachtowemu, marynarz poprowadził ich przez klimatyzowane wnętrza do mesy oficerskiej.

–O cholera, mają nawet pianino! – wykrzyknął O'Malley, wskazując otwarty instrument przymocowany do lewej grodzi pięciocentymetrowej grubości linką. Od stołu wstało kilku oficerów. Nastąpiła wzajemna prezentacja.

–Czego się panowie napijecie? – spytał steward.

O'Malley wziął puszkę piwa i niezwłocznie ruszył do instrumentu. Minutę później brawurowo grał standardy Scotta Joplina. Drzwi mesy otworzyły się.

–Jerr-O! – wykrzyknął mężczyzna z czterema paskami na mankietach munduru.

–Doug! – O'Malley zeskoczył z taboretu i zaczął potrząsać wyciągniętą w swoją stronę dłonią.
– Do licha, to ty?

–Poznałem twój głos w radiu, Młocie. Marynarka amerykańska szukała doświadczonych pilotów i wygrzebała ciebie, tak?

Obaj mężczyźni roześmiali się głośno. O'Malley przywołał kapitana gestem ręki.

–Kapitan Ed Morris, a to kapitan Doug Perrin z marynarki brytyjskiej, kawaler Orderu Imperium Brytyjskiego i wielu innych odznaczeń. Niech pan popatrzy, kapitanie, na tego kurczaczka. Dowodził okrętami podwodnymi, kiedy jeszcze nie umiał chodzić.

–Widzę, że się panowie znacie.

–Jakiś idiota posłał go na HMS "Dryad" z wykładem na temat zwalczania okrętów podwodnych, kiedy przechodziłem tam szkolenie dla zaawansowanych. Znamy się chyba od stu lat.

–Czy Lis i młot są znów razem? – spytał O'Malley. – Kapitanie, kilometr od naszego miejsca znajdował się taki jeden bar i pewnej nocy z Dougiem...

–Nie wspominaj tamtej nocy, Jerr-O. Susan całymi tygodniami suszyła mu łeb. – Przeszli do barku, gdzie Perrin nalał sobie drinka. – Z tym victorem poszło nam znakomicie! Kapitanie Morris, słyszałem, że dowodząc swym poprzednim okrętem odniósł pan duże sukcesy.

–Jeden charlie i dwie połówki.

–Kiedy płynęliśmy z ostatnim konwojem, trafiliśmy na echo. Stary typ, ale doskonale dowodzony. Zajęło to nam sześć godzin. Ale dwa inne okręty o napędzie klasycznym – zapewne tanga – wdarły się w obręb konwoju i zatopiły pięć statków oraz jednostkę eskortową. Któryś z nich dostał, chyba "Diomedę", ale nie jesteśmy tego pewni.

–Echo szedł za wami? – spytał Morris. – • – Najprawdopodobniej – odrzekł Perrin. – Okazuje się, że Iwan z rozmysłem atakuje eskortę. Podczas ostatniego 10 – Czerwony sztorm t. II

nalotu backfire'ów Rosjanie wystrzelili w nas dwie rakiety.

Jedna przepadła w chmurze aluminiowych pasków, a drugą na szczęście przechwycił nasz sea wolf. Niestety pocisk eksplodował tak blisko rufy, że odciął holowaną antenę sonarową i pozostał nam tylko hydrolokator typu 2016.

–I dlatego macie pełnić rolę naszej śrutówki?

–Na to wygląda.

Kapitanowie pograżyli się w rozważaniach na temat polowania na rosyjskie okręty podwodne. O'Malley odnalazł pilota brytyjskiego śmigłowca i zaczął z nim rozmawiać, grając przy tym na pianinie, podczas gdy załoga nakrywała stoły. Najwidoczniej w marynarce królewskiej obowiązywała zasada, by oficerów z marynarki amerykańskiej przyjmować wcześniej, potem częstować alkoholem, a o sprawach zawodowych mówić na samym końcu.

Kolacja była wyśmienita, lecz niezupełnie odpowiadała amerykańskiemu gustowi. O'Malley uważnie wysłuchał relacji swego kapitana o tym, jak ten utracił "Pharrisa", o zastosowanej przez Rosjan taktyce i o tym, jak Morris nie zdołał precyzyjnie namierzyć przeciwnika. Pilot odnosił wrażenie, że dowódca opowiada nie o utracie okrętu, lecz o śmierci własnego dziecka.

–W takiej sytuacji trudno stwierdzić, co należałoby robić inaczej – pocieszał Doug Perrin. – Victor to trudny przeciwnik, a ponadto musiał dobrze obliczyć moment, kiedy pański okręt wyjdzie ze sprintu.

Morris potrząsnął głową.

–Nie, zwolniliśmy daleko od niego, co z całą pewnością pomieszało mu wyliczenia. Ale gdybym to wszystko wykonał lepiej, moi ludzie by żyli. Byłem kapitanem.

Popełniłem błąd.

–Wie pan, służyłem i na okrętach podwodnych – powiedział Perrin. – Miał nad wami przewagę, bo tropił was od dłuższego czasu.

Popatrzył przeciągle na O'Malleya.

Kolacja skończyła się o dwudziestej. Na następny dzień po południu zaplanowano odprawę dowódców okrętów eskortowych. O zachodzie słońca konwój miał ruszyć w drogę.

Kiedy O'Malley i Morris zeszli już z okrętu, pilot zatrzymał się.

–Zapomniałem czapki. Za sekundę wracam – powiedział i pobiegł z powrotem do mesy. Czekał tam już kapitan Perrin.

–Doug, i co o nim myślisz?

–W takim stanie nie powinien wracać na morze.

Wybacz, Jerry, ale naprawdę tak uważam.

–Masz rację. Zastosuję jeszcze jeden chwyt.

O'Malley dokonał niewielkiego zakupu i dwie minuty później dołączył do Morrisa.

–Kapitanie, czy musi pan od razu wracać na okręt? – spytał cicho. – Chciałbym o czymś porozmawiać, niezręcznie mi to robić na pokładzie. To sprawa osobista. Zgoda?

Pilot sprawiał wrażenie bardzo zakłopotanego.

–Możemy się trochę przejść – wyraził zgodę Morris.

Dwaj oficerowie skierowali się ku wschodniej części portu. O'Malley dostrzegł w pewnej chwili szylt baru, którego okna wychodziły na wodę. Przed wejściem kręciło się kilku marynarzy.

Poprowadził kapitana w tamtą stronę. Kiedy znaleźli ustronny stolik, O'Malley skinął na barmankę.

–Dwie szklanki proszę – powiedział, rozpinając suwak kieszeni na udzie, z której wyciągnął flaszkę irlandzkiej whisky "Black Bush".

–Jak chcecie tu pić, to musicie tutaj kupić.

O'Malley wręczył jej dwa dwudziestodolarowe banknoty i powiedział nie znoszącym sprzeciwu tonem:

–Poproszę dwie szklanki z lodem. A potem niech nas pani zostawi samych.

Obsłużyła ich błyskawicznie.

–Przeglądałem dziś po południu swój dziennik pokładowy – powiedział O'Malley kiedy przełknął pierwszy łyk trunku. – Cztery tysiące trzysta sześćdziesiąt godzin w powietrzu. Razem z ostatnią nocą, trzysta jedenastcie godzin spędzonych w akcjach bojowych.

–Wietnam. Mówił pan, że pan tam walczył – Morris pociągnął ze swojej szklanki.

–Ostatni dzień, ostatnie zadanie. Poszukiwałem pilota A.-7 zestrzelonego trzydzieści kilometrów na południe od Hajfongu – tej historii pilot nie opowiedział nawet własnej żonie. – Ujrzałem błysk, ale go zlekceważyłem. To był błąd. Myślałem po prostu, że to refleks w szybie jakiegoś domu, może w wodzie potoku lub jeszcze coś innego.

Poleciałem dalej.

Okazało się, że było to światło odbite w celowniku lub lornetce. Minutę później trafił w nas pocisk ze stumilimetrowego działa przeciwlotniczego. Helikopter zaczął spadać, wyrównałem jakiś lot i próbowałem lądować. Płonęliśmy.

Patrzę w lewo – drugi pilot rozerwany. Miałem na kolanach jego mózg. Z tyłu siedział szef trzeciej klasy imieniem Ricky. Obejrzałem się. Miał urwane obie nogi. Chyba jeszcze żył, ale nic nie mogłem zrobić; w naszą stronę już biegły trzy osoby. Po prostu uciekłem. Może mnie nie . dostrzegły, a może wcale ich nie interesowałem. Dwanaście godzin później znalazł mnie inny helikopter. – Lotnik nalał sobie kolejnego drinka i uzupełnił szklankę Morrisa.

–Pozwoli pan, bym pił samotnie?

–Mnie już wystarczy.

–Nie, nie wystarczy. Mnie też mało. Upłynął cały rok, nim się z tego otrząsałem. Pan nie ma roku. Pan ma tylko tę jedną noc. Musimy o tym porozmawiać, kapitanie.

Wiem, myśli pan, że nie jest z panem dobrze. Otóż będzie jeszcze gorzej.

Pociągnął ze szklanki. Ostatecznie pijemy bardzo dobry alkohol – pomyślał O'Malley. Obserwował Morrisa. Ten przez pięć minut milczał, pociągał ze szklanki i zastanawiał się, czy nie powinien po prostu wstać i bez słowa wrócić na okręt. Dumny kapitan. Jak wszyscy kapitanowie skazany na samotność. Ale Morris był dużo bardziej samotny niż reszta. Obawia się, że mam rację – stwierdził w myślach O'Malley. – Obawia się, że będzie jeszcze gorzej. Och, stary! Gdybyś tylko wiedział!

–No – odezwał się cicho pilot. – Przeanalizujmy wszystko po kolei.

–Pan już to za mnie zrobił.

–Jestem gadułą. Ale pan, Ed, robi to przez sen. Proszę więc uczynić to świadomie.

Kapitan zaczął powoli opowiadać. O'Malley wypytywał o wszystko. O warunki pogodowe, o kurs okrętu, o jego szybkość. O to, jakie urządzenia działały. Po godzinie opróżnili trzy czwarte butelki. Kiedy dotarli w końcu do torped, głos Morrisa zaczął się łamać.

–Nie mogłem już nic więcej zrobić! Te kurwy szły na nas. Mieliliśmy tylko jedną nixie. Odciągnęła jeden z rosyjskich pocisków. Próbowałem manewrować, ale...

–Miałeś do czynienia z torpedą samosterującą. Przed taką ani nie uciekniesz, ani nie zmylisz jej manewrem.

–Ale nie wolno mi było dopuścić...

–Ach, pieprzysz! – pilot napełnił szklanki. – Myślisz, że tylko ty straciłeś swą łajbę? Grałeś kiedyś w piłkę, Ed?

Są dwie strony i każda chce wygrać. Myślisz, że rosyjski kapitan powinien wystawić ci się na strzał i wołać: "Zatop mnie! Zatop mnie!" Chyba jesteś głupszy, niż myślałem.

–Ale moi ludzie...

–Paru.zginęło, lecz większości nic się nie stało. Żałuję tych, którzy polegli. Ale żałuję też śmierci Ricky'ego. Nie miał nawet dziewiętnastu lat. Ale to nie ja go zabiłem. I ty też nie zabiłeś swoich ludzi. Uratowałeś okręt. Doprowadziłeś go do portu. Przywiozłeś prawie całą załogę.

Morris jednym haustem opróżnił szklankę. Jerry, nie przejmując się już brakiem lodu, ponownie ją napełnił.

–To był mój obowiązek. Posłuchaj, kiedy wróciłem do Norfolk, odwiedziłem... myślałem, że muszę odwiedzić ich rodziny. Jestem kapitanem. Miałem... tam była mała dziewczynka... Jezu, O'Malley, o czym ty w ogóle mówisz?

Jerry zauważył, że kapitan ma prawie łzy w oczach.

–O tym w książkach nie piszą – zgodził się pilot.

A myślisz, że to by coś dało? – dodał w myślach. – Śliczna dziewczynka. Co można powiedzieć takiemu dziecku? – teraz już po policzkach Morrisa płynęły łzy.

Rozmawiali blisko dwie godziny.

–Powiesz małej dziewczynce, Ed, że jej tata był świetnym człowiekiem i zrobił wszystko, co mógł, i ty też

zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy. Nic więcej nie dało się już zrobić. Uczyniłeś wszystko, co należało, ale czasami tak już bywa, że to nie wystarcza.

O'Malley nie pierwszy raz trzymał w ramionach płaczącego mężczyznę. Pamiętał, że on też wyplakiwał się innym w klapę marynarki. Ale to życie parszywe – pomyślał. – Doprowadzić do takiego stanu człowieka tego pokroju.

Kapitan po kilku minutach opanował się i dokończyli butelkę. Obaj byli kompletnie pijani. O'Malley pomógł wstać dowódcy i ruszyli w stronę drzwi.

–Marynarka ma problemy? – spytał stojący samotnie przy barze marynarz z floty handlowej. Powiedział to w najmniej odpowiednim momencie.

Pod grubą kurtką lotniczą nie widać było, że O'Malley jest potężnie zbudowanym mężczyzną. Podtrzymując lewą ręką Morrisa, prawą chwycił marynarza za gardło i oderwał od baru.* – Nie podoba ci się mój przyjaciel, szczyłu? – wzmocnił uścisk.

–Powiedziałem tylko, że nieco za dużo wypił – wychrypiał ostatkiem tchu marynarz.

–W takim razie, dobranoc – O'Malley rozluźnił chwyt.

Manewrowanie kapitanem w drodze na okręt nastroczało wiele trudności. Częściowo dlatego, że sam O'Malley był urżnięty, ale głównie dlatego, że Morris zasypiał. Stanowiło to wprawdzie część planu pilota, ale Młot też trochę przesadził. Trap wydawał się być przeraźliwie stromy.

–Jakieś kłopoty?

–Dobry wieczór, szefie.

–Dobry wieczór, komandorze. Czy jest z panem kapitan?

–Niebawem zacznę sobie pomagać rękami.

–Widzę, że pan nie żartuje.

Szef zbiegł po schodni i pomógł wtransportować kapitana na pokład. Wielki problem stanowiła drabinka wiodąca do jego kajuty. Tutaj do pomocy włączył się kolejny marynarz.

–Cholera, wie jak chwycić się szczebla – mruknął.

–Trzeba też marynarza, aby go od niego oderwać – przyznał główny szef.

We trójkę jakoś wwindowali Morrisa na górę. Potem O'Malley zaniósł go do kajuty i rzucił na koję. Kapitan spał już jak zabity, a lotnik miał nadzieję, że koszmar nie wróci.

Ale jego koszmar nieustannie wracał.

Northwood, Anglia – I co, komandorze?

–Myślę, sir, że plan może się udać. Prawie wszystkie jednostki są już na miejscu.

–Pierwotny plan miał mniejsze szansę powodzenia.

Oczywiście, z pewnością ściągną na siebie uwagę, ale to jedyny sposób, by mocno zredukować siły Rosjan.

Toland popatrzył na mapę.

–Nie ustaliliśmy jeszcze czasu, ale sam plan nie różni się specjalnie od planu ataku, który przeprowadziliśmy na tankowce powietrzne. Podoba mi się ten pomysł, sir.

A z tymi kilkoma problemami sobie poradzimy. Co z konwojami?

–W porcie nowojorskim czeka już osiemdziesiąt statków. Wypłyną za dwadzieścia cztery godziny. Potężna eskorta, wsparcie lotniskowców, a nawet nowy krążownik z systemem Aegis. Następnym krokiem oczywiście będzie... – ciągnął Beattie.

–Tak jest, sir. A klucz do tego wszystkiego stanowi "Doolittle".

–Właśnie. Proszę teraz wracać do Stornoway. Wyślę tam też jednego z moich ludzi z wydziału operacyjnego.

Będziemy pana informować o wszystkim na bieżąco. I proszę nie rozmawiać o tym z nikim nie związanym bezpośrednio z tą operacją.

–Rozumiem, sir.

–Zatem do zobaczenia.

PRZESZPIEGI

USS "Reuben James" Godzina siódma rano stanowiła dla Jerry'ego O'Malleya porę zdecydowanie zbyt wczesną. W dwuosobowej kajucie, którą dzielił z drugim lotnikiem, pilot zajmował niższą koję. Tego ranka pierwszą świadomą czynnością, jaką wykonał O'Malley, było zażycie trzech aspiryn. To śmieszne – pomyślał. – "Młot". – Czuł go właśnie we własnej głowie. Nie – poprawił się po chwili, to nie młot, a automatyczne impulsy ultradźwiękowe sonaru. Odczekał dziesięć minut, aż lekarstwo zacznie działać, a następnie powłókł się do łazienki pod prysznic. Zimna, a potem gorąca woda postawiła go na nogi.

W zapełnionej ludźmi mesie oficerskiej panowała cisza.

Oficerowie grupowali się według wieku i prowadzili półgłosem rozmowy. Młodzi, którzy nie poznali jeszcze prawdziwej walki – gdy minęło pierwsze uniesienie sprzed kilku tygodni, kiedy

opuszczali San Diego – spoglądali teraz na wszystko dużo trzeźwiej. Jednostki tonęły. Ginęli ludzie, których znali. Dla tych dzieciaków strach był rzeczą dużo bardziej egzotyczną niż technologia, jakiej zostali wyuczeni. Albo się z nim oswoją, albo nie. Dla O'Malleya walka nie miała żadnych tajemnic. Wiedział, że się boi, ale potrafił ten lęk w sobie tłumić. Nie było sensu się nad tym rozwodzić. Strach niebawem pojawi się sam.

–Dzień dobry – przywitał pilot pierwszego oficera.

–Witaj, Jerry. Próbowałem właśnie dodzwonić się do kapitana.

–Powinien jeszcze pospać, Frank.

Pilot, zanim opuścił kabinę Morrisa, wyłączył kapitański budzik. Ernst wyczytał to z twarzy O'Malleya.

–No cóż, w zasadzie do jedenastej nie jest nam potrzebny.

–Zawsze wiedziałem, że jesteś dobrym pierwszym oficerem, Frank.

O'Malley wybierał między kawą a sokiem owocowym.

Tego ranka był pomarańczowy, którego woń nie przypominała pilotowi zapachu żadnego znanego owocu. O'Malley wolał bardziej czerwony, więc zdecydował się na kawę.

–W nocy osobiście nadzorowałem załadunek torped.

Pobiliśmy rekord o minutę, po ciemku!

–To świetnie. Kiedy odprawa?

–O czternastej. Dwa budynki stąd. Mają stawić się kapitanowie, pierwsi oficerowie i kilka wybranych osób.

Myślę, że pójdiesz.

–Pewnie.

Ernst zniżył głos.

–Myślisz, że z kapitanem wszystko w porządku?

Na okręcie trudno było zachować cokolwiek w tajemnicy.

–Walczy od Pierwszego Dnia tej awantury. Musiał się nieco rozluźnić. To odwieczna tradycja i przywilej marynarzy – podniósł głos. – Młodziaki nie potrafią tego zrozumieć.

–Nigdy jeszcze nie widziałem dinozaura – zauważył sotto voce młody oficer inżynier.

–To jeszcze go zobaczysz – wyjaśnił chorąży Ralston.

Islandia Doktor zaordynował wszystkim dwa dni odpoczynku.

Sierżant Nichols chodził już prawie normalnie, a Amerykanie, którym ryby dawno już wyszły bokiem, napychali żołądki dodatkowymi porcjami, których dostarczyła Piechota Morska Jej Królewskiej Mości.

Edwards znów obserwował horyzont. Dostrzegł ruch.

Dziewczyna. Trudno było nie patrzeć. Wręcz niemożliwe.

Tak naprawdę – przekonywał się Edwards – to niemożliwe stać na warcie i nie rozglądać się. Do licha, jej się to

nawet wydawało zabawne. Ludzie, którzy przybyli im z odsieczą – Edwards wiedział, jak mają się sprawy, ale po co Vigdis martwić? – przywieźli też mydło. Niewielkie jezioro, oddalone o osiemset metrów od ich kryjówki, było wymarzonym miejscem do kąpieli. We wrogim kraju naturalnie nikomu nie wolno było samotnie odchodzić tak daleko i porucznika wyznaczono na obstawę Vigdis – a ją na jego. Nawet gdyby w okolicy kręcili się Rosjanie, myśl, że ma z nabitym karabinem pilnować dziewczyny w kąpieli, wydawała mu się absurdalna. Gdy nakładała na siebie ubranie, spostrzegł, że rany na jej plecach prawie już się zagoiły.

–Skończyłam, Michael. – Nie mieli ręczników, lecz była to niewielka cena za to, że odzyskali ludzki zapach.

Podeszła do niego. Miała wilgotne włosy, a na twarzy łobuzerski uśmiech. – Jesteś trochę skrepowany. Przepraszam.

–To nie twoja wina – nie potrafił się na nią gniewać.

–Przez to dziecko jestem już gruba – powiedziała.

Michaelowi trudno było coś na ten temat powiedzieć, ale ostatecznie to nie jego figura się zmieniała.

–Wyglądasz w porządku. Przepraszam, że kilka razy zerknąłem na ciebie w niewłaściwej chwili.

–I co w tym złego?

Edwards z trudem dobierał słowa.

–No cóż..., po... po tym, co ci się przytrafiło... chodzi mi o to, że prawdopodobnie wcale nie

potrzebujesz grupy obcych mężczyzn kręcących się wokół, kiedy... kiedy jesteś... no, goła.

–Michael, ty jesteś inny niż tamten. Ty byś mnie nie skrzywdził. Wiesz, co mi zrobił, a mówisz, że jestem ładna, choć robię się gruba...

–Vigdis, z dzieckiem czy bez, jesteś najładniejszą dziewczyną, jaką znałem. Jesteś silna, jesteś odważna...

I myślę, że cię kocham, choć boję się to wyznać – dodał w duchu.

–Po prostu spotkaliśmy się w niewłaściwej chwili i w niewłaściwych okolicznościach.

–Dla mnie, Michael, zjawiłeś się w najbardziej właściwej chwili – chwyciła go za rękę. Ostatnio śmiała się już bardzo często. Miała miły, sympatyczny uśmiech.

–Za każdym razem, gdy mnie widzisz, gdy o mnie pomyślisz, przypominasz sobie tego... Rosjanina.

–Tak, Michael. Przypominam sobie. Przypominam sobie, że uratowałeś mi życie. Pytałam sierżanta Smitha.

Powiedział, że miałeś rozkaz nie zbliżać się do Rosjan, bo groziło to wam dekonspiracją. Powiedział, że zjawiłeś się tam z mego powodu. Choć mnie nie znałeś, ruszyłeś na pomoc.

–Postąpiłem właściwie – teraz trzymał jej obie dłonie.

Co powiedzieć? – myślał. – "Kochanie, jeśli wyjdziemy z tego cała" ... nie, to brzmi jak z kiepskiego filmu. Dawno minęły czasy, gdy Edwards miał szesnaście lat, ale w tej chwili wróciła cała niezdarność i nieśmiałość nastolatka, która tak zatrula mu młodość. W Eastpoint High School nigdy nie był królem podrywu.

–Vigdis, nigdy nie byłem dobry w tych sprawach.

Z Sandy potoczyło się inaczej. Ona mnie rozumiała. Nie umiem rozmawiać z dziewczynami... cholera, w ogóle nie potrafię gadag z ludźmi. Mogę robić mapy pogody, bawić się komputerami, ale zanim zabiorę głos, muszę wlać w siebie kilka piw...

–Wiem, że mnie kochasz, Michael – jej oczy rozbliły, kiedy oznajmiała mu ten sekret.

–No cóż, tak.

Wręczyła mu mydło.

–Teraz twoja kolej. Nie będę cię zanadto podglądać.

Fóltziehausen, Republika Federalna Niemiec Major Siergietow wręczył notatki. Wojska

radzieckie sforsowały Leinę w drugim miejscu – w Gronau, piętnaście kilometrów na północ od Alfeld – i teraz na Hamejn szło sześć dywizji, a inne jednostki próbowały poszerzyć wyłom.

Sytuacja ciągle przedstawiała się nie najlepiej. W tej części Niemiec sieć dróg była stosunkowo rzadka, a te arterie,

które kontrolowali, znajdowały się pod nieustannym ogniem artyleryjskim i lotniczym, dziesiątkującym maszerujące kolumny na długo przed tym, nim zdążyły włączyć się do walki.

Tam, gdzie przełomu miały dokonać trzy dywizje piechoty zmotoryzowanej, by sukces ten mogła wykorzystać dywizja czołgów, związane zostały w walce dwie radzieckie armie. Na pozycjach zajmowanych uprzednio przez dwie niepełne brygady Niemców, teraz stała murem zbieranina jednostek wszystkich armii NATO. Aleksiejew czuł głęboki ból na myśl o straconej szansie. A gdyby jego rakiety nie zbombardowały mostów? Czy dotarłyby do Wezery w zaplanowanym czasie? To już przeszłość – pomyślał Pasza.

Przejrzał dane dotyczące możliwości paliwowych.

–Na miesiąc?

–Przy obecnym tempie zużycia tak – odparł posępnie Siergietow. – I tak już gospodarka narodowa się załamała.

Mój ojciec pytał, czy moglibyśmy ograniczyć nieco zużycie na froncie...

–Pewnie! – wybuchnął generał. – Możemy się w ogóle poddać! To by zaoszczędziło mu drogocennego paliwa!

–Towarzyszu generale, sami prosiliście mnie, bym dostarczył informacji wiarygodnych. Zrobiłem to. Załatwił mi to mój ojciec – młody mężczyzna wyjął z kieszeni płaszcza dokument. Był to dziesięciostronicowy raport KGB oznaczony napisem: WYŁĄCZNIE DO WGLĄDU POLITBIURA. – To bardzo interesujące sprawozdanie. Ojciec prosił, bym podkreślił, że ponosi duże ryzyko, powierzając wam te papiery.

Generał potrafił bardzo szybko czytać, a ponadto nie był człowiekiem, który dawał ponieść się emocjom. Rząd Zachodnich Niemiec nawiązał bezpośredni kontakt z Rosjanami poprzez swoją ambasadę w Indiach. Wstępne rozmowy dotyczyły wyłącznie możliwości podjęcia jakichkolwiek rokowań. Zdaniem KGB próby negocjacji odbijały rozbieżności polityczne Paktu Atlantyckiego oraz wskazywać mogły na krytyczną sytuację zaopatrzenia po drugiej

stronie frontu. Dalej następowały dwie kartki wykresów i ocena szkód, jakie poniósł dotąd morski transport NATO oraz analiza zużycia materiałów wojennych. KGB oceniało, iż mimo wszystkich transportów, którym udało się dotrzeć do Europy, Pakt Atlantycki dysponuje zapasami na dwa tygodnie. Żadna ze stron nie produkowała broni i paliwa w takich ilościach, by dźwignąć cały ciężar wojny.

–Mój ojciec twierdzi, iż jest to szczególnie znaczące.

–W pewnym sensie tak – odparł ostrożnie Aleksiejew.

–Dopóki ich przywódcy podejmują próby rokowań, Niemcy nie zaprzestaną walki. Jeśli jednak my zaoferujemy im warunki do przyjęcia, a tym samym usuniemy ich z NATO, osiągniemy nasz cel i będziemy mogli, już bez pośpiechu, zająć się Zatoką Perską. Co proponujemy Niemcom?

–W tej sprawie nie zapadły jeszcze wiążące decyzje.

Oni chcą, byśmy na początek cofnęli się na linie przedwojenne, a całą resztę ustali się później, na bardziej już formalnych podstawach i pod kontrolą międzynarodową.

Ich wyjście z Paktu Atlantyckiego może nastąpić wyłącznie po podpisaniu ostatecznego traktatu.

–Warunki nie do przyjęcia. Nic na tym nie zyskujemy.

Ciekaw jestem, czemu w ogóle chcą negocjować?

–Na pewno wpływ na to miał zamęt w rządzie spowodowany kłopotami z ewakuacją ludności cywilnej oraz wielkie straty ekonomiczne.

–Aha – Aleksiejewa nie obchodziło, jakie szkody w gospodarce ponoszą Niemcy. Ich rząd jednak bardzo bolał nad tym, że to, co budowały dwa pokolenia obywateli, jest niszczone przez radzieckie pociski. – Czemu ci z Moskwy o niczym nas nie informują?

–Politbiuro uważa, że wiadomość o możliwości rokowań osłabiałaby morale naszego żołnierza.

–Idioci! Przecież na tej podstawie ustalilibyśmy, jakie cele atakować w pierwszym rzędzie!

–Mój ojciec jest tego samego zdania. Pragnie znać waszą opinię.

–Powiedzcie ministrowi, że nie dostrzegam żadnych

znak tego, by NATO zamierzało zrezygnować z walki.

Niemiecka wola walki jest szczególnie silna. Wszędzie stawiają opór.

–Ich rząd chce przystąpić do negocjacji poza plecami armii. Skoro oszukują sojuszników z Paktu Atlantyckiego, dlaczego nie mieliby robić tego samego w stosunku do własnego dowództwa wysokiej rangi? – odrzekł Siergietow.

Ostatecznie w jego kraju taka polityka zdawała egzamin...

–To tylko jedna z możliwości, Iwanie Michajłowiczu.

Istnieje inna – Aleksiejew wrócił do papierów. – To wszystko mydlenie oczu.

Nowy Jork Odprawę prowadził kapitan. W miarę jego słów zebrani dowódcy i wyżsi oficerowie kartkowali pilnie dokumenty, jak studenci szkoły wyższej podczas przedstawienia Szekspira.

–W głównych punktach, z których może nadejść zagrożenie, rozmieścimy wysunięte pikiety hydrolokacyjne – kapitan przesunął po grafiku drewnianym wskaźnikiem.

Fregaty "Reuben James" i "Battleaxe" znajdować się miały prawie trzydzieści mil od formacji. Z tego powodu zainstalowane na innych jednostkach eskortowych wyrzutnie SAM-ów nie mogły zapewnić im osłony powietrznej. Oba okręty wprawdzie dysponowały własnymi pociskami klasy ziemia-powietrze, ale praktycznie były zdane tylko na siebie.

–Przez większą część drogi – ciągnął kapitan – będą nas również chroniły jednostki z holowaną anteną sonarową.

Obecnie trwa przegrupowanie statków. Spodziewamy się uderzenia radzieckiej floty podwodnej i ataków z powietrza.

Główną osłonę lotniczą zapewnią nam dwa lotniskowce:

"Independence" i "America". Jak już panowie pewnie zauważyliście, konwojowi towarzyszyć będzie nowy krążownik z systemami Aegis, "Bunker Hill". Ponadto siły powietrzne obiecują zniszczyć rosyjskiego satelitę zwiadowczego podczas jego kolejnego przelotu. Ma to nastąpić około dwunastej czasu Greenwich.

–To bardzo dobra wiadomość – mruknął kapitan niszczyciela.

–Panowie, wieziemy ponad dwa miliony ton wyposażenia oraz pełną pancerną dywizję rezerwową z formacji Gwardii Narodowej. Nie licząc sprzętu uzupełniającego, ten transport wystarczy na to, by nasz Pakt prowadził walkę przez kolejne trzy tygodnie. Musimy przejść.

Czy są jakieś pytania? Nie ma? W takim razie życzę powodzenia.

Sala opustoszała i oficerowie, wyminawszy strażników, wyszli na zalaną słońcem ulicę.

–Jerry? – odezwał się cicho Morris.

–Tak, kapitanie? – pilot włożył lotnicze okulary przeciwsłoneczne.

–Jeśli chodzi o ostatni wieczór...

–Kapitanie, wczoraj byliśmy bardzo pijani i, mówiąc szczerze, niewiele pamiętam. Pół roku może nam zająć, nim dojdziemy wreszcie do tego, co się wydarzyło. Spał pan dobrze?

–Prawie dwanaście godzin. Mój budzik nie zadzwonił.

–Może powinien pan kupić sobie nowy.

Przechodzili właśnie obok baru, w którym spędzili poprzedni wieczór. Pilot i kapitan obrzucili wzrokiem szyld i wybuchnęli śmiechem.

–I znów bierzemy na siebie główny impet uderzenia wroga, moi drodzy – przyłączył się do nich Doug Perrin.

–Tylko nie podchodź za blisko do tego nieprzyjacielskiego gnoju – poradził O'Malley. – To niebezpieczne jak cholera.

–To ty masz tych skubańców trzymać od nas z daleka, Jerr-O. Jesteś na to przygotowany.

–Dobrze by było – odparł lekceważąco Morris. – Nie znoszę tego jego gadania.

–Mamy tu bardzo sympatyczny zespół – odparł obrażony pilot. – Jezu, lecę sam, wynajduję ten Cholerny okręt podwodny, podaję go Dougowi jak na tacy, a tu żadnej wdzięczności.

–Tak to jest z pilotami. Jeśli nie będziesz ich co pięć minut chwalił, zaraz wpadają w depresję – wtrącił ze śmiechem Morris. Nie przypominał już człowieka, który marudził podczas ostatniej kolacji. – Potrzebujesz czegoś od nas, Doug?

–Możemy się wymienić żywnością? – Żaden problem. Przyślij swojego ochmistrza. Z pewnością coś wynegocjujemy. – Morris popatrzył na zegarek.

–Wypływamy dopiero za trzy godziny. Chodźmy coś zjeść. Potem omówimy kilka spraw. Mam pewien pomysł, jak nabić backfire'y w butelkę. Powiem wam...

Trzy godziny później dwa holowniki Moran wyprowadziły fregaty z pirsu. "Reuben James" posuwał się wolno z szybkością sześciu węzłów. Pracujące na małych obrotach silniki popychały okręt przez brudną wodę. Jakkolwiek cztery oriony patrolowały dokładnie okolicę, O'Malley siedział w prawym fotelu swej maszyny, gotów w każdej chwili runąć na rosyjski okręt podwodny zaczajony u wejścia do portu. Zapewne zniszczony przed dwoma dniami victor miał za zadanie wytropić konwój, przekazać o nim informację backfire'om, po czym sam uderzyć. Choć tropiciel został unieszkodliwiony, nie znaczyło to wcale, że wieść o konwoju nie dotarła gdzie nie trzeba. Nowy Jork liczył sobie osiem milionów mieszkańców, więc z całą pewnością, któryś z nich stał właśnie w oknie z lornetką i zapisywał typ oraz liczbę wypływających jednostek.. On, lub ona, wykona z pewnością niewinny telefon i za parę godzin odpowiednie dane trafią do Moskwy. Pojawią się kolejne okręty podwodne. Gdy tylko konwój znajdzie się poza zasięgiem osłony lotniczej z lądu, nadlecą radzieckie samoloty radiolokacyjne, a za nimi uzbrojone w rakiety backfire'y.

Tyle statków – pomyślał O'Malley. Minęli kilka kontenerowców do przeładunku poziomego

załadowanych czołgami, wozami bojowymi i ludźmi z dywizji pancernej.

Na innych widniały kontenery gotowe do natychmiastowego przeładunku na ciężarówki i odjazdu na front. Ich zawartość zarejestrowana została w komputerach, które na miejscu

rozdysponują ją bezbłędnie. Przypomnił sobie najnowsze doniesienia i sfilmowane sceny z pola walki w Niemczech, które oglądał był w telewizji. Dlatego właśnie są, gdzie są.

Zadanie marynarki: utrzymać trasy morskie i dostarczać walczącym w Niemczech ludziom niezbędnego sprzętu.

Przeprowadzać statki.

–I jak płynie? – spytał Calloway.

–Nieźle – odparł reporterowi Morris. – Mamy stabilizatory na stateczniku. Dlatego okręt zanadto nie kolebie. Jeśli interesuje się pan czymś szczególnie, wyznaczę marynarza. Ten wszystko wyjaśni. O każdą rzecz może pan śmiało pytać.

–Postaram się nie być zbyt nachalny.

Morris skinął głową reporterowi Reutersa. Zaledwie godzinę wcześniej kapitan otrzymał wiadomość, że dziennikarz przybędzie na pokład. Sprawiał wrażenie zawodowca, a w każdym razie miał na tyle duże doświadczenie, iż jego bagaż składał się tylko z jednej sztuki. Dziennikarz zajął ostatnią wolną koję w kajutach oficerskich.

–Admirał powiedział, że jest pan jednym z jego najlepszych dowódców.

–Mam nadzieję, że tak będzie – odparł Morris. 11 – Czerwony sztorm t. II

CZAS WYCZEKIWANIA

USS "Reuden James"

Pierwsze dwa dni minęły spokojnie.

Okręty wojenne eskortujące konwój płynęły na przodzie, przeczesując sonarami przybrzeżny szelf. Żadnych łodzi podwodnych nie wykryły. Dalej ciągnęły uformowane w osiem kolumn po dziesięć jednostek każda statki handlowe. Flotylla płynęła z szybkością dwudziestu węzłów; spieszyła się, by w jak najkrótszym czasie dostarczyć ładunek do miejsca przeznaczenia. Kryty potężnym parasolem lotniczym, tworzonym przez mające swoją bazę na lądzie samoloty, konwój przez pierwsze czterdzieści osiem godzin płynął kursem prostym, unikając charakterystycznych dla statków handlowych zygzaków. Flotylla minęła Nową Anglię, Wschodnią Kanadę, wyspę Sable i Grand Banks. Tu skończyła się łatwa część podróży.

Gdy okręty opuściły wody przybrzeżne i wpłynęły na przestwór Atlantyku, znalazły się na

terytoriach nieznanych.

Już prawie skończyłem depesze... – poinformował Morrisa Calloway.

–Może pan dwa razy na dobę korzystać z naszego nadajnika satelitarnego, jeśli naturalnie nie będzie to kolidowało z zadaniem. Sam pan rozumie, że wszelkie pańskie doniesienia przechodzą przez cenzurę w Norfolk.

–To oczywiste. Kapitanie, obiecuję solennie, że nie nadam ani jednej informacji, która mogłaby okazać się w jakiś sposób szkodliwa dla okrętu. Już dosyć strachu najadłem się w tym roku w Moskwie.

–Słucham? – Morris odwrócił się i odjął od oczu lornetkę.

Calloway pokrótce opisał swój ostatni pobyt w Związku Radzieckim.

–Patrick Flynn, mój kolega z American Press, przebywa na pokładzie "Battleaxe". Z pewnością zalewa się piwem – zakończył.

–A więc był pan świadkiem początku wszystkiego.

Dlaczego ta wojna wybuchła?

Calloway potrząsnął głową.

–Gdybym wiedział, dawno bym już o tym napisał.

Na mostku pojawił się goniec ze spiętym klipsami plikiem papierów. Morris odebrał je, przestudiował trzy depesze i każdą z nich podpisał.

–Coś przykrego?

–Najnowsze informacje pogodowe i trochę o rosyjskim satelicie rozpoznawczym. Nad nami ma być za trzy godziny, ale siły powietrzne postarają się go do tego czasu strącić.

Nic ważnego. Jest pan bezpieczny. Tak w każdym razie myślę. Ma pan jakieś życzenia? – Żadnych, kapitanie. Nie ma to jak spokojna przejażdżka morska.

–To racja.

Morris wsunął głowę do sterowni.

–Przedziały załogi, alarm powietrzny!

Morris wprowadził reportera do centrum informacji bojowej, wyjaśniając, że zaraz zaczną się nocne ćwiczenia z gotowości bojowej i – Czy jedna z tych depesz zawierała ostrzeżenie?

–Nie, ale za sześć godzin znajdziemy się poza zasięgiem naszych myśliwców operujących z baz lądowych. A to znaczy, że zacznie nas szukać Iwan.

A jesteście zdani tylko na siebie – dodał w myślach.

Ćwiczenia trwały godzinę. Załoga w centrum informacji bojowej odbyła w tym czasie dwie komputerowe gry symulacyjne. W drugiej z nich rakiet przeciwnika przedarła się przez obronę.

Langley, baza lotnicza, Wirginia Myśliwiec F-15 toczył się wolno po pasie i zatrzymał przed samym hangarem. Szef obsługi naziemnej przystawił do maszyny drabinkę i major Nakamura zesłała na ziemię.

Popatrzyła na osmalony tył maszyny. Podeszła doń i zaczęła z uwagą oglądać uszkodzenie.

–Nie wygląda źle, pani major – zapewnił ją sierżant.

Odłamek eksplodującego silnika rakiety wybił w skrzydle dziurę wielkości puszek od piwa, mijając zaledwie o siedem centymetrów zbiornik z paliwem. – W kilka godzin to naprawię.

–Z panią wszystko w porządku? – spytał inżynier od Lockheed.

–Wybuchł siedemnaście metrów ode mnie. Zdrowo rąbnęło. A swoją drogą bardzo się pan mylił. Kiedy już wybuchają, to jest to coś naprawdę szczególnego. Silnik rozpadł się na kawałki. Miałam dużo szczęścia, że trafił mnie tylko jeden odłamek – Buns wystraszyła się jak cholera, ale teraz miała w perspektywie godzinny odpoczynek. Była już tylko wściekła.

–Bardzo mi przykro, pani major. Cóż mam powiedzieć?

–Spróbujemy jeszcze raz – popatrzyła na niebo przez dziurę w skrzydle. – Kiedy znów się pojawi?

–Za jedenaście godzin i szesnaście minut.

–To do zobaczenia.

Udała się do bufetu pilotów. Ściany pomieszczenia wyłożone były płytkami dźwiękochłonnymi. Zabezpieczało to również pięści pilotów przed nadmiernym poranieniem.

Kirowsk, RSFRR Poruszający się bez przeszkód radiolokacyjny rozpoznawczy satelita morski sunął po orbicie i podczas kolejnego przelotu nad Północnym Atlantykiem dostrzegł potężną formację złożoną blisko ze stu okrętów płynących w równym szyku. Radzieccy analitycy zdecydowali, że musi to być konwój, o którym donosił wywiad. Stwierdzili również

z zadowoleniem, że formacja znajduje się dokładnie w tym miejscu, gdzie przewidywali.

Dziewięćdziesiąt minut później dwa pułki uzbrojonych w rakiety bombowców Backfire, poprzedzane samolotami radarowymi Bear-D oderwały się z czterech lotnisk usytuowanych wokół Kirowska i pomknęły w stronę radarowej dziury nad Islandią.

USS "Reuben James" – To ta niespodzianka, którą pan dla nich szykuje? – spytał Calloway. Wskazał palcem niektóre symbole na głównym ekranie taktycznym.

Morris kiwnął w zamyśleniu głową.

–Dotąd stosowaliśmy systemy ograniczania szkodliwych wylotów i spalin oraz wyłączaliśmy radary. Okręty były przez to trudniejsze do wykrycia. Teraz wymyśliliśmy jeszcze coś innego. To jest obraz z radaru SPS-49...

–To ten czarny potwór nad sterownią?

–Zgadza się. Te symbole to tomcaty z lotniskowca "America". Ten to tankowiec powietrzny KC-135. Tamta dzieciątka to radarowy E-2C Hawkeye. Radar Hawkeye'a nie pracuje. Kiedy pojawi się Iwan, będzie już zbyt blisko, by pojąć, co ma przed sobą.

–Ależ on już wie – sprzeciwił się Calloway,

–Nie, wie tylko to, że konwój znajduje się gdzieś w o k o l i c y. A to za mało, by wystrzelić rakiety. Nic ponadto, że mamy tu radar SPS-49. Będzie musiał uaktywnić radiolokator, by zobaczyć, co się dzieje na oceanie. Kiedy Mr. Bear to uczyni, my go namierzemy i natychmiast wyślemy mu na tyłek myśliwce. Nawet się nie zorientuje, kto do niego strzela.

–A jeśli backfire'y się dzisiaj nie pojawią?

–To pojawią się kiedy indziej. Beary przekazują też informacje okrętom podwodnym, panie Calloway. Te również warto niszczyć., ^

Islandia Po raz pierwszy mieli czas się nudzić. Edwards i jego ludzie przeżyli niejedną chwilę grozy, ale nigdy się nie nudzili. Obecnie tkwili już w jednym miejscu cztery dni, a żadne nowe polecenia nie nadchodziły. Składali raporty o niewielkiej aktywności Rosjan, lecz ponieważ nie mieli nic innego do roboty, wlokący się czas bardzo im ciążył.

–Poruczniku – Garcia wskazał niebo. – Samolot.

Leci na południe.

Edwards podniósł lornetkę. Niebo popstrzone było białymi barankami. Tego dnia nie występowały żadne smugi kondensacyjne, ale... tam! Dostrzegł błysk, refleks światła.

Wyteżył wzrok.

–Nichols, co pan o tym sądzi? – wręczył sierżantowi szkła.

–To rosyjski backfire – odparł po prostu Nichols.

–Jest pan pewien?

–Całkiem pewien, poruczniku. Widywałem je wystarczająco często.

–Proszę liczyć – powiedział Edwards, rozpakowując radio.

–Widzę cztery maszyny. Lecą na południe, sir.

–I jest pan pewien, że to backfire^ – Edwards jeszcze raz domagał się potwierdzenia.

–Jak jasna cholera, poruczniku Edwards – odparł rozdrażniony Nichols. Obserwował, jak oficer manipuluje przy radiu.

–Ogar wzywa Brytana.

Odpowiedź przyszła dopiero po trzecim wezwaniu.

–Brytan, tu Ogar. Mamy dla was informację. Nad nami przelatują bombowce typu Backfire. Lecą na południe.

–Skąd wiesz, że to backfire'y? – chciał wiedzieć Brytan.

–Ponieważ sierżant Nichols z królewskiej piechoty morskiej jest tego pewien jak jasna cholera. Cztery sztuki – w tej samej chwili Nichols podniósł do góry piąty palec.

–Poprawka: piąty samolot zmierzający na południe.

–Zrozumiałem. Dziękuję, Ogar. Coś jeszcze?

–Nie, nic. Jak długo mamy jeszcze sterczeć na tym wzgórzu?

–O wszystkim was powiadomimy. Cierpliwości, Ogar.

Nie zapominamy o was.

Północny Atlantyk Beary posuwały się zygzakami. Załogi badały wzrokiem przestrzeń powietrzną, kontrolując jednocześnie częstotliwości radiowe i radiolokacyjne. Prowadzący bear odkrył obecność amerykańskiego radaru. Po minucie zaklasyfikował go jako typ SPS-49 używany przez rakietowe fregaty typu Perry. Operatorzy natychmiast zmierzili siłę tych sygnałów i nanieśli pozycję urządzenia na nakres. Ustalili, że są jeszcze poza zasięgiem wykrywalności amerykańskiego radaru.

Lecący na pokładzie trzeciego beara dowódca zadania otrzymał tę informację i porównał ją z danymi wywiadu o konwoju. Pozycja flotylli wypadła dokładnie w środku koła, które zakreśliłby

na mapie. Rzeczy proste zawsze Rosjanina niepokoiły. Czyżby konwój obrał najkrótszą drogę do Europy? Dlaczego? Aż do teraz większość płynęła trasą okrężną, odbijając daleko na południe, aż do Azorów, co zmuszało backfire'y do zabierania tylko po jednej rakiecie, nie po dwie.

Coś tu było nie tak. Poleciał samolotom patrolowym ustawić się na linii północ-południe i zmniejszyć wysokość.

Dzięki temu znalazły się poniżej horyzontu radiolokacyjnego amerykańskiego radaru.

USS "Reuben James" – Jaki zasięg mają wasze radary? – spytał Calloway.

–To zależy od wysokości i warunków atmosferycznych – odparł Morris, spoglądając na elektroniczny obraz na ekranie. Dwa tomcaty marynarki były gotowe do akcji. – Jeśli chodzi o beary, to gdy lecą na pułapie dziesięciu tysięcy metrów, możemy je wykryć z odległości mniej więcej

dwustu pięćdziesięciu mil. Ale im niżej lecą, tym bliżej mogą podejść nie zauważone. Radar nie jest w stanie przebić horyzontu.

–Ale niski lot kosztuje więcej paliwa.

Morris popatrzył na dziennikarza.

–Te piekielne samoloty mają wystarczającą ilość benzyny, by utrzymać się w powietrzu chyba przez tydzień – mruknął.

–Depesza, kapitanie. – Oficer łączności wręczył mu blankiet:

MOŻLIWOŚĆ NALOTU BACKFIRE'ÓW. 1017 CZASU GREENWICH WIDZIANE NAD ISLANDIĄ. KIERUNEK: POŁUDNIOWY.

Morris przekazał tekst depeszy oficerowi taktycznemu, który natychmiast podszedł do nakresu.

–Jakieś pomysły wieści? – Calloway wolał zapytać, niż samemu zaglądać do depeszy.

–Za mniej więcej dwie godziny mogą się tu pojawić backfire'y.

–By zaatakować konwój?

–Nie. Prawdopodobnie najpierw chcą zniszczyć nas.

Mają całe cztery dni i, jeśli rozprawią się z eskortą, bardzo ułatwią sobie pracę.

–Niepokoi się pan?

Morris uśmiechnął się blade.

–Zawsze się niepokoję, panie Calloway.

Kapitan baczny spojrzeniem omiół wskaźniki na tablicy rozdzielczej. Wszystkie systemy operujące bronią i czujniki pracowały. Jednak przyjemnie jest dowodzić fabrycznie nowym okrętem – pomyślał Morris. Systemy ostrzegania nie wykazywały obecności jednostek podwodnych, lecz dane te należało traktować ostrożnie.

Mógł połączyć się z przedziałami załogi, ale wiedział, że większość marynarzy jest jeszcze na lunchu. Niech się najpierw najedzą, a potem ogłoszę alarm – postanowił.

To przekłete czekanie – myślał, obserwując w milczeniu nakres. Wysoki na lampach oscyloskopowych wskazywały

pozycje samolotów NATO krążących szerokimi kołami po niebie. One też czekały.

–Nadlatują kolejne jednostki z patrolu maszyn bojowych – zameldował oficer.

Na ekranie pojawiła się para tomcatów. "America" również dostała depezę o możliwości nalotu. Lotniskowiec znajdował się w odległości dwustu mil i kierował się na zachód do Norfolk. Od Azorów nadpływał "Independence". Lotniskowce były na morzu od chwili wybuchu wojny i manewrowały tak, by nie wykryły ich rosyjskie radiolokacyjne rozpoznawcze satelity morskie. Te dwie olbrzymie jednostki potrafiły wielu konwojom zapewnić obronę przed okrętami podwodnymi, aczkolwiek wiązało się to z ogromnym niebezpieczeństwem dla samych lotniskowców. Ale jak dotąd żaden z nich nie wkroczył w pełni do akcji. Nie stanowiły jeszcze broni ofensywnej. Los grupy bojowej "Nimitza" był dla nich surową przestrogą. Morris zapalił kolejnego papierosa. Pomyślał, że jednak powinien rzucić palenie. Papierosy drażniły mu gardło, niszczyły smak i szczypały w oczy. Z drugiej jednak strony dawały jakieś zajęcie rękom w długich chwilach, kiedy musiał po prostu czekać.

Północny Atlantyk Ustawione w linii północ-południe beary leciały prosto w kierunku sygnału emitowanego przez radar fregaty.

Dowódca misji polecił im skrócić na wschód i jeszcze obniżyć pułap. A ponieważ dwie maszyny nie zastosowały się do polecenia, musiał rozkaz powtórzyć.

Dwieście mil na zachód od nich, na pokładzie samolotu wywiadowczego E-2C Hawkeye technik poderwał głowę.

Przechwycił rozmowę po rosyjsku. Była kodowana, ale niewątpliwie prowadzona w języku nieprzyjaciela.

W ciągu minuty wiadomość dotarła do okrętów^ eskortowych. Ze wszystkich nadeszła ta sama odpowiedź: to niemożliwe, by backfire'y zjawily się tak szybko. To musiały być beary. Każdy

chciał zestrzelić beara. "America" wysłała

myśliwce oraz jeden samolot z zainstalowanym na pokładzie radarem. Ostatecznie to właśnie na ten lotniskowiec mogą polować Rosjanie.

USS "Reuben James" – Leci prosto na nas – zauważył oficer taktyczny. – . Generalnie tak – zgodził się Morris.

–Jak daleko jest? – spytał Calloway.

–Trudno powiedzieć. Hawkeye przechwycił transmisję radiową. Chyba niezbyt daleko, ale zjawiska atmosferyczne mogą sprawić, że usłyszysz pan coś takiego z drugiego końca świata. Panie Lenner, proszę iść do centrum bojowego i przygotować wszystko do akcji powietrznej.

Pięć minut później fregata była gotowa do walki.

Północny Atlantyk – Dzień dobry, Mr. Bear.

Pilot tomcata wpatrywał się w ekran lampy oscyloskopowej. Rosyjska maszyna znajdowała się w odległości czterdziestu mil, promienie słońca lśniły w jej potężnych śmigłach. Wyłączywszy radary, pilot myśliwca otworzył przepustnicę na osiemdziesiąt procent i uruchomił systemy rakietowe. Pędził teraz na zbliżenie z szybkością przekraczającą tysiąc mil na godzinę; siedemnaście na minutę.

–Włączaj – rozkazał pilot i oficer, który siedział z tyłu i obsługiwał radar przechwytyjący, uruchomił potężne urządzenie AWG-9.

–Mam go – zameldował w chwilę później.

–Ognia!

Od skrzydeł oderwały się dwie rakiety; natychmiast nabrały prędkości przekraczającej trzy tysiące mil na godzinę.

Radziecki technik wojny elektronicznej próbował właśnie ustalić cechy charakterystyczne radaru poszukującego fregaty, kiedy z oddzielnego głośnika ostrzegania dobiegł piskliwy sygnał. Człowiek popatrzył w tamtą stronę i zbladł jak kreta.

–Atak z powietrza! – krzyknął w interkom.

Pilot bez chwili namysłu ostrym skrzętem przez skrzydło uskoczył w lewo i znurkował, a technik wojny elektronicznej uaktywnił systemy zagłuszające. Niestety, podczas skrzętu emiter zagłuszeń zasłonięty został przez cielsko maszyny.

–Co się dzieje? – dobiegło z interkomu pytanie dowódcy zadania.

– Jesteśmy na radarze przechwytyjącym – odparł technik. Był wystraszony ale spokojny. – Gondola zagłuszająca pracuje.

Dowódca odwrócił się do swego łącznościowca.

– Ostrzec wszystkich, że w okolicy kręcą się myśliwce wroga.

Ale nie starczyło już na to czasu.

Phoenixy pokonały odległość w niecałe dwadzieścia sekund. Pierwszy chybił, ale drugi trafił nurkującą maszynę, rozdzierając jej ogon.

Bear runął do morza niezdarnie, jak opadająca kartka papieru.

USS "Reuben James" Obserwowali na ekranie radaru, jak tomcat wystrzelił dwie rakiety, które natychmiast zniknęły z pola widzenia. Potem patrzyli w milczeniu, jak myśliwiec podąża jeszcze przez pół minuty na wschód. W końcu zawrócił i oddalił się na zachód.

– Tak, panowie, to było trafienie – rzekł Morris. – Rozkwasił beara.

– Skąd pan o tym wie? – zapytał Calloway.

– A myśli pan, że pilot zawróciłby, gdyby chybił? Ale jeśli to był bear, przerwał ciszę radiową. Wykrywacz radarów, czy rejestrujecie jakiś ruch radiowy na współrzędnych zero-osiem-zero?

Podoficer nie podniósł nawet głowy.

– Nie, kapitanie. Cisza.

– Do diabła – odrzekł Morris. – Metoda skutkuje.

– Więc jeśli ten facet nie przekazał wiadomości... – zrozumiał wreszcie Calloway.

– Tylko my o tym wiemy. Może uda się nam wypucować wszystkie ich maszyny. – Morris zbliżył się do ekranu.

"America" wysłała już w powietrze wszystkie myśliwce.

Krążyły teraz w odległości siedemdziesięciu mil na południe od konwoju. Popatrzył na zawieszony na ścianie grodziowej zegar. Backfire'y dzieliło jeszcze od nich jakieś czterdzieści minut lotu. Podniósł słuchawkę telefonu.

– Tu mostek. Centrum bojowe. Proszę zasygnalizować, by "Battleaxe" zaczęła już do nas podpływać.

Dosłownie w kilka chwil sąsiedni okręt skręcił ostro przez lewą burtę i ruszył na wschód, w

stronę "Reubena Jamesa". Jeden pomysł się udał. Dlaczego miałyby się nie powieść realizacja drugiego? – pomyślał Morris.

–Przygotować helikopter do startu – poleciał.

O'Malley siedział w kabinie śmigłowca i skracał czas oczekiwania lekturą magazynu; tak naprawdę to bezmyślnie tylko przewracał kartki, starając się nie myśleć o tym, co się wokół niego działo. Głos dowódcy oderwał go właśnie od miss czerwca. Chorąży Ralston natychmiast przystąpił do uruchamiania silnika, a O'Malley szybko sprawdził tablicę rozdzielczą. Wszystkie systemy pracowały normalnie. Wyjrzał na zewnątrz, by upewnić się, że obsługa pokładowa znajduje się w bezpiecznej odległości.

–Co będziemy robić, komandorze? – spytał operator systemów.

–Mamy stanowić przynętę dla nadlatujących pocisków, Willy – poinformował usłużnie pilot i wystartował.

Północny Atlantyk Najbardziej wysunięty na południe bear znajdował się w odległości sześćdziesięciu mil od konwoju, ale o tym nie wiedziała ani jego załoga, ani Amerykanie. Maszyna ciągle jeszcze leciała poniżej horyzontu radiolokacyjnego radaru "Reubena Jamesa". Pilot beara nie zdawał sobie sprawy, że już dawno powinien nabrać wysokości i uruchomić radary poszukujące. Ale od dowódcy zadania wciąż nie nadchodził żaden rozkaz. Choć nic nie wskazywało na to, że zagraża

jakieś niebezpieczeństwo, lotnik był niespokojny. Instynkt podpowiadał mu, że dzieje się coś dziwnego.

Jeden z bearów, który zaginął w zeszłym tygodniu, doniósł o radarze pojedynczej amerykańskiej fregaty – nic więcej.

Zupełnie jak t era z... Dowódca misji odwołał wówczas atak backfire'ów z obawy przed myśliwcami wroga, ale naraził się tym na miano tchórza. Często w sytuacjach bojowych zdarzało się, że nie docierały żadne informacje.

Wiedziano, iż cztery beary nie wróciły. Teraz pilot myślał tylko o tym, że dowódca nie wydał jeszcze poleceń, o tym, że nic nie wskazuje na niebezpieczeństwo, lecz dręczył go jakiś niepokój.

–Jak daleko możemy być od amerykańskiej fregaty? – spytał przez interkom.

–Sto trzydzieści kilometrów – odparł nawigator.

Zachować ciszę w eterze – mruknął do siebie pilot. – Takie są rozkazy...

–Pieprzę rozkazy – powiedział głośno i uruchomił radio.

–Mewa Dwa do Mewy Jeden, odbiór.

Cisza.

Pilot powtórzył wezwanie dwukrotnie.

Transmisję przechwyciło wiele odbiorników i w niecałą minutę zlokalizowano beara. Znajdował się czterdzieści mil na południowy wschód od konwoju. Tomcat znurkował i ruszył mu na spotkanie.

–Dowódca milczy... a powinien się odezwać – mruknął do siebie pilot. Powinien. Backfire'y były już w odległości niecałych dwustu kilometrów.

W co my je wciągamy? – pomyślał pilot.

–Włączyć radar! – rozkazał.

Na wszystkich ekranach rozbłysła emisja radaru Big Bulge. Fregata "Groves", najbliższa jednostka wyposażona w SAM-y, uaktywniła naprowadzający rakiety radar i odpaliła w stronę nadlatującego samolotu pocisk; w pobliżu

jednak znajdował się również tomcat. Fregata natychmiast więc wyłączyła urządzenie naprowadzające i SAM automatycznie eksplodował w powietrzu.

Na pokładzie beara zapaliły się wszystkie światła alarmowe. Najpierw przyszło ostrzeżenie przed nadlatującą rakieta ziemia-powietrze, a następnie przed radarem przechwytyjącym. Na samym końcu operator namierzył konwój.

–Po północno-zachodniej stronie wiele okrętów – przesłał informację do nawigatora, który przygotowywał właśnie meldunek dla backfire'ów. W chwili, gdy oficer łączności przekazywał informację o kontakcie, bear wyłączył swój radar i znurkował.

Wtedy też włączyły się wszystkie radary.

USS "Reuben James" – To backfire'y – stwierdził oficer taktyczny, kiedy na ekranie pojawiły się symbole. – Współrzędne: zero-cztery-jeden. Odległość sto osiemdziesiąt mil.

Pełniący dyżur na mostku pierwszy oficer był zdenerwowany. Oprócz tego, że nadlatywały bombowce, prowadzić musiał okręt zaledwie siedemnaście metrów od HMS "Battleaxe". Okręty znajdowały się tak blisko siebie, że na lampie radaroskopowej ukazywały się jako pojedynczy cel. W odległości pięciu mil helikopter O'Malleya i brytyjski śmigłowiec też leciały obok siebie z szybkością dwudziestu węzłów.

Każda z maszyn miała włączony transponder wzmacniający impulsy. W normalnych warunkach helikopter stanowił zbyt mały obiekt, by zwrócić uwagę radaru. Dwa lecące razem

śmigłowce jednak tworzyły cel wystarczająco duży, by rakiety potraktowały go jako okręt, cel wart ich ataku.

Północny Atlantyk Akcja powietrzna nabrała w tym momencie wszelkich cech elegancji, która charakteryzuje walkę w barze.

Krążące w pobliżu konwoju tom caty z patrolu maszyn

bojowych pomknęły na spotkanie trzech bearów. W stronę jednego z nich pędziły już rakiety. Dwa pozostałe nie wykryły jeszcze konwoju; i nigdy nie miały go wykryć.

Próbowały całą mocą silników uciec prosto na wschód. Był to próżny wysiłek. Samoloty ze śmigłami nie mogły umknąć ponaddzwiękowym myśliwcom.

Mewa Dwa została strącona pierwsza. Obok radzieckiej maszyny eksplodowały dwie rakiety Sparrow i całe skrzydło samolotu stanęło w ogniu. Pilot polecił swym ludziom skakać. Sam próbował jeszcze utrzymać maszynę w poziomie. Po minucie opuścił szybko fotel i wyskoczył przez umieszczony w podłodze luk ratunkowy. Bear eksplodował w pięć sekund później. Pilot obserwował spadającą do morza ognistą kulę i zastanawiał się, czy on sam się utopi.

A nad nim w stronę backfire'ów pędziła eskadra tomcatów.

Trwał wyścig, która strona pierwsza dotrze na pozycje ogniowe. Radzieckie bombowce poszły ostro w górę na dopalaczach i uruchomiły radary. Musiały znaleźć cele dla swych pocisków. Miały rozkaz zlokalizować i zniszczyć eskortę. Trzydzieści mil od konwoju wykryły dwa wysoki na lampach oscyloskopowych. W duży wyskok wystrzeliły sześć pocisków. W mniejszy, odległy od większego o pięć mil – cztery.

Stornoway, Szkocja – Na czterdziestym piątym stopniu szerokości północnej i czterdziestym dziewiątym długości zachodniej notujemy nalot kilku pułków backfire'ów – przeczytał Toland w pilnej depeszy.

–I co na to dowódca floty na Wschodnim Atlantyku?

–Zapewne uderzy z drugiej strony. Jesteśmy gotowi? – spytał pilota myśliwskiego.

–Jak jasna cholera!

Ustawiony w kącie pokoju dalekopis zaczął wypluwać z siebie papier:

176 • TOM CLANCY

USS "Reuben James" – Wampir! Wampir! W naszą stronę nadlatują rakiety!

Znów się zaczyna – pomyślał Morris. Wykres taktyczny był dużo nowocześniejszy niż na "Pharrisie". Każdy nadchodzący pocisk oznaczono symbolami określającymi jego szybkość i

kierunek. Rakiety nadlatywały na małej wysokości.

Morris podniósł słuchawkę.

–Mostek. Tu centrum bojowe. Wykonać manewr rozdzielenia.

–Tak jest. Manewr rozdzielenia – odparł Ernst. – Maszyny stop! Cała wstecz!

Sternik zamknął przepustnicę i raptownie odwrócił kierunek obrotu łopatek śrub napędowych. "Reuben James" zatrzymał się gwałtownie, po czym ruszył pełną parą do tyłu. Ludzie na pokładzie powpadali na siebie, a "Battleaxe", zwiększywszy prędkość do dwudziestu pięciu węzłów, wyrwała do przodu. Kiedy już brytyjska fregata znalazła się w bezpiecznej odległości, wykonała ostry skręt przez lewą burtę, a "Reuben James" przyspieszył, dokonując zwrotu przez prawą.

Operatorzy radzieckich radarów byli zdumieni. Wystrzelone przez nich rakiety AS-4 skierowane zostały na pojedyncze cele. Teraz pojawiły się dwa i cały czas zwiększały między sobą dystans. Pociski sprawiedliwie podzieliły się rolami; po trzy na każdy z celów.

Morris bacznie obserwował to na ekranie. Odległość między dwoma okrętami gwałtownie rosła.

–Rakiety na naszym kursie! – krzyknął operator wykrywacza radarów. – Kilka głowic samonaprowadzających.

–Cała w prawo, odwrócić kurs. Wystrzelić paski aluminium!

Kiedy w górze eksplodowały z hukiem cztery pojemniki, które wypełniły powietrze skrawkami aluminium, tworząc w ten sposób nowy cel dla rakiet, zgromadzeni w centrum informacji bojowej podskoczyli. Skręcająca gwałtownie fregata zakolebała się na falach. Wraz z jednostką obracała się wyrzutnia SAM-ów przygotowanych już do przywitania

pierwszej nadlatującej radzieckiej rakiety. Fregata płynęła teraz prosto na północ. Od "Battleaxe" dzieliły ją już trzy mile.

–Mamy cel – oświadczył oficer ogniowy.

Na konsoli sterującego działem komputera rozbłysło światelko oznaczające rozwiązanie problemu.

Pierwszy, pomalowany na biało S M-1 wystrzelił w niebo.

Zaledwie rakietka opuściła szyny wyrzutni, z owalnego magazynu wysunął się następny pocisk i wyrzutnia uniosła się. Rakietka pomknęła w siedem sekund po pierwszej.

Procedurę powtórzono jeszcze dwukrotnie.

–O to chodziło! – powiedział O'Malley na widok pierwszej smugi dymu zostawianego przez raketę. Nacisnął palcem wzmacniacz impulsów.

–Topór, wyłącz emiter i zrywaj się w lewo.

Oba helikoptery pełną mocą ruszyły przed siebie. Cztery pociski nieoczekiwanie straciły cel. Ciągnęły dalej na zachód w poszukiwaniu czegoś innego.

Ale tam niczego nie znalazły,

–Więcej aluminium! – polecił Morris, obserwując elektroniczne tory zbliżających się do siebie rakiet wroga i własnych. Centrum informacji bojowej ponownie się zatrzęsło, kiedy w powietrze wystrzeliła kolejna chmura aluminiowych płatków. Wiatr zaczął znosić je w stronę nadlatujących rakiet.

–Pociski ciągle na naszym kursie!

–Trafiony! – oznajmił oficer ogniowy. Pierwsza, znajdująca się szesnaście mil od okrętu rakietka zniknęła z ekranu. Ale druga wciąż parła przed siebie. Pierwszy SAM rozminął się z nią i eksplodował nieszkodliwie. Tak samo drugi. Wystrzelono kolejnego. Odległość zbliżających się rakiet zmalała do sześciu mil. Pięciu. Czterech. Trzech.

–Trafiony! Został ostatni. Zmienił kierunek. Wpadł w chmurę aluminium. Przeszedł za rufą., Rakietka uderzyła w wodę dwa tysiące metrów za "Reubenem Jamesem". Mimo tej odległości huk był imponujący.

W centrum informacji bojowej zapadła głucha cisza. Ludzie 12 – Czerwony sztorm t. II

w dalszym ciągu wpatrywali się w instrumenty w oczekiwaniu kolejnych rakiet i dopiero po dłuższej chwili zrozumieli, że więcej ich nie będzie. Marynarze spoglądali na siebie i oddychali z ulgą.

–Im mniej pierwiastka ludzkiego zawiera współczesna wojna, tym bardziej zyskuje na intensywności – zauważył Calloway.

–Racja – odparł Morris, opierając się w fotelu. – Co z "Battleaxe"?

–Stale mamy ją na radarze – odparł oficer taktyczny.

Morris sięgnął po radiotelefon.

–Bravo, tu Romeo. Słyszysz mnie?

–Jeszcze żyjemy – Perrin z uwagą spojrział na wykres taktyczny i potrząsnął z niedowierzaniem głową.

–Jakieś straty? – Żadnych. Topór zresztą to sprawdza. Sam śmigłowiec również w porządku. Zdumiewające – odparł kapitan Perrin. – Nic się więcej nie zbliża? Nasza aparatura niczego nie rejestruje.

–U nas też nic. Tomcaty przegoniły backfire'y. Zajmujemy poprzednie pozycje.

–Zrozumiałem, Romeo.

Morris odłożył słuchawkę i rozejrzał się po centrum informacji bojowej.

–Dobra robota, chłopcy – oświadczył.

Marynarze spoglądali po sobie. Ich twarze rozjaśniły uśmiechy. Szybko jednak spoważnieli.

Oficer taktyczny podniósł wzrok.

–Do pańskiej wiadomości, kapitanie. Iwan wystrzelił czwartą część swych pocisków. Jak mnie poinformowano, sześć zniszczyły tomcaty, a pozostałe – "Bunker Hill"... ale trafili jedną z naszych fregat i trzy jednostki handlowe.

Myśliwce już wracają – starał się zachować spokojny ton.

–Twierdzą, że nie zestrzelili żadnego backfire'a.

–Do diabła – mruknął Morris. Pułapka zawiodła, a on nie wiedział dlaczego.

Nie miał też pojęcia, czemu w Stornoway całą akcję uważano za niebywały sukces.

Stornoway, Szkocja Klucz do całej operacji, jak to zazwyczaj bywało przy tego rodzaju militarnych przedsięwzięciach, stanowiła łączność, toteż Toland każdą wolną chwilę wykorzystywał na kontrolę urządzeń komunikacyjnych. Samoloty radarowe z lotniskowca "America" tak długo tropiły wracające do domu backfire'y, aż te zniknęły z ekranów amerykańskich radarów. Wszelkie dane przekazywano bezpośrednio do macierzystej jednostki. Stamtąd informacje szły drogą satelitarną do Norfolk i znów przez satelitę do Northwood, a potem drogą lądową do głównej kwatery marynarki królewskiej. Najważniejsza akcja NATO w tej wojnie zależała bardziej, od sprawności tranzystorów i linii telefonicznych niż od broni, jaką Pakt Atlantycki dysponował.

–W porządku, ostatnio mieliśmy je na kursie zero-dwa-dziewięć. Leciały z szybkością sześciuset dziesięciu węzłów.

–To znaczy, że nad północnymi wybrzeżami Islandii znajdują się za dwie godziny i siedemnaście minut. Jak długo leciały na dopalaczach? – zapytał komandor Winters.

–Zgodnie z tym, co twierdzi "America", około pięciu minut – Toland nachmurzył się. Była to bardzo skąpa informacja wywiadu.

–Tak czy siak, zapas paliwa mają już bardzo ograniczony... No dobrze. Trzy maszyny znajdują się osiemdziesiąt mil od nich – rzucił okiem na najświeższą mapę meteorologiczną wykonaną przez satelitę. – Doskonała widoczność.

Namierzmy Rosjan. Jeśli któraś z maszyn ich dostrzeże, niech rozpocznie pościg. Wszystkie inne samoloty wracają do domu. – Życzę szczęścia, komandorze.

Północny Atlantyk Trzy tomcaty, sunąc ze Stornoway kursem północno-zachodnim, zdobywały powoli wysokość i na pułapie prawie dwunastu tysięcy metrów połączyły się z tankowcami powietrznymi. Oddalone od nich o kilkaset mil backfire'y

uczyniły dokładnie to samo. Olbrzymia ilość amerykańskich myśliwców nad konwojem stanowiła dla Rosjan potężne zaskoczenie, ale czas i odległość działały na ich korzyść.

Tym razem udało się uciec bez strat. Załogi radzieckie prowadziły ze sobą ożywione rozmowy. Emocje związane z kolejną niebezpieczną misją powoli słabły. Rosyjskie maszyny wracały najprostsza drogą do Kirowska. Mimo nieprzyjacielskich SAM-ów, wedle oceny sowieckich pilotów, co trzecia wystrzelona przez nich rakiet trafiła w cel.

Tego dnia zresztą nie pojawiło się wiele rakiet ziemiapowietrze. Jednomyślnie przypisywali sobie zniszczenie jedenastu okrętów. Wiedzieli też, że ich towarzyszom z łodzi podwodnych tym razem poszło fatalnie. Załogi samolotów rozluźniły się, popijały z termosów herbatę i snuły plany ponownej wizyty, jaką złożył liczącemu osiemdziesiąt jednostek konwojowi.

Gdy góry Islandii znalazły się w polu widzenia, tomcaty rozdzieliły się. Piloci przesłali sobie pozdrowienie machnięciem ręki, bo radia zostały wyłączone, i ruszyli na wyznaczone stanowiska bojowe. Lotnicy wiedzieli, że tutaj nie dosięgną ich żadne radary. Komandor Winters popatrzył na zegarek. Backfire'y powinny pojawić się za pół godziny.

–Jaka piękna wyspa – odezwał się prowadzący backfire'a do drugiego pilota.

–Może i pięknie wygląda, ale nie jestem pewien, czy pięknie się na niej mieszka. Ciekawe, czy islandzkie kobiety są rzeczywiście tak śliczne, jak o nich mówią. Któregoś dnia musimy zafundować sobie "usterki techniczne". Wtedy wylądujemy i sami sprawdzimy.

–Musimy cię ożenić, Wołodia.

Drugi pilot wybuchnął śmiechem.

–Zbyt wiele popłynęłoby łez. Nie mogę unieszczęśliwiać tylu dziewcząt na świecie!

Pilot włączył radio.

–Keflavik, tu Orzeł Morski Dwa-Sześć. Jaka sytuacja?

–Orzeł Morski, mamy kontakt tylko z twoją grupą.

Jesteście na właściwym kursie. Urządzenia rozpoznania swój-wróg niczego nie wykazują.

–Przyjąłem – pilot wyłączył nadajnik. – Jak widzisz, Wołodia, nasi ciągle tu jeszcze siedzą. Samotne miejsce.

–Jeśli są tam kobiety, a ty jesteś kulturny, wcale samotny nie będziesz – rozległ się w głośniku czyjś głos.

–Czy moglibyście uciszyć tego napalonego sukinsyna? – spytał nawigator.

–Chcecie zostać oficerem politycznym? – odparł pytaniem drugi pilot. – Jak daleko do domu?

–Dwie godziny, dwadzieścia pięć minut.

Backfire'y kontynuowały lot na północny wschód z szybkością sześciuset węzłów. Przelatywały nad nie zamieszkaną częścią wyspy.

–Na nich! – wykrzyknął cicho pilot. – Godzina pierwsza, poniżej nas.

Na ekranie telewizyjnym na pokładzie tomcata pojawiła się charakterystyczna sylwetka rosyjskiego bombowca.

Cokolwiek powiedziałaoby się o Rosjanach – pomyślał Winters – samoloty budują ładne.

Wprowadził maszynę w skręt i skierował zamontowaną w przodzie myśliwca kamerę na cel. Zajmujący tylne siedzenie oficer namierzył przez lornetkę dwa następne, lecące w luźnym szyku. Jak się spodziewano, rosyjskie bombowce utrzymywały północno-wschodni kurs i znajdowały się na wysokości około dziesięciu tysięcy metrów.

Winters wyszukał dużą chmurę i skrył w niej maszynę.

Widoczność natychmiast spadła do kilku metrów. Jeśli jest tu jeszcze jakiś backfire – pomyślał – i też lubi latać w takich warunkach, to może zepsuć wszystko.

Z chmury wyłonił się chwilę później, przechylił samolot ostro na skrzydło i ponownie zniknął w nieprzejrzystej mgle. Szybko przeliczył czas i odległości. Backfire'y powinny już ich minąć. Pchnął drążki i wyszedł w czyste niebo.

–Są tam! – pierwszy odezwał się oficer siedzący za pilotem. – Nasza wysokość. Na godzinie trzeciej. Jest ich więcej.

Pilot ponownie skrył samolot w chmurach na kolejne dziesięć minut. W końcu odezwał się:

–Na południe od nas nie ma już nikogo. Chyba wszystkie nas minęły. Jak pan sądzi?

–Zobaczmy.

Przez jedną straszną minutę Winters myślał, że pozwolił maszynom wroga zanadto się oddalić. Na urządzeniach telewizyjnych przeczesujących przestrzeń niczego nie widział.

Spokojnie – napominał się w duchu i przyspieszył do sześciuset dziewięćdziesięciu węzłów. Pięć minut później na ekranie pojawił się punkcik. Potem dwa kolejne. Z obliczeń wynikało, że amerykański myśliwiec znajduje się czterdzieści mil za backfire*ami^ a mając za plecami słońce, pozostaje dla nich niewidoczny. Siedzący z tyłu oficer włączył odbiornik radaru wczesnego ostrzegania, by sprawdzić, czy z tyłu nie kryje się jakieś niebezpieczeństwo. Czynność tę powtórzył w ciągu minuty trzykrotnie. Jeśli mógł tu być myśliwiec amerykański, to dlaczego nie rosyjski?

Pilot omiół wzrokiem wskaźniki systemów nawigacji inercyjnej, sprawdził poziom paliwa, po czym z uwagą obserwował, czy radziecka formacja nie zacznie się przegrupowywać. Było to w równej mierze ekscytujące, co nużące. Znał doniosłość tego, co robił, ale samo wykonywanie czynności nie było wiele ciekawsze niż prowadzenie pasażerskiego boeinga 747 na trasie Nowy Jork-Los Angeles. W niewiele ponad godzinę pokonali siedemset mil dzielące Islandię od wybrzeży Norwegii.

–Tu musimy bardzo uważać – odezwał się drugi pilot. – Przed nami radar przeszukujący przestrzeń powietrzną. To chyba Andoya. Odległość: trochę ponad sto mil.

Za dwie lub trzy minuty wykryją naszą obecność.

–To miło – mruknął pierwszy. Tam, gdzie znajdowały się przeczesujące niebo radary, były i myśliwce. – Wyliczył już pan pozycję?

–Naturalnie.

–Proszę więc nadawać.

Winters zawrócił przez skrzydło i ponownie odleciał w stronę morza.

Krążący w odległości dwustu mil brytyjski nimrod przechwycił sygnał i retransmitował go do satelity komunikacyjnego.

Northwood, Anglia Admirał Beattie starał się zachowywać spokój, ale przychodziło mu to z trudem. Od chwili wybuchu wojny coraz to spadały na niego jakieś nieszczęścia. "Operacja Doolittle" była jego wypieszczonym dzieckiem. Od dwóch godzin czekał na wiadomość z tomcata. Dwa już wróciły, ale nie napotkały Rosjan. Jeden nie wracał. Czy tropił jeszcze przeciwnika, czy też dawno już spadł do morza?

Drukarka ustawiona w rogu pokoju zaniósł się mechanicznym szczękiem, który admirał zdążył dawno już znienawidzić:

O 1543 CZASU GREENWICH

KONTAKT WZROKOWY Z ZAJĄCAMI

NA 69/20 PŁN. 15/45 WSCH.

KURS: 021 SZYBKOŚĆ: 580 W.

WYS: 30.

Beattie wyrwał z drukarki przekaz i wręczył go oficerowi operacji powietrznych.

–Wylądują za trzydzieści siedem minut. Zakładając, że jest to już ostatnia grupa rozrzucona w zasięgu piętnastu minut lotu, pierwszy bombowiec dotknie ziemi za dwadzieścia dwie minuty.

–Więc od teraz za kwadrans?

–Tak, admirale.

–Przesłać rozkaz!

W ciągu trzydziestu sekund tuzinem odrębnych kanałów satelitarnych pomknęła ta sama wiadomość.

USS "Chicago" Trzy amerykańskie okręty podwodne spoczywały na dnie Morza Barentsa tak blisko radzieckich wybrzeży, że głębokość wynosiła tu zaledwie pięćdziesiąt osiem metrów.

Wydawało się, iż nim dotarł do nich sygnał informujący, że

mają przesunąć się na południe, upłynęło pół życia. McCafferty uśmiechnął się z ulgą. Trzy brytyjskie jednostki podwodne, w tym HMS "Torbay", wykonały już swoje zadanie.

Podkradły się w pobliże radzieckiej fregaty i czterech okrętów patrolowych kontrolujących wybrzeże rosyjsko-norweskie, a następnie przeprowadziły na nie atak torpedowy. Rosjanie doszli do przekonania, że przeciwnik przygotowuje w tamtych rejonach zakrojoną na większą skalę akcję, i przesunęli na zachód swe siły patrolowe do walki z flotą podwodną.

"Chicago" oraz towarzyszące mu jednostki miały wolną drogę. Taką przynajmniej McCafferty żywił nadzieję.

W miarę zbliżania się do lądu technicy elektroniki nanosili na nakresy współrzędne celu. Przed wystrzeleniem rakiet okręty miały zająć precyzyjnie wyliczone pozycje.

–Kiedy otworzymy ogień? – spytał pierwszy oficer.

–Powiadomią nas – odparł McCafferty.

I wtedy zaterkotała drukarka.

Pierwsze rakiety miały wystrzelić w niebo o szesnastej zero dwa czasu Greenwich.

–Peryskop w górę – McCafferty obrócił instrument.

Na powierzchni lał deszcz, a fale sięgały prawie półtora metra.

–Moim zdaniem okolica jest pusta – odezwał się pierwszy oficer, obserwując monitor na

grodzi.

Kapitan złożył uchwyty instrumentu i urządzenie opadło do studzienki.

–Wykrywacz radarów?

–Masa sprzętu radiolokacyjnego, kapitanie – odparł technik. – Naliczyłem dziesięć czynnych nadajników.

McCafferty skontrolował tablicę rozdzielczą tomahawków znajdującą się po prawej stronie centrum bojowego. W wyrzutniach torpedowych drzemały dwa marki-48 i dwie rakiety Harpoon. Zegar odliczał czas brakujący do szesnastej zero dwa.

–Zaprogramować kolejność wyrzutni.

Wciśnięto przełączniki dwustabilne i lampki gotowości bojowej zapłonęły krwistą czerwienią. Kapitan i oficer ogniowy wsadzili klucze w tablicę rozdzielczą, po czyni

przekręcili je jednocześnie. Podoficer przy konsoli systemów raketowych przełożył dźwignię ogniową w lewo – pociski zostały uzbrojone. W dziobach dwunastu rakiet samosterujących Tomahawk włączyły się systemy samonaprowadzania. Komputer zaprogramował je na cel.

–Ognia! – rozkazał McCafferty.

"Ametist" nie należał do regularnej floty wojennej Związku Radzieckiego. Owa fregata patrolowa klasy Grisba przeznaczona była głównie do operacji związanych z bezpieczeństwem, toteż obsługiwała ją załoga rekrutująca się z szeregów KGB. Kapitan jednostki przez ostatnich dwanaście godzin przyspieszał i zwalniał, zanurzając sonar, jakiego używały helikoptery. Tego rodzaju nasłuch był bardziej w stylu amerykańskim niż rosyjskim. Pracujące na najniższych obrotach silniki diesla nie powodowały żadnego hałasu, a krótką sylwetkę okrętu trudno było wysledzić już z odległości jednej mili. "Ametist" wykrył zbliżające się amerykańskie okręty podwodne.

Pierwszy tomahawk rozciął powierzchnię Morza Barentsa o godzinie szesnastej zero jeden i pięćdziesiąt osiem sekund.

Wystrzelił w powietrze w odległości dwóch tysięcy metrów od fregaty. Radziecki okręt zareagował po dwóch sekundach. Gdy obserwator ujrzał cylindryczny kształt popychany przez dodatkowy napęd i kierujący się łukiem na południowy zachód, poczuł lodowatą kulę w żołądku.

–Kapitanie! Rakieta z prawej burty!

Dowódca w jednej chwili znalazł się na prawym skrzydle mostka i ze zdumieniem obserwował, jak powierzchnię wody rozcina kolejny pocisk. Kapitan rzucił się do sterowni.

–Tu stanowisko bojowe! Centrala radiowa. Natychmiast wezwijcie kwaterę główną floty! W kwadracie 451/679 nieprzyjaciel wystrzelił rakiety! Cała naprzód! Ster w prawo!

Silniki fregaty ryknęły całą mocą.

–Cóż to jest, do diabła? – spytał szef hydrolokacji.

Okretem co cztery sekundy wstrząsały salwy startujących rakiet, ale... – Dowództwo, tu sonar, mamy kontakt

na współrzędnych zero-dziewięć-osiem. Silniki diesla.

Jednostka nawodna – zapewne grisha. Jest bardzo blisko, sir.

–Peryskop w górę! – McCafferty nastawił instrument na maksymalne powiększenie i zatoczył nim pełny okrąg.

Dostrzegł rosyjską fregatę, która dokonywała właśnie ostrego skrętu. – Gotowość ogniowa! Ustawić celowniki.

Cel: jednostka nawodna. Współrzędne: zero-dziewięć-siedem. Odległość... – wyregulował odległościomierz -...tysiąc sześćset metrów. O cholera! Odwraca się... – okręt był zbyt blisko, by używać rakiet. Musieli strzelać torpedami.

–Peryskop w dół!

Pochylony nad komputerem sterującym ogniem marynarz wprowadził dane. Urządzenie potrzebowało jedenastu sekund, by przetrawić informacje.

–Wyrzutnie gotowe. Kolejność: jeden, trzy.

–Zalać wyrzutnie, otworzyć zewnętrzne luki.

–Gotowe! – odparł pierwszy oficer. – Jedyńka ognia! Trójka ognia! – pierwszy oficer starał się zapanować nad nerwami. Skąd nagle ten. grisha? – Ponownie załadować marki-48.

–Ostatnia poszła – oznajmił technik od tomahawków.

–Wyrzutnie zabezpieczone.

–Ster, cała w lewo!

"Ametist" nie zauważył wystrzelonych z tyłu torped.

Ludzie biegli właśnie jak oszaleli na stanowiska, kapitan rozpędzał okręt, a oficer ogniowy gorączkowo programował wyrzutnie. Nie potrzebowali hydrolokatora. Zbyt dobrze wiedzieli,

gdzie znajduje się okręt podwodny odpalający pociski w kierunku ich Ojczyzny!

–Jak będziecie gotowi, strzelać! – krzyknął kapitan.

Kciuk porucznika powędrował do spustu. W powietrze wyleciało łukiem dwanaście rakiet do zwalczania okrętów podwodnych.

–"Ametist" -; zaskrzeczało radio. – Powtórzcie wiadomość. Jakie rakiety? Jaki rodzaj rakiet?

W chwili, gdy fregata otworzyła do niego ogień, okręt podwodny USS "Providence" wystrzelił ostatnią raketę.

Kapitan zarządził ostry skręt i pełne obroty silników.

Rosyjskie pociski spadły szeroko, pokrywając maksymalnie rozległy teren. Dwa eksplodowały w odległości stu metrów, wprawiając wprawdzie okręt w drżenie, ale nie czyniąc żadnych szkód. Ostatni uderzył w wodę dokładnie nad kioskiem. W sekundę później dwudziestotrykilogramowa głowica bojowa eksplodowała.

Kapitan "Ametista" próbował ocenić, czy jego pierwsza salwa dosięgnęła celu i zupełnie ignorował radio. Ostatni pocisk eksplodował wcześniej od pozostałych i dowódca miał właśnie wydać rozkaz, by powtórzyć salwę, gdy oficer z hydrolokacji doniósł o dwóch zbliżających się od strony rufy obiektach. Kapitan natychmiast wydał odpowiednie dyspozycje sternikowi. Okręt pędził już z pełną szybkością, a z radia dobiegały nieustanne wezwania.

–Obie torpedy odnalazły cel!

–Peryskop w górę!

Maksymalne powiększenie sprawiło, że obraz grishy wypełnił sobą niemal cały wizjer. W tej samej chwili oba pociski trafiły w lewą burtę. Tysiąctonowa fregata patrolowa rozpadła się na oczach McCafferty'ego. Kapitan zatoczył peryskopem pełny okrąg w poszukiwaniu kolejnych wrogich okrętów.

–W porządku, okolica czysta.

–Długo to nie potrwa. Rosjanin strzelał do "Providence", sir.

–Sonar, co masz na pozycji -zero-dziewięć-zero? – zapytał McCafferty.

–Masa odgłosów torped, sir, ale myślę, że mamy też na współrzędnych zero-dziewięć-osiem dźwięk przetłaczanego powietrza.

–Płyniemy tam – McCafferty trzymał wysunięty peryskop, a pierwszy oficer kierował okręt w stronę "Providence". Grisha został kompletnie zniszczony. Obie

torpedy niosły blisko siedemset pięćdziesiąt kilogramów materiału wybuchowego. Na fali unosiły się wprawdzie dwie automatycznie wypchnięte łodzie ratunkowe, ale żadnych rozbitków nie było widać.

–Kapitanie, "Boston" łączy się na gertrudzie. Chcą wiedzieć, co się dzieje.

–Proszę im powiedzieć... – kapitan lekko przestroił peryskop. – W porządku, jest tam, wypływa... o cholera!

Kiosk podwodnego okrętu został zmiażdżony, brakowało prawie jednej trzeciej konstrukcji, a reszta była w strzępach.

Jeden ze sterów głębokościowych zwisał niczym skrzydło zranionego ptaka, peryskopy i maszty umieszczone na nadbudowie przypominały kształtem nieokreśloną bliżej, modernistyczną rzeźbę.

–Próbujcie złapać "Providence" na gertrudzie.

W powietrzu szybowało sześćdziesiąt tomahawków. Po wyjściu rakiet z wody silniki na paliwo stałe wyniosły je na wysokość ponad trzystu metrów. Tam wysunęły się skrzydła i dysze silników odrzutowych. Kiedy napęd odrzutowy rozpoczął pracę, pociski obniżyły lot do wysokości dziesięciu metrów. Zainstalowane w cielskach rakiet systemy radiolokacyjne badały nieustannie przestrzeń przed pociskami i porównywały wszelkie szczegóły topografii z danymi zawartymi w komputerowej pamięci. Sześć radzieckich radarów niezależnie od siebie wykryło wzbijające się w niebo rakiety. Kiedy te jednak obniżyły radykalnie lot, rosyjskie urządzenia natychmiast straciły je ze swych ekranów.

Rosyjscy technicy, których zadanie w głównej mierze polegało na wykrywaniu ewentualnego ataku atomowego skierowanego przeciw ich ojczyźnie, byli równie spięci psychicznie jak ich zachodni koledzy. Trwający od tygodni konflikt zbrojny oraz nieustanne napięcie nerwowe sprawiały, że znajdowali się u kresu wytrzymałości. Kiedy więc nadeszła wiadomość, iż z morza wynurzyły się tomahawki, błyskawicznie przekazali do Moskwy meldunek o ataku rakiet balistycznych. W tej samej niemal chwili do kwatery głównej marynarki wojennej w Siewieromorsku dotarło

z "Ametista" ostrzeżenie o ataku rakietowym. Natychmiast przesłano do Ministerstwa Obrony wiadomość zakodowaną pod słowem GROM, które dawało depeszy absolutne pierwszeństwo. Mimo iż kilka minut wcześniej ku zadowoleniu Moskwy powiadomiono stolicę, że rakiety, nie wchodząc na trajektorię balistyczną, zniknęły z ekranów radarowych, rozrzucone wokół miasta jednostki do zwalczania ataków atomowych postawiono w stan najwyższej gotowości bojowej. To samo dotyczyło myśliwców przechwytyjących obrony powietrznej, stacjonujących na lotniskach w całej północnej Rosji.

Pociski nie dbały o zamęt, jaki wywołały. Rosyjskie wybrzeże w tym miejscu pełne było skalistych wzgórz i urwisk ustępujących z kolei miejsca płaskiej, bagnistej tundrze,

charakterystycznej dla północnych klimatów. Dla pędzących tuż nad trawiastymi moczarami z prędkością dziewięciuset kilometrów na godzinę pocisków samosterujących dalekiego zasięgu teren był idealny. Pierwszy punkt nawigacyjny stanowiło Baboziero. Nad tym jeziorem amerykańskie rakiety zmieniły kurs.

Piloci radzieckich myśliwców, które natychmiast wzbiły się w niebo, nie mieli pojęcia, co ścigają. Informacje radarowe zawierały wprawdzie kurs i szybkość celów, ale jeśli były to pociski samosterujące dalekiego zasięgu, mogły dolecieć nawet do wybrzeży Morza Czarnego. Albo też, wycelowane w Moskwę, leciały kursem okrężnym, daleko od bezpośredniej trasy do stolicy. Na rozkaz kontrolerów naziemnych myśliwce przechwytyjące pognały na południe od Morza Białego. Tam uruchomiły skierowane w dół radary. Próbowały wysledzić mknące tuż nad płaską powierzchnią ziemi rakiety.

Tomahawki wcale na Moskwę nie leciały. Klucząc między nielicznymi pagórkami, mknęły kursem dwa-jeden-trzy, aż dotarły do granicy lasów iglastych. Tam dokonały raptownego skrętu w prawo, zmieniając tor na dwa-dziewięć-zero.

Jedna z rakiet doznała jakiejś usterki i spadła na ziemię. Inna nie dokonała zwrotu i w dalszym ciągu pędziła na południe.

Pozostałe jednak dążyły ku wyznaczonym celom.

Orzeł Morski Dwa-Sześć Ostatni backfire zatoczył łuk nad Umboziero-Południe i czekał na zezwolenie na lądowanie. Pilot sprawdził poziom paliwa. Pozostało mu benzyny na trzydzieści minut lotu. Nie miał więc powodu do zbytniego pośpiechu.

Ze względów bezpieczeństwa trzy pułki bombowców rozmieszczone zostały na czterech lotniskach skupionych na południe od górniczego Kirowska. Posterunki radarowe i baterie SAM-ów na otaczających miasto wzgórzach skutecznie chroniły je przed atakiem z powietrza. Pilot zauważył, że huty stali pracują pełną parą – z wysokich kominów wydobywały się kłęby dymu.

–Orzeł Morski Dwa-Sześć, możesz lądować – poinformowała w końcu wieża kontrolna.

–Wołodia, kto ma dzisiaj dyżur?

–Kąt wychylenia dwadzieścia stopni. Szybkość dwieście. Podwozie wypuszczone. Myślę, że Irina Pietrowna. Ta wysoka, chuda, z centrali telefonicznej.

–A to co? – spytał pilot. Przed nimi, nad pasem startowym pojawił się niewielki, biały kształt.

Pierwszy z dwunastu tomahawków wycelowanych w Umboziero-Południe, opadając w dół pod niewielkim kątem, przeciął pas startowy. W tępy nos pocisku otworzyła się kłapa i od kadłuba oderwało się kilkaset bombek, które rozprysnęły się nad całym terenem. Na ziemi stało siedemnaście backfire'ów. Dziesięć tankowano właśnie z cystern, pozostałe czekały już

uzbrojone i gotowe do kolejnej akcji. Każda bombka stanowiła odpowiednik pocisku z mózdzierza. Kiedy tomahawk zrzucił już cały ładunek, nabral gwałtownie wysokości, zawrócił, po czym z impetem wyrznął w ziemię. Eksplozja pozostałego w zbiornikach paliwa dopełniła obrazu zniszczeń. Pierwszy wybuch gotowy do startu backfire. Spadły na niego dwie bombki.

W miejscu tym pojawiła się bijąca w niebo kula ognia.

Pilot Dwa-Sześć otworzył przepustnicę, wzbił się w górę i ze zgrozą obserwował, jak eksploduje dziesięć bombowców. Obłoki białego dymu mówiły o uszkodzeniu wielu innych. Wszystko trwało dwie minuty. Lotniskowe wozy ratunkowe, niczym dziecięce samochodziki, pędziły po betonowych pasach startowych, a ludzie próbowali ratować płonące ciężarówki i samoloty za pomocą gaśnic.

Pilot skierował maszynę na północ, na alternatywne lotnisko. Tam również przywitały go kłęby dymu.

–Mamy jeszcze paliwa na kwadrans. Jak najszybciej szukaj miejsca do lądowania – ostrzegł Wołodia.

Skręcili w lewo, w stronę Kirowska-Południe. Historia się powtórzyła. Amerykańskie rakiety spadły jednocześnie na wszystkie cztery lotniska.

–Afrikanda, tu Orzeł Morski Dwa-Sześć. Mamy resztki paliwa i musimy natychmiast lądować. Możesz nas przyjąć?

–Możesz lądować, Dwa-Sześć. Pas masz wolny. Wiatr z kierunku dwa-sześć-pięć. Szybkość: dwadzieścia.

–Bardzo dobrze. Lądujemy – pilot zawrócił maszynę.

–Co to, do cholery, wszystko znaczy? – zapytał Wołodia.

USS "Chicago" – Centrum łączności zniszczone, pomieszczenie ogniowe zniszczone, opływki śrub zniszczone – wyliczał przez gertrudę kapitan USS "Providence". – Przecieki już zatkaliśmy. Maszyny w porządku, możemy płynąć.

–To dobrze. Pozostawajcie na nasłuchu – obok pojawił się "Boston". – Todd, tu Danny. I co o tym myślisz?

–Nie może sam płynąć. Niech pozostałe jednostki wracają. My zostaniemy jako eskorta "Providence".

–Tak, masz rację. Wyprowadzić okręty, a my, najszybciej jak się da, uaktualnimy dane.

–Powodzenia, Danny. – "Boston" wysunął bicz anteny "i nadał krótką transmisję. Minutę

później sonar "Chicago" zarejestrował hałas umykających szybko na północ pozostałych okrętów podwodnych.

–"Providence", weźcie kurs zero-jeden-pięć płyncie najszybciej jak potraficie. Będziemy osłaniali was od tyłu.

"Boston" dołączy do nas później. Doeskortujemy was do granicy lodu pływającego.

–Nie wolno ci tak ryzykować. Możemy...

–Ruszaj swoją pieprzoną łódź! – krzyknął McCafferty w mikrofon.

Od trzech miesięcy był wyższy szarżą niż jego kolega dowodzący "Providence". Uszkodzony okręt podwodny zanurzył się i ruszył z prędkością piętnastu węzłów na północny wschód. Jego zdruzgotany kiosk powodował w wodzie hałas niczym wagon ze złomem. Na to jednak nie było rady. Jeśli jednostka chciała się uratować, musiała oddalić się od miejsca, z którego wypuściła rakiety, jak najdalej i jak najszybciej.

Moskwa, RSFRR Michaił Siergietow popatrzył na pobladłe twarze otaczających go ludzi.

–Towarzyszu ministrze obrony – odezwał się sekretarz generalny. – Możecie nas poinformować, co się wydarzyło?

–Wygląda na to, że okręty podwodne ostrzelały pociskami samosterującymi dalekiego zasięgu niektóre z naszych północnych lotnisk. Celem naturalnie było zniszczenie jak największej liczby bombowców Backfire. Nie wiem jeszcze, na ile im się to powiodło.

–Skąd wystrzelono rakiety? – zapytał Piotr Bromkowskij.

–Na wschód od Murmańska, niecałe trzydzieści kilometrów od brzegu. Fregata zauważyła atak i złożyła o tym meldunek. Potem łączność z okrętem się urwała. Aktualnie poszukuje go samolot.

–Ale jak, do diabła, dostał się tam nieprzyjaciel? Jak długo musimy czekać na wiadomość o tym, że okręt podwodny odpala pociski balistyczne? – dopytywał się ostrym głosem Bromkowskij.

–W sześć do siedmiu minut.

–Cudownie! Nie jesteśmy w stanie reagować tak szybko. Jak w ogóle mogliście ich dopuścić tak blisko naszych brzegów?

–Pietia, nie wydadzą się już stamtąd. Obiecuję ci to – zapewnił żarliwie minister obrony.

Sekretarz generalny pochylił się do przodu.

–Wasza głowa w tym, by to się więcej nie powtórzyło!

–A na razie, towarzysze, skoro jesteśmy już razem – podniósł głos Siergietow – chciałbym prosić towarzysza ministra obrony, by poinformował nas o rozwoju wypadków na froncie niemieckim.

–Wyczerpanie NATO osiągnęło punkt krytyczny.

Wedle informacji KGB ich dostawy są przeraźliwie nikłe, a z rozmów dyplomatycznych, jakie miały miejsce w ostatnich dniach, możemy spokojnie wnioskować, iż Pakt Atlantycki stoi już u progu politycznego rozpadu. Musimy tylko cały czas napierać, a NATO się zawali.

–My też zużywamy paliwo! – wtrącił Bromkowskij.

–Oferta niemiecka wydaje się być rozsądna.

–Nie – potrzęsnał zdecydowanie głową minister obrony. – Nic na niej nie zyskujemy.

–Zyskujemy pokój, towarzysze – powiedział cicho Bromkowskij. – Jeśli będziemy ciągnąć tę wojnę... przypomnijcie sobie, przyjaciele, przypomnijcie sobie, cośmy wszyscy czuli parę godzin temu, gdy przyszła wiadomość o ataku raketowym.

Siergietow pomyślał, że po raz pierwszy wszyscy zgodnie przyznali starcowi rację. Po tygodniach i miesiącach przyrzeczeń, planów i zapewnień, że sytuacja jest pod całkowitą kontrolą, jeden fałszywy alarm sprawił, iż ujrzeli, co znajduje się za krawędzią otchłani. Przez dziesięć minut wszyscy byli święcie przekonani, że stracili panowanie nad biegiem wydarzeń i obecnie cała fanfaronada ministra obrony nie mogła wpłynąć na to, by o tym zapomnieli.

Członkowie Politbiura pamiętali tamte chwile.

Po krótkim namyśle odezwał się sekretarz generalny.

–Za parę godzin nasi przedstawiciele spotkają się z Niemcami. Jutro minister spraw zagranicznych powiadomi nas o nowych propozycjach. "* Na tym narada się skończyła. Siergietow wsunął dokumenty do skórzanej teczki, samotnie opuścił salę i ruszył na 13 – Czerwony sztorm t. II**

dół, do służbowego samochodu. Przechodził właśnie przez otwarte usłudnie przez pracownika personelu drzwi, kiedy usłyszał głos:

–Michaile Edwardowiczu, mogę się z wami zabrać?

Mam zepsuty samochód.

Był to Borys Kosow, przewodniczący Komitetu do Spraw Bezpieczeństwa Państwa, w skrócie KGB.

POJEDYNEK NA 31° DŁUGOŚCI

ZACHODNIEJ

Moskwa, RSFRR – Pojedziemy razem, Michaiłe Edwardowiczu? Porozmawiamy?

Choć Siergietow nie pokazał tego po sobie, serce w nim zamarło. Czy to możliwe, by szef KGB nie wyglądał groźnie? – pomyślał.

Kosow, podobnie jak Siergietow, pochodził z Leningradu. Był to niski, pękaty mężczyzna, który szefem KGB został po wejściu w skład tajemniczej agencji Komitetu Centralnego, zwanej Wydziałem Generalnym. Gdy chciał, potrafił się śmiać serdecznie, a w odpowiednim przebraniu mógł z powodzeniem odgrywać rolę Dziadka Mroza, akceptowaną przez państwo wersję Świętego Mikołaja. Ale teraz nie przypominał Dziadka Mroza.

–Naturalnie, Borysie Georgijewiczu – odparł Siergietow i wskazał na kierowcę. – Możecie mówić swobodnie. Witalij to człowiek zaufany.

–Wiem – odparł Kosow. – Pracował dla nas ostatnie dziesięć lat.

Siergietowowi wystarczył jeden rzut oka na plecy kierowcy, by pojąć, że Kosow nie kłamie.

–O czym będziemy rozmawiać?

Dyrektor KGB sięgnął do teczki, wyjął jakieś urządzenie wielkości kieszonkowej książki i nacisnął widniejący w nim guzik. Rozległo się nieprzyjemne buczenie.

–To nowe i bardzo sprytne urządzenie wyprodukowane w Holandii – wyjaśnił. – Wydaje dźwięk, który zagusza wszelkie mikrofony. Moi ludzie wyjaśnili mi, że ma to jakiś związek ze składową harmoniczną – jego zachowanie uległo raptownej zmianie. – Michaiłe Edwardowiczu,

zdajecie sobie sprawę ze znaczenia amerykańskiego ataku na nasze lotniska?

–To z pewnością nieoczekiwany rozwój wypadków, ale...

–Nie sądzę. Na morzu znajduje się kilka konwojów Paktu Atlantyckiego. Największy z nich opuścił Nowy Jork przed kilkoma dniami. Wiezie do Europy dwa miliony ton podstawowych materiałów wojennych plus pełną amerykańską dywizję. Eliminując dużą liczbę naszych bombowców, Pakt Atlantycki w znaczący sposób ograniczył nasze możliwości niszczenia konwojów. Utorował sobie przy okazji drogę do bezpośrednich ataków na ziemię radziecką.

–Ale Islandia...

–Wyłączona z gry – Kosow wyjaśnił, co stało się z radzieckimi myśliwcami w Keflaviku.

–Mówicie, że wojna idzie źle? Czemu więc Niemcy próbują rokowań pokojowych?

–Tak, to bardzo dobre pytanie.

–Jeśli żywicie jakieś podejrzenia, towarzyszu dyrektorze, nie powinniście zgłaszać się z nimi do mnie.

–Opowiem wam coś. Jeszcze w styczniu, kiedy miałem operację, obowiązki codzienne szefa KGB przeszły na mojego pierwszego zastępcę, Josefa Łarionowa. Poznaliście małego Józefa? – spytał Kosow.

–Nie, nigdy nie zajął miejsca w waszym fotelu na obradach Politbiura... a Rada Obrony? – Siergietow szybko odwrócił głowę. – Nie konsultowano z wami wszelkich ustaleń? Byliście wówczas rekonwalescentem.

–Przesada. Chorowałem po prostu dwa tygodnie, ale ta informacja była naturalnie zachowywana w tajemnicy.

Dopiero po miesiącu podjąłem pracę w pełnym wymiarze.

Członkowie Rady Obrony nie chcieli zakłócać mi powrotu do zdrowia i dlatego młody, ambitny Josef przejął oficjalne analizy danych wywiadu KGB. Jak zapewne wiecie, służby wywiadowcze stosują inne metody niż na przykład u was, gdzie wszystko ujęte jest w zgrabne statystyki i diagramy.

Musimy zaglądać w myśli ludzi, którzy często sami nie wiedzą, co sądzić o takiej czy innej kwestii. Zastanawiam

się często, czemu nie zatrudniamy wróżek cygańskich... ale odszedłem od tematu.

KGB prowadzi coś, co nazywamy Ocenami Wywiadu Strategicznego. Jest to aktualizowany codziennie dokument, który daje na bieżąco pełny obraz politycznej i militarnej potęgi naszych przeciwników. Ze względu na charakter tej pracy, jak też na poważne błędy, których dopuszczono się w przeszłości, powołaliśmy trzy zespoły, które dokonują oceny: Przypadku Najlepszego, Przypadku Najgorszego i Przypadku Średniego. Terminy tłumaczą się same przez się, prawda? Kiedy w Politbiurze prezentujemy wyniki naszych analiz, przedstawiamy zazwyczaj Przypadek Średni i z przyczyn oczywistych uzupełniamy ten raport adnotacjami pozostałych dwóch zespołów.

–Kiedy więc wezwano go, by przedstawił w Politbiurze swe szacunki...

–Zgadza się. Młody Josef, mały, ambitny skurwysynek, który pragnął mego stanowiska jak wilk owcy, okazał się na tyle przebiegły, iż zabrał ze sobą wszystkie trzy opracowania. Kiedy zorientował się, czego od niego chcą, przedstawił to, którego się domagali.

–Nie sprostowaliście tego po powrocie?

Kosow tylko ironicznie się uśmiechnął.

–Misza, Misza, czasami jesteś rozbijającą naiwny.

Powiniem zabić tę gadzinę, ale to było niemożliwe. Josef jest ciężko chory, choć jeszcze o tym nic nie wie. Jeszcze nie nadszedł jego czas – powiedział Kosow, jakby rozprawiał o wakacjach. – W tej chwili KGB jest rozbite na kilka frakcji.

Jedną z nich kontroluje Josef. Ja przewodzę innej. Moja jest silniejsza, ale to nie wystarcza. Josef ma posłuch sekretarza generalnego i ministra obrony. Ja jestem tylko starym, schorowanym człowiekiem... tak mi powiedziano. Gdyby nie wojna, dawno bym już nie piastował mego stanowiska.

–Ależ on okłamał PoUtbiuro! – Siergietow prawie krzyknął.

–Nie tak do końca. Myślicie, że Josef jest -głupcem?

Przekazał oficjalne dane wywiadu KGB opracowane przez biuro mego wydziału i pod moim kierownictwem.

Po co mi to mówi? Boi się, że straci stanowisko i szuka poparcia innych członków Politbiura? Czy o to właśnie chodzi?

–Twierdzicie zatem, że popełniliśmy błąd?

–Właśnie to – odparł Kosow. – Niepowodzenie, słaba ocena przemysłu naftowego – to naturalnie nie wasza wina. Pewne niepokoje, jakie żywili w głębi serca członkowie partyjnej hierarchii, osobiste ambicje jednego z moich podwładnych, poczucie ważności kompletnie nie znającego Zachodu ministra obrony i proszę, mamy dzień dzisiejszy.

–Więc co waszym zdaniem powinniśmy zrobić? – spytał ostrzeżenie Siergietow.

–Nic. Proszę tylko, byście mieli cały czas na względzie to, że następny tydzień przesądzi o losie tej wojny. Ech! – westchnął. – Popatrzcie, naprawili mój samochód. Możecie się tu zatrzymać, Witalij. Dziękuję za podwiezienie, Misza.

Powodzenia.

Kosow schował urządzenie zagłuszające i wysiadł z samochodu.

Michaił Edwardo wieź Siergietow obserwował, jak limuzyna KGB znika za rogiem ulicy. W życiu brał udział w niejednej rozgrywce politycznej o władzę. Jego awans w hierarchii partyjnej brał się nie tylko z kompetencji zawodowych. Miał ludzi, którzy go popierali. Wyliminował wielu innych pretendentów do kariery, dzięki czemu jechał teraz tym zółtem i miał nadzieję na jeszcze większą władzę w swoim kraju. Nigdy jednak nie podjął gry tak

niebezpiecznej. Nie znał jej reguł, nie wiedział, do czego naprawdę zmierza Kosow. Czy w ogóle we wszystkim, co powiedział, tkwiło choć ziarno prawdy? Być może pragnął jedynie zatrzeć własne błędy, obwiniając nimi Josefa Łarionowa?

Siergietow nie przypominał sobie twarzy pierwszego zastępcy dyrektora KGB.

–Prosto do biura, Witalij – polecił minister.

Był zbyt zamyślony, by zajmować się pozasłużbową działalnością szofera.

Northwood, Anglia Toland z ogromnym zainteresowaniem oglądał zdjęcia satelitarne. Satelita KH-11 przelatywał nad Kirowskiem w cztery godziny po ataku raketowym i na bieżąco przekazywał informacje do centrum dowodzenia NATO.

Przesłał po trzy ujęcia filmowe każdej z baz backfire'ów.

Oficer wywiadu wyciągnął notatnik i zaczął prowadzić obliczenia. Starał się być jak najbardziej ostrożny w formułowaniu osądów. Jako samoloty zniszczone klasyfikował tylko te maszyny, które były bądź rozerwane na strzępy, bądź kompletnie strawione ogniem.

–Wedle naszych ocen dysponowali około osiemdziesięcioma pięcioma maszynami. Moim zdaniem całkowicie zniszczyliśmy dwadzieścia jeden bombowców, a około trzydziestu poważnie uszkodziliśmy. Wielkich szkód doznały również same bazy. Jediną niewiadomą stanowi liczba ofiar wśród personelu. Jeśli udało się nam wybić sporo załóg, backfire'y wyłączone są z akcji na okres co najmniej tygodnia.

Sowietom posiadają naturalnie badgery, ale te mają mniejszy zasięg i dużo łatwiej je zestrzelić. Admirale zaczynamy nowy mecz.

Admirał Sir Charles Beattie uśmiechnął się. Szef jego wywiadu stwierdził prawie to samo.

Langley, baza lotnicza, Wirginia Myśliwiec przechwytyjący F-75 przemknął nad pasem na wysokości trzydziestu kilku metrów. Kiedy mijał wieżę kontrolną, major Nakamura zatoczyła maszyną szaleńczy łuk w powietrzu, po czym skręciła i spokojnie już wylądowała. Była Asem! Trzy zestrzelone badgery i dwa satelity!

Pierwsza kobieta-As w historii lotnictwa Stanów Zjednoczonych. Pierwszy As przestrzeni kosmicznej.

Zatrzymała maszynę przed hangarem i zsunęła się energicznie po drabince. Pobiegła do oczekujących nie opodal oficerów. Twarz zastępcy dowódcy lotnictwa taktycznego była czerwona ze złości.

–Majorze, jeszcze jeden taki numer, a dostanie pani kopa w dupę i wyląduje w obsłudze naziemnej.

–Tak jest, sir. Przepraszam, sir – wyszczerzyła zęby.

Tego dnia nic nie było w -stanie zepsuć jej humoru, – To się już nigdy nie powtórzy, sir. Ale tylko raz w życiu zostaje się Asem, sir!

–Wywiad twierdzi, że Iwan posiada jeszcze jednego satelitę RORSATt który w każdej chwili może opuścić wyrzutnię. Ale teraz Rosjanie zapewne dwa razy się zastanowią, nim go wystrzelą – powiedział generał spokojnym już głosem.

–Nie mają innych ptaszków? – spytała Buns.

–Mają dwa, ale do końca tygodnia powinniśmy je zdjąć.

Wtedy pani następnym celem będzie rekonesansowy satelita, przesyłający zdjęcia na bieżąco. Do tego czasu rozpoznawcze radiolokacyjne satelity morskie mają bezwzględne pierwszeństwo – generał uśmiechnął się przelotnie. – I proszę nie zapomnieć wymalować sobie na maszynie piątej gwiazdki.

Norfolk, Wirginia}

Tak czy owak wypłynęłyby w morze.

Zniszczenie radzieckiej sieci radiolokacyjnych rozpoznawczych satelitów morskich sprawiło, że przedsięwzięcie stało się bezpieczniejsze. Pierwsze przybyły niszczyciele i fregaty, ustawiły się w wachlarzu i pod parasolem tworzonym przez lotnictwo przystąpiły do namierzania okrętów podwodnych, które mogły czaić się w okolicy. Potem pojawiły się krążowniki i lotniskowce. Na samym końcu nadpłynęły statki z Littl Greek: "Tarawa", "Guam", "Nassau", "Inchon" oraz dwadzieścia innych. Ponad sześćdziesiąt jednostek uformowanych w trzy grupy popłynęło na północny wschód z szybkością dwudziestu węzłów. Czekala je sześciodniowa podróż.

USS "Prevail" Stateczek nawet przy szybkości trzech węzłów nie płynął najlepiej. Liczył mniej więcej siedemdziesiąt metrów długości i każda fala była dlań tym, czym dla wyścigowego rumaka przeszkoda. Załoga po części składała się z marynarzy floty

wojennej, a po części – cywilnej. Cywile prowadzili jednostkę, zaś wojskowi zajmowali się sprzętem elektronicznym. Wszyscy zgadzali się, że to cud, iż jeszcze żyją.

"Prevail" był statkiem rybackim dostosowanym do połowów na otwartym morzu, lecz zamiast sieci na końcu długiego na dwa kilometry kabla zaopatrzonego w czujniki hydrolokacyjne ciągnął izolowaną antenę sonarową. Komputer pokładowy przetwarzał otrzymane sygnały i via satelita przesyłał je do Norfolk z szybkością trzydziestu dwóch tysięcy bitów na sekundę. Jednostka zaopatrzona była w ciche silniki elektryczne oraz system Preria/Maska, który eliminował i tak niewielkie powodowane przez nią hałasy mechaniczne. Partie nad górnym pokładem wykonano z włókna szklanego, które myliło cechy charakterystyczne. Była to

pierwsza jednostka typu Stealth i choć nie posiadała uzbrojenia poza karabinami do zwalczania rekinów, stanowiła najgroźniejszą broń przeciw okrętom podwodnym. "Prevail" wraz z trzema takimi samymi statkami krążył po Północnym Atlantyku, po ogromnym łuku między Nową Fundlandią a Irlandią, nasłuchując dźwięków wytwarzanych przez przepływające w głębinach okręty podwodne. Dwa statki miały już na mostkach wymalowane sylwetki wrogich jednostek. Każdemu bowiem towarzyszył orzon, a radzieckie okręty podwodne dwukrotnie już miały nieszczęście zbliżyć się raz do jednego statku z holowaną anteną sonarową i raz do drugiego. Generalnie jednak tuńczykowce nie służyły niszczeniu radzieckich jednostek, a tylko odstraszeniu ich od konwojów.

W centrum ^operacyjnym "Prevaila" zespół techników oceanografii obserwował monitory lamp oscyloskopowych, podczas gdy inni członkowie załogi tropili bez przerwy wszystko, co mogło znajdować się na tyle blisko, by stanowić zagrożenie.

Podoficer przebiegł palcem po postrzępionej linii na ekranie.

–To musi być ten konwój z Nowego Jorku – stwierdził.** – Zgadza się – odparł siedzący obok technik. – A tam czają się goście, którym strasznie zależy na spotkaniu z nim.

USS "Reuben James" – Na pewno nie będziemy się tu uskarżać na samotność – zauważył O'Malley.

–Czy pan zawsze ma tak pozytywny stosunek do życia? – spytał Frank Ernst.

–Nasi rosyjscy przyjaciele muszą mieć wyśmienity wywiad. Chodzi mi o to, że wasze siły powietrzne zniszczyły im satelitę – kapitan Perrin postawił na stoliku filiżankę z kawą.

W kabinie Morrisa odbywała się właśnie narada pięciu oficerów. Na amerykańską fregatę Perrin dostał się helikopterem.

–Znają więc nasz skład – odparł Morris. – I chcą zniszczyć tyle jednostek, ile się da.

Norfolk poinformowało, że w stronę konwoju kieruje się co najmniej sześć rosyjskich okrętów podwodnych.

Cztery nadpływały z północy. To była strefa ich działania.

–Musimy więc cały czas być bardzo czujni – stwierdził Morris. – Jerry, ty już od trzech dni bez przerwy latasz?

O'Malley roześmiał się.

–Jeśli powiem "tak", czy to coś zmieni?

–Myślę, że powinniśmy się trzymać blisko siebie – dodał Perrin. – Najdalej pięć mil.

Najtrudniej pójdzie zgranie nam sprintów. Konwój chce płynąć możliwie najprostsza drogą, tak?

–Zgadza się – kiwnął głową Morris. – Ale trudno tu winić dowódcę. Gdyby te statki płynęły zygakiem, mogłoby powstać takie samo zamieszanie jak wtedy, gdyby zostały zaatakowane.

–Bardzo ucieszyła mnie wiadomość, że chwilowo nie zagrażają nam backfire'y – odezwał się O'Malley. – Musimy zatem uważać na niebezpieczeństwo tylko z jednej strony.

Ruch okrętu zmienił się, kiedy zmniejszono prędkość.

Fregata wychodziła właśnie z dwudziestoosmiowęzłowego sprintu i przez kilka minut posuwać się miała z szybkością pięciu węzłów, co powinno zapewnić funkcjonowanie biernego sonaru.

USS "Chicago" – Kontakt na hydrolokatorze. Współrzędne: trzy-cztery-sześć.

Jeszcze siedemset mil do granicy pływającego lodu – pomyślał McCafferty. – Z szybkością pięciu węzłów!

Znajdowali się na głębokich wodach. Przy hałasie, jaki powodowała "Providence", ucieczka od rosyjskich brzegów z szybkością piętnastu węzłów była ryzykowna, ale się opłacała. Dopiero po czterech godzinach dopłynęli do stuosiemdziesięciometrowej głębiny. Były to chwile pełne niepewności i napięcia. Nikt nie wiedział, jak Rosjanie zareagują na atak rakietowy. Przede wszystkim Sowieci wysłali patrol lotniczy. Wszędobylskie beary zaczęły zrzucać pławy sonarowe, ale tych na szczęście amerykańskim okrętom udało się uniknąć. Większość systemów sonarowych "Providence" funkcjonowała, toteż jednostka, jakkolwiek nie mogła się bronić, była w stanie wykryć nadchodzące niebezpieczeństwo.

Podczas trwającej cztery godziny ucieczki uszkodzony okręt podwodny wydawał dźwięki przypominające hałas czyniony przez wagon załadowany żelaznymi rurami. McCafferty wolał nawet nie myśleć, jak sterowało się jednostką, której opływki zachowywały się niczym targana wiatrem bielizna na sznurze. Ale to już mieli za sobą. Obecnie znajdowali się w głębokiej na dwieście trzydzieści metrów wodzie. Za pomocą anten holowanych sonaru mogli wykryć każde zbliżające się niebezpieczeństwo. Po obu stronach swego rannego brata, w odległości trzech mil każdy, płynęły okręty "Chicago" i "Boston". Siedemset mil z prędkością pięciu węzłów – myślał McCafferty. – Prawie sześć dni...

–W porządku. Co my tu mamy, szefie?

–Nadchodzi wolno, więc zapewne w linii prostej, sir.

Współrzędne zmieniają się bardzo nieznacznie. Na pierwszy rzut oka powiedziałbym, że to okręt o napędzie konwencjonalnym, poruszający się na bateriach. Jest blisko – szef sonaru nie wykazywał żadnych emocji.

Kapitan odchylił się i zajrzał do centrum bojowego.

–W prawo na zero-dwa-pięć.

Sternik przekręcił ster w prawo o pięć stopni, zmieniając tym lekko kurs okrętu na północno-wschodni. Przy szybkości pięciu węzłów "Chicago" stanowił tylko "dziurę w oceanie" i nie emitował prawie żadnych hałasów. Kontakt jednak zachowywał się równie cicho. McCafferty zauważył, że mimo iż upłynęło już dobrych kilka minut, linie na ekranie w niewielkim tylko stopniu zmieniły pozycje.

–No dobrze, drobna zmiana współrzędnych kontaktu.

Teraz trzy-cztery-jeden.

–Joe? – zwrócił się McCafferty do swego pierwszego oficera.

–Szacuję odległość na plus minus osiem tysięcy metrów. Kurs zbliżony do naszego. Przepuszczalna prędkość cztery węzły.

Za blisko – pomyślał kapitan. – Ale jeszcze nie odkrył naszej obecności.

–Ognia!

Torpeda Mark-48 wyskoczyła z wyrzutni z najmniejszą prędkością, skręciła od razu w lewo pod kątem czterdziestu stopni i, wlokąc za sobą przewody kierujące, które łączyły ją z okrętem, ruszyła w stronę kontaktu. Podczas gdy sonarzyści kierowali pocisk na cel, "Chicago" wycofywał się powoli z miejsca, z którego oddał salwę. Nagle szef hydrolokacji uniósł gwałtownie głowę.

–Usłyszeli! Włączają silniki. Słyszę śruby, to foxtrot.

Zwiększa szybkość do piętnastu. Zalewa wyrzutnie.

Amerykańska torpeda przyspieszyła, uruchamiając naprowadzający na cel sonar. Foxtrot wiedział już, że został wykryty i jego kapitan automatycznie zwiększył prędkość swego okrętu. Wprowadził jednostkę w gwałtowny skręt przez prawą burtę, po czym odpalił samosterującą torpedę w stronę, gdzie powinien znajdować się napastnik. Potem gwałtownie nabral głąbokości. Liczył na to, że zbliżający się pocisk straci kontakt.

Ostry skręt w lewo i strefa turbulencyjna zmyliły na chwilę marka-48. Ale gdy torpeda przebyła już strefę i weszła w spokojną toń, ponownie odnalazła cel. Pomalowana na zielono śmiertcionośna broń znurkowała za foxtrotem i dopadła go na głąbokości stu trzydziestu metrów.

–Współrzędne obiektu gwałtownie się zmieniają – poinformował szef sonaru. – Minie nas z

daleka... trafienie!

Trafiliśmy w cel!

W stalowym kadłubie grzmot eksplozji odbił się niskim, gromowym echem. McCafferty nałożył na uszy słuchawki w chwili, gdy foxtrot czynił rozpaczliwe wysiłki wydobywania się spod wody. Następnie kapitan usłyszał przeszywający zgrzyt metalu. To pod naporem wody pękały wewnętrzne grodzie rosyjskiego okrętu. Nie wiedział jednak o ostatniej rzeczy, jaką uczynił kapitan umierającej jednostki. Uruchomił on boję ratunkową umieszczoną w wyrzutni w tylnej części kiosku. Wyprysnęła na powierzchnię i zaczęła nadawać ciągle sygnały.

Na pokładzie foxtrota nikt już nie żył, ale boja dostarczyła kwaterze głównej informację o miejscu zagłady okrętu.

Kilka jednostek podwodnych i nawodnych natychmiast ruszyło w tamtą stronę.

USS "Reuben James" O'Malley uruchomił wszystkie systemy i poderwał maszynę na wysokość stu siedemdziesięciu metrów. Stąd mógł już dostrzec po południowo-zachodniej stronie północną flankę konwoju. W powietrzu unosiło się kilka innych helikopterów – ktoś wreszcie wpadł na ten wyśmienity pomysł. Wiele wchodzących w skład konwoju statków handlowych wiozło wojskowe helikoptery, z których większość nadawała się do natychmiastowego użytku. Teraz maszyny te patrolowały okolicę w poszukiwaniu peryskopów. Załogi wszystkich okrętów podwodnych przyznawały, że najbardziej obawiają się właśnie śmigłowców.

Zwalczanie tych jednostek za pomocą helikopterów określano mianem taktyki "czarnego nieba". Płynącym z konwojem żołnierzom polecono bacznie obserwować morze i informować o każdej podejranej rzeczy. Powodowało to wiele fałszywych alarmów, ale przynajmniej wojsko miało czym zabić czas, a wcześniej czy później ktoś zauważy prawdziwy peryskop. Seahawk przemieścił się dwadzieścia

mil na wschód, po czym zawrócił. Poszukiwał okrętu podwodnego, którego echo prawdopodobnie wykryła antena holowana sonaru podczas ostatniego dryfu fregaty.

–W porządku, Willy, zrzucaj LOFAR. Już, natychmiast!

Podoficer nacisnął w prawej konsoli guzik, zwalniając pławę sonarową. Helikopter zrzucił jeszcze cztery dalsze w dwumilowych odstępach, tworząc barierę dziesięćmilowej długości. Potem pilot wprowadził maszynę w szeroki skręt i zaczął obserwować morze, a podoficer z uwagą studiował ekran sonaru.

–Komandorze, czy to prawda, co słyszałem o kapitanie?

Chodzi mi o tę noc przed wypłynięciem w rejs.

–Upiłem się kompletnie, a on nie pozwolił, bym zrobił to samotnie. Nigdy w życiu się nie spięś?

–Nie, sir. W ogóle nie używam alkoholu.

–Proszę, do czego to doszło w marynarce! Przejmij na chwilę stery – O'Malley zdjął ręce z drążków i zaczął poprawiać helmfon. Był to nowy sprzęt i nie zdążył się jeszcze dopasować do głowy pilota. – Masz coś, Willy?

–Nie jestem pewien, sir. Jeszcze chwila.

–Doskonale – pilot zlustrował instrumenty, po czym znów skierował wzrok na wodę. – Czy opowiadałem ci o tym dziesięciometrowym jachcie w wyścigu Bermuda-Newport?

Przyszedł sztorm, który go uszkodził. Załogę jachtu stanowiły same dziewczęta i kiedy zaczął nabierać wody, straciły...

–Szefie, mam słaby sygnał na czwórce.

–Dały nam wszystko za to, że je uratowaliśmy -O'Malley zwrócił helikopter na północny zachód. – A pan, panie Ralston też nic z tych rzeczy?

–"Wielkie picie, sir, można nazwać przeniewiercą miłości; bo ją rodzi i uśmierca"* – odparł drugi pilot. – Jeszcze dwie mile, sir.

–Zna nawet Szekspira. Może nie jest tak do końca stracony. Co," powiesz, Willy?

–Ciągle słaby na czwórce. Nic ponadto. Jedna mila – poinformował Ralston, obserwując wykres taktyczny. * Makbet. Tłum. Józef Paszkowski.

O'Malley obrzucił wzrokiem powierzchnię wody, poszukując pionowej kreski peryskopu lub zostawianej przez niego smugi piany.

–Teraz na czwórce sygnał średniej mocy, sir. Pojawia się na piątce.

–Romeo, tu Młot. Chyba coś tu mamy. Między czwartą a piątą zrzuć jeszcze jedną pławę LOFAR. Oznaczcie ją jako numer sześć. Zrzucaj – teraz!

Od maszyny oderwała się kolejna pława sonarowa.

–Młot, tu Romeo – odezwał się kontroler. – Wygląda na to, że kontakt znajduje się na północ od linii pław.

Powtarzam: na północy.

–Tak, zgadzam się. Niebawem powinniśmy już coś wiedzieć.

–Kapitanie – zawołał Willy. – Na szóstce średni.

–Romeo, tu Młot, spuszczaemy sonar zanurzany.

Na pokładzie "Reubena Jamesa" dokładnie zaznaczono pozycję śmigłowca i rzędu pław.

O'Malley pchnięciem drążków sterowych zatrzymał maszynę w miejscu, a następnie ostrożnie obniżył ją do wysokości siedemnastu metrów. Willy zanurzył kopułę na głębokość siedemdziesięciu.

–Kontakt na sonarze, sir. Zapewne okręt podwodny.

Współrzędne: trzy-pięć-sześć.

–Kopuła w górę – polecił O'Malley.

Seahawk wzbił się w niebo i przeleciał milę na północ.

Tam, unosząc się nad powierzchnią fal, O'Malley ponownie spuścił sonar zanurzany.

–Kontakt! Współrzędne: jeden-siedem-pięć. Dźwięk podwójnych śrub, szybkość około dziesięciu węzłów.

–Wzięliśmy go w kleszcze – odezwał się pilot. Proszę zaprogramować.

Ralston wprowadził dane do komputera taktycznego.

–Współrzędne zmienne. Wygląda na to, że skręca w lewo... tak – potwierdził Willy. – Zakręca w lewo.

–Usłyszał nas? – spytał Ralston.** – Może usłyszał konwój i wykonuje zwrot, by nawiązać z nim kontakt? Willy, kopuła w górę – rozkazał O'Malley.

–Romeo, tu Młot. Mamy manewrujący cel, prawdopodobnie okręt podwodny. Prosimy o zezwolenie na użycie broni.

–Przyjąłem, Młot. Macie pozwolenie. Powtarzam: możecie użyć broni.

Pilot przemieścił maszynę o tysiąc metrów na południowy wschód. Śmigłowiec zawisł pod wiatr i ponownie spuszczaono sonar.

–Znów go mam, sir – odezwał się podekscytowanym głosem Willy. – Współrzędne: trzy-pięć-pięć. Zmienne, trochę w lewo, trochę w prawo, sir.

–Właśnie nas mija – oznajmił Ralston znad wykresu taktycznego.

–Romeo, tu Młot. Stwierdzamy obecność jednostki podwodnej i przystępujemy do ataku – O'Malley utrzymywał maszynę w bezruchu, a podoficer oznajmił kolejną zmianę pozycji celu. – Sekwencja ataku.

–Główna wyrzutnia – Ralston przebiegł palcami po tasterach. – Program poszukiwania: pierwszy.,

–Wstępne poszukiwania na głębokości osiemdziesięciu.

Kurs wybierze torpeda. Wężem – Ralston programował komputer.

–Gotowe.

–W porządku, Willy, przygotuj system wyszukiwania Yankee – polecił O'Malley, mając na myśli przeczesywanie wody sonarem aktywnym.

–Gotowe, sir. Współrzędne kontaktu: dwa-zero-zero.

Gwałtownie oscyluje między lewą a prawą.

–Przyładuj jej! – O'Malley przełączył sygnał sonaru na swoje słuchawki.

Willy z pasją wcisnął guzik i przetwornik hydrolokatora wysłał serię impulsów. Fala energii dźwiękowej odbiła się od kadłuba podwodnego okrętu i wróciła do przetwornika.

Kontakt raptownie zwiększył obroty silników.

–Kontakt. Współrzędne: jeden-osiem-osiem. Odległość: osiemset metrów.

Ralston wprowadził te ostatnie dane do systemów sterowania ogniem.

–Gotowe!

Pilot przesunął dłoń z drążków na znajdujący się po prawej stronie guzik i wcisnął go do oporu. Torpeda Mark-46 zwolniona z klamer opadła do wody.

–Torpeda poszła!

–Willy, utrzymuj impulsy – O'Malley włączył radio.

–Romeo, wystrzeliliśmy torpedę w kierunku dwuśrubowej jednostki podwodnej. Jest około osiemset metrów od nas na pozycji jeden-osiem-osiem. Torpeda już w wodzie.

Pozostawaj na nasłuchu.

Mark-46 zaprogramowany został na "wężowy" tor pościgu. Wykonał szereg falistych

skrętów, które wprowadziły go na południowy kurs. Zaalarmowany sonarem śmigłowca kapitan rosyjskiego okrętu uciekał pełną parą, nabierając jednocześnie raptownie głębokości. Za wszelką cenę musiał ujść torpedzie.

–Młot, tu Romeo. Na wypadek, gdyby torpeda chybiła, leci już do was Topór.

–Przyjąłem – mruknął O'Malley.

–Mam go! – zawołał podekscytowany Willy.

Torpeda, kiedy zbliżyła się do celu, przeszła na automatyczne wysyłanie impulsów. Kapitan okrętu podwodnego wykonał gwałtowny skręt w prawo, ale "rybka" była już zbyt blisko, by ten manewr mógł ją zmylić.

–Trafiony! Trafiony! – ryknął Willy.

Tuż przed nimi woda uniosła się nieco, ale nie pojawiła się kipiela piana. Torpeda eksplodowała zbyt głęboko.

–Doskonale – odezwał się O'Malley.

Nigdy w życiu nie wystrzelił jeszcze osobiście prawdziwego pocisku w prawdziwy okręt podwodny. Dźwięki wydawane przez konający okręt odbierał jako najsmutniejszy ton, jaki w życiu słyszał. Na powierzchni pojawiło się parę bąbli ropy.

–Romeo, zniszczyliśmy jednostkę podwodną. Powiedz bosmanowi, by szykował pędzel. Pokrążymy jeszcze w* okolicy w poszukiwaniu ewentualnych rozbitków.** Jedna z fregat poprzedniego dnia wyловиła całą załogę zestrzelonego beara. Rosjanie znajdowali się już na ładzie 14 – Czerwony sztorm t. II

i byli przesłuchiwanii. Ale tym razem nie było rozbitków.

O'Malley krążył przez dziesięć minut, po czym zawrócił do domu.

Islandia – Ogar, nabraliście już sił? – spytał Brytan.

–Można tak powiedzieć – Edwards od pewnego czasu z niecierpliwością oczekiwał tego pytania, lecz kiedy już padło, zabrzmiało bardzo złowieszczo.

–Musicie dokładnie przepatrzeć południowe wybrzeże Hvammsfjórdu i powiadomić nas o wszelkich ruchach Rosjan. Szczególnie interesuje nas miasteczko Stykkisholmur. To niewielki port w odległości jakichś sześćdziesięciu paru kilometrów na zachód od was. Tak jak poprzednio, macie unikać wszelkich kontaktów, obserwować i składać meldunki. Rozumiecie?

–Rozumiemy. Jak długo to jeszcze potrwa?

–Trudno powiedzieć. Nie wiem. Ale macie ruszać natychmiast.

–W porządku, wyruszamy za dziesięć minut.

Edwards rozmontował antenę i schował radio do plecaka,

–No panowie, czas opuścić to górskie ustronie. Sierżancie Nichols?

–Tak, sir? – Nichols zbliżył się w towarzystwie Smitha.

–Może pan wie, jakie mają plany względem nas?

–Nie wiem, sir. Dostaliśmy tylko rozkaz wzmocnienia waszej grupy. A poza tym mamy czekać na dalsze polecenia.

Edwards już wcześniej zapoznał się z mapami, które dostarczył Nichols. Mieli dokładne szkice całego zachodniego wybrzeża Islandii z wyjątkiem samego miejsca zrzutu.

Naturalnie, cel ich obecnego rekonesansu na wybrzeże był jasny. Porucznik wyjął mapę taktyczną i wykreślił na niej czekającą ich trasę.

–Okay. Łączymy się w pary. Sierżancie Smith, niech pan wybierze sobie któregoś z naszych nowych przyjaciół.

Nichols, pan z Rodgersem osłaniacie tyły. Bierzcie radio. Ja wezmę pozostałą dwójkę. Poszczególne grupy posuwają się

w zasięgu wzroku. Trzymajmy się w miarę możliwości terenów położonych jak najwyżej. Pierwsza droga bita, którą musimy przekroczyć, znajduje się szesnaście kilometrów na wschód stąd. Jeśli coś zauważycie, natychmiast kryć się i informować mnie. Mamy unikać wszelkich kontaktów. Żadnego strugania bohaterów, w porządku? Wyruszamy za dziesięć minut.

Edwards zaczął pakować dobytek.

–Michael, dokąd idziemy? – spytała Vigdis.

–Stykkisholmur. Jak się czujesz?

–Mogę iść – usiadła obok niego. – A kiedy już będziemy w Stykkisholmurze?

–Tego mi nie powiedzieli – uśmiechnął się Edwards.

–Czemu nigdy ci o niczym nie mówią?

–Nazywa się to względami bezpieczeństwa. Im mniej wiemy, tym lepiej dla nas.

–Głupota – odparła, a Edwards nie wiedział, jak jej wytłumaczyć, że ma i nie ma zarazem racji.

–Myślę, że gdy już tam dotrzemy, zaczniemy myśleć o normalnym życiu.

Wyraz jej twarzy zmienił się.

–A co to jest normalne życie, Michael?

Kolejne celne pytanie – pomyślał porucznik. – Ale zbyt wiele mam na głowie, by przeżuwać ten problem na okrągło.

–Zobaczymy.

Stendal, Niemiecka Republika Demokratyczna Bitwa o Hameln i bitwa o Hanower przekształciły się już praktycznie w jedną wspólną akcję. Dwie godziny wcześniej broniące od południowej strony tego wielkiego przemysłowego miasta siły Paktu Atlantyckiego wycofały się na zachód, by skrócić swe linie i się przegrupować. Węsząc kolejny niemiecki podstęp, radzieckie jednostki ostrożnie ruszyły do przodu. Aleksiejew i dowódca Zachodniego Teatru Wojny ślęczeli nad mapami, analizując konsekwencje wycofania się wojsk NATO.

–To im da co najmniej jedną, a zapewne dwie rezerwowe brygady – zauważył Aleksiejew. – Do szybkiego przerzucenia żołnierzy z sektora do sektora mogą użyć autostrady 217.

–Jak często dotąd Niemcy dobrowolnie oddawali nam teren? – zapytał przełożony. – Zrobili tak, bo tak chcieli. Ich linie były zbyt rozciągnięte, a jednostki zdekompletowane.

–Tak samo jak nasze. Formacje kategorii B, które wprowadzamy do walki, ponoszą straty o jedną trzecią większe niż jednostki kategorii A. Za posuwanie się do przodu zaczynamy płacić ogromną cenę.

–Już zapłaciliśmy ogromną cenę! Jeśli teraz się nam nie uda, poniesione ofiary pójdą na marne. Pasza, do ataku musimy wprowadzić wszystkie siły. Sektor jest już prawie nasz.

–Wybaczcie, towarzyszu generale, ale odnoszę inne wrażenie. – Obrońców przepaja duch walki. Mimo ofiar morale Niemców jest wciąż bardzo wysokie. Dobrze wiedzą, jak ogromne straty nam zadali. – Aleksiejew przed trzema zaledwie godzinami wrócił z wysuniętego posterunku dowodzenia w Fólziehausen.

–Obserwowanie akcji z bliska jest bardzo pożyteczne, Pasza, ale może zaciemnić obraz całości.

Aleksiejew nachmurzył się. "Obraz całości" ciągle był iluzją. Jego dowódca niejednokrotnie o tym mówił.

–Chcę, byś przeprowadził szturm na całą linię frontu.

Formacje Paktu Atlantyckiego są już bardzo przetrzebione.

Ich dostawy szwankują, są niewystarczające, a poza tym niszczymy je po drodze. Energiczny atak przerwie obronę na odcinku pięćdziesięciokilometrowym.

–Nie mamy dostatecznej ilości jednostek kategorii A, by przeprowadzić uderzenie na taką skalę – sprzeciwił się Aleksiejew.

–Trzymaj je w rezerwie, by poszły za ciosem, gdy dokonamy przełomu. Nasze najlepsze dywizje rezerwowe puścimy do ataku od Hanoweru na północy po Bodenwerder na południu.

–Ależ nie mamy na to sił ani paliwa – ostrzegł Aleksiejew. – Jeśli chcemy już atakować, sugerowałbym szturm dwiema dywizjami tutaj, na południe od Hameln.

Jednostki są na miejscu. To, co wy proponujecie, jest stanowczo zbyt ambitne.

–Nie pora teraz na półśrodki, Pasza! – wykrzyknął dowódca zachodniego teatru.

Nigdy dotąd nie podnosił na Aleksiejewa głosu. Młodszy mężczyzna był ciekaw, jakie naciski wywierano na dowódcę.

–Pojedynczy atak pozwala na kontratak – ciągnął spokojnie już przełożony Aleksiejewa. – To, co proponuję, niebywale utrudni przeciwnikowi życie. Nie może być przecież silny wszędzie. Znajdziemy jego słabe punkty, przerwiemy front i przeprawimy przez Ren resztę oddziałów kategorii A.

USS "Reuben James" – Zrzucaj teraz, natychmiast! – krzyknął, O'Malley.

Ósma pława sonarowa oderwała się od Seahawka. Pilot zawrócił śmigłowiec w miejscu i ponownie skierował się na wschód.

O'Malley, choć był już w powietrzu od trzech długich, wyczerpujących godzin, nie pokazywał po sobie zmęczenia.

Samolot w miejscu, zrzut pław, nasłuch; samolot w miejscu, zrzut pław, nasłuch... Wiedział, że gdzieś w okolicy kręci się okręt podwodny, ale za każdym razem, kiedy wydawało się, że już go mają, cel wyślizgiwał się. Co tu jeszcze wymyślić?

Topór miał ten sam problem, z tym tylko, że jego obiekt zawrócił o sto osiemdziesiąt stopni i o mały włos nie trafił w "Battleaxe". Choć rosyjska torpeda eksplodowała w gwałtownej turbulencji wodnej kilwatera fregaty, stało się to zbyt blisko. Co najmniej dwa razy za blisko. Śmigłowiec O'Malleya ponownie zawisł nad powierzchnią morza.

–Kopuła w dół!

Odczekali minutę. Nic. I od początku.

–Romeo, tu Młot. Masz coś?

–Młot, hałas umilkł przed sekundą. Ostatnia pozycja: trzy-cztery-jeden.

–Spryciarz. Czeka do chwili, kiedy kończysz sprint, i wyłącza silniki.

–Chyba masz rację, Młot – odparł Morris.

–W porządku. Na wypadek, gdyby skierował się na zachód, postawiłem tam barierę. Myślę jednak, że ruszy na południe. Tam teraz postawię kolejną linię pław.

O'Malley wyłączył transponder.

–Masz coś Willy? – zapytał.

–Nic, sir.

–Przygotuj się do wciągnięcia kopuły.

Niebawem helikopter znów leciał. W ciągu kolejnych dwudziestu minut zrzucił sześć pław, ale te nic nie wykazały.

–Willy, od nowa. Przygotuj sonar. Tym razem na... ee... dwieście siedemdziesiąt metrów.

–Gotowe, sir.

–Opuszczaj kopułę – pilot wiercił się w fotelu. Choć na zewnątrz wcale nie było gorąco, wpadające do śmigłowca promienie słoneczne sprawiały, że w kabinie panował upał jak w cieplarni. O'Malley obiecywał sobie, że gdy tylko wróci na fregatę, natychmiast pójdzie pod prysznic.

–Poszukiwania na głębokości dwustu siedemdziesięciu, sir – odezwał się podoficer. Jemu też dokuczał upał, mimo że miał ze sobą dwa kartoniki zimnego napoju. – Coś jest, sir... chyba kontakt na współrzędnych jeden-osiem-pięć.

–Kopuła w górę! Romeo, mamy kontakt po południowej stronie. Lecimy tam.

–Młot, nie potwierdzamy niczyjej obecności w twojej okolicy. Bravo i Topór też pracują nad kontaktem. Wystrzelili dwie torpedy, ale bez rezultatu.

Nikt nie twierdził, że to jest proste – pomyślał pilot.

Przesunął maszynę o trzy tysiące metrów i ponownie zanurzył sonar.

–Kontakt, teraz już naprawdę. Typ dwusilnikowy.

Współrzędne: jeden-osiem-trzy.

O'Malley sprawdził stan paliwa. Czterdzieści minut. Musi się pospieszyć. Poleciał wyciągnąć kopułę i przemieścił śmigłowiec o kolejne trzy tysiące metrów na południe. Pasy

bezpieczeństwa boleśnie wpijały mu się w ramiona. Wydawało się, że opuszczanie sonaru trwa całą wieczność.

–Znowu, sir. Na północ od nas. Współrzędne: zero-jeden-trzy. Pozycja zmienna... teraz zero-jeden-pięć.

–Wprowadź w komputer.

Paliwa miał na pół godziny. Czas pracował na korzyść przeciwnika. Ralston uruchomił główną wyrzutnię i wybrał program poszukiwania.

–Willy, aktywnym!

Sonar wysłał pięć impulsów.

–Zero-jeden-dziewięć. Odległość: trzysta!

Ralston wprowadził w komputer polecenie poszukiwań głębinowych i wzór kursu torpedy. O'Malley wystrzelił pocisk.

Kiedy torpeda opadła na głębokość dwustu siedemdziesięciu metrów, zaczęła penetrację. Okręt podwodny, jak spięty ostrogą, ruszył pełną parą i skręcił w lewo, oddalając się od helikoptera. O'Malley skarcił się w duchu, że zrzucił pocisk pod niewłaściwym kątem, ale dokładne programowanie zajęłoby zbyt wiele czasu. Trzymał helikopter nieruchomo nad wodą i wsłuchiwał się w skowyt silników torpedy wabionej głębokim dudnieniem dwóch potężnych śrub charlie'ego. Podwodny okręt atomowy manewrował jak oszalały. Próbował nawet zwrotu w stronę nacierającej torpedy.

–Są na tych samych współrzędnych – poinformował Willy. – Myślę, że dostanie ją... trafienie!

Ale charlie nie zginął. Usłyszeli hałas przetłaczanego powietrza, lecz ten szybko ucichł. Przy akompaniamencie wścieklej kakofonii mechanicznych dźwięków okręt oddalał się na północ. Potem jednostka podwodna zwolniła i wszystko umilkło. O'Malley nie miał już paliwa, by prowadzić dalszy pościg. Ruszył na zachód, w stronę "Reubena Jamesa".

–Młot, tu Romeo, co się stało?

–Trafiliśmy, ale przetrwał. Bądź w gotowości, Borneo, wracamy na oparach paliwa. Mamy go jeszcze na pięć minut.

–Przyjąłem. Czekamy. Skierujemy na charlie'ego inny helikopter. Ty dołączysz do Topora.

–Jak to się stało, że nie został zniszczony? – zapytał Ralston.

–Prawie wszystkie rosyjskie okręty podwodne mają podwójne kadłuby i tak urocza pięćdziesięciokilogramowa głowica jak mark-46 jest często zbyt słaba, by zniszczyć jednostkę. Jeśli zaatakujesz od rufy, zniszczysz, ale w tym przypadku nie mogliśmy tego zrobić. Jeśli trafisz w rufę, rozbijasz uszczelniacze wałów i woda zalewa maszynownię.

Taki strzał rozwali każdy okręt podwodny. Nie uczyli cię w szkole, że zawsze należy celować w tył?

–Niespecjalnie.

–Mądrale – warknął O'Malley.

Miło było po czterech godzinach znów ujrzeć "Reubena Jamesa". A jeszcze lepiej byłoby znaleźć się już w kwaterze oficerskiej – pomyślał z żalem pilot. Zatrzymał seahawka nad lewym skrajem rufy fregaty i poruszał się równolegle z okrętem. Siedzący z tyłu Willy otworzył przesuwane drzwi i zrzucił linkę pomocniczą. Załoga fregaty przymocowała do niej końcówkę węża do tankowania, a podoficer wciągnął ją, po czym wetknął w otwór zbiornika. Procedura ta nosiła nazwę tankowania helikoptera w locie.

Podczas gdy O'Malley walczył z wirami powietrznymi powodowanymi ruchem okrętu, do zbiorników maszyny płynęła benzyna. Dzięki temu systemowi śmigłowiec mógł pozostać w powietrzu kolejne cztery godziny. Ralston w tym czasie doglądał wskaźników paliwa, a O'Malley pilotował.

–Baki pełne, Willy.

Podoficer opuścił szlauch i wciągnął linkę z powrotem.

Z ulgą zatrzasnął drzwi śmigłowca, a następnie przypiął się pasami. Wyżsi oficerowie stworzeni są do wyższych rzeczy niż te, które ja robię – pomyślał.

–Bravo, tu Młot. Dokąd mamy lecieć?

–Młot, tu Bravo, leć prosto kursem jeden-trzy-zero.

Osiem mil stąd czeka Topór.

–Lecę – O'Malley okrążył fregatę i ruszył na południowy wschód.

–Młot, tu Romeo. Sea sprite z "Simensa" wykończył

twojego charlie'ego. Dowódca eskorty przesłał nam przez radio słowa: "dobra robota".

–Przekaż dowódcy moje uszanowanie. Bravo, tu Młot.

Co teraz?

–Gdzieś tam powinien się czaić dwuśrubowy okręt podwodny, ale nie jesteśmy tego do końca pewni – włączył się do rozmowy Perrin. – Wystrzeliliśmy już trzy torpedy, lecz żadna nie znalazła celu. Tamci wypuścili w nas jedną.

Wybuchła przedwcześnie w naszym kilwaterze.

–Jak daleko od okrętu?

–Pięćdziesiąt metrów.

–No, no – mruknął pilot. – W porządku, mam już z Toporem kontakt wzrokowy. Bravo, ty prowadzisz mecz.

Dokąd mamy lecieć?

Morris w pościgu za zniszczonym charlie'em zanadto się oddalił od terenu polowania. Teraz na polecenie dowódcy fregata ruszyła pełną mocą silników i zbliżała się do "Battleaxe" z szybkością dwudziestu pięciu węzłów. Z powodu tak licznych rosyjskich okrętów podwodnych konwój zбочył nieco na południe.

Seahawk O'Malleya unosił się w powietrzu w odległości siedmiu mil od "Battleaxe", Topór tymczasem wrócił na fregatę po paliwo i nowy zapas pław sonarowych. Znów trwał proces zanurzania sonaru.

–Nic – poinformował Willy.

–Bravo, tu Młot, czy możesz mi dokładnie powiedzieć, co robi cel?

–Dwukrotnie prawie przyskrzyniliśmy go nad interkliną. Generalnie utrzymuje kurs południowy.

–Jeśli sądzić na podstawie dźwięków, jest to chyba okręt raketowy.

–Zgadza się – włączył się Perrin. – Ostatnio mieliśmy go tysiąc metrów od twojej aktualnej pozycji. Teraz głucha cisza.** O'Malley przestudiował dane z nakresu, które nadeszły z "Battleaxe". Jak zwykle przy tropieniu jednostki

podwodnej były to wyłącznie zgadywanki, mgliste domysły, niepewne sądy i trochę szalonych przypuszczeń.

–Bravo, pływałeś na okrętach podwodnych. Co o tym myślisz?

–Młot, jedyna rzecz, która ma sens i przychodzi mi do głowy, to ta, że on jest nieprawdopodobnie szybki.

O'Malley przyjrzał się dokładniej wykresowi.

–Masz rację, Bravo.

Pilot przez dłuższą chwilę rozważał informację. Papa? – zastanowił się. – Podwójne śruby, samosterujące rakiety dalekiego zasięgu, szybki jak złodziej.

–Młot, tu Bravo, jeśli założymy, że jest tak szybki, powinniśmy ruszyć na wschód, zanim Romeo wyjdzie ze sprintu. Może wtedy zdoła podać wam jakieś namiary.

–Przyjąłem, Bravo. Wskaż wektor.

Kierowany przez "Battleaxe" seahawk oddalił się dwadzieścia mil na wschód i zaczął opuszczać sonar.

Ładunek torped Stingraj i nowych pław sonarowych oraz tankowanie paliwa zajęło Toporowi kwadran.

–Szefie, jak sądzisz, kogo gonimy? – spytał Ralston.

–Co powiesz o papie?

–Ależ Rosjanie mają tylko jeden egzemplarz tego typu – sprzeciwił się drugi pilot.

–To nie znaczy, że zamierzają oddać go do muzeum.

–Cisza, sir – poinformował Willy.

"Reuben James" zwolnił i skręcając na południe, uruchomił sonar. Gdyby "Battleaxe" nie straciła swego hydrolokatora holowanego – pomyślał smętnie Morris – moglibyśmy przeprowadzić niemiary triangulacyjny. Wtedy, dysponując dwoma helikopterami...

–Kontakt, przypuszczalnie okręt podwodny. Współrzędne: zero-osiem-jeden. Pozycja chyba się powoli zmienia... O! Teraz płynie z północy na południe.

Dane pojawiły się jednocześnie na ekranach "Battleaxe" i dowódcy okrętów eskortowych. Do polowania włączył się kolejny helikopter.

–Kopuła w dół!

To już trzydziesty siódmy raz dzisiaj – pomyślał ponuro O'Malley.

–Dupa mnie boli.

–Mnie również – roześmiał się Ralston pozbawionym wesołości śmiechem. Znow niczego nie namierzili.

–Jak to się dzieje, że jakaś rzecz może być tak nudna i tak ekscytująca zarazem? – spytał podchorąży, nieświadomie powtarzając słowa wypowiedziane kilka dni wcześniej przez pilota tomcata.

–Kopuła w górę! Wiesz, też się nad tym parę razy zastanawiałem – O'Malley włączył radio. – Bravo, tu Młot. Mam pewien pomysł.

–Słuchamy cię, Młot.

–Topór stawia pławy w linii południowej. Zróbcie tak, by ktoś ustawił je również w linii zachodniej. Ja zacznę wysyłać impulsy. Być może wtedy ten cwaniaczek wykona jakiś ruch. Czy gonił cię helikopter, kiedy prowadziłeś okręt?

–Nie, Młot, nie gonił. Ale mocno zszedłem z kursu, by go uniknąć. Poczekaj chwilę, zorganizuję to.

–Ten skurwiel ma nerwy ze stali. Choć dobrze wie, że siedzimy mu na karku, wcale nie zamierza pryskać. Naprawdę sądzi, że nas w końcu dopadnie.

–Myśli tak od czterech godzin, szefie – zauważył Willy.

–Wiesz, na czym polega ta cała gra? Trzeba wiedzieć, kiedy odpuścić.

O'Malley wzbil maszynę w niebo i po raz pierwszy tego dnia włączył radar przeszukujący.

Urządzenie to nie wykryłoby sterzącego z wody peryskopu, ale wysyłane przez nie impulsy mogły wystraszyć przebywającą blisko powierzchni jednostkę podwodną, a tym samym zmusić ją do wejścia pod interklinę. Słońce chowało się już za horyzont i tylko światła pozycyjne wskazywały O'Malleyowi miejsce, w którym znajdowały się dwa pozostałe, biorące udział w polowaniu helikoptery. Śmigłowce ustawiły już pod kątem prostym dwie ośmiomilowe linie pław sonarowych.

–Młot, linie pikiet założone – oznajmił kapitan Perrin.

–Zaczynaj.

–Willy, aktywnym!

Dwieście metrów poniżej helikoptera przetwornik sonaru zaczął chłostać przestrzeń wodną impulsami wysokiej częstotliwości. Urządzenie pracowało minutę. Potem podoficer wyciągnął je z wody i maszyna przeniosła się dalej na południowy wschód. Wszystko trwało pół godziny.

O'Malleyowi mocno już ścierpły nogi, co znacznie utrudniało mu ruchy.

–Zaczekam chwilę – powiedział, zdjął stopy z pedałów i zaczął poruszać palcami, by przywrócić w nogach krążenie.

–Młot, tu Bravo, mamy kontakt. Pława sześć na linii echa – był to ciąg pław biegnących ze wschodu na zachód.

Pława szósta zajmowała trzecie miejsce od strony zachodniej, gdzie zaczynała się November – linia północ-południe.

–Tym razem sygnał jest słaby.

O'Malley skierował helikopter na zachód. Tam pozostałe dwa śmigłowce krążyły nad postawionymi przez siebie hydrolokatorami.

–Ostrożnie, ostrożnie – mruknął w interkom. – Znadto go nie wystraszymy.

Starannie wybrał tor lotu. Ani razu nie naleciał bezpośrednio nad kontakt, ale też i nie oddalał się zbyt od celu.

Minęło kolejne pół minuty. Każda sekunda wlokła się jak ślimak. W końcu namierzyli przeciwnika. Posuwał się na wschód z szybkością około dziesięciu węzłów i płynął głęboko pod interkliną.

–Mamy go już na trzech pławach – poinformował Perrin. – Topór leci na pozycję.

O'Malley obserwował błyskające czerwone światelka oddalone o jakieś trzy mile. Śmigłowiec z "Battleaxe" zrzucił dwie kierunkowe pławy sonarowe DIFAR i czekał.

Na ekranie O'Malleya pokazał się obraz. Cel przepłynął właśnie dokładnie między DIFAR-ami.

–Torpeda poszła! – wykrzyknął Topór.

Pomalowany na czarno stingray spadł do wody pół mili

przed zbliżającym się okrętem podwodnym. O'Malley przesunął lekko maszynę w tamtą stronę, zawisł nieruchomo w powietrzu i zrzucił własną pławę. Zaczął nasłuchiwać.

Stingray, podobnie jak amerykańskie marki-48, nie posiadał konwencjonalnego napędu, co powodowało, że był trudny do zlokalizowania zarówno przez sonar O'Malleya, jak i przez hydrolokator okrętu podwodnego. Nagle usłyszeli dźwięki kawitacyjne. Okręt podwodny włączył silniki na pełne obroty i skręcił. Potem dobiegły trzaski kadłuba.

Jednostka, by ująć ścigającej ją torpedzie, gwałtownie zmieniała głębokość. Na końcu rozległa się detonacja głowicy bojowej.

–Trafiony! – zameldował Topór.

–Kopuła w dół!

Willy po raz ostatni spuścił przetwornik. Okręt podwodny wychodził na powierzchnię.

–Znowu? – zdumiał się Ralston. – To już drugi dzisiaj.

–Odległość: czterysta. Współrzędne: jeden-sześć-trzy.

Idzie w górę.

–Poszukiwania po okręgach. Pierwsza głębokość: trzydzieści.

–Wprowadzone – odparł Ralston.

O'Malley znów wystrzelił torpedę.

–Kopuła w górę. Bravo, pierwsze trafienie nie zniszczyło celu, zrzuciliśmy kolejny pocisk.

–Może po prostu chce wyjść na powierzchnię, by uratować załogę – odezwał się Ralston.

–Może też chce wystrzelić rakiety. Powinien uciekać.

Ja bym tak właśnie zrobił.

Drugi cios dokończył dzieła. O'Malley poleciał prosto na "Reubena Jamesa". Pozwolił Ralstonowi posadzić maszynę na lądowisku. Kiedy tylko umocowano i zabezpieczono łańcuchami koła śmigłowca, wysiadł z kabiny. Morris spotkał go w przejściu między hangarami. – Wyśmienita robota, Jerry.**

–Dzięki, szefie – O'Malley, który zostawił hełmofon

w helikopterze, miał przepecone, skołtunione włosy, a oczy piekły go od ściekającego godzinami potu. – ^ Chciałbym omówić parę spraw.

–Mógłbym najpierw wziąć prysznic i zmienić ubranie, szefie?

O'Malley minął mesę i udał się do swojej kabiny. Po niecałej minucie stał już pod prysznicem.

–Ile litrów wypacasz w taki dzień jak dzisiaj? – spytał Morris.

–Dużo – przyznał pilot, odkręcając kurek. Z góry chlusnął strumień zimnej wody. – Wiesz, od dziesięciu lat twierdzę, że te czterdziestki szóstki powinny mieć większe główce. Może teraz te dupki od broni posłuchają moich rad.

–No dobrze. Co to było?

–Gdyby chodziło o zakład, postawiłbym na papę.

Chłopcy z hydrolokacji wykonali kawał solidnej roboty.

Sterowali nas idealnie – dodał gorącej wody i po minucie wynurzył się z kabiny. Znowu wyglądał i czuł się jak człowiek.

–Dowódca zarekomendował cię do krzyża oficerskiego Distinguished Flying Cross. To już twój trzeci, tak?

O'Malley zastanawiał się chwilę. Tamte dwa otrzymał za ratowanie ludzi; ten ma dostać za zabijanie.

–Kiedy znów będziesz mógł wystartować?

–Przyszły tydzień ci odpowiada?

–Ubieraj się. Porozmawiamy w mesie.

Pilot zaczesał włosy i nałożył świeże ubranie. Przypomnił sobie, że żona radziła mu używać zasyпки dziecięcej, która chroniła skórę przed podrażnieniem przez pot i szorstkie ubranie. Był jednak na tyle głupi, by z brawurą lotnika wyśmiać jej dobre rady. Teraz mimo kąpieli w wielu miejscach ciała czuł swędzenie i piekący ból. Gdy wszedł do mesy, Morris czekał już na niego z dzbankiem lodowato zimnego soku owocowego.

–Masz na koncie jeden okręt o napędzie klasycznym i dwa raketowe. Jaką demonstrują taktykę? Jest w niej coś charakterystycznego?

–Są strasznie agresywne. Ten. papa mógł się spokojnie

wymknąć. Charlie chytrze kluczył, ale też był napalony – O'Malley wypił pierwszą szklankę napoju. – Masz rację, idą na całego.

–Dużo agresywniej niż myślałem. Podejmują próby, na jakie normalnie nigdy by się nie zdecydowali. Czy to coś nam mówi?

–Mówi, że mamy przed sobą dwa kolejne, pracowite dni. Przepraszam kapitanie, ale jestem zbyt zmęczony, by myśleć.

–Odpocznij.

UCIECZKA POKRZYWDZONYCH

Stendal, Niemiecka Republika Demokratyczna Druga nad ranem. Mimo wszelkich sprzeciwów

Aleksiejewa atak miał się rozpocząć za cztery godziny. Generał ślęczał nad mapą z naniesionymi na nią pozycjami jednostek radzieckich i oddziałów wroga; te ostatnie dane pochodziły z wywiadu.

–Głowa do góry, Pasza – powiedział głównodowodzący Zachodnim Teatrem Wojny. – Wiem, twoim zdaniem zużywamy zbyt wiele paliwa. Ale to niszczy i ich zapasy.

–Mogą je uzupełnić.

–Nonsens. Jak donosi nasz wywiad, ich konwoje poniosły ciężkie straty. Obecnie zbliża się jedna ogromna flotylla, ale marynarka twierdzi, że posłała przeciw niej wszystko, czym dysponuje. Tak czy siak, amerykańskie okręty będą mocno spóźnione.

Aleksiejew wmawiał w siebie, że przełożony ma rację.

Ostatecznie stanowisko to sprawował tylko dlatego, że udało mu się zrobić błyskotliwą karierę. Niemniej...

–A gdzie widzicie mnie podczas bitwy?

–W punkcie dowodzenia grupami operacyjno-manewrowymi. Bliżej frontu nie podchodźcie.

Punkt dowodzenia grupami operacyjno-manewrowymi – pomyślał ironicznie Paweł. Najpierw grupą operacyjno-manewrową miała być 20. Gwardyjska Dywizja Człogów, potem formacja złożona z dwóch dywizji, a następnie z trzech. Z każdą kolejną, nieudaną próbą przełomu określenie "grupa operacyjno-manewrowa" nabierało coraz bardziej szyderczego sensu. Powrócił pesymizm. Trzymane w odwodzie formacje rezerwowe, które miały wkroczyć do

akcji natychmiast po przełamaniu frontu, znajdowały się zbyt daleko. Zajęcie odpowiednich pozycji pochłonęłoby parę godzin, a Pakt Atlantycki, jak już się tego generał nauczył, wykazywał niesamowitą umiejętność reagowania na takie nagłe przełomy dokonywane przez Rosjan. Aleksiejew przestał o tym myśleć i opuścił centrum dowodzenia.

Przywołał Siergietowa, razem odnaleźli helikopter, który miał zabrać ich na zachód. Towarzyszyła im eskorta myśliwców.

Oficerowie kontroli powietrznej NATO dawno już spostrzegli, że Rosjanie mają zwyczaj dawać pojedynczym helikopterom startującym ze Stendal eskortę myśliwską.

Nigdy jednak nie dysponowali odpowiednią jednostką, by wiedzę tę wykorzystać.

Tym razem było inaczej. Samolot radarowy AWACS odbywający patrol nad Renem namierzył startujący w towarzystwie trzech migów helikopter. Kontroler sektora miał akurat do dyspozycji dwa myśliwce F-4 Phantom, które powróciły po wykonaniu misji na południe od Berlina.

Natychmiast więc skierował je na północ.

Samoloty z wyłączonymi radarami -mknęły tuż nad czubkami drzew korytarzem powietrznym używanym przez Rosjan.

Aleksiejew i Siergietow siedzieli sami w tylnym przedziale helikoptera bojowego Mi-24. W maszynie było miejsce dla ośmiu żołnierzy, toteż dwaj mężczyźni mogli swobodnie wyciągnąć nogi. Siergietow drzemał. Tysiąc metrów nad ich głowami krążyła eskorta migów, wypatrując lecących na niskim pułapie myśliwców NATO.

–Dziesięć kilometrów – poinformował technik z samolotu AWACS.

Jeden z phantomów wzbił się w górę i wystrzelił w stronę migów dwie rakiety Sparrow. Drugi odpalił dwa sidewindery w śmigłowiec. 15 – Czerwony sztorm t. II

Piloci migów patrzyli akurat w przeciwnym kierunku, kiedy na tablicach rozdzielczych ich maszyn zapłonęły ostrzegawcze światła. Pierwszy rosyjski myśliwiec błyskawicznie znurkował, unikając amerykańskiej rakiety. Drugi eksplodował w powietrzu. Ten, który przetrwał, natychmiast przesłał przez radio ostrzeżenie. Aleksiejew, oślepiony nagłym rozbłyskiem nad głową, zamrugał oczyma i sięgnął do pasów bezpieczeństwa. W tej samej chwili helikopter skręcił gwałtownie w lewo i zaczął spadać niczym kamień. Był tuż nad wierzchołkami drzew, kiedy sidewinder trafił go w tylny rotor. Rozbudzony Siergietow krzyknął ze strachu i zdumienia. Mi-24 zawirował w powietrzu, runął na drzewa i już po gałęziach stoczył się ostatnich kilkanaście metrów na ziemię.

Główne śmigło eksplodowało, rozpadło się na setki mknących we wszystkie strony kawałków. Przesuwane drzwi po lewej stronie maszyny pękły, jakby zrobione były z plastiku.

Aleksiejew, wlokąc za sobą Siergietowa, natychmiast wyskoczył na zewnątrz. Znow instykt uratował mu życie. Oficerowie oddalili się zaledwie dwadzieścia metrów od maszyny, kiedy detonowały zbiorniki z paliwem. Ani Aleksiejew, ani Siergietow nie dostrzegli i nie dosłyszeli phantomów^ które wracały właśnie bezpiecznie do domu, na zachód.

–Jesteś ranny, Wania? – spytał generał.

–Nawet się nie zeszczalem w gacie. A to znaczy, że jestem zahartowanym weteranem. – Żart nie wyszedł.

Głos majora drżał równie silnie jak ręce. – Gdzie my, do diabła, jesteśmy?

–Doskonale pytanie.

Aleksiejew rozejrzał się. Miał nadzieję, że ujrzy jakieś światła, ale w całej okolicy obowiązywało zaciemnienie, gdyż sowieckie jednostki w sposób nader przykry dowiedziały się już, co znaczy podróżować szosą na światłach.

–Musimy dotrzeć do jakiejś drogi. Chodźmy na południe. Na pewno jakąś znajdziemy.

–A gdzie jest południe?

–Naprzeciwko północy. Tam jest północ – generał wskazał gwiazdę, po czym odwrócił się i poszukał innej. – Ta zaprowadzi nas na południe.

Siewieromorsk, RSFRR Admirał Jurij Nowikow obserwował przebieg wypadków ze swej umieszczonej pod ziemią kwatery, oddalonej kilka kilometrów od głównej bazy morskiej.

Wstrząsnęła nim wiadomość o utracie podstawowej broni dalekiego zasięgu – bombowców Backfire – ale reakcja Politbiura na atak raketowy stanowiła dla niego jeszcze większy szok. Wydawało się, iż politycy doszli do wniosku, że należy liczyć się z możliwością ataku pociskami balistycznymi i żadne argumenty nie trafiały im do przekonania. Jakby Amerykanie chcieli narazić na ryzyko swe drogocenne okręty podwodne uzbrojone w ten typ pocisków i przysyłali je na tak strzeżone wody! – parsknął admirał. Miał do czynienia z uderzeniem okrętów szybkiego reagowania – tego był pewien – co zmusiło go do wysłania w pościg połowy swych jednostek.

A w tych okolicach nie dysponował zbyt wielką ich liczbą.

Jak dotąd naczelny dowódca Floty Północnej odnosił same sukcesy. Operacja zajęcia Islandii przebiegła nad wyraz sprawnie. To najbardziej brawurowy atak marynarki radzieckiej w historii! Następnego dnia zniszczył grupę bojową lotniskowca – było to wielkie święto. Opracowana* przez niego taktyka atakowania konwojów połączonymi siłami jednostek podwodnych i uzbrojonych w rakiety bombowców sprawdziła się w praktyce znakomicie; zwłaszcza kiedy w pierwszej kolejności polecił bombowcom niszczyć eskortę. Straty floty podwodnej były ciężkie, ale tego się akurat spodziewał. Wszak NATO od lat doskonaliło swoją technikę zwalczania jednostek podwodnych. Jakież straty musiały być. Nowikow przyznawał przed samym sobą, że popełniał błędy. Powinien dużo wcześniej przystąpić do systematycznej likwidacji okrętów eskortowych. Moskwa jednak życzyła* sobie jak największej liczby zniszczonych statków handlowych i admirał nie miał innego wyjścia, jak przychylić się do tej "prośby". Teraz sytuacja się zmieniła. Nieoczekiwana utrata backfire'ów – zostały wyłączone z akcji co najmniej na pięć dni**

–zmusiła go do pchnięcia przeciw konwojom formacji podwodnych, których przeznaczeniem była walka z lotniskowcami. Znaczyło to, że jednostki radzieckie, forsując barierę utworzoną przez okręty podwodne Paktu Atlantyckiego, ponosiły ciężkie straty. Znajdujące się w jego dyspozycji samoloty rekonesansowe Bear też zostały mocno przetrzebione. A przecież według założeń ta przekłeta wojna powinna się być już dawno zakończyć – pomyślał ze złością. Dysponował potężną flotą nawodną, czekającą tylko, by przerzucić na Islandię kolejny kontyngent wojsk. Nie mógł tego uczynić do chwili zakończenia kampanii niemieckiej. Przypomnił sobie starą prawdę, że plany batalii żyją tylko do chwili pierwszego zetknięcia z wrogiem.

–Towarzyszu admirale, nadeszły zdjęcia satelitarne – adiutant wręczył mu pudełko ze skóry.

Parę minut później pojawił się szef wywiadu marynarki w towarzystwie specjalisty do spraw interpretacji materiału fotograficznego.

Zdjęcia rozłożono na stole.

–Aha, tu mamy problem – stwierdził ekspert.

Nowikow wiedział o tym i bez specjalisty. Pirsy w Little Greek w Wirginii były puste. Okręty desantowe z dywizją piechoty morskiej płynęły już do Europy. Nowikow bacznie obserwował zdążającą do Norfolk Flotę Pacyfiku. Potem oba satelity zostały zniszczone, a polecenie wystrzelenia trzeciego – cofnięte.

Kolejne zdjęcie przedstawiało puste przystanie dla lotniskowców.

–"Nimitz" wciąż stoi w Southampton – odezwał się szef wywiadu. – Do portu dotarł potężnie przechylony i nie mają na tyle dużego suchego doku, by pomieścić tak wielką jednostkę. Zaczumowany został w doku oceanicznym.

Nigdzie się nie wybiera. To daje Amerykanom trzy lotniskowce: "Coral Sea", "America" i "Independence". "Saratoga" została przydzielona do konwojów. Reszta Floty Atlantyckiej znajduje się na Oceanie Indyjskim.

Nowikow chrząknął. Była to bardzo niepomyślna wiadomość dla jednostek na Oceanie Indyjskim. Ale ponieważ wchodziły one w skład radzieckiej Floty Pacyfiku, nie był to problem admirała. Nowikow miał dosyć własnych kłopotów. Po raz pierwszy w tej wojnie zetknął się z tym, że miał więcej zadań niż okrętów. Wysłanie połowy jednostek do zwalczania sił podwodnych za okrętami, które i tak się wycofywały, sprawy nie poprawiło.

Northwood, Anglia – Znów się spotykamy, admirale – powiedział Toland.

Beattie wyglądał dużo lepiej. Jego niebieskie oczy błyszczały, a kiedy stanął ze złożonymi na piersiach rękami przed zajmującą całą ścianę mapą, plecy miał proste.

–Jak sprawy w Szkocji, komandorze?

–Dobrze, sir. Ostatnie dwa naloty im nie wyszły. Czy mogę spytać co z "Operacją Doolittle"? Jednym z tamtych okrętów dowodzi mój przyjaciel.

Beattie odwrócił się.

–Którym?

–"Chicago", sir. Dan McCafferty.

–No tak. Wygląda na to, że jeden z okrętów został uszkodzony. Eskortuje go właśnie "Chicago" i jeszcze jakaś jednostka. Narobili rabanu w całej wschodniej części Morza Barentsa. Mamy informacje, iż Sowieci wysłali za nimi potężne siły. Pan w każdym razie wraca na swoje lotniskowce. Proszę odbyć naradę z moimi ludźmi z wywiadu. Poinformują pana o najnowszych wydarzeniach.

Pragnę też osobiście podziękować panu za ów teleks o tropieniu backfire'ów aż do ich baz. Był to wspaniały pomysł. Jak zrozumiałem, jest pan rezerwistą. Na Boga, jak mogli pana wypuścić?

–Pewnego razu wprowadziłem niszczyciel na mieliznę.

–Rozumiem. No, ale już pan odpokutował swój grzech, komandorze.

Beattie podał mu rękę.

Wachtersleben, Niemiecka Republika Demokratyczna – Zatrzymaj tę przekłętą ciężarówkę! – wrzasnął Aleksiejew.

Stał na środku drogi, ryzykując tym, że pojazd go przejedzie.

Kiedy maszyna przystanęła, generał podbiegł do szoferki.

–Kim, do cholery, jesteście? – spytał kapral.

–Jestem generał-pułkownik Aleksiejew – odpowiedział grzecznie Pasza. – A wy kim jesteście, towarzyszu?

–Kapral Władimir Iwanicz Mariakin – wydukał żołnierz, widząc dystynkcje generalskie.

–Kapralu, proszę zawieźć mnie i mego adiutanta do najbliższego punktu kontroli drogowej. Najszybciej jak możecie. Ruszajmy!

Aleksiejew i Siergietow wskoczyli na zapełniony skrzyniami tył ciężarówki. Usiedli na wiekach.

Generał zaklął.

–Stracone trzy godziny.

–Mogło być gorzej.

Bruksela, Belgia – To poważny atak, sir. Ruszą frontem szerokim na osiemdziesiąt kilometrów.

Naczelnny dowódca wojsk sprzymierzonych w Europie popatrzył beznamiętnie na mapę. Wcale go to nie zaskoczyło.

Wywiad, analizując ruchy radzieckich wojsk, przewidział to już dwanaście godzin wcześniej. Generał dysponował w tym sektorze dokładnie czterema brygadami. Dzięki Bogu, że przekonałem Niemców o konieczności skrócenia frontu pod Hanowerem – pomyślał. Połowa jego rezerw pochodziła właśnie stamtąd. Nadeszły w samą porę.

–Główna oś ataku? – spytał generał oficera operacyjnego.

–W tej chwili trudno to określić. Zamierzają pewnie mocno uderzyć... -... uderzyć na całej linii i znaleźć nasze słabe punkty – wpadł mu w słowo dowódca wojsk sprzymierzonych. – Co z ich siłami rezerwowymi?

–Trzy dywizje zlokalizowaliśmy tutaj, na południe od Fólziehausen, sir. To chyba jednostki kategorii A-. Wiele jednak wskazuje na to, że atak przeprowadzą głównie jednostkami kategorii B.

–Czyżbyśmy zadali im aż takie straty? – zadumał się generał.

Pytanie czysto retoryczne. Oficerowie wywiadu ciężko pracowali nad oceną strat przeciwnika. Dzięki temu dowódca mógł każdego wieczoru mieć na biurku aktualny raport.

Oddziały rezerwowe kategorii B zaczęły przybywać na front pięć dni temu i stanowiły zagadkę. Generał wiedział, że Rosjanie posiadają na południowej Ukrainie co najmniej sześć rezerwowych formacji kategorii A. Nic jednak nie wskazywało, by miały być przerzucone do Niemiec. Dlaczego? Dlaczego zamiast nich posyłają w bój rezerwistów?

To pytanie zadawał sobie już od paru dni. Szef jego wywiadu wzruszył tylko ramionami. Nie mam powodu do narzekań – przekonywał się generał. – Tamte dwie armie przerwałyby front natychmiast.

–Gdzie najlepiej przeprowadzić kontratak?

–Sir, w Springe mamy dwie niemieckie brygady czołgów. Dziesięć kilometrów od nich Rosjanie trzymają dwie rezerwowe dywizje piechoty zmotoryzowanej. Wprawdzie Niemcy dwa dni temu zeszli z pola walki i nie w pełni jeszcze wypoczęli, ale...

–W porządku – przerwał oficerowi dowódca. – Proszę ich tam posłać.

USS "Reuben James" O'Malley, który cały ranek tropił coś, czego chyba w ogóle nie było, krążył teraz nad fregatą. W ciągu ostatnich trzech godzin rosyjskie okręty podwodne zatopiły trzy statki handlowe; dwa za pomocą rakiet, które przedarły się przez zaporowy ogień SAM-ów i jeden przy użyciu torpedy. Obu Rosjan zniszczono. Tego, który dostał się już do środka konwoju, zapisał sobie na konto śmigłowiec z "Gallery". Flotylla wchodziła już w zasięg stacjonującego

na kontynencie europejskim lotnictwa i w przekonaniu O'Malleya ta bitwa została wygrana.

Konwój poniósł stosunkowo niewielkie straty, a do końca podróży brakowało jeszcze trzydziestu sześciu godzin.

Łądowanie było kwestią rutyny, toteż pilot wkrótce ruszył do mesy, by się czegoś napić i zjeść kilka kanapek.

Czekał tam już Calloway. O'Malley znał go tylko z widzenia, dotychczas nie zamienił jeszcze z dziennikarzem ani słowa.

–Czy lądowanie na tym lilipucim okręciku jest tak niebezpieczne, jak na to wygląda?

–Na lotniskowcu pokład jest odrobinę większy. Nie pisze pan chyba o mnie reportażu?

–A czemu nie? Wczoraj zniszczył pan trzy okręty podwodne.

O'Malley potrząsnął głową.

–Dwie fregaty, dwa helikoptery plus posiłki z innych jednostek eskortowych. Leciałem tam, gdzie mnie skierowano. W takich łowach bierze udział wiele osób. Każda musi dać z siebie wszystko. W przeciwnym razie wygrywają ci inni chłopcy.

–Tak jak zeszłej nocy?

–Czasem i im się udaje. Właśnie spędziłem cztery godziny nad wodą i wróciłem z niczym. Może coś tam było, a może nie. Wczoraj po prostu dopisało mi szczęście.

–Czy nie dręczy pana to, że zatapia pan tylu ludzi? – spytał Calloway.

–Proszę pana, służę w marynarce siedemnaście lat i nie spotkałem człowieka, którego bawiłoby zabijanie bliźnich.

Nawet tak tego nie nazywamy, chyba że po pijanemu.

Zatapiamy okręty i mówimy, że to wyłącznie okręty; martwe przedmioty bez ludzi na pokładzie. Nie jest to uczciwe, ale tak właśnie robimy. Do licha, po raz pierwszy w życiu naprawdę wykonuję zawód, do którego zostałem przyuczony. Dotąd moim zajęciem były wyprawy ratunkowe. Aż do wczoraj nie zrzuciłem ani jednej prawdziwej torpedy na prawdziwy okręt podwodny. Nie zastanawiałem się jeszcze nad tym, czy mi się to podoba, czy nie... – urwał.

–To paskudny dźwięk – podjął po chwili. – Słyszysz

pan syk uchodzącego powietrza. Podobnie jeśli przebiję się kadłub na dużej głębokości, nagła zmiana ciśnienia wewnątrz okrętu powoduje samozapłon i ludzie się palą. Nie wiem, czy to prawda, ale tak mi ktoś kiedyś opowiadał. Tak czy owak, słyszysz pan syk powietrza, potem straszny pisk – jakby opon przy gwałtownym hamowaniu. To puszczają grodzie. Następnie

dźwięk rozdzieranego kadłuba, głuchy huk... coś w tym rodzaju. I koniec. Setka ludzi nie żyje.

Nie. Niespecjalnie to lubię.

Do licha, a jednak jest to w jakiś sposób ekscytujące – ciągnął dalej O'Malley. – Robi pan coś niebywale skomplikowanego. Wymaga to koncentracji, wprawy i masy abstrakcyjnego myślenia. Trzeba wejść w skórę tych drugich, a jednocześnie myśleć po swojemu o zniszczeniu martwego tworu, jakim jest obcy okręt podwodny. Niewiele to ma sensu, prawda? Słowem, nie zastanawiam się nad tymi aspektami swojej pracy. W przeciwnym razie nie wykonałbym roboty.

–Czy wygramy?

–To już zależy od chłopców na lądzie. My ich tylko wspieramy. Po to są te konwoje.

Folziehausen, Republika Federalna Niemiec – Powiedziano mi, że nie żyjecie – odezwał się Bieriegowoj.

–Tym razem nie spadł mi nawet włos z głowy. Tylko Wania sobie nie pospał. Co z atakiem?

–Pierwsze doniesienia są obiecujące. Tutaj wdarliśmy się sześć kilometrów w głąb terytorium przeciwnika i prawie tyle samo w Springe. Jutro być może otoczymy Hanower.

Aleksiejew zastanawiał się chwilę, czy jego przełożony miał rację. Może faktycznie linie NATO są już tak słabe, że przeciwnik musi oddawać teren.

–Towarzyszu generale – pojawił się oficer wywiadu armii. – Otrzymałem meldunek o niemieckich czołgach w Eldagsen.

–Gdzie, do diabła, jest to Eldagsen? – Bieriegowoj

popatrzył na mapę. – Toż to dziesięć kilometrów za linią frontu! Zweryfikujcie, proszę, ten meldunek!

Pod nogami zatrzęsła im się ziemia. W sekundę później ogłuszył ich ryk silników odrzutowych i huk wyrzutni rakiet.

–Trafili w radiostację! – poinformował oficer łączności.

–Natychmiast uruchomić zastępczą! – krzyknął Aleksiejew.

–Ależ to była zastępcza! Pierwszą zniszczyli zeszłej nocy – odparł Bieriegowoj. – Montują właśnie następną.

Musimy poczekać.

–Nie – sprzeciwił się Aleksiejew. – Dowodzić będziemy w ruchu.

–W ten sposób trudno o dobrą koordynację.

–Jak będziecie martwi, tym bardziej niczego nie skoordynujecie.

USS "Chicago" Piekelnie trudno było się wyrwać. Jak w złym śnie – pomyślał McCafferty. Ale ze snu człowiek zawsze się kiedyś obudzi. W górze krążyły co najmniej trzy patrolowe maszyny Bear-F, zrzucając wokół pławy sonarowe. Były dwie fregaty klasy Krivak i sześć okrętów patrolowych Grisha. Na domiar złego przyplątał się jeszcze victor-III.

Jak dotąd "Chicago" jakoś sobie radził. W ciągu kilku ostatnich godzin tej nieprawdopodobnej zabawy zatopił victora, grisebę oraz uszkodził krivaka. Sytuacja jednak wciąż była tragiczna. Rosjanie rzucili ogromne siły i McCafferty nie był już w stanie dłużej utrzymywać ich na odległość wyciągniętego ramienia. W czasie, który poświęcił na wytopienie i zniszczenie victora9 grupy jednostek nawodnych zmniejszyły dystans do pięciu mil. Jak bokser, który walczy z pinczerem, "Chicago" miał szansę tak długo, jak długo utrzymywał przeciwnika z dala od siebie.

McCafferty całą duszą pragnął porozmawiać z Toddem Simmsem z "Bostona". Mogliby skoordynować czynności.

Podwodny telefon jednak nie działał na taką odległość, a ponadto powodował zbyt wiele hałasu. Gdyby chciał natomiast porozumieć się drogą radiową, "Boston" musiałby płynąć blisko powierzchni i wystawić nad wodę antenę.

Kapitan był pewien, że Todd zaszył się pod wodą najgłębiej, jak mógł. Amerykańska doktryna zakładała, iż każdy okręt działa samotnie. Rosjanie przeciwnie, preferowali taktykę kolektywną. McCafferty potrzebował jakichś nowych pomysłów. Zgodnie z książką "Chicago" powinien tak manewrować, by oderwać się od nieprzyjaciela. W obecnej jednak sytuacji okręt był ściśle związany z zajmowaną pozycją i nie mógł zanadto oddalać się od swych towarzyszy. Gdyby Rosjanie zorientowali się, iż jest tutaj uszkodzona jednostka, rzuciliby się na "Providence" jak zgraja wściekłych psów.

A on nie mógłby wiele zdziałać. Za łódź podwodną klasy 688 Iwan chętnie oddałby mniejszą jednostkę.

–Mamy jakieś pomysły? – spytał McCafferty pierwszego oficera.

–Co pan myśli o: "Przepromieniuj nas, Scotty"? – oficer chciał nieco rozładować napiętą atmosferę, ale mu to nie wyszło. Kapitan zapewne nie był miłośnikiem serialu Star Trek. – Jedyne, co możemy uczynić, by odciągnąć ich od naszych przyjaciół, to ściągnąć na siebie całą obławę.

–Przesunąć się bardziej na wschód i zaatakować grupę bojową z boku?

–To bardzo ryzykowne – odparł pierwszy oficer. – Ale co nie jest ryzykiem?

–Proszę więc przejąć ster. Dwie trzecie i jak najbliżej dna.

"Chicago" wykręcił na południowy wschód i zwiększył prędkość do osiemnastu węzłów. Teraz dopiero przekonamy się, co warte są nasze mapy – pomyślał McCafferty. – Czy Iwan ma tutaj jakieś pola minowe? Odepchnął tę myśl. Jeśli nawet na jakieś trafią, to dowiedzą się o tym na chwilę przed śmiercią.

Pierwszy oficer prowadził okręt na takiej głębokości, jaką wskazywała mapa, trzymając się siedemnaście metrów nad najwyższym w promieniu mili wzniesieniem dna. Gdyby

jednak natknęli się na jakiś nie oznakowany wrak, taktyka ta niewiele by pomogła. McCafferty pamiętał swoją pierwszą wyprawę na Morze Barentsa. Gdzieś w pobliżu znajdowały się owe zatopione niszczyciele, w które Rosjanie strzelali podczas ćwiczeń z ostrą amunicją. Jeśli przy szybkości osiemnastu węzłów trafią na któryś z nich...

Płynęli jeszcze czterdzieści minut.

–Jedna trzecia – polecił McCafferty, czując, że dłużej już nie wytrzyma napięcia. "Chicago" zwolnił do pięciu węzłów.

–Wyprowadzić na peryskopową – zwrócił się do oficera szasowania balastów.

Marynarze pochylili się nad instrumentami. Kiedy zmalowało zewnętrzne ciśnienie wody, rozległo się głuche tąpnięcie w kadłubie. To pancierz rozszerzył się mniej więcej o trzy centymetry. Na polecenie McCafferty'ego najpierw wysunięto maszt wykrywacza radarów. Tak jak poprzednio, urządzenie namierzyło kilka źródeł promieniowania radarowego. Potem w górę poszedł peryskop. ^ Nadchodził front atmosferyczny, a na zachodzie szalała burza. Bajecznie – pomyślał McCafferty. – Ulewa pochłonie dziesięć procent sygnałów naszego sonaru.

–Na dwa-sześć-cztery maszt... co to takiego?

–Na tej pozycji nie łapię żadnych sygnałów – odparł technik.

–Uszkodzony... To nasz krwak. Wykończmy go, skorośmy zaczęli. Mam... – w soczewkach mignął jakiś cień.

McCafferty przechylił instrument pod kątem i ujrzał skrzydła oraz silniki beara.

–Dowodzenie, tu hydrolokacja. Wiele pław sonarowych za rufą.

McCafferty złożył uchwyty i peryskop powędrował w dół.

–Zanurzenie. Głębokość sto trzydzieści metrów. Ster lewo i cała naprzód.

Pława tkwiła w odległości dwustu metrów od "Chicago".

Jej impulsy odbiły się spóźnionym dźwiękiem od kadłuba okrętu.

Ile czasu potrzebuje bear, by zawrócić i zaatakować torpedą? – zastanowił się McCafferty. Na polecenie kapi CZERWONY SZTORM • 237 tana wystrzelono generator szumów. Nie zadziałał. Natychmiast posłano następny. Minęła minuta. Najpierw spróbuje namacać nas detektorem anomalii magnetycznych – błysnęło w głowie McCafferty'emu.

–Proszę przewinąć taśmę.

Dyżurny elektryk był rad, że ma wreszcie coś do roboty.

Taśma wideo z nagraniem pięciominutowej obserwacji peryskopowej pokazała coś, co wyglądało jak resztki nadbudówki krwaka.

–Głębokość sto metrów. Szybkość: dwadzieścia i rośnie.

–Otrzymamy się o dno, Joe – mruknął McCafferty.

Obserwował taśmę tylko po to, by się czymś zająć.

–Torpeda z lewej burty! Współrzędne: zero-jeden-pięć.

–Ster, piętnaście stopni w prawo! Cała naprzód.

Zmienić kurs na jeden-siedem-pięć.

Torpeda została za rufą.

McCafferty zaczął rozważać sytuację taktyczną. Rosyjski pocisk do zwalczania okrętów podwodnych: czterdzieści centymetrów średnicy, szybkość około trzydziestu sześciu węzłów. Zasięg: cztery mile. Ilość paliwa na około dziewięć minut. Robimy... – podniósł wzrok -... dwadzieścia pięć węzłów. Jest za nami. Skoro więc znajduje się o milę z tyłu, pokona dystans w siedem minut. Dosięgnie nas. Ale my przyspieszamy dziesięć węzłów na minutę... Nie, nie dostanie.

–Impulsy wysokiej częstotliwości od strony rufy!

Hydrolokator torpedy.

–Ludzie, spokojnie. Nie sądzę, by trafiła w okręt.

Za to któraś z kręcących się w okolicy ruskich jednostek może nas usłyszeć – dodał w myślach.

–Sto trzydzieści. Utrzymujemy tę głębokość.

–Torpeda coraz bliżej, sir – oznajmił szef hydrolokacji.

–Impulsy brzmią trochę dziwnie. Jakby...

Z tyłu dobiegł huk eksplozji. Okrętem zakołysało." – Jedna trzecia naprzód. Ster, dziesięć stopni wyprawo.

Nowy kurs: dwa-sześć-pięć. Słyszeliście, panowie, jak rybka wyrznęła w dno. Hydrolokacja, co nowego u was?

Rosjanie postawili nową linię pław sonarowych na północ od "Chicago", ale były chyba zbyt daleko, by wykryć obecność podwodnego okrętu. Odległość od najbliższych rosyjskich jednostek nawodnych zmniejszała się. Płynęły prosto na amerykański okręt.

–W porządku, to ich odciągnie od naszych – rzekł do pierwszego oficera.

–Pierwszorzędnie.

–Podpłynmy jeszcze trochę na południe. Zobaczymy, może nas przeoczą. Wtedy pokażemy im, z kim mają do czynienia.

Islandia Jeśli tylko wyniosę z tych skał głowę – obiecywał sobie Edwards – zamieszkać w Nebrasce. Wielokrotnie przelatywał nad tym stanem. Był nęcąco nizinny i płaski. Nawet okręgi administracyjne miały tam kształt sympatycznych kwadratów. Nie to co na Islandii. Tam nie spotkaliby takich bezdroży jak tutaj.

Porucznik i jego grupa posuwali się na wysokości stu siedemdziesięciu metrów. Od ciągnącej się wzdłuż wybrzeża szutrowej drogi dzieliły ich cały czas mniej więcej trzy kilometry, za plecami mieli góry, a przed oczyma rozległy widok na okolicę. Na drodze panował niewielki ruch, lecz woleli zakładać, że każdy zaobserwowany pojazd zajęty jest przez Rosjan. Może było inaczej, ale skoro okupant zarekwirował tyle cywilnych samochodów, jak mogli odróżnić owce od wilków. Woleli wszystkich traktować jak wilki.

–Odpoczynek, sierżancie? – spytał Edwards, kiedy ze swoją grupą dołączył do Smitha. Przed nimi, w odległości ośmiuset metrów ciągnęła się droga, pierwsza, jaką spotkali od dwóch dni.

–Widzi pan tamten wierzchołek? – Smith wskazał ręką jeden ze szczytów. – Dwadzieścia minut temu wylądował na nim helikopter.

–Wybrali doskonały punkt obserwacyjny. Jak pan myśli, mogą nas stamtąd dojrzeć?

–Szesnaście kilometrów albo i więcej. To zależy, szefie.

Myślę, że pilnują morza. Jeśli jednak mają choć trochę oleju w głowie, powinni obserwować

też skały.

–Ilu ich tam jest, pana zdaniem?

–Nie mam pojęcia. Może drużyna, może pluton.

Z pewnością dysponują dobrymi lornetkami. I mają radio.

–Więc jak ich miniemy? – zaniepokoił się Edwards.

Teren wszędzie był odkryty. W zasięgu wzroku rosło niewiele krzaków.

–To rzeczywiście problem, szefie. Powinniśmy przekradać się ostrożnie, trzymać blisko ziemi i korzystać z każdej nadarżającej się osłony... ale z mapy wynika, że w promieniu siedmiu kilometrów niewiele jest miejsc, które mogą zapewnić nam taką osłonę. Nie możemy też zanadto zboczyć z drogi, bo natknijemy się na główną szosę, a tej nie przejdziemy.

Pojawił się Nichols.

–W czym problem?

Smith zreferował sprawę. Edwards sięgnął po radio.

–Zauważyliście, że są na szczycie wzgórza, tak? – spytał Brytan.

–Zgadza się.

–Do licha. Musicie dotrzeć na tamto wzgórze. Nie ma szans, by się tam dostać?

A to niespodzianka – pomyślał Edwards. – Żadnych. Powtarzam: nie ma takiej możliwości. Znam lepsze sposoby, by popełnić samobójstwo. Dajcie nam trochę czasu do namysłu. Połączymy się.

–Dobrze, czekamy.

Edwards i podoficerowie pochylili się nad mapą.

–Wszystko zależy od tego, ilu tam mają ludzi i jak są czujni – myślał na głos Nichols. – Jeśli ulokowali tam pluton, możemy się spodziewać patroli. Pytanie, jak często?

Mnie osobiście nie chciałoby się dwa razy dziennie zlaźić z tej góry i ponownie się na nią wspinać.

–A ilu ludzi ty byś tam umieścił? – spytał Smith.

–Iwan ma na Islandii całą dywizję spadochroniarzy plus siły pomocnicze. Niech to będzie w

sumie dziesięć

tysięcy ludzi. Nie mogą całej wyspy zamienić w garnizon.

Tak więc na tym czy na jakimś innym pagórku może znajdować się najwyżej pluton, a może tylko kilku obserwatorów. Na przykład artyleryjskich, coś w tym rodzaju.

Wypatrują waszego desantu. Stamtąd, z góry, ktoś z dobrą lornetką ma oko na całą leżącą po północnej stronie zatokę.

Z tyłu widok aż do Keflaviku. Wypatrują też pewnie naszych samolotów.

–Nie próbujesz przypadkiem siebie i nas uspokajać? – zapytał Smith.

–Myślę, że do tego wzgórza możemy się podkraść w miarę bezpiecznie. Potem poczekać do nocy – takiej, jaka tutaj jest – i spróbować przejść. Będą nas mieli pod słońce.

–Robił pan już takie rzeczy? – zaciekawiał się Edwards.

Nichols skinął głową.

–Na Falklandach. Byliśmy tam tydzień przed inwazją, by zbadać parę rzeczy. To samo się szykuje tutaj.

–Przez radio nic nie wspominali o inwazji.

–Poruczniku, wylądуйте tutaj wasza piechota morska.

Nikt mi wprawdzie tego otwarcie nie powiedział, ale nie przysłali nas tu po to, byśmy znaleźli odpowiednie miejsce na boisko piłkarskie, prawda?

Nichols miał około trzydziestu pięciu lat, z których blisko dwadzieścia spędził w wojsku. Był najstarszy w całej grupie i niebywale go irytowało, że musi słuchać rozkazów starszego rangą amatora. Jediną zaletą młodego meteorologa było to, że chętnie słuchał rad.

–Okay, chcieli, byśmy na tym wzgórzu założyli punkt obserwacyjny. Co pan sądzi o tym niższym wzniesieniu, na zachód od głównego wierzchołka? – r By się tam dostać, musimy nadłożyć szmat drogi. Ale oczywiście, dopóki Ruscy nie zostaną zaalarmowani, możemy się tam ulokować.

–Zgoda, kiedy już przejdziemy na drugą stronę drogi, porozmawiamy z Brytanem. Ma pan rację, sierżancie Nichols. Teraz proponuję odpoczynek. Wygląda na to, że przed nami kawał drogi.

–Do podnóża wzniesienia piętnaście kilometrów. Musimy tam być o zachodzie słońca.

Edwards popatrzył na zegarek.

–W porządku, ruszamy za godzinę.

Podszedł do Vigdis.

–I co, Michael? Co robimy dalej?

Porucznik wyjaśnił jej sytuację.

–Musimy podejść bardzo blisko do Rosjan. To może być niebezpieczne.

–Chcesz powiedzieć, żebym dalej z wami nie szła?

Powiedz tak, a zranisz jej uczucia – pomyślał Edwards.

–Powiedz nie, a... kurwa mać!

–Nie chcę, żeby znowu cię skrzywdzili.

–Zostanę z tobą, Michael. Z tobą jestem bezpieczna.

Southampton, Anglia Kilka godzin zajęło wypompowanie wody, którą uprzednio wiano do wnętrza okrętu, by upozorować jego mocny przechył. Wrażenie nieprzydatności jednostki potęgować miała jeszcze ostentacyjna, gorączkowa działalność nurków. Potężne holowniki "Catcombe" i "Vecta" przeciągnęły okręt do Solent. Pokład startowy lotniskowca został odremontowany w stoczni Yosper i tylko łąty na kadłubie noszącego dumną nazwę okrętu mówiły o pośpiechu, w jakim tych napraw dokonywano. Pracowało przy nich dwa tysiące osób. Urządzenia do przechwytywania lądujących samolotów przysłano prosto z Ameryki.

Stamtąd też nadeszła nowa aparatura elektroniczna, która zastąpiła dawną, zniszczoną przez rosyjskie rakiety. Holowniki podciągnęły jednostkę do Calshot Castle, skąd okręt, już samodzielnie, popłynął na południe, do Thorn Channel, mijając po wschodniej stronie zacumowane w Cowes jachty. W Portsmouth czekała już eskorta.

Niewielka formacja natychmiast wyruszyła w drogę.,, Zrazu na południe, a następnie na zachód, na kanał La Manche.

Na pokładzie wylądowały samoloty. Najpierw bombowce 16 – Czerwony sztorm t. II

atakujące Corsair, a następnie cięższe intrudery oraz vikingi, maszyny do tropienia okrętów podwodnych.

USS "Nimitz" wracał do służby.

USS "Chicago" -...i ognia!

Trzy godziny morderczej pracy skumulowały się w połowie sekundy. Kiedy sprężone powietrze wypchnęło w ciemne wody Morza Barentsa dwie torpedy, przez okręt przeszło znane załodze drżenie.

Radziecki kapitan zbyt palił się do tego, by potwierdzić zniszczenie "Chicago" i, zostawiwszy daleko w tyle dwie pozostałe jednostki klasy Grisha, niebacznie zbliżył się do amerykańskiego okrętu.

Wszystkie trzy jednostki penetrowały impulsami dno w poszukiwaniu zniszczonego okrętu podwodnego. Nie spodziewaliście się, że czmychniemy na południe – uśmiechnął się pod nosem McCafferty. – Może na północ, może na wschód, ale nie na południe! "Chicago" okrążył szerokim łukiem rosyjską fregatę. Pozostając cały czas tuż poza zasięgiem jej hydrolokatora, zbliżył się do niej na odległość dwóch tysięcy metrów. Jeden pocisk wystrzelił w krivaka, a drugi w najbliższy okręt patrolowy.

–Kurs i szybkość celu bez zmian, sir – torpeda mknęła w stronę radzieckiej fregaty. – Oni ciągle przeczesują wodę po przeciwnej stronie.

Na monitorze kaskad zapłonął jaskrawy punkcik na linii dźwięku celu. Jednocześnie do wnętrza okrętu dotarł grzmot eksplozji.

–Peryskop w górę! – McCafferty nachylił się nad wziernikiem i zaczął go delikatnie dostrajać. – Trafiony.

Przetrąciliśmy mu krzyże. Okay... – odwrócił instrument w kierunku grishy. – Dobrze, cel numer dwa zakręca... o cholera, włącza silniki. Zwiększa prędkość i idzie w lewo.

–Szefie, przewody torpedy przecięte.

–Ile jej zostało czasu?

–Cztery minuty, sir.

W ciągu czterech minut poruszający się z pełną prędkością grisha wydostanie się z zasięgu pocisku.

–Szlag by to, chybi. Peryskop w dół. Wynośmy się stąd.

Tym razem płyniemy na wschód. Zanurzenie sto trzydzieści metrów. Dwie trzecie naprzód. Prosto na zero-pięć-pięć.

–Najpierw był huk eksplozji. W pół sekundy później zerwał się przewód torpedy numer dwa.

McCafferty i oficer ogniowy ponownie przejrzeni nakres.

–Ma pan rację. Odciąłem ją za wcześnie. No nic – kapitan zbliżył się do stołu nakresowego. –

Gdzie pańskim zdaniem są teraz nasi przyjaciele?

–Dokładnie tu, sir. Dwadzieścia, do dwudziestu pięciu mil.

–Myślę, że podnieciliśmy Iwana w stopniu wystarczającym. Zobaczymy, czy zdołamy tam wrócić, zanim Rosjanie połapią się w sytuacji.

–Mieliśmy szczęście, kapitanie – zauważył pierwszy oficer.

–Ma pan rację. Chcę wiedzieć, gdzie są ich okręty podwodne. Victora którego dostaliśmy, po prostu przepływał obok nas. A gdzie reszta? Jednostki nawodne nie będą nas ścigać w nieskończoność.

Pewnie że nie – upewnił się w duchu McCafferty. Rosjanie do prowadzenia pościgu za okrętami podwodnymi ustanowili sektory dla poszczególnych typów jednostek. Okręty nawodne i lotnictwo miało swój rejon, a jednostki podwodne swój...

Kapitanowi błysnęło w głowie, że jednak wykonał kawał solidnej roboty. Trzy okręty patrolowe, wielka fregata i okręt podwodny stanowiły łup, którego zdobycie komuś innemu zajęłoby dobry tydzień.

Ale to jeszcze nie koniec. Wszystko skończy się, kiedy doprowadzą "Providence" do granicy pływającego lodu.

UKRYCI WŚRÓD SKAŁ

Islandia Pierwszy odcinek drogi liczył piętnaście kilometrów w linii prostej. Szlak, którym się posuwali, niewiele jednak miał wspólnego z linią prostą. Znajdowali się w terenie wulkanicznym, pełnym dużych i małych skał. Duże zapewniały osłonę i pod nimi często przystawali na odpoczynek.

Bez przerwy kluczyli, podchodzili i schodzili, skręcali to w prawo to w lewo, każdemu krokowi naprzód towarzyszył krok w innym kierunku i ostatecznie z piętnastu kilometrów zrobiło się trzydzieści.

Po raz pierwszy Edwards czuł, iż znajduje się pod nieustanną obserwacją. Jakkolwiek wierzchołek, który omijali, skryty był za granią, Rosjanie mogli mieć swoich ludzi w innych jeszcze miejscach. Może radziecki sierżant dostrzegł już ich karabiny i wojskowe plecaki, może sięgał właśnie po słuchawkę polowego radia, by wezwać helikopter z uzbrojonymi żołnierzami? Uciekinierom serca biły szybko z wysiłku. Pod wpływem strachu były jeszcze szybciej, jakby splanając procenty lichwiarzowi.

Prowadzący sierżant Nichols był bezlitosny. Choć najstarszy wiekiem w grupie, imponował Edwardsowi kondycją. Posuwać się musieli w absolutnym milczeniu, więc sierżant nie mógł pokrzykiwać na maruderów. Ale wystarczał jego pogardliwy wzrok. Jest dziesięć lat ode mnie starszy – myślał Edwards – a ja uprawiałem lekkoatletykę. Nie dam mu się.

Sierżant Nichols cały czas trzymał się z dala od prowadzącej wzdłuż wybrzeża szosy. W pewnym miejscu droga zataczała łuk wokół niewielkiej zatoczki i przed uciekinierami stanął okrutny dylemat: albo dojrzą ich radzieccy obserwatorzy ze wzgórza, albo jadący szosą Rosjanie.

Wybrali drogę. Posuwali się powoli i ostrożnie. Co piętnaście minut przystawali i badali okolicę, wypatrując zbliżających się pojazdów. Kiedy trafili wreszcie do otoczonego stromymi ścianami parowu, zachodzące po północno-zachodniej stronie słońce stało już bardzo nisko. Rozłożyli się pośród skał i odpoczywali. Czekala ich najtrudniejsza część zadania: przemknąć się tuż przed nosem radzieckich strażników.

–Miła przechadzka, prawda? – na czole sierżanta brytyjskiej piechoty morskiej nie było kropli potu.

–Próbuje pan coś udowodnić, sierżancie? – zapytał Edwards.

–Proszę mi wybaczyć, poruczniku, ale pańscy przyjaciele powiedzieli mi, że trzyma pan formę.

–Nie sądzę, żebym dostał zawału, jeśli o to panu chodzi. Co dalej?

–Należy przeczekać godzinę, aż słońce opadnie jeszcze niżej. Wtedy ruszymy. Mamy przed sobą jeszcze czternaście kilometrów. Musimy je przebyć jak najszybciej.

Jezu słodki – jęknął w duchu Edwards, ale zachował kamienną twarz.

–Jest pan pewien, że nas nie dostrzegą?

–Pewien? Wcale nie jestem pewien, poruczniku. Ale w półmroku najtrudniej coś dostrzec.

–No cóż, skoro zaprowadził nas pan już tak daleko...

Teraz zajmę się damą.

–Sam bym się nią zajął – mruknął Nichols, obserwując oddalającego się Mike'a.

–Nie mów tak, Nick – odezwał się cicho Smith.

–Daj spokój. Sam wiesz, o co mu...

–Nick, ani słowa o tej pani – ostrzegł Smith. Był zmęczony, ale nie aż tak. – Chłopie, ona przeszła piekło.

Porucznik jest dobry. Człowieku, też myślałem, że to dupek. Myliłem się. A Vigdis to fajna dziewczyna.

Islandka siedziała skulona pod skałką. Pilnował jej Rodgers, lecz na widok nadchodzącego porucznika natychmiast się oddalił.

–I jak się czujesz? – spytał Mike.

Odwróciła lekko głowę.

–Jak nieżywa, Michael. Nigdy nie byłam tak zmordowana.

–Mała, ja też. – Edwards usiadł obok niej i rozprostował nogi. Dziwił się, że mięśnie jeszcze trzymają się kości.

Zachował jednak tyle energii, by zanurzyć dłoń we włosach Vigdis. Były przepecone, ale nie robiło mu to różnicy. – Jeszcze tylko troszeczkę. W końcu sama chciałaś iść z nami dalej, prawda?

–Byłam głupia!

W jej głosie zabrzmiały nutki rozbawienia i Mike przypomniał sobie słowa ojca: "Dopóki człowiek się śmieje, nie przegrał".

–Ach, daj spokój. Lepiej wyciągnij nogi, bo ci do końca zdrętwieją. No już, prostuj je – porucznik nacisnął kolana dziewczyny i zaczął masować jej łydki. – Przydałyby się banany.

–Co? – uniosła głowę.

–Banany zawierają potas, który zapobiega skurczom mięśni.

I wapno niezbędne kobietom w ciąży – dodał w duchu.

–Co zrobimy na tym kolejnym wzgórzu?

–Poczekamy na dobrych chłopców.

–Przybędą? – jej głos lekko się zmienił.

–Mam nadzieję.

–I odleczisz z nimi?

Mikę milczał przez chwilę. Odwaga walczyła w nim z nieśmiałością. A jeśli powie...?

–Iz tobą... – zawahał się. – Jeśli naturalnie...

–Naturalnie, Michael.

Położył się obok dziewczyny. Ze zdumieniem pojął, że jej pożąda. Przestała już być ofiarą gwałtu, przestała być dziewczyną w ciąży z innym mężczyzną. Nie była kimś obcym, należącym do innego kręgu kulturowego. Jej osobowość wywierała na poruczniku kolosalne wrażenie.

Osobowość i wiele innych rzeczy, których nie potrafił określić. Ale nie potrzebował żadnych określeń.

–Miałaś rację, chyba cię kocham – mruknął i wziął ją za rękę.

USS "Chicago" – To jeden z nich, sir. Chyba "Providence". Słyszę niezwykle hałasy. Jakby uderzały o siebie metalowe przedmioty.

Od dwóch godzin tropili cel; każdy kontakt był celem.

Zbliżali się bardzo ostrożnie, aż w końcu namierzyli przypuszczalne źródło hałasu. Szalejący na górze sztorm zakłócał pracę ich- sonaru. Przeżyli długie, ciężkie chwile, zanim ustalili charakterystykę kontaktu. Czyżby była to rosyjska jednostka podwodna? Dopiero delikatny klekot uszkodzonego kiosku powiedział im, z kim mają do czynienia. McCafferty polecił zbliżyć się do celu z szybkością ośmiu węzłów.

Czy na "Providence" naprawiono już systemy hydrolokacji? Na pewno próbowali – pomyślał McCafferty.

Więc jeśli im się to udało i namierzyli skradającą się ostrożnie od tyłu jednostkę, skąd mogli wiedzieć, że to "Chicago" a nie, na przykład, okręt klasy Victor-III.

McCafferty też nie miał stuprocentowej pewności, że ma przed sobą "Providence". Dlatego właśnie amerykańskie okręty podwodne operowały samotnie. Zbyt wiele niewiadomych, by działać w grupie.

Radzieckie jednostki nawodne zostały daleko w tyle.

Taktyka ciosu i ucieczki, jaką zastosował McCafferty, kompletnie zbiła je z tropu i zanim ucił głos nagonki, Amerykanie wsłuchiwali się w odgłosy pogoni, do której włączyły się również samoloty. Obecnie "Chicago" miał już to wszystko trzydzieści mil za rufą. Kapitan był rad, że wypadki przybrały taki właśnie obrót, ale z drugiej strony brak w tej okolicy jakichkolwiek jednostek nawodnych budził w nim niepokój. Mogli trafić w rejon patrolowany przez okręty podwodne. A to był dużo groźniejszy przeciwnik. Z victorem mieli po prostu szczęście. Rosyjskiego dowódcę zbyt pochłonęło samo polowanie i przestał zwracać uwagę na otoczenie. To był błąd, ale McCafferty nie Jiczył na to, że kapitan kolejnego okrętu go powtórzy.

–Odległość? – zapytał.

–Okolo dwóch mil, sir.

Mogli już porozumieć się za pomocą gertrudy, ale kapitan wolał jeszcze zbliżyć się do "Providence". Cierpliwości – upominał się w duchu. Walka pod wodą to nieustanne ćwiczenie z cierpliwości. Przygotowujesz się całymi godzinami, by działać kilka sekund. Aż dziw, że nie mam jeszcze wrzodów żołądka.

Dwadzieścia minut później znajdowali się już tysiąc metrów od uszkodzonej "Providence". McCafferty podniósł słuchawkę starego radia.

–"Chicago" wzywa "Providence".

–Nie spieszyłeś się, Danny.

–Gdzie jest Todd?

–Już dwie godziny temu popłynął za czymś na zachód.

Straciliśmy z nim kontakt. Nie łapiemy żadnych sygnałów.

–W jakim stanie jesteście?

–Z sonaru pozostał tylko ogon. Możemy wypuszczać torpedy. W centrali ciągle nam kapie na głowy, ale dopóki nie schodzimy poniżej stu metrów, daje się wytrzymać.

–Możecie płynąć szybciej?

–Próbowaliśmy z prędkością ośmiu węzłów. Nic z tego nie wyszło. Rozpada się kiosk. A

jeszcze gorszy jest hałas.

Sześć węzłów to wszystko, na co nas stać.

–Dobrze. Skoro działa wam ogon, popłyniemy kilka mil przed wami. Dajmy na to pięć.

–Dzięki, Danny.

McCafferty odwiesił słuchawkę.

–Sonar, macie coś?

–Nic, sir.

–Dwie trzecie naprzód.

Gdzież, do licha, podział się ten cholerny "Boston"? – myślał kapitan.

–Ciekawe, że wszystko tak się nagle uspokoiło – mruknął pierwszy oficer.

–Tak, tak, uspokajaj mnie. Wiem, że zachowuję się jak paranoik, ale tak już jest, że zachowuję się jak paranoik – McCafferty'emu śmiech był bardzo potrzebny. – No dobrze. Będziemy teraz wchodzić w sprint i zwalniać.

Piętnaście minut sprintu i dziesięć dryfowania. Tak długo,

aż oddalimy się od "Providence" na odległość pięciu mil.

Wtedy ustalimy szybkość na sześć węzłów. Muszę się przespać. Proszę powiedzieć oficerom dyżurnym i szefom, że załoga również powinna odpocząć. Przeżyliśmy gorące chwile i wszystkim należy się trochę wytchnienia.

McCafferty wziął pół kanapki i ruszył do kajuty. Dzielilo go od niej zaledwie osiem kroków. Po drodze pochłonał sandwicza.

–Kapitan proszony do centrali – obudziły go słowa płynące z głośnika.

Wydawało mu się, że zaledwie przed chwilą zamknął oczy. Wychodząc z kajuty spojrzął na zegarek. Spał półtorej godziny. Dobre i to.

–Coś nowego? – spytał pierwszego oficera.

–Prawdopodobnie kontakt z okrętem podwodnym.

Z lewej burty. Dopiero co wykryliśmy jego obecność.

Pozycja zmienna, ale bardzo blisko. Brak jeszcze charakterystyki.

–"Boston"?

–Być może.

Nie chcę, by Todd zginął od mojej torpedy – stwierdził w myślach McCafferty. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie polecieć "Providence", by bez względu na czyniony hałas popłynęła najszybciej, jak może. Wiedział jednak, że to przemawia przez niego zmęczenie. Zmęczeni ludzie popełniają błędy. A przede wszystkim podejmują niewłaściwe decyzje. Danny, kapitan nie może sobie na to pozwolić – skarcił się w duchu.

"Chicago" płynął z prędkością sześciu węzłów. Przy tej szybkości nie wytwarzał prawie żadnego hałasu. Nikt nas nie usłyszy – mówił sobie kapitan. – Chyba... prawdopodobnie... Bo tak naprawdę, to nie możesz być niczego pewny.

Wszedł do przedziału hydrolokacji.

–I co pan o tym sądzi, szefie?

–Jest tam, kapitanie. Ten kontakt to istne cacko.

Proszę popatrzeć, jak pojawia się i znika. W porządku, tkwi

w tamtym miejscu, ale by go namierzyć i utrzymać na sonarze, trzeba dobrego fachowca.

–"Boston" kilka godzin temu popłynął na zachód.

–Ale mógł już wrócić, sir. Tylko Bóg wie, jak jest cichy. Może to być również poruszający się na bateriach tango. Nie mam wystarczającej ilości sygnałów, by to ustalić. Proszę mi wybaczyć, sir, ale po prostu nie wiem.

Szef sonaru potarł zaczerwienione oczy i głęboko westchnął.

–Ile potrzebuje pan czasu, by to sprecyzować?

–Też nie wiem, sir.

–Kiedy już się z tym uporamy, wyśpi się pan, szefie.

Zgłosił się oficer z grupy prowadzącej namiar.

–Obliczyliśmy wstępnie odległość, sir. Pięć tysięcy metrów. Wydaje się, że trzyma kurs wschodni. Próbujemy to uściślić.

McCafferty polecił centrali ogniowej wprowadzić dane do komputera.

–A to co znowu? – zapytał szef hydrolokacji. – Kolejny kontakt. Posuwa się za pierwszym. Współrzędne: dwa-pięć-trzy. Tropi jednostkę przed sobą.

–Musi pan koniecznie ich zidentyfikować, szefie.

–Za mało danych, kapitanie. Oba okręty się czają.

Czy jeden z nich to "Boston"? – zastanawiał się McCafferty. – Jeśli tak, to który? Jeśli ten pierwszy, to czy mamy go ostrzec, zdradzając przy tym swoją pozycję?

A może strzelać, ryzykując, że zniszczymy własną jednostkę?

A może w ogóle nic nie robić?

McCafferty podszedł do planszetu radiolokacyjnego.

–Jak daleko jest ten pierwszy od "Providence"?

–Nieco ponad cztery tysiące metrów. Zbliża się do niej z lewej burty.

–Prawdopodobnie ją namierzył – pomyślał głośno kapitan.

–Ale kim, do licha, jest? – zapytał oficer namiarów.

–I co znaczy ta sunąca za nim sierra-2?

–Ster piętnaście stopni w lewo – zarządził cicho kapitan.,

–Torpeda w wodzie. Współrzędne: dwa-cztery-dziewięć.

–Dwie trzecie naprzód – to polecenie McCafferty wydał już pełnym głosem.

–Sterownia, tu sonar, łapiemy wzmożony hałas mechaniczny ze sierry-1. Pierwszy kontakt to okręt o dwóch śrubach. Obroty wskazują, że porusza się z szybkością około dziesięciu węzłów i cały czas przyspiesza. Słychać też hałasy kawitacyjne. Sierra-1 manewruje. Klasyfikujemy cel jako okręt klasy tango.

–Ten z tyłu to "Boston". Jedna trzecia naprzód – McCafferty polecił zwolnić bieg "Chicago".

– Bierz go, Todd!

Jego życzenie spełniło się piętnaście sekund później.

Rozległ się huk eksplozji. Simms zastosował tę samą taktykę, co wcześniej McCafferty. Podszedł na odległość tysiąca metrów, uniemożliwiając tym samym celowi manewrowanie.

Kwadrans potem "Boston" dołączył do "Chicago".

–Ostatnie cztery godziny miałem bardzo pracowite – zwierzył się przez gertrudę Simms. – Tango był dobry.

A jak u was?

–Wszystko w porządku. Pilnujemy przodu. Zajmij się chwilowo tyłami, dobrze?

–Dobrze, Danny. Do zobaczenia.

Islandia – Niech pan prowadzi, sierżancie Nichols.

Rosyjski posterunek znajdował się z pięć kilometrów na południe na tysiącmetrowym wzgórzu. Edwards i jego ludzie sforsowali stoki parowu i wyszli na odkryty teren.

Radzieccy obserwatorzy mieli ich pod słońce. Porucznik, choć głęboko wierzył w to, co Nichols powiedział o warunkach świetlnych, reakcjach ludzkiego oka i o tym, że nie jest łatwo dostrzec cokolwiek z odległości pięciu kilometrów, odnosił paskudne wrażenie, że wędruje ftago po ruchliwej ulicy w godzinach szczytu. Twarze uczernili sobie ziemią, a maskujące ubiory doskonale harmonizowały

z kolorytem otoczenia. Lecz oko człowieka rejestruje ruch – myślał Edwards. – A my ciągle się poruszamy. Co robić?

Nie wszystko naraz – upomniał się w duchu. – Idź spokojnie, nie prostuj się i spróbuj nie wzbijać kurzu.

Powolny, ostrożny krok. Żadnych gwałtownych ruchów.

I jak najbliżej ziemi. W pamięci ciągle miał słowa Nicholasa:

"Popatrz na mnie. Jestem niewidzialny".

Sierżant wprawdzie nie pozwolił im podnosić głów, ale Edwards nie byłby człowiekiem, gdyby od czasu do czasu się nie rozglądał. Nad nimi piętrzyło się wzgórze – góra! – o stromych zboczach. Wulkan. Wygląd wierzchołka nie kojarzył się porucznikowi z wulkanem. A może tam w ogóle nikogo nie ma? Może wcale nas nie widzą, może właśnie śpią, albo jedzą, albo wypatrują samolotów? Siłą woli odwrócił wzrok od szczytu.

Płatanina skał, którą miał przed oczyma, jakby zlała się w jedno i Edwards widział już tylko posępną, zwartą masę kamienia. Wędrowali oddzielnie, w milczeniu. Twarze mieli nieruchome, co znaczyło albo skrajną determinację, albo skrętnie skrywane zmęczenie. Wędrówka po tym skalistym terenie wymagała maksymalnej uwagi.

Niedługo koniec – kołatało w głowie Mike'a. – Jeszcze ostatni wysiłek. Ostatnie wzgórze do przebycia... Potem koniec – obiecywał sobie Edwards. – Potem będę już tylko jeździł

samochodem po poranne gazety. A jeśli kupię sobie piętrowy dom, to zainstaluję w środku windę.

Dzieciom każę strzyc trawę, a sam będę się temu przyglądał z ustawionego na ganku fotela.

Kiedy zostawili już wzgórze za sobą, Edwards obejrzał się przez ramię. Z jakiegoś niepojętego względu nie pojawił się rosyjski helikopter pełen spadochroniarzy. Trafili w bezpieczniejszą okolicę i Nichols zwolnił tempo marszu.

Cztery godziny później wierzchołek skrył się za ostrą niczym nóż granią zbudowaną ze skał wulkanicznych.

Sierżant zarządził postój. Wędrowali siedem godzin bez przerwy.

–Nie było to aż tak trudne, prawda? – zapytał Nichols.

–Następnym razem, jak będzie pan skakał na spaCZERWONY SZTORM • 253 dochronie, proszę jednak złamać sobie tę kostkę – odparł Mikę.

–Najtrudniejsze za nami. Czeka nas jeszcze ten niewielki pagórek – Nichols wykonał ruch ręką.

–Może jednak przedtem napijemy się wody, co? – wtrącił Smith, wskazując odległy o sto metrów potok.

–Dobrze. Poruczniku, na szczyt musimy się dostać jak najszybciej.

–Zgoda. To już ostatnie, cholerne wzgórze, na jakie się w życiu wespnę.

Nichols zachichotał.

–Taką obietnicę składałem już sobie setki razy.

–W to nie uwierzę.

USS "Independence" – Witam pana na pokładzie, Toland! Admirał Beattie przysłał list, w którym nie może się pana nachwalić – wiceadmirał Scott Jacobsen, mimo iż posiadał tylko trzy gwiazdki, pełnił funkcję naczelnego dowódcy atlantyckiej floty uderzeniowej. Posiadał wieloletnią praktykę lotniczą, a ponadto był najstarszym stopniem dowódcą grup lotniskowców w marynarce. Na stanowisku tym zastąpił admirała Bakera.

–Przypisuje mi zbyt dużą rolę. Po prostu przekazałem wyżej pomysł, na który wpadł ktoś inny.

–W porządku. Był pan na "Nimitzu", kiedy okręt został trafiony?

–Owszem, sir. Przebywałem akurat w centrum informacji bojowej.

–Oprócz pana wyniósł stamtąd głowę tylko Sonny Svenson?

–Tak, sir. Kapitan Svenson.

Jacobsen podniósł słuchawkę telefonu i wybrał trzy cyfry.

–Proszę przysłać do mnie kapitana Spauldinga. Dziękuję. Komandorze Toland, pan, ja oraz mój oficer operacyjny przeanalizujemy ponownie tamto wydarzenie. Chcę wiedzieć, że niczegośmy nie przeoczyli. Synu, nie pozwolę, by ktoś zrobił dziurę w moim lotniskowcu.

–Pan ich chyba trochę nie docenia.

–Doceniam, doceniam. Dlatego pan tu jest. Wasza grupa bojowa zbyt mocno wysunęła się na północ, jak na tamte warunki. Zajęcie Islandii stanowiło genialną zagrywkę taktyczną. Kompletnie pomieszało nam szyki. Teraz chcemy to naprawić, komandorze.

–Mam nadzieję, sir.

USS "Reuben James" – Czyż to nie piękna jednostka? – odezwał się O'Malley.

Wyrzucił niedopałek za burtę, skrzyżował ramiona na piersi i spoglądał na majaczący na horyzoncie ogromny lotniskowiec. Okręt stanowił tylko szary, mroczny kształt, na którego płaskim pokładzie lądowały właśnie samoloty.

–Miałem napisać reportaż o konwoju – parsknął Calloway.

–Cóż, właśnie skręca w lewo. To już koniec reportażu – pilot spojrział na reportera z szerokim uśmiechem. – Do licha, zrobił mnie pan sławnym.

–Wy, cholerni piloci, wszyscy jesteście tacy sami! – odwarknął gniewnie korespondent Reutera. – Kapitan nie był[^]nawet łaskaw poinformować mnie, dokąd płyniemy.

–Nie wie pan? – zdziwił się O'Malley.

–No dobrze, więc dokąd płyniemy?

–Na północ.

Le Havre, Francja Niebawem miał przybyć tu konwój, toteż z portu usunięto wszystkie jednostki. Statki handlowe wyminęły kilka wraków okrętów, które wpadły na radzieckie miny. Część z nich postawiona została jeszcze przed wojną, a część zrzucona z samolotów. Sam port również był sześciokrotnie atakowany przez radzieckie myśliwce bombardujące dalekiego zasięgu. Broniło go francuskie lotnictwo i naloty te kosztowały Rosjan bardzo drogo.

Pierwsze pojawiły się ogromne trejlerowce. Na ośmiu jednostkach tego typu przybyła pełna dywizja pancerna.

Natychmiast skierowano je do Basenu Theophile'a Durrocqa. Statki kolejno opuszczały na nabrzeże otwierane rampy rufowe, po których zaczęły wytaczać się czołgi. W porcie czekały już przyczepy niskopodwoziowe – na nich pojazdy pancerne miały dotrzeć na linię frontu. Załadowane lory przejeżdżały z kolei na przylegające do portu tereny zakładów Renaulta, gdzie mieścił się punkt zbiorczy.

Wyładunek dywizji trwał kilka godzin. Niebawem jednostka miała ruszyć w stronę odległego o niecałe pięćset kilometrów frontu.

Po pełnej napięcia i, zdawałoby się, trwającej wieki podróży zderzenie z europejską kulturą stanowiło dla amerykańskich żołnierzy szok. Wielu z nich należało do Gwardii Narodowej, którą rzadko kiedy wysyłano za morze.

Pracownicy portowi i kierująca ruchem policja byli zbyt zmęczeni ciągnącą się od tygodni gorączkową pracą, by okazywać jakiekolwiek emocje. Ludność cywilna jednak, mimo trzymanej w ścisłej tajemnicy daty przybycia konwoju, dowiedziała się o wpływającej do portu flotyli i tłumnie pojawiła się na nabrzeżu. Amerykańskim żołnierzom nie wolno było wprawdzie oddalać się od swoich kompanii, ale po krótkich, nieoficjalnych negocjacjach, zezwolono niewielkiej delegacji mieszkańców miasta spotkać się z nowo przybyłym wojskiem. Nie stanowiło to większego niebezpieczeństwa – linie telefoniczne pozostawały pod ścisłą kontrolą NATO – a spotkanie przyniosło nieoczekiwany skutek.

Podobnie jak ich ojcowie i dziadkowie, przybywający żołnierze zrozumieli, że Europa warta jest walki. Spotkali tu zwykłych ludzi, nad głowami których zawisło śmiertelne niebezpieczeństwo. Amerykańskie wojsko miało walczyć nie w imię abstrakcyjnej idei, politycznych decyzji czy zawieranych na papierze traktatów. Żołnierze przybyli tu zza morza dla tych właśnie ludzi, takich samych-jak ci, których zostawili w swoich domach.

Wszystko to trwało dwie godziny dłużej, niż przewidywano.

Niektóre pojazdy uległy w podróży uszkodzeniom, ale policja portowa sprawnie zorganizowała punkty naprawcze.

Wczesnym popołudniem dywizja ruszyła na wojnę. Poruszała się z szybkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę wielopasmową autostradą, na której wstrzymano wszelki ruch.

Na poboczach stali ludzie i pozdrawiali żołnierzy, ci zaś dokonywali ostatniego przeglądu sprzętu.

Skończyła się łatwa część ich wyprawy.

Islandia Kiedy o czwartej nad ranem weszli wreszcie na wierzchołek, okazało się, że góra ma

kilka "wierzchołków".

Rosjanie zajęli najwyższy, odległy o pięć kilometrów. Grupa Edwardsa miała do wyboru dwa inne szczyty, każdy z nich niższy o kilkadziesiąt metrów od kilometrowej wysokości głównego. Wybrali wyższy, z którego mieli doskonały widok na niewielki port rybacki w Stykkisholmurze leżący niemal dokładnie na północy oraz na rozległą zatokę o skalistych brzegach, zwaną na mapie Hvammsfjórður.

–To bardzo dogodny punkt obserwacyjny, poruczniku Edwards – zauważył Nichols.

–Bardzo dobrze, że tu zostajemy, sierżancie. Już nóg nie czuję. – Edwards skierował lornetkę na wschodni wierzchołek. – Nie widać tam żadnego ruchu.

–Ale na pewno są na tym szczycie – odparł Nichols.

–To jasne jak słońce – poparł go Smith.

Edwards zszedł niżej i rozpakował radio.

–Brytan, tu Ogar. Jesteśmy na miejscu.

–Podajcie dokładnie współrzędne.

Porucznik rozwinął mapę i odczytał dane topograficzne.

–Na najwyższym wzgórzu Rosjanie założyli punkt obserwacyjny. Zgodnie z mapą dzieli nas od nich około pięciu kilometrów. Jesteśmy tu dobrze ukryci, a żywności i wody mamy na dwa dni. Widzimy drogi prowadzące do Stykkisholmuru. Warunki atmosferyczne są idealne, mamy stąd widok nawet na Keflavik, ale tam nie rozróżniamy żadnych szczegółów. Widzimy tylko sam półwysep.

–To dobrze. Teraz spójrz na północ i opowiedz, co tam widzisz.

Edwards wręczył antenę radiową Smithowi, po czym odwrócił się i skierował szkła w stronę miasteczka.

–No cóż, teren tutaj zupełnie płaski, ale wznosi się wyraźnie nad poziom morza. Miasteczko jest maleńkie, może osiem domów. W porcie kilka niewielkich łodzi rybackich... naliczyłem dziewięć. Na północ i na wschód od portu całymi kilometrami ciągnie się skaliste wybrzeże.

Nie widać żadnych transporterów ani w ogóle żadnych Rosjan... Chwileczkę. Widzę dwa samochody terenowe zaparkowane na ulicy. Ale nikogo przy nich nie ma.

Słońce stoi jeszcze nisko i wszystko pogrążone jest w cieniu. Ulice i drogi puste. Myślę jednak, że niebawem zaczną się na nich jakiś ruch.

–Doskonale, Ogar. Powiadom nas, jak tylko zobaczysz Rosjan. Choćby to był tylko jeden żołnierz, musimy o nim wiedzieć. Czekajcie.

–Czy ktoś nas stąd zabierze?

–Nie wiem, o czym mówisz Ogar.

USS "Independence" Toland stał w centrum informacji bojowej i obserwował monitory. Najbardziej niepokoiły go okręty podwodne.

Wprawdzie na zachód od Islandii, w Cieśninie Duńskiej, operowało osiem jednostek podwodnych NATO, ale zawsze kilka wrogich mogło prześlizgnąć się przez sformowaną z nich barierę. Dzięki wyeliminowaniu rosyjskich myśliwców w Keflaviku okręty Paktu Atlantyckiego miały zapewnioną asystę orionów z lotnictwa morskiego stacjonujących w Sondrestrom na Grenlandii. Zamykało to Rosjanom jedyną możliwą drogę do atlantyckiej floty uderzeniowej. Równoległe do posuwającej się grupy bojowej kolejną barierę tworzyły okręty podwodne Paktu Atlantyckiego, wspierane startującymi z lotniskowców samolotami S-3A Orion.

Pentagon powiadomił prasę, że dywizja piechoty morskiej jest już w drodze do Niemiec, gdzie sytuacja na polu walki 17 – Czerwony sztorm t. II

ciągle była niepewna. W rzeczywistości, ustawiona w ścisłym szyku- formacja okrętów desantowych znajdowała się w odległości dwudziestu mil od lotniskowca Tolanda i płynęła kursem zero-trzy-dziewięć.

Od prawdziwego celu dzieliło ją jeszcze czterysta mil.

USS "Reuben James" – Nie płyniemy już na północ – stwierdził przy kolacji Calloway. W kuchni okrętowej kończyła się świeża sałata.

–Ma pan rację – przyznał O'Malley. – Myślę, że płyniemy na zachód.

–Czy mógłby mi pan powiedzieć, w co się teraz pakujemy? Zostałem odcięty od przekazników satelitarnych.

–Oslaniamy grupę bojową "Nimitza", choć przy prędkości dwudziestu węzłów nie jest to takie proste.

O'Malley był podenerwowany. Robili rzecz ryzykowną.

Na tym wprawdzie polegała wojna, ale pilot nie znosił wszystkiego, co miało jakikolwiek związek z wojną.

A szczególnie ryzyka. Ale płacą mi za pracę, a nie za to, co o niej myślę – dodawał w duchu.

–Eskorta składa się głównie z jednostek brytyjskich?

–I co z tego?

–Mój reportaż, w którym chcę przekazać ludziom w kraju, jak ważne...

–Niech pan posłucha, panie Calloway. Dajmy na to, że opublikuje pan swój reportaż w gazecie. I dajmy na to, że rosyjski agent przeczyta tę gazetę, a potem prześle...

–A jak prześle? Przecież rząd niewątpliwie trzyma pod ścisłą kontrolą środki łączności.

–Iwan posiada masę satelitów komunikacyjnych. Tak samo zresztą jak my. Tylko na tej rozkosznej, niewielkiej fregacie są dwa nadajniki satelitarne. Widział je pan. Nie są wcale drogie. Na takie urządzenie stać każdego. Poza tym obowiązuje nas całkowita cisza w eterze. Obecnie oba przekaźniki są nieczynne.

Pojawił się Morris i zajął miejsce w końcu stołu.

–Kapitanie, dokąd płyniemy? – zapytał Calloway.

–Właśnie się dowiedziałem, lecz przykro mi, tego panu wyjawić nie mogę. Współdziałamy z "Battleaxe" i zabezpieczamy tyły "Nimitza". Nasz kryptonim brzmi: "Siły Mike'a".

–Czy dostaniemy jeszcze jakąś pomoc? – spytał O'Malley.

–Płynie do nas "Bunker Hill". Uzupełnił zapasy i wraz z HMS "Illustrious" dołączy do naszej dwójki. Kiedy się tylko pojawią, my ponownie przejmujemy rolę wysuniętej pikiety. Za cztery godziny rozpoczynamy operację zwalczania okrętów podwodnych. Ciągłe jeszcze może się tu czaić jakiś Rosjanin, który ma chrapkę na lotniskowiec.

USS "Chicago" Mieli trzy kontakty. Wszystkie pojawiły się w ciągu dziesięciu minut. Dwa z nich znajdowały się przed "Chicago", nieco po lewej i prawej stronie, a trzeci zupełnie z lewej burty amerykańskiego okrętu. McCafferty zdawał sobie sprawę, że Rosjanie wiedzą o zniszczonych przez amerykańskie okręty jednostkach podwodnych. Prawdopodobnie zdążyły bowiem wysłać na powierzchnię alarmowe boje radiowe. Tego był prawie pewien. Znaczyło to, że jego taktyczne sukcesy sprowadziły na trzy amerykańskie okręty jeszcze większe kłopoty.

–Sterownia, tu sonar. Mamy sygnał pław sonarowych na pozycji dwa-sześć-sześć. Naliczyliśmy trzy... nie, cztery hydrolokatory.

Kolejne beary? – zastanawiał się McCafferty. – Skoordynowane łowy?

–Dowódco, lepiej będzie, jak pan tu przyjdzie! – krzyknął szef hydrolokacji.

–Co się dzieje?

Monitor kaskad nieoczekiwanie ożył, wypełniając się obrazami.

–Sir, pojawiają się przed nami trzy linie pław sonarowych. A więc mamy do czynienia co najmniej z trzema

samolotami. Ten jest bardzo blisko, ale chyba się oddala od rufy. Może kieruje się wprost na naszych przyjaciół.

McCafferty obserwował, jak w minutowych odstępach pojawiają się nowe linie. Każda z nich obrazowała rosyjską pławę sonarową. Jedna linia maszerowała na wschód, dwie szły w innych kierunkach.

–Chcą nas otoczyć, szefie.

–Na to wygląda, sir.

Za każdym razem, gdy niszczyliśmy radziecką jednostkę, zdradzaliśmy swoją pozycję – pomyślał dowódca.

–Wielokrotnie już namierzili nasz kurs i szybkość.

"Chicago" był już w rowie Svyataya Anna. Tor wodny prowadzący do granicy lodu pływającego liczył sto mil szerokości i pięćset czterdzieści metrów głębokości.

Ale ile tam czaiło się rosyjskich okrętów podwodnych?

Załoga hydrolokacji cały czas podawała współrzędne kontaktów, a kapitan obserwował, jak zaciska się wokół nich pierścień pław.

–To chyba "Providence", sir. Zwiększyła właśnie prędkość. Ha! Sądząc po hałasie, rzeczywiście płynie szybciej.

Ta pława musi być bardzo blisko niej. Ale ciągle nie potrafię namierzyć "Bostona".

Dwa znajdujące się w przodzie kontakty tkwiły w jednym miejscu i do czasu, aż Rosjanie lub McCafferty nie wykonają jakiegoś ruchu, ustalenie dokładnej odległości było niemożliwe. Gdyby "Chicago" skręcił w lewo, zbliżyłby się do trzeciego. Na to akurat amerykański kapitan nie miał najmniejszej ochoty. Gdyby natomiast skręcił w prawo, oddaliłby się od jednostki zagrażającej "Providence". Jeśli nie uczyni nic, nic nie zyska, toteż McCafferty sam już nie wiedział, co ma robić.

–Kolejna pława, sir.

Spadła między dwa cele. Rosjanie najwyraźniej próbowali namierzyć "Providence".

–Tam jest "Boston". Tak... minął właśnie pławę.

W miejscu, gdzie dotąd nic nie było, rozbłysła naraz linia nowego kontaktu. Todd zwiększył

prędkość, by zwrócić na

siebie uwagę – pomyślał kapitan. – Potem zejdzie na dużą głębokość i wymknie się pogoni.

Spójrz na to od strony Rosjan – tłumaczył sobie McCafferty. – Do końca nie są pewni, z czym mają do czynienia. Wiedzą zapewne, że jest nas więcej niż jeden okręt, ale nie wiedzą dokładnie ile. Nie mają jak się dowiedzieć. Dlatego, zanim otworzą ogień, spróbują nas wypłoszyć i zorientować się w sytuacji.

–Torpeda w wodzie! Współrzędne: jeden-dziewięć-trzy.

Rosyjski bear wystrzelił torpedę w "Bostona". McCafferty obserwował na monitorze, jak Simms schodzi na wielką głębokość, a za jego okrętem pomyka torpeda. By uniknąć śmiertelniegroźnego pocisku, Anglik gwałtownie zmienił zanurzenie i wykonał kilka nieoczekiwanych zwrotów oraz zmian prędkości. Pojawiła się jaskrawa linia wystrzelonego generatora szumów. Urządzenie utrzymywało stały kurs, podczas gdy "Boston" oddalał się od instrumentu. Torpeda natychmiast zmieniła kierunek ataku i pomknęła za generatorem. Pędziła w tamtą stronę przez trzy minuty, aż skończyło się jej paliwo.

Ekran znów był w miarę pusty. Pozostały tylko impulsy emitowane przez pławy sonarowe. "Boston" i "Providence" zwolniły i zniknęły z ekranów – ale to samo stało się też z sygnałami radzieckimi.

Co kombinują? Jaki jest ich plan? – zapytywał siebie w duchu kapitan. – Jakie to jednostki?

Tanga – przyszło mu do głowy. – To muszą być tanga.

Wyłączyły silniki elektryczne i przeszły na prędkość ekonomiczną. Dlatego ich obraz znikł z ekranów. W porządku, nie zamierzają iść za nami. Zatrzymały się, kiedy samolot wykrył obecność "Providence" i "Bostona". Teraz koordynują poszukiwania z bearami. A więc muszą wypłynąć na niewielką głębokość, gdzie dobiegające z powierzchni zakłócenia bardzo ograniczą pracę ich sonarów.

–Szefie, wydaje mi się, że to są poruszające się z prędkością około dziesięciu węzłów tanga. Czy z dokładniejszej analizy możemy wyciągnąć jakieś wnioski, jak daleko są od nas?

–W tych warunkach wodnych... dziesięć do dwunastu mil. Ale byłbym z tymi liczbami ostrożny, sir.

Na północ od "Chicago" pojawiły się trzy kolejne linie pław. McCafferty skupił uwagę na mapach nakresowych.

Urządzenia spadły dwie mile od linii pozostałych pław, a to już pozwoliło ustalić odległość.

–Nie są zbyt subtelni – zauważył pierwszy oficer.

–A po co, skoro nie muszą? Spróbujmy przedostać się między pławami.

–A co robią nasi przyjaciele?

–Też powinni ruszyć na północ. Wolę nie myśleć o siłach, jakie Rosjanie przeciw nam rzucili. Przechodzimy dokładnie w tym miejscu.

Pierwszy oficer wydał odpowiednie rozkazy i "Chicago" znów ruszył do przodu. Dopiero teraz mieli się przekonać, co warta była pochłaniająca impulsy sonarowe gumowa wykładzina okrętu. Nanieśli na nakres najświeższe współrzędne rosyjskich jednostek. McCafferty wiedział, że i Rosjanie mogą w każdej chwili ruszyć i kiedy ich ponownie namierzy, będą zapewne niebezpiecznie blisko. "Chicago" schodził w głębinę. Gdy znalazł się już na głębokości trzystu metrów, przyjął precyzyjnie wyliczony kurs, wiodący dokładnie między dwiema wysyłającymi impulsy pławami.

Za rufą pojawiła się kolejna torpeda, więc kapitan polecił wykonać gwałtowny manewr, ale po chwili zrozumiał, że pocisk wystrzelony został albo na ślepo, albo w kogoś innego. Nasłuchiwali kilka minut hałasów czynionych przez pędzącą torpedę. Potem dźwięki zamilkły. To wyśmienity sposób, by wytrącić przeciwnika z równowagi – błysnęło McCafferty'emu w głowie.

Ponownie skierował okręt na północ.

W miarę, jak zbliżali się do linii czujników sonarowych, współrzędne pław się zmieniały. Pławy zrzucone zostały w dwumilowych odstępach, więc "Chicago" mijał każdą w odległości jednej mili. Pierwszą barierę przekroczył, pełznąc prawie po dnie. Hydrolokatory nastrojono na taką częstotliwość dźwięku, że wyraźnie słychać było go w środku okrętu. Jak w kinie – myślał dowódca, obserwując

załogę. Osoby, które nie zajmowały się bezpośrednio nawigacją, rozglądały się po ścianach i suficie okrętu, którego kadłub pieściły dobiegające z zewnątrz impulsy.

Dziwna pieszczota. Następna linia pław znajdowała się trzy mile dalej. "Chicago" skręcił nieco w lewo, by dostać się w kolejną przerwę między hydrolokatorami.

Okręt zredukował prędkość do czterech węzłów. Sonar przez chwilę wskazywał po północnej stronie coś, co mogło okazać się kontaktem. Źródło dźwięku jednak prawie natychmiast zniknęło. Może tango, może nic. Niemniej naniesiono skrzętnie ów sygnał na nakres. Przebycie bariery sonarowej zajęło blisko godzinę.

–Torpeda z lewej burty! – krzyknął sonarzysta.

–Ster, cała w prawo. Maksymalna prędkość.

"Chicago", niepomny na wytwarzany hałas i krążący nad wodą samolot, który zrzucił już jedną torpedę, gwałtownie przyspieszył. Płynęli tak trzy minuty. Potem jednostka zatrzymała

się, by sprawdzić, co robi pocisk.

–Gdzie torpeda?

–Wysłała impulsy, sir. Ale w inną stronę. Zmieniła kierunek na południowy i dźwięk zamiera.

–Jedna trzecia naprzód.

–Następna torpeda w wodzie na pozycji zero-cztery-sześć.

–Ster prawo i cała naprzód – ponownie zarządził McCafferty. Odwrócił się do pierwszego oficera. – Wie pan, o co im chodzi? Zrzucają je na ślepo, by nas wystraszyć i zmusić do ruchu.

Cholera, wyśmienita taktyka! Wiedzą, że nie możemy ignorować obecności torpedy i pozostawać w bezruchu.

–Ale skąd wiedzieli, że tu jesteśmy?

–Może tylko zgadywali, a może coś usłyszeli. Potem daliśmy im dokładny namiar.

–Kapitanie, torpeda. Współrzędne: zero-cztery-jeden.

Pocisk wysłał impulsy prosto na nas, ale nie jestem pewien, czy nas wykrył. Sir, kolejny kontakt na pozycji- zero-dziewięć-pięć. Hałas mechaniczny. Przypuszczalnie okręt podwodny.

–I co teraz? – szepnął McCafferty.

Zostawił rosyjską torpedę z tyłu i zszedł prawie na samo dno. Kiedy "Chicago" przyspieszył do dwudziestu węzłów, użyteczność sonaru spadła do zera. Niemniej mogli ciągle rejestrować impulsy ultradźwiękowe wysyłane przez torpedę, a McCafferty tak manewrował, by nurkująca broń znajdowała się cały czas za rufą jego okrętu.

–W górę na głębokość trzydziestu metrów. Wystrzelić generator szumów.

–Cała w górę na płatach głębokościowych! – zarządził oficer szasowania balastów, napełniając szybko powietrzem przednie zbiorniki wyrównawcze. Manewr ten i generator szumów wytworzyły tak wielkie zaburzenie w wodzie, iż przechodząca pod okrętem torpeda natychmiast pomknęła w tamtą stronę. Dobry, choć rozpaczliwy manewr. Okręt szybko szedł w górę, elastyczny kadłub, w miarę jak malało zewnętrzne ciśnienie wody, rozpręzał się z trzaskiem.

W okolicy czaiła się wroga jednostka podwodna, która odbierała wszystkie hałasy emitowane przez "Chicago", toteż McCafferty'emu pozostała tylko ucieczka. Dobrze wiedział, że przeciwnik w każdej chwili może zaatakować torpedą samosterującą. Nie rozumiał jednego: skąd w ogóle wziął się ten okręt podwodny. McCafferty polecił zwolnić do pięciu węzłów i wykonać zwrot. Pociskowi kończyło się paliwo. Ale miał nowy kłopot: ten radziecki okręt

podwodny zbliżał się.

–Wiedzą, gdzie jesteśmy, kapitanie – odezwał się pierwszy oficer.

–Oczywiście. Sonar, tu sterownia. Poszukiwania za pomocą hydrolokatora aktywnego. – Obie strony stosowały już taktyki niekonwencjonalne. – Grupa sterowania ogniem, gotowość bojowa. To może być bardzo szybki strzał.

Potężny, lecz rzadko stosowany hydrolokator aktywny umieszczony w dziobie zaczął chłostać wodę energią dźwiękową o niskiej częstotliwości.

–Kontakt. Współrzędne: zero-osiem-sześć. Odległość: cztery tysiące sześćset.

–Wprowadzić w komputer!

Trzy sekundy później kadłub "Chicago" zawibrował od uderzającej weń fali radzieckiego sonaru.

–Wprowadzone! Wyrzutnie trzecia i druga gotowe!

–Skrzyżować współrzędne i odpalić!

Torpedy opuściły wyrzutnie w sekundowych odstępach.

–Przeciąć przewody. Zanurzenie. Głębokość trzysta trzydzieści metrów i cała naprzód. Ster, cała w lewo. Nowy kurs: dwa-sześć-pięć.

Okręt podwodny wykonał zwrot i pomknął na zachód, a wystrzelone torpedy pędziły ku celowi.

–Za rufą dźwięk torpedy w wodzie. Współrzędne: zero-osiem-pięć.

–Spokojnie – powiedział McCafferty. Nie spodziewałeś się, że tak właśnie zrobimy, co? – Przedział ogniowy, dobra robota! Wystrzeliliśmy o minutę wcześniej niż ten typek. Jak prędkość?

–Dwadzieścia cztery węzły i rośnie, sir – odparł sternik. – Głębokość sto trzydzieści.

–Sonar, ile rybek nas goni?

–Co najmniej trzy, sir. Nasze wysyłają impulsy. Mam nadzieję, że dotrą do celu.

–Za parę sekund skręcamy i zmieniamy głębokość – odezwał się McCafferty do pierwszego oficera. – Potem proszę wystrzelić cztery generatory szumów w odstępach piętnastosekundowych.

–Tak jest, kapitanie.

Dowódca stanął za plecami sternika, który poprzedniego dnia obchodził dwudzieste urodziny. Wskaźnik steru ustawiony był na kursie prostym, a okręt płynął w dół pod kątem dziesięciu stopni. Był już na głębokości stu siedemdziesięciu metrów i ciągle się zanurzał. Log wskazywał szybkość trzydziestu węzłów. Teraz "Chicago" płynął z prawie maksymalną prędkością. Kapitan poklepał chłopaka po ramieniu.

–Teraz. Stery głębokościowe dziesięć stopni. Skręt dwadzieścia w prawo.

–Tak jest, sir.

Głuchy huk, który wstrząsnął kadłubem "Chicago",

powiedział załozdze, iż obie torpedy trafiły w cel. Ludzie podskoczyli nerwowo, słysząc nieoczekiwany hałas; bardziej interesowały ich ścigające "Chicago" torpedy. Okręt zatoczył ostry łuk, tworząc w wodzie potężny wir, po czym pierwszy oficer wystrzelił cztery generatory szumów. Niewielkie pojemniki z gazem wypełniły wzburzoną wodę hałasem, który stał się nęcącym celem dla sonarów, a sam "Chicago" pomknął na północ. Minęli kolejną linię pław, podczas gdy Rosjanie w obawie, że zakłócą bieg trzech znajdujących się już w wodzie torped, nie mogli wystrzelić następnej.

–Wszystkie kontakty zmieniły kierunek – oznajmił sonarzysta.

McCafferty odetchnął z ulgą.

–Jedna trzecia naprzód.

Sternik połączył się z maszynownią i "Chicago" zwolnił.

–Rosjanie zapewne jeszcze nie doszli do tego, kto w kogo trafił. Znikajmy stąd, zejdźmy na samo dno, a potem pomalutku odpłyniemy na północny wschód. Było gorąco, ale daliśmy sobie radę.

Sternik podniósł głowę.

–Kapitanie, południowa część Chicago nie jest najgorszą częścią miasta! – oznajmił.

Ta wykładzina gumowa jest dobra jak cholera – stwierdził kapitan. – Teraz nie będą już nas podchodzić w ten sposób. Muszą to przemyśleć jeszcze raz i zmienić taktykę.

Odtworzył w pamięci obraz mapy. Do granicy paka lodowego pozostało jeszcze sto pięćdziesiąt mil.

Ostatecznie odparto kontratak.

Nie – mówił sobie w duchu Aleksiejew. – Wcale nie odparliśmy. To Niemcy po wybiciu połowy naszych sił sami się wycofali. Cofając się, zyskiwali więcej.

Sprawy się pokomplikowały. Bieriegowoj miał rację, twierdząc, że kierowanie wielką bitwą w ruchu było sprawą dużo trudniejszą niż ze stałego stanowiska dowodzenia. Już sama czynność wybierania i śledzenia mapy w trzęsącym się i ciasnym wozie bojowym zabierała wiele czasu. A szeroki na osiemdziesiąt kilometrów front wymagał wielu map taktycznych. Kontratak sprawił, że generałowie musieli skierować na północ jedną ze swych cennych formacji rezerwowych kategorii A. Gdy jednostka dotarła na miejsce, Niemcy właśnie się cofnęli, niszcząc przy okazji tyły trzech dywizji piechoty zmotoryzowanej kategorii B. Tysiące radzieckich rezerwistów, którzy niewiele pamiętali ze sztuki wojennej, a na dodatek borykać się musieli z przestarzałym sprzętem, wpadło w panikę.

–Czemu się cofnęli? – zapytał Siergietow.

Aleksiejew milczał. To pytanie zadał już sobie z pół tuzina razy. – Chyba z dwóch powodów – tłumaczył sobie. Po pierwsze: mieli zbyt szczupłe siły, by kontynuować opór, więc postanowili się cofnąć, wytrącając tym samym nas z uderzenia. Po drugie: główna oś ataku skierowana była na Wezerę, więc wezwano ich do odwrotu, żeby nad rzeką zorganizować nowe linie obronne.

Pojawił się oficer wywiadu armii.

–Towarzyszu generale, otrzymaliśmy niepokojący raport.

Oficer zrelacjonował lakoniczny meldunek, jaki nadszedł z odbywającego patrol na niskim pułapie samolotu rekonesansowego. Panoszące się w powietrzu lotnictwo NATO zdążyło już dokonać istnego spustoszenia w stanie liczebnym tych niesłychanie użytecznych maszyn. Pilot miga-21 zameldował o potężnych siłach sprzymierzonych, które posuwały się autostradą E 8 na południe od Osnabriick. Potem formacja dosłownie rozplynęła się w powietrzu. Generał połączył się ze Stendal.

–Czemuście nas natychmiast o tym nie poinformowali? – zapytał Aleksiejew przełożonego.

–To nie potwierdzony raport – odparł głównodowodzący zachodnim teatrem.

–Do licha, przecież wiemy, że amerykańskie wojska wylądowały w Le Havre!

–Ale na front mogą dotrzeć najwcześniej jutro. Kiedy założycie przyczółek na Wezerze?

–Nasze jednostki znajdują się nad rzeką w okolicy Ruhle...

–W takim razie pchnąć tam natychmiast jednostki do stawiania mostów i jak najszybciej przerzucić wojsko na drugi brzeg.

–Ależ towarzyszu, na prawej flance wciąż panuje bałagan. Ponadto ten raport. Tam prawdopodobnie grupuje się dywizja nieprzyjaciela.

–Boicie się sforsować rzekę, więc straszycie mnie wymagowaną dywizją? To rozkaz, Pawle Leonidowiczu!

Aleksiejew odłożył słuchawkę. Ma zapewne lepszy obraz sytuacji – pocieszył się w duchu Pasza. – Kiedy sforsujemy Wezerę, na odcinku ponad stu kilometrów nie napotkamy już większego oporu. Możemy runąć na Zagłębie Ruhry, serce niemieckiego przemysłu. Jeśli zniszczymy ten okręg lub choćby tylko mu zagrozimy, Niemcy zapewne rozpoczną pertraktacje i wygramy wojnę. Chyba to mi chciał powiedzieć.

Generał przejrzał mapy. Niebawem prowadzący pułk spróbuje sforsować rzekę w Ruhle. Jednostka budowy mostów była już w drodze. A on miał swoje rozkazy.

–Niech ruszają żołnierze z grupy operacyjno-manewrowej.

–Ależ nasza prawa flank! – sprzeciwił się Bieriegowoj.

–Musimy osobiście wszystkiego dopilnować.

Bruksela, Belgia Naczelnego dowódcę wojsk sprzymierzonych w Europie nieustannie nurtował problem dostaw. Zaryzykował, dając pierwszeństwo transportowi dla dywizji pancernej zbliżającej się właśnie do Springe. Kontenerowce, załadowane amunicją, częściami zapasowymi i milionami różnych, niezbędnych przedmiotów, wysłały już na front swój towar. Najpotężniejsza – składająca się z czołgów – formacja rezerwowa prawie połączyła się z dwiema niemieckimi brygadami[^] ale z 11. Pułku Kawalerii Pancernej zostały zaledwie dwa bataliony znużonych ludzi.

Dostawy ciągle szwankowały. Wiele spośród podległych mu jednostek liniowych posiadało zapasy wystarczające w najlepszym przypadku na cztery dni. Był to bardzo wąski margines. W czasie przedwojennych ćwiczeń rezerwy takie wydawały się być całkiem wystarczające, ale teraz, gdy ważyły się losy ludzi i narodów, sytuacja stawała się krytyczna. Jaki miał wybór?

–Generale, dostaliśmy meldunek, że rosyjski pułk atakuje Wezerę. Wygląda na to, że Iwan zamierza przeprowadzić wojska na lewy brzeg.

–Czym tam dysponujemy?

–Batalionem Landwehry. Ale jest mocno wykrwawiony.

Mamy dwie kompanie czołgów; na miejsce powinny dotrzeć za niecałą godzinę. Są oznaki, że

Rosjanie również kierują w tamtą stronę posiłki. Wszystko wskazuje na to, że tam właśnie przeniesie się główna oś ich ataku.

Dowódca sił sprzymierzonych wychylił się w krześle i popatrzył na mapę. Jeden z rezerwowych pułków potrzebował trzech godzin, by dotrzeć do Ruhle. Generał uwielbiał hazard. Nigdzie nie czuł się tak dobrze, jak przy

karcianym stoliku, na którym leżała kilkusetdolarowa pula.

Przeważnie wygrywał. Jeśli nie powiedzie się atak na południe ze Springe... Rosjanie zapewne przerzucą na drugi brzeg Wezery dwie lub trzy dywizje. Przeciw nim będzie mógł wystawić dokładnie jeden pułk. Jeśli wyśle do Springe swoją nową dywizję czołgów, a jej jakimś cudem uda się dotrzeć na miejsce w porę, pozbawi się szansy na kontratak w przypadku nowych, nieprzewidzianych posunięć Rosjan.

Nie, po prostu nie przeprowadzi kontrataku. Wskazał Springe.

–Kiedy mogą wyruszyć?

–Cała dywizja... w najlepszym razie za sześć godzin.

Możemy też spróbować przegrupować jednostki w drodze na południe do...

–Nie.

–Zatem wyruszymy ze Springe na południe z tym tylko co mamy już gotowe? Teraz?

–Też nie.

Dowódca sił sprzymierzonych potrząsnął głową i zaczął wyłuszczać plan...

Islandia – Widzę jednego! – zawołał Garcia.

Natychmiast zjawili się przy nim Edwards i Nichols.

–Witaj, Iwan! – odezwał się cicho sierżant.

Z odległości pięciu kilometrów nawet przez lornetkę trudno było coś dokładnie zobaczyć.

Na prowadzącej na szczyt grzędzie Edwards dostrzegł niewielką figurkę człowieka. Człowiek uzbrojony był w karabin, a na głowie zamiast hełmu miał jakąś czapkę, zapewne beret. Figurka przystanęła i uniosła ręce do twarzy. Też ma lornetkę – stwierdził Edwards. Rosjanin skierował szkła na północ, lekko w dół i wodził nimi od lewej do prawej.

Potem odwrócił się i zaczął spoglądać w stronę Keflavíku.

Pojawił się następny człowiek. Podszedł do tamtego.

Chyba rozmawiali, ale było zbyt daleko, by móc to stwierdzić z całą pewnością. Ten z lornetką wskazał coś na południu.

–I co o tym sądzicie? – spytał Edwards.

–Pewnie gadają o pogodzie, o dziewczynach, o sporcie, o jedzeniu; kto ich tam wie – odparł Nichols. – O, następny!

Zza grani wyłoniła się trzecia sylwetka. Człowiek zaczął coś mówić, bo po chwili dwójka żołnierzy zniknęła z pola widzenia. To musi być oficer – pomyślał Edwards. – Ciekawe, jakie wydajesz rozkazy?

Po chwili na zbocze góry wyszła cała grupa ludzi.

W niepewnym świetle trudno było policzyć, ale składała się co najmniej z dziesięciu osób. Połowa z nich dźwigała osobistą broń. Ci ruszyli na dół. Na zachód.

–Dobry dowódca – pochwalił Nichols. – Wysłał patrol, by sprawdził, czy okolica jest bezpieczna.

–I co robimy? – zapytał Edwards.

–A jak pan myśli, poruczniku?

–Mamy rozkaz tu czekać. Czekajmy więc i miejmy nadzieję, że nikt nas nie zauważy.

–Mało prawdopodobne, by nas dostrzegli. Nie sądzę, by schodzili na sam dół, to jakieś dwieście siedemdziesiąt metrów, po to tylko, by wspiąć się na nasz pagór i sprawdzić, czy nie ma tu jakichś jankesów. Proszę nie zapominać, że obecność Rosjan odkryliśmy wyłącznie dzięki temu, że przylecieli śmigłowcem.

Czyli niewiele brakowało, a wleźlibyśmy im prosto w łapy – pomyślał Edwards. – Bezpieczny będę dopiero u siebie w domu, w Maine.

–Ciekawe, czy to już wszyscy?

–Musi tam być co najmniej pluton. Chytre posunięcie naszych przyjaciół, prawda?

Podczas gdy żołnierze piechoty morskiej nieustannie obserwowali Rosjan, Edwards poinformował Brytana o nieoczekiwanym rozwoju sytuacji.

–Pluton?

–Tak uważa sierżant Nichols. Wiesz, kolego, z odległości pięciu kilometrów raczej trudno

dokładnie porachować pogłowie.

–Dobrze. Czy zaobserwowaliście jakieś samoloty?

–Ostatni przeleciał wczoraj.

–A co w samym Stykkisholmurze?

–Zbyt daleko, by coś rozróżnić. Samochody terenowe ciągle stoją na ulicy. Żadnych transporterów. Myślę, że trzymają tu niewielki garnizon, by mieć oko na port. Łodzie rybackie bez przerwy tkwią na przystani.

–Wyśmienicie. Pierwszorzędny raport, Ogar. Trzymajcie się.

Major wyłączył radio i zwrócił się do oficera przy konsoli radiowej.

–To skandal trzymać ich w takiej niewiedzy.

Oficer z wydziału operacji specjalnych napił się herbaty.

–Jeszcze większym skandalem byłoby to, gdyby operacja nie wyszła.

Edwards nie złożył radia, tylko oparł je o skałę. Siedem metrów poniżej wierzchołka, na płaskim występie skalnym spała Vigdis. Porucznik o niczym tak nie marzył jak o śnie.

–Kierują się w naszą stronę – poinformował Garcia.

Wręczył Edwardsowi lornetkę. Parę metrów dalej Smith naradzał się z Nicholsem.

Mikę skierował szkła na Rosjan. Przekonywał sam siebie, że istnieje nikła szansa, by obcy żołnierze pojawili się na ich wzgórzu.

–Tak, tak, wmawiaj to sobie – wycedził przez zęby pod własnym adresem.

Przeniósł lornetkę wyżej, na sam szczyt wzgórza, gdzie mieścił się rosyjski punkt obserwacyjny.

–O, znowu! – odezwał się sierżant do porucznika.

–Co takiego?

–Błysk. Widziałem błysk na tamtym wzgórzu. Refleks słońca albo coś w tym rodzaju.

–Lśniaca skała – parsknął porucznik, nie patrząc nawet we wskazanym przez żołnierza kierunku.

–Towarzyszu poruczniku! – na dźwięk ostrego tonu oficer odwrócił się gwałtownie. Ujrzał nadlatujący w swoją

stronę kamień. Był zbyt zaskoczony, by się rozgniewać. – Czy ta skała łśni?

–Więc jakaś stara puszką! Wspinacze i turyści pozostawiali tu sporo śmieci.

–To dlaczego błysk się powtórzył?

Porucznik w końcu wpadł w złość.

–Sierżancie, wiem, żeście przez rok służyli w Afganistanie. Wiem, że ja jestem tylko młodym oficerem. Ale jestem tym cholernym oficerem, a wy tylko cholernym sierżantem!

Oto jedna z osobliwości naszego bezklasowego społeczeństwa – pomyślał sierżant, nie spuszczać wzroku z przełożonego.

Mało kto wytrzymałby takie spojrzenie.

–No dobrze, sierżancie. Nadajcie komunikat – porucznik wskazał radio.

–Markowski, zanim tu wrócicie, sprawdźcie wzgórze po waszej prawej stronie.

–Ależ to dwieście metrów wspinaczki! – zaprotestował dowódca drużyny.

–Zgadza się. Nie zajmie to wam wiele czasu – odparł łagodnie sierżant.

USS "Independence"

Toland włożył przezrocze do rzutnika.

–Te zdjęcia satelitarne pochodzą sprzed niecałych trzech godzin. Iwan dysponuje trzema radarami śledzącymi tu, tu i tu. Raz dziennie zmienia ich pozycje, a to znaczy, że zapewne ten jest już w innym miejscu. Włącza je mniej więcej dwa razy na godzinę. W Keflaviku mamy cztery ruchome wyrzutnie SA-11, po cztery pociski w każdym pojeździe. Te SAM-y to bardzo niedobra wiadomość. Znacnie, panowie, skuteczność tej broni. Ponadto musimy uwzględnić obecność kilkuset ręcz* nych wyrzutni SAM-ów. Zdjęcia pokazują też sześć ruchomych dział przeciwlotniczych. Nie zanotowaliśmy ani jednego stacjonarnego, ale one tam są, panowie, tyle, że zamaskowane. 18 – Czerwony sztorm t. II

A także co najmniej pięć, a zapewne dziesięć myśliwców przechwytyjących Mig-29. Był tam cały pułk tych maszyn, ale chłopcy z "Nimitza" skutecznie ich liczbę zredukowali.

Proszę pamiętać, że te, które pozostały, umknęły dwóm eskadrom tomcatów. Tak mniej więcej wyglądają siły przeciwnika w Keflaviku.

Toland ustąpił miejsca oficerowi operacyjnemu, który zaczął szczegółowo omawiać zadanie. Wywód zrobił na Tolandzie duże wrażenie. Komandor pomyślał, że dobrze by było, gdyby skutki planowanej operacji wywarły podobne wrażenie na Rosjanach.

Pięćdziesiąt minut później wystartowały pierwsze E-2C Hawkeye'e i w towarzystwie myśliwców zbliżyły się na odległość osiemdziesięciu mil do wybrzeży Islandii. Utworzyły tam dla całej formacji parasol radarowy. Pozostałe Hawkeye'e, rozciągnięte na większej przestrzeni, postawiły barierę radiolokacyjną chroniącą przed atakiem raketowym ze strony wrogich samolotów i okrętów podwodnych.

Keflavik, Islandia Radziecki radar naziemny wykrył obecność Hawkeye'ów, zanim te uruchomiły swe potężne systemy. Na radzieckich ekranach pojawił się obraz dwóch powolnych turboodrzutowców krążących tuż poza zasięgiem rosyjskich SAM-ów. Każdej maszynie towarzyszyły dwa inne samoloty, w których Rosjanie na swych ośmiościeżkowych urządzeniach rozpoznawali eskortę Hawkeye'ów – myśliwce przechwytyjące typu Tomcat.

Zawyły syreny alarmowe. Piloci myśliwców zajmowali miejsca w kabinach, załogi dział przeciwlotniczych i wyrzutni raketowych biegly na wyznaczone posterunki.

Rosyjskimi myśliwcami dowodził major, który miał na koncie trzy zestrzelone samoloty, a cnoty ostrożności nauczył się w sposób nader bolesny. Był już raz strącony. Dowodzony przez niego pułk wpadł w zastawioną przez Amerykanów pułapkę; major nie chciał, by historia się powtórzyła.

Teraz jednak nie miał jak się dowiedzieć, czy nad Islandię rzeczywiście nadciąga atak, czy jest to tylko kolejna amerykańska zagrywka. Podjął decyzję. Na jego rozkaz myśliwce wzbily się na wysokość dwóch tysięcy siedmiuset metrów i pod osłoną SAM-ów krążyły nad półwyspem, trzymając się lądu i oszczędzając paliwo. Przez ostatnie dni piloci ostro ćwiczili tę taktykę i byli przekonani, że obsługi wyrzutni raketowych i dział przeciwlotniczych, na tyle na ile jest to możliwe, potrafią odróżnić własne maszyny od obcych. Kiedy myśliwce osiągnęły już wyznaczony pułap, radary ostrzegające poinformowały pilotów, że po wschodniej i zachodniej stronie kręci się więcej amerykańskich Hawkeye'ów. Wiadomość tę, wraz z żądaniem wysłania backfire'ów, przekazano natychmiast do bazy. Ziemia jednak poleciła zlokalizować dokładnie amerykańską flotę i ustalić jej skład. Komendant bazy po prostu zlekceważył wiadomość o Hawkeye'ach.

Dowódca radzieckich myśliwców klął na czym świat stoi.

Amerykańskie samoloty radiolokacyjne stanowiły główny cel, a ponadto znajdowały się tak kusząco blisko. Gdyby dysponował pełnym pułkiem, ruszyłby na nie natychmiast; nawet jeśli w starciu z osłoną myśliwską miał poświęcić kilka swoich maszyn. Teraz jednak rozum dyktował mu, że przeciwnik tego właśnie oczekuje.

Pierwsze wystartowały intrudery. Ruszyły na południe, mknąc tuż nad falami z szybkością

pięciuset węzłów. Pod skrzydłami miały podwieszane rakiety antyradarowe Standard-ARM. Za nimi, na dużej wysokości poruszały się tomcaty. Kiedy myśliwce minęły już samoloty radiolokacyjne, oświetliły swymi radarami krążące migi i zaczęły odpalać rakiety Phoenix.

Migi nie mogły zignorować ataku. Radzieckie myśliwce rozdzieliły się na dwójki i kierowane przez naziemnych kontrolerów radarowych rozprzestrzeniły się po niebie.* Intrudery wzbiły się wyżej, po czym z odległości trzydziestu mil – ciągle jeszcze poza zasięgiem radzieckich SAM-ów – każda z maszyn wystrzeliła w stronę rosyjskich radarów

śledzących po cztery rakiety Standard-ARM. Operatorzy sowieckich radiolokatorów stanęli przed okrutnym wyborem: albo nadal prowadzić namiar, skazując się na prawie pewną zagładę, albo wyłączyć urządzenia – ale wtedy straciliby kontrolę nad rozgrywającą się w powietrzu bitwą.

Wybrali złoty środek. Dowódca radzieckich SAM-ów polecił w nieregularnych odstępach czasu włączać i wyłączać systemy, żywiąc nadzieję, że zmyli tym nadlatujące pociski, a jednocześnie zdoła w jakiś sposób wykryć zbliżający się nalot. Rakiety miały do celów ponad minutę lotu, ale większość załóg radiolokatorów – okropnie myśląc otrzymany rozkaz – zdążyła wyłączyć urządzenia na dobre.

Najpierw nadleciały phoenixy. Piloci migów, których nie prowadziły już żadne radary naziemne, zaczęli manewrować.

W jedną z maszyn wycelowane były aż cztery pociski.

Samolot uniknął dwóch z nich po to tylko, by zderzyć się z trzecim. Rosyjski major zaklął. Zdawał sobie sprawę, jak bardzo jest bezradny. Gorączkowo próbował coś wymyślić.

Potem pojawiły się standardy-ARM. Rosjanie dysponowali trzema radarami śledzącymi i trzema do wykrywania nadlatujących rakiet. W chwili, kiedy ogłoszono pierwszy alarm, wszystkie funkcjonowały, lecz na wieść o ataku rakietowym obsługi natychmiast wyłączyły urządzenia.

Częściowo tylko zdołały zmylić tym standardy. System naprowadzania tych rakiet rejestrował również i pozycję celu w razie, gdyby ten przerwał pracę.»Tak zatem pociski mknęły po ustalonej uprzednio trasie. Rakiety zniszczyły dwa nadajniki. Dwa inne uszkodziły.

Amerykański dowódca zadania był zaniepokojony. Rosyjskie myśliwce nie podejmowały walki nawet wtedy, gdy intrudery wzbiły się na wyższy pułap. A przecież, przygotowany na taką okoliczność, trzymał w odwodzie myśliwce, które teraz krążyły blisko ziemi. Nie przewidział tego, że radzieckie radary przerwą pracę. Wydał kolejny rozkaz. Od północnej strony wynurzyły się lecące na małej wysokości trzy eskadry samolotów F f A-18 Hornet.

Dowodzący radziecką obroną przeciwlotniczą polecił niezwłocznie uruchomić radary. Najpierw przekonał się, że

nie nadlatują żadne nowe pociski, a następnie spostrzegł pędzące na małej wysokości hornety. Dowódca migów również ujrzał zbliżające się myśliwce. Pojął, że ma szansę. Migi-29 były bliźniaczo podobne do maszyn amerykańskich.

Hornety namierzyły rosyjskie wyrzutnie SAM-ów i zaczęły wypuszczać w ich stronę pociski rakietowe. Niebo cięły smugi ognia. Dwa hornety zostały trafione rakietami, dwa inne zestrzeliła artyleria w chwili, kiedy amerykańskie myśliwce bombardujące mknęły nad ziemią, zrzucając bomby i ziejąc ogniem z działek pokładowych.

Następnie pojawiły się migi. Piloci amerykańscy, choć zostali ostrzeżeni o nadlatujących rosyjskich maszynach, byli już zbyt blisko, by zareagować natychmiast. Kiedy jednak samoloty pozbyły się bomb, znów stały się myśliwcami i pomknęły w górę – bardziej niż rakiet obawiały się migów. W powietrzu zapanowało okropne zamieszanie.

Maszyny były trudne do odróżnienia, nawet gdyby stały obok siebie na pasach startowych. W ferworze walki, przy szybkości sześciuset węzłów stawało się to praktycznie niemożliwe, toteż Amerykanie, mimo przewagi liczebnej, musieli czekać z otwarciem ognia do chwili, aż przekonają się, do czyjego samolotu celują. Rosjanie wiedzieli, kogo atakują, ale też mieli kłopoty z odróżnieniem maszyny towarzysza od maszyny wroga. Samoloty roily się bezładnie w powietrzu, zbliżały się do siebie na odległość wykluczającą użycie rakiet. Walka przybrała charakter anachronicznych pojedynków na działka pokładowe. A wokół niebo pruły rakiety wystrzeliwane z dwóch ocalałych rosyjskich wyrzutni. Zarówno kontrolerzy amerykańskich samolotów radiolokacyjnych, jak i radzieccy operatorzy naziemnych radarów byli bezradni. Wszystko spoczywało w rękach pilotów.

Myśliwce włączały dopalacze i przy morderczych przyspieszeniach wchodziły w gwałtowne skręty. Piloci starali się po barwie odróżnić maszyny wroga od własnych.

Amerykańskie samoloty były mglistoszarze i trudniejsze*do wyśledzenia na tle błękitu nieba. Pozwalało to im tropić nieprzyjacielskie maszyny z większej odległości. Najpierw eksplodowały dwa hornety, a następnie mig. Potem pociski

z działka pokładowego któregoś z amerykańskich myśliwców trafiły kolejnego miga, I znów hornet – strąciła go rakietą. Zabłąkany SAM eksplodował tak blisko amerykańskiej i rosyjskiej maszyny, że zniszczył obie.

Dostrzegł to radziecki major, krzyknął w mikrofon pod adresem wyrzutni, by wstrzymała ogień, a potem sam zaczął strzelać z armatek pokładowych do nadlatującego horneta.

Chybił, więc natychmiast ruszył za nim w pościg. Amerykanin strzelił do ścigającego go miga. Silnik zaczął dymić. Major nie wiedział, ile radzieckich maszyn zostało już strąconych.

Problem ten zresztą niewiele go obchodził. Pilot walczył o życie, które mógł lada chwila stracić. Włączył dopalacze, po czym nie zwracając na nic uwagi, ruszył za amerykańskim myśliwcem. Ten skręcił na północ i pomykał nad wodą.

Major wystrzelił ostatnią rakietę i obserwował, jak dogania ona amerykańską maszynę. W tej samej chwili stanął w ogniu silnik rosyjskiego samolotu. Ogon horneta rozpadł się, a major krzyknął z radości. Po sekundzie obaj piloci katapultowali się w odległości zaledwie kilkuset metrów od siebie. Cztery zestrzelenia – pomyślał major. – Bez względu na to, jak potoczają się moje losy, obowiązek swój wypełniłem.

Pół minuty później znalazł się w wodzie.

Komandor Davies, klnąc i błogosławiąc jednocześnie los, wpełzł do pontonu. Starał się chronić złamany nadgarstek. Natychmiast uruchomił nadajnik ratowniczego radia.

Rozejrzał się. W niewielkiej odległości dostrzegł inny żółty ponton. Trudno było mu wiosłować jedną ręką, ale rozbitek z sąsiedniej tratwy płynął już w jego stronę. Potem nastąpiła rzecz zdumiewająca.

–Jesteście jeńcem! – krzyknął mężczyzna, kierując w jego stronę rewolwer. Pistolet Daviesa spoczywał na dnie morza.

–Kim pan, do diabła, jest?

–Jestem major Aleksander Georgijewicz Czapajew.

Radzieckie siły powietrzne.

–Witam, komandor GUS Davies, marynarka Stanów Zjednoczonych. Kto pana zestrzelił?

–Nikt! Skończyło mi się paliwo! – machnął bronią.

–A teraz jesteście moim jeńcem.

–Głupstwa pan opowiadasz!

Major Czapajew potrząsnął głową. Podobnie jak Davies, znajdował się jeszcze w szoku. Zbyt świeżo miał w pamięci walkę i śmierć, której ledwie uniknął.

–Niech pan, majorze, dobrze pilnuje swojej broni. Nie jestem pewien, czy w okolicy nie ma rekinów.

–Rekinów?

Davies zastanowił się. Przypomniał sobie nazwę nowego typu radzieckiego okrętu podwodnego.

–Akula. Akula w wodzie.

Czapajew pobladł.

–Akula?

Davies rozpiął kurtkę lotniczą i uwolnił kontuzjowaną rękę.

–Tak, majorze. Już trzeci raz zażywam takiej przymusowej kąpieli. Ostatnim razem spędziłem na pontonie dwanaście godzin i widziałem kilka tych przeklętych stworów. Ma pan środek odstraszający?

–Co proszę? – major był kompletnie dezorientowany.

–Coś takiego. – Davies zanurzył w wodzie plastikową kopertę. – Połączmy liną nasze łódki. Będzie bezpieczniej.

Ten środek pomoże nam przepłoszyć akule.

Davies próbował jedną ręką związać łódki, ale mu to nie wyszło. Widząc nieporadne usiłowania komandora, Czapajew odłożył rewolwer i zaczął wyręczać Amerykanina. Po wyjściu cało z ostrzału w walce, którą przed chwilą stoczył, major zaczął bardzo sobie cenić życie. Myśl o śmierci w paszczy drapieżnej ryby napawała go grozą. Rozglądał się więc z niepokojem.

–Boże drogi, co za ranek! – jęknął Davies. Coraz bardziej dolegał mu pęknięty nadgarstek.

Czapajew kiwnięciem głowy przyznał mu rację. Dopiero teraz spostrzegł, że nie widać lądu. Sięgnął po radio, ale odkrył tylko, że ma strzaskaną nogę. Urządzenie przepadło.

Pilot, katapultując się, rozpruł sobie kieszeń skafandra, w której trzymał nadajnik.

–Aleśmy, kurwa, trafili – mruknął po rosyjsku.

–Słucham?

–Gdzie ląd? – Morze nigdy jeszcze nie wydawało mu się tak rozległe.

–Mniej więcej dwadzieścia pięć mil w tamtą stronę.

Tak mi się wydaje. Majorze, pańska noga nie wygląda najlepiej. – Davies roześmiał się chłodno. – Mamy chyba identyczne katapulty. O kurczę, ale mnie boli ręka.

–Co to wszystko, do cholery, znaczy? – pomyślał na głos Edwards.

Byli zbyt daleko, by cokolwiek słyszeć, ale nie mogli przeoczyć unoszących się nad Keflavikiem kłębow dymu.

Większy problem stanowili Rosjanie, którzy dotarli już do podnóża ich góry. Nichols, Smith i czterech żołnierzy zajęli stanowiska, formując długą na sto metrów linię.

Pośrodku niej znalazł się Edwards. Wysmarowali ziemią twarze i przykucnięci za skałami obserwowali odległych o kilkaset metrów Rosjan.

–Brytan, tu Ogar. Mamy kłopoty.

Wezwanie musiał powtórzyć dwukrotnie.

–W czym problem, Ogar?

–Na nasze wzgórze włązi pięciu czy sześciu Ruskich.

Są jakieś dwieście metrów pod nami, w odległości jakichś ośmiuset. Co się dzieje w Keflaviku?

–Przypuściliśmy atak. Na razie wiem tylko tyle, Ogar.

Zaczekajcie, może uda mi się zorganizować wam jakąś pomoc.

–Dzięki.

–Michael?

–Dzień dobry. Miło widzieć, że ktoś się przynajmniej wyspał.

Usiadła obok niego, oparła mu dłoń na kolanie, a on na chwilę zapomniał o strachu.

–Jestem pewien, że widziałem na tamtym szczycie jakiś ruch – powiedział sierżant.

–Popatrzmy – porucznik skierował potężną lornetkę

na wzgórze. – Nic. Nic tam nie ma. Może dostrzeżliście jakiegoś ptaka. Żyje tu wiele tych puszystych stworzeń.

–Może – zgodził się sierżant.

Czuł wyrzuty sumienia za to, że kazał Markowskiemu wspinać się taki kawał w górę. Gdyby porucznik miał choć połowę mózgu – pomyślał – posłałby tam większy oddział i sam stanął na jego czele. Tak powinien uczynić oficer z prawdziwego zdarzenia.

–Baza lotnicza przeżywa ciężkie chwile.

–Czy połączyliście się z nią przez radio?

–Próbowałem. Ale tam wszystkie odbiorniki milczą.

W głosie miał niepokój. Sto dziesięć kilometrów to zbyt dużo jak na niewielkie taktyczne radio, toteż z bazą lotniczą mogli łączyć się tylko za pomocą potężnego, pracującego na

pasmach wysokiej częstotliwości nadajnika. Porucznik wolałby być z patrolem, ale zdawał sobie sprawę, że jego miejsce jest tutaj.

–Prześlijcie Markowskiemu ostrzeżenie.

Edwards dostrzegł rosyjskiego żołnierza, który rozmawiał przez radiotelefon.

Powiedzcie mu, że wchodzi na złe wzgórze – modlił się w duchu porucznik. – Powiedzcie, by wracał do domu, do mamusi.

–Schowaj głowę, mała.

–Co się dzieje, Michael?

–Idzie tu kilku ludzi.

–Kto? – w jej głosie pojawił się niepokój.

–Zgadnij.

–Szefie, z całą pewnością idą do nas – ostrzegł przez radio Smith.

–Widzę. Wszyscy ukryci?

–Poruczniku, niech podejda jak najbliżej. Wtedy dopiero otworzymy ogień – włączył się do rozmowy Nichols.

–On ma rację, szefie – przytaknął Smith.

–Okay. Macie jakieś pomysły, panowie? Chcę je znać...

Aha, prosiłem przez radio o pomoc. Może dostaniemy jakieś wsparcie lotnicze.

Mikę wprowadził nabój do komory karabinu, sprawdził, czy broń jest zabezpieczona i odłożył M-16 na ziemię.

Wszyscy marines uzbrojeni byli w ręczne granaty. Edwards, który nigdy nie miał z nimi do czynienia, po prostu bał się tego sprzętu.

No chłopcy, spieprzajcie stąd, a my będziemy wam wdzięczni, że zostawiacie nas w spokoju. Ale Rosjanie uparcie szli do góry. Spadochroniarze wspinali się powoli, w jednej ręce trzymając karabin, a drugą badając chwyty.

Nie patrzyli ani do góry, ani pod nogi.

Mikę był potężnie wystraszony. Żołnierze ci należeli do elitarnych jednostek rosyjskich –

takich jak marines – ale on przecież do piechoty morskiej nie należał. To nie było jego miejsce. A fakt, że dwukrotnie już stanął z Rosjanami oko w oko – raz w domu Vigdis i ponownie, podczas strasznej przygody z helikopterem – w tej chwili nie miał znaczenia, nie liczył się. Chciał uciekać – ale jak? Zdobył przecież szacunek swoich marines. Gdyby teraz go odrzucił, czy potrafiłby później normalnie żyć? A co z Vigdis?

Uciekać tak na jej oczach? Mikę, czego ty się właściwie najbardziej boisz? – zadał sobie pytanie.

–Tylko spokojnie – mruknął pod nosem.

–Słucham? – spytała Vigdis.

–Nic nic – próbował się uśmiechnąć, ale niezupełnie mu to wyszło.

Nie opuścisz jej, prawda?

Rosjan dzieliło od nich już tylko pięćset metrów w pionie.

Teraz posuwali się dużo ostrożniej. Było ich sześciu, szli parami i badali wzrokiem otoczenie. Nie wybierali najłatwiejszej drogi podejścia.

–Szefie, nowy problem – odezwał się Smith. – Chyba wiedzą, że tu jesteśmy.

–Sierżancie Nichols, co pan o tym wszystkim sądzi?

–Dopuszczymy ich na sto metrów, a potem, na Boga, dobrze kryjmy głowy! Niech pan spróbuje jeszcze raz połączyć się przez radio.

Edwards włączył urządzenie.

–Brytan, tu Ogar. Potrzebujemy pomocy.

–Pracujemy nad tym. Próbujemy nawiązać kontakt... nawiązać kontakt z kilkoma przyjaciółmi na tej fali. Niestety, wymaga to czasu, poruczniku.

–Mamy najwyżej pięć minut. Potem rozpocznie się strzelanina.

–Nie wyłączaj radia.

Gdzie się podziali? – zdziwił się Edwards. Nikogo nie widział. Skały i ukrycie, pracujące dotąd na ich korzyść, teraz były sprzymierzeńcem wroga.

Wziął się w garść. Był oficerem, sprawował dowództwo, siedział w najdogodniejszym punkcie i musiał zorientować się w sytuacji. By mieć lepszy widok, przesunął się lekko w bok.

–Tam, ktoś jest! – powiedział sierżant, sięgając po radio. – Markowski, wchodźcie w pułapkę! Widzę na szczycie kogoś w hełmie.

–Macie rację – potwierdził porucznik. Odwrócił się.

–Przygotować moździerz!

Oficer podbiegł do nadajnika radiowego i spróbował połączyć się z Keflavikiem. Uzbrojeni żołnierze na tamym wzgórzu mogli oznaczać tylko jedno.

Ale kontaktu z Keflavikiem nie było.

Edwards zauważył, że jeden z Rosjan wstał, lecz na czyjś okrzyk natychmiast skrył się za skały. Kiedy ponownie się pojawił, trzymał gotową do strzału broń. Porucznik usłyszał ostry świst. W odległości pięćdziesięciu metrów eksplodował pocisk.

–O cholera!

Edwards upadł plackiem na ziemię, wtulił twarz w kamienie. Posypał się nań grad skalnych odłamków. Uniósł lekko głowę, by spojrzeć na Vigdis. Dziewczyna była cała i zdrowa. Przeniósł wzrok na odległy wierzchołek. Jego zбочem zbiegali ludzie. Kolejny pocisk moździerzowy wylądował po prawej stronie, a po nim rozległy*się serie z broni maszynowej.

Chwycił radio satelitarne.

–Brytan, tu Ogar. Atakują nas.

–Ogar, jesteśmy w kontakcie z lotniskowcem. Czekaj...

–Kolejna eksplozja wstrząsnęła ziemią. Kula spadła niecałe trzydzieści metrów od Edwardsa, ale porucznik był dobrze ukryty. – Ogar, lotniskowiec jest na twojej fali. Wywołuj go. Kod: Baza Gwiazdna. Wiedzą, gdzie jesteście.

–Baza Gwiazdna, tu Ogar!

–Przyjąłem, Ogar. Powiedziano nam, że jesteście pięć kilometrów na zachód od wzgórza 1064. Powiedz, co się dzieje.

–Baza Gwiazdna, atakuje nas drużyna radzieckiej piechoty. Następni Rosjanie już w drodze. Na 1064 mają posterunek obserwacyjny z moździerzem, który właśnie nas ostrzeliwuje. Potrzebujemy natychmiastowej pomocy.

–Przyjąłem, Ogar. Zaczekaj. Ogar, przyślemy wam pomoc. Dotrze za dwadzieścia pięć minut. Czy możecie jakoś oznaczyć wasze stanowisko?

–Nie mamy jak.

–Zrozumiałem. Trzymaj się, Ogar. Za chwilę znowu się połączymy.

Edwards usłyszał dobiegający z lewej strony krzyk.

Wychylił głowę i zobaczył, że pocisk spadł obok stanowiska Nicholasa... a Rosjan ma już niecałe sto metrów przed sobą.

Chwycił karabin i wycelował w jedną z postaci, ale ta natychmiast zniknęła mu z oczu.

Wolną ręką sięgnął po radiotelefon.

–Nichols, Smith, tu Edwards. Co się tam dzieje?

–Tu Nichols. Ten, kto strzela z tego moździerza, zna swój fach. Mam dwóch rannych.

–U nas wszystko w porządku, szefie. Widzieliśmy dwóch spadających Rosjan. Wysłałem do pana Garcia.

–No dobrze, chłopcy. Samoloty już do nas lecą. Ja... – znów pojawił się radziecki spadochroniarz. Edwards odrzucił nadajnik, wycelował i posłał w stronę Rosjanina trzy kule. Chybił, a przeciwnik przepadł między kamieniami.

Porucznik znów sięgnął po radiotelefon. – Nichols, potrzebujecie pomocy?

–Dwóch z nas może strzelać. Obawiam się, że Rodgers

nie żyje. Jest... – radio umilkło na chwilę. – W porządku, w porządku. Właśnie trafiliśmy jednego. Drugi pryska.

Niech pan wyjrzy, poruczniku. Pięćdziesiąt metrów po pana lewej stronie czai się dwójka.

Kiedy Mike wystawił głowę, rozległ się strzał. Odpowiedział ogniem, ale nikogo nie trafił.

–Cześć, szefie! – obok przypadł do ziemi Garcia.

–Tam jest dwóch niedobrych chłopców – wskazał palcem Edwards. Żołnierz skinął głową i ruszył w lewo. Przebył tylko dziesięć metrów. W odległości czterech kroków za nim eksplodował pocisk z moździerza. Garcia upadł.

Nie! Nie, to nieuczciwe! Ja go tam wysłałem! To nieuczciwe!

**–Smith, Garcia dostał. Wracaj do mnie! Nichols, jeśli możesz, też tu przyjdź! – włączył radio.
– Baza Gwiezdna, tu Ogar. Powiedz pilotom, by się śpieszyli.**

–Za dwadzieścia minut, Ogar. Cztery A-7. Wysłaliśmy też inną pomoc. Ale tamte pojawią się pierwsze.

Edwards chwycił karabin i zbliżył się do Garcii. Żołnierz jeszcze oddychał, ale plecy i nogi miał poszarpane odłamkami. Porucznik podpełzł do grani i wyjrzał na drugą stronę. W odległości dziesięciu metrów dostrzegł przykucniętego Rosjanina. Wystrzelił w niego dwa razy. Rosjanin zeskoczył w dół, posyłając szerokim łukiem w stronę Edwardsa serię, która o mało nie trafiła. Gdzie jest drugi?

Michael wychylił głowę i ujrzał w powietrzu nadlatujący kulisty przedmiot. Odskoczył w tył, a granat spadł trzy metry od miejsca, w którym przed chwilą znajdował się porucznik. Mike przetoczył się w prawo i wrócił na szczyt pagórka.

Jego Rosjanina nie było, ale dojrzał za to innych. Dotarli właśnie do podnóża góry i zaczęli wspinać się. Wyprężył ciało i, chowając głowę w ramiona, wyjrzał za grzędę.

Dostrzegł następnego. Schodził, dźwigając ранego kolegę.

"Za jego plecami zaczęły spadać pociski z moździerza.

Zabezpieczały mu drogę odwrotu.

Pojawił się Smith. Był ranny w ramię.

–Wszystko w porządku, poruczniku. Kanonier tego pierwszego moździerza to jakiś rosyjski Davy Crockett!

Trzy minuty później dołączył Nichols. Był cały, ale towarzyszący mu żołnierz brytyjskiej piechoty morskiej odniósł ranę w brzuch.

Edwards popatrzył na zegarek.

–Za dziesięć minut przylecą nam z odsieczą samoloty.

Mamy czekać na wierzchołku.

Ludzie rozlokowali się w promieniu kilkunastu metrów.

Porucznik posadził Vigdis między dwiema skałkami.

–Michael, jestem...

–Wiem, też się boję. Zostań tu i nie ruszaj się stąd pod żadnym pozorem. Czekaj tutaj. Możesz... – rozległ się świst.

Tym razem pocisk spadł bardzo blisko. Michael zachwiał się i upadł na dziewczynę. Rozpalona igła przeszła mu nogę.

–Kurwa mać!

Dostał dokładnie w miejsce, gdzie kończył się but.

Próbował wstać, ale noga odmówiła mu posłuszeństwa.

Rozejrzał się i, klnąc jak szewc, dokuśtykał do radia.

–Baza Gwiazdna, tu Ogar.

–Jeszcze dziewięć minut, Ogar – odparł spokojny głos.

–Baza Gwiazdna, jesteśmy na samym wierzchołku wzgórza. Siedzimy w promieniu piętnastu metrów – wychylił głowę. – Nadchodzi około piętnastu niedobrych chłopców. Są jakieś siedemset metrów od nas. Pierwszy atak odparliśmy, ale pozostało nas... czworo- Trzech jest rannych. Na litość boską, zniszczcie najpierw ten mózdzierz.

On nas zamorduje.

–Przyjąłem. Trzymajcie się blisko siebie. Pomoc już nadchodzi.

–Jest pan ranny, poruczniku – odezwał się Nichols.

–Też to zauważyłem. Samoloty przybędą za osiem, dziewięć minut. Powiedziałem, żeby najpierw zniszczyły mózdzierz.

–Bardzo dobrze. Iwan kocha taką jatkę – sierżant rozciął Edwardsowi spodnie i owinął bandażem ranę. – Przez jakiś czas nie będzie pan chodził na tańce.

–Musimy ich trochę przytrzymać na dole. Jak to zrobić?

–Otworzymy ogień, gdy będą od nas oddaleni o pięćset metrów. To ostudzi nieco ich zapalę. Będą ostrożniejsi.

Chodźmy – Nichols chwycił Edwardsa pod ramię i zaciągnął go na grzędę.

Rosjanie umiejętnie zdobywali teren. Poruszali się błyskawicznymi skokami, wykorzystując każdą naturalną osłonę.

Moździerz chwilowo milczał, ale z pewnością da o sobie znać, kiedy przystąpią do ostatecznego ataku. Nichols odłożył pistolet maszynowy i sięgnął po samopowtarzalny karabin. Kiedy przeciwnicy znaleźli się pięćset metrów od niego, sierżant wycelował i nacisnął spust. Nie trafił, ale Rosjanie natychmiast przypadli do ziemi.

–Wie pan, co pan robi? – spytał Edwards.

–Tak, ściągamy na nas ogień mózdzierza – Nichols popatrzył na swego porucznika. – Niewielki wybór, prawda?

–Michael, możesz tego potrzebować – obok pojawiła się Vigdis.

–Mówiłem ci, żebyś...

–Masz tutaj radio. Wracam...

–Padnij! – Mikę szarpnął dziewczynę i brutalnie obalił ją na ziemię. Dziesięć metrów od nich eksplodował pocisk. Potem spadło pięć dalszych.

–Atakują! – wykrzyknął Smith.

Piechota morska zaczęła strzelać. Rosjanie odpowiedzieli ogniem. Pomykali między skałami w dwóch grupach.

Najwyraźniej chcieli wziąć obrońców w kleszcze.

Mikę wrócił do radia.

–Baza Gwiazdna, tu Ogar.

–Słyszę cię, Ogar.

–Atakują.

–Ogar, A-7 mają już z wami kontakt wzrokowy.

Podaj dokładnie waszą pozycję. Powtarzam: dokładnie.

–Baza Gwiazdna, masyw posiada dwa niższe wierzchołki. Oba oddalone o jakieś pięć kilometrów na zachód od wzgórza 1064. Jesteśmy na północnym. Powtarzam: na północnym. Siedzimy na samym szczycie w promieniu

piętnastu metrów. Wszystko, co się rusza, to wróg. Moździerz jest na wzgórzu 1064. Musicie go zlikwidować w pierwszym rzędzie.

Nastąpiła długa chwila ciszy.

–W porządku, Ogar. Już wiedzą, gdzie jesteście.

Chowajcie głowy. Będą za minutę, nadlecą z południa.

Powodzenia.

–Dwieście metrów – powiedział Nichols.

Edwards dołączył do niego i pochylił M-16. Pokazały się trzy sylwetki nieprzyjaciół. Porucznik

i sierżant wystrzelili jednocześnie. Edwardsowi trudno było powiedzieć, czy któryś z pocisków trafił. Tuż obok zagrzecotała o skały seria z broni maszynowej. Potem nad głowami zaczęły świstać następne pociski z moździerza. W chwili, gdy na grani pojawiło się pięciu Rosjan, Edwards dostrzegł nadlatujący z prawej strony mglistoszary kształt nurkującego myśliwca bombardującego.

Pękaty A-7E corsair przemknął na wysokości trzystu metrów nad odległym o pięć kilometrów głównym wierzchołkiem masywu. Od maszyny oderwały się cztery pojemniki, otworzyły w powietrzu i na rosyjski posterunek spadła niewielka chmura bombek. Wierzchołek spowiła kurzawa. Do Amerykanów dotarł głośny trzask, jakby pękającego w ogniu drewna. Dwadzieścia sekund później manewr powtórzył następny samolot. Na szczycie nie pozostał nikt żywy.

Atakujący Rosjanie stanęli jak skamienieli i patrzyli w stronę swojej bazy. Potem dostrzegli kolejne samoloty.

Krążyły zaledwie dwa tysiące metrów od nich. Spadochroniarzom została już tylko jedna szansa: znaleźć się jak najbliżej Amerykanów. Obcy żołnierze, jak na komendę, zaczęli się wspinać. Strzelali na oślep. Piloci dwóch corsairów dostrzegli ruch i nad stokiem, na wysokości zaledwie trzydziestu metrów, przemknęły obie maszyny, zrzucając na Rosjan po dwie wiązki bomb. Przez grzmot eksplozji do uszu Edwardsa dobiegły straszliwe krzyki, ale w chmurze kurzu nie mógł nic dostrzec.

–Jezu, już niewiele bliżej nas mogą zrzucać te bomby.

–W ogóle nie mogą zrzucać bliżej – odparł Nichols, wycierając z twarzy krew.

Z tumanów kurzu ciągle dobiegały serie z broni maszynowej. Kiedy wiatr rozwiął chmurę, do przodu parło jeszcze co najmniej pięciu Rosjan. Corsair próbował dokonać kolejnego nalotu, ale okazało się, że samolot jest już zbyt blisko własnych żołnierzy. Otworzył ogień z działek pokładowych. Parę pocisków rozbryznęło się dziesięć metrów od Edwardsa.

–Którędy pójdą?

–Myślę, że w lewo – odparł Nichols. – Nie możesz się połączyć bezpośrednio z myśliwcami?

–Nie przez to radio, sierżancie.

A-7 krążyły nad ich głowami, a piloci wypatrywali na dole poruszających się sylwetek. Edwards pomachał ręką, ale nie widział, czy któryś z lotników zauważył jego gest.

Znajdująca się z lewej strony maszyna znurkowała i wystrzeliła serię z broni pokładowej. Edwards usłyszał wrzask, lecz ранego nie dostrzegł.

–Jesteśmy w martwym punkcie – Edwards odwrócił się i spojrzał na radio satelitarne. Odłamki

z ostatniej serii pocisków moździerzowych rozdarły urządzenie na strzępy.

–Padnij! – Nichols pociągnął porucznika na ziemię.

W powietrzu pojawił się lecący szerokim łukiem ręczny granat. Ekspłodował zaledwie kilka metrów od nich. – Znów atakują!

Edwards przekręcił się na plecy i zmienił magazynek.

Piętnaście metrów dalej dostrzegł dwóch Rosjan i oddał w ich stronę długą serię. Jeden z żołnierzy upadł na twarz.

Drugi odpowiedział ogniem i uskoczył w lewo. Porucznik poczuł, że nogi przygniata mu jakiś ciężar. Obejrzał się.

Sierżant Nichols leżał na plecach. W ramieniu ziały mu trzy krwawe dziury.

Edwards włożył do karabinu ostatni magazynek i niezdarnie odpełził w lewo. Prawa noga odmawiała mu posłuszeństwa.

–Michael...

–Nie tędy! – krzyknął porucznik. – Rozejrzyj się!

Ujrzał przed sobą czyjąś twarz, karabin... i rozbłysk.

Rzucił się w prawo. Nie był wystarczająco szybki. Dostał 19 – Czerwony sztorm t. II

w pierś. Był w szoku i dlatego nie poczuł przeraźliwego bólu. Oddał w powietrze kilka strzałów by utrzymać przeciwnika na dystans i, wlokąc za sobą nogę, przesunął się w inne miejsce. Gdzie się wszyscy podzieli? Z prawej strony odezwał się pistolet maszynowy. Czemu mi nikt nie pomaga? Słyszał ryk kołujących bezradnie A-7. Poruszeni piloci obserwowali rozgrywające się w dole wypadki.

Edwards klął ich w duchu. W postrzelonej nodze czuł okropny ból, lewe ramię miał bezwładne. Ujął karabin w jedną rękę, niczym zbyt duży pistolet i czekał na Rosjan.

Poczuł, że ktoś go odciąga na bok.

–Zostaw mnie, Vigdis. Na Chrystusa, zostaw mnie i uciekaj.

Nie odezwała się słowem. Oddychała ciężko i zataczając się, wlokła go po skałach. Z upływu krwi zaczynał tracić przytomność. Ujrzał jeszcze oddalające się A-7. Usłyszał nowy dźwięk, który nie miał już zupełnie sensu. Wokół wzbił się tuman kurzu, w twarz uderzył go silny podmuch wiatru, długim terkotem zaniósł się karabin maszynowy, a na końcu pojawił się wielki, zielono-czarny kształt. Wyskakiwali z niego żołnierze. To był koniec. Zamknął oczy. Przybyły

posiłki z Keflaviku. Nadleciał helikopter Mi-24... ale Edwardsowi było już wszystko jedno. Ukończył wielki wyścig i przegrał. Usłyszał jeszcze szczęk automatycznej broni. Helikopter odleciał i zaległa cisza. Jak Rosjanie potraktują jeńców, którzy zabili im tylu żołnierzy...?

–Nazywasz się Ogar?

Z ogromnym wysiłkiem rozchylił powieki. Nad nim stał Murzyn.

–Kim jesteś?

–Sam Potter. Porucznik z Drugiej Armii Desantowej.

To ty jesteś Ogar?

–Moi ludzie są ranni.

–Mają dobrą opiekę. Ciebie zabierzemy za pięć minut.

Trzymaj się, Ogar. Muszę jeszcze coś zrobić. W porządku! – krzyknął. – Zajmijcie się Rosjanami. Jeśli chcemy, by nasi przeżyli, musimy ich natychmiast zabrać z tych cholernych skał.

–Michael? – umysł Edwardsa spowijała mgła. Ujrzał nad sobą twarz dziewczyny i stracił przytomność.

–Co to za facet? – spytał pięć minut później porucznik Potter.

–Odsunięty od lotów pilot. Twardziel – odparł Smith, krzywiąc się z bólu.

–Jacie się tu dostali? – Potter skinął na operatora radiowego.

–Przebyliśmy całą tę pieprzoną drogę z Keflaviku, sir.

–Niezły spacer, sierżancie – w głosie Pottera pojawiły się nutki szacunku. Odbył szybko rozmowy przez radio. – Helikopter już w drodze. Ta pani leci z nami?

–Tak, sir. Witamy na Islandii, sir. Czekaliśmy tu na was od dawna.

–Proszę popatrzeć, sierżancie.

Na horyzoncie, po wschodniej stronie, majaczyły szare kształty płynące prosto do Stykkisholmuru.

USS "Chicago" Ciągle gdzieś się czaiły. Tego McCafferty był pewien. Ale gdzie?

Po zniszczeniu tanga nie udało się już nawiązać kontaktu z żadną z dwóch pozostałych

rosyjskich jednostek podwodnych. Nastąpiło osiem godzin względnego spokoju. Wprawdzie ciągle kręciły się nad nimi samoloty do zwalczania okrętów podwodnych zrzucając coraz to nowe pławy, ale najwyraźniej coś było z nimi nie tak. Ignorowały obecność wrogich jednostek. Amerykanie tylko cztery razy musieli wykonywać manewr wymijający. W czasach pokoju byłoby to może dużo, ale po gorączce ostatnich dni wszystkim wydawało się, że trafili wreszcie na wakacje.

Kapitan i załoga wykorzystali ten czas na odpoczynek.

Jakkolwiek wszyscy najchętniej nie wychodziliby z koi przez miesiąc, cztery czy sześć godzin snu było dla nich tym, czym dla konającego z pragnienia na pustyni szklanka wody; mogli trochę dłużej funkcjonować. Ponadto znajdowali się już blisko celu. Od postrzępionej granicy

arktycznego lodu dzieliło ich dokładnie sto mil. Około szesnastu godzin drogi.

"Chicago" wyprzedzał dwa pozostałe amerykańskie okręty o pięć mil. Co godzinę McCafferty kierował się na wschód i holowaną anteną sonarową namierzał ich pozycje.

Nawet z tak niewielkiej odległości "Boston" i "Providence" były trudne do zlokalizowania.

Zastanawiał się, co myślą Rosjanie. Taktyka zmasowanych ataków jednostkami Krivak i Grisha nie przyniosła efektów.

Zrozumieli pewnie, że co innego używać tych okrętów do stawiania bariery przeciw flocie biorącej udział w operacji "Rozstrzygający Cios", a co innego wszcząć pościg za okrętem podwodnym dysponującym bronią dalekiego zasięgu i skomputeryzowaną centralą ogniową. Ich uzależnienie się od aktywnych pław sonarowych redukowało skuteczność działania lotnictwa do zwalczania łodzi podwodnych. Jedyna rzecz, która prawie im wyszła – ustawianie okrętów podwodnych o napędzie klasycznym między liniami pław sonarowych i taktyka strzelania torpedami na oślep – też ostatecznie zawiodła.

Dzięki Bogu, że nie zorientowali się, jak bliscy byli sukcesu – pomyślał McCafferty. Ciche i trudne do wykrycia okręty podwodne klasy Tango okazały się straszliwym przeciwnikiem, lecz Rosjanie opierali się głównie na nieskomplikowanych sonarach. Koniec końców po tych paru dniach McCafferty był o niebo mądrzejszy niż kilka tygodni wcześniej.

–I co? – zwrócił się do oficera nakresowego.

–Są chyba na tym samym kursie co poprzednio, sir.

Jakieś dziesięć tysięcy metrów za nami. Myślę, że ten to "Boston". Dużo manewruje. "Providence" mozolnie sunie prosto przed siebie. Słyszymy ją bardzo wyraźnie.

–Ster dziesięć stopni w lewo. Nowy kurs: trzy-pięć-pięć – polecił McCafferty.

–Tak jest, ster dziesięć stopni w lewo. Nowy kurs: trzy-pięć-pięć. Sir, ster dziesięć stopni w lewo.

–Doskonale – McCafferty sięgnął po kubek z gorącym kakao. Napój ten stanowił miłą odmianę po ogromnych

ilościach kawy, jakie wypił w ostatnim czasie. "Chicago" wracał powoli na kurs północny. Kiedy włączono dziesięć procent mocy, mechanicy i inżynierowie w maszynowni zaczęli z większą uwagą obserwować wskazania instrumentów.

Jedynym zmartwieniem kapitana był szalejący na powierzchni morza sztorm. Ostatnio na górze przeszło wiele szkwałów, ale ten był wyjątkowo silny. Zespół z przedziału hydrolokatora informował o trzymetrowej wysokości falach i wietrze wiejącym z szybkością czterdziestu węzłów. Było to dziwne, gdyż podczas arktycznego lata sztormy o takiej sile praktycznie się na tych wodach nie zdarzały. Burza zmniejszała wprawdzie skuteczność sonaru "Chicago" o dziesięć do dwudziestu procent, lecz kiedy okręt dotrze już do granicy lodu, stworzy mu warunki wręcz idealne.

Sztorm, rozbijając na drobne kawałki płyty kry o powierzchni kilkuset metrów kwadratowych, spowoduje taki hałas, że amerykański okręt podwodny stanie się nie do wykrycia.

Jeszcze szesnaście godzin i będziemy bezpieczni – mówił sobie McCafferty.

–Sterownia, tu sonar. Mamy kontakt na współrzędnych trzy-zero-cztery. Na razie zbyt mało danych, by określić cel.

McCafferty przeszedł do przedziału hydrolokacji.

–Proszę mi to pokazać.

–Tutaj, kapitanie – szef puknął palcem w ekran. – Nie potrafię jeszcze określić szybkości. Zbyt fragmentaryczne dane. Ale na mój nos, to atomowy okręt podwodny.

–Proszę ustawić wzorzec.

Szef nacisnął tester i na sąsiednim ekranie pojawiły się cyfry wskazujące zasięg sonaru ustalony na podstawie komputerowej analizy warunków wodnych. W linii prostej ich hydrolokator sięgał na odległość przekraczającą trzydzieści tysięcy metrów. Głębokość nie była jeszcze tak duża, by powstawały strefy konwergencyjne, więc sonar zaczynał już rejestrować dźwięki o niskiej częstotliwości dobiegające od bariery lodu. Hałas ów niebywale utrudniał wyodrębnienie kontaktu sonarowego, podobnie jak jaskrawe światło słoneczne eliminuje blask elektrycznej żarówki.

–Chyba lekko zmienił kurs. Idzie z lewej do prawej.

Obecnie współrzędne trzy-cztery-dwa... sygnał trochę zanika... co to jest? – szef popatrzył na nową, postrzępioną linię na dole ekranu. – Chyba kolejny kontakt na współrzędnych zero-zero-cztery.

Linia znikła, by po dwóch minutach znów się pojawić, tym razem już na pozycji zero-zero-sześć.

McCafferty w pierwszej chwili chciał przenieść się do centrum bojowego. Być może czekała ich wkrótce walka... ale prawdopodobnie nie. Czy nie lepiej dać załodze kilka dodatkowych minut spokoju? Postanowił zaczekać.

–Proszę to uściślić. Mamy dwa przypuszczalne kontakty z okrętami podwodnymi na pozycjach: trzy-cztery-zero i zero-zero-cztery.

Kapitan udał się do sterowni. Poleciał skrócić na wschód, by śledzić nowe cele holowaną anteną sonarową. Dzięki temu skrzyżuje potem namiary każdego z nich, co da mu odległość. A to byłoby więcej niż potrzebował.

–"Boston" manewruje na zachód, sir. Nic tam nie widzę, ale on zdecydowanie płynie na zachód.

–Proszę wywołać przedziały załogi – poleciał McCafferty.

Kapitan dobrze wiedział, co czują marynarze wyrwani ze snu, którego tak potrzebowali. W rozrzuczonych po całym okręcie kajutach ludzie złazili z koi, staczali się z nich, prostowali w pościeli. Potem biegli na wyznaczone stanowiska, zwalnając wachtowych, którzy z kolei ruszali na swoje posterunki.

–Wszystkie pozycje obsadzone. Pełna gotowość, sir.

Do roboty!

Kapitan stanął przed stołem nakresowym i rozważał sytuację taktyczną. Na drodze wiodącej do paka lodowego stanęły mu dwie jednostki podwodne. Skoro "Boston" zmienił pozycję, to znaczy, że i on chyba coś wykrył. Może na zachodzie, może za rufą. W ciągu krótkich dwudziestu minut kapitan ponownie stracił całą pewność siebie. Zaczynała się kolejna paranoja. Co kombinuje przeciwnik?

Dlaczego obce okręty stanęły dokładnie niemal na ich trasie?

–Głębokość peryskopowa! – "Chicago" zaczął powoli opuszczać dwustutrzydziestometrową głębinę i pięć się w górę. Zajęło to pięć minut. – Wykrywacz radarów!

Wysunięty hydraulicznie wiotki maszt zaczął dostarczać informacji technikom wojny elektronicznej.

–Kapitanie, łapię trzy radary przeszukujące zainstalowane w samolotach. Pracują na paśmie J.

Operator odczytał współrzędne.

Beary albo maje – pomyślał McCafferty.

–Rozejrzyjmy się. Peryskop w górę – musiał wysunąć instrument na całą długość, by sięgnąć ponad wierzchołki fal. – W porządku. Na pozycji jeden-siedem-jeden widzę maya. Nisko nad horyzontem. Leci na wschód. Zrzuca pławy. Peryskop w dół. Sonar, macie coś na południu?

–Tylko dwa zaprzyjaźnione kontakty, sir. "Boston" ciągnie za nami.

–Zanurzenie dwieście metrów.

Dotąd Rosjanie operowali głównie pławami hydrolokatora aktywnego – pomyślał dowódca. Kiedy okręt osiągnął już wymaganą głębokość, polecił nadać mu szybkość pięciu węzłów i płynąć na północ. – Teraz na pewno spróbują nas wytropić sonarem biernym. Może spuścili hydrolokator zanurzany... a może nie. Tropienie sonarem biernym było zajęciem wymagającym dużej wprawy i znajomości rzeczy i nawet stosowane we flotach państw zachodnich wymyślne urządzenia emitujące sygnały często były przyczyną fałszywych alarmów. Z drugiej strony, daliśmy im doskonały namiar naszego kursu. Słyszą nas było w całej okolicy.

Może więc zastosować jakąś nową taktykę? Ale jaką?

Istniała wprawdzie inna droga na północ, lecz wiodła jeszcze węższym torem wodnym. Szlak zachodni, między Wyspą Niedźwiedzią a Przylądkiem Północnym był dużo szerszy, ale operowała tam połowa radzieckiej Floty Północnej. Zastanawiał się chwilę, czy "Pittsburghowi" i pozostałym jednostkom udało się cało wyjść z opresji. Chyba tak.

W przeciwieństwie do nas mogły uciekać szybciej niż Iwan gonić. Tak właśnie wygląda nasze polowanie na Rosjan – myślał McCafferty. – Nie mogą usłyszeć naszych

pław biernego sonaru i do końca nie są pewni, czy już ich wytropiliśmy. Kapitan oparł się o barierkę otaczającą podest peryskopu. To bardzo dobrze – mówił sobie – że jesteśmy tak cisi. Może Iwan ma tutaj hydrolokator zanurzany, może nie. Raczej nie. W przeciwnym razie szłaby już za nami torpeda. Nie idzie. Więc nic takiego tu nie ma.

–Współrzędne obu kontaktów stałe.

Na otwartym oceanie kapitan mógłby coś pokombinować z interklinami. Ale tutaj interklin nie było. Połączenie płytkich stosunkowo wód z szalejącym na powierzchni sztormem wykluczało możliwość wystąpienia tego zjawiska.

Okoliczność pomyślna i niepomyślna zarazem – dumiał McCafferty.

–Sterownia, tu sonar. Nowy kontakt. Współrzędne: dwa-osiem-sześć. Prawdopodobnie okręt podwodny. Staram się policzyć obroty śrub.

–W lewo. Kurs: trzy-cztery-osiem... albo nie! – McCafferty zmienił zamiar. Teraz bardziej popłacała ostrożność. – W prawo kursem zero-jeden-pięć.

Następnie polecił sprowadzić "Chicago" na głębokość trzystu trzydziestu metrów. Im bliżej dna, tym lepsza praca sonaru. Jeśli Rosjanie płyną tuż pod powierzchnią, by utrzymać łączność z samolotem, hydrolokatory w ich jednostkach nie będą się sprawować najlepiej. Zanim przystąpi do rozgrywki, musi dobrze wykorzystać wszystkie karty. Ale w przypadku...

Istniała możliwość, że jeden albo i więcej z tych kontaktów to okręty sprzymierzonych. Na wieść o uszkodzeniu "Providence" "Sceptre" i "Superb" mogły otrzymać nowe rozkazy. Ów kontakt na pozycji dwa-osiem-sześć mógł być zaprzyjaźnionym okrętem podwodnym.

Do licha! Tego w umowie nie było. Angole sprawę postawili jasno. Kiedy Amerykanie osiągną pak lodowy, ich okręty natychmiast odpłyną. Czekają je inne zadanie.

Ale ile razy od maja zmienione zostały rozkazy dotyczące "Chicago"? – zadał sobie pytanie McCafferty.

Daj spokój, Danny. Jesteś kapitanem i musisz wiedzieć, co zrobić... nawet jeśli nie wiesz.

W tej sytuacji mógł jedynie próbować ustalić odległości od trzech kontaktów i jakoś je zidentyfikować. Po dziesięciu minutach przyszła wiadomość z sonaru:

–Wszystkie kontakty mają po jednej śrubie.

McCafferty skrzywił się. Informacja mówiła raczej, czym te okręty nie są. Wszystkie brytyjskie jednostki podwodne dysponowały napędem na jedną śrubę. Tak samo zresztą jak rosyjskie victory i alfy.

–Cechy charakterystyczne silników?

–Kapitanie, kontakty płyną na minimalnych obrotach.

Niewiele z tego da się wywnioskować. Łapię odgłosy pary, a więc to okręty atomowe. Ale to wszystko. Niewystarczająca ilość sygnałów. Przepraszam, sir. Nic więcej na razie nie mogę powiedzieć.

McCafferty zdawał sobie sprawę, że im dalej odpłynie na wschód, tym mniej pomocny będzie sonar. Polecił zawrócić i skierować "Chicago" na południowy zachód.

Wreszcie poznał odległości. Północny cel oddalony był mniej więcej o jedenaście do trzynastu mil. Zachodni – o dziewięć. Oba w zasięgu torpedy.

–Sterownia, tu sonar. Mam eksplozję na pozycji jeden-dziewięć-osiem... I jeszcze coś; prawdopodobnie torpeda w wodzie na współrzędnych dwa-zero-pięć. Sygnał bardzo słaby. Oddała się i przybliżyła. W okolicy spokój, sir.

Chyba dźwięki darte go metalu na pozycji jeden-dziewięć-osiem. Przepraszam kapitanie, ale sygnały są bardzo słabe.

Pewien jestem tylko tej eksplozji.

W przedziale hydrolokacji pojawił się dowódca.

–W porządku, szefie. Gdyby to było proste, nie potrzebowałbym pana – McCafferty popatrzył na ekran.

Torpeda ciągle nieznacznie zmieniała pozycję, ale nie stanowiła dla okrętu zagrożenia. – Skoncentrujmy się na tych trzech kontaktach.

–Tak jest, kapitanie.

Z praktyki wiem, że czeka mnie teraz ciężka, próba cierpliwości – pomyślał Danny. «* "Chicago" ciągle płynął na południowy zachód. McCafferty skradał się do celu zachodniego. Doskonale wiedział, że

istnieje niewielka szansa, by była to jednostka sprzymierzonych. Odległość wynosiła już osiem mil. Siedem...

–Kapitanie, klasyfikuję cel na dwa-osiem-zero jako jednostkę typu Alfa.

–Jest pan pewien?

–Oczywiście, sir. To typ silnika alfy. Sygnały są już bardzo wyraźne.

–Wprowadzić w komputer. Wyślemy rybkę pod ostrym kątem na dużej głębokości i z małą prędkością. Kiedy znajdzie się pod celem, pójdzie prosto w górę.

Załoga w centrali ogniowej sprawowała się znakomicie.

Wydawało się, że ludzie pracują szybciej niż przystawki komputerowe.

–Kapitanie, jeśli będziemy strzelać z tej głębokości, stracimy wiele sprężonego powietrza – ostrzegł pierwszy oficer.

–Ma pan rację. Zredukować zanurzenie do trzydziestu metrów.

McCafferty skrzywił się. Jak, do diabła, mogłeś o tym zapomnieć!

–Wynurzenie na płatach pod kątem piętnastu stopni!

–Wprowadzone. Komputer zaprogramowany, sir.

–Czekać w pogotowiu – kapitan obserwował, jak igła głębokościomierza przesuwa się w stronę przeciwną ruchowi wskazówek zegara.

–Trzydzieści metrów, sir.

–Centrala ogniowa?

–Gotowa!

–Zestawić współrzędne i ognia!

–Dwójka poszła, sir.

McCafferty nie wiedział, czy na alfie usłyszano huk sprężonego powietrza. Torpeda poszła z szybkością czterdziestu węzłów kursem trzy-pięć-zero, omijając z daleka cel. Gdy przebyła trzy mile, na przesłany przez przewody sterujące rozkaz zakręciła i weszła na dużą głębokość. Był to bardzo chytry strzał. Torpeda nadpływała z zupełnie innej strony niż została wystrzelona. Kiedy alfa wykryje jej obecność w wodzie i w rewanżu wystrzeli własny pocisk,

ten skieruje się w miejsce, w którym amerykańskiej jednostki nigdy nie było. Z drugiej strony jednak istniało duże /ryzyko, iż pocisk przerwie kierujące nim kable i pójdzie samopas. Torpeda płynęła na wielkiej głębokości, gdzie ciśnienie wody zapobiegało hałasom kawitacyjnym. Dzięki temu mogła podejść nie zauważona bardzo blisko alfy.

Musieli zastosować taką taktykę, gdyż radziecki okręt podwodny potrafił osiągać prędkości grubo przekraczające trzydzieści węzłów i był niemal tak samo szybki jak wystrzelony w niego pocisk. "Chicago" nieustannie posuwał się na południowy zachód, utrzymując stałą odległość od torpedy.

–Torpeda kontynuuje pościg, sir – poinformował sonarzystą.

–Jak daleko ma jeszcze do celu? – spytał McCafferty.

–Okolo sześciu tysięcy metrów, sir. Popróbuje podnieść ją, gdy znajdzie się w odległości czterech tysięcy i wtedy nadam maksymalną prędkość – poradził oficer ogniowy.

–Bardzo dobrze.

Grupa przy nakresie cały czas nanosiła aktualny kurs pocisku i współrzędne celu...

–Sterownia, tu sonar. Alfa zwiększa obroty silników.

–Usłyszała. Rybka w górę. Pełna prędkość. Włączyć sonar.

–Trzaski kadłuba, sir. Alfa zmienia głębokość – szef hydrolokatora był podekscytowany. – Mam na ekranie sygnał sonaru torpedy. Nasz obiekt wysyła impulsy ultradźwiękowe. Cel chyba też.

–Straciliśmy przewody, sir. Rybka straciła przewody.

–Teraz to już bez znaczenia. Sonar, prędkość alfy?

–Czterdzieści dwa węzły. Straszny hałas kawitacyjny.

Chyba zakręca. Wystrzeliła generator szumów.

–Czy ktoś już strzelał do alfy"? – zapytał pierwszy oficer.

–Z tego co wiem, nikt.

–Chybiła! Sterownia, tu sonar. Rybka przeszła za rufą celu, który skierował się na wschód. Pocisk ciągle... nie, zawraca. Wysyła impulsy, sir. Też poszła na wschód...

znów skręca. Kapitanie, myślę, że poszła na generator szumów. Dystans między celem a torpedami rośnie.

–Cholera jasna, a już myślałem, że go mamy – warknął oficer ogniowy.

–Jak daleko do miejsca odpalenia torpedy?

–Okolo siedmiu tysięcy metrów, sir.

–Współrzędne alfy?

–Trzy-cztery-osiem. Płynie na wschód. Hałas silników cichnie. Szybkość około dwudziestu.

–Będą utrzymywali dystans między sobą a pociskiem – stwierdził McCafferty.

Dopóki torpeda płynie i wysyła impulsy, nikt nie odważy się do niej zbliżyć. Miała tak krążyć do chwili, aż skończy się jej paliwo. Do tego czasu każdy, kto znajdzie się w zasięgu jej sonaru – cztery tysiące metrów – ryzykuje, że zostanie trafiony. – Co z dwoma pozostałymi kontaktami?

–Bez zmian, sir – odparł oficer znad nakresu. – Nie zmieniły pozycji.

–A więc to Rosjanie – McCafferty popatrzył na nakres. Brytyjczycy manewrowaliby, a słysząc silniki alfy, wystrzeliliby torpedy. Rosyjskie okręty dawały o sobie znać w promieniu dobrych dwudziestu mil.

Trzech na jednego. A ponadto przeciwnik został ostrzeżony – pomyślał McCafferty i wzruszył ramionami. – Wiem przynajmniej, kogo mam przed sobą.

Sonar poinformował o kolejnym kontakcie. Tym razem na południu. To chyba "Boston" – stwierdził Danny.

W przeciwnym razie "Providence" jakoś by zareagowała.

Polecił skierować "Chicago" w tamtą stronę. Skoro miał się przebijać przez barierę sformowaną przez trzy wrogie jednostki podwodne, potrzebował pomocy. Godzinę później spotkał "Bostona".

–Słyszałem alfy.

–Wiem, chybiliśmy. A ty?

–Nasz miał dwie śruby i jest już martwy – odparł Simms przez mikrofon nastawionej na minimalną moc gertrudy.

–Przed nami w odległości około czternastu mil są trzy okręty. Jeden z nich to alfa. O pozostałych nie wiem nic.

McCafferty wyłuszczył szybko swój plan. Amerykańskie łodzie podwodne powinny ruszyć na północ w dziesięćmilowych odstępach i zaatakować przeciwnika z obu flank.

Jeśli nawet amerykańskie torpedy nie trafią, rosyjskie jednostki ruszą w pościg i się rozproszą. Powstanie wyrwa, przez którą "Providence" przedostanie się na drugą stronę.

Simms wyraził zgodę i okręty ponownie się rozdzieliły.

McCafferty stwierdził, że od paka lodowego ciągle dzieliło ich szesnaście godzin drogi. A nad głowami wciąż krążyły obce samoloty. Zmarnował torpedę... Nie – mówił sobie kapitan. – To był bardzo przemyślany atak. A że nie wyszedł... cóż, w życiu tak często bywa.

Po północno-wschodniej stronie pojawiła się linia pław sonarowych – tym razem aktywnych. Dowódca gorąco sobie życzył, by Rosjanie zdecydowali się na jedną taktykę.

Do licha, w ogóle chciał się wynieść z tych okolic!

Naturalnie, wystrzelił rakiety w ojczyznę Rosjan i nic dziwnego, że ci wpadli we wściekłość. Ale do teraz nikt go nie poinformował, czy misja zakończyła się sukcesem.

Zdecydowanie odrzucił te myśli. Miał na głowie ważniejsze problemy.

"Chicago" płynął na północny zachód, więc współrzędne kontaktów sonarowych przesuwają się w prawo. Alfę słyszeli cały czas. Emitowane przez nią hałasy milkły na chwilę, by znów się

pojawić. Mógł wprawdzie ponownie otworzyć ogień, ale szybkość i zwrotność rosyjskiej jednostki sprawiały, że nawet mark-48 był tu bezradny. Zastanawiał się nad postępowaniem dowódcy alfy. Zdumiewające, że nie wystrzelił torpedy w kierunku, z którego nadpłynął amerykański pocisk. Co to mogło znaczyć? Na tym wszak polegała standardowa taktyka Amerykanów – a zapewne i Rosjan. Czy dlatego, że wiedział, iż w okolicy są inne radzieckie okręty? McCafferty zakonotował sobie to w pamięci. Kolejny przypadek, kiedy Rosjanin zachował się nietypowo.

Kurs północno-zachodni bardzo zbliżył go do jednego z kontaktów. Alfa i jakaś inna, nie znanego typu jednostka, płynęły na wschód co najmniej dziesięć mil od "Chicago" – nieświadome jego obecności. McCafferty stał przed nakresem. W centrali ogniowej wprowadzono już do komputera współrzędne najbliższego celu. Odległość zmalała do ośmiu mil. Znow przeszedł do przedziału hydrolokacji.

–Co możecie powiedzieć o tym kontakcie?

–Coraz bardziej wygląda na reaktor Type-2y nowa wersja. To może być victor-III. Proszę mi dać jeszcze pięć minut, a będę wiedział na pewno, sir. Im bliżej, tym obraz jest klarowniejszy.

–Moc wyjściowa?

–Prawie żadna. Próbowałem ją wyliczyć na podstawie obrotu śrub, lecz oni poruszają się chyba z szybkością ekonomiczną.

McCafferty oparł się o ścianę grodziową oddzielającą pomieszczenie od monstrualnego komputera przetwarzającego sygnały. Linia na monitorze kaskad wskazująca specyficzną częstotliwość pracy silników victora-III była postrzępiona, ale wysoki malowały. Po trzech minutach przekształciła się tylko w jasną, pionową plamkę światła.

–Kapitanie, sierra-2 to rosyjski okręt podwodny klasy Victor-III.

McCafferty przeszedł do sterowni.

–Odległość od sierry-2?

–Czternaście tysięcy pięćset metrów, sir.

–Współrzędne wprowadzone, sir – oznajmił oficer ogniowy. – Wyrzutnia numer jeden zalana. Zewnętrzny luk zamknięty.

–Ster, dziesięć stopni w prawo – polecił McCafferty.

"Chicago" skrzył, by wystawić paszczę wyrzutni w odpowiednią stronę. Kapitan sprawdził zanurzenie okrętu.

Siedemdziesiąt metrów. Po oddaniu strzału miał natychmiast przyjąć kurs wschodni i zanurzyć się na trzysta trzydzieści.

Okręt podwodny, płynąc z szybkością sześciu węzłów, powoli zakręcał. Cel znajdował się na współrzędnych trzy-pięć-jeden.

–Rozwiązanie?

–Wprowadzone.

–Otworzyć zewnętrzny luk – podoficer przy tablicy rozdzielczej wyrzutni torped nacisnął guzik i zaczął czekać, aż zapali się odpowiednie światelko.

–Zewnętrzny luk otwarty.

–Zestawić współrzędne i ognia!

Ważący siedem tysięcy ton "Chicago" zadrżał.

–Jedynka poszła, sir.

McCafferty zarządził zmianę kursu i zanurzenia. Szybkość wzrosła do dziesięciu węzłów.

I znów ciężka próba cierpliwości – pomyślał ponuro dowódca. – Kiedy usłyszą nadpływającą torpedę?

Tym razem szła na niewielkiej głębokości. McCafferty miał nadzieję, że dobiegające z powierzchni morza hałasy zagłuszą dźwięk silnika pocisku. Jak sprawnym sonarem dysponuje victor-III? – zadawał sobie pytanie.

–Minuta – oficer ogniowy trzymał w dłoni stoper.

Z szybkością, jaką nadano markowi-48, pocisk przebył w tym czasie tysiąc trzysta metrów. Miał więc przed sobą około dziesięciu minut drogi. Zupełnie jak na pasjonującym meczu piłkarskim, kiedy ostatnie dwie minuty wydają się rozciągać w pół godziny – myślał kapitan. – Z tym tylko, że nie gramy w piłkę.

–Trzy minuty. Pozostało siedem – poinformował oficer znad stopera.

"Chicago" opadł już na głębokość trzystu trzydziestu metrów i kapitan polecił znów zredukować prędkość do sześciu węzłów. W komputery wprowadzono już dane dotyczące dwóch pozostałych celów. Lecz na razie musieli czekać.

–Pięć minut. Pozostało pięć.

–Sterownia, tu sonar. Cel sierra-2 zwiększa prędkość.

Hałasy kawitacyjne. Szybkość: dwadzieścia węzłów i rośnie.

–Nadać torpedzie pełne przyspieszenie – rozkazał McCafferty.*" Mark-48 przyspieszył do czterdziestu ośmiu węzłów; tysiąc sześćset metrów na minutę.

–Kontakt zawraca na wschód. Szybkość: trzydzieści jeden węzłów. Kapitanie, mamy dziwny sygnał za rufą celu.

Pozycja sierry-2: trzy-pięć-osiem; pozycja nowego sygnału: trzy-pięć-sześć.

–Generator szumów?

–To inny dźwięk. Brzmi raczej... nie, nie jak nixie, ale podobnie. Cel ciągle skręca, sir. Współrzędne: trzy-pięć-siedem. Zamierza płynąć w przeciwnym kierunku.

–Wychodzimy na siedemdziesiąt metrów – powiedział kapitan.

–Cóż on, do diabła, wyprawia? – zdziwił się pierwszy oficer, kiedy okręt szedł w górę.

–Sir, nowy sygnał zakrył cel – oznajmił sonar.

–Nasza torpeda przeszła na wysyłanie impulsów.

–Wypuścili wabik i postawili go między sobą a pociskiem – poinformował spokojnie kapitan. – Centrala ogniowa, kolejną rybkę na sierre-2 i uaktualnić rozwiązanie dla sierry-1.

Do komputera wprowadzono nowe dane dotyczące odległości i współrzędnych.

–Na sierre-2 zaprogramować wyrzutnię trzy, a na sierre-1 dwójkę.

"Chicago" znajdował się«już na głębokości stu metrów.

–Zestawić współrzędne i ognia! – polecił cichym głosem McCafferty i kazał ponownie sprowadzić okręt na dużą głębokość. – Ta gondola pod victorem-III, którą wzięliśmy za antenę holowaną, może być właśnie tym wabikiem, coś jak nasza nix'ie.

My tego w łodziach podwodnych nie stosujemy – pomyślał – ale Iwan robi wszystko po swojemu.

–Rybka przecież może zignorować wabik.

–To my o tym wiemy. Oni sądzą, że wabik poskutkuje i pod osłoną hałasu eksplozji zdołają skręcić i wystrzelić w nas.

McCafferty podszedł do nakresu. Następna torpeda mknęła w kierunku celu, którym zapewne był kolejny victor. Drugi obiekt manewrował na wschodzie. Też alfa.

Oczywista zagrywka taktyczna: opuścić niebezpieczny teren, zawrócić i rozpocząć własne polowanie. Kiedy obie jednoCZERWONY SZTORM • 305 stki zakończą zwrot, amerykański sonar nie wykryje nadciągającej torpedy.

Zgłosił się hydrolokator.

–Kapitanie, eksplozja na pozycji trzy-pięć-cztery. Straciłem kontakt ze sierrą-2, ale nie wiem, czy pocisk trafił.

Dwie pozostałe torpedy trzymają kurs.

–Cierpliwości – westchnął kapitan.

–Sterownia, tu sonar. Za rufą pławy.

Natychmiast naniesiono na nakres ich współrzędne. Pławy rozciągały się na linii północ – południe i znajdowały się dwie mile za "Chicago".

–Jakiś jeszcze inny okręt podwodny przesłał wiadomość samolotom – domyślił się pierwszy oficer.

–Zgadza się, ale jeśli nawet wyliczą, jak to zrobić właściwie, taktyka współdziałania nic im nie da.

–Znów pojawiła się sierra-2, sir. Na trzy-cztery-dziewięć mam mechaniczne hałasy reaktora Type-2. Trzaski kadłuba.

Sierra-2 zmienia głębokość.

Oficer ogniowy skierował jedną z torped parę stopni w lewo. McCafferty włożył do ust skuwkę długopisu i zaczął ją gryźć.

–W porządku, chyba zdezorientowaliśmy nieco ich sonar. Założę się, że chce wysunąć antenę i powiadomić przyjaciół, skąd wystrzeliliśmy pocisk. Dwie trzecie naprzód.

–Torpedy w wodzie. Współrzędne: zero-trzy-jeden.

–Mamy coś jeszcze na tej pozycji?

–Nic, sir.

McCafferty sprawdził nakres. Na Boga, udało się! Wypłoszył Rosjan, którzy ruszyli na wschód, w kierunku Todda Simmsa i "Bostona".

–Sterownia, tu sonar. Torpeda w wodzie za rufą.

Współrzędne: dwa-osiem-sześć.

–Zanurzenie czterysta metrów – natychmiast rozkazał kapitan. – Ster cała w prawo. Nowy kurs: jeden-sześć-pięć.

Nasz przyjaciel Victor przesłał wiadomość swoim kumplom z lotnictwa.*" – Przewody na obu rybkach zerwane, sir.

–Jak daleko od sierry-2t 20 – Czerwony sztorm t. II

–Torpeda powinna znajdować się w odległości około sześciu tysięcy metrów. Zgodnie z programem impulsy zaczniesz wysyłać za minutę.

–Mr. Victor tym razem popełnił błąd. Powinien zabezpieczyć sobie dupę, zanim poszedł w górę by połączyć się z samolotami. Sonar, co z torpedą za naszą rufą?

–Współrzędne zmienne... Sir, straciłem ją z ekranu.

Ostatnio była na pozycji dwa-siedem-osiem.

–Jedna trzecia naprzód.

"Chicago" znów poruszał się powoli i bezszelestnie. Po dwóch minutach zrzucony z samolotu pocisk był już daleko, a amerykańska torpeda zbliżała się do victora.

Obraz na sonarze stał się bardzo skomplikowany. Sierra-2, która zbyt późno wykryła nadpływającą torpedę, umykała pełną parą. Wystrzelony w drugiego victora pocisk ciągle pędził do celu, który z kolei gwałtownie manewrował, by uniknąć torpedy wypuszczonej z "Bostona". Alfa stale płynęła z pełną szybkością na północ. Gonił ją mark-48. Po wschodniej stronie mknęły dwa rosyjskie pociski wycelowane zapewne w "Bostona", którego "Chicago" nie potrafił namierzyć na sonarze. W wodzie kłębiło się pięć podwodnych okrętów; cztery z nich ścigane były przez torpedy.

–Kapitanie, sierra-2 wypuściła kolejny wabik. To samo uczyniła sierra-1. Nasza rybka wysyła sygnały w kierunku dwójki. Czyjaś torpeda bombarduje impulsami jedynekę, a rosyjski pocisk – pozycję zero-trzy-pięć... sir, na trzy-trzy-dziewięć eksplozja.

Tatuś chciał, żebym został księgowym – pomyślał McCafferty. – Może wtedy lepiej bym sobie radził z liczbami.

Podszedł do nakresu.

Papierowy nakres nie był wiele klarowniejszy. Wykreślone ołówkiem linie, oznaczające kontakty sonarowe i kursy torped, wyglądały jak zwoje przewodów elektrycznych ciśnięte w nieładzie na papier.

–Kapitanie, na pozycji trzy-trzy-dziewięć bardzo głośne hałasy mechaniczne. Masa metalicznych dźwięków, sir. Mój nos mówi mi, że to uszkodzona jednostka. Syk sprężonego powietrza, opróżnia zbiorniki. Ale nie słychać dźwięków darte go metalu.

–Ster, cała w lewo. Nowy kurs: zero-jeden-zero.

–Nie trafiliśmy w victora.

–Może mnie pan porąbać na kawałki, jeśli zdoła wrócić do domu. Zapiszemy go jako uszkodzony. Co z pozostałymi dwoma?

–Torpeda za sierra-1 wysłała impulsy. To samo z "Bostonem" ... – to znaczy, myślę, że to "Boston".

Zamieszanie trwało jeszcze dziesięć minut. Drugi cel odwrócił się rufą do obu ścigających go torped i uciekał na północny zachód. Drogę "Chicago" przecięły kolejne linie pław sonarowych. Hydrolokator wykrył po zachodniej stronie następną torpedę zrzuconą z samolotu. Była jednak daleko i nie stanowiła żadnego zagrożenia. Pocisk wystrzelony w drugiego victora próbował trafić w cel, ale okręt umykał całą mocą silników. Z przeciwnej strony też nadpływała torpeda. Wysłał ją zapewne "Boston" w kierunku alfy, która uciekała z szybkością dorównującą szybkości torpedy. McCafferty nawiązał kontakt sonarowy z "Providence" i kontynuował drogę na północ.

Kapitan postanowił wykorzystać panujący zamęt. Miał tylko nadzieję, że "Boston" uniknie wystrzelonych w siebie torped. Tutaj jednak McCafferty mógł być tylko kibicem.

–Dwie eksplozje na zero-zero-trzy, sir. Tam był ostatnio drugi victor, ale sonar nic nie wykazuje. Może pocisk trafił w okręt, może w wabik, a może zderzył się z inną torpedą.

"Chicago" płynął na północ. Zwiększył prędkość do dziesięciu węzłów i lawirował między liniami pław, oddalając się coraz bardziej od uszkodzonej "Providence". Oszalałe polowanie i walka podwodna w równym stopniu wyczerpały zgromadzoną w centrum bojowym załogę i jej dowódcę.

Czysto techniczną stronę tego typu operacji załoga opanowała jeszcze przed wojną, ale żadne ćwiczenia nie powodowały takiego stresu jak prawdziwa bitwa.

Kapitan złuzował część marynarzy i dał im pół godziny na posiłek. Ludziom, którzy nie mogli opuścić stanowisk,

stewardzi dostarczyli kanapki. McCafferty usiadł obok peryskopu. Przymknął oczy, odchylił głowę, oparł ją o coś metalowego i żuł sandwicza. Przypomnił sobie załadunek konserw. Na początku roku marynarce udało się zakupić po bardzo atrakcyjnej cenie puszkowaną polską szynkę.

Polska szynka – pomyślał. – Czyste wariactwo.

Godzinę później pozwolił wszystkim opuścić centrum bojowe, a połowę załogi zluźował ze służby. Do kuchni nie poszedł nikt. Wszyscy wybrali sen. Kapitan również marzył o koi. Obiecywał sobie, że gdy już dotrą do lodu, będzie spał cały miesiąc.

Na ekranie sonaru pojawił się "Boston" – mglisty ślad sunący dokładnie po wschodniej stronie "Chicago". "Providence" ciągle płynęła z tyłu, ciągle poruszała się z szybkością sześciu węzłów i ciągle hałasowała zniszczonym kioskiem. Kapitan nie ruszał się z miejsca. Zapomniawszy o godności cechującej dowódcę, siedział w fotelu i bezmyślnie wysłuchiwał meldunków... o niczym.

Głowa opadła mu na piersi. Spojrzał na zegarek. Drzemał trzydzieści minut. Do lodu pozostało jeszcze pięć godzin.

Bariera była już doskonale widoczna na sonarze: głuchy pomruk o niskiej częstotliwości napływający pod kątem trzydziestu stopni z lewej i prawej strony dziobu.

Gdzie się podziała alfa?

Dziesięć sekund później tkwił już w przedziale hydrolokacji.

–Kiedyście ostatni raz namierzyli alfę?

–Straciliśmy z nią kontakt trzy godziny temu, sir.

Płynęła szybko stałym kursem na północny wschód. Zniknęła i więcej się nie pojawiła.

–Czy to możliwe, by skryła się pod lodem i tam na nas czekała?

–Jeśli tak zrobiła, wykryjemy ją wcześniej niż ona nas, sir. Kiedy manewruje, jej silniki emitują wiele dźwięków średniej i wysokiej częstotliwości – wyjaśnił szef sonaru.

McCafferty znał to na pamięć, ale pragnął czyjś potwierdzenia. – Wytwarzany przez lód hałas o niskiej częstotliwości nie pozwoli jej wykryć nas wcześniej. My natomiast, jeśli tylko będzie w ruchu, namierzemy ją z daleka.

Kapitan skinął głową i udał się na tył okrętu.

–A pan? – zwrócił się do pierwszego oficera. – Gdyby pan kierował alfą, gdzie by pan teraz był?

–W domu! – roześmiał się Pierwszy. – Radziecki dowódca musiał wiedzieć, że tu są co najmniej dwa okręty.

A to już paskudna sprawa. Uszkodziliśmy im victora, a drugiego zapewne zniszczył "Boston".

Co więc kapitan alfy mógł pomyśleć? Iwan jest odważny, ale nie szalony.

Jeśli ma choć kapkę oleju w głowie, przesłał raport o utracie kontaktu i dał sobie spokój.

–Nie jestem tego pewien. Zniszczył nam torpedę i zapewne torpedę "Bostona" – odparł cicho kapitan.

–Może pan ma rację, kapitanie. Ale przecież alfa zniknęła z ekranów.

McCafferty musiał przyznać oficerowi rację.

–No dobrze. Ale do lodu podchodzimy bardzo ostrożnie.

–Naturalnie, sir. Zbyt długo trwa ta paranoja.

McCafferty był innego zdania. Sam nie wiedział dlaczego.

Przegapiłem coś niesłychanie istotnego – pomyślał.

Ich dane o krawędzi paka lodowego były już nieaktualne.

Kiedy wzrastające letnie temperatury osłabiły białą czapę lodową zalegającą ocean, prądy wodne i wiatry przesunęły barierę parę mil na południe. Może zaoszczędzimy jakąś godzinę? – pomyślał z nadzieją kapitan.

Nakres wskazywał, że "Boston" znajduje się w odległości piętnastu mil na wschód, a "Providence" – osiemdziesięciu na południowy wschód. Trzy godziny do lodu – pocieszał się McCafferty. – Osiemnaście mil morskich, może mniej, i będziemy bezpieczni. Czemu miałyby się tam ktoś czaić?

Przecież nie wysłali za nami całej floty. Mają masę innych problemów.

Kapitan znów zapadł w drzemkę.

–Sterownia, tu sonar.

McCafferty uniósł gwałtownie głowę.

–Tu sterownia – odpowiedział pierwszy oficer.

–"Providence" przyspieszyła. Rozwija teraz prędkość dziesięciu węzłów.

–Doskonale.

–Jak długo spałem? – spytał kapitan.

–Mniej więcej półtorej godziny. Ale nie chrapał pan.

Sonar nie wykazuje niczyjej obecności. Rejestruje tylko naszych przyjaciół.

McCafferty wstał i przeciągnął się. Sen nie pomógł – stwierdził w myślach. – Ale mnie wzięło. Jeszcze trochę, a będę bardziej niebezpieczny dla własnej załogi niż dla Rosjan.

–Jak daleko do lodu?

–Okolo dwunastu kilometrów. Dużo bliżej niż się spodziewaliśmy.

McCafferty popatrzył na mapę. "Providence" pływała szybciej i niemal zrównała się z "Chicago". Wcale mu się to nie podobało.

–Dwanaście węzłów i w prawo. Kurs: zero-cztery-pięć.

Kapitan "Providence" zanadto się spieszy.

–To racja – przyznał pierwszy oficer po wydaniu poleceń. – Ale czy ktoś może go za to ganić?

–Ja. Cóż znaczy tych kilka dodatkowych minut w porównaniu z czasem, jaki zajęło nam dotarcie aż tutaj.

–Sterownia, tu sonar. Mamy przypuszczalnie kontakt na zero-sześć-trzy. Chyba dźwięk silników. Bardzo słaby.

Teraz zanika.

–Zwolnić? – zapytał pierwszy oficer.

Kapitan potrząsnął głową.

–Dwie trzecie naprzód.

"Chicago" przyspieszył do osiemnastu węzłów. McCafferty wpatrywał się uporczywie w mapę. Było w niej coś istotnego, co z całą pewnością przegapił. Okręt podwodny wciąż znajdował się na głębokości trzystu trzydziestu metrów. "Providence" dotrzymywała mu tempa. Płynęła blisko powierzchni, a to zakłócało pracę holowanej anteny sonarowej. Czy "Boston" też idzie w małym zanurzeniu? – zastanawiał się kapitan. Podoficer w centrum ogniowym na podstawie danych o kursie i szybkości obu jednostek nieustannie nanosił na nakres pozycje dwóch amerykańskich jednostek. "Chicago" błyskawicznie skrócił dystans. Po

półgodzinie był już niedaleko lewej burty "Providence".

McCafferty polecił zredukować szybkość do sześciu węzłów.

Kiedy okręt zwolnił, szum przetłaczanej wody zmniejszył się i sonary podjęły normalną pracę.

–Kontakt sonarowy na współrzędnych zero-dziewięć-pięć.

Zespół nakresowy wprowadził nową linię. Przecinała ona poprzednią... prawie dokładnie między "Bostonem" a "Providence". McCafferty pochylił się i sprawdził zanurzenie kontaktu: sześćset trzydzieści metrów. Tak głęboko nie mógł zejść nawet okręt klasy 688... ..ale alfa mogła...

–Psiakość!

Nie mógł strzelać. Cel znajdował się zbyt blisko "Providence". Gdyby pękły przewody prowadzące, torpeda przeszłaby na sterowanie automatyczne i nic by jej nie obchodziło, że "Providence" jest okrętem amerykańskim.

–Sonar, uruchomić hydrolokator aktywny. Poszukiwania systemem Yankee na współrzędnych zero-dziewięć-pięć!

Uaktywnienie systemu zajęło chwilę. Wodę przeszył basowy dźwięk. McCafferty próbował w ten sposób ostrzec przyjaciół... ale zaalarmował też alfy.

–Sterownia, tu sonar. Mam trzaski kadłuba i rosnący łoskot silników na zero-dziewięć-pięć. Ale ekran jest pusty.

–Pospiesz się, Todd – ponaglił McCafferty.

–Hałas, hałas! "Boston" przyspieszył, sir... a tam jest "Providence". Torpedy w wodzie. Współrzędne: zero-dziewięć-pięć. Dużo torped na zero-dziewięć-pięć.

–Cała naprzód! – McCafferty popatrzył na nakres.

Alfa była zatrważająco blisko obu amerykańskich okrętów, a "Providence" nie mogła uciekać, nie mogła zejść na dużą głębokość, nie mogła w ogóle nic. Kapitan był tylko niemym świadkiem wydarzeń. Jego zespół ogniowy gorączkowo przygotowywał dwie torpedy. Alfa wystrzeliła już cztery. Po dwie na każdą jednostkę. "Boston" płynął pełną mocą na zachód. "Providence" za nim. McCafferty i pierwszy oficer weszli do hydrolokacji.

Dowódca obserwował przemieszczające się na ekranie z lewej do prawej linie kontaktów. Grube kreski oznaczały okręty podwodne; cieńsze i jaśniejsze – cztery torpedy.

Dwie z nich gwałtownie zbliżały się do "Providence".

Uszkodzony okręt rozpędził się już do szybkości dwudziestu węzłów i powodował hałas przypominający klekot ruszającej ciężarówki wyładowanej kamieniami. Pojawiły się trzy generatory szumów, ale pociski kompletnie je zignorowały.

Linie zbiegły się w jednym punkcie, który rozbłysł na ekranie jaskrawym kleksem.

–Dostały go – mruknął cicho szef sonaru.

"Boston" miał większe szansę. Okręt Simmsa rozwijał już pełną prędkość. Torpedy były niecałe tysiąc metrów za nim. Kapitan "Bostona" wystrzelił generatory szumów i zaczął wykonywać skomplikowane ewolucje, zmieniając gwałtownie kurs i głębokość. Jedna z torped, zmylona wabikiem, znurkowała i uderzyła w dno. Druga powoli zmniejszała dystans dzielący ją od podwodnego okrętu.

Kolejny jaskrawy kleks na ekranie. I to wszystko.

–Namierzyć hydrolokATOREM aktywnym – polecił McCafferty zduszonym z wściekłości głosem.

"Chicago" zawibrował pod wpływem potężnych impulsów sonaru.

–Współrzędne: jeden-zero-dziewięć. Odległość trzynaście tysięcy.

–Wprowadzić!

–Zestawić i ognia!

Alfa nie czekała, aż posłyszysz dźwięk zbliżających się torped. Jej kapitan dobrze wiedział, że znajdował się tutaj jeszcze trzeci okręt podwodny i zdawał sobie sprawę, iż ten go namierzył. Radziecka jednostka nabrała maksymalnej prędkości i skręciła na wschód. Oficer ogniowy "Chicago" natychmiast skierował tam pociski, ale miały one tylko pięciowęzłową przewagę szybkości i, zbliżywszy się do celu na dwa tysiące metrów, wyczerpały paliwo. McCafferty miał już wszystkiego dosyć. Trzy minuty przed tym, jak zamilkły silniki torped, zmniejszył prędkość swego okrętu do pięciu węzłów. Znow zapaliły się ekrany sonarów

i dowódca mógł zobaczyć, jak rosyjski okręt oddala się bezpiecznie.

–Okay, próbujemy od początku.

Znajdowali się trzy mile od lodu. "Chicago" poruszał się bezszelestnie. Alfa zawróciła na zachód i sonarzyści McCafferty'ego zaczęli obliczać odległość. Przyjęcie zachodniego kursu było błędem. Dowódca alfy najwidoczniej spodziewał się, że "Chicago" natychmiast schroni się pod lodem.

–Sterownia, tu sonar. Nowy kontakt. Współrzędne: zero-zero-trzy.

I co teraz? Kolejna rosyjska pułapka?

–Potrzebuję informacji.

–Sygnał bardzo słaby. Pozycja zmienna. Teraz: zero-zero-cztery.

Podoficer podniósł głowę z nad suwaka logarytmicznego.

–Odległość mniejsza niż dziesięć tysięcy metrów, sir.

–Hałas, hałas!... torpeda w wodzie. Współrzędne: zero-zero-pięć.

–Ster, cała w lewo! Cała naprzód!

–Współrzędne zmienne. Obecnie zero-zero-osiem.

–Odwołuję rozkaz! – krzyknął McCafferty.

Nowy kontakt strzelał w alfy.

–Jezu słodki! Kto to jest? – zapytał szef sonaru.

Alfa usłyszała dźwięk nowej torpedy i zmieniła kurs.

A oni znów usłyszeli i zobaczyli grzmot silników alfy... ale pocisk błyskawicznie zbliżał się do celu.

–To Anglik. Wystrzelił jeden z tych nowych spearfishów.

Nie wiedziałem, że już weszły do służby.

–Czy one są szybkie? – spytał szef sonaru.

–Sześćdziesiąt lub siedemdziesiąt węzłów.

–Cholera! Kupmy kilka.

Alfa uciekała całe trzy mile, po czym skręciła na północ i skierowała się pod lód. Ale nigdy już tam nie dotarła.

Spearfish był szybszy. Linie na ekranie nałożyły się i wytrysnął kolejny jaskrawy kleks.

–Na północ. Szybkość siedemnaście węzłów -**- poleciał pierwszemu oficerowi McCafferty. – Chcę być pewien, że nas rozpozna.

–Tu HMS "Torbay". Kim jesteście?

–"Chicago".

–Usłyszeliśmy straszny rejuwach. Jesteś sam? – spytał kapitan James Little.

–Tak. Alfa zastawiła na nas pułapkę... jesteśmy sami.

–Będziemy was eskortować.

–Zrozumiałem. Może wiesz, czy nasza misja się udała?

–Tak, udała się.

POLE WALKI

Stykkisholmur, Islandia

Było wiele do zrobienia, a czasu mało.

Porucznik Potter i jego komandosi zastali w mieście ośmiu radzieckich żołnierzy. Rosjanie próbowali uciekać na południe jedyną drogą, jaka tam prowadziła, ale wpadli w pułapkę. Pięciu z nich zginęło lub zostało rannych. Nie ocalał nikt, kto mógłby powiadomić dowództwo bazy w Keflaviku o majaczących na horyzoncie okrętach.

Pierwszy oddział regularnego wojska przybył helikopterem. Potem na każdym wzgórzu z widokiem na zatokę umieszczono pluton lub kompanię. Szczególną uwagę zwracano na to, by samoloty trzymały się poniżej horyzontu radiolokacyjnego ostatniego radaru, jaki pozostał Rosjanom w Keflaviku. Na górujący nad północno-zachodnim wybrzeżem wierzchołek śmigłowiec CH-53 Super Stallion dostarczył w częściach ruchomy radar, który natychmiast zaczęło przysposabiać do pracy. Kiedy do skalistego koszmaru, jaki stanowił dla kapitanów port w Stykkisholmurze zaczęły wpływać okręty, na lądzie rozmieszczono już blisko pięć tysięcy żołnierzy.

Kapitan jednego z ogromnych okrętów desantowych, który wiozł na pokładzie czołgi, próbował policzyć wszystkie skały podwodne i mielizny, jakie napotkał w drodze z Norfolk. Gdy doszedł do pięciuset, przestał rachować i zajął się wyznaczonym mu terenem, znanym pod nazwą Zielony Charlie Dwa. Odplyw i dzienne światło bardzo ułatwiały operację. Wiele skał podwodnych było odsłoniętych i załogi helikopterów, które po przewiezieniu na ląd żołnierzy nie miały chwilowo zajęcia, zaczęły instalować na nich reflektory radarowe i latarnie kierunkowe.

Urządzenia

te miały ułatwić desant. Reszta zadania jednak przypominała krążenie po autostradzie z zawiązanymi oczyma. Pierwszy pojawił się okręt wiozący czołgi. Wykorzystując zainstalowane na dziobie pomocnicze silniki sterujące, z brawurową prędkością dziesięciu węzłów przepychał się przez śmiertelny labirynt skalny.

Komandosi porucznika Pottera, chodząc od domu do domu, zgromadzili kapitanów i szyprów miejscowych łodzi rybackich. Ci doświadczeni żeglarze, których na okręty desantowe przewieziono helikopterami, podjęli się przeprowadzić wielkie, szare amfibie przez najtrudniejsze miejsca skalistej zatoki.

W południe pierwszy desantowiec dobił do portu i po spuszczonej rampie zaczęły wytaczać się z niego czołgi należące do piechoty morskiej. Za nimi pojawiły się ciężarówki załadowane metalowymi płytami do budowy pasów startowych. Samochody od razu odjeżdżały na płaski teren upatrzony na bazę dla śmigłowców i harrierów – myśliwców pionowego startu.

Kiedy helikoptery skończyły oznaczać skały i mielizny, znów zaczęły przewozić na ląd wojsko. Wozom z piechotą towarzyszyły uzbrojone w broń maszynową seacobry i harriery.

Żołnierzy rozlokowano na całym terenie rozciągającym się aż do górujących nad rzeką Hvita wzgórz.

Niebawem amerykańscy marines nawiązali kontakt bojowy z wysuniętym posterunkiem Rosjan. Bitwa się zaczęła.

Keflavik, Islandia – I tyle z raportów naszego wywiadu – mruknął generał Andriejew.

Ze swej kwatery głównej widział już potężne sylwetki przepływających powoli okrętów. Były to pancerniki "Iowa" i "New Jersey", którym towarzyszyły krążowniki rakietowe zapewniające obronę przeciwlotniczą.

–Możemy już przystąpić do ostrzału – oznajmił szef artylerii.

–Zaczynajcie więc.

Dopóki możecie – dodał w duchu generał i odwrócił się do oficera łączności.

–Czy są jakieś wieści z Siewieromorska?

–Tak. Flota Północna przyśle tu dziś lotnictwo. Okręty podwodne są już w drodze.

–Przekażcie, by najpierw zaatakowali amerykańskie okręty desantowe w Stykkisholmurze.

–Nie wiadomo, czy tam są. To zbyt niebezpieczny port dla...

–A gdzie indziej mogliby lądować? – spytał Andriejew. – Sami pomyślcie. Nasze posterunki rozlokowane w tamtym rejonie się nie zgłaszają i mamy doniesienia o amerykańskich śmigłowcach operujących w okolicy Stykkisholmuru.

–Towarzyszu generale, pierwszym celem lotnictwa będzie grupa bojowa lotniskowca.

–Zatem wyjaśnijcie naszym towarzyszom w niebieskich mundurach, że nie samoloty z lotniskowców odbiorą nam wyspę, ale pieprzona piechota morska.

Andriejew ujrzał dym bijący z miejsca, gdzie rozlokowana była bateria ciężkich dział. Po kilku sekundach po niebie przetoczył się grom. Pierwsza radziecka salwa była o kilka tysięcy metrów za krótka.

–Centrala ogniowa!

"Iowa" nie brał udziału w prawdziwej walce od czasów Korei. Teraz masywne, trzystumilimetrowe lufy przekręciły się powoli na prawą burtę. A w centrali ogniowej technicy za pomocą specjalnych drążków sterowych kierowali mastiffem. Ten miniaturowy, bezzałogowy samolocik, zakupiony kilka lat wcześniej od Izraela, krążył dwa tysiące trzysta metrów nad baterią rosyjskich dział, zaś zainstalowane w maszynie kamery telewizyjne

rejestrowały kolejno poszczególne stanowiska ogniowe nieprzyjaciela.

–Naliczyłem sześć dział. Wyglądają na sto pięćdziesiątki piątki. Po naszymu to mniej więcej sześciocalówki?" Naniesiono na nakres pozycje rosyjskiej baterii. Z kolei komputer zaczął analizować dane dotyczące gęstości

powietrza, ciśnienia, średniej wilgotności, szybkości i kierunku wiatru oraz tuzina innych czynników atmosferycznych. Kierujący ogniem oficer odczekał, aż na tablicy rozdzielczej zapłoną światełka mówiące o gotowości bojowej.

–Rozpocząć ostrzał! Środkowe działo wieżyczki numer dwa wystrzeliło pojedynczy pocisk. Pracujący na milimetrowych zakresach radar umieszczony na szczycie centrali ogniowej śledził lot pocisku, porównując jego trajektorię z trajektorią wyliczoną uprzednio przez komputer. Urządzenie źle oceniło siłę wiatru. Zainstalowany w radarze komputer natychmiast skorygował błąd i wprowadził do głównego systemu poprawkę. Osiem pozostałych dział lekko zmieniło pozycję.

Otworzyły ogień w chwili, kiedy pierwszy pocisk znajdował się jeszcze w powietrzu.

–Matko Boska! – szepnął Andriejew.

Okręt zapłonął nagle pomarańczowym blaskiem. Ktoś stojący obok generała krzyknął głośno, myśląc zapewne, że to trafił któryś z rosyjskich pocisków. Andriejew nie miał takich złudzeń. Jego artylerzystom brakowało doświadczenia i nie zdążyli jeszcze namierzyć celu. Generał skierował lornetkę w stronę odległej o cztery kilometry baterii.

Pierwszy amerykański pocisk wylądował półtora kilometra na południowy wschód od celu. Kolejnych osiem spadło już tylko dwieście metrów od radzieckich pozycji.

–Natychmiast cofnąć baterię!

–Przesunąć ogień dwieście metrów dalej!

Ponowne naładowanie dział trwało pół minuty. Obojętny gaz wypchnął na zewnątrz strzępy jedwabnych worków, w których mieścił się ładunek miotający i przedmuchał lufy.

Następnie otworzyły się zamki i wysunęły korytka ładownicze. Sprawdzone, czy w przewodach luf nie zostały jakieś resztki po poprzedniej salwie i przenośnik dostarczył po rampie nowe pociski, które zostały natychmiast wsunięte do dział. Na końcu włożono ciężkie worki z ładunkiem

miotającym i usunięto rampy. Zamki zatrzasnęły się hydraulicznie, a lufy poszły w górę. Kanonierzy opuścili pomieszczenia ładownicze, zasłonili dłońmi uszy. W centrali ogniowej wciśnięto klawisze, zamki ponownie szarpnęły do tyłu. Kilkunastoletni marynarze wykonywali tę samą pracę, którą czterdzieści lat wcześniej wykonywali ich dziadkowie.

Andriejew wyszedł na zewnątrz i z upiornym wyrazem twarzy obserwował wydarzenia. Kiedy nad głową przelatywały mu potężne pociski, usłyszał przypominający darcie płótna dźwięk i przeniósł wzrok na swoją baterię. Działa oddały ostatnią salwę, a ciężarówki natychmiast przeciągnęły armaty w inne miejsce. W skład baterii wchodziło sześć dział 152-milimetrowych oraz wiele ciężarówek do transportu kanonierów i amunicji. Eksplodowały trzy armaty, w niebo wzbijała się chmura ziemi i skał. Wspierając starszego brata "Iowę", "New Jersey" oddał cztery salwy.

–A to co takiego? – porucznik wskazał ciemny punkcik na niebie.

Dowódca artylerii oderwał wzrok od czegoś, co jeszcze przed chwilą było trzecią częścią jego baterii. Natychmiast rozpoznał bezzałogowy samolot.

–Mogę go zestrzelić.

–Ani się ważcie! – krzyknął Andriejew. – Chcecie zdradzić im kryjówkę naszych ostatnich wyrzutni SAM-ów?

Generał, który walczył w Afganistanie, przeżył niejedną nawałę ognia moździerzowego i raketowego. Z ciężkimi działami miał jednak do czynienia po raz pierwszy.

–Reszta moich baterii jest ukryta.

–Przygotujcie co najmniej po trzy nowe stanowiska ogniowe. Wszystkie dobrze zamaskowane – generał wrócił do budynku.

Był święcie przekonany, że Amerykanie nie skierują ognia na sam Keflavik; w każdym razie nieprędko. Całą jedną ścianę pokoju zajmowała mapa zachodnich wybrzeży Islandii, na której pracownicy wywiadu zaznaczali małymi flagami przypuszczalne pozycje amerykańskich jednostek.

–Co mamy nad Hvitą? – spytał szefa operacyjnego.

–Batalion. Dziesięć transporterów opancerzonych BMD. Reszta to ciężarówki i samochody dowódców.

Moździerze, pociski przeciwczołgowe i ręczne wyrzutnie SAM-ów. Jednostka pilnuje mostu na Bogarnes.

–Z tego wzgórza Amerykanie mają nasze oddziały w zasięgu wzroku. Jakimi samolotami dysponuje przeciwnik?

–Mają kilka lotniskowców. Dwadzieścia cztery myśliwce i trzydzieści cztery maszyny bojowe na każdym. Jeśli wysadzili na ląd dywizję piechoty morskiej, będziemy też mieli do czynienia z mnóstwem helikopterów i harrierów ze składanymi skrzydłami. Mogą operować z okrętów

desantowych lub z bazy lądowej, a poza tym, jeśli mają odpowiedni sprzęt, to żołnierze zbudują pasy startowe w cztery do sześciu godzin. Dywizja piechoty morskiej liczy dwa razy więcej ludzi niż nasza. Posiada batalion czołgów i silniejszą artylerię, ale niezbyt wiele moździerzy. Obawiam się mobilności sił amerykańskich. Mogą dosłownie tańczyć wokół nas i za pomocą helikopterów oraz okrętów desantowych wysadzać żołnierzy, gdzie zechcą...

–My wylądowaliśmy tu tak samo – odparł trzeźwo generał. – A jak z ich doświadczeniem bojowym?

–Amerykańska piechota morska uważa się za elitę armii. Podobnie zresztą jak my. Niektórzy ich starsi oficerowie i podoficerowie posiadają niewątpliwie spore doświadczenie, ale na szczeblu kompanii i drużyny niewielu oficerów i sierżantów brało udział w prawdziwej walce.

–Czy sytuacja jest naprawdę tak poważna? – W pomieszczeniu pojawiła się kolejna osoba. Szef placówki KGB.

–Ty cholerny czekisto! Twierdziliście, że dywizja amerykańskiej piechoty kieruje się do Europy! Właśnie w tej chwili zabija mi ludzi!

Odległy grzmot z ciężkich dział jakby potwierdził słowa Andriejewa. Pociski spadły na skład amunicji. Na szczęście niewiele jej tam zostało.

–Towarzyszu generale, ja...

–Natychmiast stąd wyjdźcie! Mam dużo pracy – Andriejew coraz bardziej wątpił w to, czy utrzyma Islandię.

Ale był generałem spadochroniarzy i niełatwo godził się

z porażką. Posiadał dziesięć helikopterów bojowych, dobrze ukrytych po ataku na lotnisko w Keflaviku. – Czy możemy wysłać do tamtego portu obserwatora?

–Cały czas śledzą nas amerykańskie samoloty radiolokacyjne. By dostać się do portu, nasz śmigłowiec musiałby przelecieć nad pozycjami wroga. Amerykanie dysponują helikopterami i myśliwcami pionowego startu. Byłaby to misja samobójcza. Tylko cudem nasz zwiadowca dotarłby na tyle blisko, by coś zobaczyć i jeszcze przeżyć.

–Zorientujcie się zatem, czy możemy otrzymać z kraju samolot zwiadowczy lub pomoc satelity. Musimy dokładnie wiedzieć, czym dysponuje przeciwnik. Jeśli powstrzymamy dalszy desant, pokonamy wojsko, które już wylądowało i nie pomoże im nawet lotnictwo morskie.

Była to bardzo skomplikowana procedura, ale ostatecznie depecha z dowództwa Floty Północnej przedarła się przez gąszcz biurokracji.

Jeden z dwóch zwiadowczych radzieckich satelitów transmitujących na bieżąco zużył jedną

czwartą paliwa by zmienić orbitę i w dwie godziny później przeleciał nisko nad Islandią. Kilka minut potem z kosmodromu w Bajkonurze wystrzelono ostatniego radarowego satelitę morskiego, jaki Rosjanom pozostał. On też przeleciał nad Islandią. Cztery godziny od czasu nadania depechy przez Andriejewa Rosjanie mieli jasny obraz sytuacji na wyspie.

Bruksela. Belgia – Czy są już gotowi? – spytał naczelny dowódca wojsk sprzymierzonych w Europie.

–Tak, choć przydałoby się jeszcze ze dwanaście godzin – oficer operacyjny spojrzął na zegarek. – Zaczną za sześćdziesiąt minut.

Godziny, podczas których nowa dywizja zmierzała na wyznaczone miejsce, zostały wykorzystane bardzo pożytecznie. Kilka dodatkowych brygad połączono w dwie międzynarodowe dywizje. By tego dokonać, zebrano prawie 21 – Czerwony sztorm t. II

wszystkie siły rezerwowe, a jednostkom łączności polecono przesyłać drogą radiową, wzdłuż całej linii frontu, fałszywe informacje o obecności przemieszczanych formacji. NATO aż do teraz odwlekało własną maskirowkę. Pozwoliła ona dowódcy wojsk sprzymierzonych oprzeć losy Europy Zachodniej na parze piątek.

Hunzen, Republika Federalna Niemiec

Było to przedsięwzięcie ekscytujące.

Aleksiejew musiał przesunąć do przodu jednostki kategorii A, podczas gdy dywizja piechoty zmotoryzowanej klasy B wykrwawiała się, forsując Wezerę. Generał z niecierpliwością wyczekiwał wieści z pogrążonej w chaosie prawej flanki; żadne jednak informacje nie nadchodziły. Dowódca Zachodniego Teatru Wojny dotrzymał słowa i uderzył na Hamburg, odciągając tym samym siły Paktu Atlantyckiego z miejsca, gdzie miał zaatakować Aleksiejew.

Nie był to prosty manewr. Z innych sektorów ściągnięto przeciwlotnicze jednostki raketowe i artyleryjskie. Gdyby NATO zorientowało się w rzeczywistych zamiarach Rosjan, zrobiłoby wszystko, by powstrzymać radziecki szturm na Zagłębie Ruhry. Jak dotąd opór był słaby. Może dowódcy Paktu Atlantyckiego nie orientowali się w sytuacji, albo też ich wojska rzeczywiście goniły resztkami sił – zastanawiał się Aleksiejew.

Pierwszą jednostką kategorii A była 120. Dywizja Piechoty Zmotoryzowanej, słynna Gwardia Rogaczewa, której forpoczty przekraczały już rzekę pod Ruhle. Za nią posuwała się 8. Gwardyjska Dywizja Czołgów. Dwie kolejne podążały szosami do tego miasteczka, a pułk inżynierski wznosił dalszych siedem mostów. Wedle ocen wywiadu na spotkanie im szły dwa lub trzy pułki wojsk NATO. To za mało – myślał Aleksiejew. – Tym razem to stanowczo za mało.

Nawet ich lotnictwo zostało już mocno uszczuplone.

Radzieckie samoloty z grup pierwszego uderzenia donosiły o niewielkim tylko oporze w pobliżu Ruhle. Może mój przełożony faktycznie miał rację – głowił się generał.

–W Salzhemmendorfie notujemy dużą aktywność nieprzyjacielskiego lotnictwa – poinformował oficer łączności sił powietrznych.

Tam operuje 40. Dywizja Czółgów – pomyślał Aleksiejew. Owa jednostka kategorii B została bardzo przetrzebiona przez niemieckie uderzenie...

–Czterdziesta Czółgowa donosi o poważnym kontrataku nieprzyjaciela na jej pozycje.

–Co znaczy "poważnym"?

–Raport dostałem z zastępczego punktu dowodzenia.

Z kwaterą główną dowództwa dywizji nie mamy kontaktu.

Adiutant dowódcy zakomunikował o ataku brygady złożonej z niemieckich i amerykańskich czółgów.

Brygada? Kolejny kontratak?

–W Dunsen nieprzyjaciel również przeszedł do szturmu.

–W Dunsen? To blisko Gronau. Skąd tam się wzięli? – warknął Aleksiejew. – Zweryfikujcie te doniesienia! To uderzenie powietrzne czy lądowe?

–Sto Dwudziesta Piechoty Zmotoryzowanej przepравиła już na drugi brzeg Wezery pełny pułk, który zbliża się do Bróklen. Pierwsze oddziały Ósmej Czółgowej mają już rzekę w zasięgu wzroku. Punktu przeprawy strzegą jednostki SAM-ów.

Zupełnie jakby wielu ludzi jednocześnie czytało mi różne fragmenty z gazety – pomyślał Aleksiejew. Generał Bieriegowej przebywał na linii frontu. Organizował ruch drogowy i czynił ostatnie przygotowania do ataku, jaki nastąpić miał po sforsowaniu rzeki. Pasza zdawał sobie sprawę, że jego miejsce jest tutaj, ale tak jak poprzednio duchem był na polu bitwy. Trapiła go myśl, że zamiast walczyć na pierwszej linii frontu, niczym jakiś szef Partii wydaje tylko z daleka rozkazy. Idące do szturmu dywizje wysłały do przodu artylerię, która miała odpierać kontrataki nieprzyjaciela podczas przeprawy.

Mam kompletnie odsłonięte tyły...

–Towarzyszu generale, pod Dunsen zaatakowała piechota zmotoryzowana wsparta czółgami i lotnictwem

taktycznym. Dowódca tamtejszego pułku ocenia ich siły na brygadę.

Brygada w Dunsen? Brygada w Salzhemmendorfie?

Muszą nimi dowodzić oficerowie z jednostek B – myślał Aleksiejew. – Ludzie bez praktyki i doświadczenia. Gdyby stanowili rzeczywiście zaprawionych w boju oficerów, zamiast dowodzić rezerwistami, staliby na czele jednostek A.

–W Bremke nieprzyjaciel, ale nie wiemy, jaką siłą dysponuje!

To tylko piętnaście kilometrów stąd! Aleksiejew sięgnął po mapę. W transporterze dowódcy było ciasno, więc wyszedł na zewnątrz i rozłożył arkusz na ziemi. Obok przyklęknął oficer wywiadu.

–Cóż się tam, do licha, wyprawia? – przesuwając dłonią po papierze. – To atak na dwudziestokilometrowym odcinku frontu.

–Nowa dywizja nieprzyjaciela nie dotarła jeszcze na miejsce, a wywiad teatru wojny twierdzi, że zostanie rozdzielona, by objąć sobą cały północny teren pola walki.

–Kwatera główna w Fólziehausen zdążyła nas tylko poinformować o silnym ataku lotniczym. Potem łączność się zerwała.

Jakby na potwierdzenie ostatniego raportu od leżącego na północy Bremke dobiegł potężny grzmot eksplozji.

W tamtym miejscu znajdowały się główne magazyny paliwa i amunicji 24. Dywizji Czółgów. Jednocześnie pojawiły się lecące nisko nad horyzontem samoloty. Ruchomy punkt dowodzenia mieścił się w przylegającym do Hunzen lesie.

W opustoszałym miasteczku rozlokowano nadajniki radiowe jednostki. Lotnictwo NATO, jeśli nie musiało, nie niszczyło budynków mieszkalnych...

Ale nie tego dnia. Cztery myśliwce taktyczne nadleciały nad centrum miasta i zbombardowały nadajniki.

–Uruchomić natychmiast radiostację zastępczą! – rozkazał Aleksiejew.

Na niebie pojawiły się kolejne samoloty. Leciały na południowy wschód, ku autostradzie 240, po której posuwały się na Ruhle radzieckie oddziały kategorii A. General

znalazł działające radio i połączył się ze Stendal, z naczelnym dowódcą zachodniego teatru.

–Na południowy wschód od Springe przeciwnik przypuścił silny atak. Wedle moich szacunków wprowadził do boju co najmniej dwie dywizje.

–To niemożliwe, Pasza! Oni nie mieli dwóch rezerwowych dywizji.

–Otrzymałem też raport o atakach na Bremke, Salzhemmendorf i Dunsen. Moim zdaniem nasza prawa flanka jest w poważnych opałach. Powiniennem skierować tam całe siły. Proszę o zgodę na odwołanie ataku na Ruhle. Najpierw musimy uporządkować sprawy na prawym skrzydle.

–Nie zezwalam.

–Towarzyszu generale, tutaj ja jestem dowódcą. Jeśli dacie mi wolną rękę, zażegnam niebezpieczeństwo.

–Generale Aleksiejew, waszym celem jest Zagłębie Ruhry. Jeśli nie potraficie sobie poradzić, znajdę na wasze miejsce kogoś innego.

Aleksiejew z niedowierzaniem popatrzył na słuchawkę.

Z tym człowiekiem pracował już dwa lata. Byli przyjaciółmi.

Zawsze liczył się z moimi radami – pomyślał generał.

–Mam uderzać, bez względu na to, co robi przeciwnik?

–Pasza, to tylko niegroźny kontratak. Przeprowadź te cztery dywizje przez rzekę – odezwał się przełożony łagodnym już głosem.

–Majorze Siergietow! – zawołał Aleksiejew i w chwilę później pojawił się młody oficer. – Pojedźcie do Dunsen.

Pragnę poznać waszą prywatną opinię na temat tego, co się tam dzieje. I uważajcie na siebie, Iwanie Michajłowiczu.

Oczekuję was za niecałe dwie godziny.

–I nic więcej nie zrobicie? – zdziwił się oficer wywiadu.

Nie mógł spojrzeć w twarz swojemu podwładnemu.

Obserwował, jak Siergietow wsiada do niewielkiej ciężarówki.

–Mam swoje rozkazy. Kontynuujemy operację przeprawy przez Wezerę. W Holle stoi batalion wyrzutni z pociskami przeciwczołgowymi. Przekażcie jego dowódcy,

by przesunął jednostkę na północ i tam był gotów na spotkanie nieprzyjaciela na drodze prowadzącej z Bremke.

Generał Bieriegowoj wie, co ma robić.

Jeśli go ostrzegę, zmieni dyspozycje – zastanawiał się Aleksiejew. – A wtedy wina za niepodporządkowanie się rozkazom spadnie na niego. Tak, to bezpieczne posunięcie.

Ostrzegę go i... nie! Skoro sam boję się złamać rozkazy, nie chcę zwałać tego na kogoś innego.

A jeśli ma rację? – pomyślał o swoim przełożonym. – Jeśli to tylko zwykła akcja zaczepna? Zagłębie Ruhry jest obiektem strategicznym o ogromnym znaczeniu.

Aleksiejew podniósł głowę.

–Obowiązują cały czas te same rozkazy – powiedział zdecydowanym głosem.

–Tak jest, towarzyszu generale.

–Raport o czołgach nieprzyjacielskich w Bremke był fałszywy – pojawił się z informacją młodszy oficer. – Nasz obserwator wziął nasze czołgi za obce.

–I to jest dobra wiadomość? – spytał Aleksiejew.

–Oczywiście, towarzyszu generale – odparł niepewnie kapitan.

–Czy zastanowiliście się, dlaczego nasze czołgi jadą na południe? Do jasnej cholery, czy tylko ja tu muszę o wszystkim myśleć?

Nie mógł podnosić głosu na osobę najbardziej za to wszystko odpowiedzialną. Ale musiał na kimś wyładować złość. Kapitan zniknął mu z oczu. Aleksiejew czuł wstyd, ale nieco się uspokoił.

Wyznaczono ich do tego zadania, bo mieli największe doświadczenie bojowe i nikogo nie obchodziło, że z tego rodzaju operacją jednostka nigdy nie miała do czynienia.

Oddział parł do przodu. Z wyjątkiem sporadycznych kontrataków, żadna formacja NATO nie próbowała jeszcze takiej akcji na podobną skalę. Porucznik Mackall – w myślach ciągle jeszcze był sierżantem – wiedział jednak, że nikt nie wykona tego zadania lepiej niż jego oddział.

Czołgi M-1 miały zainstalowane w silnikach regulatory

ograniczające prędkość maszyn do około siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. Każda załoga zaczynała od usunięcia ze swej maszyny tego urządzenia.

M-1 Mackalla pędził więc teraz na południe z prędkością ponad osiemdziesięciu kilometrów na godzinę.

W trakcie szalonych podskoków maszyny mózg kołatał w czaszce porucznika niczym jądro orzecha w łupinie. Ale Mackall nigdy w życiu nie doświadczył takiego upojenia.

Balansował na cienkim ostrzu ogarnięty pełną szaleństwa odwagą. Opancerzone helikoptery oczyściły im drogę aż do samego Alfeld. Tego szlaku Rosjanie nie używali. Nie była to droga w pełnym tego słowa znaczeniu. Kompania czołgów mknęła trawiastą, szeroką na trzydzieści metrów przecinką leśną wyciętą na trasie przebiegającego pod ziemią rurociągu.

Szerokie gąsienice czołgów bryzgały na boki fontannami ziemi i trawy, gdy wozy pędziły prosto na południe.

Kierowca maszyny zwolnił przed zakrętem, a Mackall wychylił się, by zobaczyć, czy helikoptery nie przeoczyły jakiegoś pojazdu wroga. Nie musiał to być nawet pojazd.

Wystarczyłoby trzech zacząjonych między drzewami żołnierzy z wyrzutnią rakiet. Pani Mackall otrzymałaby wtedy Telegram, zawiadamiający z żalem, że jej syn...

Trzydzieści kilometrów – pomyślał porucznik. – Do licha, zaledwie pół godziny temu niemieccy grenadierzy wybili dziurę w rosyjskich liniach i już kawaleria pancerna z jednostki Black Horse parła do przodu! Było to szaleństwo.

Ale czyż nie było szaleństwem również to, że Mackall przeżył swą pierwszą bitwę... w godzinę po wybuchu wojny?

Oddziałowi zostało jeszcze do przebycia dziesięć kilometrów.

–Popatrzcie na to! Kolejne nasze czołgi ciągną na południe. Cóż się tu, do diabła, dzieje? – naśladowując głos swego generała wykrzyknął do kierowcy Siergietow.

–To nasze? – spytał kierowca. " Świeżo upieczony major potrząsnął głową. Między drzewami mignęła kolejna maszyna. Miała wieżyczkę płaską, a nie kopulastą jak radzieckie czołgi.

Nad przecinką pojawił się helikopter i okręcił wokół własnej osi. Siergietow od razu pojął, że nie jest to maszyna rosyjska. Krótkie skrzydełka po obu stronach kadłuba świadczyły, że to śmigłowiec bojowy. Na sekundę przed tym, jak umieszczone w przedzie helikoptera działka błysnęły ogniem, kierowca gwałtownie skręcił w prawo.

Siergietow szczupakiem wyskoczył z transportera. Upadł na plecy i zaczął toczyć się po ziemi w kierunku drzew. Wtulił głowę w ramiona. Poczł ognisty podmuch, kiedy pociski z karabinu maszynowego trafiły w tylny zbiornik paliwa.

Młody oficer zerwał się z ziemi i pobiegł do lasu. Skrył się za pniem wysokiej sosny. Ostrożnie wyjrzał. Sto metrów w górze nad szczątkami wozu unosił się helikopter. Po chwili zawrócił i odleciał na południe. Nadajnik radiowy Siergietowa płonął razem z ciężarówką.

–Buffalo Trzy-Jeden, tu Komańcz.

–Komańcz, tu Trzy-Jeden. Co u was?

–Właśnie zniszczyliśmy rosyjską ciężarówkę. Poza tym teren czysty. Dawaj do przodu, kowboju! – zawołał pilot helikoptera.

Mackall roześmiał się, ale natychmiast przyszło mu do głowy, że wszystko to nie jest wcale śmieszne. W operacji brało udział bardzo niewiele czołgów. W ciągu następnych dwóch minut przebyły trzy kilometry.

Tutaj przydawały się szybkie maszyny.

–Buffalo Trzy-Jeden. Na wzgórzu trzy rosyjskie pojazdy. Chyba BTR-y. Mostami przejeżdżają same ciężarówki.

Punkt remontowy czołgów mieści się na wschodnim brzegu, na północ od miasta.

Zbliżywszy się do ostatniego zakrętu, czołgi zwolniły.

Mackall polecił opuścić przecinkę i wjechać na porośłą trawą łąkę. Maszyny zajęły pozycję pod osłoną drzew.

–Cel: BTR. Godzina jedenasta. Dwa tysiące siedemset.

Ognia, Woody!

Pierwszy z ośmiokołowych pojazdów eksplodował, zanim jego załoga w ogóle zorientowała się, że w pobliżu jest nieprzyjaciel. Czterdzieści kilometrów od linii frontu RosCZERWONY SZTORM • 329 janie wypatrywali obcych samolotów a nie czołgów. W jednej chwili Amerykanie zniszczyli dwa pozostałe BTR-y, a cztery czołgi z plutonu Mackalla ruszyły do przodu.

Trzy minuty później osiągnęły masyw górski. Jeden po drugim, olbrzymie abramsy wjeżdżały z boczem na grań, skąd widać było miasteczko obrócone przez nieustanne ataki lotnicze i ogień artyleryjski w stertę gruzów. Na czterech wstęgach mostu tłoczyły się ciężarówki. Wiele innych czekało na swoją kolej.

W pierwszej kolejności czołgi namierzyły i ostrzelały cele, które mogły stanowić bezpośrednie zagrożenie. Potem otworzyły ogień z broni maszynowej do ciężarówek, a główne działa skierowały na punkt naprawy czołgów położony na rozległych błoniach na północy miasta. W międzyczasie pojawiły się w transporterach dwie kompanie piechoty, które natychmiast uruchomiły lekkie, 25-milimetrowe działka i przystąpiły do ostrzału przeprawy. Po piętnastu minutach płonęło ponad sto ciężarówek z zaopatrzeniem, które wystarczyłyby pełnej dywizji na cały dzień walki. Ale Amerykanom nie chodziło o rosyjskie zapasy.

Reszta szwadronu, która dołączyła już do pierwszej szpicy, miała przejąć centrum rosyjskiej komunikacji. Niemcy wcześniej odbili Gronau, toteż znajdujące się na wschód od Leiny siły rosyjskie zostały odcięte od dostaw. Dwa radzieckie mosty zostały już oczyszczone z pojazdów

i kompania wozów M-2 Bradley przemknęła po nich, by zająć wschodnie obrzeża miasta.

Iwan Siergietow podkrał się do skraju... chyba trawiastej przecinki – nie wiedział, co to jest – i obserwował pomykające między drzewami jednostki. W żołądku czuł lodowatą kulę. To byli Amerykanie. Co najmniej batalion.

Nie ciężarówki, lecz pojazdy na gąsienicach. Major zachował na tyle zimnej krwi i zdrowego rozsądku, by liczyć mijające go czołgi i wozy mknące z szybkością, która Rosjanina zdumiała. Największe jednak wrażenie wywarł na Siergietowie dźwięk wydawany przez czołgi. Napędzane turbinami M-1 nie powodowały takiego huku jak maszyny z silnikami

diesla, toteż usłyszeć je było można dopiero z odległości kilkuset metrów. Niewielki hałas, jaki czyniły, i ogromna prędkość sprawiały, że...

I kierowały się na Alfeld!

Muszę o tym jak najszybciej powiadomić dowództwo – pomyślał Siergietow. Ale w jaki sposób? Nie miał przecież radia. Dobrą minutę zastanawiał się, gdzie właściwie jest... dwa kilometry od Leiny, która przecinała ten porośnięty lasem masyw. Miał trudny wybór. Gdyby zdecydował się wracać na posterunek dowódcy, czekało go dwadzieścia kilometrów marszu. Jeśli uda się na tyły, radzieckie jednostki napotka w czasie o połowę krótszym. Ale czy ucieczka na tyły nie będzie tchórzostwem?

Tchórzostwo czy nie, ruszył na wschód. Do rozpaczy doprowadzała go myśl, że nikt jeszcze nie wszczął alarmu.

Zbliżył się do skraju drzew i czekał na jakąś większą lukę w posuwającej się przecinką kolumnie amerykańskich pojazdów. Od przeciwnej strony przesieki dzieliło go trzydzieści metrów. Pięć sekund. Może nawet mniej.

Przemknął kolejny M-1. Major popatrzył w lewo. Następny pojazd oddalony był prawie o trzysta metrów.

Siergietow nabrał powietrza w płuca i wyskoczył na drogę.

Dowódca czołgu ujrzał przed sobą ludzką postać, ale nie zdążył już uruchomić karabinu maszynowego, a samotny nie uzbrojony człowiek nie był wart tego, by zatrzymać maszynę. Złożył więc tylko przez radio meldunek o spotkaniu i pojechał dalej.

Siergietow wbiegł sto metrów w głąb lasu. Tam przystanął. Choć przebył tak niewielki dystans, serce waliło mu jak młotem. Usiadł na ziemi i oparł się plecami o pień drzewa. Ciężko oddychając, obserwował migające między drzewami maszyny. Po kilku minutach podniósł się i zaczął wspinać po stromym zboczu. Niebawem ujrzał w dole wstęgę Leiny.

Już samo spotkanie z amerykańskimi czołgami wstrząsnęło majorem, ale to, co ujrzał w dole,

było bez porównania straszniejsze. W miejscu punktu napraw czołgów rozlewało się morze ognia. Wszędzie walały się płonące ciężarówki.

Siergietow zbiegł wschodnim stokiem i zatrzymał się nad brzegiem rzeki. Odpiął pas z kaburą pistoletu i wskoczył w wartki nurt.

–Hej, tam płynie jakiś Rosjanin! – zawołał żołnierz przy karabinie maszynowym. Obrócił broń.

–Oszczędzaj lepiej naboje na migi, żołnierzu – ostudził jego zapał dowódca.

Major wypełził na wschodni brzeg i zerknął na ten, który opuścił. Amerykańskie pojazdy właśnie się okopywały, formując potężne linie obronne. Major ukrył się w chaszczach i długą chwilę rozważał, co robić dalej. W Sack mieścił się punkt kontroli drogowej.

Siergietow całą drogę przebył biegiem.

Po godzinie zapanował względny spokój. Porucznik Mackall wysiadł z czołgu i odbył inspekcję pozycji swego plutonu. Do maszyn podjeżdżał właśnie transporter opancerzony. Zatrzymywał się przy każdej i wydzielal po piętnaście pocisków. Trochę za mało, ale mogło być gorzej. Amerykańskim pozycjom groził w każdej chwili atak z powietrza.

Załogi znosiły więc zrąbane drzewa i wyrwane krzaki, by zamaskować nimi maszyny. Towarzysząca jednostkom pancernym piechota wysłała na pierwszą linię zespoły z wyrzutniami pocisków Stinger, Nad głowami pojawiły się pierwsze myśliwce osłony powietrznej NATO. Wywiad twierdził, że po zachodniej stronie rzeki znajduje się już osiem rosyjskich dywizji. Mackall blokował drogę ich dostawom.

Był to bardzo ważny posterunek.

USS "Independence" Teraz sytuacja wygląda zupełnie inaczej – pomyślał Toland. Floty strzegł samolot E-3 Sentry przysłany tu z Sondrestrom oraz trzy własne E-2C Hawkeye'e. Ponadto na samej Islandii montowano już radar naziemny. Lotniskowcom towarzyszyły dwa krążowniki z systemami Aegis; trzecia taka jednostka strzegła floty desantowej.

–Jak pan myśli, uderzą najpierw na nas, czy na okręty desantowe? – spytał admirał Jacobsen.

–To już loteria, admirale – odparł Toland. – Zależy kto wydaje rozkazy. Marynarka zechce najpierw zniszczyć nas. Armia wybierze desant.

Jacobsen skrzyżował ramiona na piersi i zapatrzył się w mapę.

–Jesteśmy bardzo blisko. Mogą nas praktycznie zaatakować z każdej strony.

Nie spodziewali się więcej niż pięćdziesięciu backfire'ów.

Ale Rosjanie mieli masę przestarzałych badgerów[^] zaś amerykańska eskadra znajdowała się

zaledwie tysic picset mil od radzieckich bombowcw. Maszyny mogy si tu pojawic zaadowane bombami do pena. Marynarka dysponowaa szecioma eskadrami tomcatw i szecioma – hornetw. Razem byo to blisko sto czterdzieci myliwcw. W powietrzu unosiy si bez przerwy dwadziecia cztery maszyny, ktrym towarzyszyy tankowce, myliwce bombardujce natomiast nieustannie dokonyway nalotw na rosyjskie pozycje.

Okrety bojowe zakoczyy juz swoj pierwsz wizyt w rejonie Keflaviku i wpyway do Hvalfjorduru – Zatoki Wielorybiej – by zapewni wsparcie ogniowe piechocie morskiej walczcej na pnoc od Bogarnes.

Planujc operacj, Amerykanie mocno liczyy si z moliwoci ataku rosyjskich rakiet powietrze-ziemia. Cigle istniao niebezpieczestwo kolejnych "wampirw".

Utrata pnocnej Norwegii spowodowaa, iz misja Reportera stracia sens. Okret podwodny wprawdzie cigle tkwi na tamtych wodach, zbierajc dane wywiadowcze, ale obserwacj nadlatujcych rosyjskich bombowcw zajmoway si teraz brytyjskie i norweskie samoloty patrolowe dziaajce w okolicach Szkocji. Jeden z nich dostrzeg trzy badgery zmierzajce na pudniowy wschd. Natychmiast przes przez radio ostrzeenie.

Rosyjskie maszyny dzielio od flotyli siedemdziesit minut lotu.

Stanowisko Tolanda w centrum informacji bojowej miecio si bezporednio pod pokadem startowym, totez komandor bez przerwy sysza ryk odrzutowych silnikw zrywajcych si do lotu maszyn. Toland by z denerwowany. Wprawdzie zdawa sobie spraw z tego, e sytuacja taktyczna zasadniczo rni si od tej z drugiego dnia wojny, ale pamita te, e by jedn z dwch tylko osb, ktre usy z yciem z pomieszczenia dokadnie takiego jak to, w ktrym aktualnie przebywa. Cay czas napywa potok informacji z radarw naziemnych oraz z samolotw E-3 podlegych siom powietrznym i nalecych do marynarki E-2. Powietrze tak byo naadowane energi elektromagnetyczn, e spalao ptaki w locie.

Komandor obserwowa na ekranie myliwce. Tomcaty odlatyway nad pnocne wybrzea Islandii i tam kryy w oczekiwaniu na rosyjskie bombowce.

–Ma pan jakie pomysy, Toland? Potrzebuj pomysw – odezwa si cicho admira.

–Jeli leca do nas, pojawi si od wschodu. Jeli maj zamiar atakowa jednostki desantowe, maj drog duo krsz. Gdyby natomiast pragny uderzy na Stykkisholmur, to trudno cokolwiek przewidzie.

–W zupeni si z panem zgadzam – skin gow Jacobsen.

W gre rozlego si guche dudnienie. To myliwce bombardujce wracay po nowy adunek pociskw. Poza czysto materialnymi szkodami, jakie wyrdzay Rosjanom, ich nieustanne, gwatowne naloty podkopyway morale radzieckich komandosw. W akcji bray udział rwnie harriery z lotnictwa morskiego oraz helikoptery bojowe.

Postępy były większe od spodziewanych. Rosjanie mieli w tych okolicach dużo mniej żołnierzy, niż zakładano, toteż sowieckie stanowiska znajdowały się pod huraganowym ogniem wojsk sprzymierzonych.

–Baza Gwiazdna, tu Błękitny Jastrząb Trzy. Rejestruję radiostacje zagłuszające. Współrzędne: zero-dwa-cztery... zagłuszanie wzrasta.

Dane płynęły prosto na lotniskowiec i po przetworzeniu elektronicznym ukazywały się na ekranach w postaci grubych, żółtych impulsów bramkujących. Niebawem informację tę potwierdziły pozostałe hawkeye'e.

Oficer operacji lotniczych flotylli uśmiechnął się pod nosem i zbliżył do ust mikrofon. Jego jednostki zajęły już wyznaczone pozycje, a to dawało mu kilka możliwości.

–Plan "Delta".

Na pokładzie Zielonego Jastrzębia Jeden mieściło się stanowisko dowódcy grupy lotniczej z lotniskowca "Independence". Stary pilot myśliwski, który wolałby raczej być teraz za sterami własnego samolotu, wytypował z każdej eskadry tomcatów po dwie maszyny i wysłał je na poszukiwanie rosyjskich samolotów z radiostacjami zagłuszającymi.

Przerobione badgery leciały szerokim frontem z prędkością pięciuset węzłów, maskując emitowanym przez siebie szumem uzbrojone w rakiety bombowce. Eskadra znajdowała się w odległości trzystu mil od linii pikiet samolotów radarowych. Tomcaty, nabrawszy również szybkości pięciuset węzłów, pomknęły na ich spotkanie.

Każda radiostacja zagłuszająca tworzyła na amerykańskich ekranach radarowych "impuls", mętny, klinowaty kształt, przez co radziecka eskadra samolotów z aparaturą tego typu przybrała postać koła ze szprychami. Każda z tych szprych oznaczała konkretny transponder, więc amerykańscy kontrolerzy byli w stanie porównać ze sobą dane, przeprowadzić namiar triangulacyjny i wyznaczyć pozycję urządzenia. Tomcaty szybko zbliżały się do celu. Zajmujący tylne fotele oficerowie, operujący radarami przechwytyjącymi, programowali samonaprowadzacze rakiet Phoenix na poszukiwanie zagłuszaczy. Pociski miały same wynajdywać i niszczyć emitujące elektroniczny hałas badgery.

Amerykańskie samoloty namierzyły dwadzieścia wrogich maszyn. Osiemnaście myśliwców sprawiało, że w poszczególnego badgera wycelowane były co najmniej po dwie rakiety.

–Wykonać plan "Delta"!

Tomcaty wystrzeliły pociski czterdzieści mil od celów.

Powietrze pruły rakiety Phoenix. Ich lot trwał tylko pięćdziesiąt sześć sekund. Szesnaście trafionych badgerów z zagłuszaczami runęło w dół. Gdy pojawiły się smugi dymu, pozostałe natychmiast wyłączyły urządzenia i przeszły w lot nurkowy. Na ogonach siedziały im tomcaty.

–Liczne kontakty radarowe. Pierwsza grupa to pięćdziesiąt maszyn. Współrzędne: zero-zero-dziewięć. Odległość: trzysta sześćdziesiąt. Szybkość: sześćset węzłów. Wysokość: dziesięć tysięcy. Grupa druga... – ciągnął głos.

Pozycje nieprzyjacielskich samolotów nanoszono drobiazgowo na nakres.

–Główny atak skierowany na okręty desantowe. W nalocie biorą udział badgery. Do nas lecą backfire'y. Rakiety wystrzelą zapewne z daleka – powiedział Toland.

Jacobsen odbył szybką naradę z oficerem operacyjnym.

Zielony Jastrząb Jeden miał koordynować obronę jednostek desantowych. Pochodzącego z "Nimitza" Błękitnego Jastrzębia Cztery skierowano do grupy bojowej lotniskowców.

Myśliwce rozdzieliły się. Toland zauważył, że Jacobsen przekazał całą kontrolę operacji powietrznych oficerom z centrum lotniczego. Okrętami uzbrojonymi w wyrzutnie SAM-ów zajął się przebywający na pokładzie USS "Yorktown" oficer odpowiedzialny za obronę przeciwlotniczą całej floty. Wszystkie jednostki czekały w pełnej gotowości bojowej. Nadajniki radarowe milczały na pozycjach "gotów".

–Boję się tylko, by znów nie użyli tych rakiet pozoracyjnych – mruknął Jacobsen.

–Raz im się to udało – przyznał Toland. – Ale wtedy strzelali z innej odległości.

Tomcaty uformowały się w grupy po cztery maszyny.

Każdy zespół prowadzony był radarem. Pilotów ostrzeżono o rakietach pozoracyjnych, które tak fatalnie wyprowadziły w pole grupę "Nimitza". Myśliwce leciały z wyłączonymi radarami do chwili, aż znalazły się w odległości "pięćdziesięciu mil od celów. Wtedy uruchomiły urządzenia. Na zamontowanych na pokładach ekranach telewizyjnych pojawiły się maszyny wroga.

–Błękitny Jastrząb Cztery! – zawołał ktoś. – Mam kontakt wzrokowy z backfire'ami. Zaczynamy walkę.

Rosyjski plan ataku zakładał, że amerykańskie myśliwce ruszą na północ, by przedrzeć się przez ścianę zagłuszeń.

Wtedy od wschodu dokonają ataku na backfire'y. Niestety, samoloty emitujące szum elektroniczny zostały już zniszczone, a backfire'y nie namierzyły jeszcze eskadry morskiej.

Nie mogły przecież strzelać wyłącznie na podstawie danych satelitarnych pochodzących sprzed godziny. Nie miały też jak uciekać. Radzieckie bombowce ponaddźwiękowe walczyły z czasem, odległością i amerykańskimi myśliwcami przechwytyjącymi. Włączyły dopalacze i uaktywniły radary.

I znów wszystko odbyło się jak w grze wideo. Kiedy samoloty uruchomiły radiostacje zagłuszające, oznaczające backfire'y symbole zmieniły swą postać. Zakłócenia zmniejszyły wprawdzie skuteczność rakiet Phoenix, ale straty Rosjan i tak były poważne. Backfire'y dzieliło jeszcze od celu trzysta mil. Radary posiadały zasięg o połowę mniejszy, a nad rosyjskimi formacjami zaczęły się już roić myśliwce.

W eterze rozległ się zbiorowy okrzyk radości i tomcaty ruszyły do ataku na radzieckie bombowce. Z ekranów radarowych po kolei zaczęły znikać symbole. Backfire'y nadlatywały z szybkością siedemnastu mil na minutę. Ich radiolokatory rozpaczliwie poszukiwały amerykańskich okrętów.

–Kilka się przedrze – zauważył Toland.

–Sześć albo osiem – zgodził się Jacobsen.

–Każdy z nich będzie miał po trzy rakiety.

Tomcaty wystrzeliły pociski i ustąpiły miejsca horne tom uzbrojonym w rakiety Sparrow i Sidewinder. Amerykańskim maszynom trudno było utrzymywać kontakt z celami.

Szybkość backfire'ów utrudniała ścigającym ewolucje, a ponadto myśliwcom chronicznie brakowało paliwa. Rakiety jednak pędziły już do celu i nie mogło ich powstrzymać żadne zagłuszanie. W końcu jeden z rosyjskich samolotów namierzył okręty za pomocą radaru i przekazał tę wieść dalej. Siedem pozostałych backfire'ów odpaliło rakiety i zawróciło na północ. Uciekały z szybkością dwóch machów.

Amerykańskie myśliwce zestrzeliły jeszcze trzy nieprzyjacielskie maszyny.

Znów w eter popłynęło ostrzeżenie przed "wampirami".

I ponownie Toland skulił się ze strachu. Zbliżało się dwadzieścia pocisków. Okręty uaktywniły radiostacje zagłuszające oraz urządzenia sterujące ogniem SAM-ów. Na głównej osi rosyjskiego ataku zajęły pozycje dwa krążowniki z systemami Aegis i natychmiast otworzyły ogień. Do walki włączały się kolejne okręty, dokładając do wspólnego "koszyka" rakiety SM-2, nad którymi kontrolę natychmiast przejmowały systemy komputerowe Aegis. Na spotkanie dwudziestu rosyjskich rakiet mknęło dziewięćdziesiąt pocisków. Przez zaporę ogniową przedarły się trzy rakiety.

Jedna celowała w lotniskowiec "America", ale trzy baterie dział przeciwlotniczych jednostki zniszczyły pocisk AS-6 w odległości trzystu metrów od okrętu. Dwie pozostałe rakiety jednak ugodziły w znajdujący się cztery mile od "Independence" krążownik "Wainwright".

–Cholera – twarz Jacobsena przybrała twardy wyraz.

–Ten jest stracony. Ale przygotujmy się na przyjęcie myśliwców. Niektóre pewnie mają już

puste baki.

Uwaga wszystkich skupiła się obecnie na badgerach.

Północna grupa tomcatów leciała już w pobliżu starych bombowców. Te zbyt późno odkryły, że pozbawione są elektronicznej ściany zagłuszaczy, za którą mogłyby się skryć.

Nie miały jednak wyboru. Myśliwce pojawiły się w chwili, gdy badgerom brakowało jeszcze pięciu minut do wystrzelenia pocisków. Radzieccy piloci nadali więc maszynom maksymalne przyspieszenie i pędzili do celu. Załogi bombowców z niepokojem wypatrywały nieprzyjacielskich pocisków.

Piloci tomcatów zdziwili się, widząc, że nadlatujące cele nie zmieniają kursu. Istniało duże prawdopodobieństwo, że są to tylko rakiety pozoracyjne. Myśliwce zbliżyły się więc do przeciwnika na odległość wzroku. Strzelcy musieli być pewni, że nie mierzą w atrapy.

–Badger na godzinie dwunastej. Na naszej wysokości.

Pierwszy tomcat wystrzelił z odległości czterdziestu mil dwie rakiety. 22 – Czerwony sztorm t. II

W przeciwieństwie do backfire'ów^ badgery miały już zamiar celów, co umożliwiło im odpalenie rakiet AS-4 z maksymalnej odległości. Dwudziestoletnie bombowce wysyłały pociski jeden po drugim i, wchodząc w jak najostrzejszy skręt, próbowały umknąć. Dzięki szybkiej ucieczce połowa samolotów ocalała, gdyż maszyny amerykańskiej marynarki nie mogły ich ścigać. Na pokładzie samolotu radiolokacyjnego liczono zestrzelenia, chociaż w stronę Stykkisholmuru szybowyły radzieckie rakiety.

Rosyjskie lotnictwo morskie poniosło w tej potyczce przerażające straty.

USS "NassSU" Kiedy w pomieszczeniach ogólnych załogi rozdzwoniły się elektroniczne dzwonki alarmowe, Edwards ciągle był otumaniony po narkozie. Porucznik niezupełnie zdawał sobie sprawę z tego, gdzie jest. Przypominał sobie mgliście podróż helikopterem. Kiedy znów odzyskał przytomność, spoczywał w łóżku, a do ciała miał podłączone jakieś igły i rurki. Edwards wiedział, co oznacza alarm, zdawał- sobie sprawę, że powinien się bać. Był jednak zbyt otępiały od narkotyków, by czuć jakiegokolwiek emocje. Z trudem uniósł głowę. Obok łóżka siedziała Vigdis i trzymała w obu rękach prawą dłoń porucznika. Mężczyzna, nie zdając sobie sprawy, że dziewczyna śpi, ścisnął lekko jej palce. Po chwili sam zapadł w sen.

Pięć poziomów wyżej, na mostku stał kapitan "Nassau".

Zazwyczaj jego stanowisko mieściło się w centrum informacji bojowej, ale obecnie okręt nie płynął, więc dowódca doszedł do wniosku, że stąd właśnie wszystko będzie widział najlepiej. Z północnego wschodu nadlatywało ponad sto rakiet. Kiedy przed godziną nadszedł komunikat o nalocie, załogi łodzi desantowych umieściły na okolicznych skałach dymnicę. Kapitan wiedział,

że jest to niezły sposób, ale osobiście niezbyt w niego wierzył. Umieszczone w rogach pokładu startowego działa przeszły na sterowanie automatyczne. Armaty Gatling[^] z powodu swego wyglądu

zwane R2D2*, uniosły lufy o dwadzieścia stopni i skierowały je w stronę, skąd miał przypuszczalnie nastąpić atak.

To było wszystko, co dowódca okrętu mógł zrobić, zwłaszcza że eksperci od obrony przeciwlotniczej zgodnie orzekli, iż wystrzelone w pojemnikach paski aluminium mogą przynieść więcej szkody niż pożytku. Wzruszył ramionami. Tak czy siak za pięć minut wszystko już będzie jasne.

Po wschodniej stronie przemieszczał się powoli krążownik "Vincennes". Nagle z jego wyrzutni raketowych pomknęły w górę cztery pociski, wlokąc za sobą warkocze dymu.

Okręt w regularnych odstępach czasu zaczął wysyłać rakiety.

Niebawem całe niebo po północno-wschodniej stronie spowiły gęste szare kłęby. Kapitan obserwował przez lornetkę pojawiające się nagle czarne obłoki, z których każdy oznaczał zniszczony rosyjski pocisk. Eksplozje te przybliżały się z każdą chwilą. Przybliżały się bowiem nieprzyjacielskie pociski, a krążownik Aegis nie był w stanie uporać się ze wszystkimi. Po czterech minutach, kiedy "Vincennes" opróżnił już swoje magazyny, nabral pełnej szybkości i zaczął przemykać między dwiema skalistymi wysepkami. Kapitan "Nassau" był zdumiony. Tylko szalenciec ważyłby się z szybkością dwudziestu pięciu węzłów manewrować wartym miliard dolarów okrętem w tym skalnym labiryncie. Nawet przy Guadalcanal...

Eksplozja zatrzęsa odległą o cztery mile wysepką Hrappsey. Potem kolejna rakietę wyrzuciła w wyspę Seley.

Udało się!

Dziewięć mil od celu rosyjskie rakiety uruchomiły samonaprowadzające radary. Na ekranach celowników ujrzały masę wyskoków. Prowadzone czujnikami na podczerwień pociski, przeładowane informacją, wybierać zaczęły cele największe. Wiele obiektów wydzielalo ciepło, więc rakiety z prędkością trzech machów znurkowały w ich stronę. Nie wiedziały, że biją w wulkaniczne skały. Przez zaporę SAM-ów przedarło się trzydzieści rakiet.

Robocik z filmu Gwiezdne wojny.

Ale tylko pięć z nich mierzyło w okręty.

Dwa działa R2D2 na "Nassau" obracały się błyskawicznie, plując ogniem w rakiety, które nadlatywały z prędkością zbyt wielką dla ludzkiego oka. W tej samej sekundzie trzysta metrów wyżej pojawił się oślepiający błysk. Huk prawie ogłuszył dowódcę i człowiek zdał sobie sprawę, iż postępuje jak głupiec, wystawiając się na prujące powietrze odłamki, które odbijały się od

stalowych ścian sterowni.

Dwie rakiety spadły na zachodnią część miasta. Potem niebo było już czyste. Ognista kula po zachodniej stronie mówiła, że co najmniej jeden okręt został trafiony. Ale nie mój – pomyślał z ulgą kapitan.

–Sukinsyn.

Podniósł słuchawkę i połączył się z centrum informacji bojowej.

–Centrala, tu mostek. Dwie rakiety spadły na Stykkisholmur. Poślijcie tam helikopter. Są zapewne ofiary.

Toland przeglądał na przyspieszonych obrotach taśmy wideo z zarejestrowaną walką powietrzną. Komputer policzył już trafienia. Wszystko było zautomatyzowane.

–Och! – westchnął oficer wywiadu.

–I co, synu? Inaczej niż poprzednio, prawda? – odezwał się Jacobsen. – Spaulding, co z flotą desantową.

–Właśnie otrzymałem raport. "Charleston" przełamany na pół. Drobne uszkodzenia na "Guamie" i "Ponce". To wszystko, admirale.

–No i "Wainwright" – Jacobsen wziął głęboki oddech.

Dwa cenne okręty. Półtora tysiąca zabitych. A jednak był to sukces.

Keflavik, Islandia – Chyba już zaatakowali.

Andriejew nie liczył na to, że informacje otrzyma szybko.

Amerykanom udało się w końcu zniszczyć ostatni radziecki radar i generał nie miał możliwości śledzenia przebiegu bitwy

powietrznej. Wprawdzie operatorzy z nasłuchu radiowego rejestrowali liczne transmisje, ale sygnały były zbyt słabe, a wiadomości zbyt wyrywkowe, by cokolwiek dało się z nich wywnioskować. Jeden tylko fakt był bezsporny: trwała bitwa.

–Ostatnim razem udało nam się zlikwidować grupę bojową lotniskowca – odezwał się z nadzieją w głosie oficer operacyjny.

–Nasi żołnierze w Bogarnes ciągle znajdują się pod silnym ogniem nieprzyjaciela – poinformował ktoś inny.

Amerykańskie okręty wojenne już od godziny bombardowały radzieckie pozycje. – Mamy

wielkie straty.

–Towarzyszu generale, to nadeszło... a zresztą lepiej będzie, jeśli sami tego posłuchacie. Nadano to na fali dowództwa.

Przesłanie było powtórzone czterokrotnie i w języku rosyjskim:

–Do dowódcy radzieckich jednostek na Islandii. Tu dowódca atlantyckiej floty uderzeniowej. Jeśli ta wiadomość nie dotrze do pana bezpośrednio, ktoś inny ją panu przekaże.

Proszę następnym razem życzyć swoim bombowcom więcej szczęścia. Niebawem się spotkamy.

Sack, Republika Federalna Niemiec Do punktu kontroli drogowej Siergietow dowlókl się w chwili, kiedy do Alfeld wyruszał batalion czołgów.

Zmordowany oficer pochylił się, dłonie oparł na kolanach i obserwował przejeżdżające maszyny.

–Kim jesteście? – spytał porucznik KGB.

Ruchem drogowym zajmowali się właśnie oficerowie tej instytucji. Ludzie z KGB bez większych oporów karali śmiercią wszelkich maruderów i bałaganiarzy.

–Major Siergietow. Muszę natychmiast widzieć się z dowódcą posterunku.

–Z jakiej jesteście jednostki, Siergietow?

Iwan wyprostował się. Nie "towarzyszu majorze, nie "towarzyszu", ale po prostu "Siergietow"?

–Jestem osobistym adiutantem generała Aleksiejewa,

zastępcy dowódcy Zachodniego Teatru Wojny. A teraz, do cholery, prowadźcie mnie do komendanta.

–Papiery – porucznik z chłodnym, aroganckim wyrazem twarzy wyciągnął rękę.

Siergietow nieznacznie się uśmiechnął. Dokumenty trzymał w wodoszczelnej, plastikowej kopercie. Podał oficerowi KGB odpowiedni papier, który jeszcze przed mobilizacją załatwił mu ojciec.

–Skąd macie przepustkę najwyższego uprzywilejowania? – tym razem już ostrożniej zapytał porucznik.

–A kim wy, kurwa, jesteście, że macie prawo o to pytać? – syn członka Politbiura przybliżył na

centymetr twarz do twarzy funkcjonariusza KGB. – Dawajcie tu zaraz komendanta, bo w przeciwnym razie szybko się przekonacie, jak smakuje kulka w łeb.

Czekista stracił cały rezon. Bez słowa zaprowadził oficera do pobliskiej farmy. Dowódcą punktu drogowego był major. Pierwszorzędnie!

–Proszę o łączność radiową z dowództwem armii – warknął Siergietow.

–Mam łączność tylko z pułkiem i z dywizją – odparł major.

–Najbliższa kwatera główna jakiejś dywizji?

–To będzie Dwudziesta Czołgowa w...

–Zniszczona. Do cholery, potrzebuję transportera.

Natychmiast! W Alfeld są Amerykanie.

–Posłaliśmy właśnie batalion...

–Widziałem. Odwołać go natychmiast.

–Nie mam do tego prawa.

–Ty przekłety durniu. Jadą prosto w pułapkę! Odwołać batalion natychmiast!

–Nie mam prą...

–Jesteście niemieckim agentem? Nie wiecie, co się tam dzieje?

–To był atak lotniczy, prawda?

–Idioto, w Alfeld są już amerykańskie czołgi. Należy natychmiast kontratakować,ale nie jednym batalionem. To za mało. Mamy... – z odległości sześciu kilometrów dotarły

dźwięki pierwszych wybuchów. – Majorze, wybierajcie: albo natychmiast dostanę jakiś środek lokomocji, albo proszę o wasze imię, nazwisko i numer ewidencyjny.

Zamelduję o was komu trzeba.

Oficerowie KGB wymienili szybkie, pełne niedowierzania spojrzenia. W ten sposób nikt się do nich nie odzywał.

Skoro więc...

Siergietow dostał transporter i natychmiast wyruszył w drogę. Pół godziny później dotarł już

do bazy zaopatrzeniowej w Holle. Tam było radio.

–Gdzie jesteście, majorze? – spytał Aleksiejew.

–W Holle. Amerykanie przerwali nasze linie. W Alfeld mają co najmniej batalion czołgów.

–Co? – w radiu zapadła na moment głucha cisza. – Jesteście tego pewni?

–Towarzyszu generale, by się tutaj dostać, musiałem przebyć wplaw tę cholerną rzekę. Parę kilometrów na północ od miasta widziałem kolumnę liczącą co najmniej dwadzieścia pięć maszyn. Zrównały z ziemią park remontowy naszych czołgów. Zniszczyły masę ciężarówek.

Powtarzam, generale, w Alfeld znajdują się amerykańskie wojska w sile co najmniej jednego batalionu.

–Natychmiast jedźcie do Stendal i osobiście złożcie raport głównodowodzącemu Zachodnim Teatrem Wojny.

USS "Independence" – Dobry wieczór, majorze Czapajew. Jak noga? – zapytał Toland i usiadł obok szpitalnego łóżka, – Czy jest pan traktowany właściwie?

–Nie uskarżam się. Wasz rosyjski jest... niezły.

–Rzadko mam okazję doskonalić go w bezpośredniej rozmowie z radzieckim obywatelem. Może pan mi pomoże?

–W gramatyce? – parsknął ironicznie Rosjanin.

Major Aleksander Georgijewicz Czapajew. Tak brzmiał wydruk z komputera. Wiek: trzydzieści lat. Drugi syn generała Georgija Konstantynowicza Czapajewa, dowódcy Moskiewskiego Okręgu Obrony Powietrznej. Żonaty

z najmłodszą córką liiii Nikołajewicza Goworowa, członka Komitetu Centralnego.

A więc ten młody człowiek posiada z pewnością dostęp do wielu nieoficjalnych informacji...

–Był pan dowódcą migów? Spokojnie, majorze, sam pan wie, że wszystkie te samoloty już wykończyliśmy, prawda?

–Tak, służę w lotnictwie w randze starszego oficera.

–Proszono mnie, bym przekazał panu gratulacje. Nie jestem lotnikiem, ale opowiadano mi o taktyce, jaką zastosował pan nad Keflavikiem. Była podobno pierwszorzędna. Mielście pięć migów. Wczoraj straciliśmy w sumie siedem maszyn. Trzy strąciły wasze myśliwce, dwie – wasze rakiety, a pozostałe dwie zniszczyła artyleria przeciwlotnicza. Była to dla nas bardzo przykra niespodzianka.

–Wypełniałem tylko swoje obowiązki.

–Da. Wszyscy mamy obowiązki – przyznał Toland.

–Jeśli obawia się pan, że będzie tu źle traktowany, spieszę rozwiać pański niepokój. Obejdziemy się z panem przyzwyczajając pod każdym względem. Nie wiem, co panu powiedzieli i czego się pan po nas spodziewał, ale na pewno spostrzegł pan nieraz, że nie wszystko, co mówi Partia, jest zgodne z prawdą. Wiem z pańskich dokumentów, że posiada pan żonę i dwoje dzieci. Też mam rodzinę. Liczę, majorze, że obaj jeszcze je zobaczymy.

–A jeśli zaatakują nasze bombowce?

–Próbowaly to uczynić trzy godziny temu. Nikt panu o tym nie wspominał?

–Ha! Za pierwszym razem...

–Byłem na "Nimitzu". Dostaliśmy dwa trafienia – Toland pokrótce opisał tamto zdarzenie. – Tym razem sprawy potoczyły się całkiem inaczej. Aktualnie poszukujemy waszych rozbitków. Przekona się pan o tym sam, jak ich już tu dostarczymy. Wasze lotnictwo nie stanowi dla nas dłużej zagrozenia. Okręty podwodne, to inna sprawa, ale nie ma sensu pytać pilota myśliwskiego o kwestie dotyczące marynarki. Ponadto nie prowadzę przesłuchania.

–Więc po co tu przyszliście?

–Później zadam panu parę pytań. Teraz chciałem się tylko przywitać. Jeśli pan czegoś potrzebuje, służę każdą pomocą.

Czapajew stracił pewność siebie. Poza możliwością, że Amerykanie po prostu go zastrzelą, nic innego nie przychodziło majorowi do głowy. Wiele się naczytał o ucieczkach z niewoli, ale lektury te nie miały zastosowania w sytuacji, gdy ktoś więziony jest na okręcie pośrodku oceanu.

–Nie wierzę wam – odezwał się po chwili.

–Towarzyszu majorze, nie ma sensu wypytywać pana o migi-29V ponieważ nie ma ich już na Islandii. Reszta radzieckiego lotnictwa walczy w Europie, ale my tam nie płniemy. Nie ma też sensu wypytywać pana o pozycje waszych wojsk lądowych na Islandii, bo pan jako lotnik niewiele może o tym wiedzieć. To samo dotyczy zagrażających nam rosyjskich okrętów podwodnych. Co może pan wiedzieć o łodziach podwodnych, prawda? Niech pan sobie to wszystko przemyśli, majorze. Jest pan przecież człowiekiem wykształconym. Sądzi pan, że posiada jakieś użyteczne dla nas informacje?

Bardzo wątpię. Wymienimy pana za naszych jeńców; ale to już sprawa przywódców politycznych. Do tego czasu będziemy pana traktować po ludzku.

Toland zamilkł.

No, porozmawiaj ze mną – szepnął do siebie.

–Jestem głodny – odparł po krótkiej chwili Czapajew.

–Za pół godziny będzie kolacja.

–I tak po prostu odeślecie mnie do domu, kiedy...

–Nie mamy obozów pracy. Nie mordujemy jeńców.

Gdybyśmy zamierzali obchodzić się z panem źle, nasz chirurg z pewnością nie operowałby panu nogi ani nie przepisywał środków znieczulających.

–Miałem ze sobą zdjęcia...

–Ach, na śmierć zapomniałem! – Toland wręczył Rosjaninowi portfel. – To chyba wbrew przepisom zabierać coś takiego na akcję? t- Przynoszą mi szczęście – odparł Czapajew i wyciągnął czarno-białą fotografię żony i dwóch córek.

Wrócę do was – szepnął w duchu. – Może miną jeszcze miesiące, ale wrócę...

Bob roześmiał się.

–Ma pan rację, towarzyszu majorze. A tak wygląda moja rodzina.

–Jak na mój gust, wasza żona jest stanowczo za chuda.

Ale też jesteście szczęśliwym człowiekiem – Czapajew umilkł.

Powilgotniały mu oczy. Zamrugnął powiekami. – Napiłbym się czegoś mocniejszego – odezwał się z nadzieją w głosie.

–Ja też. Ale na naszym okręcie to zabronione – Toland popatrzył na fotografie. – Pańska córka jest bardzo piękna, majorze. Wie pan, musieliśmy chyba rozum stracić, by rzucać rodziny i...

–Taką już mamy służbę – odparł Czapajew.

Toland gniewnie machnął ręką.

–To ci przekłeci politycy. Każą iść... a my idziemy jak stado baranów! Do licha, nawet nie znamy powodów, dla których ta cholerna wojna wybuchła!

–Nie wiecie?

Strzał w dziesiątkę!

Kodeina i współczucie...

Toland włączył ukryty w kieszeni magnetofon...

Hunzen, Republika Federalna Niemiec – Jeśli będę ciągnął ten atak, zniszczą nas tutaj! – zaprotestował Aleksiejew. – Mam dwie pełne dywizje na flance. Ponadto otrzymałem doniesienie, że w Alfeld są amerykańskie czołgi.

–To niemożliwe! – odparł gniewnie dowódca zachodniego teatru.

–Raport pochodzi od majora Siergietowa. Był świadkiem ich przybycia. Poleciałem mu udać się do Stendal i osobiście złożyć wam raport.

–Do Alfeld ciągnie 26. Dywizja Piechoty Zmotoryzowanej. Jeśli rzeczywiście są tam Amerykanie, nasi żołnierze sobie z nimi poradzą.

To jednostka kategorii C – pomyślał Aleksiejew. –

Rezerwiści. Mają mało sprzętu i żadnego doświadczenia bojowego.

–Na jakim etapie jest przeprawa?

–Dwa pułki już są po drugiej stronie. Trzeci właśnie forsuje rzekę. Niestety namierzyło nas nieprzyjacielskie lotnictwo... do diabła! Mam na tyłach jednostki wroga!

–Wracaj do Stendal, Pasza. Dowództwo w Hunzen przekazaj Bieriegowojowi. Potrzebuję cię tutaj.

Zostałem usunięty ze stanowiska – pomyślał generał. – Odebrano mi dowództwo.

–Rozumiem, towarzyszu generale – odparł Aleksiejew i wyłączył radio.

Czyż mogę w obliczu takiego niebezpieczeństwa porzucić swoich żołnierzy? Czy mogę podległych mi dowódców zostawić w nieświadomości? – Aleksiejew wyrznął pięścią w stół.

–Dajcie mi tu generała Bieriegowoja!

Alfeld, Republika Federalna Niemiec Linie obronne NATO były za daleko, by dały im wsparcie ogniowe, a własną artylerię musieli zostawić z tyłu.

Mackall nastawił celowniki. Z mgły wynurzały się rosyjskie formacje. Siły przeciwnika ocenił na dwa pułki. W sumie dywizja. Nie widać wyrzutni SAM-ów – pomyślał porucznik. Dowodzący jednostką Mackalla pułkownik zaczął wydawać przez radio komendy. Lotnictwo Paktu Atlantyckiego miało pojawić się lada chwila.

Nad amerykańskimi pozycjami przeleciały bojowe helikoptery Apache. Skierowały się na południe i zaatakowały z boku kolumnę rosyjskich pojazdów. Śmigłowcami rzucało na wszystkie strony, kiedy w nacierające czołgi odpalały rakiety Hellfire. Piloci bacznie wypatrywali pojazdów z wyrzutniami raketowymi. Nie dostrzegli żadnego. Następne nadleciały A-10. Groźne, dwusilnikowe maszyny, którym nie zagrażały teraz wyrzutnie SAM-ów, leciały na bardzo niskim pułapie.

Ich obrotowe działka i wiązki bomb kontynuowały rozpoczęte przez helikoptery Apache dzieło zniszczenia.

–Rosjanie idą jak owce na rzeź, szefie – odezwał się kanonier.

–Może są zupełnie zieloni, Woody.

–Bardzo mi to odpowiada.

Na Rosjan z kolei spadła nawała ognia z armatek bradleyów usytuowanych na wschodnim krańcu miasteczka. Zanim jeszcze Rosjanie dostali się w zasięg rażenia okopanych nad rzeką czołgów, ich pierwsze linie przestały istnieć. Atak zaczynał się łamać. Radzieckie maszyny zatrzymywały się i cofały. Postawiły zasłonę dymną i zza niej strzelały na oślep. Kilka pocisków, nie wyrządzając nikomu krzywdy, spadło niedaleko pozycji Mackalla.

Dwa kilometry od miasta rosyjski atak załamał się zupełnie.

–Na północ! – rozkazał Aleksiejew przez mikrofon umieszczony w hełmofonie.

–Towarzyszu generale, jeśli polecimy na północ... – zaczął pilot, ale dowódca nie pozwolił mu skończyć.

–Powiedziałem, na północ! I nisko!

Kiedy opancerzony helikopter Mi-24 obniżył gwałtownie lot, żołądek podszedł Aleksiejewowi do gardła. Była to drobna zemsta pilota za to, że oficer każe mu robić rzeczy głupie i niebezpieczne. Aleksiejew zajął miejsce z tyłu, a teraz wisząc w pasach bezpieczeństwa, wyglądał przez otwarte z lewej strony maszyny drzwi. Helikopter wykonywał gwałtowne ewolucje. Skręcał nieoczekiwanie to w lewo, to w prawo, zmniejszając i zwiększając wysokość. Pilot dobrze znał czające się tu niebezpieczeństwa.

–Tam! – wykrzyknął Aleksiejew. – Godzina dziesiąta. Widzę... Amerykanie lub Niemcy. Czołgi na godzinie dziesiątej!

–Widzę też kilka pojazdów z wyrzutniami raketowymi, towarzyszu generale. Chcecie im się bliżej przyjrzeć? – dodał złośliwie pilot.

Obniżył radykalnie lot maszyny, która prawie dotknęła kołami leśnej ścieżki. Śmigłowiec skrył

się między drzewami.

–Co najmniej batalion – mruknął generał.

–Moim zdaniem to dużo większe siły – odparł pilot.

Pochylił nos maszyny i nadał jej maksymalną prędkość.

Bacznie wypatrywał samolotów wroga.

Generał niezdarnie wyciągnął mapę. Usiadł w fotelu i rozłożył ją na kolanach.

–Boże drogi, aż tak daleko na południe?

–Mówiłem wam, że przerwali nasze linie – odparł przez interkom pilot.

–Na jaką odległość możemy zbliżyć się do Alfeld?

–To zależy od tego, jak bardzo chcecie dożyć wieczoru.

Aleksiejew posłyszał w głosie lotnika nutki strachu i gniewu. Przypomniawszy sobie, że prowadzący helikopter kapitan za brawurowe rajdy nad polem bitwy dwukrotnie już został Bohaterem Związku Radzieckiego.

–Zdaję się na wasz osąd, towarzyszu kapitanie. Ale muszę wszystko obejrzeć osobiście.

–Rozumiem. Trzymajcie się. Będzie trochę trzęsło.

Mi-24 nabrał gwałtownie wysokości, ominął linię wysokiego napięcia i jak kamień runął w dół. Aleksiejew zadrzał, widząc, jak blisko ziemi się zatrzymali.

–Nad nami nieprzyjacielskie samoloty. Chyba diabelskie krzyże... Cztery. Lecą na zachód.

Przelecieli nad... nie, to nie była droga. Była to trawiasta niegdyś przecinka leśna, zryta do gołej ziemi gąsienicami czołgów. Aleksiejew popatrzył na mapę. Trasa ta wiodła prościutko do Alfeld.

–Miniemy Leinę i zbliżymy się do Alfeld od wschodu.

Jakby co, spadniemy na tereny zajęte przez naszych ludzi – poinformował pilot. Śmigłowiec wykonał nagły skok w górę i znów obniżył lot. Aleksiejew kątem oka dostrzegł okopane na górskim stoku czołgi. Wiele czołgów. W kierunku śmigłowca pomknęły pociski, ale żaden nie trafił.

–Bardzo dużo czołgów, towarzyszu generale. Chyba cały pułk. Nasz punkt remontu... to znaczy to, co z niego zostało... o, cholera! Od południa nadlatuje helikopter nieprzyjaciela...

Radziecki śmigłowiec zawisł nieruchomo, po czym obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni. Rozległ się ryk przelatującego

tuż obok końcówki śmigła pocisku powietrze-powietrze.

Mi-24 nabrał gwałtownie szybkości. Najpierw ruszył ostro w górę, potem w dół i generał ujrzał nad głową smugę dymu.

–Było bardzo blisko – sapnął pilot.

–Trafiliście?

–Towarzysz generał życzy sobie, żebym zatrzymał się i sprawdził? O, coś nowego! Widzę to tutaj pierwszy raz.

Helikopter zawisł na chwilę nad płonącymi pojazdami, z których wyskakiwali ludzie. Były to przestarzałe T-55 biorące udział w ataku, o którym wspominał Aleksiejewowi przełożony.

Kawałek dalej generał ujrzał w dole przegrupowujące się jednostki. Rosjanie zamierzali ponowić atak.

–Dosyć już widziałem. Wracajmy jak najszybciej do Stendal.

Generał rozparł się w fotelu. Przeglądając mapę, próbował stworzyć sobie klarowny obraz sytuacji. Pół godziny później śmigłowiec zapalił światła pozycyjne i wylądował.

–Miałeś rację, Pasza – bez zbędnych wstępów odezwał się dowódca Zachodniego Teatru Wojny, kiedy tylko Aleksiejew przekroczył próg jego gabinetu. Głównodowodzący trzymał w ręku trzy zdjęcia wykonane przez samolot zwiadowczy.

–Pierwszy atak 23. Dywizji Piechoty Zmotoryzowanej utknął dwa kilometry przed liniami nieprzyjaciela – powiedział szybko Aleksiejew. – Kiedy przelatywałem nad tym terenem, trwały właśnie przygotowania do kolejnego szturm. A to błąd. Jeśli chcemy odzyskać tamte pozycje, należy dobrze przygotować szturm.

–Za wszelką cenę musimy odzyskać ten przyczółek. – Świetnie, przekażcie więc Bieriegowojowi, by wydzielił dwie jednostki i przesunął je na wschód.

–Ależ nie możemy teraz przerwać operacji na Wezerze!

–Towarzyszu generale, albo wycofamy te jednostki, albo przeciwnik je wybije. Nie mamy wyboru.

–Nie! Jak odzyskamy Alfeld, natychmiast skieruję tam dodatkowe siły. Udaremniam Amerykanom kontratak, a nam pozwolą kontynuować ofensywę.

–Ale czym możemy uderzyć na Alfeld?

–W drodze są trzy dywizje...

Aleksiejew popatrzył na mapę.

–Ależ to formacje kategorii C!

–Zgadza się. Większość jednostek B musiałem skierować na północ. W Hamburgu przeciwnik też kontratakuje.

Głowa do góry, Pasza. Dotrze do nas bardzo dużo jednostek kategorii C.

Wspaniale! – pomyślał gorzko generał. – Starzy, wypasieni, niedoświadczeni rezerwiści przeciw zaprawionym w boju żołnierzom.

–Zaczekamy na przybycie tych trzech dywizji i w pierwszej kolejności przerzadzimy ogniem artyleryjskim linie obronne NATO. A co słyszeć w Gronau?

–Tam również Niemcy przekroczyli już Leinę, ale udało się ich zatrzymać. Mamy tam dwie dywizje.

Aleksiejew podszedł do mapy. Chciał zorientować się w zmianach, jakie zaszły na froncie od chwili, gdy był tu ostatni raz. Na północy sytuacja zmieniła się niewiele, a obecny kontratak Paktu Atlantyckiego na linii AlfeldRuhle był dopiero nanoszony. Gronau i Alfeld oznaczone zostały błękitnymi chorągiewkami. W Hamburgu też trwały walki.

Straciliśmy inicjatywę – pomyślał generał. – Jak ją odzyskać?

Armia Radziecka przystąpiła do wojny dysponując dwudziestoma stacjonującymi w Niemczech dywizjami kategorii A oraz dziesięcioma innymi, które przybyły na front w chwili wybuchu konfliktu. Od tamtego czasu do walki wprowadzono dużo więcej jednostek. Wszystkie przeszły już chrzest bojowy, a wiele z nich musiano wycofać z frontu ze względu na ogromne straty, jakie poniosły. Ostatnie, nietknięte jeszcze rezerwy, zgromadzone w Ruhle zostały praktycznie uwięzione w miasteczku.

Bierigowoj był zbyt karnym żołnierzem, by złamać rozkazy; nawet za cenę odcięcia swych sił od reszty rosyjskiej armii.

–Musimy tymczasem zrezygnować z ataku. W przeciw352 • TOM CLANCY nym razie nasze dywizje uwięzione zostaną nie za jedną, lecz za dwiema rzekami.

–Atak jest konieczny zarówno z politycznego jak i militarne go punktu widzenia -^ odparł dowódca teatru.

–Jeśli uderzymy, NATO, by bronić Zagłębia Ruhry, ściągnie tu całe swe siły. A wtedy ich

mamy.

Aleksiejew nie spierał się dłużej. Zmroziła go myśl: czyżbyśmy przegrali?

USS "Independence" – Admirale, muszę zasięgnąć opinii jednego z oficerów piechoty morskiej.

–Czyjej?

–Chucka Lowe'ego. Jest dowódcą pułku. Pracowałem z nim w wywiadzie dowództwa Floty Atlantyckiej.

–Czemu nie...

–To bardzo bystry człowiek, admirale. Doskonale zna się na tych sprawach.

–To aż tak ważne?

–Obawiam się, że tak, sir. Potrzebna mi czyjaś opinia na ten temat, a Chuck jest najbardziej kompetentną osobą, jaka przychodzi mi na myśl.

Jacobsen podniósł słuchawkę telefonu.

–Proszę połączyć mnie z generałem Emersonem. Szybko... Billy? Tu Scott. Służy u was pułkownik Chuck Lowe?

Gdzie? W porządku, jeden z moich ludzi wywiadu musi się z nim zaraz spotkać... noo, dosyć ważne, Billy. Świetnie, wyruszy za dziesięć minut.

Admirał odłożył słuchawkę.

–Czy skopiował pan już tę taśmę? /• – Owszem, sir. To właśnie jedna z kopii. Oryginał jest w kasie pancerniej.

–Helikopter czeka na pana.

Lot do Stykkisholmuru trwał godzinę. Stamtąd helikopter marines zabrał Tolanda na południowy wschód. Chuck Lowe czekał w namiocie, gdzie studiował jakieś mapy.

Dużo się o tobie mówi. Wiem o "Nimitzu". Cieszę się, że z tego wyszedłeś. O co chodzi tym razem?

–Chcę, byś przesłuchał pewną taśmę. Zajmie ci to dwadzieścia minut.

Toland wyjaśnwszy, kim jest Rosjanin, wręczył pułkownikowi niewielki japoński magnetofon ze słuchawkami.

Obaj oficerowie opuścili namiot i udali się w bardziej ustronne miejsce.

Lowe przesłuchał taśmę dwukrotnie.

–Skurczybyki – powiedział wreszcie cicho.

–Myślał, że już wiemy.

Pułkownik Lowe schylił się i podniósł kamień. Ważył go chwilę w dłoni, po czym cisnął nim z całych sił przed siebie.

–To normalne. Zakładamy, że w KGB pracują fachowcy. Dlaczego mieliby sądzić, że u nas jest inaczej? Mamy przecież informatorów wszędzie... chwalimy się tym... – w jego głosie pobrzmiwały nutki dumy ale i niesmaku. – Jesteś pewien, że nie nabił cię w butelkę?

–Kiedy wyciągnęliśmy go z wody, nogę miał w paskudnym stanie. Lekarze pięknie mu ją zszyli i dali dużo pastylek przeciwbólowych. Stracił wiele krwi, więc kiedy z nim rozmawiałem, był osłabiony i nafaszerowany kodeiną.

Naćpany człowiek raczej nie kłamie, prawda? Chuck, potrzebuję twojej pomocy.

–Próbujesz mnie znów wciągnąć do wywiadu? – zaśmiał się Lowe. – Bob, to ma sens. Myślę, że twój raport powinien błyskawicznie dotrzeć na samą górę.

–Musi się o tym dowiedzieć dowódca sił sprzymierzonych.

–Bob, nie możesz przecież tak po prostu do niego zatelefonować.

–Wiem. Ale jak udam się z tym do dowództwa floty na Wschodnim Atlantyku, to oryginał powędruje najpierw do Waszyngtonu, gdzie CIA zacznie go badać przy użyciu analizatora stresu głosowego. A ja przecież widziałem tego człowieka na własne oczy, Chuck.

–Zgadzam się. Ta wiadomość powinna jak najprędzej 23 – Czerwony sztorm t. II

dostać się na górę, a dowódca sił sprzymierzonych wykorzysta ją najszybciej.

–Dziękuję, pułkowniku. Jak mam przywołać helikopter?

–Zajmę się tym. A swoją drogą, witaj na Islandii.

–Jak ci tu leci? – Toland ruszył za pułkownikiem w stronę namiotu.

–Mamy przeciw sobie dobrych żołnierzy, ale przewaga jest po naszej stronie. Dostaną tęgiego kopa!

Dwie godziny później Toland był już na pokładzie samolotu lecącego na Heathrow.

Moskwa, RSFRR Posiedzenie zwołał marszałek Fiodor Borysowicz Bucharin. Poprzedniego dnia KGB aresztowało generałów Szawirina i Rożkowa, co Siergietowowi dało więcej do myślenia niż zebranie Politbiura.

–Atak w Alfeld załamał się z powodu nieudolności i braku kompetencji dowódcy Zachodniego Teatru Wojny.

Musimy odzyskać inicjatywę. Na szczęście mamy jeszcze dosyć żołnierzy, a faktu, że NATO poniosło potężne straty, nic już nie zmienia.

Proponuję wymienić cały sztab dowództwa zachodniego frontu i...

–Zaczekajcie, chciałbym coś wtrącić – przerwał mu Siergietow.

–Mówcie, Michaile Edwardowiczu – odparł z wyraźnym niepokojem w głosie minister obrony.

–Marszałku Bucharin, proponujecie całkowitą wymianę sztabu? – Siergietow był przekonany, że konsekwencje takiego posunięcia okazałyby się katastrofalne w skutkach.

–Mój syn należy do sztabu generała Aleksiejewa, zastępcy dowódcy Zachodniego Teatru Wojny. To właśnie Aleksiejew doprowadził nasze /wojska do Alfeld i Ruhle! Był dwukrotnie ranny, nieprzyjacielskie myśliwce zestrzeliły helikopter, którym leciał, a mimo to osobiście przeprowadził kolejny, uwieńczony sukcesem atak. To jedyny kompetentny

generał, jakiego znam. A wy chcecie zastąpić go kimś, kto zupełnie nie orientuje się w sytuacji. Czy to nie czyste szaleństwo? – zakończył gniewnie.

Minister spraw zagranicznych pochylił się w stronę Siergietowa.

–I dlatego, że wasz syn służy w jego sztabie...

Twarz Siergietowa poczerwieniała.

–"I dlatego, że mój syn", powiadacie? Mój syn jest na froncie, służy Państwu. Był ranny i cudem uniknął śmierci, kiedy strącono śmigłowiec, którym leciał wraz ze swym generałem. Kto inny przy tym stole może powiedzieć to samo o swoim synu, towarzysze? Gdzie wasi synowie? – minister rąbnął pięścią w stół i dodał cicho:

–Gdzie tutaj są komuniści?

Zapadła śmiertelna cisza. Siergietow wiedział, że w tej chwili ważą się losy jego kariery. Albo jest skończona, albo dopiero się zaczyna. Wszystko zależało od tego, kto pierwszy zabierze głos.

–W Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej – odezwał się z charakterystycznym dla starców dostojeństwem Piotr Bromkowskij – członkowie Politbiura przebywali na froncie. Wielu z nich

straciło synów. Nawet towarzysz Stalin. Oddał ich Państwu. Służyli obok synów zwykłych robotników i chłopów. Michaił Edwardowicz dobrze mówi.

Towarzyszu marszałku, a wy jak oceniacie generała Aleksiejewa? Czy towarzysz Siergietow ma rację?

Bucharin rozejrzał się z niepokojem.

–Aleksiejew to młody, zdolny oficer i... tak, na swoim stanowisku sprawuje się znakomicie.

–I wy chcecie zastąpić go którymś ze swoich ludzi? – spytał Bromkowskij, po czym, nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej. – To zdumiewające, jak o pewnych rzeczach potrafimy pamiętać, a inne zapominać. Zapominamy, że wszyscy obywatele radzieccy muszą dźwigać ciężar wojny, ale pamiętamy błąd z roku tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego. Chcecie aresztować dobrych oficerów tylko dlatego, że ich przełożeni popełnili omyłki. Zastąpicie ich zapewne swymi politycznymi kumplami, którzy sprowadzą

na nas jedynie katastrofę. Skoro Aleksiejew jest młodym, zdolnym oficerem, znającym wybornie swój fach, po co zastępować go kimś innym?

–No cóż, może osądziliśmy go zbyt pochopnie – wyczuwając nagłą zmianę nastrojów przy stole, przyznał minister obrony.

Jeszcze was dostanę, towarzyszu Michaile Edwardowiczu – obiecał sobie w duchu. – Skoro próbujecie mącić z tym starcem, wasza sprawa. On już długo nie pożyje. A i wy również.

–Zatem postanowione – zabrał głos przewodniczący Partii. – Towarzyszu Bucharin, co z Islandią?

–Mamy doniesienia, że przeciwnik przeprowadził tam desant. W odpowiedzi natychmiast zaatakowaliśmy flotę NATO. Czekamy teraz, aż nadejdą dane satelitarne o stratach przeciwnika.

Bucharin otrzymał już informacje o cenie, jaką za to posunięcie zapłaciła strona radziecka, ale nie chciał ich ujawniać, dopóki nie zdobędzie jakichś bardziej pocieszających wieści, które mogłyby je zrównoważyć.

Stendal, Niemiecka Republika Demokratyczna O zmierzchu pojawili się oficerowie KGB przebrani w polowe mundury. Aleksiejew, który planował właśnie rozmieszczenie nowo przybyłych dywizji C, nie zwrócił na nich uwagi. Pięć minut później wezwany został do gabinetu zwierzchnika.

–Towarzyszu generale Aleksiejew, od tej chwili przejmujecie funkcję głównodowodzącego Zachodnim Teatrem Wojny do spraw operacji wojskowych – poinformował go przełożony. – Życzę wam szczęścia.

Ton, jakim generał wypowiedział te słowa, sprawił, że Aleksiejewowi zjeżyły się włosy na głowie. Z lewej i prawej strony dowódcy stali pułkownicy KGB. Dla niepoznaki mieli na sobie mundury żołnierzy z jednostek kategorii A i tylko na pagonach złociły się litery GB. Twarze obu oficerów wyrażały, tak typową dla funkcjonariuszy KGB, butę.

Co mam powiedzieć? – myślał gorączkowo Aleksiejew.

–Co mam robić? Przecież to mój przyjaciel.

Sytuację rozwiązał sam były dowódca Zachodniego Teatru Wojny. – Żegnaj, Pasza – rzekł.

Pułkownicy wyprowadzili generała z gabinetu. Aleksiejew obserwował wychodzących, po czym stanął w progu.

Ostatnią rzeczą, jaką ujrzał, była pusta kabura pistoletu majtająca się u pasa jego byłego dowódcy. Odwrócił się i dopiero teraz dostrzegł na biurku blankiet depeszy potwierdzającej jego nominację. Dowiedział się z niej, że Partia, Politbiuro i Lud ufają mu bez zastrzeżeń. Zmiał papier i cisnął nim o ścianę. Identyczny tekst na identycznym blankiecie czytał kilka tygodni wcześniej. Odbiorca tamtego siedział teraz w jadącym na wschód samochodzie.

Jak długo ja się tu utrzymam? – pomyślał.

Aleksiejew wezwał oficera łączności.

–Przyślijcie do mnie generała Bieriegowoja.

Bruksela, Belgia Naczelnny dowódca wojsk sprzymierzonych w Europie zasiadł był właśnie do posiłku. Od chwili wybuchu wojny musiał zadowalać się kawą i kanapkami, stracił pięć kilogramów na wadze i nabawił się nadkwasoty. Aleksander dowodził wojskiem jako nastolatek i dlatego odnosił takie sukcesy – myślał generał. – Był wystarczająco młody, by udźwignąć taki ciężar.

Udało się! Kawaleria dotarła do Alfeld. Niemcy odbili Gronau i Briiggen i jeśli tylko Iwan szybko nie zareaguje, rosyjskie dywizje na Wezerze spotka bardzo przykra niespodzianka.

–Przepraszam, Herr General – w drzwiach stanął oficer niemieckich służb wywiadowczych. – Mamy tu kogoś z wywiadu marynarki.

–Czy to ważne, Joachim?

–Ja.

Dowódca popatrzył na talerz.

–Dawaj go tu.

General nie był zbudowany wyglądem gościa. Stał przed nim mężczyzna w wymiętym, polowym mundurze marynarki, na którym tylko bardzo bystre oko dostrzegłoby resztki kantów.

–Generale, jestem komandor Bob Toland. Jeszcze kilka godzin temu przebywałem z grupą operacyjną okrętów atlantyckiej floty uderzeniowej...

–Jak sytuacja na Islandii?

–Atak rosyjskiego lotnictwa odparty, sir. W dalszym ciągu zagrażają nam okręty podwodne. Ale piechota morska idzie do przodu. Myślę, że wygramy, generale.

–To świetnie. Im więcej jednostek podwodnych skupi uwagę na lotniskowcach, tym lepiej dla konwojów.

Można i tak na to spojrzeć – pomyślał Toland.

–Generale, wyłowiliśmy z morza pilota rosyjskiego myśliwca. Pochodzi z bardzo wpływowej rodziny. Przesłuchiwałem go. Oto taśma. Myślę, że już wiem, dlaczego ta wojna wybuchła.

–Joachim, znasz ten materiał?

–Niestety nie, sir. On odbył tylko krótką rozmowę z dowódcą floty na Wschodnim Atlantyku i admirał Beattie skierował go natychmiast do pana.

Oczy dowódcy wojsk sprzymierzonych zwęziły się.

–Słucham cię, synu.

–Ropa.

ZMIENNOŚĆ LOSU

Bruksela, Belgia Wykonano trzy kopie taśmy. Jedną otrzymał wywiad dowództwa sił sprzymierzonych w Europie, który dokonał ponownego jej tłumaczenia. Drugą zajął się wywiad francuski. Zrobił analizę elektroniczną materiału. Trzecią przesłano belgijskiemu psychiatrze, władającemu biegle rosyjskim. W tym samym czasie niemal połowa pracowników wywiadu w kwaterze głównej NATO zajmowała się drobiazgowym wyliczeniem ilości paliwa, jaką armia radziecka zużyła od początku wojny. CIA i inne narodowe agencje wywiadowcze rozpoczęły gorączkowe studia nad problemem aktualnej produkcji i utylizacji produktów naftowych w Związku Radzieckim. Toland odnosił się sceptycznie do tych zabiegów, przewidując trafnie ich wyniki: za mało danych. Rozstrzał opinii był rzeczywiście imponujący: od stwierdzenia, że rosyjskie zapasy starczą jeszcze na wielomiesięczne działania bojowe, po konkluzję, że armia sowiecka całkowicie już wyczerpała swe paliwo.

Dowódca wojsk sprzymierzonych dokładnie badał każdy nadchodzący raport. Przesłuchania jeńców dały wywiadowi masę informacji – głównie fałszywych i sprzecznych. Do amerykańskiej niewoli dostało się niewielu radzieckich oficerów zaopatrzenia. Ich stanowiska mieściły się przeważnie daleko od linii frontu. Pierwsze do akcji wkroczyło lotnictwo. Wiedzano, że Rosjanie rozdrobnili swe magazyny paliw. Po zniszczeniu ogromnego magazynu w Wittenburgu zamiast jednego, Ogromnego Składu – co było zgodne z duchem radzieckiego społeczeństwa – Rosjanie stworzyli szereg mniejszych. Doszli do wniosku, że to się opłaca mimo większych wydatków na obronę przeciwlotniczą

i ochronę zwiększonej liczby magazynów. Samoloty Paktu Atlantyckiego więc skoncentrowały się głównie na lotniskach, magazynach broni, węzłach komunikacyjnych i kolumnach zmierzających na linię frontu czołgów. Były to bardziej lukratywne cele niż niewielkie składy paliw, które w dodatku bardzo trudno było zlokalizować. Drogę do wszelkich składów wskazywać mogły długie sznury cystern kursujących tam i z powrotem. Niewielkie punkty, z małą liczbą pojazdów stanowiły dla instalowanych w samolotach radarów obiekt trudny do namierzenia. Dlatego też sporadycznie tylko lotnictwo atakowało punkty składowania paliwa.

Po trwającej kwadrans rozmowie, jaką z szefem lotnictwa odbył dowódca sił sprzymierzonych, sytuacja uległa radykalnej zmianie.

Stendal, Niemiecka Republika Demokratyczna – Nie podołam obu tym rzeczom naraz – mruknął do siebie Aleksiejew. Ostatnie dwanaście godzin szukał wyjścia z tej sytuacji. Rozwiązania nie znalazł.

Zaskoczyła go nieoczekiwana zmiana miejsc. Z dynamicznego podwładnego stał się nagle głównodowodzącym. Teraz to on był odpowiedzialny za sukces lub porażkę. Każdy błąd był jego błędem, a niepowodzenie jego niepowodzeniem. Poprzednia sytuacja bardziej mu odpowiadała.

Podobnie jak poprzednik, Aleksiejew musiał zatwierdzić nawet te rozkazy, o których wiedział, że są nie do wypełnienia. Miał zatrzymać obecne pozycje, a jednocześnie kontynuować natarcie. "Uderzenie na północny zachód od Wezery" – brzmiał rozkaz. –

"Odetniecie się od atakujących prawą flankę wojsk nieprzyjaciela i utworzycie drogę do Zagłębia Ruhry". Środki, jakimi dysponował, wystarczały tylko na jedną z tych rzeczy. Ktokolwiek wydał to polecenie, nie orientował się, czy też nie dbał o to, że jest ono po prostu niewykonalne.

Ale NATO orientowało się doskonale. Lotnictwo Paktu niszczyło bez litości wszelki nieprzyjacielski transport drogowy między Ruhle a Alfeld. Dwie dywizje czołgowe

klasy B osłaniające północną flankę oddziałów Bieriegowoja zostały rozgromione. Jednostki w sile batalionu strzegły zbiegów arterii komunikacyjnych, a Pakt Atlantycki stał nieustannie do Alfeld posiłki. W lasach na północ od Riihle czaiły się dwie lub trzy pełne dywizje czołgów, lecz jak dotąd nie zaatakowały jeszcze sił Bieriegowoja. Owa bierność przeciwnika kusiła generała, by sforsować rzekę i jednocześnie przeprowadzić kontratak na północy.

Aleksiejew pamiętał ważną lekcję z Akademii Frunzego: ofensywa pod Charkowem w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim. Niemcy pozwolili nadciągającej Armii Czerwonej wdrzeć się głęboko w swoje linie po to tylko, by odciąć i zniszczyć radzieckie siły. Naczelne Dowództwo (czytaj: Stalin) zlekceważyło obiektywne dane o sytuacji, gwałcąc tym samym Drugie Prawo Walki Zbrojnej, gdyż kierowało się subiektywnym odczuciem, że skoro wojsko posuwa się do przodu, to wszystko jest w porządku. Była to z gruntu fałszywa taktyka. Tyle mówiła lekcja. Generał zastanawiał się, czy obecna bitwa też wejdzie do podręczników, a przyszli kapitanowie i majorzy uczyć się będą tego, że generał-pułkownik Paweł Leonidowicz Aleksiejew okazał się skończoną dupą wołową.

Ale jeśli się cofnę... i przyznam do porażki, zostanę rozstrzelany. Wtedy trafię do ksiązek jako zdrajca Ojczyzny.

Wszystko pasuje. Po wysłaniu w ogień tylu tysięcy młodych chłopców, sam stanąłem w obliczu śmierci; tyle, że nadchodzącej z całkiem innej strony.

–Majorze Siergietow, chcę, byście udali się do Moskwy i osobiście poinformowali ich, co zamierzam. Zabiorę Bieriegowojowi jedną dywizję i pchnę ją na wschód, by ponownie utworzyć sobie drogę do Alfeld. Atak na Alfeld nastąpi z dwóch stron i kiedy odzyskamy miasteczko, ruszymy na drugą stronę Wezery bez strachu, że nasze czołgi zostaną odcięte.

–Bardzo zręczny kompromis – z nadzieją w głosie przyznał major.

To właśnie chciałem usłyszeć – ucieszył się generał.

Bitburg, Republika Federalna Niemiec Pozostało dwanaście stealthów. Dwukrotnie wycofane zostały na krótko z akcji. Dowództwo próbowało wypracować nowe taktyki, które zmniejszyłyby ryzyko utraty cennych maszyn. W pewnej mierze to się udało – powiedział sobie pułkownik Ellington. – Niektóre radzieckie systemy świetnie sobie radziły z maszynami typu Stealth.

Niemniej połowa strat ciągle była nie wyjaśniona. Może ciężko załadowane bronią maszyny, lecąc na minimalnym pułapie, uległy zwykłym wypadkom? A może wynikało to z matematycznego prawdopodobieństwa? Pilot sądzi, że gdy wykonuje zadanie ma jeden procent szans, że zostanie zestrzelony. Po pięćdziesięciu misjach okazuje się, że szansę tę wynoszą czterdzieści procent.

Załogi pułkownika były w grobowych nastrojach. Piloci wchodzący w skład elitarniej eskadry stealthów stanowili prawie rodzinę, a jedna trzecia jej członków straciła już życie. Profesjonalizm, który pozwalał kryć prawdziwe uczucia i dawać im upust wyłącznie w samotności, również miał swoje granice. Granicę tę przekroczyli już dawno.

Choć skuteczność misji spadła, wymagania wojny pozostawały te same. Ellington zdawał sobie sprawę, że w hierarchii wartości wojskowych uczucia liczyły się o wiele mniej niż sprawna ręka i pewne oko.

Oderwał maszynę od ziemi i pomknął samotnie na wschód. Tej nocy nie miał żadnej broni z wyjątkiem niezbędnych do samoobrony sidewinderów i pocisków antyradarowych. Jego F-19A zamiast bomb wiozł zapasowe zbiorniki z paliwem. Pułkownik wzbił maszynę na wysokość tysiąca metrów, sprawdził instrumenty, dokonał lekkiej korekty wyważenia samolotu, po czym zszedł na pułap stu siedemdziesięciu metrów. Nad Wezerą miał przelecieć na tej właśnie wysokości.

–Duke, widzę na dole jakiś ruch – poinformował Eisly.

–Wydaje mi się, że to kolumna czołgów i transporterów z piechotą. Jadą na północny wschód autostradą 64.

–Zamelduj o tym.

Tutaj wszystko, co się ruszało, stanowiło cel. Minutę

później przelecieli nad Leiną. Alfeld minęli po północnej stronie. Dostrzegli rozbłyśki odległych salw artyleryjskich i Ellington zboczył w lewo. Mknące swymi balistycznymi torami pociski o średnicy piętnastu centymetrów nie dbały o to, czy stealth jest widoczny, czy też nie.

To zadanie powinno być łatwiejsze – pocieszał się w duchu Ellington. Lecieli na wschód, trzy kilometry od bocznej drogi, którą Eisly cały czas obserwował za pomocą kamery telewizyjnej zainstalowanej w przodzie maszyny.

Odbiornik ostrzegający o zagrożeniu nastrojony był na częstotliwość przeczesujących niebo radarów z wyrzutni rakiet ziemia-powietrze.

–Czołgi – poinformował cicho. – Bardzo dużo czołgów.

–W ruchu?

–Chyba nie. Jakby stały przy drodze i kryły się między drzewami. Poczekaj... ostrzeżenie przed wyrzutnią raketową! SAM na godzinie trzeciej.

Ellington odepchnął od siebie drążki sterowe, a następnie przesunął je w lewo. W ciągu paru sekund musiał wykonać kilka czynności. Skierował maszynę w dół, odwrócił głowę, spojrzął na nadlatujący pocisk, po czym znów wbił wzrok przed siebie, bacząc, by wart pięćdziesiąt milionów dolarów samolot nie wyrzynał w ziemię. Ujrzał kierującą się w jego stronę żółtobiałą plamę ognia. Wyrównał lot i gwałtownie przechylił maszynę przez prawe skrzydło. Siedzący z tyłu Eislly nieustannie śledził raketę.

–Dobra nasza, Duke! Przeleciała bokiem.

Lecący nad wierzchołkami drzew pocisk znurkował i eksplodował w lesie.

–Instrumenty mówią, że był to SA-6. Na pierwszej godzinie radar śledzący. Bardzo blisko.

–Okay – mruknął Ellington.

Uaktywnił raketę antyradarową Sidearm i odpalił ją w odległy o ponad sześć kilometrów transponder. Rosjanie nie zdążyli wykryć obecności pocisku. Ellington ujrzał w dole błysk eksplozji.

Masz za swoje, Darth Vader!

–Chyba miałeś rację, Duke. W ten właśnie sposób namierzają nasze maszyny.

–Pewnie.

Stealth był niewidoczny dla radarów zainstalowanych w samolotach. Urządzenie naziemne skierowane w niebo miało dużo większą szansę namierzenia maszyny. Mogli wprowadzić temu zapobiec, lecąc na bardzo niskim pułapie, lecz wtedy ich pole obserwacji kurczyło się prawie do zera.

Znów skierował samolot w stronę czołgów.

–Jak myślisz, Don? Ile ich jest?

–Dużo. Ponad setka.

–Zamelduj.

Ellington zawrócił na północ, a major Eislly złożył przez radio raport. Za kilka minut miejsce koncentracji czołgów nawiedzić miały niemieckie phantomy. Tak wiele nieruchomych maszyn zgrupowanych w jednym miejscu znaczyć może punkt tankowania paliwa – pomyślał pułkownik. Cysterny albo już tam są, albo dopiero nadjeżdżają. Pojazdy z benzyną stanowiły główny cel tej misji Ellingtona. Tak nagła zmiana taktyki w wyborze celów zaskoczyła pilotów. Po

tygodniach nieustannego polowania na transporty z zaopatrzeniem i maszerujące kolumny wroga... a to co znów takiego?

–Przed nami ciężarówka!

Duke wpatrywał się we wskaźnik refleksyjny na owiewce.

Długi rząd... cystern posuwał się szybko w zwartej kolumnie. Wszystkie miały wygaszone światła. Charakterystyczny kształt samochodów nie budził wątpliwości. Duke wprowadził samolot w ostry skręt i przemieścił się o trzy kilometry.

Pracujący na podczerwień ekran Eisly'ego pokryła poświata rzucana przez cieplejsze od nocnego powietrza silniki i rury wydechowe pojazdów. Wyglądało to jak pochód duchów sunący wysadzaną drzewami drogą.

–Naliczyłem około pięćdziesięciu sztuk, Duke. Kierują się w stronę czołgów.

Pięć tysięcy galonów paliwa w każdym samochodzie – kalkulował w myślach pilot. – Dwieście pięćdziesiąt tysięcy galonów oleju napędowego... ilość wystarczająca dla dwóch sowieckich dywizji.

Eisly przekazał tę informację przez radio.

–Cień Trzy – odezwał się w odpowiedzi kontroler z samolotu radiolokacyjnego. – Osiem ptaszków już w drodze. Przybędą za około cztery minuty. Pozostańcie w pobliżu i liczcie.

Ellington obniżył lot i przez kilka minut krążył nad czubkami drzew. Zastanawiał się, ilu rosyjskich żołnierzy uzbrojonych w ręczne wyrzutnie SA-7 czai się w pograżonym w mroku lesie.

Wiele czasu upłynęło od Wietnamu, wiele czasu minęło od chwili, kiedy pułkownik po raz pierwszy uświadomił sobie, iż mimo umiejętności, jakie posiada, zwykły, głupi przypadek może przeciąć nić jego życia. W ciągu długich lat pokoju zdążył o tym zapomnieć; Ellingtonowi nie mieściło się w głowie, że mógłby w taki właśnie sposób zginąć. Tutaj jednak wystarczyłby jeden żołnierz uzbrojony w SA-7 i... Przestań o tym myśleć, Duke – skarcił się w duchu.

Brytyjskie tornada nadleciały od wschodu. Prowadzący samolot zrzucił wiązkę bomb na czoło kolumny. Pozostałe maszyny mknęły nad drogą pod niewielkim kątem i zasypywały bombkami kolumnę cystern. Ciężarówka eksplodowała, wysyłając wysoko w niebo bicze blasku. Ellington dostrzegł na tle pomarańczowych płomieni sylwetki dwóch myśliwców bombardujących, które kierowały się już na zachód, do domu. W dole paliwo rozlewało się ognistymi strugami na obie strony szosy. Nie uszkodzone pojazdy hamowały gwałtownie i skręcały, próbując rozpaczliwie uniknąć zagłady. Z niektórych wyskakiwali kierowcy.

Cysterny zjeżdżały na pobocza, by uciec z morza płomieni.

Kilku pojazdom to się udało. Większość jednak była zbyt ciężka, by utrzymać równowagę na miękkiej ziemi i natychmiast się wywracała.

–Powiedz, że zniszczyli połowę. Wcale nieźle.

Minutę później stealth dostał nowe rozkazy i poleciał: na północ.

W Brukseli nadsyłane przez samolot radiolokacyjny informacje nanoszone były na nakres. Sprzężony z magnetowidem

komputer wytropił przebieg trasy cystern aż do miejsca, skąd wyruszyły. Podążyło w tamtą stronę osiem myśliwców.

Stealth przybył tam pierwszy.

–Radary SAM-ów, Duke – ostrzegł Eisly. – Wydaje mi się, że dwie baterie: SA-6 i SA-11. Widać, że Rosjanie przykładają do tego miejsca dużą wagę.

–I setka pieprzonych żołnierzy z wyrzutniami ręcznymi – dodał Ellington. – Kiedy pojawią się nasi?

–Za cztery minuty.

Dwie baterie SAM-ów – pomyślał pilot. – To bardzo przykra niespodzianka dla samolotów, które niebawem nadlecą.

–Wyrównajmy trochę szansę.

Eisly namierzył radar jednej z wyrzutni SA-11. Ellington nadał maszynie prędkość siedmiuset kilometrów na godzinę i ruszył tuż nad drogę, poniżej wierzchołków drzew.

W odległości trzech kilometrów od celu wzbil maszynę w niebo i odpalił sidearma.

W tym samym momencie plunęły ogniem dwie radzieckie wyrzutnie. Duke zmusił samolot do maksymalnego przyspieszenia i skręcając gwałtownie na wschód, wyrzucił jak zwykle chmurę aluminiowych pasków oraz kilka flar. Jeden z pocisków wszedł w aluminium, po czym, nie czyniąc nikomu krzywdy, eksplodował. Drugi jednak otrzymał odbity od kadłuba stealtha sygnał i nie zboczył z trasy.

Ellington, w nadziei że zmyli ścigającą raketę, poszedł ostro w górę i z ogromnym przyspieszeniem wykonał skręt.

Ale SA-11 była szybka. Eksplodowała trzydzieści metrów za amerykańską maszyną. W sekundę później piloci katapultowali się. Ich spadochrony zadziałały zaledwie sto trzydzieści metrów nad ziemią.

Ellington wylądował na skraju niewielkiej polany. Błyskawicznie uwolnił się od spadochronu i włączył radio ratunkowe.

Potem sięgnął po rewolwer. Kątem oka dostrzegł opadający na drzewa spadochron Eisly'ego. Pobiegnął w tamtą stronę.

–Pierdzielony las – wysapał Eisly, majtając nogami nad ziemią.

Ellington wspiął się po pniu i odciął majora. Twarz Eisly'ego krwawiła.

Na północy rozległy się eksplozje.

–Znaleźli magazyny – powiedział Ellington.

–A kto nas tu znajdzie? Coś stało mi się w plecy.

–Ale iść możesz, Don?

–Pewnie, że mogę.

Stendal, Niemiecka Republika Demokratyczna Rozmieszczenie zapasów paliwa w małych składach prawie do zera zredukowało ataki Paktu Atlantyckiego na radzieckie magazyny. Rezultaty tego posunięcia widoczne były przez blisko miesiąc. Wprawdzie sprzymierzeni z furją atakowali kolumny czołgów i magazyny z bronią, ale tego akurat towaru Rosjanie mieli pod dostatkiem. Z paliwem sprawa przedstawiała się całkiem inaczej.

–Towarzyszu generale, NATO zmieniło taktykę nalotów.

Aleksiejew odwrócił się od mapy i popatrzył na oficera z wywiadu lotnictwa. Pięć minut później nadszedł szef zaopatrzenia.

–Czy sytuacja rzeczywiście jest tak niedobra?

–Ogólnie straciliśmy około dziesięciu procent naszych paliw, a w sektorze Alfeld ponad trzydzieści.

Zadzwoił telefon. Na linii był generał, którego dywizje miały za pięć godzin uderzyć na to miasteczko.

–Brak nam paliwa. Dwadzieścia kilometrów stąd lotnictwo nieprzyjaciela zaatakowało i zniszczyło kolumnę moich cystern.

–Starczy wam tego, co macie? – spytał Aleksiejew.

–Musi, ale trudno będzie mi odpowiednio manewrować jednostkami.

–Pójdziecie do szturm z tym, co wam zostało.

–Ale...

–Jeśli nie ruszycie z pomocą, żołnierze czterech naszych dywizji umrą. Atak rozpoczniemy zgodnie z planem.

Aleksiejew odłożył słuchawkę. Bieriegowej również

skarżył się na niedostatek paliwa. Pojemność baków w czołgu pozwalała maszynie przebyć trzysta kilometrów w linii prostej. Ale raz, że droga nigdy nie wiodła w linii prostej, a dwa, że czołgiści mimo surowych nakazów nie wyłączali silników podczas postoju maszyn. W razie nieoczekiwanego ataku z powietrza czas potrzebny na uruchomienie czołgu mógł decydować o życiu lub śmierci. Bieriegowej musiał przeznaczyć całe rezerwowe paliwo dla ruszających na wschód wozów, które wraz z idącymi na zachód dywizjami kategorii C miały uderzyć na Alfeld. Dwie dywizje znajdujące się na lewym brzegu Wezery zostały praktycznie unieruchomione. Los ofensywy Aleksiejewa zależał wyłącznie od organizacji transportu.

General polecił szefowi zaopatrzenia przygotować dużą ilość paliwa. Jeśli atak na Alfeld się powiedzie, siły radzieckie potrzebować go będą bardzo dużo.

Moskwa, RSFRR Gwałtowny przeskok był zabawny – odrzutowiec w niecałe dwie godziny pokonał dystans dzielący Stendal od Moskwy, świat wojny od świata pokoju, strefę zagrożenia od strefy bezpieczeństwa. Na wojskowym lotnisku czekał już Witalij, szofer jego ojca, i niebawem major trafił do dachy ministra położonej w brzoźowych laskach otaczających stolicę. Ojciec czekał w głównym pokoju. Towarzyszył mu jakiś nieznajomy mężczyzna.

–A więc to jest słynny Iwan Michajłowicz Siergietow, major Armii Radzieckiej.

–Wybaczcie towarzyszu, ale myśmy się chyba jeszcze nie poznali.

–Wania, to Borys Kosow.

Twarz młodego oficera? zdradziła tylko część emocji, jakie wywołał w nim fakt, że został przedstawiony dyrektorowi KGB. Major rozsiadł się w klubowym fotelu i zaczął przyglądać się człowiekowi, z rozkazu którego podłożono na Kremlu bomby, a potem jeszcze sprowadzono tam dzieci.

Była druga nad ranem. Wierni Kosowowi żołnierze

KGB patrolowali okolicę dachy, by zachować spotkanie w tajemnicy. Wierni żołnierze. Zapewne wierni – poprawił się w myślach Siergietow.

–Iwanie Michajłowiczu – odezwał się kordialnie Kosow. – Co sądzicie o sytuacji na froncie?

Młody oficer siłą woli powstrzymał się przed spojzeniem na ojca.

–Los operacji ciągle jest niepewny... ale pamiętajcie, że jestem tylko młodszym oficerem, któremu brak doświadczenia i trudno formułować miarodajne sądy. Moim zdaniem wypadki mogą potoczyć się różnie. Przeciwnikowi brakuje wprawdzie ludzi, ale dostał potężny zastrzyk w postaci sprzętu.

–Który wystarczy na dwa tygodnie?

–Zapewne na krócej – odparł Siergietow. – Przebywając na pierwszej linii frontu, nauczyliśmy się, że sprzęt zużywa się dużo szybciej niż zakładają to jakiegokolwiek plany. Paliwo, amunicja, wszystko to dosłownie niknie w oczach. Nasi przyjaciele z marynarki muszą staranniejszająć się ich konwojami.

–Tu akurat mamy bardzo ograniczone pole manewru – odparł Kosow. – Nie spodziewałem się takiego obrotu sprawy... no cóż, szczerze mówiąc, nasza flota poniosła, klęskę. Islandia niebawem znów będzie w rękach Paktu Atlantyckiego.

–Ależ Bucharin nic o tym nie wspomniał! – sprzeciwił się starszy Siergietow.

–Nie powiedział też, iż lotnictwo dalekiego zasięgu Floty Północnej praktycznie nie istnieje. Głupiec, myśli, że ja nie mam dostępu do żadnych informacji! Amerykanie dysponują już na Islandii pełną dywizją i potężnym wsparciem marynarki. Jeśli nasza flota podwodna nie zniszczy tych okrętów – a pamiętajcie, że dopóki tam są, nie mogą niszczyć konwojów – za tydzień stracimy wyspę. To uniemożliwi dalszą realizację naszej strategii polegającej na tym, by izolować Europę. Jeśli Pakt Atlantycki zacznie-bez ograniczeń uzupełniać swoje zapasy, co wtedy?~ Iwan Siergietow niespokojnie poruszył się w fotelu.

Domyślał się, do czego zmierza rozmowa. 24 – Czerwony sztorm t. II

–Wtedy zapewne przegramy.

–Zapewne? – parsknął Kosow. – Wtedy jesteśmy skazani. Przegramy wojnę z NATO, tragiczna sytuacja w naszej energetyce jeszcze się pogorszy, a wojsko stanowić będzie zaledwie ułamek tych sił, którymi dysponowaliśmy.

I co wtedy uczyni Politbiuro?

–Lecz jeśli ofensywa na Alfeld się powiedzie...

Obaj członkowie Politbiura zignorowali tę uwagę.

–Na czym polega sekret negocjacji z Niemcami w Islandii? – spytał minister Siergietow.

–Aha, zauważyliście, że minister spraw zagranicznych nieco koloryzował? – uśmiechnął się

złośliwie Kosow. Był człowiekiem stworzonym do konspiracji. – Niemcy nie ustąpili o krok. Najprawdopodobniej chodziło o to, by w razie czego Pakt Atlantyczny nie rozpadł się do końca. Albo jest to jakaś bliżej nieokreślona gra polityczna. Nie jesteśmy pewni – szef KGB nalał sobie do szklanki wody mineralnej.

–Za osiem godzin zbiera się Politbiuro. Chyba tam nie pójde. Mam chore serce i czuję, że bierze mnie angina.

–Zatem wasz raport dostarczy Łarionow?

–Tak – wyszczerzył zęby Kosow. – Biedny Josef.

Wpadł w sidła własnych ocen wywiadowczych. Poinformuje, że sprawy toczą się inaczej, niż zakładał plan, ale się toczą.

Powie, że obecny atak NATO stanowi tylko desperacką próbę zapobieżenia ofensywie, która ma wyjść z Alfeld, a negocjacje z Niemcami ciągle rokuja nadzieje. Powiniennem was ostrzec, majorze, iż Łarionow ma w waszym sztabie swego człowieka. Choć nie czytałem raportu, jaki złożył, wiem, kto to jest. To on zapewne dostarczył informacji, na podstawie których aresztowano poprzedniego dowódcę teatru i mianowano na jego miejsce waszego generała.

–A co się stało z poprzednim dowódcą? – spytał oficer.

–To nie wasza sprawa – odparł zimno Kosow.

W ciągu ostatnich trzydziestu sześciu godzin aresztowano w sumie siedmiu wysokich oficerów. Umieszczono ich w Lefortowie i Kosow przy najlepszych nawet chęciach nie miał wpływu na dalsze losy więźniów.

Ojcie, muszę ^dokładnie znać sytuację z paliwem.

–Rezerwy narodowe są na wykończeniu. Paliwo, które otrzymaliście lub jest jeszcze w drodze, starczy na tydzień.

Pozostaje zapas na kolejny tydzień oraz rezerwa przeznaczona na operację w Zatoce Perskiej. Tej benzyny starczy również na tydzień.

–Przekażcie zatem swemu dowódcy, że ma dwa tygodnie czasu na wygranie wojny. Jeśli zawiedzie, zapłaci głową. Łarionow całą winę za spowodowane przez siebie błędy wywiadu zwali na armię. Wasze życie, młody człowieku, wtedy również będzie zagrożone.

–Kto jest tym szpiegiem KGB w naszym sztabie?

–Oficer operacyjny teatru wojny. Dokooptowany tam wprawdzie został przed laty, ale jego bezpośredni przełożony należy do frakcji Łarionowa. Nie mam dostępu do raportów, jakie

składa.

–General Aleksiejew... złamał otrzymane instrukcje i wycofał jednostki znad Wezery. Posłał je na wschód, gdzie mają wziąć udział w operacji odbicia Alfeld.

–Zatem już teraz znalazł się w niebezpieczeństwie. Nie potrafię mu pomóc.

Bo nie chcę wiązać sobie rąk – dodał w myślach dyrektor KGB.

–Wania, powinieneś już wracać. Mam z towarzyszem Kosowem kilka spraw do omówienia.

Siergietow objął syna. i odprowadził do drzwi. Spoglądał na niknące między brzozaami tylne, czerwone światła samochodu.

–Nie podoba mi się pomysł plątania w to mego syna.

–A komu innemu moglibyście zaufać, Michaił Edwardowicz. Rodinie grozi zagłada, przywódcy partyjni oszaleli, nawet ja nie sprawuję już pełnej kontroli nad KGB. Czyż nie rozumiecie, że p r z e g r a l i ś m y? Musimy ratować, co się da.

–Ale przecież wciąż trwamy na terytorium wroga...

–Wczorajszy dzień się nie liczy. Nie liczy się dzisiaj.

Naprawdę liczy się to, co będzie za tydzień. Kiedy już nawet minister obrony zrozumie, że przegraliśmy, jak postąpi? Zastanawialiście się nad tym? Kiedy desperat

pojmie, że przegrał, a w dodatku dysponuje bronią jądrową, co wtedy?

Rzeczywiście, co wtedy? – pomyślał Siergietow.

Zadał sobie dwa pytania: Co zrobię ja? Co zrobimy my?

Popatrzył na Kosowa i zaczął rozważać to drugie.

Alfeld, Republika Federalna Niemiec Mackalla dziwiło, że Rosjanie nie reagują natychmiast.

Przeprowadzili wprawdzie nocą kilka ataków lotniczych i ostrzelali z artylerii pozycje przeciwnika, ale spodziewany atak sił lądowych nie nastąpił. Był to wielki błąd. Dzięki tej zwłoce zdążyły nadejść nowe dostawy amunicji i po raz pierwszy od tygodnia czołgi zostały w pełni uzbrojone.

Najważniejsze jednak było to, iż przetrzebione szeregi 11. Pułku Kawalerii Pancerniej uzupełniła niemiecka Brygada Pancerna Grenadierów. Mackall ufał już Niemcom w tym samym stopniu co potężnemu pancierzowi swego czołgu.

Ich pozycje obronne rozciągały się daleko na zachód i na wschód. Operujące na północy jednostki, które przybyły z odsieczą dla Alfeld, zapewniały silne wsparcie ogniowe artylerii dalekiego zasięgu. Jednostki inżynieryjne naprawiły już rosyjskie mosty na Leinie i czołgi Mackalla ruszały właśnie nimi z pomocą oddziałom piechoty zmotoryzowanej, które okopały się w ruinach Alfeld.

To bardzo dziwne uczucie przekraczać rosyjskie mosty; to bardzo dziwne uczucie w ogóle kierować się na wschód – myślał porucznik. Kierowca jego czołgu był podenerwowany, kiedy z prędkością ośmiu kilometrów na godzinę prowadził maszynę po wąskiej konstrukcji, która sprawiała wrażenie bardzo kruchej. Gdy znaleźli się już po drugiej stronie, ominęli samo miasto i wzdłuż rzeki ruszyli na północ. Padał drobny deszcz, wszystko spowijała lekka mgła, nad głowami kłębiły się niskie, gęste chmury, a widoczność nie przekraczała tysiąca metrów. Typowa pogoda dla europejskiego lata. Oczekujący na nich żołnierze skierowali nowo przybyłe czołgi na czekające już pozycje.

W przygotowaniu tych stanowisk bardzo pomogli sami

Rosjanie. Uprzątnęli bowiem skrzętnie gruz, układając go w zgrabne wysokie prawie na dwa metry pryzmy, jakby specjalnie stworzone dla osłony amerykańskich maszyn bojowych.

Porucznik Mackall osobiście skontrolował stanowiska swoich czterech czołgów, a następnie odbył naradę z dowódcą kompanii piechoty, którą jego pluton miał wspierać. Na przedmieściach Alfeld okopały się dwa bataliony piechurów, którym towarzyszył szwadron czołgów.

Ciszę rozdarł wizg pocisków. To amerykańskie armaty posłały kolejną porcję min artyleryjskich na okryte mgłą pole bitwy, które rozciągało się przed oczami Mackalla.

Porucznik szybko wskoczył do czołgu.

Zaczynała się walka.

Stendal, Niemiecka Republika Demokratyczna – Przygotowania do ataku zajęły zbyt wiele czasu – warknął Aleksiejew do oficera operacyjnego.

–Trzy dywizje już ruszyły.

–Jakie otrzymaliśmy posiłki?

Człowiek z wydziału operacyjnego przestrzegał wprawdzie Aleksiejewa przed atakiem na dwóch frontach, ale generał mocno trzymał się planu. Dowodzona przez Bieriegowoja dywizja kategorii A była już na miejscu gotowa uderzyć z zachodu, zaś trzy dywizje kategorii C miały ruszyć ze wschodu. Regularne formacje czołgowe nie posiadały artylerii – posuwały się zbyt szybko, by wlec* za sobą armaty – ale trzysta czołgów i sześćset lekkich transporterów opancerzonych z piechotą, zdaniem generała, samo w sobie stanowiło potężną siłę... pytanie tylko, czym dysponował przeciwnik i ile rosyjskich pojazdów zniszczonych zostanie przez

lotnictwo Paktu, zanim jeszcze nawiąże kontakt z nieprzyjacielem?

Pojawił się Siergietow. Miał na sobie wymięty w podróży mundur jednostki kategorii A.

–I jak zastaliście Moskwę? – spytał Aleksiejew.

–Ciemną, towarzyszu generale. Co z atakiem?

–Właśnie zaczynamy.

–Tak? – major był najwyraźniej zdziwiony tak długą zwłoką.

Obrzucił przeciągłym spojrzeniem oficera operacyjnego teatru wojny, który, marszcząc brwi, pochylał się właśnie nad stołem z mapami. Oficerowie taktyczni przygotowywali się do nanoszenia na nakres poszczególnych faz zbliżającej się bitwy.

–Towarzyszu generale, mam dla was wiadomość z naczelnego dowództwa.

Siergietow wręczył wyglądający bardzo urzędowo blankiet. Aleksiejew rzucił na niego okiem... i przestał czytać.

Próbował nad sobą zapanować. Złożył starannie papier.

–Chodźmy do mego biura.

General bez słowa zamknął za sobą dokładnie drzwi. – *- Jesteście tego pewni?

–Powiedział mi to osobiście dyrektor Kosow.

Aleksiejew usiadł na skraju biurka. Wyjął zapalki i podpalił otrzymany dokument. Obserwował, jak płomień liżę papier. Kiedy dochodziły mu już do palców, wrzucił dopalające się resztki do popielniczki.

–Pieprzona menda. Stukacz. – Mam w sztabie zdrajcę, dodał w myślach. – Coś jeszcze?

Siergietow dokładnie zrelacjonował mu wszystko, czego dowiedział się w Moskwie. Kiedy skończył, Aleksiejew długo milczał. Porównywał ilość paliwa, jakiej potrzebował, z rezerwami, które miał do dyspozycji.

–Jeśli dzisiejszy atak się nie powiedzie... możemy...

Odwrócił twarz. Po prostu nie chciał, nie mógł dokończyć rozpoczętego zdania. Nie po to kształciłem się całe życie, by teraz przegrać – pomyślał. Przypomniał sobie, co mówił przed wojną. – Radziłem, by uderzyć natychmiast.

Powiedziałem im, że niezbędne jest zaskoczenie strategiczne, którego nie osiągniemy, jeśli

będziemy zwlekać zbyt długo.

Oświadczyłem, że należy zamknąć Północny Atlantyk, by odciąć NATO od dostaw z Ameryki. I co? Nie posłuchali moich rad. Mój przyjaciel siedzi w więzieniu KGB, a moje życie wisi na włosku tylko dlatego, że mogę nie wywiązać

się z zadania, o którym od początku mówiłem, że jest niewykonalne... Dlatego, że to ja miałem rację!

Daj spokój, Pasza. Po co Politbiuro miałoby wysłuchiwać opinii żołnierza, skoro może go po prostu rozstrzelać?

Do biura wetknął głowę oficer operacyjny teatru wojny.

–Wojsko ruszyło.

–Dziękuję wam, Jewgieni Iljiczu – odparł uprzejmie Aleksiejew. – Chodźmy, majorze. Zobaczmy, jak szybko przełamiemy linie NATO.

Alfeld, Republika Federalna Niemiec – Będzie bójka – odezwał się znad działa Woody.

–Na to wygląda – zgodził się Mackall.

Spodziewali się natarcia dwóch lub trzech rezerwowych sowieckich dywizji. Rosjanie ostrzeliwali ich z obu stron rzeki, lecz słaba widoczność utrudniała pracę zarówno radzieckiej artylerii jak i lotnictwu NATO, które w tych warunkach mogło zapewnić tylko minimalne wsparcie. Jak zwykle najgorsze było trwające dwie minuty wstępne bombardowanie raketowe, kiedy to spadł na nich grad nie sterowanych pocisków. Ginęli ludzie i pojazdy, ale jednostki Paktu Atlantyckiego były dobrze okopane i straty okazały się stosunkowo niewielkie.

Woody włączył celowniki termogramowe. Pozwalało mu to obserwować teren na odległość do tysiąca metrów – dwukrotnie dalej niż w tych warunkach sięgał wzrok. Po lewej stronie wieżyczki wiercił się nerwowo ładowniczy.

Stopy oparł na pedale, którym otwierał komorę z pociskami.

Kierowca spoczywał pod głównym działem i leżąc w pudle rozmiarów trumny bębnił palcami po drążku kierowniczym.

–Uwaga, chłopcy. Nadchodzą – odezwał się Mackall.

–Widzę na wschodzie ruch.

–Ja też – potwierdził Woody.

Wróciło kilku żołnierzy z rekonesansu. Nie tylu, ilu powinno – pomyślał Mackall. – Jednak

ponosimy duże straty...

–Cel: czołg. Godzina dwunasta – odezwał się Woody.

Nacisnął spust. Czołgiem szarpnęło.

Z części zamkowej lufy wyskoczyła łuska. Ładowniczy wdepnął pedał. Otworzyły się drzwiczki od komory i mężczyzna wyjął kolejny pocisk podkalibrowy. Wsunął go do lufy.

–Gotowe.

Woody wybrał kolejny cel. Zajmował się wyłącznie sobą i tym, co robił, a Mackall obserwował przez otwory pozostałe czołgi swego plutonu. Dowódca piechoty wołał o wsparcie artyleryjskie.

Nieoczekiwanie ujrzeli przed sobą rosyjskich żołnierzy.

Między szeregami piechoty pomykały ośmiokołowe transportery opancerzone. Bradleye natychmiast skierowały w tamtą stronę ogień ze swych 25-milimetrowych dział. Jednocześnie zaczęły padać wystrzeliwane przez artylerię pociski uzbrojone w zapalniki zbliżeniowe, które powodując detonację siedem metrów nad ziemią, sprawiały, że nacierający żołnierze zasypywani byli gradem odłamków.

Amerykanie nie mogli nie trafić. Rosyjskie czołgi nacierały bardzo wąskim frontem, posuwały się w pięćdziesięciometrowych odstępach, a nie, jak miały to w zwyczaju, w stumetrowych. Woody natychmiast spostrzegł, że są to przestarzałe T-55 ze 100-milimetrowymi działami. Zniszczył trzy, zanim te zdążyły w ogóle wypatrzeć pozycje NATO.

Jeden z radzieckich czołgów wcelował w pryzmę kamieni tuż przed czołgiem Mackalla i zasypał abramsa okruchami skał. Tę maszynę Woody zniszczył pociskiem HEAT.

Pojawiły się świece dymne – ale to wcale Rosjanom nie pomogło. Elektroniczne amerykańskie celowniki nic sobie nie robiły z bijących w niebo kłębow dymu. Rosjanie, ustaliliwszy już dokładnie pozycje przeciwnika, podali swej artylerii przez radio namiary. Amerykańskie armaty nie pozostały dłużne. Rozpoczął się pojedynek na działa.

–Czołg z anteną! Podkalibrowym!

Kanonier nastroił celownik na T-55 i odpalił pocisk.

Chybił, ale natychmiast wprowadził w lufę następny. Drugi strzał wyrzucił wieżyczkę rosyjskiej maszyny wysoko w niebo. Celownik termiczny pokazywał jasne punkciki nad CZERWONY SZTORM • 377 latających rakiet przeciwczołgowych i plamy światła w miejscach, gdzie eksplodowały trafione pojazdy. Nagle Rosjanie przestali atakować. Większość ich maszyn płonęła. Ocalałe gwałtownie zawracały.

–Wstrzymać ogień! Wstrzymać ogień! – polecił swemu plutonowi Mackall. – Meldować się.

–Trzy-dwa, mam uszkodzoną gąsienicę – odezwał się jeden z amerykańskich czołgów.

Pozostałe, świetnie ukryte za stosami kamieni, pozostały nietknięte.

–Wystrzeliliśmy dziewięć pocisków, szefie – odezwał się Woody.

Mackall i ładowniczy otworzyli włazy, by usunąć z wnętrza wieżyczki gryzący smród propelentu. Kanonier zdjął skórzany hełm. Jasne włosy miał spocone i potargane.

–Wiem, czego w tej maszynie brakuje – oznajmił.

–Tak, Woody?

–Nie mamy na spodzie żadnego wjazdu. Dobrze byłoby się wysikać bez wyłączenia z tego cholernego czołgu.

–Musisz o tym przypominać? – jęknął kierowca.

Mackall roześmiał się i dopiero po chwili zrozumiał powód swej radości. Po raz pierwszy, nie cofając się na krok, powstrzymali Iwana. Była to bardzo budująca refleksja, zwłaszcza, że i tak nie mieliby się dokąd cofnąć.

A reakcja załogi? Po prostu śmieje się z niewybrednych dowcipów.

USS "Reuben James" O'Malley ponownie wystartował. Przeciętnie przebywał w powietrzu dziesięć godzin na dobę. Choć w ciągu ostatnich czterech dni storpedowane zostały trzy amerykańskie okręty, a dwa inne trafione rakietami wystrzelonymi z okrętów podwodnych, Rosjanie płacili za te sukcesy bardzo drogo. Na wody w pobliżu Islandii Iwan skierował około dwudziestu jednostek podwodnych.

Osiem z nich zniszczono w chwili, gdy próbowały sforsować linię pikiet strzegących flotylli. Kilka następnych

zatopily statki z holowanymi antenami sonarowymi, którym pomagały własne helikoptery i śmigłowce z HMS "Illustrious". Zuchwały kapitan tanga przedostał się w środek grupy lotniskowców i trafił torpedą w "Americę".

Bardzo szybko jednak Rosjanina wytropił i wysadził niszczyciel "Caron". "America" mogła teraz rozwijać szybkość dwudziestu pięciu węzłów, co z trudem wystarczało do prowadzenia operacji lotniczych. Ale jednostka pozostała na stanowisku.

"Siły Mike'a" – "Reuben James", "Battleaxe" i "Illustrious" – eskortowały po południowej stronie flotylli zespół okrętów desantowych z kolejnym kontyngentem wojska.

W lesie cały czas kryły się wilki; w każdej chwili nieprzyjaciel mógł napaść jednostki desantowe. Z wysokości trzystu metrów O'Malley obserwował płynącego na północy "Nassau" i trzy inne okręty. Nad Keflavikiem unosiły się dymy.

Rosjanie nie mieli chwili wytchnienia.

–Nie przyjdzie im łatwo kogoś na nas napuścić – pomyślał na głos Ralston.

–Jak pan myśli, Rosjanie mają radio? – spytał pilot.

–Z całą pewnością.

–Więc jeśli ujrzą nas z tych wzgórz, mogą przesłać tą drogą wiadomość do okrętu podwodnego.

–O tym nie pomyślałem – przyznał chorąży.

–No cóż, jestem przekonany, że Iwan tak właśnie uczyni.

O'Malley ponownie popatrzył na północ. Na tych okrętach mrowiło się trzy tysiące marines. Żołnierz piechoty morskiej w Wietnamie nie raz uratował pilotowi życie.

"Reuben James" i O'Malley osłaniali łodzie desantowe od strony lądu, a okręty i helikoptery brytyjskie strzegły ich od otwartego morza. Ponieważ wody były tu stosunkowo płytkie, wszystkie jednostki musiały zwinąć anteny holowane.

–Willy, zrzucaj teraz, natychmiast!

Do wody wpadła pierwsza aktywna pława sonarowa.

W ciągu kilku minut znalazło się tam pięć dalszych.

Stosowane na otwartym oceanie pasywne hydrolokatory

tutaj nie były potrzebne. Skoro Rosjanie i tak znali dokładnie pozycje przeciwnika, nie było sensu się czaić.

Lepiej wypłoszyć groźne jednostki, niż bawić się w skomplikowane gry.

Trzy godziny – pomyślał O'Malley.

–Młot, tu Romeo – odezwał się Morris. – Bravo i India mają chyba jakiś kontakt. Odległość: dwadzieścia dziewięć mil. Współrzędne: dwa-cztery-siedem.

–Romeo, przyjąłem – odparł O'Malley i dodał zgryźliwie do Ralstona: – Skubaniec, dostał się na odległość, z której może zaatakować rakieta. Chłopcy z piechoty morskiej będą się cieszyć.

–Kontakt! Prawdopodobnie kontakt na pławie cztery – odezwał się Willy znad ekranu hydrolokatora. – Sygnał jest słaby.

O'Malley zawrócił i ponownie skierował maszynę nad linię pław.

Keflavik, Islandia – Jak myślicie, gdzie mogą być? – spytał Andriejew oficera łącznikowego marynarki. Aktualne pozycje formacji NATO nanoszono na nakres na podstawie meldunków składanych przez posterunki obserwacyjne rozmieszczone na wierzchołkach wzgórz.

Zapytany potrząsnął głową.

–Pewnie już niedaleko.

Generał pamiętał własne przeżycia ze statku. Pamiętał, jak czuł się tam bezbronny i ile niebezpieczeństw czyhało na jego życie. Jakąś częścią podświadomości współczuł amerykańskiej piechocie morskiej, ale taka galanteria stanowiła luksus, na który generała nie było stać. Jego spadochroniarze toczyli morderczy bój i nie potrzebowali kolejnych kontyngentów nieprzyjacielskiego wojska i sprzętu.

Dywizja Andriejewa miała nie dopuścić Amerykanów w rejony Reykjaviku i Keflaviku. Cały czas obowiązywał rozkaz z pierwszych dni wojny: bronić bazy lotniczej w Keflaviku. To akurat generał był w stanie wykonać, choć

za cenę zagłady swych elitarnych oddziałów. Nurtował go problem lotniska w Reykjaviku. Wiedział, że byłoby również niebywale użyteczne dla przeciwnika, ale jedna lekka dywizja nie była w stanie obronić obu lotnisk.

Obserwatorzy donieśli o zbliżających się do brzegu okrętach desantowych, na których płynął pułk wojska i sprzęt. Jednostkom towarzyszyły helikoptery, które mogły przetransportować te siły w dowolne miejsce na wyspie.

Andriejew zdawał sobie sprawę z tego, że jeśli rozciągnie linie obrony, grozić to będzie katastrofą. Jeśli natomiast ruszy rezerwy, to znajdą się one w odkrytym terenie, gdzie zmasakruje je ogień z dział okrętowych i lotnictwo. Wiedział, że przybywająca jednostka nie będzie wzmacniała wojsk, które już walczą z jego spadochroniarzami, ale błyskawicznie wykorzysta chwilę załamania się obrońców.

Jednostki desantowe zaczekają spokojnie do zmroku i wtedy żołnierze bezpiecznie sforsują wodę, a następnie dołączą do swoich kolegów na lądzie. Jak więc on powinien teraz postąpić? Nie miał już radarów, została mu tylko jedna wyrzutnia SAM-ów, a działa okrętowe systematycznie niszczyły rosyjską artylerię.

–Ile naszych okrętów podwodnych tam operuje?

–Nie wiem, towarzyszu generale.

USS "Reuben James" Morris obserwował wskazania hydrolokatora. Kontakt na pławie sonaru znikł po kilku minutach. To pewnie ławica śledzi – pomyślał. Okoliczne wody obfitowały w ryby i większe skupisko mogło zaalarmować sonar aktywny. Kiedy "Reuben James" płynął z pełną szybkością, dotrzymując tempa łodziom desantowym, hydrolokator był całkowicie bezużyteczny. Główny dowódca formacji najbardziej obawiał się okrętów podwodnych atakujących od strony morza – każdy kontakt oznaczał przypuszczalnie jednostkę uzbrojoną w samosterujące rakiety dalekiego zasięgu.

O'Malley ponownie spuścił sonar zanurzony, próbując

odzyskać utracony kontakt z celem. Pilot był jedyną osobą, która mogła sobie z tym poradzić.

–Romeo, tu Bravo. W okolicy kręci się chyba raketowy okręt podwodny. Cały czas go szukamy. – Doug Perrin wołał zawsze zakładać najgorsze.

–Bravo, przyjąłem.

Z obrazu na ekranie wynikało, że wspierana trzema helikopterami "Battleaxe" przyjęła pozycję między przypuszczalnym kontaktem a łodziami desantowymi.

Uważaj na siebie, Doug – szepnął Morris.

–Kontakt! – oznajmił Willy.– Kontakt na sonarze aktywnym. Pozycja: trzy-zero-trzy. Odległość: dwa trzysta.

O'Malley nie musiał nawet patrzeć na wykres taktyczny.

Między niego a okręty desantowe wdarł się okręt podwodny.

–Kopuła w górę!

Pilot utrzymywał helikopter w bezruchu, a podoficer wyciągał przetwornik. Sprawę niebywale komplikował fakt, że przeciwnik wiedział już, że na niego polują.

–Romeo, tu Młot. Chyba mamy cel.

–Zrozumiałem. Powiadom "Nassau", że w pobliżu czai się okręt podwodny.

Morris spojrział na ekran. Poleciał nadać fregacie pełną szybkość i zbliżyć się do tamtego miejsca. Nie była to finezyjna zagrywka, ale musieli przygwoździć napastnika, zanim ten podejdzie do łodzi desantowych na odległość strzału.

Kopuła w dół! – zarządził O'Malley. – Spuszczaj na sto trzydzieści i uderzaj!

Kiedy sonar znalazł się na wymaganej głębokości, Willy uaktywnił urządzenie. Ekran wypełnił się masą ech. Sonar był tak blisko dna, że rejestrował dwadzieścia skalnych iglic. Odpływ

morza też sprawy nie ułatwiał. Szum kłębiącej się między skałami wody nawet na lampach sonaru biernego wywoływał szereg fałszywych cieni.

–Sir, ogromna ilość niczego.

–Czuję, że tu jest. Ostatnim razem, kiedy wysyłaliśmy

impulsy, znajdował się na peryskopowej, ale do teraz zapewne zszedł dużo niżej.

–Tak szybko? – zdziwił się Ralston.

–Tak szybko.

–Szefie, jedno z ech przesunęło się nieznacznie.

O'Malley włączył radio i Morris zezwolił mu użyć broni.

Ralston zaprogramował torpedę na poszukiwania po okręgach, pilot wystrzelił pocisk. Natychmiast włączył słuchawki. Usłyszał wycie silników torpedy, a następnie impulsy wysokiej częstotliwości wysyłane przez zainstalowany w pocisku sonar kierunkujący. Torpeda przez pięć minut zataczała kręgi, by w końcu przejść na ciągłe wysyłanie impulsów...

Eksplozja.

–Bardzo dziwny dźwięk, sir – odezwał się Willy.

–Młot, tu Romeo. Raportuj.

–Romeo, tu Młot. Myślę, że zatopiliśmy skałę... – O'Malley urwał na chwilę. – Romeo, choć nie potrafię tego udowodnić, twierdzą, że coś się tutaj kręci.

–Skąd ta pewność?

–Bo to idealne miejsce na kryjówkę.

–Zgadza się – Morris nauczył się ufać przeczuciom O'Malleya. Wywołał przebywającego na pokładzie "Nassau" dowódcę łodzi desantowych.

–November, tu Romeo. Mamy przypuszczalny kontakt.

Proponuję, byście na czas naszych poszukiwań odbili trochę na północ.

–Nie ma takiej możliwości, Romeo – odparł natychmiast dowódca. – India też tropi przypuszczalny, powtarzam: przypuszczalny kontakt, który zachowuje się jak raketowy okręt podwodny. Ruszamy z pełną prędkością do celu. Życzę ci udanego polowania, Romeo.

–Przyjąłem – Morris odłożył mikrofon i popatrzył na oficera taktycznego. – Zbliźmy się do miejsca kontaktu.

–Czy to bezpieczne, by po takim kontakcie z łodzią podwodną ruszać z pełną szybkością? – spytał Calloway.

–Czy helikopter nie może utrzymać jej w odpowiedniej odległości?

–Uczy się pan, panie Calloway. Pewnie, że to niebezpieczne. Ale kiedy byłem w Annapolis, uczono mnie, że sprawy mogą potoczyć się i tak.

W maszynowni otworzono całkowicie przepustnice i oba odrzutowe silniki okrętu ryknęły pełną mocą. Ostry jak nóż dziób fregaty zaczął ciąć wodę z szybkością ponad trzydziestu węzłów. Obroty jej pojedynczej śruby sprawiły, że okręt przechylił się na lewą burtę pod kątem czterech stopni. Jednostka mknęła na spotkanie podwodnego okrętu.

–To już zaczyna być nudne.

O'Malley, który prowadził samolot siedemnaście metrów nad wodą, widział wyraźnie na horyzoncie maszt fregaty i charakterystyczne salingi.

–Willy, co u ciebie?

–Ogromna ilość sygnałów odbitych od dna, sir. Dno wygląda jak miasto, tyle tu sterczących skał. Masa wirów i wiele innych rzeczy.

–Przejdź na bierny.

Pilot wcisnął odpowiedni guzik, by włączyć nasłuch.

Willy miał rację. Zbyt wiele szumów wody. Popatrzył na nakres taktyczny. Łodzie desantowe były odległe zaledwie o dziesięć mil. Nie potrafił zlokalizować ich na swoim sonarze, ale miał trzydziści procent pewności, że okręt podwodny mógł. Jeśli znajduje się na głębokości antenowej, z pewnością wie, gdzie są łodzie desantowe... ale nie na tyle dokładnie, by oddać celny strzał – dodał w myślach pilot.

–Romeo, tu Młot. Prześlij ostrzeżenie jednostkom desantowym.

–Są głusi na nasze przestrogi. Uciekają od przypuszczalnego kontaktu w stronę morza.

–Cudownie! – warknął w mikrofon O'Malley. – Willy, przygotuj kopułę.

Minutę później lecieli na zachód.

–Kapitan tego okrętu podwodnego to chłop z* jajami – odezwał się pilot. – I nie lada fachowiec.

O'Malley włączył radio.

–Romeo, tu Młot. Puść na swój wykres taktyczny kurs Novembera i przetransmituj mi go na ekran.

Zajął to minutę. O'Malley błogosławił w duchu technika, który zamontował ten system w komputerze taktycznym Seahawka. Pilot wywołał na ekranie linię ich jedyne kontakty oraz otrzymane z fregaty namiar "Nassau".

Zakładając, że okręt podwodny porusza się z prędkością dwudziestu, dwudziestu pięciu węzłów...

Pilot wyciągnął dłoń i stuknął palcem w szklany ekran.

–Skurwysyn, siedzi w tym miejscu!

–Skąd pan to wie? – spytał Ralston.

O'Malley skierował maszynę w tamtą stronę.

–Ponieważ gdybym był kapitanem, też bym się tam ulokował. Willy, teraz zanurzysz kopułę dokładnie na głębokość trzydziestu trzech metrów. Powiem panu jeszcze jedno, panie Ralston; ten typ myśli, że nas przechytrzył.

Nikt nie przechytrzy Młota – dodał w myślach O'Malley, zatrzymał Seahawka i zawisł nad wodą.

–Willy, kopuła w dół. Poszukuj tylko biernym.

–Trzydzieści trzy metry, kapitanie.

Sekundy przeciągały się w minuty. Pilot utrzymywał maszynę nieruchomo nad wodą.

–Przypuszczalny kontakt na pozycji jeden-sześć-dwa.

–Włączyć aktywny? – spytał Ralston.

–Jeszcze nie.

–Współrzędne powoli się zmieniają. Teraz jeden-pięć-dziewięć.

–Romeo, tu Młot. Prawdopodobnie znów mamy kontakt.

Komputer pokładowy śmigłowca przekazał dane na "Reubena Jamesa". Morris natychmiast zmienił kurs i zaczął płynąć w stronę wskazaną przez pilota. O'Malley polecił wyciągnąć kopułę sonaru, oznaczył pływającą pozycję i utrzymując z nią stały kontakt, przemieścił śmigłowca trochę

w bok. Fregatę dzieliły od helikoptera cztery mile.

–Kopuła w dół.

Znów minuta oczekiwania.

–Kontakt na pozycji jeden-dziewięć-siedem. Boja sześć wskazuje kontakt na jeden-cztery-dwa.

–Mamy skubańca. Kopuła w górę!

Ralston operował bronią, podczas gdy O'Malley ruszył na południe, zmierzając dokładnie nad miejsce pobytu obcej jednostki podwodnej. Chorąży nastroił ostatnią torpedę na poszukiwania na głębokości siedemdziesięciu metrów i zaprogramował kurs węzowy.

–Kopuła w dół.

–Kontakt. Współrzędne: dwa-dziewięć-osiem.

–Aktywnym!

Willy uruchomił hydrolokator.

–Kontakt na pozycji dwa-dziewięć-osiem. Odległość: sześćset.

–Gotowe! – poinformował Ralston i O'Malley nacisnął czerwony guzik. Lśniąca, zielona torpeda spadła do wody.

Nic się nie wydarzyło.

–Kapitanie, torpeda nie działa. Zepsuta torpeda, sir.

Nie było nawet czasu kłąć.

–Romeo, tu Młot. Zrzuciliśmy torpedę, ale nie działa.

Morris zacisnął dłoń na mikrofonie. Zaklął i przesłał odpowiednią komendę do sterowni.

–Młot, tu Romeo. Czy możesz kontynuować pościg za celem?»

–Oczywiście. Ucieka kursem dwa-dwa-zero... moment, skręca na północ... chyba zwalnia.

"Reuben James" znajdował się sześć tysięcy metrów od celu. Okręt i tropiona jednostka podwodna weszły na zbieżny kurs. I w zasięg rażenia.

–Maszyny stop – rozkazał Morris. Siła hamowania spowodowała, że okręt przez chwilę

wibrował. W ciągu minuty fregata zwolniła do pięciu węzłów, ale Morris polecił zredukować szybkość do trzech, prawie do prędkości ekonomicznej. – Preria/Maska?

–System włączony, sir – poinformował oficer kontroli okrętu. 25 – Czerwony sztorm t. II

Calloway, który cały czas trzymał się z boku i starał nikomu nie wchodzić w drogę, w końcu nie wytrzymał.

–Kapitanie Morris, nie możemy całkiem się zatrzymać?

–Możemy – skinął głową dowódca. – Ale możemy to zrobić szybciej niż Rosjanin. Jego sonar działa po liniach prostych, a my przy tej szybkości poruszamy się bardzo cicho. Warunki hydrolokacyjne są złe i działają zarówno na naszą jak i na ich niekorzyść. Ale ma pan rację, ryzyko istnieje – przyznał kapitan.

Wezwał przez radio kolejny helikopter. Maszyna z "Illustrious" miała pojawić się za kwadrans.

Morris śledził radarem helikopter O'Malleya. Rosyjski okręt podwodny zwolnił i zszedł na większą głębokość.

–Wampir, wampir! – zawołał technik radiolokacji. – Dwie rakiety w powietrzu...

–Bravo informuje, że ich helikopter natknął się na rakiety SSGN, sir – poinformował oficer dowodzący zwalczaniem okrętów podwodnych.

–Sprawy się komplikują – chłodno zauważył Morris.

–Przygotować broń.

–Bravo zniszczył jedną rakietę, sir. Druga zmierza w stronę Indii.

Morris skupił uwagę na głównym ekranie. Mały symbol przesuwiał się w kierunku HMS "Illustrious".

Przesuwiał się bardzo szybko.

–To wampir SS-N-19... Bravo twierdzi, że wystrzelił go oscar. Potwierdza trafienie, sir. – Przy niewielkim znaczku oznaczającym okręt podwodny pojawiły się symbole czterech helikopterów.

–Romeo, tu Młot. Skurczybyk, jest dokładnie pod nami.

–Sonar, hydrolokator aktywny na pozycję jeden-jeden-trzy! Morris podniósł mikrofon. – November, skręcajcie natychmiast na północ! – polecił kapitanowi "Nassau".

–India trafiony, sir. Wampir trafił Indię... chwileczkę... helikopter z Indii informuje, że ma kontakt z kolejną torpedą.

"Illustrious" będzie musiał sam o siebie zadbać – pomyślał Morris.

–Kontakt na sonarze, sir. Współrzędne: jeden-jeden-osiem. Odległość: tysiąc pięćset – dane przekazane zostały błyskawicznie do centrum sterowania ogniem. Na konsoli rozbłysły światełka gotowości.

–Ognia! – rozkazał Morris i po chwili dodał: – Mostek, tu centrum bojowe. Cała naprzód. Prosto kursem zero-jeden-zero.

–Cholera jasna – zaklął pod nosem Calloway.

Z umieszczonej po prawej burcie fregaty potrójnej wyrzutni torped wystrzelił pocisk. Na dole, w maszynowni, mechanicy nadali silnikom pełne obroty. Kiedy śruba zaczęła z całą mocą mielić wodę, fregata odchyliła się do tyłu.

Potężne, odrzutowe turbiny pchnęły okręt do przodu, zupełnie jakby to był samochód.

–Romeo, tu Młot. Cel wystrzelił w twoim kierunku rybkę.

–Nixie? – spytał Morris.

–Jedna w wodzie. Druga czeka – odparł podoficer.

Fregata poruszała się już zbyt szybko, by zrobić użytek ze swego sonaru. ^ – W porządku – Morris sięgnął do kieszeni po papierosy. Popatrzył na kolorową paczkę, zmiął ją i wrzucił do śmietniczki.

–Romeo, tu Młot. Kontakt dysponuje silnikiem Type-2. To chyba victor. Płynie z pełną prędkością, skręca na północ. Twoja torpeda wysłała impulsy w stronę celu.

Straciliśmy kontakt z rybką, którą wysłał w twoim kierunku.

–Przyjąłem, Młot..

–Ty zimny, wyrachowany sukinsynu! – mruknął pod adresem rosyjskiego kapitana O'Malley.

Spoglądał w stronę unoszących się nad HMS "Illustrious" kłębow dymu. Idioto – beształ się w myślach. – Nie powinieneś być zrzucać tej pierwszej torpedy!

–Kapitanie, torpeda przeszła na impulsy ciągłe. Chyba

zbliża się do celu. Impulsy coraz szybsze. Trzaski kadłuba. Okręt znów zmienia głębokość, chyba idzie w górę.

O'Malley ujrzał, że fale zaczynają się nieoczekiwanie burzyć i po chwili nad powierzchnię wody wyprysnął sferyczny dziób victora. Okręt podwodny, próbując uniknąć torpedy, stracił kontrolę nad zanurzeniem. W sekundę później trafiła go głowica bojowa. O'Malley spoglądał osłupiały. Victor ponownie zanurzył się, a w odległości trzydziestu metrów od miejsca, gdzie przed chwilą widniał jego dziób, wyprysnęła fontanna piany.

–Romeo, tu Młot. Trafienie! Widziałem skurwysyna!

Powtarzam: trafienie!

Morris i oficer hydrolokacji bacznie obserwowali ekran sonaru. Wystrzelonej przez Rosjan torpedy nigdzie nie było widać. Zniknęła.

Kapitan Perrin nie mógł wprost w to uwierzyć. W oscara trafiły trzy torpedy i ciągle nie dochodziły dźwięki rozdzieranego kadłuba. Ale odgłosy silników zamarły, a na aktywnym sonarze ciągle widniał obraz rosyjskiej jednostki.

Kiedy na powierzchni wody pokazały się ogromne bąble powietrza, "Battleaxe" ruszyła w tamtą stronę z szybkością piętnastu węzłów. Kapitan pobiegł na mostek i skierował na rosyjski okręt lornetkę. Jednostka była odległa zaledwie o milę. Na szczycie kiosku pojawiła się ludzka sylwetka.

Rozpaczliwie wymachiwała rękami.

Kapitan nie wierzył własnym oczom. W górnej części kadłuba oscara ziały trzy dziury. W wyniku przebicia zbiorników z balastem okręt unosił się nad wodą pod kątem trzydziestu stopni. Na kiosk i przez przedni luk wydostawało się coraz więcej ludzi.

–Bravo, tu Romeo. Od strony brzegu zatopiliśmy victora. Co u was?

Perrin podniósł mikrofon.

–Romeo, na powierzchni mamy uszkodzonego oscara.

Załoga właśnie go opuszcza. Wystrzelił dwie rakiety. Jedną zniszczył nasz sea wolf, a druga trafiła w dziób Indię.

Przystępujemy do akcji ratowniczej. Przekaż Novemberowi, że może płynąć.

–Powodzenia, Bravo – przełączył kanały. – November, tu Romeo. Czy słyszałeś ostatnią transmisję z Bravo?

–Słyszałem, Romeo. Płyniemy w stronę lądu.

General Andriejew osobiście wysłuchał meldunku z punktu obserwacyjnego i oddał mikrofon oficerowi operacyjnemu. Amerykańskie okręty desantowe znajdowały się pięć kilometrów od

latarni morskiej w Akranes i zmierzały zapewne do starego portu wielorybniczego w Hvalfjórðurze.

–Będziemy się bronić do końca – oświadczył pułkownik KGB. "- Pokażemy, że radziecki żołnierz potrafi walczyć.

–Podziwiam waszego ducha, towarzyszu pułkowniku – generał przeszedł w kącie pokoju i sięgnął po karabin. – Macie, weźcie to i marsz na pierwszą linię.

–Ale...

–Poruczniku Gasporenko, będziecie służyć towarzyszowi pułkownikowi za kierowcę. Pojedzie na pierwszą linię, by pokazać Amerykanom, jak walczy radziecki żołnierz.

Andriejew uśmiechał się szyderczo. Czekał nie miał pola manewru. Kiedy wyszli, generał wezwał oficera łączności. Pozostały im już tylko dwa nadajniki radiowe dalekiego zasięgu. Andriejew nie chciał jeszcze kapitulować, choć jego żołnierze płacili za opór krwawy haracz. Dowódca jednak zdawał sobie sprawę, że niebawem dalsza walka będzie daremna. Nie miał zamiaru dopuścić, by jego żołnierze ginęli bez sensu.

Alfeld, Republika Federalna Niemiec

W ataku nastąpiła przerwa.

Drugi radziecki szturm prawie się udał – pomyślał Mackall. Rosjanie ruszyli czołgami z pełną prędkością i zbliżyli się do amerykańskich pozycji na odległość pięćdziesięciu metrów. Stare, zużyte działa ich maszyn zniszczyły

połowę czołgów przeciwnika. W chwili, kiedy obrona była już prawie złamana, ofensywa radziecka utknęła. Trzeci szturm, przeprowadzony o zmierzchu, nie miał już impetu i prowadzony był bez przekonania. Żołnierze byli zbyt zmęczeni.

Teraz z tyłu dobiegał Mackalla zgiełk innej bitwy.

Po zachodniej stronie miasta Niemcy odpierali huraganowy atak.

Stendal, Niemiecka Republika Demokratyczna – Generał Bieriegowoj donosi o silnym kontrataku na Alfeld od północy.

Aleksiejew przyjął tę wiadomość z kamienną twarzą.

Jego rachuby zawiodły. Widzisz, Pasza, dlaczego nazywa się to hazardem – pomyślał.

Ale co teraz?

W pokoju panowała śmiertelna cisza. Młodzi oficerowie nanoszący na mapę ruchy wojsk

swoich i obcych nigdy nie byli przy pracy zbyt rozmowni. Teraz jednak nawet nie podnosili głów, by spojrzeć na inne sektory na mapie.

Skończyła się między nimi rywalizacja, które oddziały prędeż osiągną wyznaczone cele.

Pasza, grzęzniesz w mroku – pomyślał. Zbliżył się do oficera operacyjnego.

–Jewgieni Iljiczu, jaka jest wasza opinia?

Oficer wzruszył ramionami.

–Musimy ciągnąć atak. Nasi ludzie są wprawdzie zmordowani, ale ich też.

–Posyłamy niedoświadczonych żołnierzy przeciw weteranom. To należy zmienić. Ściągnę tu oficerów i podoficerów z rezerwowych jednostek A i zasile nimi przybywające właśnie formacje kategorii C. Rezerwiści muszą mieć między sobą doświadczonych żołnierzy. W przeciwnym razie skazemy ich na rzeź. Chwilowo zawieszam operacje ofensywne...

–Towarzyszu generale, jeśli to uczynimy...

–Mamy wystarczające siły, by zadać decydujący cios.

Cios ten zadamy w czasie i miejscu, które ja wybiorę.

Musimy przeprowadzić bardzo przemyślany atak. Polecę Bieriegowojowi, by wycofał się najszybciej, jak zdoła... nie, nie mogę ufać radiu. Jewgieni Iljiczu, polecicie dziś wieczorem do kwatery głównej Bieriegowoja. Potrzebuję zdolnego oficera operacyjnego. To będzie wasze zadanie.

Daję ci szansę rehabilitacji, ty zdrażliwa świnió – pomyślał. – Wykorzystaj ją.

A co ważniejsze, uwolnił się od donosiciela KGB.

Oficer operacyjny wyszedł, by zorganizować sobie transport. Aleksiejew zaprowadził Siergietowa do biura.

–Wróćcie do Moskwy.

ROZSTRZYGNIĘCIE KONFLIKTU

Bruksela, Belgia – Zdziwiająca, ile może działać zwykła para piątek...

–Słucham, generale? – spytał szef wywiadu.

Dowódca wojsk sprzymierzonych w Europie potrząsnął głową i popatrzył na mapę. Alfeld nasze – myślał generał.

Niemcy na zachodzie przeżyli morderczy atak i choć bliscy byli załamania się, nie oddali szanów. Nadchodziła już dla nich pomoc – brygady czołgów. Nowo przybyła dywizja pancerna uderzyła na południe, by całkowicie odciąć rosyjskie dywizje nad Wezerą. Najbardziej wysunięte jednostki radzieckie wystrzelały już wszystkie pociski ziemia-powietrze, więc lotnictwo Paktu Atlantyckiego z ponurą zawziętością, bezkarnie zasypywało bombami ich pozycje.

Rekonesans powietrzny przeprowadzony w okolicach Alfeld ukazał ponury obraz pobojowiska wypełnionego zgliszczami domów i wrakami wypalonych czołgów. Tam też nadciągały posiłki. Zawsze istniała szansa, że Iwan wróci. Niebo było czyste; do gry mogło bezpiecznie włączyć się lotnictwo NATO.

–Joachim, sądzę, że ich zatrzymaliśmy.

–Ja, Herr General. Teraz zaczniemy Iwana spychać.

Moskwa, RSFRR – Ojciec, generał Aleksiejew polecił mi przekazać ci, że jego zdaniem nie pokonamy NATO.

–Jesteś tego pewien?

–Tak, tato – młody człowiek rozsiadł się w gabinecie ministra. – Nie udało nam się uzyskać zaskoczenia strategicznego. Nie doceniliśmy lotnictwa Paktu... i wielu innych

rzeczy. Nie zablokowaliśmy dostaw NATO. Nasz ostatni kontratak mógł się powieść, ale... Istnieje jeszcze jedna szansa. Generał zawiesił wszelkie akcje ofensywne i przygotowuje generalny szturm. By mogło do niego dojść...

–Skoro wszystko stracone, to o czym ty w ogóle gadasz?

–Jeśli zadamy siłom NATO cios na tyle silny, że powstrzymamy je od kontrofensywy, osiągniemy nasze cele. Pozwoli to Politbiuru przystąpić do rokowań z pozycji siły. Wszystko to jest naturalnie palcem na wodzie pisane, ale lepszego rozwiązania Aleksiejew nie widzi. Dlatego generał prosi, byś przekonał Politbiuro, że należy natychmiast wszcząć rozmowy dyplomatyczne. W przeciwnym razie NATO pozbiera się i przystąpi do własnej ofensywy.

Minister skinął głową. Odwrócił się na obrotowym krześle i przez kilka minut w milczeniu wyglądał przez okno.

–Obawiam się, że wcześniej Aleksiejew trafi do więzienia – odezwał się w końcu. – Wiesz, co się stało z aresztowanymi?

Major po chwili dopiero pojął sens słów ojca.

–Nie mówisz chyba poważnie?

–Zeszłej nocy. Cała siódemka. Łącznie z waszym poprzednim dowódcą.

–Ależ to był pierwszorzędny oficer.

–Zawiódł, Wania – odparł cicho starszy Siergietow.

–Państwo tego nie toleruje... – głos mu zadrżał.

Nie mam wyboru – myślał z rozpaczą. – Muszę współdziałać z Kosowem. Bez względu na konsekwencje, bez względu na to, czy to drań, czy nie. I muszę położyć na szali również twoje życie, Wania.

–Witalij odwiezie cię teraz do daczy. Przebierz się w cywilne ubranie i czekaj na mnie. Pod żadnym pozorem nie opuszczaj domu. Nikt nie może cię zobaczyć.

–Myślisz, że cię śledzą?

–Naturalnie – uśmiechnął się przelotnie ojciec. – Obserwują mnie ludzie z KGB, oficerowie z osobistego sztabu Kosowa.

–A jeśli on wciąga cię w pułapkę?

–Wtedy jestem martwy, Wania. I ty też. Wybacz mi, jeszcze niedawno nawet by mi do głowy nie przyszło, że sprawy mogą się tak potoczyć... Jestem z ciebie bardzo dumny z powodu ostatnich tygodni – wstał i objął syna.

–A teraz już idź. Musisz mi zaufać.

Po wyjściu syna Siergietow podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer siedziby KGB. Dyrektora Kosowa nie było, więc minister kazał mu przekazać jak wróci, że kalkulacje wydajności pól naftowych w krajach Zatoki Perskiej, o które dyrektor prosił, są już gotowe.

Minister powiadomił w ten sposób Kosowa o spotkaniu, jakie miało się odbyć po zachodzie słońca. O północy Iwan Michajłowicz wracał już samolotem do Niemiec.

Stendal, Niemiecka Republika Demokratyczna – Dyrektor Kosow pochwalił sposób, w jaki załatwiliście sprawę zdrajcy. Stwierdził, że śmierć tego oficera, nawet przypadkowa, wzbudziłaby podejrzenia. Teraz tkwi bezpiecznie za liniami nieprzyjacielskimi i wykonuje swoje obowiązki.

–Jak będziecie się widzieć z tym draniem Kosowem, podziękujcie mu ode mnie.

–Wasz przyjaciel został rozstrzelany trzydzieści sześć godzin temu – poinformował z kolei Siergietow.

General gwałtownie się wyprostował.

–Co takiego?

–Poprzedni głównodowodzący Zachodnim Teatrem Wojny został rozstrzelany wraz z marszałkami Szawirinem, Rożkowem i czterema innymi.

–I ten pieprzony Kosow gratuluje mi...

–Powiedział, że nie był w stanie nic zrobić. Przesyła wyrazy współczucia.

Wyrazy współczucia od KGB – pomyślał generał. – Przyjdzie jeszcze odpowiednia chwila, towarzyszu Kosow...

–Ja naturalnie jestem następny w kolejce.

–Dobrze się stało, że posłaliście mnie z tym wszystkim do mego ojca. On i Kosow są przekonani, że gdybyście

zwrócili się bezpośrednio do Naczelnego Dowództwa, natychmiast wyładowalibyście w więzieniu. Politbiuro ciągle wierzy w zwycięstwo. Kiedy straci tę wiarę, zdarzyć się może wszystko.

Aleksiejew dobrze wiedział, co kryje się pod słowem "wszystko".

–Mówcie.

–Wasz pomysł dołączenia do przybywających z kraju dywizji C doświadczonych żołnierzy jest bardzo mądry; każdy to przyzna. Przez Moskwę przewija się codziennie kilka takich dywizji...

– Siergietow zamilkł i czekał, aż Aleksiejew wyciągnie własne wnioski.

Generał zadrżał.

–Wania, mówisz jak zdrajca.

–Mówimy o ratowaniu Ojczyzny...

–Nie mieszaj własnej skóry w sprawy ratowania naszego kraju! Jesteście żołnierzem, Iwanie Michajłowiczu.

Ja również. Stanowimy tylko pionki... -...w rękach przywódców politycznych? – zakpił Siergietow. – Za późno na szacunek dla Partii, towarzyszu generale.

–Mam nadzieję, że wasz ojciec skłoni Politbiuro do bardziej umiarkowanego kursu. Nie zamierzam przeprowadzać puczu.

–Czas na umiarkowany kurs dawno minął – odparł Siergietow. Przemawiał tak, jakby był nowym szefem Partii.

–Mój ojciec, jak i wiele innych osób, był przeciwny wojnie, ale nie miało to na nic wpływu. Jeśli zaproponujecie rozwiązanie dyplomatyczne, aresztują was i rozstrzelają. Po pierwsze za to, że nie wywiązaliście się z powierzonego wam zadania, a po drugie dlatego, że ośmieliliście się sugerować hierarchii partyjnej kurs polityczny. Pomyślcie, kto przyszedłby na wasze miejsce i co by to znaczyło. Mój ojciec obawia się, że Politbiuro skłonne jest rozwiązać konflikt za pomocą broni jądrowej.* Ojciec miał słuszość – pomyślał Siergietow.– Aleksiejew mimo całego gniewu na Partię zbyt długo i zbyt wiernie służył Państwu, by zrodził się mu w głowie pomysł zdrady.

–Partia i Rewolucja zostały zdradzone, towarzyszu generale. Jeśli nie ruszymy im na ratunek, obie są stracone.

Ojciec twierdzi, że musicie zdecydować się, komu i czemu służycie.

–A jeśli podejmę błędną decyzję?

–Wtedy umrę ja, umrze mój ojciec i wielu, wielu innych. A wy siebie i tak nie uratujecie.

Ma rację. Ma całkowitą rację – błysnęło generałowi w głowie. – Rewolucja została zdradzona. Idee Partii zostały zdradzone... ale...

–Próbujecie manipulować mną jak dzieckiem. Pewnie ojciec powiedział wam, że nie przyłączę się do was, jeśli nie przekonacie mnie o ideowej... – szukał chwilę właściwego słowa -... słuszości, tak, ideowej słuszości waszego postępowania.

–Ojciec uważa, że zostaliście uwarunkowani; nauka komunistyczna twierdzi, że ludzi łatwo uwarunkować. Przez całe życie wmawiano wam, że Armia służy Partii, a wy stoicie na straży Państwa. Prosił, bym wam przypomniał, że jesteście człowiekiem Partii i że nadszedł czas, by przywrócić Partii jej tożsamość.

–Aha, i dlatego spiskujecie z dyrektorem KGB?

–Wolelibyście widzieć nas w towarzystwie brodatych popów starocerkiewnych lub żydowskich dysydentów z gułagu? Wtedy dopiero rewolucja byłaby czysta? Musimy walczyć środkami, jakie są pod ręką. Rodina rozpaczliwie nas potrzebuje, towarzyszu generale.

Siergietow czuł do siebie obrzydzenie za te słowa.

Kierował je pod adresem człowieka, z którym ramię w ramię walczył na pierwszej linii frontu. Zdawał sobie jednak sprawę, że to jego ojciec ma rację. Po raz drugi w ciągu półwiecza Partia nagięła Armię do swojej woli. Mimo dumy i potęgi, jakie reprezentują generałowie Armii Radzieckiej, buntowniczego ducha posiadali tyle samo co pokojowe pieski. "Kiedy jednak już podejmie się decyzję..." – mówił ojciec...

–Nie gadajcie mi tu o Ojczyźnie!

"Partia jest duszą ludu" – Aleksiejew przypomniał sobie powtarzany tysiącrotnie slogan.

–Co zatem z dziećmi z Pskowa?

–To dzieło KGB!

–Chcecie karać rękę czy miecz?

Aleksiejew zawahał się.

–Iwanie Michajłowiczu, nie jest łatwo zburzyć Państwo.

–Towarzyszu generale. Uważacie, że waszym obowiązkiem jest wykonywać rozkazy, które przynieść mogą wyłącznie zniszczenie? Nie chcemy burzyć Państwa – odparł cicho Siergietow.

– Chcemy je zbudować na nowo.

–Prawdopodobnie przegramy – Aleksiejew czerpał jakąś przewrotną radość z tego oświadczenia. Usiadł za biurkiem. – Ale skoro mam umierać, wolę zginąć jak człowiek, nie jak pies.

General wyciągnął notatnik i sięgnął po pióro. Zaczął układać plan, który zapewniłby powodzenie przedsięwzięcia lub w najgorszym razie sprawił, że Aleksiejew, zanim umrze, zrealizowałby co najmniej jedno zamierzenie.

Wzgórze 914, Islandia Pułkownik Lowe wiedział, że na górze siedzą doświadczeni żołnierze. Wierzchołek, na którym okopali się Rosjanie, bombardowała niemal cała artyleria dywizji, nękały go nieustanne ataki z powietrza, biły w nie 280-milimetrowe działa z okrętów. Pułkownik obserwował, jak jego żołnierze pod morderczym rosyjskim ogniem forsują strome zbocze góry. Zgromadzone w porcie okręty wojenne zasypywały przeciwnika pociskami uzbrojonymi w zapalniki zbliżeniowe, które powodując wybuch pocisku siedem metrów nad ziemią, spowijały wzgórze czarnymi chmurami śmiertelnych odłamków. Armaty marines przeorywały bez przerwy wierzchołek. Co kilkanaście minut kanonada cichła.

Nadlatywały samoloty, by zrzucić na obrońców pojemniki z napalmem i wiązki bomb... ..a Rosjanie ciągle odpowiadali ogniem.

–Teraz! Teraz posłać helikoptery! – polecił Lowe.

Dziesięć minut później rozległ się terkot motorów. Nad głową przemknęło mu piętnaście śmigłowców i oddaliło się na wschód, by zaatakować wzgórze od tyłu. Koordynator

artyleryjski polecił wstrzymać na krótko ogień, wtedy po południowej stronie góry wylądowały dwie kompanie piechoty. Wspierane helikopterami bojowymi Sea Cobra, natychmiast ruszyły do szturmowania rosyjskie pozycje rozlokowane na północnej grani.

Radziecki dowódca był ranny, zaś jego zastępca zbyt późno spostrzegł, że na tyłach ma przeciwnika. Nie było jak przekazać polecenia o kapitulacji. Większość radiostacji została zniszczona, toteż niektórzy żołnierze, walcząc do końca, zginęli z bronią w ręku. Ale to były wyjątki.

Większość Rosjan otrzymała polecenie przerwania ognia i uniosła ręce w geście poddania. Z ulgą wymieszaną ze wstydem rzucali broń i czekali na zwycięzców.

Walka o wzgórze trwała cztery godziny.

–Wzgórze 914 nie odpowiada, towarzyszu generale – poinformował oficer łączności.

–To beznadziejne – mruknął pod nosem Andriejew.

Nie miał już artylerii, wyrzutnie SAM-ów zostały zniszczone. Rozkazano mu utrzymać wyspę tylko przez kilka tygodni. Obiecano dostawy drogą morską. Powiedziano, że wojna w Europie potrwa dwa tygodnie – najwyżej cztery.

Trzymał wyspę znacznie dłużej. Jeden z jego pułków rozbity został na północ od Reykjavíku, więc Amerykanie teraz, gdy zdobyli wzgórze 914, mieli już otwartą drogę na stolicę wyspy. Zginęło lub zaginęło dwa tysiące jego żołnierzy. Tysiąc było rannych. Dosyć.

–Spróbujcie połączyć się przez radio z amerykańskim dowódcą. Przekażcie mu, że proszę o wstrzymanie ognia i spotkanie w wybranym przez niego miejscu.

USS "Nassau" – A więc to pan jest Ogar?

–Tak jest, generale – siedzący w łóżku Edwards starał się jeszcze bardziej wyprostować plecy. Igły w przedramieniu i gips na nodze wcale mu tego nie ułatwiały.

Szpital na okręcie desantowym pełen był rannych.

–A to panna Vigdis? Mówiono mi, że jest pani bardzo ładna. Mam córkę w pani wieku.

Personel medyczny dostarczył dziewczynie ubranie. Pasowało prawie jak ulał. Doktor, który dokładnie ją zbadał, oświadczył, że ciąża przebiega prawidłowo. Poza tym Vigdis była już wykąpana, wypoczęta, toteż patrząc na nią trudno było się domyślić, jaki koszmar niedawno przeszła.

–Gdyby nie Michael, dawno bym nie żyła.

–Wiem, słyszałem. Czy życzy pani sobie czegoś?

Popatrzyła na Michaela. Jej wzrok powiedział generałowi wszystko.

–Jak na meteorologa, spisał się pan pierwszorzędnie, poruczniku.

–Sir, przez całą tę wojnę kryliśmy się tylko jak myszy pod miotłą.

–O nie! Dzięki panu dowiedzieliśmy się, czym Iwan tutaj dysponuje i co porabia. W każdym razie poinformował nas pan, gdzie go nie ma. Pan i pańscy ludzie zrobiliście o wiele, wiele więcej. Nie, synu, nie kryliście się wcale jak myszy pod miotłą – generał wyjął z kieszeni niewielkie pudełko. – Dobra robota, marine!

–Jestem z sił powietrznych, sir.

–Naprawdę? No proszę, a wszyscy gadają, że jest pan z piechoty morskiej – generał przypiął do poduszki Krzyż Morski.

Pojawił się major z formularzem depeszy. Generał rzucił na nią okiem, schował papier do kieszeni i rozejrzał się po rządach łóżek.

–Niebawem już koniec – westchnął z ulgą. – Panno Vigdis, czy zechce pani opiekować się tym człowiekiem?

Chcielibyśmy jeszcze mieć z niego pożytek.

Swierdłowski, RSFRR Za dwa dni mieli wyruszyć na front. 77. Dywizja Piechoty Zmotoryzowanej była jednostką kategorii C i, jak wszystkie formacje tej klasy, składała się z rezerwistów w wieku trzydziestu lat oraz dysponowała mniej więcej jedną trzecią

ilości sprzętu, jaką powinna dysponować. Od chwili ogłoszenia mobilizacji przechodziła nieustannie szkolenia, a starsi wiekiem i doświadczeniem żołnierze przekazywali swą wiedzę nowo powołanym pod broń rekrutom. Była to dziwna zbieranina ludzka. Rekruci prezentowali dobrą formę fizyczną, ale obce im były formy życia w wojsku. Starsi dobrze pamiętali swoją służbę, lecz byli rozmiękczeni przez wiek. Pierwszych przepełniał młodzieńczy zapał i choć bali się czyhających na polu bitwy niebezpieczeństw, bez wahania szli z pomocą Ojczyźnie. Starsi ludzie posiadali już rodziny, mieli więc dużo więcej do stracenia.

Docierały do nich informacje z wykładów, jakie prowadził dla ich kadry doświadczony oficer frontowy: w Niemczech nie będzie łatwo. Podoficer z sekcji łączności otrzymał wiadomość, która zelektryzowała całą dywizję: w Moskwie dołączą doświadczeni w boju oficerowie i podoficerowie.

Rezerwiści zdawali sobie sprawę z tego, że ludzie ci przekażą im wiedzę, której zdobycie w warunkach frontowych kosztowałoby bardzo drogo. Wiedzieli również, że pojawienie się weteranów w ich jednostce będzie oznaczało, iż 77. Dywizja Piechoty Zmotoryzowanej w ciągu tygodnia wkroczy do walki.

W obozie panowała cicha, spokojna noc. Ludzie stali na zewnątrz nie opalanych baraków i spoglądali na porośnięte sosnami stoki Uralu.

Moskwa, RSFRR – Dlaczego nie atakujemy? – dopytywał się sekretarz generalny.

–General Aleksiejew poinformował mnie, iż przygotowuje frontalny atak. Oświadczył, że potrzebuje na to trochę czasu -odparł Bucharin.

–Przekażcie generałowi Aleksiejewowi, że chcemy czynów, nie słów! – wtrącił minister obrony.

–Towarzysze – odezwał się Siergietow. – Z własnej służby wojskowej pamiętam, że jeśli planuje się atak, należy przede wszystkim zgromadzić i zorganizować ludzi i sprzęt.

Jeśli każemy Aleksiejewowi iść do szturm, gdy nie będzie do tego przygotowany, doprowadzi to jedynie do klęski naszej armii. General potrzebuje czasu, by zapiąć wszystko na ostatni guzik.

–Taki z was ekspert od spraw obrony? – spytał minister obrony. – Szkoda, że nie jesteście równie mądrzy w swojej dziedzinie. Wtedy nie byłoby tych wszystkich kłopotów.

–Towarzyszu ministrze, mówiłem wam, że wasze przewidywania zużycia paliwa na froncie są zbyt optymistyczne.

Okazuje się, że miałem rację. Powiedzieliście: ^Dajcie nam olej, a zostanie użyty właściwie". Powiedzieliście tak, czy nie?

Obiecaliście dwutygodniową kampanię; w najgorszym przypadku czterotygodniową, tak? – Siergietow rozejrzał się po zgromadzonych przy stole. – To wasze ekspertyzy, nie moje, sprowadziły na nas nieszczęście!

–Nie przegramy. Pokonamy Zachód!

–Towarzysze – do sali wszedł Kosow. – Przepraszam za spóźnienie. Otrzymałem właśnie wiadomość, że nasze wojsko na Islandii skapitulowało. Śmierć poniosło trzydzieści procent naszych ludzi, a sytuacja taktyczna była już beznadziejna.

–Aresztować natychmiast dowódcę – krzyknął minister obrony. – Aresztować całą rodzinę zdrajcy.

–Nasz towarzysz minister obrony lepiej aresztuje własnych ludzi niż walczy z wrogiem – zauważył Siergietow.

–Ty szczyłu! – ryknął błąd z wściekłości minister obrony.

–Nie twierdę, że przegraliśmy, ale że wciąż nie potrafimy odnieść zwycięstwa. Nadszedł chyba czas, by poszukać politycznych sposobów zakończenia tej wojny.

–Możemy przyjąć warunki niemieckie – odezwał się z nadzieją w głosie minister spraw

zagranicznych.

–Z przykrością muszę was poinformować, że taka możliwość nie istnieje – odparł Kosow. – Mamy wszystkie powody przypuszczać że było to wyłącznie mydlenie oczu; taka maskirowka w niemieckim wydaniu.

–Ależ nie dalej jak przedwczoraj wasz zastępca powiedział... 26 – Czerwony sztorm t. II

–I jemu i wam nie raz tłumaczyłem, że wężę podstęp.

Dzisiaj we francuskiej gazecie "Le Monde" ukazał się artykuł informujący, że Niemcy odrzucili radziecką ofertę dyplomatycznego zakończenia wojny. Podano dokładny czas i miejsce spotkania, na którym ta decyzja zapadła.

Zatem wiadomość musi pochodzić z oficjalnych źródeł niemieckich i wyraźnie z niej wynika, że NATO przejrzało naszą strategię. Przesłali nam wiadomość, towarzysze. Są przygotowani i będą walczyć aż do szczęśliwego dla nich zakończenia wojny.

–Marszałku Bucharin, jak oceniacie siły Paktu Atlantyckiego? – spytał sekretarz generalny.

–Ponieśli ogromne straty w ludziach i w sprzęcie. Ich wojska są wyczerpane. Gdyby było inaczej, dawno by już rozpoczęli kontrofensywę.

–A zatem jedno potężne uderzenie – powiedział minister obrony. Spojrzał w górę stołu, jakby szukał tam poparcia. – Jedno potężne uderzenie. Może Aleksiejew faktycznie ma rację... Musimy przygotować jeden zmasowany atak i przełamać ich linie.

Podwieszacie się teraz pod innych – pomyślał Siergietow.

–Problem ten rozważy Rada Obrony we własnym gronie – oznajmił sekretarz generalny.

–Nie! – sprzeciwił się Siergietow. – Problem polityczny tej wagi powinno rozwiązać całe Politbiuro. O losie Ojczyzny nie może decydować tylko pięć osób.

–Wam nie przysługuje prawo weta – odezwał się Kosow, wprawiając tym Siergietowa w zdumienie. – Michaile Edwardowiczu, przy tym stole nie macie prawa głosu.

–A może powinien – wtrącił Bromkowskij.

–Nie pora teraz rozważać tę kwestię – oświadczył sekretarz generalny.

Siergietow baczenie rozejrzał się po twarzach zgromadzonych. Nikt nie odważył się zabrać głosu. Minister naruszył wprawdzie równowagę sił w Politbiurze, ale dopóki nie będzie całkiem jasne, która frakcja weźmie górę, obowiązywały dotychczasowe reguły. Zebranie przesunięto na dalszy

termin. Wszyscy, z wyjątkiem pięciu osób tworzących Radę Obrony, opuścili salę. Bucharin został w środku.

Kandydat na członka szedł na końcu grupy, wypatrując uważnie ewentualnych sprzymierzeńców. Napotkał wzrok kilku osób. Wszystkie jednak natychmiast odwróciły głowy.

–Michaile Edwardowiczu? – to był minister rolnictwa.

–Ile paliwa dostanę na dystrybucję żywności?

–A ile będzie tej żywności? – spytał Siergietow.

Ile może jej być? – dodał w duchu.

–Więcej niż się wam wydaje. Ostatnio w Republice Rosyjskiej potroiliśmy liczbę prywatnych działek uprawnych.

–Co takiego?

–Właśnie. Starsi ludzie w gospodarstwach rolnych produkują obecnie bardzo dużo żywności. W każdym razie tyle, że starczy na bieżące potrzeby. Problem stanowi jedynie dystrybucja i transport.

–Nikt mi o tym nie mówił.

Czy to pomyślna wiadomość? – zastanawiał się Siergietow.

–Sami wiecie najlepiej, że nie raz i nie dwa postulowałem takie rozwiązanie. No tak, ale w czerwcu was tu nie było. Od lat twierdziłem, iż takie posunięcie rozwiąże nam wiele problemów. No i ostatecznie zastosowano się do moich rad. Żywności jest w bród, Michaile Edwardowiczu... Żebyśmy tylko mieli ludzi, którzy ją zjedzą... Potrzebne mi paliwo, by porozwozić produkty do miast. Dostanę paliwo?

–Zobaczę co da się zrobić, Filipie Moisiejewiczu. – *. Dobrze powiedzieliście im, towarzyszu. Myślę, że niektórzy was posłuchają.

–Dziękuję wam.

–A jak wasz syn?

–Z tego, co ostatnio słyszałem, miewa się dobrze.

–Wstyd mi, że mój nie służy... – minister rolnictwa urwał. – Musimy... no cóż, nie pora teraz na to. Dostarczcie mi, proszę, jak najszybciej paliwo.

Nawrócony?Prowokator?

Stendal, Niemiecka Republika Demokratyczna Aleksiejew trzymał w dłoni blankiet depeszy:

NATYCHMIAST STAWCIE SIĘ W

MOSKWIE NA

KONSULTACJE.

Czy to wyrok śmierci?

General wezwał swego zastępcę.

–Nic nowego. Mamy pewne kłopoty pod Hamburgiem, a w Hanowerze trwają chyba przygotowania do ataku. Ale nie jest to nic takiego, z czym byśmy sobie nie poradzili.

–Muszę jechać do Moskwy – Aleksiejew dostrzegł w oku podwładnego błysk zaniepokojenia. – Nie martwcie się, Anatoliju. Zbyt krótko sprawuję dowództwo, by mnie rozstrzelano. Jeśli chcemy dywizje C przekształcić w prawdziwe wojsko, musimy systematycznie je zasilać doświadczonym żołnierzem. Wrócę najpóźniej za dwadzieścia cztery godziny. Przekażcie majorowi Siergietowowi, żeby przygotował teczkę z mapami i za dziesięć minut czekał na mnie na zewnątrz.

Gdy siedzieli już na tylnym siedzeniu samochodu, generał z ironicznym uśmiechem wręczył adiutantowi depeszę.

–Co to ma znaczyć?

–Przekonamy się za kilka godzin, Wania.

Moskwa, RSFRR – Oni naprawdę powariowali!

–Powinniście staranniej dobrać słowa, Borysie Georgijewiczu – zauważył Siergietow. – Co tym razem zmalowało NATO?

Zaskoczony szef KGB potrząsnął głową.

–Mówię o Radzie Obrony, głupku.

–Głupek nie ma prawa głosu w Politbiurze. Samiście to podkreślili – Siergietow od dawna żył nadzieją, że Politbiuro zaliczy go w końcu do swego grona.

–Michaile Edwardowiczu. Robię wszystko, co w mojej mocy, by was ochraniać. Więc zachowujcie się, proszę, tak bym nie zaczął tego żałować. Gdybyście zmusili Politbiuro do jawnego głosowania, przypadlibyście z kretesem i zapewne CZERWONY SZTORM • 405 nie zniszczyli samego siebie. A tak... – Kosow zawiesił głos i wyszczerzył zęby -...a tak proszono mnie, bym porozmawiał z wami o decyzji, jaką podjęli. Liczą na wasze poparcie.

Pogłupieli do końca – ciągnął Kosow. – Po pierwsze, minister obrony chce użyć niewielkich taktycznych głowic nuklearnych. Po drugie, liczy na to, że weźmiecie jego stronę. Proponują nową maskirowkę. Chcą zrzucić na NRD niewielką bombę taktyczną, oskarżyć NATO, że pogwałciło umowę o niestosowaniu broni jądrowej i odpowiedzieć tym samym. Co gorsza, wezwali do Moskwy Aleksiejewa.

General pewnie jest już w drodze.

–Politbiuro nigdy się na to nie zgodzi. Nie wszyscy zwariowaliśmy, prawda? Powiedzieliście im, jaka będzie reakcja Paktu Atlantyckiego?

–Naturalnie. Powiedziałem, że w pierwszej chwili NATO wcale nie zareaguje. Będzie zbyt zaskoczone.

–Jeszcze ich zachęcaliście?

–Pamiętajcie z łaski swojej, że opinia Łarionowa bardziej się dla nich liczy niż moja.

Towarzyszu Kosow – pomyślał Siergietow. – Bardziej dbacie o własną przyszłość niż o dobro Rodiny. Aby pognać swoich wrogów, bez wahania pchnęlibyście cały kraj w otchłań.

–Głosowanie w Politburze... -...poparłoby decyzję Rady Obrony – wpadł mu w słowo dyrektor KGB. – Policzcie. Bromkowskij zapewne się sprzeciwi. Tak samo minister rolnictwa; choć wątpię.

Chcę jedynie, byście poparli ich projekt. To zredukuje opozycję tylko do starego Pietii. Pietia to uczciwy człowiek, ale nikt już nie liczy się z jego zdaniem.

–Nigdy tego nie zrobię!

–Ależ musicie. I Aleksiejew też musi wyrazić zgodę – Kosow wstał i wyjrzał przez okno. – Nie ma obawy, broń jądrowa nie zostanie użyta. Osobiście o to zadbałem.

–Co macie na myśli?

Z pewnością wiecie, kto w tym kraju sprawuje nad nią kontrolę?

–Pewnie. Rakietowe siły strategiczne, artyleria Armii...

–Wybaczcie, ale źle sformułowałem pytanie. Tak, oni mają rakiety. Ale głowice bojowe są pod opieką moich ludzi. A Josef Łarionow nie ma nic wspólnego z tą agendą KGB. Dlatego powinniście trzymać moją stronę.

–Doskonale. Należy zatem tylko ostrzec Aleksiejewa.

–Musimy postępować bardzo ostrożnie. Chyba nikt się nie zorientował, że wasz syn

kilkakrotnie pojawił się w Moskwie. Jeśli jednak zobaczą Was w towarzystwie generała Aleksiejewa, zanim ten spotka się z nimi...

–Tak, rozumiem – Siergietow zastanawiał się chwilę.

–Może Witalij wyjedzie po niego na lotnisko i przekaże wiadomość...

–Wyśmienicie! Jeszcze zrobię z was dobrego czekistę!

Wezwano kierowcę ministra, wręczono mu list i kazano natychmiast ministerialnym zilem udać się na lotnisko.

Najpierw zablokował mu drogę konwój wojskowy złożony z transporterów opancerzonych. Czterdzieści minut później szofer spostrzegł, że gwałtownie spadło ciśnienie paliwa. Witalij zdziwił się, gdyż poprzedniego dnia zatankował samochód do pełna; komu jak komu, ale członkom Politbiura nie brakowało niczego. Niebawem ciśnienie spadło do zera, a samochód stanął. Witalij przepchnął go na pobocze. Od lotniska dzieliło go jeszcze siedem kilometrów.

Kierowca podniósł maskę, sprawdził pasek klinowy i przewody elektryczne. Wszystko było w porządku. Usiadł ponownie za kierownicą i spróbował uruchomić silnik. Bez skutku. W chwilę później pojął, że nastąpiła awaria alternatora i wyładował się akumulator. Próbował zatelefonować z zainstalowanego w aucie aparatu. Urządzenie nie funkcjonowało – akumulator był kompletnie wyczerpany.

Na Aleksiejewa czekał już samochód przysłany przez dowódcę Moskiewskiego Okręgu Wojskowego. Pojazd podjechał do samego samolotu. Generał ze swym adiutantem wsiedli do limuzyny i ruszyli w stronę Kremla. Aleksiejew z drżeniem serca wyczekiwał chwili wyjścia z samolotu.

Spodziewał się, że zamiast eleganckiego wozu czekać tam będzie ekipa KGB. Aresztowanie przyjąłby niemal z ulgą.

W drodze na Kreml generał i jego adiutant nie zamienili ani słowa – wszystko wyjaśnili sobie w samolocie, gdzie hałas silników wykluczał jakikolwiek podsłuch. Generał zwrócił uwagę na to, że miasto jest jak wymarłe. Brakowało nawet ciężarówek na jezdniach – wszystkie poszły na front. Nawet kolejki przed sklepami spożywczymi były dużo krótsze niż zazwyczaj.

Kraj, który prowadzi wojnę – pomyślał Aleksiejew.

Wydawało mu się, że jazda zajmie więcej czasu. Jednak ani się spostrzegł, a samochód już mijał bramy Kremla.

Pełniący wartę u wejścia do budynku Rady Ministrów podoficer zsalutował służbiście. Generał oddał honory i ruszył po schodach do drzwi, w których czekał kolejny podoficer. Aleksiejew, wyprostowany, z nieruchomą twarzą, szedł sprężystym krokiem żołnierza. Jego

wypolerowane buty lśniły, a w ich czubkach odbijały się padające z sufitu światła. Generał minął windę i schodami ruszył do sali konferencyjnej. Spostrzegł, że po majowym zamachu bombowym budynek został już odnowiony.

U szczytu schodów na generała czekał kapitan z Gwardii Tamańskiej, reprezentacyjnej jednostki stacjonującej w Alabino pod Moskwą. Oficer odeskortał gościa do podwójnych drzwi prowadzących do sali konferencyjnej. Aleksiejew kazał adiutantowi poczekać na zewnątrz, sam zaś ściskając pod pachą czapkę, wszedł do środka.

–Towarzysze, generał pułkownik Paweł Leonidowicz Aleksiejew melduje się na rozkaz.

–Witajcie w Moskwie, towarzyszu generale – odparł minister obrony. – Jak sprawy w Niemczech?

–Trwa nieustanna walka. Obie strony są wyczerpane.

Aktualna sytuacja taktyczna jest patowa. Dysponujemy większą ilością żołnierzy i sprzętu, ale brak nam paliwa.

–Możecie wygrać? – spytał sekretarz generalny.

–Tak, towarzyszu sekretarzu. Potrzebuję kilku dni na organizację. Jeśli dokonam pewnych niezbędnych

przetrasowań w nadchodzących na front jednostkach rezerwowych, prawdopodobnie uda mi się sforsować linie NATO.

–Prawdopodobnie? Nie na pewno?

–Na wojnie nigdy nie ma pewności – odparł po prostu Aleksiejew.

–Przekonaliśmy się o tym – zauważył sucho minister spraw zagranicznych. – Dlaczego dotąd nie pokonaliśmy przeciwnika?

–Dlatego, towarzysze, że na samym początku nie uzyskaliśmy zaskoczenia strategicznego i taktycznego. Zaskoczenie takie jest najważniejszym elementem każdej wojny.

Gdybyśmy je uzyskali, z całą pewnością po dwóch lub trzech tygodniach osiągnęlibyśmy sukces.

–A czego potrzebujecie, żeby teraz wygrać wojnę?

–Towarzyszu ministrze obrony, potrzebuję poparcia ludu i Partii. No i trochę czasu.

–Nie odpowiedzieliście na pytanie – wtrącił Bucharin.

–Nie udzielono nam pozwolenia na użycie broni chemicznej. Mogła ona stanowić czynnik decydujący...

–Użycie broni tego typu pociągnęłoby za sobą zbyt duże konsekwencje – odparł minister spraw zagranicznych.

–A teraz? – spytał sekretarz generalny.

–Teraz jest już za późno. Tej broni należało użyć na samym początku do zniszczenia ich arsenałów. Obecnie te magazyny są prawie puste i niszczenie ich mija się z celem.

Natomiast na froncie zastosowanie broni chemicznej jest niemożliwe. Nowo przybyłe formacje C nie dysponują sprzętem, który pozwoliłby działać im w skażonym środowisku.

–Pytam więc ponownie – powtórzył minister obrony.

–Czego potrzebujecie, by wygrać tę wojnę?

–Aby dokonać decydującego przełomu, należy wybić w liniach ich obrony dziurę szeroką co najmniej na trzydzieści kilometrów i wdrzeć się dwadzieścia kilometrów w głąb terytorium wroga. Do tego celu niezbędnych mi jest dziesięć dywizji gotowych do natychmiastowego uderzenia oraz kilka dni, by wszystko zaaranżować.

–A co powiecie o taktycznej broni nuklearnej?

Aleksiejew zachował kamienną twarz. Czyście zwariowali, towarzyszu Sekretarzu Generalny? – pomyślał.

–Bardzo ryzykowne.

Na tym polega sztuka niedomówień – błysnęło mu w głowie.

–A gdybyśmy metodami politycznymi zdołali zapobiec rewanżowi NATO? – spytał minister obrony.

–Nie wiem, jak to jest możliwe.

I ty też nie wiesz – dodał w duchu generał.

–Gdyby jednak...?

–Niebywale zwiększyłoby to nasze szansę – Aleksiejew umilkł, zmrożony wyrazem twarzy zebranych.

Chcą użyć broni jądrowej... A jeśli NATO odpowie w taki sam sposób i zamieni moich żołnierzy w parę? Co wtedy? Czy skończy się wszystko na pojedynczej wymianie ciosów, czy

też nastąpi eskalacja wojny, która ogarnie już cały wschód i zachód? Jeśli powiem, że oszaleli, znajdą sobie innego generała.

–Cały problem leży w tym, towarzysze, by zachować nad tą bronią kontrolę.

–Wyjaśnijcie to bliżej, proszę.

Jeśli chciał przeżyć i jednocześnie zapobiec temu wariactwu... Aleksiejew rozważnie dobierał słowa, mieszając ze sobą prawdy, kłamstwa i własne domysły. Generał nie był człowiekiem obłudnym, ale przez ostatnie ponad dziesięć lat nauczył się dwulicowości.

–Towarzyszu Sekretarzu Generalny, arsenał jądrowy stanowi dla obu stron broń polityczną kontrolowaną przez politycznych przywódców. A to ogranicza jej przydatność na polu bitwy, gdyż decyzja o jej użyciu musi być wydana przez tych przywódców. Zanim zgoda taka nadejdzie, sytuacja taktyczna może ulec radykalnej zmianie i główce bojowe mogą okazać się już nieprzydatne. NATO, jak się wydaje, nie rozważało możliwości użycia taktycznych głowic nuklearnych. O broni, którą dysponuje Pakt Atlantycki, decydują bezpośrednio dowódcy frontowi, ale nie sądzę, by ich polityczni liderzy łatwo udzielili zezwolenia na użycie

tego środka. Z tego też względu przeciwko nam zastosują raczej nie broń taktyczną lecz strategiczną wycelowaną w strategiczne cele.

–Mówią co innego – zaproponował minister obrony.

–Zauważcie, proszę, że kiedy zdobyliśmy Alfeld i Ruhle, gdzie założyliśmy przyczółki, NATO mimo przedwojennych ostrzeżeń, nie pomyślało nawet o użyciu broni jądrowej. Chcę przez to powiedzieć, że w tym równaniu jest bardzo wiele niewiadomych. Na własnej skórze nauczyliśmy się, iż teoria i praktyka wojenna chodzą różnymi drogami.

–Popieracie zatem naszą decyzję o użyciu taktycznej broni nuklearnej? – spytał minister spraw zagranicznych.

Nie!

Jednak kłamstwo gładko przeszło mu przez gardło.

–Jeśli tylko jesteście pewni, że nie nastąpi kontruderzenie, popieram. Ale ostrzegam: NATO może odpowiedzieć w sposób, o jakim się wam nawet nie śniło.

Osobiście przewiduję, że odpowiedź nastąpi później niż się spodziewacie, ale będzie to riposta skierowana na cele strategiczne, nie taktyczne. Najprawdopodobniej uderzą w drogi, węzły kolejowe, lotniska i magazyny. Nasze czołgi mogą uciec. Tamte obiekty nie.

Pomyślcie o tym, towarzysze – dodał w duchu. – Rzeczy mogą bardzo łatwo wymknąć się wam z rąk.

Zawrzyjcie pokój, głupcy!

–Waszym zdaniem możemy bezkarnie użyć arsenału taktycznego, ale na razie to nasze, cele strategiczne? – spytał z nadzieją sekretarz generalny.

–Zasadniczo taka jest przedwojenna doktryna NATO.

Pomija ona fakt, że decyzja użycia broni jądrowej na zaprzyjaźnionym terytorium nie przychodzi łatwo. Towarzysze, ostrzegam, że zapobieżenie ripociście NATO nie będzie rzeczą prostą.

–Wy martwcie się o pole bitwy, towarzyszu generale – odparł lekceważąco minister obrony. – Sprawy polityczne to nasza domena.

Mam jeszcze jeden argument, który może ich powstrzymać – pomyślał Aleksiejew.

–Doskonale. W takim razie proszę przekazać mi bezpośrednią kontrolę nad tą bronią.

–Po co? – spytał sekretarz generalny. Żeby nie została użyta, tępaku!

–Ze względów praktycznych. Na polu bitwy cele ataku zmieniają się z minuty na minutę. Jeśli pragniemy przełamać linie Paktu Atlantyckiego bronią atomową, nie będę miał czasu za każdym razem czekać na wasze pozwolenie.

Aleksiejew ze zgrozą pojął, że nawet to nie odwiodło ich od pomysłu.

–Ile głowic potrzebujecie? – chciał wiedzieć minister obrony.

–To już zależy od miejsca, czasu i okoliczności.

Użyjemy słabej broni, atakować będziemy wyłącznie pojedyncze obiekty... w żadnym wypadku nie tereny- gęsto zaludnione... myślę, że potrzeba najwyżej trzydziestu głowic od pięciu do dziesięciu kiloton. Umieścimy je w raketach swobodnego lotu.

–Kiedy będziecie gotowi do ataku? – spytał marszałek Bucharin.

–Uzależniam to od tego, ile czasu zajmie mi rozlokowanie weteranów w nowych dywizjach. Jeśli ci rezerwiści mają przeżyć bitwę, muszą nimi kierować ludzie z jakimś doświadczeniem bojowym.

–To pierwszorzędny pomysł, towarzyszu generale – pochwalił minister obrony. – Nie zabieramy wam więcej czasu. Za dwa dni chciałbym zobaczyć szczegółowy plan operacji.

Pięciu członków Rady Obrony obserwowało, jak Aleksiejew salutuje, obraca się na piętach i

opuszcza salę.

Kosow popatrzył na marszałka Bucharina.

–I wyście chcieli tego człowieka usunąć?

–To pierwszy żołnierz z prawdziwego zdarzenia, jakiego widzę od lat – przyznał sekretarz generalny.

Aleksiejew dał majorowi Siergietowowi znak, by siedł za nim. W żołądku czuł zimny ciężar. Na miękkich nogach przebył marmurowe schody. Aleksiejew, który nie wierzył w Boga, był świadkiem, jak rozwierają się bramy piekieł.

–Majorze – powiedział obojętnym tonem, kiedy dotarli do służbowego auta. – Skoro już jesteście w Moskwie, myślę, że przed powrotem na front powinniście odwiedzić ojca.

–To bardzo uprzejmie z waszej strony, towarzyszu generale.

–Zasłużyliście sobie na to zawiązka, towarzyszu majorze. Ponadto i tak muszę zająć się kwestią zasobów naszego paliwa.

Szofer z czystym sumieniem mógł złożyć meldunek o podsłuchanej rozmowie.

–Chcą użyć broni jądrowej – wyszeptał Aleksiejew, kiedy minister zamknął za sobą drzwi.

–Wiem. Tego się obawiałem.

–Należy ich powstrzymać! To spowoduje katastrofę o trudnych do przewidzenia skutkach.

–Minister obrony twierdzi, że taktyczną broń nuklearną o ograniczonym zasięgu bardzo łatwo utrzymać pod kontrolą.

–Gada jak jeden z tych idiotów z NATO! Nie ma wyraźnej granicy między użyciem taktycznej a strategicznej broni jądrowej. Istnieje tylko bardzo cienka linia zrodzona w wyobraźni amatorów i akademików, którzy pełnią rolę doradców przywódców politycznych. Jedyną rzeczą, jaka oddzieli nas od atomowej zagłady... od której zależeć będzie nasze przetrwanie, to żelazna wola i miłosierdzie któregośkolwiek z przywódców NATO.

–I co im odpowiedzieliście? – spytał minister. Był ciekaw, czy Aleksiejew zachował na tyle zdrowego rozsądku, by dać właściwą odpowiedź.

–Aby ich powstrzymać, muszę żyć... Powiedziałem, że to wspaniały pomysł – generał usiadł. – Dodałem przy tym, że taktyczną kontrolę nad tą bronią muszę sprawować osobiście. Sądzę, że nie mają nic przeciwko temu. Sprawię, że broń ta nigdy nie zostanie użyta. Ale mam w sztabie człowieka, który może pokrzyżować moje plany.

–Zgadza się zatem, że należy powstrzymać Radę Obrony?

–Tak – generał spuścił wzrok, ale po chwili podniósł

głowę. – Tak czy siak... sam nie wiem. Realizacja ich planu może zapoczątkować proces, którego nikt już nie będzie w stanie zahamować. Jeśli nawet umrzemy, to umrzemy w dobrej sprawie.* – Ale jak ich powstrzymać?

–Kiedy spotyka się Politbiuro?

–Teraz już codziennie. Przeważnie o dziewiątej trzydzieści rano.

–Komu możemy ufać?

–Kosow jest z nami. Być może jeszcze kilku innych członków Politbiura. Ale trudno powiedzieć coś na pewno.

Wyśmienicie, jedynym naszym sprzymierzeńcem jest KGB! – pomyślał drwiąco generał.

–Potrzebuję trochę czasu.

–To może wam się przydać – Siergietow wręczył mu otrzymany od Kosowa wykaz. – Oto lista oficerów, których dostaniecie do dyspozycji, a którzy mają opinię podejrzanych politycznie.

Aleksiejew szybko przerzucił wzrokiem papier. Znalazł tam między innymi nazwiska trzech bardzo zdolnych dowódców batalionów i pułków. Nawet gdy moi ludzie przelewają krew za ojczyznę – pomyślał z goryczą – są cały czas politycznie niepewni.

–Zanim wrócę na front, mam przedstawić szczegółowy plan kampanii. Będę w kwaterze głównej Armii.

–Powodzenia, Pawle Leonidowiczu.

–I wam, Michaile Edwardowiczu.

Generał obserwował chwilę, jak ojciec i syn padli sobie w objęcia. Zastanawiał się, co by na to wszystko powiedział jego ojciec.

Do kogo mam się zwrócić o radę? – pomyślał z zadumą.

Keflavik, Islandia – Dobry wieczór. Jestem generał-major William Emerson. To pułkownik Lowe. Będzie naszym tłumaczem.

–Generał-major Andriejew. Znam angielski.

–Chce pan skapitulować? – spytał Emerson.

–Chcę przeprowadzić negocjacje – odparł Andriejew. – Żądam, by pańscy żołnierze natychmiast zaniechali oporu i złożyli broń.

–Jaki los ich czeka?

–Zostaną internowani. Ranni otrzymają odpowiednią pomoc lekarską. Wszystkich traktować będziemy zgodnie z międzynarodowymi konwencjami.

–Jakie mam gwarancje, że mówicie prawdę? – Żadnych.

Andriejew czuł, że Emerson nie kłamie. Czy mam jakiś wybór? – pomyślał.

–Proponuję całkowite wstrzymanie ognia... – popatrzył na zegarek...za piętnaście godzin.

–Zgoda.

Bruksela, Belgia – Kiedy? – spytał dowódca wojsk sprzymierzonych w Europie.

–Za trzy dni. Zaatakujemy czterema dywizjami.

Co zostało z tych czterech dywizji? – pomyślał dowódca.

Powstrzymaliśmy ich, zgoda. Ale z czym mamy rozpocząć kontrofensywę?

Byli już pewni swego. NATO, przystępując do wojny, miało jedynie przewagę technologii, która teraz była nawet bardziej widoczna. Cały rosyjski arsenał nowoczesnych czołgów i dział został zniszczony, a zbliżające się do linii frontu formacje dysponowały wyłącznie liczącym dobrych dwadzieścia lat złomem. Rosjanie jednak zachowali przewagę liczebną, toteż dowódca wojsk sprzymierzonych, planując jakiegokolwiek operacje, musiał zachowywać dużą ostrożność i rozwagę.

W powietrzu Pakt Atlantycki królował niepodzielnie, lecz samym lotnictwem nikt jeszcze wojny nie wygrał.

Niemcy usilnie nalegali na kontruderzenie. Po tamtej stronie znalazły się zbyt rozległe połacie ich kraju, zbyt wielu obywateli niemieckich cierpiało niewolę. Już teraz w kilku miejscach Bundeswehra napierała bardzo ostro. Ale należało

ją powstrzymać. Sama niemiecka armia była zbyt słaba, by rozpocząć ofensywę. Poniosła zbyt duże straty. Stanowiła przeciw główną siłę, która powstrzymała sowiecki pochód.

Kazań, RSFRR Najmłodzi nie mogli zasnąć z podniecenia. Starsi nie mogli zasnąć z niepokoju. Ponadto warunki nie sprzyjały snowi. Żołnierzy 77. Dywizji Piechoty Zmotoryzowanej wsadzono do wagonów osobowych i, choć każdy miał miejsce siedzące, stłoczeni zostali jak sardynki w puszcze.

Pociągi z wojskiem jechały z Szybkością stu kilometrów na godzinę. Tory kolejowe ułożone były według Wzoru rosyjskiego. Poszczególne odcinki Szyn zostały zespawane i dlatego zamiast znanego zachodnioeuropejskim podróżnym turkotu do uszu pasażerów dochodził jedynie głuchy, denerwujący łomot.

W pewnej chwili pociąg zaczął zwalniać. Kilku żołnierzy wyjrzało na zewnątrz. Byli w Kazaniu. Nieoczekiwana przerwa w podróży zaskoczyła oficerów. Wedle planów, pociąg miał zatrzymać się dopiero w Moskwie. Zagadka Szybko się wyjaśniła. Do dwudziestu wagonów wsiadali nowi ludzie.

–Uwaga! – rozległ się Czyjś donośny głos. – Wsiadają weterani!

Jakkolwiek nosili na sobie nowe mundury, buty mieli podniszczone. Nonszalanckie maniere wskazywały na weteranów. Do każdego wagonu weszło ich około dwudziestu. Bez ceregieli zajęli najlepsze miejsca. Ich poprzedni użytkownicy musieli resztę drogi stać. Między nowo przybyłymi znaleźli się również oficerowie. Ci natychmiast przyłączyli się do równych sobie Szarżą. Kadra oficerska 77. Dywizji zaczęła pobierać pierwsze nauki o taktyce NATO, metodach jej działania, a także dobrych i złych stronach organizacji Paktu Atlantyckiego. Za nauki te zapłacili własną krwią żołnierze, którzy nigdy już nie mieli wsiąść w Kazaniu do pociągu. Rekruci, ponieważ nie posmakowali jeszcze bitwy, obserwowali z podziwem ludzi potrafiących spać nawet w drodze na front.

Faslane Szkocja "Chicago" stał przy pirsie. Czekало go kolejne zadanie i trwał właśnie załadunek torped oraz rakiet. Połowa załogi udała się do miasta, gdzie w knajpach stawiała koleжки marynarzom z "Torbaya".

Wyczyny ich okrętu podwodnego na Morzu Barentsa były powszechnie znane. Z tego względu "Chicago" miał niebawem wrócić w tamte rejony jako eskorta grupy bojowej lotniskowców, które opuszczały właśnie Morze Norweskie, kierując się w stronę rosyjskich baz na Półwyspie Kolskim.

McCafferty siedział w swej kajucie i zastanawiał się, czemu ostatnia misja, zakończona taką tragedią, uznana została za niebawem sukces. Miał nadzieję, że nigdzie go już nie wyślą, ale wiedział, że niebawem wypłynie...

Moskwa, RSFRR – Dobre wieści, towarzyszu generale – w drzwiach biura, które zajmował Aleksiejew, pojawiła się głowa pułkownika. – Wasi ludzie połączą się z Siedemdziesiątą Siódmą w Kazaniu.

–Dziękuję wam.

Kiedy pułkownik zniknął, Aleksiejew znów pochylił się nad szkicami.

–To zadziwiające.

–Co takiego, Wania?

–Ludzie, których wybraliście do tej dywizji, ta cała papierkowa robota, rozkazy... oni już przez to przeszli!

–Zwykle przeniesienie służbowe. Dlaczego nie mają przejść przez to jeszcze raz? – spytał generał. – Politbiuro aprobuje taką procedurę.

–Ależ to jedyna grupa, która stamtąd wróciła.

–Ale też i byli najdalej.

Aleksiejew podniósł do oczu blankiet depeszy, którą właśnie napisał. Kapitan – nie, teraz już major – Arkadij Siemionowicz Sorokin z 76. Gwardyjskiej Dywizji Powietrznodesantowej otrzymał rozkaz stawienia się niezwłocznie

w Moskwie. Wolno mu było nawet przylecieć samolotem.

Aleksiejew żałował, że kapitan nie mógł zabrać ze sobą swoich ludzi, ale ci byli w miejscu, do którego nie sięgała władza radzieckiego generała.

–Tak zatem, Michaile Edwardowiczu, co zamierza generał Aleksiejew?

Siergietow wręczył mu kilka kartek z notatkami i Kosow przez kilka minut wertował je w milczeniu.

–Jeśli jego plan się powiedzie, dostanie od nas co najmniej Order Lenina.

Ten generał jest zbyt bystry – dodał w myślach. – Nie najlepiej mu to wróży.

–Do rozdawania orderów nam jeszcze daleko. Co z synchronizacją? Polegamy na was. Musicie to dobrze zaaranżować.

–Mam pułkownika, który specjalizuje się w takich rzeczach.

–W to nie wątpię.

–Musimy uczynić jeszcze jedno – dorzucił Kosow.

Przez kilka minut wyjaśniał w czym rzecz.

Kiedy wyszedł, Siergietow zmiął notatki, które dostał od Aleksiejewa i kazał je Witalijowi spalić.

Dyspozytora ruchu postawiło na nogi światelko alarmowe i ostry brzęczyk. Na torowisku na moście Elektrozawodskaja nastąpiła jakaś awaria.

–Poślijcie tam inspektora.

–Pół kilometra od mostu przechodzi teraz pociąg – ostrzegł pomocnik.

–Proszę więc go natychmiast zatrzymać.

Dyspozytor zamknął semafor, a jego zastępca sięgnął po radiotelefon.

–Pociąg numer jedenaście-dziewięćdziesiąt jeden, tu centralna rozdzielnia Dworca Kazańskiego. Mamy kłopoty na moście. Musicie natychmiast się zatrzymać.

–Widzę sygnał. Właśnie hamuję – odparł maszynista.

–Ale nie mogę przecież tak od razu. 27 – Czerwony sztorm t. II

Nie mógł. Jedenaście-dziewięćdziesiąt jeden był pociągiem towarowym liczącym sto lor kolejowych załadowanych transporterami opancerzonymi i kontenerami z amunicją. Kiedy maszynista włączył hamulce, w mętnym świetle przedświtu trysnęły spod kół snopy iskier. Pociąg jednak potrzebował kilkuset metrów by wyhamować bieg.

Prowadzący lokomotywę z uwagą wpatrywał się przed siebie. Zapewne pomyliły się im jakieś sygnały – pomyślał.

Ale nie! Po wschodniej stronie mostu poluzowała się szyna. – Na ten widok maszynista skulił się ze strachu i krzykiem ostrzegł załogę. Lokomotywa wyskoczyła z szyn, po czym gwałtownie się zatrzymała. Trzy dalsze parowozy oraz osiem lor również się wykołysało. Gdyby nie stalowa bariera mostu, stoczyłyby się do rzeki Jauza. W chwilę później pojawił się inspektor torów. W ręku trzymał radiotelefon i klął jak furman.

–Potrzebujemy dwóch dużych dźwigów do podnoszenia wagonów!

–Aż tak źle? – spytał dyspozytor ruchu.

–Nie tak jak w sierpniu. Zajmie nam to ze dwanaście godzin. Może szesnaście.

–A ogólna sytuacja?

–Most zablokowany.

–Ranni?

–Chyba nie. Pociąg jechał wolno.

–Ekipa przybędzie za dziesięć minut.

Dyspozytor popatrzył na tablicę z wypisanymi numerami składów.

–Cholera jasna, co zrobić z resztą?

–Nie możemy ich rozdzielać. Cała dywizja jedzie jako jeden pociąg. Należy skierować je okrężną drogą na północ.

Na południe nie możemy. Most Nowodaniłowski jest już od paru godzin zajęty.

–Poślemy je na Dworzec Kurski. Zadzwońię do dyspozytorni Rzewskaja i sprawdzę, czy mogą tamtędy jechać.

Pociągi przybyły o wpół do ósmej rano. Przetaczano je po kolei na bocznicę Dworca Kurskiego. Wielu żołnierzy było w Moskwie po raz pierwszy, ale tylko ci, których pociągi stały na skrajnych bocznicach, mogli przez okna zobaczyć coś więcej niż tylko inne wagony, w których stłoczeni byli pozostali ich koledzy.

–Rozmyślna próba sabotażu wymierzonego w kolej państwową – oświadczył pułkownik KGB.

–Po prostu poluzowała się szyna, towarzyszu – odparł dyspozytor dworca w Kazaniu. – Ale słusznie postępujecie, zachowując czujność.

–Poluzowana szyna? – warknął pułkownik. Był święcie przekonany o swojej racji. – Sądzę, że traktujecie ten wypadek nie dość serio.

Słowa te zmroziły dyspozytora.

–Na mnie też czekają obowiązki. W tej chwili muszę uprzątnąć torowisko na tym przeklętym moście i ponownie zorganizować ruch kolejowy. Na Kurskim czeka złożona z siedmiu pociągów jednostka i jeśli nie zdołam jakoś wysłać jej na północ...

–Z waszej mapy wynika, że cały ruch na północnej obwodnicy Moskwy przechodzi tylko przez jedną zwrotnicę.

–Owszem, ale to już należy do obowiązków dyspozytorni Rzewskaja.

–Nie przyszło wam do głowy, że sabotażyści pracują trochę inaczej niż wy. Ten sam człowiek może operować jeszcze w innym dystrykcie. Czy ktoś sprawdzał tamtą zwrotnicę?

–Nie wiem.

–Dobrze, sprawdzimy to; nie, wyślę tam swoich ludzi, zanim pracujące na kolei osły nie zdążą zniszczyć jeszcze czegoś.

–Ależ mój harmonogram...

Choć dyspozytor był dumnym człowiekiem, wiedział, że nie należy przeciągać struny.

–Witajcie w Moskwie – odezwał się serdecznie Aleksiejew.

Major Arkadij Siemionowicz Sorokin, jak większość spadochroniarzy, był niskiego wzrostu. Przystojny, młody człowiek z jasnobrązowymi włosami. W niebieskich oczach płonął mu ogień, którego przyczynę Aleksiejew lepiej chyba rozumiał niż sam Sorokin. Podczas ataku na bazę lotniczą w Keflaviku major został postrzelony w nogi i teraz jeszcze lekko utykał. Na jego piersi widniała wstęga Orderu Czerwonego Sztandaru, który otrzymał za brawurową szarżę na stanowisko nieprzyjaciela. Sorokin, jak większość rannych z pierwszych dni wojny, odesłany został na leczenie do kraju. Obecnie, skoro jego macierzysta dywizja została wzięta na Islandii do niewoli, oczekiwał na nowy przydział.

–Czym mogę wam służyć, towarzyszu generale?

–Potrzebuję nowego adiutanta. Chciałbym, aby to był oficer z doświadczeniem bojowym. Co ważniejsze, potrzebuję was, Arkadiju Siemionowiczu, do szczególnie delikatnej misji. Ale zanim do tego przejdziemy, chciałbym coś wyjaśnić. Siadajcie, proszę. Jak wasza noga?

–Lekarze radzili mi, bym przez najbliższy tydzień jeszcze nie biegał. Mieli rację. Wczoraj spróbowałem pokonać swój zwykły dystans dziesięciu kilometrów i po dwóch miałem dosyć. – Nie uśmiechnął się.

Aleksiejew podejrzewał, że ten chłopak od maja w ogóle się nie śmiał. Generał na wstępie wyjawiał mu całą prawdę.

Pięć minut później dłoń Sorokina zaciskała się i rozluźniała na skórzanym obiciu fotela, muskając od czasu do czasu kaburę z pistoletem.

–Majorze, istotą żołnierza jest dyscyplina – kończył Aleksiejew. – Sprowadziłem was tu nie bez powodu, ale muszę być pewien, że dokładnie wypełnicie otrzymane rozkazy. Zrozumiem, jeśli odmówicie współpracy.

Twarz Sorokina pozostała obojętna. Tylko palce przestały zaciskać się na poręczy fotela.

–Tak, towarzyszu generale. I dziękuję z całego serca za to, żeście mnie tu sprowadzili. Postąpię dokładnie wedle waszych rozkazów.

–Chodźmy zatem. Czeka nas huk roboty.

Samochód generała już czekał. Aleksiejew i Sorokin dotarli do wewnętrznej obwodnicy miasta prowadzącej wokół centrum Moskwy. Poszczególne odcinki arterii co parę kilometrów zmieniały nazwę. Minęli Czkałowa, potem Gwiezdny Teatr, aż dotarli na Dworzec Kurski.

Dowódca 77. Dywizji Piechoty Zmotoryzowanej drzemał.

Przysłano mu nowego zastępcę, generała brygady, który zastąpił sędziwego pułkownika.

Przez dziesięć godzin rozprawiali o taktyce NATO, a następnie obaj oficerowie postanowili wykorzystać nieoczekiwaną przerwę w podróży i trochę pospać.

–Co tu się, do cholery, dzieje?

Dowódca Siedemdziesiątej Siódmej otworzył oczy i ujrzał pochylonego nad sobą czterogwiazdkowego generała. Niczym kadet zerwał się na równe nogi i stanął na baczność.

–Dzień dobry, towarzyszu generale!

–Dzień dobry, dzień dobry – Aleksiejew prawie krzyczał. – Co jest, do diabła? Dywizja Armii Radzieckiej wysypia się gdzieś na cholernej bocznicy kolejowej w czasie, gdy w Niemczech giną ludzie!

–My... pociągi stoją. Jakieś kłopoty z szynami.

–Kłopoty z szynami, powiadacie? Macie przecież transportery, prawda?

–Pociąg ma pojechać na Dworzec Kijowski. Tam doczepią lokomotywy, które zabiorą nas do Polski.

–Załatwię wam ten transport – niczym kapryśnemu dziecku tłumaczył generał Aleksiejew. – Nie mamy czasu na to, by żołnierze siedzieli beczynn timer na dupach. Pociągi nie mogą jechać, ale wy możecie! Stoczyć transportery z platform. Dostaniemy się na Dworzec Kijowski przez Moskwę. Przetrzyjcie oczy i ruszcie dywizję. W przeciwnym razie znajdę na wasze miejsce kogoś innego.

Aleksiejewa zawsze zdumiewał fakt, ile może zdziałać krzyk. Obserwował, jak dowódca dywizji krzyczy na dowódców pułkowych, a ci z kolei na dowódców batalionów. Po dziesięciu minutach krzyki doszły do poziomu

drużyn. Minęło kolejnych dziesięć i już zdjęto zabezpieczające łańcuchy z kół wozów bojowych piechoty BTR-60 i pierwsza maszyna opuściła tor kolejowy. Odjechała na rozciągający się przed dworcem plac Korskiego. Piechota zajmowała miejsca w transporterach. Żołnierze przybrani w polowe mundury i uzbrojeni po zęby wyglądali bardzo groźnie.

–Dotarł już do was nowy oficer łączności? – zapytał Aleksiejew. – ^Tak jest. Wasi ludzie wymienili prawie cały mój poprzedni personel – skinął głową dowódca dywizji.

–To bardzo dobrze. Drogo nas kosztowała nauka, jak strzec łączności na froncie. Wasz nowy sztab to bardzo sprawni oficerowie. A jak nowi żołnierze?

–W każdym pułku jest jedna kompania weteranów.

Pozostałych frontowców rozproszyliśmy po całej dywizji.

Dowódca bardzo był zadowolony z odkomenderowanych do niego oficerów, którzy zastąpili dawnych, niezbyt mile przez generała widzianych. Aleksiejew najwyraźniej podesłał mu dobrych ludzi.

–Doskonale. Uformujcie dywizję w kolumny pułkowe.

Pokażemy coś ludziom, towarzyszu. Pokażemy, jak wygląda dywizja Armii Radzieckiej. Tego właśnie mieszkańcom Moskwy potrzeba.

–Jak się przedostaniemy przez miasto?

–Wyznaczyłem kilku żołnierzy KGB z ochrony pogranicza do kierowania ruchem. Trzymajcie ludzi krótko.

Nie chcę, by któryś się zgubił.

Podbiegł major.

–Towarzyszu generale, za dwadzieścia minut będziemy gotowi do wymarszu.

–Za piętnaście – odparł generał.

–Bardzo dobrze – zauważył Aleksiejew. – Generale, chwilowo będę wam towarzyszył. Chcę zobaczyć, jak wasi ludzie potrafią operować sprzętem.

Michaił Siergietow, zgodnie ze swoim zwyczajem, pojawił się na posiedzeniu Politbiura nieco wcześniej.

Kremla pilnowała jak zwykle kompania piechoty z dywizji

Gwardii Tamańskiej. Żołnierze wchodzący w skład tej reprezentacyjnej jednostki posiadali niewielką praktykę bojową. Pozbawieni klów pretorianie, jak wiele podobnych przeznaczonych do parady formacji, wymusztrowani i w galowych mundurach, stanowili wzór żołnierza. Ale w Alabino, dywizja – jak każda inna – posiadała komplet czołgów i dział. Prawdziwymi strażnikami Kremla byli żołnierze ochrony pogranicza KGB oraz stacjonująca pod Moskwą dywizja podległa ministerstwu spraw wewnętrznych. Stanowiło to typowy radziecki system, w którym obok siebie funkcjonowały trzy różne formacje podległe trzem odrębnym ministerstwom. Dywizja Gwardii Tamańskiej posiadała wyśmienite uzbrojenie, lecz niewielkie doświadczenie bojowe. Jednostki KGB były najlepiej wyszkolone, ale dysponowały tylko lekkim uzbrojeniem. Wojsko ministerstwa spraw wewnętrznych natomiast nie miało dostępu do ciężkiej broni i pomyślane było głównie jako paramilitarna policja.

W jego skład jednak wchodziłi Tatarzy znani z okrucieństwa i patologicznej wręcz nienawiści do Rosjan. Stosunki między tymi trzema formacjami były bańdziej niż skomplikowane.

–Michaile Edwardowiczu?

–Ach, witam was, Filipie Moisiejewiczu – Siergietow przystanął na widok ministra rolnictwa.

–Bardzo się niepokoję – powiedział cicho mężczyzna.

–Czym?

–Obawiam się, że oni... Rada Obrony... chcą użyć broni jądrowej.

–Aż tak zdesperowani chyba nie są.

Jeśli jesteście prowokatorem, towarzyszu, sami usłyszeliście moje słowa – pomyślał Siergietow. – Chciałbym wiedzieć, co naprawdę myślicie.

Otwarta, słowiańska twarz ministra rolnictwa nie zmieniła wyrazu.

–Mam nadzieję, że się nie mylicie. Nie po to zapewniłem krajowi żywność, by ujrzeć, jak to wszystko wylatuje w powietrze. • Sojusznik – powiedział sobie w duchu Siergietow.

–A jeśli dojdzie do głosowania, co wtedy?

–Nie wiem, Misza. Zbyt wielu z nas daje się porwać wypadkom.

–Sprzeciwiacie się temu szaleństwu?

–Tak. Wkrótce mam mieć wnuka. Chcę, by normalnie żył. Za to jestem gotów zapłacić nawet głową.

Wybaczcie mi towarzyszu. Wybaczcie wszystkie moje podejrzenia.

–Michaił Edwardowicz! Jak zwykle ranny ptaszek! – Kosow przybył w towarzystwie ministra obrony.

–Rozmawiamy właśnie z Filipem o przydziałach paliwa dla rolnictwa.

–Lepiej myślcie o moich czołgach! Żywność może poczekać – minister obrony minął ich szybko i wszedł do sali konferencyjnej. Siergietow wymienił ze swym krajanem spojrzenia.

Zebranie rozpoczęło się z dziesięciominutowym opóźnieniem. Zagaił sekretarz generalny, po czym oddał głos ministrowi obrony.

–Musimy wykonać w Niemczech rozstrzygający ruch.

–Obiecujecie nam to od tygodni – przerwał mu Bromkowskij.

–Tym razem już nieodwołalnie. Za godzinę pojawi się tu generał Aleksiejew i przedstawi swój plan. Chwilowo przedyskutujemy kwestię użycia taktycznej broni jądrowej oraz zastanowimy się nad sposobami, jak zapobiec ripociście Paktu Atlantycznego.

Twarz Siergietowa była jedną z wielu nieruchomych twarzy zgromadzonych przy stole ludzi. Naliczył cztery, na których malowała się niekłamana zgroza. Dyskusja, jaka nastąpiła, była bardzo gwałtowna.

Aleksiejew przejechał już w towarzystwie dowódcy dywizji kilka kilometrów. Minęli ambasadę indyjską i gmach Ministerstwa Sprawiedliwości. Tę ostatnią budowlę generał obrzucił ironicznym spojrzeniem. Że akurat dziś muszę przejeżdżać obok tego miejsca – pomyślał. Ośmiokołowy transporter zaopatrzony był w centralkę radiową. Sześciu rekrutujących się spośród weteranów oficerów łączności

udostępniło dowódcy pasmo radiowe, by ten mógł osobiście dyrygować przejazdem swej jednostki przez miasto.

Kolumna sunęła powoli. Wozy bojowe przystosowane były wprawdzie do rozwijania dużych prędkości, ale potężne czołgi już przy szybkości dwudziestu kilometrów na godzinę zniszczyłyby kompletnie nawierzchnię ulic.

Maszyny jechały więc statecznie, przykuwając uwagę niewielkich grupek widzów gromadzących się na chodnikach.

Moskwianie obserwowali przejazd żołnierzy i pozdrawiali ich machaniem rąk.

Pochód kolumny w niewielkim stopniu tylko przypominał paradne defilady wdrożonych do musztry gwardzistów z dywizji Gwardii Tamańskiej. Ale to akurat budziło w widzach największy entuzjazm. Mieli przed sobą prawdziwych żołnierzy jadących na front. Rozstawieni wzdłuż trasy oficerowie KGB "poradzili" funkcjonariuszom moskiewskiej milicji, by dywizję przepuścili przez miasto. Kiedy wytłumaczyli przyczynę przemarszu i opowiedzieli o awarii na moście kolejowym, milicjanci z entuzjazmem torowali drogę żołnierzom Ojczyzny.

Gdy kolumna dotarła do Placu Nogina, Aleksiejew wyprostował się we włązie kanoniera.

–Wspaniale wyszkoliliście żołnierzy – pochwalił dowódcę dywizji. – Teraz opuszczę was i przyjrzę się pozostałym waszym jednostkom. Zobaczymy się w Stendal.

Aleksiejew nie pozwolił kierowcy zatrzymać maszyny.

Zeskoczył z transportera z lekkością młodego kaprała, stanął na krawężniku i przepuszczał pojazdy, salutując prowadzącym z dumą swe wozy oficerom. Po pięciu minutach pojawił się kolejny pułk. Generał czekał na drugi batalion wchodzący w skład tej jednostki. Jadący w transporterze dowódca major Sorokin wychylił się z włązu bojowego, podał generałowi dłoń i wciągnął go na górę.

–Starsi ludzie mogą zrobić sobie krzywdę, wsiadając w ten sposób na transportery – ostrzegł major.

–No no, młody byczku! – roześmiał się Aleksiejew.

General był dumny ze swej sprawności fizycznej. Popatrzył

na dowódcę batalionu, człowieka, który niedawno przybył z frontu. – Jesteście gotowi?

–Tak jest, towarzyszu generale.

–Pamiętajcie o rozkazach i trzymajcie ludzi pod kontrolą – Aleksiejew rozpiął kaburę. Sorokin miał karabin

AK-47.

W perspektywie ulicy Riazina dostrzegli cerkiew Świętego Bazylego, zwieńczoną lasem wieżyczek i cebulastych kopuł.

Pojazdy, jeden za drugim, skręcały w prawo, przejeżdżając obok starej świątyni. Jadący w wozach bojowych piechoty żołnierze zadzierali wysoko głowy, podziwiając historyczną budowlę. Paradowali w najstarszych modelach BTR-ów, które nie miały dachów i górnych osłon.

No i jesteśmy -^ pomyślał Aleksiejew. – Zbudowane przez Iwana Groźnego wrota prowadziły prosto do budynku Rady Ministrów. Nad bramą piętrzyła się wieża zegarowa.

Było dwadzieścia po dziesiątej. Na spotkanie z Politbiurem Aleksiejew przybył dziesięć minut wcześniej.

–Zwariowaliśmy, czy co? – wykrzyknął minister rolnictwa. – Broń jądrowa to nie zimne ognie do zabawy.

Uczciwy człowiek, ale krasomówcą nigdy nie był – pomyślał Siergietow. Minister przemysłu naftowego wytarł w spodnie spocone dłonie.

–Towarzyszu ministrze obrony, zawiedliście nas na skraj przepaści – odezwał się Bromkowskij. – A obecnie chcecie, byśmy za wami w nią wskoczyli.

–Za późno na próżne żale – odparł sekretarz generalny. – Decyzja zapadła.

Huk eksplozji zadał kłam temu oświadczeniu.

–Zaczynamy – powiedział Aleksiejew.

Siedzący w tylnej części transportera oficerowie łączności nadali przez sieć radiową dywizji wiadomość o wybuchu na Kremlu. Batalion piechoty pod bezpośrednim dowództwem

Aleksiejewa ruszył by sprawdzić, co się stało.

Trzy BTR-y przedarły się przez wywaloną bramę i przystanęły u schodów wiodących do budynku Rady Ministrów.

–Co się tam wyprawia? – krzyknął Aleksiejew pod adresem kapitana z Gwardii Tamańskiej.

–Nie wiem... ale wam tu nie wolno wjeżdżać! Nie wolno! Musicie...

Sorokin uciszył go trzema pociskami z karabinu. Potem major zeskoczył z transportera, zachwiał się na chorej nodze i wbiegł do budynku. Za nim podążał generał. Już w progu Aleksiejew odwrócił się.

–Zabezpieczcie teren. Przygotowano zamach na członków Politbiura – krzyknął do nadbiegających żołnierzy.

Na odkrytej przestrzeni przed Arsenalem pojawili się pierwsi gwardziści tamańscy. Strażnicy Kremla zawahali się na widok wojska, ale ich porucznik bez namysłu oddał z pistoletu maszynowego długą serię. W kremlowskich murach rozpętała się strzelanina. Dwie formacje radzieckich żołnierzy, z których zaledwie dziesięciu miało pojęcie, o co naprawdę chodzi, prowadziły wymianę ognia.

Członkowie Politbiura obserwowali z okien przebieg wydarzeń.

Aleksiejew był wściekły, że Sorokin sam poprowadził atak, ale major wiedział, iż najważniejsze jest osobiste bezpieczeństwo generała. Na pierwszym piętrze położył trupem kapitana Gwardii Tamańskiej i ruszył dalej po schodach, odtwarzając w pamięci schemat trzeciego piętra budynku. Za nim podążali Aleksiejew i dowódca batalionu.

Na górze zaczął się major uzbrojony w pistolet maszynowy.

Oddał jeden strzał, lecz fatalnie chybił. Sorokin potoczył się po podłodze i posłał w jego stronę śmiertelnie śmiertelną serię. Sala konferencyjna odległa była od tego miejsca zaledwie o dwadzieścia metrów. Spotkali pułkownika KGB, który na ich widok wyciągnął przed siebie puste dłonie.

–Gdzie jest Aleksiejew?

–Tutaj – generał trzymał w ręku rewolwer.

–Wszyscy gwardziści nie żyją – zameldował czekista.

Czterech obrońców zastrzelił osobiście z ukrytego pod płaszczem automatycznego pistoletu z tłumikiem.

–Drzwi! – Aleksiejew skinął ręką na Sorokina.

Nie musieli ich nawet wywazać. Nie były zamknięte na

klucz. Oficerowie trafili do przedsionka i stanęli przed dwuskrzydłymi dębowymi wrotami, za którymi czekało Politbiuro.

Sorokin wszedł pierwszy.

Wewnątrz znajdowało się dwudziestu jeden starych lub w średnim wieku mężczyzn. Większość stała przy oknach, obserwując toczącą się na dziedzińcu potyczkę. Rozlokowani na Kremlu tamańscy gwardziści nie byli w stanie stawić czoła kompanii doświadczonych żołnierzy.

Aleksiejew wszedł drugi. Pistolet schował do kabury.

–Towarzysze, wracajcie proszę na swoje miejsca.

Najwyraźniej zorganizowano spisek na wasze życie. Na szczęście, w chwili gdy stawiałem się na to spotkanie, przed bramami Kremla przechodziła kolumna wojska... Siadajcie, towarzysze – rozkazał.

–Co się tu, do diabła, dzieje? – spytał minister obrony.

–Kiedy trzydzieści cztery lata temu wstępowałem do akademii wojskowej, złożyłem przysięgę, iż bronić będę Państwa i Partii przed nieprzyjaciółmi – odparł zimno Aleksiejew. – Także przed tymi, którzy nie wiedząc, co mają robić, chcą sprowadzić na mój kraj katastrofę! Towarzyszu Siergietow?

Minister przemysłu naftowego wskazał dwóch mężczyzn.

–Wy, towarzysze, i towarzysz Kosow, zostaniecie.

Pozostali za kilka minut opuszczają salę.

–Aleksiejew, podpisaliście na siebie wyrok śmierci – odezwał się minister spraw wewnętrznych. Sięgnął do telefonu.

Major Sorokin uniósł karabin i pojedynczym strzałem zniszczył aparat.

–Nie powtórzcie drugi raz tego błędu. Możemy wszystkich was pozabijać. Byłoby to na pewno prostsze rozwiązanie od tego, które wybraliśmy.

Aleksiejew odczekał chwilę. Kiedy do sali wbiegł kolejny oficer, generał skinął głową.

–Teraz opuście salę, towarzysze. Jeśli któryś odezwie się choć słowem, zginie. Dwójkami marsz!

Pułkownik KGB, który już po raz drugi podłożył na Kremlu bombę, wyprowadził pierwszą

parę.

Kiedy członkowie Politbiura opuścili pomieszczenie, Siergietow i Kosow zbliżyli się do generała.

–Sprawnie poszło – odezwał się dyrektor KGB. – W Lefortowie wszystko przygotowane. Dziś pełnią tam służbę moi ludzie.

–Nie pójdą do Lefortowa. Zmiana planów – odparł krótko Aleksiejew. – Wysłałem ich na stare lotnisko wojskowe, skąd helikopter przewiezie ich do obozu wojskowego, którego komendantem jest mój zaufany człowiek.

–Ależ wszystko przygotowałem!

–W to nie wątpię. Poznajcie mojego nowego adiutanta, majora Sorokina. Major Siergietow przebywa aktualnie w obozie i kończy przygotowania do przyjęcia gości.

Powiedzcie, towarzyszu dyrektorze, czy przypominacie sobie Sorokina?

Twarz wydawała się jakby znajoma, ale Kosow nie potrafił przypomnieć sobie, gdzie ją widział.

–Awansował na froncie. Wcześniej był kapitanem w 76. Dywizji Powietrznodesantowej.

–Tak? – Kosow wietrzył niebezpieczeństwo, ale nie wiedział, z której strony nadchodziło.

–Córka majora Sorokina należała do pionierów. Siedemdziesiąta Szósta stacjonowała w Pskowie – wyjaśnił Aleksiejew.

–Za moją małą Świetłane, której eksplozja zmiażdżyła głowę – oznajmił Sorokin.

Kosow ujrzał tylko wylot lufy i jaskrawy błysk.

Siergietow odskoczył w bok i z przerażeniem wpatrywał się w Aleksiejewa.

–Jeśli nawet mieliście rację, ufając czekać, ja mu niczego nie obiecywałem. Zostawiam wam kompanię wiernych żołnierzy. Muszę przejąć kontrolę nad armią. Waszym zadaniem jest opanowanie aparatu partyjnego.

–Ale jak możemy wam wierzyć? – spytał minister rolnictwa.

–Przede wszystkim należy przejąć telekomunikację i łączność. Wszystko wykonujemy zgodnie z planem.

Rozgłosimy wiadomości o próbie obalenia rządu, której zapobiegło wierne wojsko. Jeszcze dzisiaj któryś z was przemówi w telewizji. Teraz idę. Powodzenia.

Oficerowie KGB skierowali zmotoryzowane bataliony do ośrodków radia, telewizji oraz do głównych central telefonicznych. Teraz już pojazdy pomykały chyżo ulicami, a ich załogi ponawiały przez megafony apele o obronę miasta przed nie znaną bliżej liczbą kontrrewolucjonistów.

Tak naprawdę wojsko nie miało zielonego pojęcia, co się święci. Wiedziało tylko, że rozkazy pochodzą od czterogwiazdkowego generała. Oficerom 77. Dywizji Piechoty Zmotoryzowanej wystarczało to zupełnie. Zespoły łączności spisały się na medal. Oficer polityczny dywizji, kiedy pojawił się w budynku Rady Ministrów, zastał tam trzech członków Politbiura, którzy wydawali przez telefon polecenia. Wszystko było nie tak, jak powinno być, ale ludzie Partii najwyraźniej sprawowali nad tym kontrolę. Dowiedział się, że pozostali członkowie Politbiura zostali zabici lub ranni podczas zdradzieckiego ataku, jaki przypuściła na nich strzegąca Kremla gwardia. Dyrektor KGB wykrył spisek i dosłownie w ostatniej chwili wezwał wojsko. Sam jednak, odpierając ataki napastników, poległ śmiercią bohatera. W przekonaniu %ampolita, nie trzymało się to wszystko kupy, ale też wcale nie musiało się trzymać. Otrzymał konkretne rozkazy, które natychmiast przekazał drogą radiową do dowódcy dywizji.

Siergietow był zaskoczony, że tak gładko się to wszystko odbyło. Prawdę o wydarzeniach znało niespełna dwieście osób. Choć strzelanina w murach Kremla dawała się słyszeć w połowie miasta, jej oficjalne wyjaśnienie zadowoliło wszystkich. Minister miał kilku przyjaciół w Komitecie Centralnym. Ludzie ci w obawie o własne skóry zrobili wszystko, co im polecił. Pod koniec dnia trójka partyjnych dostojników podzieliła się rolami. Pozostali członkowie Politbiura przebywali pod strażą majora Sorokina poza Moskwą. Pozbawione instrukcji ministra spraw wewnętrznych podległe mu wojsko bez szemrania wykonywało zalecenia nowego Politbiura. Osieroczone przez szefa KGB

dosłownie się załamało. Stanowiło to największą ironię sowieckiego systemu, który, gdy nieoczekiwanie obcięto mu głowę, natychmiast tracił rację bytu. Prowadzona od dziesięcioleci przez Politbiuro polityka kontroli wszelkich przejawów życia społecznego w Związku Radzieckim dała owoce. Ludzie nie stawiali pytań, jakie normalnie zadaje się przed podjęciem zorganizowanego oporu. Tak więc każda upływająca godzina dawała Siergietowowi i jego klice czas na skonsolidowanie władzy.

Sędziwy, lecz posiadający autorytet Piotr Bromkowskij został głową aparatu partyjnego i ministrem obrony. Pamiętano powszechnie, iż Bromkowskij był komisarzem, który bardzo dbał o powierzonych mu żołnierzy. Pietia uczynił Aleksiejewa wiceministrem obrony i szefem Sztabu Generalnego. Filip Moisiejewicz Kryłow zachował tekę ministra rolnictwa oraz dodatkowo zajął się sprawami wewnętrznymi. Siergietow został sekretarzem generalnym.

Owa klasyczna rosyjska trojka miała przewodzić swym rodakom do chwili, póki nie dołączą do niej kolejni dygnitarze.

Do wykonania została najważniejsza część zadania.

LEŚNE SPOTKANIA

Bruksela, Belgia Nie ma nic straszniejszego od niewiadomej, a im większa ta niewiadoma, tym większy strach. Na biurku dowódcy sił sprzymierzonych w Europie leżały obok siebie cztery raporty wywiadu. Zgodne były w jednym: nikt nie wiedział, co się dzieje. Mogło to oznaczać kłopoty.

Po cóż więc mam ekspertów? – zastanowił się generał.

Satelita zajmujący się wykrywaniem i analizą pól elektromagnetycznych przekazał informację, że w Moskwie miały miejsce jakieś walki oraz że wojsko przejęło ośrodki łączności i telekomunikacji. Niemniej przez dwanaście godzin radzieckie państwowe radio i telewizja nadawały normalnie program i dopiero o piątej rano czasu moskiewskiego ogłoszono pierwszy, oficjalny komunikat.

Próba puczu ministra obrony? – zastanawiał się dowódca. Byłaby to bardzo niedobra wiadomość, a fakt, że o zamachu poinformowano oficjalnie, niewiele zmieniał na korzyść.

Nasłuch radiowy zarejestrował krótkie przemówienie Piotra Bromkowskiego, ostatniego zwolennika twardej, stalinowskiej linii: prosimy o zachowanie spokoju, ufajmy Partii.

Cóż to może, do diabła, znaczyć? – rozmyślał dowódca wojsk sprzymierzonych.

–Potrzebuję informacji – oświadczył szefowi swego wywiadu. – Co wiemy o strukturze rosyjskiego dowództwa?

–Aleksiejew, nowy dowódca zachodniego teatru, z całą pewnością opuścił swój posterunek bojowy. To pomyślna wiadomość, ponieważ za dziesięć godzin rozpoczynamy atak.

Zadzwoił telefon.

–Mówiłem: żadnych telefonów... tak, tak Franz... za cztery godziny? Poczdam? Nie dawaj żadnej wiążącej odpowiedzi. Za chwilę tam będę – odłożył słuchawkę. – Szef radzieckiego Sztabu Generalnego oświadczył na otwartym kanale radiowym, że musi koniecznie spotkać się ze mną w Poczdamie.

–"Koniecznie" spotkać się, Herr General?

–Tyle mówi depesza. Mogę przylecieć helikopterem.

Oni zapewnią mi eskortę – dowódca wojsk sprzymierzonych rozparł się w fotelu. – Sądzi pan, że dybią na moje życie? Że tak dobrze radzę sobie jako dowódca? – generał pozwolił sobie na ironiczny uśmiech.

–Na północ od Hanoweru gromadzą wojska – odparł szef wywiadu.

–Wiem o tym, Joachimie.

–Niech pan nigdzie nie jedzie. Proszę wysłać swego przedstawiciela.

–Czemu osobiście nie prosił o spotkanie? – zastanawiał się na głos dowódca. – Tak nakazywałby protokół.

–Spiesz się – odparł Joachim. – Nie wygrali.

Wprawdzie i nie przegrali, ale powstrzymaliśmy ich pochód.

Mają wielkie problemy z paliwem. A może w Moskwie przejął władzę jakiś potężny blok? Na czas konsolidacji sił uciszyli środki masowego przekazu i chcą wstrzymać działania wojenne. Potrzebują chwili spokoju. To sprzyjający moment, by mocno ich uderzyć – zakończył szef wywiadu.

–W chwili, kiedy znaleźli się w rozpaczliwej sytuacji? – spytał dowódca sił sprzymierzonych. – Broni nuklearnej mają pod dostatkiem. Czy były jakieś oznaki nietypowego zachowania się wojsk radzieckich? W ogóle czegoś nietypowego?

–Poza tym, że przybywają nowe, rezerwowe dywizje, to nie.

A jeśli mogę zakończyć tę cholerną wojnę? – pomyślał generał.

–Jadę!

Naczelnny wódz wojsk sprzymierzonych w Europie pod28 – Czerwony sztorm t. II

niósł słuchawkę telefoniczną i poinformował o swojej decyzji Sekretariat Generalny Rady Północnoatlantyckiej.

Podróż w asyście dwóch rosyjskich helikopterów nie należała do przyjemności. Generał siłą woli powstrzymywał się przed zerkaniem za okno. Skupił uwagę na teczce z danymi wywiadu. Posiadał oficjalne dossier pięciu rosyjskich dowódców wysokiej rangi. Nie wiedział, z którym się spotka. Naprzeciwko przełożonego siedział adiutant. Wyglądał przez okno.

Poczdąm, Niemiecka Republika Demokratyczna Aleksiejew przechadzał się nerwowo. Dręczył go niepokój. Znajdował się z dala od Moskwy, gdzie nowi szefowie Partii – zawsze to szefowie Partii, napominał się nieustannie w duchu – organizowali wszystko na nowo. Tylko idiota sądziłby, że mi ufają – myślał. Przejrzał dane wywiadu dotyczące jego kolegi z NATO. Wiek: pięćdziesiąt dziewięć lat. Syn i wnuk żołnierzy. Ojciec: oficer spadochroniarzy zabity przez Niemców na zachód od St. Vith w bitwie o Bulge. West Point, piętnasty w klasie. Wietnam, wykonane cztery misje, dowódca 101. Pułku Kawalerii Powietrznej. Żołnierze Północnego Wietnamu uważali go za wyjątkowo groźnego i pomysłowego taktyka. Dowiódł tego – mruknął pod nosem Aleksiejew. Dyplom uniwersytecki ze stosunków międzynarodowych.

Przypuszczalnie posiada wybitne zdolności językowe. Żonaty, dwóch synów i córka. Żadne nie związane z wojskiem. Ktoś zapewne zdecydował, że trzy generacje w zupełności wystarczą – skomentował w duchu Aleksiejew. Czworo wnuków... Czworo wnuków – pokiwał z zadumą głową generał. – Kiedy człowiek ma czworo wnuków... Uwielbia karty – to jedyny jego nałóg. Pije umiarkowanie. Brak danych o jakichkolwiek zbożeniach seksualnych. Aleksiejew uśmiechnął się. Obaj jesteśmy na to za starzy. Zresztą kto ma czas na takie bzdury?

Zza drzew doleciał dźwięk rotorów śmigłowca. Aleksiejew stanął obok znajdującego się na leśnej polanie wozu

bojowego. Załoga transportera oraz pluton piechoty pozostały ukryte w lesie. Było to mało prawdopodobne, ale gdyby Pakt Atlantycki próbował wykorzystać okazję i zabić... Nie, ani my, ani oni nie jesteśmy aż tak szaleni – pomyślał generał.

Był to blackhawk. Helikopter zapalił światła lądowania i z wdziękiem osiadł na trawie. W górze krążyła para Mi-24. Drzwi maszyny nie otworzyły się od razu. Najpierw pilot wyłączył silnik. Po upływie dwóch minut, kiedy znieruchomiały śmigła, pojawił się amerykański generał.

Zeskoczył lekko na ziemię. Miał odkrytą głowę.

Bardzo wysoki jak na spadochroniarza – zauważył Aleksiejew.

Dowódca sił sprzymierzonych w Europie mógł zabrać ze sobą kolta kaliber 45 o wyłożonej kością rękojeści. Otrzymał go jeszcze w Wietnamie. Uznał jednak, że lepsze wrażenie wywrze na Rosjanach, jeśli pojawi się bez broni i w zwykłym mundurze polowym. Tylko na wyłogach miał cztery czarne gwiazdki, a na lewej piersi naszywki spadochroniarza z jednostek powietrznodesantowych. Na prawej widniała zwykła naszywka: ROBINSON.

Nie muszę przed Iwanem paradować. Wygrałem tę wojnę – pomyślał.

–Powiedźcie ludziom w lesie, by się cofnęli.

–Ależ towarzyszu generale!

Nowy adiutant nie znał jeszcze dobrze swego zwierzchnika. , – Wykonajcie rozkaz. Jeśli będę potrzebował tłumacza, dam znak.

Aleksiejew ruszył w stronę dowódcy NATO.

Adiutanci oddalili się.

Wymienili honory, ale żaden nie spieszył się z wyciągnięciem ręki.

–Pan to Aleksiejew? – powiedział generał Robinson.

–Spodziewałem się kogoś innego.

–Marszałek Bucharin przeszedł na emeryturę... wasz rosyjski jest znakomity, generale Robinson.

–Dziękuję panu, generale Aleksiejew. Przed kilku laty zainteresowałem się Czechowem. Sam pan wie, że teatr najlepiej odbiera się w języku oryginalnym. Od tamtego czasu zresztą czytałem sporo rosyjskiej literatury.

Aleksiejew skinął głową.

–By lepiej poznać wroga – przeszedł na angielski. – Bardzo mądre posunięcie. Przejdziemy się?

–Ilu pańskich ludzi kryje się w tym lesie?

–Pluton piechoty zmotoryzowanej – Aleksiejew wrócił do swego ojczystego języka. Zorientował się, że Robinson lepiej włada rosyjskim niż on angielskim. – Nie byliśmy pewni, kto przyleci tym helikopterem.

–Też racja – zgodził się Amerykanin. Czekaleś na mnie w odkrytym terenie, dodał w myślach, by pokazać, że nie czujesz strachu. – O czym będziemy rozmawiać?

–Naturalnie o zakończeniu wojny.

–Słucham.

–Wiecie z pewnością, że nie miałem nic wspólnego z rozpoczęciem tego szaleństwa.

Robinson spojrział mu w twarz.

–A jaki żołnierz kiedykolwiek ma, generale? My tylko przelewamy krew. I bierzemy na siebie całą hańbę. Pański ojciec był żołnierzem, prawda?

–Czołgista. Miał więcej szczęścia niż wasz.

–Tak to bywa. Szczęście.

–Ale o tych sprawach nie powinniśmy rozmawiać z naszymi politycznymi przywódcami. – Aleksiejew prawie się uśmiechnął na myśl, że oddaje Robinsonowi inicjatywę.

–Kim są pańscy przywódcy? Jeśli zawrzemy jakiś realny układ, moi liderzy zechcą wiedzieć, z kim go zawarłem. – •••

–Sekretarzem Generalnym Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego jest Michaił Edwardowicz Siergietow.

–Kto? – zdziwił się Amerykanin. Nie przypominał sobie tego nazwiska. Przebiegł w pamięci

listę członków

Politbiura, ale żadnego Siergietowa na niej nie było. Postanowił zagrać na zwłokę. – Co się właściwie u was wydarzyło?

Aleksiejew dostrzegł zmieszanie na twarzy Robinsona i tym razem już się uśmiechnął. Nawet nie wiecie, kim on jest, prawda towarzyszu generale? – spytał w duchu. – To dla was wielka niewiadoma.

–Wy, Amerykanie, powiedzielibyście, że wybiła u nas godzina zmian.

Kto ciebie, synu, uczył grać w pokera? – pomyślał dowódca wojsk sprzymierzonych. – Mam asy i króle. A co ty trzymasz w zanadrzu?

–Jakie są pańskie propozycje?

–Nigdy nie byłem dyplomatą. Jestem żołnierzem – odparł Aleksiejew. – Proponujemy natychmiastowe wstrzymanie ognia. W ciągu dwóch tygodni wycofamy się na linie sprzed wojny.

–W ciągu dwóch tygodni mogę doprowadzić do tego sam, bez wstrzymywania ognia – odrzekł chłodno Robinson.

–Ale jakim kosztem... i za cenę jakiego ryzyka – odparł Rosjanin.

–Wiemy, że nie macie paliwa, a wasza gospodarka narodowa runie lada chwila.

–Tak, generale Robinson. Ale jeśli nasza armia ma runąć, jak mówicie, pozostaje nam jeden sposób, by obronić Państwo.

–Pański kraj wszczął wojnę przeciw jednemu z sojuszników NATO. Myśli pan, że pozwolimy, ot tak, po prostu, wrócić do status quo ante? Beż żadnych warunków? – spytał cicho Amerykanin.

Emocje trzymał mocno na wodzy. Raz już się poślizgnął.

Dwa razy, byłoby to stanowczo za wiele.

–I proszę mi nie mówić o Zamachu Bombowym na Kremlu. Doskonale pan wie, że nie mieliśmy z tym nic wspólnego.

–Zaznaczyłem na wstępie, że nie brałem w tym udziału.

Wypełniam rozkazy... ale czy sądziliście, że Politbiuro będzie bezczynnie patrzeć, jak wali się nasza gospodarka?

Czy pomyślał pan o nacisku politycznym, jaki będzie na nas wywarli? Skoro Zachód wiedział o naszych kłopotach z paliwem...

–Dowiedzieliśmy się o tym zaledwie kilka dni temu...

A więc maskirowka zdała egzamin? – zdziwił się w duchu Aleksiejew.

–Czemuście nam nie powiedzieli, że potrzebujecie ropy? – spytał Robinson.

–A wy dalibyście nam ją lekką ręką? Robinson, nie napisałem dysertacji na temat stosunków międzynarodowych, ale aż takim durniem nie jestem.

–Naturalnie, zażądalibyśmy w zamian takich czy innych koncesji... ale czy nie sądzi pan, że byłoby to lepsze niż to, co się stało?

Aleksiejew zerwał liść. Spoglądał przez chwilę na skomplikowane unerwienie rośliny; wszystko połączone ze wszystkim w jedną całość. Zniszczyłeś kolejne życie, Pasza – błysnęła mu myśl.

–Podejrzewam, że pod tym kątem Politbiuro nie rozważało sprawy.

–Wywołało wojnę – powtórzył Robinson. – Ilu ludzi z tego powodu straciło życie?

–Odpowiedzialni za podjęcie tej decyzji zostali aresztowani. Za zbrodnie przeciwko Państwu odpowiadzą przed sądem ludowym. Towarzysz Siergietow od początku sprzeciwiał się wojnie i podobnie jak ja zaryzykował życiem, by położyć jej kres.

–Chcemy ich mieć. Powołamy nowy Trybunał Norymberski i wniesiemy oskarżenie o zbrodnię ludobójstwa.

–Możecie ich dostać dopiero wtedy, kiedy skończy zajmować się nimi nasz wymiar sprawiedliwości. A będzie to surowy proces, generale Robinson. – Obaj mężczyźni rozmawiali jak żołnierze, nie jak dyplomaci. – Myślicie pewnie, że wasze kraje cierpiały. Powiem wam kiedyś, jakich cierpień z ręki tych przekupnych ludzi doznał mój kraj.

–I wasza junta ma to zmienić?

–Skąd mogę wiedzieć? Spróbujemy. Ale tak czy siak nie jest to wasz problem.

Nie jest, dobre sobie! – parsknął w duchu Amerykanin.

–Mówi pan z dużą pewnością siebie jak na przedstawiciela nowego i bardzo jeszcze chwiejnego rządu.

–A wy, towarzyszu generale, mówicie z dużą pewnością siebie jak na kogoś, kto niecałe dwa tygodnie temu przegrał właściwie wszystko. Samiście mówili o szczęściu. Chcecie, naciśnijcie

nas jeszcze mocniej. Związek Radziecki nie może już tej wojny wygrać, ale obie strony mają jeszcze dużo do stracenia. Dobrze wiecie, jak blisko sukcesu byliśmy. Gdyby nie te wasze przeklęte, niewidzialne bombowce, które zniszczyły mosty pierwszego dnia wojny, albo gdyby udało się nam zatopić dwa lub trzy konwoje więcej, to wy proponowalibyście kapitulację.

Starczyłby jeden lub dwa – poprawił w myślach Robinson. – Niewiele brakowało.

–Proponuję natychmiastowe wstrzymanie ognia – powtórzył Aleksiejew. – Od północy. Potem, w ciągu dwóch tygodni wrócimy na pozycje przedwojenne i wojna się skończy.

–Wymiana jeńców?

–Tym zajmiemy się później. Myślę, że na razie najlepszym miejscem będzie Berlin.

Tego miasta wojna prawie wcale nie dotknęła.

–A co z niemiecką ludnością po waszej stronie?

Aleksiejew zastanawiał się chwilę.

–Po zawieszeniu broni będzie bezpieczna. Powiem więcej. Zezwolę na transporty żywności, które pod naszą kontrolą będziecie jej przesyłać.

–Pozostaje problem represji wobec niemieckiej ludności cywilnej.

–To już moja sprawa. Każdy, kto złamie przepisy, stanie przed sądem wojskowym.

–A jakie mam gwarancje, że tych dwóch tygodni nie wykorzystacie na przygotowanie nowej ofensywy?

–A jakie ja mam gwarancje, że nie przeprowadzicie kontrataku, który zaplanowaliście na jutro? – odparł pytaniem Aleksiejew.

–Fakt, to już za kilka godzin – przyznał Robinson. – Czy wasi przywódcy polityczni zaakceptują te warunki?

–Zaakceptują. A wasi?

–Muszę im je przedstawić. Ale zawieszenie broni gwarantuję honorem.

–Zatem decyzja należy do was, generale Robinson.

Adiutanci obu generałów, podobnie jak ukryci w lesie radzieccy żołnierze oraz załoga amerykańskiego helikoptera, z niepokojem obserwowali reakcje dowódców.

Generał Robinson wyciągnął rękę.

–Dzięki Bogu – westchnął radziecki adiutant.

–Da – przyznał jego amerykański kolega.

Aleksiejew wyjął z tylnej kieszeni spodni półlitrową butelkę wódki.

–Nie piłem od kilku miesięcy – powiedział. – Ale my, Rosjanie, bez wódki nie potrafimy dobić żadnego targu.

Robinson pociągnął łyk i oddał naczynie Aleksiejewowi.

Rosyjski generał również wypił potężny haust i cisnął butelką w pień drzewa. Naczynie nie pękło. Obaj mężczyźni roześmiali się z ulgą.

–Wiesz, Aleksiejew, gdybyśmy byli politykami, nie żołnierzami...

–Wiem. Dlatego tu jestem. Wojnę najłatwiej zakończy ten, kto ją zna od podszewki.

–Ma pan rację.

–Powiedzcie mi, Robinson... – Aleksiejew urwał, przypominając sobie, że Amerykanin nazywa się Eugeniusz, a jego ojciec miał na imię Stefan. – Powiedzcie mi jedną rzecz, Jewgieni Stefanowiczu. Kiedy dokonałem przełomu pod Alfeld, jak blisko...

–Bardzo blisko. Wtedy nawet ja już zwątpiłem. Mieliśmy zapasów na pięć dni. Na szczęście dotarły do Europy dwa prawie nietknięte konwoje. Przywiozły sprzęt, który dodał nam bodźca

– Robinson przystanął. – Co zrobicie ze swoim krajem?

–Trudno mi powiedzieć. Nie wiem. Towarzysz SierCZERWONY SZTORM • 441 gietow też nie wie. Ale Partia powinna służyć ludziom.

Nauczyliśmy się, że przywódcy muszą odpowiadać przed narodem.

–Czas na mnie, Pawle Leonidowiczu. Życzę panu szczęścia. Być może kiedyś...

–Być może kiedyś... – ponownie uścisnęli sobie ręce.

Aleksiejew obserwował, jak Amerykanin zbliża się do swego adiutanta. Ten wymienił uścisk dłoni z radzieckim kolegą i ruszył za przełożonym do helikoptera. Silniki zagrały pełną mocą. Maszyna oderwała się od ziemi.

W powietrze wzbily się również radzieckie maszyny. Blackhan>ky zatoczywszy nad polaną koło, oddalił się na zachód.

Nigdy się nie dowiesz Robinson – mruknął pod nosem Aleksiejew, stojąc samotnie na środku polany. – Nigdy się nie dowiesz, że po śmierci Kosowa nie mogliśmy odnaleźć jego prywatnych

szyfrów służących do sprawowania kontroli nad bronią jądrową. Minąłby co najmniej dzień, zanim moglibyśmy jej użyć.

General Aleksiejew w towarzystwie adiutanta podszedł do transportera opancerzonego, skąd przez radio nadał zwięzły komunikat.

Wiadomość niezwłocznie została przesłana do Moskwy.

Sack, Republika Federalna Niemiec Pułkownik Ellington pomagał majorowi Eisly'emu przedzierać się przez las. Obaj oficerowie przeszli kiedyś szkolenie z techniki ucieczek. Trening tak wyczerpujący, że Ellington obiecał sobie, że jeśli ponownie będzie musiał czegoś podobnego posmakować w wojsku, to w ogóle wypisze się z armii. Teraz jednak porządnie odświeżył sobie wszystko w pamięci. Musieli czekać czternaście godzin, by przekroczyć jedną cholerną drogę. Z obliczeń wynikało, że od miejsca katastrofy do własnych linii dzieliło ich ponad dwadzieścia kilometrów. Tydzień już wędrowali przez las, ukrywali się, pili wodę z potoków jak dzikie zwierzęta i przemykali od drzewa do drzewa.

Dotarli na skraj lasu. Przed sobą mieli odkryty teren.

Było ciemno i zadziwiająco cicho. Czyżby Rosjanie opuścili te okolice?

–Spróbujmy, Duke – powiedział Eisly.

Stan jego pleców pogorszył się do tego stopnia, że Ellington praktycznie dźwigał kolegę na grzbiecie.

–Okay.

Ruszyli najszybciej, jak mogli. Kiedy przebyli już sto metrów, otoczyły ich ruchliwe cienie.

–O cholera, to już koniec! – szepnął Eisly. – Tak mi przykro, Duke.

–Mnie też – odparł pułkownik. Nawet nie pomyślał o rewolwerze. Naliczył co najmniej pięć osób. Wszystkie miały karabiny. Amerykanów otoczyły niewyraźne sylwetki.

–Wer sind S ze? – spytał jeden głos.

–Ich bin Amerikaner – odparł Ellington. Łaska boska – pomyślał. – To Niemcy.

Ale to wcale nie byli Niemcy. Amerykanie stwierdzili to w chwilę później po kształcie hełmów.

Niech to szlag, byliśmy już tak blisko!

Rosyjski porucznik obserwował twarz Ellingtona w świetle ręcznej latarki. Dziwna rzecz, ale nie odebrał pułkownikowi pistoletu. Po chwili wydarzyło się coś jeszcze bardziej zdumiewającego. Porucznik wziął obu jeńców w ramiona i siarczyście ucałował w policzki.

Wskazał zachód.

–Tamtędy. Dwa kilometry.

–Nie kłóć się z tym człowiekiem, Duke – szepnął Eisly.

Odchodząc we wskazanym kierunku, czuli fizycznie na plecach ciężar wzroku Rosjan. Dwie godziny później piloci dotarli do swoich, gdzie dowiedzieli się o wstrzymaniu ognia.

USS "Independence" Grupa bojowa płynęła na południowy zachód. Następnego dnia miała zająć pozycje bojowe i uderzyć na rosyjskie bazy skupione wokół Murmańska. Toland kończył właśnie obliczać liczbę rosyjskich myśliwców i siłę ognia nieprzyjacielskich wyrzutni rakiet ziemia-powietrze, kiedy nadszedł rozkaz odwołujący całą akcję. Komandor złożył

więc porządnie papiery, schował je do szafy pancерnej i udał się na dół, do majora Czapajewa, by poinformować go, że niebawem obaj ujrzą swe rodziny.

Północny Atlantyk Samolot-szpital C-9 Nightingale również leciał na południowy zachód, kierując się w stronę bazy lotniczej Andrews niedaleko Waszyngtonu. Wiózł z Islandii rannych marines, jednego porucznika sił powietrznych oraz osobę cywilną.

Początkowo załoga samolotu ostro protestowała przeciw obecności cywila na pokładzie, dopiero dwugwiazdkowy generał piechoty morskiej wyjaśnił jej przez radio, że Korpus ze szczególnymi względami potraktuje każdego, kto odważy się rozdzielić kobietę i porucznika.

Mikę większość czasu był już przytomny. Jego noga wymagała kolejnych zabiegów chirurgicznych – miał rozdarte ścięgno Achillesa. Niewiele go to jednak obchodziło. Za cztery i pół miesiąca miał zostać ojcem.

Zaplanowali również następne dziecko – już jego.

Norfolk, Wirginia O'Malley zabrał dziennikarza i odleciał na ląd. Morris miał nadzieję, że korespondent Reutera zdąży napisać swoją relację z wojny, zanim nie zajmie się nowym tematem – już powojennym. "Reuben James" odeskortował właśnie lotniskowiec "America" do stoczni naprawczej w Norfolk. Kapitan stał na mostku, obserwował znajome nabrzeża i obliczał w myślach siłę wiatru i przyływu. Wprowadzał fregatę do portu. Zastanawiał się, Co To Wszystko Znaczyło.

Zniszczony okręt, martwi koledzy, ludzie, których śmierci był winien, ludzie, których śmierci był świadkiem...

–Ster zero – polecił kapitan.

Podmuch południowego wiatru pomógł "Reubenowi Jamesowi" dobić do pirsu.

Na rufie marynarz rzucił na nabrzeże liny. Oficer

wachtowy dał znak podoficerowi, by ten zablokował system łączności wewnętrznej okrętu.

Wszystko To Znaczy Koniec Wojny – zdecydował Morris.

Kadłub okrętu otarł się z chrzęstem o keję. Kapitan usłyszał komendę podoficera:

–Tak stoimy!

KONIEC

SPIS ROZDZIAŁÓW

28 PRZEŁOMY 7

29 REMEDIA 37

30 PODCHODY 60

31 DEMONY 77

32 NOWE NAZWY, NOWE TWARZE... 96

33 KONTAKT 123

34 PRZESZPIEGI 152

35 CZAS WYCZEKIWANIA 162

36 POJEDYNEK NA 31° DŁUGOŚCI

ZACHODNIEJ 195

37 UCIECZKA POKRZYWDZONYCH...

224

38 UKRYCI WŚRÓD SKAŁ 244

39 WYBRZEŻA STYKKISHOLMURU...

267

40 POLE WALKI 315

41 ZMIENNOŚĆ LOSU 359

Koniec

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-03-22

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/